



Amwysé

JOHN
GWYNNE

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Podziękowania

Prolog. EVNIS

Fragment zapisków Halvora

Rozdział pierwszy. CORBAN

Rozdział drugi. VERADIS

Rozdział trzeci. CORBAN

Rozdział czwarty. EVNIS

Rozdział piąty. CORBAN

Rozdział szósty. VERADIS

Rozdział siódmy. CYWEN

Rozdział ósmy. KASTELL

Rozdział dziewiąty. CORBAN

Rozdział dziesiąty. KASTELL

Rozdział jedenasty. CORBAN

Rozdział dwunasty. VERADIS

Rozdział trzynasty. CORBAN

Rozdział czternasty. EVNIS

Rozdział piętnasty. CORBAN

Rozdział szesnasty. CAMLIN
Rozdział siedemnasty. CORBAN
Rozdział osiemnasty. VERADIS
Rozdział dziewiętnasty. CYWEN
Rozdział dwudziesty. VERADIS
Rozdział dwudziesty pierwszy. CORBAN
Rozdział dwudziesty drugi. KASTELL
Rozdział dwudziesty trzeci. CORBAN
Rozdział dwudziesty czwarty. VERADIS
Rozdział dwudziesty piąty. EVNIS
Rozdział dwudziesty szósty. CORBAN
Rozdział dwudziesty siódmy. KASTELL
Rozdział dwudziesty ósmy. CORBAN
Rozdział dwudziesty dziewiąty. CYWEN
Rozdział trzydziesty. VERADIS
Rozdział trzydziesty pierwszy. CORBAN
Rozdział trzydziesty drugi. CAMLIN
Rozdział trzydziesty trzeci. VERADIS
Rozdział trzydziesty czwarty. CORBAN
Rozdział trzydziesty piąty. VERADIS
Rozdział trzydziesty szósty. CORBAN
Rozdział trzydziesty siódmy. VERADIS

Rozdział trzydziesty ósmy. CYWEN
Rozdział trzydziesty dziewiąty. VERADIS
Rozdział czterdziesty. KASTELL
Rozdział czterdziesty pierwszy. CORBAN
Rozdział czterdziesty drugi. VERADIS
Rozdział czterdziesty trzeci. CORBAN
Rozdział czterdziesty czwarty. EVNIS
Rozdział czterdziesty piąty. CORBAN
Rozdział czterdziesty szósty. VERADIS
Rozdział czterdziesty siódmy. CORBAN
Rozdział czterdziesty ósmy. VERADIS
Rozdział czterdziesty dziewiąty. CORBAN
Rozdział pięćdziesiąty. VERADIS
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. CORBAN
Rozdział pięćdziesiąty drugi. CYWEN
Rozdział pięćdziesiąty trzeci. CORBAN
Rozdział pięćdziesiąty czwarty. VENTOS
Rozdział pięćdziesiąty piąty. VERADIS
Rozdział pięćdziesiąty szósty. CORBAN
Rozdział pięćdziesiąty siódmy. VERADIS
Rozdział pięćdziesiąty ósmy. CORBAN
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty. KASTELL

Rozdział sześćdziesiąty. CAMLIN
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy. CORBAN
Rozdział sześćdziesiąty drugi. CORBAN
Rozdział sześćdziesiąty trzeci. CYWEN
Rozdział sześćdziesiąty czwarty. CORBAN
Rozdział sześćdziesiąty piąty. VERADIS
Rozdział sześćdziesiąty szósty. CYWEN
Rozdział sześćdziesiąty siódmy. CAMLIN
Rozdział sześćdziesiąty ósmy. EVNIS
Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty. CORBAN
Rozdział siedemdziesiąty. CYWEN
Rozdział siedemdziesiąty pierwszy. CAMLIN
Rozdział siedemdziesiąty drugi. CORBAN
Rozdział siedemdziesiąty trzeci. CORBAN
Rozdział siedemdziesiąty czwarty. KASTELL
Rozdział siedemdziesiąty piąty. CYWEN
Rozdział siedemdziesiąty szósty. CORBAN
Rozdział siedemdziesiąty siódmy. VERADIS
Rozdział siedemdziesiąty ósmy. CORBAN
Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty. CORBAN
Rozdział osiemdziesiąty. CYWEN
Rozdział osiemdziesiąty pierwszy. CORBAN

Rozdział osiemdziesiąty drugi. KASTELL

Rozdział osiemdziesiąty trzeci. EVNIS

Rozdział osiemdziesiąty czwarty. CYWEN

Rozdział osiemdziesiąty piąty. CAMLIN

Rozdział osiemdziesiąty szósty. CORBAN

Rozdział osiemdziesiąty siódmy. KASTELL

Rozdział osiemdziesiąty ósmy. CORBAN

JOHN GWYNNE

Złwiśc

KSIĘGA PIERWSZA
WIERNYCH I UPADŁYCH

PRZEŁOŻYŁ MARCIN MORTKA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2018

Tytuł oryginału: *Malice. The Faithful and the Fallen – Book One*

Copyright © 2013 by John Gwynne

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Elwira Wyszynska

Ilustracja na okładce: Paul Young

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-955-9

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Dla moich dzieci –
Harriett, Jamesa, Edwarda i Williama,
i oczywiście mej żony Caroline,
bez których byłbym nikim.*

Podziękowania

Wielu ludzi przyszło mi z pomocą, gdy pisałem *Zawiść*. W pierwszej kolejności pragnę podziękować Paulowi Istedowi, którego słowo wsparcia okazało się niezwykle istotne w kluczowych momentach. Chciałem też podziękować wszystkim tym, którym chciało się przeczytać pierwszą wersję rękopisu, choć wiem, że mieli o wiele ważniejsze rzeczy do roboty, a są to Edward Gwynne, Mark Brett, Dave Dean, Irene Gwynne, Mike Howell, Alex Harrison, Mandy Jeffrey, Pete Kemp-Tucker i moja wspaniała żona Caroline, bez wsparcia której nigdy bym nawet nie sięgnął po pióro. Jestem również winien wdzięczność Johnowi Jarroldowi, memu niezwykłemu agentowi, za jego wiarę we mnie i cenne rady. Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego jak on, zarazem mędrca, jak i dżentelmena. Dziękuję również Julie Crisp i Belli Pagan, moim redaktorkom w Tor, których talenty zasługują na wszelkie komplementy. Dziękuję także dobremu przyjacielowi za niezwykle zdjęcia, które z czułością zwiemy „sesjami z Czarną Żmiją”. Ach, chciałem również pozdrowić mego najstarszego przyjaciela Sadaka. Przeczytasz to kiedyś?

*Gdyż w kim, jak nie w twórcy zła wszelakiego, mogłaby taka zawiść
zakiełkować.*

John Milton, *Raj utracony*

Prolog

EVNIS

Rok 1122 Ery Wygnańców, Księżyc Wilka

Zeschłe liście chrzęściły pod stopami Evnisa. Wokół jego ust pojawił się obłoczek pary, gdy wyszeptał przekleństwo. Przełknął ślinę, choć w ustach czuł suchość.

W głębi duszy przyznawał, że się boi, ale kto by się nie bał w jego sytuacji? Przez to, na co się powążył tej nocy, mógł przecież zostać okrzyknięty zdrajcą korony albo jeszcze kimś gorszym!

Zatrzymał się i spojrzał za siebie. Wciąż widział kamienny krąg, który wznosił się za skrajem lasu, a dalej mury Badun, jego rodzinnej osady. Kontury budynków srebrzyły się w blasku księżyca. Jakże łatwo byłoby teraz zawrócić, udać się do domu i wybrać dla siebie inną życiową drogę. Nagle zakręciło mu się w głowie, jakby stał na skraju wielkiej przepaści. Czas wyraźnie zwolnił – cały świat czekał na jego decyzję.

Skoro dotarłem aż tak daleko, doprowadzę to do końca, pomyślał.

Uniósł głowę i spojrzał na las, który przypominał teraz mur nieprzeniknionego cienia. Otulił się szczelniej płaszczem i wkroczył w ciemność.

Przez jakiś czas podążał traktem olbrzymów – białym,

wyłożonym kamiennymi płytami szlakiem, który łączył królestwa Ardanu i Narvonu. Trakt był od dawna zaniedbany, a klan olbrzymów, który go zbudował, przepadł tysiąc lat temu. Między kruszącymi się płytami rozrastały się mech i grzyby.

Pomimo otaczających go ciemności na szerokiej, otwartej drodze czuł się odsłonięty i bezbronny. Wkrótce zsunął się po pochylonym zboczu i wniknął w leśną gęstwinę. Wiatr pogwizdywał w koronach drzew, gałęzie ocierały się o siebie, a on, zlany potem, brnął w górę i w dół po nierównym terenie. Wiedział, dokąd zmierza, gdyż pokonywał tę drogę wiele razy wcześniej, choć nigdy w nocy. Miał dopiero dziewiętnaście lat, ale znał tę część Ciemnego Boru równie dobrze jak dwakroć starsi od niego tropiciele.

Wkrótce dostrzegł migotanie ognia między drzewami. Podkraśl się bliżej i zatrzymał na granicy wytyczonej przez krąg światła. Nie miał odwagi, by opuścić bezpieczną ciemność.

Zawracaj, szeptał głos w jego głowie. Wróć do domu! Jesteś nikim i nigdy nie dorównasz swemu bratu.

Były to słowa jego matki, równie zimne i wyraźne jak w dniu jej śmierci. Ewnis zgrzytnął zębami i wkroczył w krąg światła.

Nad ogniem wisiał żelazny kocioł, w którym bulgotała woda. Obok niego dostrzegł postać w płaszczu z kapturem.

– Witaj – usłyszał kobiecy głos.

Nieznajoma odrzuciła kaptur. Srebrne pasemka w jej włosach w blasku ognia zapłonęły miedzią.

– Bądź pozdrowiona, pani! – rzekł Ewnis do Rhin, królowej Cambrenu. Jak zwykle jej piękno odebrało mu dech.

Królowa uśmiechnęła się do niego, a wokół jej oczy pojawiły się zmarszczki. Wyciągnęła rękę. Ewnis podszedł niepewnie i ucałował pierścień na jej palcu. Jego usta dotknęły zimnego klejnotu. Jej słodki zapach przypominał woń przejrzałego owocu i wręcz uderzał do głowy.

– Nie jest jeszcze za późno – powiedziała i dotknęła palcem jego podbródka, by unieść mu głowę. – Nadal możesz zawrócić.

Stali tak blisko siebie, że Ewnis wyczuwał jej ciepły oddech, pachnący nieco winem. Wciągnął powietrze.

– Nie – odparł. – Nie mam do czego wracać, a to moja szansa, by...

Wszelkie myśli przesłoniło wspomnienie twarzy brata – uśmiechniętego, dominującego, władczego. Potem ujrzał oblicze matki – jej skrzywione usta, sceptyczną minę, taksujące, osądzające spojrzenie.

– ...by zrobić coś ważnego. Gethin zaaranżował dla mnie małżeństwo. Mam wziąć za żonę córkę bodajże najuboższego barona w Ardanie.

– Ładna? – spytała Rhin. Nadal się uśmiechała, ale w jej głosie pojawiła się ostrzejsza nuta.

– Spotkałem się z nią tylko raz. Nie, nawet nie pamiętam, jak wygląda – rzekł Ewnis i spojrzał na zawieszony nad ogniem kocioł. – Muszę to zrobić. Proszę.

– A co dostanę od ciebie w zamian?

– Całe królestwo Ardanu. Będę nim rządził, ale kłaniał się tobie, moja królowo.

Ta uśmiechnęła się, aż zęby jej błysnęły.

– Spodobały mi się twe słowa, ale tu chodzi o coś więcej niż tylko Ardan. O wiele więcej. Tu chodzi o Wojnę Bogów. O ponowne zstąpienie Asrotha.

– Wiem – szepnął Ewnis. Strach wydawał mu się teraz czymś niemalże materialnym, spływał z jego języka, dławił go i dusił, ale mimo to budził podniecenie.

– Boisz się? – spytała Rhin, więżąc go swoim spojrzeniem.

– Tak. Ale doprowadzę to do końca. Przemyślałem wszystkie za i przeciw.

– Dobrze. Chodź więc bliżej.

Rhin uniosła dłoń i pstryknęła palcami. Spomiędzy drzew wyłonił się ciemny kształt, który wkroczył w krąg światła. Był to olbrzym, potężny, przewyższający dorosłego człowieka o kilka głów.

Miał bladą, ostro zarysowaną twarz o wydatnych kościach policzkowych. Pod masywnymi brwiami lśniły niewielkie, czarne oczy. Długie, ciemne wąsy przybysza, oplecione rzemykami, opadały aż na klatkę piersiową. Wzdłuż jednego ramienia ciągnął się tatuaż przedstawiający kolczastą winorośl, która nikła pod rękawem kaftana kolczego. Olbrzym był ubrany w skóry i futra, a w ramionach trzymał skrępowanego człowieka. Jego ciężar nie sprawiał mu żadnych trudności.

– Oto Uthas z klanu Benothi – rzekła Rhin, machnąwszy dłonią.
– To mój sojusznik. W przeszłości korzystałam już z jego pomocy.

Olbrzym podszedł do ognia i opuścił człowieka na ziemię. Ten jęknął, wijąc się niemrawo na mchu. Miał więzy na kostkach i nadgarstkach.

– Pomóż mu wstać, Uthas.

Olbrzym nachylił się, złapał człowieka za włosy i podniósł go szarpnięciem. Twarz jeńca była opuchnięta i posiniaczona, a policzki i usta powalane zaschniętą krwią. Ubranie miał brudne i podarte, ale na wysłużonym, skórzanym napierśniku Ewnis dopatrzył się herbu z wilkiem Ardanu.

Mężczyzna usiłował coś powiedzieć. Popękane, poranione usta poruszyły się parokrotnie, z kącika pociekła ślina. Rhin w milczeniu wyciągnęła nóż i poderżnęła mu gardło. Z rany buchnęła ciemna krew, a jeniec osunął się w ramionach olbrzyma. Ten jednakże, trzymając go w mocnym uścisku, pochylił go do przodu, tak by krople krwi wpadały do kotła.

Ewnis opanował dziką ochotę, by odwrócić się i rzucić do ucieczki. Rhin mruzczała coś do siebie, a młodzieniec słuchał słów recytowanych niskim, gardłowym głosem, aż z kotła buchnęła struga pary. Pochylił się, nie mogąc oderwać wzroku. Przez polaną przemknął potężny podmuch wiatru, a w parze zaczęła się materializować jakaś postać, która obracała się i wykrzywiała. Ewnisa owionął smród rzeczy dawno nieżywych i gnijących. Żółć podeszła mu do gardła, ale nie mógł oderwać spojrzenia od pary,

pośród której migotało już dwoje oczu. Dojrzał formującą się twarz, starą i pomarszczoną. Wydawała się szlachetna, mądra i pełna smutku, ale po chwili zarysowały się na niej głębokie zmarszczki, surowość i duma. Ewnis zamrugał, a twarz na sekundę zdała mu się gadzia. Wirujące wokół kłęby pary przybierały kształt rozwijających się gadzich skrzydeł. Przeszył go dreszcz.

– Asroth – szepnęła Rhin i padła na kolana.

– Czego sobie życzysz? – rozległ się syczący głos.

Ewnis przełknął ślinę. W ustach wciąż czuł suchość.

Muszę przejąć to, co należy do mnie, pomyślał. Muszę wyjść z cienia brata! Muszę dokończyć to, co zacząłem.

– Władzy – wyszeptał, a potem nabrał tchu i rzekł już głośniej: – Władzy! Chcę przejąć władzę. Chcę rządzić moim bratem i całym Ardanem.

W odpowiedzi usłyszał śmiech. Z początku był cichy, ale narastał i stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie wypełnił całą polanę. Potem niespodziewanie nastąpiła cisza, gęsta i ciężka niczym pajęczyny zwisające z okolicznych drzew.

– A więc otrzymasz ją – rzekł nowo przybyły.

Ewnis poczuł kroplę potu spływającą po czole.

– Czego żadasz w zamian? Jaką cenę mi wyznaczysz?

– Ty jesteś zapłatą – odezwała się postać falująca wśród pary, przenikając go wzrokiem. – Chcę ciebie. – Jej usta nagle drgnęły i pojawił się na nich cień uśmiechu.

– A więc niech tak będzie – rzekł Ewnis.

– Przypieczętuujmy to krwią – warknął prastary przybysz.

Rhin uniosła nóż.

Doprowadź to do końca, powtarzał niczym mantrę Ewnis. Doprowadź to do końca.

Zacisnął mocniej zęby. Lepką od potu ręką złapał nóż, by pośpiesznie przeciąć nim wewnątrz drugiej dłoni, po czym zacisnął ją w pięść. Krew ściekła do kotła, gdzie natychmiast zaczęła się gotować. Ewnis poczuł uderzenie w pierś. Moc, która je zadała,

zdawała się przenikać przez jego ciało. Sapnął i padł na kolana, łapczywie nabierając tchu. W jego głowie eksplodował krzyk, a po całym ciele rozlał się ból. Wrzasnął przeraźliwie.

– Już po wszystkim – rzekł głos.

Fragment zapisków Halvora

Odkryte w 1138 roku Ery Wygnańców w lochach pod zrujnowaną twierdzą Drassil, ponad dwa tysiące lat po ich spisaniu

Świat się rozłamał.

Wojna Bogów zmieniła wszystko. Intrygi Asrotha i gniew Elyona doprowadziły do wielu zniszczeń i ogromnej deprawacji. Po ludziach nie ma już śladu, ulegli zagładzie bądź zbiegli z tych wybrzeży. Nas zaś, Rozdzielonych, została zaledwie garstka. Należymy do jedyne go ocalałego klanu olbrzymów, ale tak skłóconego, iż nie ma siły, która by nas na powrót pogodziła.

Ja, Halvor, Głos Króla, stąпам po tym świecie od tysiąca lat. Wielki Skald już nie żyje, a jego ród rozproszył się. Nie będzie mi dane przeżyć kolejnego tysiąca. Opłakuję przeszłość. Wspominam dawne dzieje i szlocham.

Nadal jestem Głosem, choć nie wiem, kto będzie mnie słuchał. Niemniej, jeśli nie przemówię, jeśli nie zacznę pisać, nie zostanie nic dla tych, którzy nadejdą po nas. Wszystko, do czego doszło, zostanie zapomniane.

Siadam więc i ujmuję pióro...

Żałuję, że nie posłuchaliśmy ludzi, gdy spadł gwiazdny kamień. Powinniśmy byli się od niego odwrócić, ale jego moc śpiewała i wabiła nas, tak jak to zaplanował Asroth.

Asroth był pierwszym stworzonym, ukochanym Elyona, dowódcą Ben-Elim, Zrodzonych z Mocy. Nie wystarczyło mu to jednak. Powodowany zawiścią, rozsiewał niegodziwość i rozpowiadał oszczerstwa wśród Ben-Elim, aż zgromadził wokół siebie zastęp popleczników. Nazwano ich Kadoshim, Odwróconymi. Elyon

widział, co się działo, ale nie potrafił podnieść ręki na swego ukochanego, i tak oto w Zaświecie, gdzie mieszka Duch, rozgorzała wojna między Kadoshim oraz wiernymi Ben-Elim. Asroth został pokonany i za karę zesłany do dalekiej krainy Zaświata, a Elyon wcielił w życie swój plan tworzenia. Zbudował materialny świat, w którym jako pierwsza powstała ziemia. Po niej stworzeni zostali olbrzymy i ludzie, nieśmiertelni strażnicy wszystkiego, co rosło bądź wędrowało. Żyli oni w harmonii ze swym stwórcą i wszystkimi jego dziełami.

Asroth zaś nienawidził nas.

Gwiazdny kamień Asrotha spadł na ziemię, ogromny i przepelniony mocą. Nie wiedzieć jak utworzył związek między światem cielesnym a duchowym, między ziemią a Zaświatem. Ludzie bali się tego przerażającego znaleziska, ale olbrzymy zaczęły wykuwać z niego przedmioty o wielkiej mocy, zwane później Skarbami. Jako pierwszy powstał kocioł, który miał uzdrawiać. Następnie torkwes dla Skalda, króla Olbrzymów oraz naszyjnik dla Nemain, jego królowej.

Asroth wykorzystał gwiazdny kamień, by rozciągnąć swe wpływy na ziemię, by szeptać i deprawować. Wkrótce Skald został zamordowany, a jego torkwes skradziony. Na ziemię zawitała śmierć. Elyon odebrał wówczas wszystkim jej mieszkańcom nieśmiertelność, chcąc ich ostrzec i ukarać, a potem nastąpiło Rozdzielenie.

Wybuchła wojna, w której olbrzym obrócił się przeciwko olbrzymowi, a nasz naród rozpadł się na wiele klanów. Z gwiazdnego kamienia wykuto kolejne Skarby, lecz tym razem były to narzędzia wojny – włócznia, topór i sztylet. Ostatecznie powstał również kielich, o którym mówiono, że obdarza siłą i długim życiem wszystkich, którzy z niego piją.

W miarę, jak wojna obejmowała coraz dalsze tereny, na ziemię padł cień śmierci. Do zmagania dołączyli ludzie, którzy złożyli przysięgę posłuszeństwa klanom olbrzymów w nadziei, że uda im

się przejąć Skarby i odzyskać nieśmiertelność. Rzekami spłynęła krew, a Asroth się radował.

W końcu przebudził się gniew Elyona. Wydał on wyrok na ziemię, który my nazwaliśmy Plagą. Wysłał zastępy Ben-Elim, które wykonywały jego decyzję z pomocą ognia, wody i rozlewu krwi. Morza kipiały, góry strzelały żarem, a ziemia pękała. Elyon niszczył wszystko, co sam stworzył.

Gdy jego wyrok został wymierzony niemalże do końca, Elyon usłyszał głos, który rozbrzmiał echem w Zaświecie. Był to śmiech Asrotha.

Wówczas pojął, z jak okrutnym podstępem przyszło mu się zmierzyć. Zrozumiał, że nieświadomie wpadł w pułapkę, że wszystkie działania Asrotha miały go skłonić do rozpoczęcia dzieła zniszczenia. Przerażony, przerwał wykonywanie wyroku i ocalił resztę mieszkańców ziemi przed zagładą. Jego rozpacz nie miała granic. Odwrócił się wówczas od nas i od wszystkiego, co stworzył, po czym zaszył się w miejscu, gdzie mógł oddawać się żałobie, odcięty od całego świata. Nadal tam przebywa.

Ben-Elim oraz Kadoshim toczą nieprzerwanie swą wieczną wojnę w Zaświecie. Asroth na czele upadłych aniołów wciąż chce nas zniszczyć, a Ben-Elim robią wszystko, by nas ocalić na znak swej nieustającej miłości dla Elyona.

Tu zaś, w świecie materialnym i cielesnym, życie toczy się nadal. Niektórzy próbują odbudować to, co zostało utracone wśród popiołów i zniszczeń. A ja nadal tkwię w Drassil, ongiś wielkim mieście, sercu całego świata. Opłakuję tragedię ziemi, popękanej i zniszczonej jak wszystko inne. Nawet moi pobratymcy odchodzą. Twierdzą, iż Forn stał się zbyt dziki i nazbyt niebezpieczny, a nas jest zbyt mało. Uciekają na północ i porzucają wszystko. Porzucają mnie. Ja jednakże zostanę.

Pogrążam się we śnie, a napływające zewsząd szepty i fragmenty obrazów być może zwiastują to, co ma nadejść. Mówią o powrocie Asrotha, o tym, że wielki krętacz ma wrócić do formy cielesnej,

o ostatniej wielkiej bitwie Ben-Elim oraz o awatarach toczących raz jeszcze Wojnę Bogów.

Pozostanę tu, by dokończyć mą opowieść. Mam bowiem nadzieję, że przyniesie ona jakąś korzyść, że pewnego dnia dostrzegą ją czyjeś oczy i świat pozna prawdę. Przyszłość nie może powtórzyć błędów z przeszłości. Oto moja modlitwa, lecz po co mamy się modlić do boga, który od wszystkiego się odwrócił...

Rozdział pierwszy

CORBAN

Rok 1140 Ery Wygnańców, Księżyc Narodzin

Corban przyglądał się pająkowi, który rozciągał sieć w trawie u jego stóp. Niestrudzenie przebierał odnóżami, tkając nić między niewielkim kamieniem a kępką trawy. Naraz krople rosy zamigotały. Chłopak uniósł głowę i zamrugął, gdy po łące rozlał się blask słońca.

Jak dotąd poranek był szary i pozbawiony barw. Jego matka pograżyła się w rozmowie z przyjaciółką i Corban uznał, że nic nie stoi na przeszkodzie, by ukucnąć i przyjrzeć się pająkowi. Wydawało mu się to o wiele ciekawsze od pary, która szykowała się do wygłoszenia przysięgi ślubnej, nawet jeśli przyszły mąż był spokrewniony z królową Aloną, żoną króla Brenina.

Podniosę się, gdy usłyszę, jak stary Heb zaczyna ceremoniał obwiązywania dłoni, albo gdy mama mnie zauważy, pomyślał Corban.

– Cześć, Ban! – usłyszał za sobą, a jednocześnie coś twardego pacnęło go w ramię.

Kucający na piętach chłopak stracił równowagę i usiadł na mokrej trawie.

– Corban, co ty wyrabiasz!? – wrzasnęła mama. Wyciągnęła rękę i postawiła go szarpnięciem, po czym zaczęła go bezceremonialnie

otrzepywać. Chłopak zdążył zauważyć rozpromienioną twarz za jej plecami. – Ile czasu, zastanawiałam się dziś rano – burczała mama, energicznie czyszcząc mu ubranie. – Ile czasu potrwa, zanim wybrudzisz ten nowy płaszcz? Oto mamy odpowiedź, jeszcze przed wschodem słońca!

– Ale słońce już wzeszło – poprawił mamę Corban i wskazał na horyzont.

– Nie bądź za mądry! – odparła kobieta i klepnęła mocniej w jego płaszcz. – Masz prawie czternaście lat, a wciąż nie możesz przestać tarzać się w błocie? Posłuchaj mnie teraz uważnie. Ceremonia rozpocznie się lada chwila!

– Gwenith – odezwała się przyjaciółka mamy i szepnęła jej coś do ucha. Kobieta puściła Corbana, odwróciła się i zerknęła przez ramię.

– Wielkie dzięki, Dath – mruknął Corban do rozpromienionego kolegi, który podszedł bliżej, człapiąc.

– Zawsze możesz na mnie liczyć! – odparł, ale jego uśmiech znikł, gdy chłopak trącił go pięścią w ramię.

Mama nadal patrzyła za siebie, na Dun Carreg. Starożytna forteca, wzniesiona na potężnej skale, górowała nad zatoką. Nawet tu słyhać było monotony huk fal rozbijających się o nagie klify, gdy tumany piany wodnej buchały wysoko ku poznaczonym dziurami skałom. Z bram fortecy wypadła kolumna jeźdźców i pognęła krętą drogą ku łąkom. Kopyta ich koni dudniły o darń, co przywodziło na myśl grzmot odległych piorunów.

Na czele kolumny jechał Brenin, pan na Dun Carreg i władca całego Ardanu. Jego królewski torkwes oraz kolczuga zapłonęły czerwienią w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Po jednej stronie towarzyszyła mu żona Alona, a po drugiej miał Edanę, ich córkę. Tuż za nimi jechali przybocznicy króla w szarych płaszczach.

Kolumna jeźdźców przejechała wzdłuż tłumu zgromadzonych. Gdy wstrzymali rumaki, spod ich kopyt wystrzeliła darń. Gar,

główny stajenny w Dun Carreg, wraz z tuzinem pomocników przejmowali wierzchowce i prowadzili je ku wielkim zagrodom na łące. Corban dostrzegł w ich liczbie swą siostrę Cywen, której ciemne włosy unosił wiatr. Uśmiechała się jak podczas dnia swego imienia, a on na jej widok również się uśmiechnął.

Brenin i jego królowa podeszli do tłumu. Edana nie odstępowała ich ani o krok. Ostrza włóczni przybocznych migotały niczym płomień w blasku słońca.

Znawca obyczajów Heb uniósł ramiona.

– Fionn ap Torin, Marrocku ben Rhagor, dlaczego przybywacie tu pierwszego dnia Księżyca Narodzin? Dlaczego stajecie przed swymi pobratymcami, przed morzem i ziemią, przed swym królem?

Marrock spojrział na milczący tłum. Corban miał wrażenie, że przez chwilę widzi blizny, które szpeciły jeden z policzków młodzieńca. Była to pamiątka po walce na śmierć i życie z wilkunem z Ciemnego Boru, puszczy ciągnącej się wzdłuż północnej granicy Ardanu. Pan młody uśmiechnął się do kobiety u swego boku, aż na jego pobliznionej skórze pojawiły się zmarszczki, a potem oznajmił donośnym głosem:

– By wyjawić wszystkim to, co od dawna mieszka w naszych sercach! By poprzysiąc sobie wierność i związać się ze sobą!

– A więc wysłuchajmy waszej przysięgi! – krzyknął Heb.

Młodzi ujęli się za ręce, odwrócili się ku zebranych ludziom i czystymi, mocnymi głosami odśpiewali tradycyjne pieśni ślubne. Gdy te dobiegły końca, Heb ujął ich zaciśnięte dłonie. Spośród fałd swej szaty wydobyl kawałek wyszywanego płótna i obwiązał nim dłonie nowożeńców.

– Bądźcie więc mężem i żoną! – zawołał. – Niech Elyon życzliwie na was spogląda.

Dziwne, pomyślał Corban. Ciekawe, czemu nadal modlimy się do Ojca Ojców, skoro nas opuścił.

– Dlaczego modlimy się do Elyona? – zapytał matkę.

– Gdyż znawcy obyczajów utrzymują, że któregoś dnia do nas

powróci, a ci, którzy pozostali mu wierni, zostaną nagrodzeni. A poza tym Ben-Elim być może nas słuchają. Wiesz, nigdy nic nie wiadomo – dodała ciszej i mrugnęła do niego.

W tłumie rozległy się wiwaty, gdy poślubiona para uniosła związane dłonie do góry.

– Zobaczymy, czy wieczorem nadal się będziecie uśmiechać – rzekł Heb, a wśród zebranych dało się słyszeć śmiechy.

Królowa Alona podeszła bliżej i objęła nowożeńców. Po niej zrobił to król Brenin, który grzmotnął przy tym bratanka swej żony w plecy z taką siłą, iż niemalże posłał go w wody zatoki.

Dath trącił Corbana w zębra.

– Chodźmy! – szepnął.

Obaj zagłębili się w tłum, ale Gwenith zauważyła ich w porę.

– A wy dokąd?! – zawołała, zanim znikli.

– Chcieliśmy się tylko rozejrzeć, mamó! – krzyknął Corban.

Wiosenny Festiwal przyciągał kupców ze wszystkich stron świata, przybyło również wielu baronów Brenina, którzy pragnęli być świadkami zaślubin Marrocka. Na łąkach widać było dziesiątki namiotów, zagród dla bydła oraz wytyczonych linami placów przeznaczonych na rozmaite gry i konkursy. Wszędzie kręcili się ludzie, których musiały być setki, o wiele więcej, niż Corban kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Entuzjazm obu chłopaków narastał z dnia na dzień, a nerwowe oczekiwanie sprawiło, że czas wydawał się ciągnąć w nieskończoność. W końcu jednak ów dzień nadszedł.

– W porządku! – odparła Gwenith. – Uważajcie na siebie. – Sięgnęła pod chustę i wcisnęła Corbanowi jakiś przedmiot. To była srebrna moneta. – Bawcie się dobrze – rzekła i objęła dłonią policzek syna. – Wróćcie przed zapadnięciem ciemności. Będę czekać z ojcem, o ile ten będzie w stanie utrzymać się w pionie.

– Pewnie, że będzie – rzekł Corban.

Przecież ojciec miał dziś uczestniczyć w turnieju zapaśniczym. Odkąd chłopak sięgał pamięcią, ojciec zawsze był w tym mistrzem.

Pochylił się i ucałował mamę w policzek.

– Dziękuję! – Wyszczrzył zęby, po czym zawrócił i pędem wtargnął w tłum. Dath deptał mu po piętach.

– Uważaj na swój nowy płaszcz! – zawołała w ślad za nim mama, nie przestając się uśmiechać.

Obaj chłopcy po chwili zmęczeni się biegiem i ruszyli szybkim krokiem wzdłuż plaży, która ciągnęła się za łąkami. Na wybrzeżu tu i ówdzie wygrzewały się na słońcu foki, a nad głowami ludzi krążyły rozkrzyczane mewy, zwabione zapachem jedzenia bijącym znad ognisk i namiotów rozciągniętych na błoniach.

– Srebrna moneta! – zawołał Dath. – Pokaż mi!

Corban otworzył dłoń, którą zaciskał tak mocno, że była teraz wilgotna od potu.

– Mama chyba cię rozpieszcza, co, Ban?

– Wiem – odparł Corban. Czuł się teraz niezręcznie, bo widział, że Dath ma tylko kilka miedziaków. By je zarobić, tyrał przez kilka księżyców na łodzi rybackiej ojca. – Wiesz co? – odezwał się, sięgając do skórzanej sakiewki. – Weź te!

Wyciągnął garść miedziaków, które zarobił w kuźni własnego ojca.

– Nie, dzięki. – Dath skrzywił się. – Jesteś moim przyjacielem, a nie panem.

– Nie chciałem, żeby to tak wyszło, Dath. Po prostu przyszło mi do głowy... No wiesz, mam sporo pieniędzy, a przyjaciele się dzielą, prawda?

Zmarszczka na czole Datha wygładziła się po chwili.

– Wiem, Ban – burknął chłopak i odwrócił głowę. Patrzył na łodzie, unoszące się i opadające na falach w zatoce. – Żałuję tylko, że mojej mamy nie ma już na tym świecie. Też bym chciał, żeby ktoś mnie rozpieszczał.

Corban skrzywił się lekko, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Cisza przeciągała się.

– Może tata ma więcej forsy dla ciebie – odezwał się w końcu,

głównie po to, by przerwać milczenie.

– Coś ty – parsknął Dath. – I tak byłem zaskoczony, że dostałem aż tyle. On większość swych zarobków zostawia w karczmie. Chodź, poszukamy czegoś, na co warto je wydać.

Słońce wisiało już nad horyzontem i zalewało zatokę ciepłym blaskiem, przepędzając resztki chłodu, które pozostawił świt. Chłopcy przedzierali się przez tłum oraz między namiotami kupców.

– Nie wiedziałem, że we wsi i w Dun Carreg jest aż tylu ludzi! – stęknął Dath, gdy ktoś go potrącił.

– Niektórzy z nich pokonali o wiele dłuższą drogę, by tu przybyć, Dath – mruknął Corban. – Naprawdę myślisz, że wszyscy są ze wsi i z fortecy?

Przez moment włączyli się tu i tam, ciesząc się słońcem i atmosferą dnia świątecznego, aż dotarli na środek łąki, gdzie mężczyźni zaczynali się gromadzić wokół placyków ogrodzonych linami. Największą uwagę przyciągał ten, na którym mieli walczyć szermierze.

– Może poszukamy sobie jakiegoś dobrego miejsca? – spytał Corban.

– Daj spokój, jeszcze długo nic się tu nie będzie działo – odparł Dath. – Poza tym wszyscy wiedzą, że i tak wygra Tull.

– Tak myślisz?

– Pewnie. – Dath pociągnął nosem. – Przecież nie został pierwszym mieczem króla za piękne oczy. Słyszałem, że kiedyś jednym ciosem rozciął człowieka na pół.

– Też o tym słyszałem – rzekł Corban. – Ale nie jest już taki młody. Ludzie mówią, że staje się wolniejszy.

– Może. – Dath wzruszył ramionami. – Wrócimy tu później i przekonamy się, ile potrzebuje czasu, by rozwalić komuś łeb, ale może nie od razu, co? Niech zawody się rozkręcą.

– W porządku – odparł Corban. Pacnął przyjaciela w głowę i rzucił się do ucieczki, a ten wrzasnął i pognał za nim.

Corban biegł, wymijając ludzi. Gdy zerknął przez ramię, by sprawdzić, gdzie jest Dath, potknął się, stracił równowagę i runął prosto na wielką, rozciągniętą na ziemi skórę. Ułożono na niej dziesiątki torkwesów, kościanych grzebieni, obręczy na ramię, broszy i innych przedmiotów. Podnosząc się, chłopak usłyszał głuchy pomruk. Goniący go Dath wyhamował.

Corban spojrzał na rozrzucony towar, a potem zaczął go zbierać, ale tak się przy tym śpieszył, że wszystko leciało mu z rąk.

– Spokojnie, chłopcze. Nie śpiesz się, po prostu pracuj szybciej!

Corban uniósł głowę i ujrzał wysokiego, zylastego mężczyznę, który wpatrywał się w niego. Miał długie, ciemne włosy, ciasno związane z tyłu. Za jego plecami wznosił się otwarty namiot, a w wejściu uwagę przyciągał wielki asortyment rozmaitych przedmiotów – wyprawionych skór, mieczy, sztyletów, rogów, dzbanów, kufla i uprzęży, które leżały na stołach i skórach lub zwisały z tyczek namiotu.

– Mnie się nie bój, bo nic mi się nie stało – rzekł kupiec, zbierając rozrzucone towary. – Gorzej, niestety, jest z Talarem.

Wskazał ogromnego ogara, który poderwał się za plecami Corbana. Jego sierść pocięta była szarymi pręgami. Pies znów warknął głucho.

– Talar, widzisz, nie lubi, gdy ktoś po nim depcze lub się o niego przewraca. Może domagać się rekompensaty.

– Rekompensaty?

– Otóż to. Krwi, mięsa, kości, różnych rzeczy. Może zadowolili go, dajmy na to, twoje ramię?

Corban przełknął ślinę, a kupiec roześmiał się i pochylił, kładąc dłoń na kolanie. Dath zachichotał za plecami przyjaciela.

– Mam na imię Ventos – rzekł mężczyzna, gdy opanował wesołość. – A oto mój wierny, choć czasami humorzasty przyjaciel Talar.

Pstryknął palcami, a ogar, człapiąc, podszedł do niego i trącił pyskiem jego dłoń.

– Nie bójcie się. Zjadł coś dziś rano, więc jesteście obaj bezpieczni.

– Ja mam na imię Dath! – wypalił syn rybaka. – A to jest Ban. Corban, znaczy się. Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkiego psa – ciągnął, zapominając o oddychaniu. – Twój tata chyba też, co, Ban?

Corban pokiwał głową, wpatrzony w bestię u boku handlarza, przywodzącą na myśl górę futra. Wychowywał się z psami i był przyzwyczajony do ich towarzystwa, ale zwierzę stojące przed nim było znacznie większe od innych. Pies, widząc, że chłopak nadal mu się przygląda, warknął nisko i głucho.

– Wyglądasz na przejętego, chłopcze. Niepotrzebnie się martwisz.

– On chyba mnie nie lubi – odparł Corban. – Nie wydaje się zadowolony.

– Gdybyś go słyszał w chwilach, gdy naprawdę nie jest z czegoś zadowolony, od razu pojąłbyś różnicę. Ja słyszałem to niejednokrotnie podczas wędrówek między Helvethem a Dun Carreg.

– Helveth? – spytał Dath. – Czy to nie stamtąd pochodzi Gar, Ban?

– Tak – mruknął Corban.

– A kim jest Gar? – spytał handlarz.

– Przyjacielem moich rodziców – odparł Corban.

– A więc również przebył długą drogę – stwierdził Ventos. – Skąd konkretnie pochodzi?

– Nie wiem. – Corban wzruszył ramionami.

– Każdy człowiek powinien wiedzieć, skąd pochodzi – rzekł kupiec. – Wszyscy potrzebujemy korzeni.

– Uhm... – burknął Corban. Z reguły zadawał mnóstwo pytań, zdaniem matki o wiele za dużo, ale nie lubił być tak wypytywany.

Naraz padł na niego cień, a mocna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

– Witaj, Ban – odezwał się Gar, główny stajenny.

– Właśnie o tobie rozmawialiśmy – rzekł Dath. – O tym, skąd pochodzisz.

– Co takiego? – Gar zmarszczył brwi.

– Ten człowiek jest z Helvethu! – Corban wskazał Ventosa.

Gar zamrugał.

– Nazywam się Ventos – rzekł kupiec. – W której części Helvethu przyszedłeś na świat?

Gar rozejrzał się po towarach rozwieszonych w namiocie.

– Szukam siodła i uprzęży dla klaczy o szerokim zadzie – powiedział, ignorując pytanie.

– Pewno, znajdę coś dla ciebie – odparł Ventos. – Mam uprzęże, które kupiłem od Siraków. Nie mają sobie równych.

– Chciałbym rzucić na nie okiem – rzekł Gar i udał się w ślad za Ventosem w głąb namiotu, utykając lekko jak zwykle, a chłopcy natychmiast zaczęli myszkować wśród towarów handlarza. Corban szybko znalazł mnóstwo ciekawych rzeczy – szeroką, nabijaną żelaznymi ćwiekami obrożę dla Buddaia, ogara ojca, cynową broszę z galopującym koniem dla swej siostry, srebrną szpilę z czerwonym, emaliowanym koralikiem dla mamy oraz dwa zwykłe, niewyszukane drewniane miecze dla siebie i Datha. Jego przyjaciel wybrał zaś dwa gliniane kufle, zdobione falami wykonanymi z błękitnego koralu.

Corban uniósł brew.

– W ten oto sposób przyniosę ojcu coś, z czego będzie mógł zrobić użytek – wyjaśnił Dath.

– A po co ci dwa? – spytał Corban.

– Skoro nie możesz pokonać wroga – odparł błyskotliwie chłopak i mrugnął – połącz z nim siły.

– Nie bierzesz kufła dla Bethan? – spytał Corban.

– Moja siostra nie lubi alkoholu – rzekł Dath.

W tej samej chwili Gar wyszedł z namiotu z siodłem i rzemieniami na plecach. Złote sprzączki pobrzękiwały z każdym

jego krokiem. Burknął na Corbana i wmieszał się w tłum.

– Wygląda na to, że sporo dla siebie wybraliście – rzekł handlarz.

– Czemu te drewniane miecze są takie ciężkie? – spytał Dath.

– Bo to miecze treningowe, a więc wydrążono je i wypełniono ołowiem. Nie dość, że ramię dzierżące miecz staje się dzięki temu silniejsze, to jeszcze szybciej przyzwyczajasz się do ciężaru prawdziwego miecza. Co więcej, taka broń nie wyrządzi ci krzywdy, gdy się poślizgniesz.

– Ile kosztuje to wszystko? – spytał Corban.

– Dwie i pół srebrnej monety. – Kupiec gwizdnął.

– Wystarczyłoby, gdybyśmy zrezygnowali z mieczy? – Corban pokazał kupcowi srebrną monetę i trzy miedziaki.

– Dorzucę jeszcze dwa miedziaki. – Dath szybko zaoferował swoje oszczędności.

– Umowa stoi – oznajmił handlarz.

Corban wręczył mu pieniądze, a potem włożył zakupione przedmioty do torby, w której Dath trzymał niewielki bukłak oraz piętękę suchego sera.

– Może zobaczymy się wieczorem podczas uczyty – rzekł na pożegnanie kupiec.

– Na pewno tam będziemy – odparł Corban.

Już mieli wmieszać się na powrót w tłum, gdy Ventos zawołał w ślad za nimi i rzucił im treningowe miecze. Corban instynktownie złapał jeden z nich. Dath, który nie był aż tak zręczny, pisnął z bólu. Mężczyzna przytknął zaś palec do ust i mrugnął. Corban uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi.

Porządny miecz ćwiczebny, a nie byle kij z ogródka! Toż to prawie prawdziwy miecz, pomyślał, nawet nie próbując powstrzymać dreszczyku ekscytacji.

Przez chwilę włóczyli się bez celu. Corban nie mógł się nadziwić tłumom, jakie zjechały na uroczystość, a jego uwagę przyciągały coraz to kolejne, coraz to głośniejsze atrakcje: gawędziarze,

teatryki kukielkowe, połykacze ognia, zonglerzy mieczami i wiele, wiele innych. Przeciskał się przez gęstniejącą cizbę, a Dath brnął w ślad za nim. Widzieli piszcącego prosiaka, który uwolnił się z klatki i rzucił do ucieczki, oraz grupę ścigających go dorosłych, którzy potykali się i przewracali, gdy zwierzątko uskakiwało to w jedną, to w drugą stronę. Parsknęli śmiechem, gdy wysoki, chudy wojownik z załogi fortecy wreszcie przygniótł zwierzaka własnym ciałem i podniósł go, piszcącego przeraźliwie, nad głowę. Ludzie śmiali się i wiwatowali, gdy wojak w nagrodę za swe wysiłki otrzymał bukłak z miodem.

Corban poprowadził kolegę ku otoczonemu linami placykowi, gdzie niebawem miały się zacząć zawody szermiercze. Wokół zaimprovizowanej areny zebrał się już gęsty tłum, przyglądający się występowi Tulla, pierwszego miecza króla.

Chłopcy wspięli się na głaz za plecami zgromadzonych, by lepiej widzieć walki, i tam uraczyli się serem Datha. Wspólnie przyglądali się, jak rozebrany do pasa Tull, którego potężne mięśnie przypominały korzenie starego dębu, bez wysiłku obala przeciwnika na ziemię. Czempion zaśmiał się i rozłożył ramiona, a jego przeciwnik zerwał się i znów rzucił do walki. Rozległy się suche trzaski, gdy napastnik Tulla zasypał go gradem ciosów i zmusił do cofnięcia się.

– Widzisz? – oznajmił Corban, plując kawałkami sera, i szturchnął przyjaciela łokciem. – Jest w niezłych tarapatkach!

Wtedy Tull uskoczył w bok z rączością przeczącą jego ogromnym rozmiarom i chlasnął przeciwnika po wewnętrznej stronie kolan. Ten padł twarzą na wilgotną, zdeptaną ziemię, a królewski czempion oparł stopę na jego plecach i uniósł pięść w powietrze. Widzowie klaskali i wiwatowali, a pokonany wił się w błocie, przytrzymywany ciężkim butem Tulla.

Po chwili starszy wojownik cofnął się i podał pokonanemu dłoń. Przeciwnik odtrącił ją i spróbował sam się dźwignąć, ale poślizgnął się w błocie i znów padł.

Tull wzruszył ramionami, uśmiechnął się i ruszył ku linom. Pokonany wbił wzrok w jego odsłonięte plecy, po czym niespodziewanie zerwał się i runął na starego weterana. Ktoś jednakże musiał ostrzec Tulla, gdyż ten odwrócił się i zablokował cios wyprowadzony zza głowy, który niechybnie strzaskałby mu czaszkę, a potem rozstawił nogi i pochylił się, chcąc wykorzystać pęd napastnika. Rozległ się chrzęst, gdy twarz atakującego uderzyła w czoło Tulla. Z nosa napastnika buchnęła krew. W tej samej chwili królewski czempion grzmotnął go kolanem w żołądek. Atakujący osunął się na ziemię.

Tull stał nad nim przez moment, wpatrując się weń z rozchyłonymi nozdrzami, a potem przecesał dłonią długie, siwiejące włosy i starł z twarzy krew. Tłum eksplodował owacjami.

– On jest tu nowy – rzekł Corban, pokazując nieprzytomnego wojownika leżącego w błocie. – Widziałem, jak przyjechał kilka nocy temu.

– Kiepski początek, co? – Dath zachichotał.

– Powinien się cieszyć, że te miecze zrobiono z drewna. Są tacy, którzy rzucili wyzwanie Tullowi i już się nie podnieśli.

– Ten też przez jakiś czas jeszcze nie wstanie. – Dath machnął dłonią w kierunku wojownika leżącego w błocie.

– Wstanie, wstanie.

Dath zerknął na Corbana i niespodziewanie rzucił się na niego, strącając go z kamienia, na którym siedzieli. Porwał swój miecz ćwiczebny i stanął nad chłopakiem, naśladując scenę, którą właśnie widzieli. Corban odtoczył się na bok, powstał i powoli okrążył Datha, aż sięgnął po własną broń.

– A więc chcesz wyzwąć potężnego Tulla? – odezwał się Dath i wycelował mieczem w przyjaciela.

Ten parsknął śmiechem i rzucił się na towarzysza, wymierzając mu nieskładny cios. Przez chwilę okładali się z zapalem, przerywając tylko po to, by obrzucić się wyzwiskami. Przechodnie uśmiechali się, widząc ich zmagania.

Po szczególnie zacieklej wymianie ciosów Dath wylądował na plecach, a miecz przyjaciela zastygł nad jego klatką piersiową.

– Podda... jesz... się? – wysapał Corban, z trudem łapiąc oddech.

– Nigdy! – wrzasnął chłopak i kopnął Corbana w kostkę, przewracając go na ziemię.

Leżeli przez chwilę nieruchomo i wpatrywali się w czyste, błękitne niebo, zbyt wyczerpani walką i śmiechem, by się podnieść, gdy niespodziewanie ich uszu dobiegł głos:

– Proszę, proszę. A co my tu mamy? Dwa wieprzki, które gżą się w błocie?

Rozdział drugi

VERADIS

Veradis zmienił pozycję w siodle, próbując ulżyć obolałym mięśniom. Szczycił się tym, że jest dobrym jeźdźcem, i wciąż z uśmiechem wspominał szesnasty dzień swego imienia oraz sprawdzian wojownika, po którym stał się mężczyzną. Przystąpił do niego na oczach ojca oraz całej jego drużyny i wypadł niemalże idealnie. Owa chwila podsumowała wszystkie dni wytężonych ćwiczeń i młodzieńczych szaleństw. Choć upłynęły od niej już ponad dwa lata, nadal pamiętał każdy szczegół. Pamiętał, jak nadeszła jego kolej i jak cmoknięciami skłonił swego szarego ogiera do kłusu, pamiętał, jak biegł przy nim z tarczą w lewej ręce, pamiętał łoskot kopyt, który zlewał się z biciem jego serca. Czas niemalże się zatrzymał, gdy złapał końską grzywę i płynnie wskoczył w siodło. Łzy spływały mu po twarzy, a serce rozrywało uniesienie. Z oddali dobiegały ryki drużyny ojca i trzask włóczni objających się o tarcze, nawet jego ojciec, Lamar, baron Ripy, zerwał się na równe nogi i okrzykami dodawał mu otuchy.

Młodzieniec pochylił się i podrapał po kolanie, gdzie do jego ciała przylegały wytarte paski skóry kiltu. Nieświadomie poklepał kark szarego konia, którego otrzymał w darze od swojego brata Krelisa po Długiej Nocy. Potem skrzywił się i raz jeszcze zmienił pozycję. Dwanaście nocy w siodle każdemu dałoby się we znaki, bez względu na umiejętności i doświadczenie jeździeckie.

– Pupkę sobie otarłeś, braciszku? – rozległ się głos za nim.

– Tak. Trochę.

Krelis popędził konia i po chwili jechali strzemię w strzemię.

– Przyzwyczaisz się – powiedział, a jego czarną brodę przeciął uśmiech. – Ponadto jestem gotów się założyć, że twoje męki to nic w porównaniu z tym, co przechodzi on. – Machnął kciukiem ponad ramieniem. – Jedyńm, co się kiedyś poruszało pod jego stopami, był pokład okrętu – dodał.

Veradis odwrócił się w siodle, by spojrzeć na więźnia, którego eskortowali do Jerolin. Żelazne pierścienie w jego brodzie pobrzękiwały cicho w rytmie stukotu kopyt. Jeniec patrzył przed siebie, a jego błękitne oczy wydawały się okruchami lodu w zmęczonej, znużonej twarzy. Pokrywała ją siateczka blizn, ale uwagę przyciągał nos mężczyzny, a raczej to, co z niego zostało – brakowało mu końcówki. Choć ręce miał związane za plecami, otaczało go pół tuzina wojowników z drużyny Krelisa.

– Nadal wierzysz w to, że on powie cokolwiek królowi? – spytał Veradis.

Jego brat wzruszył ramionami.

– Tak przynajmniej twierdzą ojciec oraz nasz czcigodny brat, choć on nie czuł się na siłach, by odbyć tę podróż.

– Ektor nigdy nie czuje się na siłach.

– Otóż to, braciszku. – Krelis znów się uśmiechnął. – Chorowity z niego człowiek, ale umysł ma bystry, jak zawsze przypomina mi ojciec. Kiedyś, gdy obejmę godność barona Ripy, stanie się moim doradcą.

Veradis spojrział na starszego brata, który górował nad nim z siodła wielkiego, czarnego rumaka bojowego.

Będiesz dobrym władcą, pomyślał.

Krelis, pierworodny syn Lamara, zawsze był pełen energii i ambicji, a ludźmi dowodził z wrodzoną, nieświadomą swobodą.

– Ty zaś – ciągnął Krelis z krzywym uśmiechem – bez wątpienia staniesz się moim wojewodą. Cóż, gdybyś był odrobinę wyższy

i szerszy, być może sam bym się ciebie wystraszył.

Klepnął Veradisa przez łopatki, czym niemalże strącił go z siodła. Młodszy z braci uśmiechnął się.

– Człowiek nie musi być wielki jak góra, by móc chwycić za miecz, wiesz? – powiedział.

– Chyba nie masz na myśli tego rożna, który nosisz u boku? – zaśmiał się Krelis. – Tak czy owak, do kwestii wojewody Ripy wrócimy kiedy indziej. Najpierw przekonajmy się, co nasz król Aquilus sądzi na twój temat i w co cię zmieni.

* * *

Veradis znalazł się w wielkiej sali w zamku Jerolin. Ogromne kolumny z czarnego kamienia wznosiły się i nikły wśród ciemności sklepionego sufitu. Po ścianach spływały okazałe gobeliny, a przez wąskie okienka wnikał do środka blask słońca. Wzdłuż obu ścian bocznych ciągnęły się szeregi wojowników ubranych w błyszczące hełmy z zakrzywionymi nosalami, które upodabniały ich do ptaków drapieżnych. Na ich czarnych, skórzanych napierśnikach wygrawerowano srebrne orły, nawet paski ich kiltów lśniły, wypolerowane do połysku. Trzymali długie włócznie, a u boku mieli miecze.

Zawahał się na moment, a wtedy wojownik idący za nim nastąpił mu na piętę. Otrząsnął się i przyśpieszył, by zrównać się z Krelisem, który zmierzał ku przeciwległemu końcowi sali. Okute żelazem sandały wystukiwały pośpieszny rytm na kamiennej podłodze. Tu i ówdzie widać było grupki ludzi czekających na pojawienie się króla – baronów, którzy zapewne życzyli sobie rozstrzygnięcia sporów granicznych, a także chłopów i innych, spodziewających się po królu sprawiedliwego wyroku.

Wszyscy schodzili z drogi Krelisowi oraz prowadzącemu ich wojownikowi.

Armatus. Tak zwracał się do niego Krelis. Był to posiwiasty mężczyzna o potężnych barkach, którego skóra przypominała korę starożytnego drzewa. Był zbrojnym mistrzem w Jerolin, pierwszym mieczem króla Aquilusa i szermierzem, którego sława niosła się daleko.

Za plecami Veradisa podążał pododdział orlej straży władcy, który prowadził więźnia z Vin Thalun. Razem pośpiesznie przemierzali salę i dotarli do otwartego portalu, za którym znajdowały się spiralne schody. Armatus bez wahania poprowadził ich w dół po szerokich, kamiennych stopniach, aż doszli do wąskiego korytarza, który zawiódł ich do sporego pomieszczenia. Nie było tam mebli ani też okien, a jedynym źródłem światła okazały się migotliwe pochodnie. Z pierścieni, zatopionych w kamiennych ścianach, zwisały zardzewiałe łańcuchy oraz kajdany.

Po przeciwnej stronie znajdowały się trzy osoby. Dwie z nich – mężczyzna i kobieta – stały w blasku pochodni, a za nimi kryła się trzecia postać, ledwie widoczna wśród cieni.

Aquilus i Fidele, król i królowa Tenebralu. Veradis widział ich jakieś sześć lat temu, gdy po raz ostatni odwiedzili Ripę, by wziąć udział w radzie baronów, ale nie pamiętał ich dobrze. Fidele, blada kobieta o niemalże perfekcyjnej urodzie, wyglądała mniej więcej tak samo jak wówczas, lecz Aquilus sprawiał wrażenie starszego. Wokół jego oczu i ust pojawiło się więcej zmarszczek, a krótko przycięte włosy oraz zarost srebrzyły się bardziej niż kiedyś.

– Jesteś, Krelisie. – Aquilus powitał wojownika skinieniem. – Gdzie jest ten człowiek?

Krelis został postawiony przed majestatem króla i królowej natychmiast po przybyciu do fortecy z czarnego kamienia. Veradis i reszta drużyny pozostali na straży więźnia, ale nie trwało to długo, gdyż Krelis powrócił niemalże natychmiast z rozkazem bezzwłocznego przyprowadzenia jeńca przed królewskie oblicze.

– Oto i on, panie – rzekł teraz i usunął się na bok, by orla straż

mogła popchnąć więźnia przed oblicze władcy.

Mężczyzna stanął przed królem z opuszczoną głową i rękami zakutymi w kajdany. W migotliwym blasku pochodni jego liczne blizny wojenne mieniły się niczym ciemne tatuaże. Jeden ze strażników pochwycił leżący na podłodze łańcuch i przypiął go do kajdan jeńca.

– Nie widziałem nikogo z twoich od ponad roku – rzekł król. – Jak do tego doszło, że rabuś z Vin Thalun znalazł się w moim królestwie? W mojej twierdzy?

– Należał do załogi pirackiej galery, mój panie. Szukali łupu. Spalili przynajmniej dwie wsie na wybrzeżu, ale podплыnęli za blisko Ripy...

Aquilus pokiwał głową. Pograżony w zadumie, spoglądał na więźnia, który nadal stał z opuszczoną głową i wpatrywał się w tkwiący w podłodze żelazny pierścień, do którego go przykuto.

– Powiedziano mi, że masz dla mnie informacje. To prawda?

Mężczyzna wciąż nie odpowiadał, stojąc w całkowitym bezruchu, aż w końcu Krelis parsknął, wychylił się, złapał go za włosy i szarpnął, unosząc jego głowę. Więzień odsłonił z furią zęby, a jego oczy roz błysły. Żelazne pierścienie wplecione w warkoczyki w jego brodzie brzęknęły, uderzając jeden o drugi. Było ich tyle, ilu ludzi zgładził.

– Zaczniemy więc od czegoś łatwiejszego – rzekł Aquilus. – Jak masz na imię?

– Deinon – mruknął Vin Thalun.

– Gdzie zdobyłeś tyle blizn, Deinonie?

– W Jamach. – Wojownik wzruszył ramionami.

– W jakich znowu Jamach?

– W tych, w których się walczy. Na każdej wyspie jest taka – odparł Deinon i zerknął na blizny na swoich ramionach. – Choć to było naprawdę dawno temu – dorzucił lekceważąco.

Veradis zadrżał. Podczas swoich najazdów Vin Thalun nie tylko grabili bogactwa i zabierali jedzenie, ale również łapali

niewolników. Słyszał opowieści o chłopcach i mężczyznach, przymuszanych do walki dla przyjemności Vin Thalun. Tylko najdzielniejsi i najwaleczniejsi z nich mieli szanse wyrwać się z Jam i zasłużyć sobie na miejsce na ławie wioślarskiej na okręcie Vin Thalun. Ten mężczyzna musiał wybijać się ponad przeciętność, skoro został wojownikiem.

– Czy to, co mówi Krelis, jest prawdą? Czy naprawdę należałeś do załogi pirackiej galery, która plądrowała moje wybrzeża?

– Tak.

– Rozumiem. Ale zapuściliście się zbyt blisko Ripy i Krelis was dopadł. A teraz jesteś tu.

– Ano – burknął pirat.

– Zdajesz sobie sprawę, że karą za to, czym się parałeś, jest śmierć, ale twierdzisz, że dysponujesz informacjami, które mogłyby mnie zainteresować.

– Ano – mruknął jeniec.

– No i?

– Powiem ci wszystko, jeśli obiecasz, że puścisz mnie wolno. Tak mnie zapewniano. – Vin Thalun wskazał przy tych słowach Krelisa.

– To zależy od tego, co masz do powiedzenia. I oczywiście pod warunkiem, że będzie to prawda.

Jeniec pochylił głowę i oblizał usta.

– Lykos ma niebawem spotkanie. Tu, w Tenebralu.

– Lykos – powtórzył Aquilus, marszcząc brwi.

Dawno temu, gdy Veradis był jeszcze dzieckiem, Vin Thalun nie tylko bez litości nękali brzegi Tenebralu, lecz także zapuszczali się daleko w głąb krainy, żeglując po rzekach, które przecinały ją niczym arterie. Uderzali w samo serce kraju, rabowali i palili, aż przypuścili zmasowany atak na samo Jerolin, odparty z ogromnymi stratami po obu stronach. Potem niespodziewanie wszystko przycichło. Wojownicy Vin Thalun zaprzestali wypraw w głąb lądu, a nawet ich napaście na osady portowe stały się rzadsze.

Jednocześnie pojawiły się pogłoski o młodym przywódcy o imieniu Lykos, który zdobywał sobie coraz większą popularność. Rok po roku zyskiwał na znaczeniu, aż podporządkował sobie trzy wyspy – Panos, Nerin oraz Pelset – pokonawszy opór ich władców. Po raz pierwszy w historii Vin Thalun zostali zjednoczeni, a ostatnią wielką bitwą morską stoczyli między sobą niecały rok temu. Od tego momentu ich ataki znów zaczęły przybierać na sile, choć napadali głównie miejscowości na wybrzeżu.

– Opowiedz mi o Lykosie – powiedział Aquilus.

– To nasz król. – Pirat wzruszył ramionami. – I wielki człowiek.

– A w tej chwili jest przywódcą wszystkich Vin Thalun? – naciskał Aquilus.

– Jest naszym królem, a to więcej niż przywódca. O wiele więcej. Aquilus zmarszczył brwi i zacisnął mocno usta.

– A dlaczego planuje zejść na moje ziemie?

– By spotkać się z jednym z twoich baronów. Nie znam jego imienia, ale wiem, że do spotkania ma dojść na południe stąd, blisko Navus.

Zewsząd rozległy się westchnienia niedowierzania i zaskoczenia.

– A skąd to wiesz? – warknął Aquilus.

W odpowiedzi Deinon wzruszył ramionami.

– Słyszę czasem to i owo. Mój brat jest jednym z tarczowników Lykosa i zdarza mu się kłapać jęzorem po wypiciu dzbana wina.

– Kiedy ma dojść do spotkania?

– Wkrótce. Podczas ostatniej nocy Wilczego Księżyca. Jeśli macie mapę, mogę wam wskazać dokładnie, gdzie do niego dojdzie.

Aquilus przez dłuższą chwilę wpatrywał się w więźnia.

– A właściwie czemu niby miałbym zaufać piratowi, który odwraca się od własnych braci?

– Lojalność przestaje mieć aż tak duże znaczenie, gdy trzeba wyruszyć w dalszą drogę po moście mieczy – mruknął jeniec.

– Cóż, być może – rzekł cicho Aquilus. – Pamiętaj jednak, że jeśli mnie okłamałeś, opóźniłeś jedynie chwilę, w której wyruszysz

w swą podróż. Twoja głowa wkrótce potoczy się po ziemi.

– Wiem – mruknął Deinon.

– Trzeba wysłać zbrojny oddział, ojczy!

Głos dobiegł z cieni za plecami Aquilusa i Fidele, a potem w krąg światła wkroczyła kolejna postać, młody mężczyzna, niewiele starszy od Veradisa. Był wysoki, skórę miał zbrązowiałą od słońca, a jego przystojną twarz okalała grzywa ciemnych loków. Veradis widział go już kiedyś. To był Nathair, książę Tenebralu.

– Tak, wiem – mruknął Aquilus.

– Postaw mnie na jego czele! – domagał się książę.

– Nie – warknęła ostro Fidele i podeszła o krok do syna. – Nie znamy rozmiarów ryzyka – dodała ciszej i łagodniej, ale Nathair skrzywił się i odsunął.

– Wyślij mnie! – powtórzył.

– Może tak zrobię – mruknął król.

– Przecież nie możesz dopuścić do tego spotkania! – naciskał Nathair. – Peritus gnębi olbrzymy w Górach Agullas, tymczasem ostatnia noc Wilczego Księżyca wypada za dziesięć dni. Nawet jeśli wyruszę jutro, będę miał sporo szczęścia, docierając do Navus na czas. – Zerknął na matkę, która zmarszczyła brwi. – Nie sądzę, by ów Lykos podążał na czele wielkiego hufca. Przecież zmierza na sekretne spotkanie w kraju wrogów!

Aquilus z chrzęstem potarł zarośnięty policzek.

– Może – rzekł z większą wiarą, choć zerknął przy tym na żonę. – Przemyślę to i podejmę decyzję później. Najpierw jednak poślę po kogoś, kto przepyta naszego gościa nieco sumiennie.

Zerknął na Armatusa, swój pierwszy miecz. Posiwiwały wojownik skinął głową i wyszedł.

– Ja nie kłamię! – W głosie więźnia pojawiła się nuta paniki.

– Wkrótce się co do tego przekonamy. Krelis, jestem zobowiązany tobie i twemu ojcu.

– Jesteśmy radzi, mogąc ci służyć, panie! – Wojownik pochylił głowę. – Nie możemy zagwarantować, że słowa naszego więźnia są

prawdziwe, ale uznaliśmy, że nie możemy ich zignorować.

– I słusznie. Każę przygotować komnaty dla ciebie i twoich ludzi. Założę się, że nie oszczędzaliście po drodze koni.

– To prawda, panie – rzekł Krelis. – Niemniej ojciec prosił, bym wrócił natychmiast po wypełnieniu zadania.

– Wszyscy powinniśmy być posłuszni woli naszych ojców. – Aquilus skinął głową. – Przekaż Lamarowi podziękowania. Skoro nie zostajecie, dopilnuję, by nie zabrakło wam żywności w drodze powrotnej.

– Jest jeszcze jedna sprawa – rzekł Krelis i spojrzał na Veradisa. – Prośba właściwie.

– Mów, proszę, a przekonamy się, czy jestem w stanie ją spełnić.

– Ojciec prosi, byście na jakiś czas przyjęli mego młodszego brata Veradisa do swego hufca. By go przyuczyć, tak jak uczyliście mnie.

Po raz pierwszy Aquilus przyjrzał się uważniej Veradisowi, który uklonił się władcy nisko, acz nieco niezgrabnie.

– Oczywiście – rzekł król z uśmiechem. – Ty raczej dobrze wykorzystasteś ten czas. Być może nie powinien to być jednak *mój* hufiec. Peritus wszak wyjechał, a o ile pamięć mnie nie myli, nie raz musiał wyciągać cię z kłopotów.

Krelis wyszczerzył zęby.

– Mój syn zbiera własnych wojowników – ciągnął król. – Potrzeba ci dobrych ludzi, nieprawdaż, Nathairze?

– Tak, ojcze.

– A więc sprawa zamknięta – rzekł Aquilus. – I dobrze. Witaj, Veradisie ben Lamar, pod moim dachem. Jesteś teraz człowiekiem księcia.

– Miło mi cię poznać. – Nathair podszedł bliżej i pochwycił Veradisa za ramię.

Młodzieniec poczuł na sobie spojrzenie inteligentnych, jasnych oczu i odniósł wrażenie, że zostaje poddany testowi.

– To zaszczyt jeździć pod twoim znakiem, mój panie – rzekł i pochylił głowę.

– I to wielki. – Nathair uśmiechnął się szeroko. – Ale zapomnij o „mój panie” i innych dworskich gadkach. Skoro masz walczyć obok mnie oraz dla mnie i ryzykować za mnie własnym życiem, zwracaj się do mnie po imieniu. A teraz idź i zmyj z siebie podróżny pył. Poślę później po ciebie i pogadamy przy wieczerzy.

Krelis i Veradis raz jeszcze pokłonili się parze królewskiej i wyszli z przepełnionego wilgocią pomieszczenia.

* * *

– Bywaj więc, braciszku – rzekł Krelis i przygarnął Veradisa, by uścisnąć go mocno. Ten krzywił się, póki brat go nie puścił.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego muszę tu być – powiedział, gdy Krelis wspiął się na siodło.

– Oczywiście, że rozumiesz. Ojciec chce, byś nauczył się dowodzić.

– Wiem, ale czy nie mógłbym tego zrobić w Ripie?

– Nie – rzekł Krelis, a jego uśmiech przygasł. – Tutaj nie będziesz traktowany jak syn barona, co prędzej czy później obróci się na twoją korzyść. Sam zobaczysz.

– Gdzie tam – mruknął Veradis. – Ojciec po prostu chce się mnie pozbyć.

– Pewnie tak! – Krelis wyszczerzył zęby. – Ja na jego miejscu też bym sobie tego życzył. Nie winisz go chyba?

Veradis zrobił skrzywioną minę i musnął stopą kamienną płytę, którymi wyłożono dziedziniec.

– Daj spokój. – Krelis zmarszczył czarne, krzaczaste brwi, które zbiegły się razem, a potem pochylił się w siodle i dodał ciszej: – To dobra szkoła życia. Staniesz się lepszym człowiekiem. – Wyprostował się i rozrzucił ramiona. – Patrz, co się tu ze mną stało!

– Myślisz, że ci uwierzę? – burknął Veradis, ale nie był w stanie

opanować uśmiechu, którzy czaił się już w kącikach ust.

– No, od razu lepiej. – Krelis się rozpromienił.

Jego wojownicy wspinali się już na konie. Było wczesne popołudnie i słońce nadal wisiało wysoko na niebie. W stajniach uwijały się dziesiątki ludzi. Rumak Krelisa tańczył niespokojnie.

– Chętnie zostałbym dłużej i przekonał się, do jakiego hufca dołączasz, ale muszę wracać do ojca, Droga do domu zabierze przecież co najmniej dziesięć dni. – Krelis mrugnął do brata. – Niebawem się spotkamy, a póki co wykorzystuj każdą chwilę spędzaną na dworze.

Veradis cofnął się nieco. Jego starszy brat zmusił swego rumaka do zatoczenia niewielkiego koła, a potem puścił się kłusem naprzód. Jego wojownicy pognali w ślad za nim. Dźwięczny łomot kopyt na kamieniach brukowych wisiał jeszcze długo w powietrzu.

Młody wojownik stał przez chwilę na dziedzińcu, a potem odwrócił się i wszedł do stajni. Minął szereg boksów, aż odnalazł swego szarego konia, który na powitanie zarżał dziko, a gdy młodzieniec wkroczył do boksu, trącił go pyskiem. Veradis znalazł szczotkę i grzebień z żelaznymi zębami i zabrał się za pielęgnację swego wierzchowca, choć rzut oka wystarczył, by wiedzieć, że stajenni już się o niego zatroszczyli. Mimo to powoli, ze spokojem wykonywał wszystkie czynności, odnajdując w nich wewnętrzny spokój i tracąc poczucie czasu.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – odezwał się ktoś za jego plecami.

Veradis odwrócił się i ujrzał mężczyznę, który stał przy drzwiczkach do boksu i mu się przyglądał. Był to główny stajenny, który zajmował się ich wierzchowcami po przybyciu.

– Tak, jasne – odparł. – Ja tylko... – Wzruszył ramionami, nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Nie martw się, chłopcze, twój siwek jest w dobrych rękach. Nazywają mnie Valyn.

– A mnie Veradis.

– Widziałem wyjazd twego brata. Dobry z niego człowiek.

– Zgadza się – odparł Veradis. Nie miał chwilowo zaufania do swego głosu i nie chciał układać dłuższych zdań.

– Dobrze pamiętam jego ostatni pobyt na dworze. Niejedna tęskniła za nim, gdy wyjechał, o ile pamięć mnie nie myli. – Valyn uśmiechnął się szeroko. – Mówią, że masz wstąpić do hufca królewskiego syna.

– Uhm – mruknął Veradis. – To zaszczyt – dodał, wierząc, że powinien to powiedzieć, choć tak naprawdę czuł jedynie coraz większą samotność.

Stajenny przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Idę właśnie po kolację. Często jem na zewnętrznym murze, bo dobry jest stamtąd widok. Masz ochotę dołączyć?

– Kolacja? – spytał Veradis. – Ale...

Niespodziewanie usłyszał głośnie burczenie w żołądku.

– Niedługo zachód słońca. Spędziłeś tu sporo czasu.

Veradis uniósł brew, w żołądku znów mu zaburczało.

– Z przyjemnością dołączę do ciebie – rzekł.

Valyn zaprowadził go do sali biesiadnej, gdzie pośpiesznie napełnili talerze chlebem, serem i plasterami gorącego mięsa, główny stajenny porwał jeszcze dzban wina. Potem wspięli się po szerokich, czarnych stopniach i znaleźli wygodne miejsce wśród blanków.

Jerolin było położone na łagodnym wzgórzu, z którego rozciągał się daleki widok na równinę oraz jezioro – migotliwa tafla upstrzona była plamkami łodzi rybackich. Veradis spojrział na wschód, gdzie w oddali widać było rzekę. Miał nadzieję dostrzec Krelisa, ale po jego bracie nie było już śladu. Na zachodzie i północy wyrastały postrzępione, pokryte śniegiem szczyty gór Agullas, opromienione blaskiem zachodu.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i przyglądali się słońcu, które powoli chowało się za górami, aż Valyn zaczął mówić. Opowiadał o królu Aquilusie i jego fortecy, a Veradis odwzajemnił się

opowieściami o swym domu rodzinnym, ojcu i braciach oraz życiu w Ripie, fortecy nad zatoką.

– Masz żonę i dzieci? – spytał nieoczekiwanie.

Valyn milczał przez chwilę.

– Kiedyś byłem żonaty – powiedział w końcu. – Miałem też syna, choć mam wrażenie, że to wszystko zdarzyło się w innym życiu. Oboje nie żyją. Vin Thalun najechali fortecę wiele lat temu. Pewnie słyszałeś tę historię, choć w tamtych czasach pewnie czepiałeś się jeszcze maminej kiecki.

Veradis odkaszlnął. Nigdy nie czepiał się maminej kiecki, bo jego matka umarła przy porodzie. Zamrugnął i odepchnął tę myśl.

– Słyszałem o tym ataku – rzekł. – Byli wówczas śmielsi niż teraz.

Valyn zerwał się nagle na równe nogi i wbił wzrok w dal.

– Co się dzieje? – Veradis stanął obok stajennego i spojrzał w tym samym kierunku, aż dostrzegł samotnego jeźdźca zmierzającego do twierdzy na wielkim jabłkowitym wierzchowcu. Z tej odległości młodzieniec nie był w stanie dopatrzeć się wielu szczegółów poza tym, że koń poruszał się z niebywałą rączością i elegancją.

Valyn osłonił dłonią oczy. Stał przez chwilę w milczeniu i wpatrywał się w jeźdźca, który zbliżał się do fortecy.

– Znasz go? – spytał Veradis.

– Tak – mruknął Valyn. – Nazywa się Meical. Jest doradcą naszego króla, a po raz ostatni widziałem go tej nocy, kiedy zginęli moja żona i mój syn.

Rozdział trzeci

CORBAN

– O, nie – mruknął Dath, gdy dwaj chłopcy zdołali się podnieść.

Przyglądała im się grupa wyrostków na czele z Vonnem, który był synem królewskiego doradcy, Evnisa, i uważał się za kogoś ważnego. Liczył sobie kilka lat więcej od Corbana, niedawno przeszedł sprawdzian wojownika i przesiedział Długą Noc, dzięki czemu został uznany za mężczyznę. Ludzie mówili, że nie miał sobie równych w walce na miecze.

Inny chłopak, wysoki blondyn, podszedł bliżej.

– Proszę, proszę – powtórzył. – Co wy tu porabiacie?

Nie, tylko nie Rafe, pomyślał Corban.

Rafe, syn łowczego Helfacha, należał do domowników Evnisa. Był o rok starszy od Corbana, skłonny do okrucieństwa i chełpliwy. Corban już dawno obiecał sobie, że będzie unikał go ze wszystkich sił.

– Nic, Rafe – odparł.

– Ja bym tego niczym nie nazwał. – Rafe zbliżył się o krok. – Wygląda na to, że doskonale się bawicie, tarzając się we dwójkę w błocie.

Kilku z jego towarzyszy zachichotało.

– Co tam macie?

– Miecze treningowe – odparł Dath. – Właśnie widzieliśmy Tulla w walce. Widziałeś...

Rafe przerwał mu, unosząc dłoń.

– Widzę go codziennie na Jarzębinowej Łące – rzekł. – Tam, gdzie prawdziwi wojownicy korzystają z prawdziwych mieczy, a nie kijków.

– My też tam wkrótce dotrzemy – wypalił Corban. – Czternasty dzień mojego imienia wypada w Księżycu Orła, a Datha niedługo potem. A poza tym na Jarzębinowej Łące używacie ćwiczebnych mieczy. Tata mi powiedział, że... – Urwał, uświadomiwszy sobie, że wszyscy na niego patrzą.

– Tull nie pozwoli wam przystąpić do sprawdzianu wojownika – rzekł Rafe. – Niech tylko się dowie, że gziecie się w błocie jak wieprze.

– My się nie gziiliśmy – odezwał się Corban. Mówił powoli, jakby tłumaczył coś dziecku. – My ćwiczyliśmy się w walce na miecze.

Po jego słowach nastąpiła cisza, po czym starsi chłopcy parsknęli śmiechem.

– Chodź, Rafe – powiedział Vonn, gdy wesołość przycichła. – W południe zaczyna się konkurs rzucania kamieniami. Za nic w świecie nie chcę go przegapić.

Rafe spojrzał na Corbana i Datha.

– Nie skończyłem jeszcze z tymi dwoma.

– To zwykle szczyłe. – Vonn pociągnął Rafe'a za ramię. – Nie mam ochoty spędzać czasu w ich towarzystwie.

– Chodź, Dath – szepnął Corban, oddalając się szybko. – No chodź! – syknął.

Dath stał przez moment nieruchomo, aż wreszcie złapał swą skórzaną sakwę i ruszył w ślad za przyjacielem. Zmierzali w prostej linii do wsi, chcąc prędko opuścić łąki i znaleźć się jak najdalej od Rafe'a i jego towarzystwa.

– Idą za nami? – mruknął Corban.

– Chyba nie – odparł Dath, ale chwilę później ich uszu dobiegł tupot stóp.

Rafe wyprzedził ich i zatrzymał się przed Corbanem.

– Nie spytałeś, czy wolno ci odejść – oznajmił i dźgnął chłopaka palcem.

Ten nabrał tchu. W uszach słyszał pulsowanie własnego serca. Uniósł wzrok i spojrzał na Rafe'a, który był o głowę wyższy i znacznie szerszy w barach od niego.

– Zostaw nas w spokoju, Rafe. Proszę. To Wiosenny Festiwal!

– Nie masz czegoś lepszego do roboty? – spytał Dath.

– Zostaw nas w spokoju! – przedrzeźniał go Crain, który przybiegł za Rafe'em. Vonna i reszty nie było już widać. – Słyszysz to, Rafe? Pozwolisz, by tak do ciebie mówił?

– Przymknij się, Crain – odparł Rafe. – Zdaje się, że ktoś musi nauczyć tych szczyli uprzejmości.

Złapał Corbana za ramię i popchnął ku najbliższym zabudowaniom. Przerażony chłopak rozejrzał się dookoła, ale byli już w sporej odległości od tłumu. Dostrzegł tylko, że Crain pochwycił Datha i ciągnął go w ślad za nimi.

Po upływie kilku sekund obaj chłopcy zostali wepchnięci za róg chaty. Corban uderzył plecami o ścianę, co pozbawiło go tchu. Drewniany miecz treningowy wypadł mu ze zdrętwiałych palców.

Rafe wbił mu pięść w brzuch. Chłopak zgiął się w pół, po czym wyprostował powoli.

– No dalej, synu kowala! – warknął Rafe ze wzniesionymi pięściami.

Corban spojrzał tylko na niego. Chciał mu odpowiedzieć, chciał sam zacisnąć pięści, ale... ale nie udało mu się. W żołądku rozlewał mu się chłód. Z jego ust wydobył się jedynie ochryply szept. Targnęły nim mdłości i poczuł, że zbiera mu się na wymioty, ale potrząsnął głową.

Rafe uderzył go ponownie. Corban zachwiał się, z rozbitej wargi trysnęła krew.

Staw mu czoła!, krzyknął jakiś głos w jego głowie, ale Corban wyrzucił jedynie rękę do tyłu i oparł się o ścianę. Czuł się słaby, bezbronny, przerażony. Spojrzał na przyjaciela i ujrzał, że ten

rzucił się do ataku, kopiąc i tłukąc pięściami, ale Crain był starszy i silniejszy od Datha, drobnego jak na swój wiek. Kilkoma ciosami posłał go na ziemię.

– W niczym nie przypominasz ojca! – Rafe splunął.

Corban starł krew z wargi.

– Co? – wymamrotał.

– Twój stary podjąłby walkę. Przynajmniej coś by się działo. Ty zaś jesteś zwykłym tchórzem!

Przez krótką chwilę Corban miał wrażenie, że coś w nim zapłonęło, że gdzieś w głębi jego żołądka pojawiła się iskra, zupełnie jak wtedy, gdy jego ojciec otwierał drzwi do swej kuźni i buchały płomienie. Uświadomił sobie, że zaciska pięści i unosi ramiona, ale wtedy Rafe grzmotnął go w szczękę i wrażenie znikło równie szybko, jak się pojawiło. Zrozumiał, że leci, a potem rymnął w ziemię z głuchym łoskotem.

– Wstawaj! – drwił Rafe, ale Corban leżał nieruchomo, modląc się, by wszystko szybko się skończyło. W ustach czuł metaliczny posmak krwi.

Rafe kopnął go w zebra i w tej właśnie chwili rozległ się czyjś okrzyk. Zza rogu chaty wypadł ktoś i ruszył biegiem ku nim.

– Przyda mi się coś takiego! – Rafe uśmiechnął się paskudnie i złapał miecz treningowy Corbana, a potem rzucił się do ucieczki, a Crain za nim.

Dath uklęknął przy przyjacielu, pomagając mu się podnieść. Człowiek, którego krzyk rozległ się przed chwilą, podbiegł bliżej. Był to Gar.

– Co tu się stało? – spytał ostro, gdy Corban zdołał się dźwignąć na kolana, po czym splunął krwią i podniósł się chwiejnie.

Dath wyciągnął rękę, by mu pomóc, ale chłopak odepchnął go.

– Zostaw mnie – szepnął. Po jego policzkach toczyły się łzy, rozmazując kurz i krew. – Zostaw mnie! – powtórzył głośniejszym głosem i odwrócił się. Pośpiesznie, niemalże z furią ocierał oczy, a jego serce wypełniały w takim samym stopniu gniew co wstyd.

– Chodź ze mną, chłopcze – rzekł Gar, a potem odwrócił się do Datha i powiedział:

– Najlepiej będzie, jak zostawisz nas w spokoju.

– Ale to mój przyjaciel! – zaprotestował chłopak.

– Tak, ale ja chcę z nim porozmawiać. Na osobności.

Spojrzenie, którym stajenny obrzucił Datha, sprawiło, że ten niechętnie odszedł, zerkając tylko przez ramię.

Corban odwrócił się pośpiesznie i ruszył przed siebie, nie życząc sobie niczyjego towarzystwa, ale uświadomił sobie, że główny stajenny idzie obok niego. Przez moment żaden z nich nie powiedział ani słowa. Chłopak był zbyt zawstydzony, by się odezwać, więc skupił się na próbach opanowania przyśpieszonego oddechu. Huk krwi pulsującej w jego głowie powoli cichł.

– Co tam się wydarzyło? – spytał w końcu Gar.

Corban nie odpowiedział, gdyż nadal nie ufał swojemu głosowi. Po kolejnej długiej chwili ciszy Gar zatrzymał się, złapał go za ramię i obrócił ku sobie.

– Co tam się wydarzyło? – powtórzył.

– Chcesz mnie zmusić, bym ci wszystko opowiedział i w ten sposób upokorzyć jeszcze bardziej? – parsknął Corban. – Przecież wszystko widziałeś. Rafe uderzył mnie, a ja... a ja nie umiałem zareagować!

Gar zacisnął usta.

– Jest starszy i większy, a to odebrało ci pewność siebie.

– Gdzie tam – burknął Corban. – Nawet Dath walczył. Pozwoliłbyś, by ktoś cię tak pobił?

Gar nie odpowiedział. Chłopak chciał odejść, ale stajenny nadal trzymał jego ramię.

– Co wywołało tę awanturę?

– Rafe nie potrzebuje szczególnych powodów, by pobić kogoś młodszego lub mniejszego od siebie. – Corban wzruszył ramionami.

– Aha – mruknął Gar. – A chciałeś mu oddać?

– No pewnie! – warknął chłopak.

– To czemu tego nie zrobiłeś?

Corban wbił spojrzenie w ziemię.

– Bo się bałem. Chciałem mu oddać, ale nie mogłem. Nie byłem w stanie nawet drgnąć. Próbowałem, ale miałem wrażenie, że ręce zamieniły mi się w kamień, a nogi wsiąkły w bagno!

– Wszyscy odczuwamy strach, Ban. – Gar powoli pokiwał głową.

– Nawet Tull się boi. W każdej trudnej sytuacji chodzi więc o to, by ten strach pokonać. To najważniejsza umiejętność i to właśnie ona uczyni z ciebie prawdziwego mężczyznę. Musisz nauczyć się kontrolować emocje, chłopcze. Ci, którzy tego nie potrafią, często kończą z twarzą w piachu. Gniew, strach, duma, wszystko to może cię zgubić. Jeśli to emocje przejmą władzę nad tobą, już nie żyjesz.

Corban uniósł głowę i spojrzał na Gara. Pulsujący ból wargi zelżał na moment. Nigdy dotąd nie słyszał, by główny stajenny wygłosił tyle zdań na raz. Mężczyzna pochylił się i dźgnął Corbana w pierś.

– Naucz się panować nad nimi, a wówczas staną się narzędziem, które uczyni cię silniejszym człowiekiem.

– Łatwo ci mówić – wymamrotał chłopak. – Niby jak mam tego dokonać?

Gar wpatrywał się w Corbana przez dłuższą chwilę.

– Nauczę cię, jeśli tego chcesz – rzekł cicho.

Corban uniósł brew. Gar nigdy nie ćwiczył na Jarzębinowej Łące i nigdy nie ruszał do boju ze zbrojnym hufcem ze względu na chorą nogę. Odkąd chłopak sięgał pamięcią, główny stajenny zawsze utykał. Nie miał pojęcia, czego mógłby go nauczyć.

– Co znowu? – spytał Gar. – Chroma noga nie oznacza, że nie pamiętam już, jak się dzierży miecz czy stawia wrogom czoła w bitwie.

Jak się dzierży miecz, powtórzył Corban w myślach.

– W porządku. – Wzruszył ramionami. – Choć tato uczy mnie już władać bronią, póki nie jestem wystarczająco duży, by rozpocząć naukę na Łące.

Gar parsknął.

– Thannon nauczy cię wielu rzeczy, ale na pewno nie tego, jak się trzyma nerwy na wodzy.

Corban uśmiechnął się. Jego ojciec bynajmniej nie słynał z wielkiej cierpliwości.

– Póki co, będzie to nasza tajemnica – rzekł Gar.

– Co? Nie mogę powiedzieć nawet Cywen?

– Przede wszystkim nie mów o tym Cywen – odparł stajenny, a na jego ustach pojawił się rzadki u niego uśmiech. – Nie dałaby mi spokoju. Gar, naucz mnie tego, naucz mnie tamtego! – przedrzeźniał dziewczynę. – Nie, już wystarczająco się z nią użeram w stajni.

Corban zachichotał i uściśnął dłoń, podaną przez stajennego.

– Dobrze – rzekł Gar. – Wracasz na jarmark?

– Na razie nie – odparł chłopak, spoglądając na kłębiące się w oddali tłumy.

– Prędzej czy później będziesz musiał stawić im czoła. Im dłużej będziesz to odkładał, tym trudniejsze się to okaże. Wiesz, tak jak z upadkiem z konia. No i twój przyjaciel będzie się martwił.

– Wiem. Wrócę tam za jakiś czas, ale jeszcze nie teraz. Myślę, że pójdę zobaczyć się z Dylanem.

Gar pokiwał głową.

– Od domostwa Darola dzieli nas spory kawał drogi. Doprowadź się do porządku i osiodłajmy Wierzbę. W ten sposób wrócisz przed zachodem słońca i zdążysz na zrękowiny.

Corban w milczeniu ruszył za stajennym ulicami Havan, niemalże wyludnionymi ze względu na trwający nieopodal jarmark. Chłopak uniósł głowę i spojrzał na Dun Carreg wznoszącą się wysoko nad dachami, ale nawet forteca wydawała się cicha i opustoszała. Nikt nie chodził po murach, nikt nie kręcił się pod wielkim łukiem Kamiennej Bramy, jedyne wejście do Dun Carreg.

Dotarli do stajni i po chwili Corban siedział już na grzbiecie

mocnego kucyka. Twarz go piekła po szorowaniu w wodzie z beczki.

– Poczekaj chwilę – rzekł Gar i na moment wrócił do stajni, po czym pojawił się ze skórzaną sakwą. – Znajdziesz tam trochę potrzebnych rzeczy. Nieco chleba, ser, koc, kawałek liny. Zawsze bądź gotów na wszystko – dodał w odpowiedzi na pytające spojrzenie Corbana. – Nigdy nie wiesz, co się ma wydarzyć.

Corban uśmiechnął się ponuro i dotknął rozciętej wargi.

– Trudno zaprzeczyć – rzekł.

– Pamiętaj, by wrócić przed zachodem słońca. Opiekuj się Wierzbą, a Wierzba zajmie się tobą. I trzymaj się z daleka od Baglunu. Ludzie znowu gadają, że widziano tam wilkuny.

– Ha! – burknął Corban. Zupełnie w to nie wierzył. Jak dotąd wilkuny zapuściły się na skraj lasu tylko raz, zimą, zwabione zapachem koni na wybiegach w Dun Carreg. Co więcej, trwał wówczas Księżyc Burz i wszędzie zalegały śnieżne zasy. Wilkuny, z tego, co wiedział chłopak, wołały leśne gęstwiny od otwartych przestrzeni.

Wkrótce Corban wyjechał z Havan i ruszył drogą prowadzącą do lasu Baglun. Nazywano ją traktem olbrzymów, gdyż była dziełem klanu wymarłych Benothi, którzy władali tymi ziemiami wiele setek lat temu, na długo, nim przybyli tu ludzie. Szlak przecinał Ardan oraz Narvon, choć nie był już tak uczęszczany jak kiedyś, przez co porosła go trawa oraz mchy, a jego krawędzie kruszyły się. W oddali Corban widział już niewielkie wzgórze, na którym wzniesiono dom Dylana. Wody opływającej go rzeki Tarin połyskiwały w południowym słońcu, a jeszcze dalej ciemniał zakrywający horyzont las Baglun.

Zrobiło się gorąco, a słabe powiewy wiatru znad morza nie przynosiły ulgi. Corban delikatnie dotknął rozbitej wargi, która pulsowała boleśnie. Czuł też ból głowy oraz żeber w miejscu, gdzie kopnął go Rafe. Westchnął ciężko. W którym momencie ten dzień zmienił się w koszmar?

Powróciło nieproszone wspomnienie twarzy Rafe'a i obleśnego

uśmiešku, gdy ukradł mu miecz treningowy i uciekł przed nadciągającym Garem. To wystarczyło, by Corban poczuł gorący rumieniec wstydu.

Może i jestem tchórzem, pomyślał. Chciałbym być taki jak mój ojciec, silny i nieustraszony.

Co Gar miał na myśli, gdy mówił o kontrolowaniu emocji? Jak człowiek może się czegoś takiego nauczyć? Tak czy owak, jeśli będzie mógł dzięki temu dać Rafe'owi naukę, był gotów spróbować. Z tego, co Corban pamiętał, Gar zawsze trzymał się blisko jego rodziny i darzył przyjaźnią zarówno matkę, jak i ojca. Szczerze powiedziawszy, chłopak zawsze trochę się go bał, bo główny stajenny na zamku wydawał się człowiekiem bardzo surowym i poważnym, niemniej jego propozycja bardzo go zaintrygowała i był gotów ją przyjąć.

Chwilę później jego myśli rozpędził jakiś dźwięk. Uniósł głowę i ujrzał w oddali wielką furę, która zmierzała w jego stronę. Dwie osoby siedziały na koźle, inne szły bądź biegły przy wozie.

To Dylan!, pomyślał chłopak.

Wierzba energicznie pokonywał dystans i skaliste łąki wokół Havan ustąpiły już miejsca żyznym łęgom niedaleko rzeki. Żółte janowce znikły, a w ich miejsce pojawiły się krzewy jałowca i głogu. Oczom chłopca ukazało się spore gospodarstwo Darola.

Darol, ojciec Dylana, siedział wraz z żoną na koźle załadowanej po brzegi fury, zaprzęgniętej w gniadego kuca. Dylan szedł po jednej stronie fury, a jego siostra z mężem za nim. Towarzyszył im biegający w kółko synek Frith. Corban uśmiechnął się na ten widok. Rzadko ich widywał przez zimę, bo mama nie pozwalała mu wyjeżdżać daleko za Havan w okresie burz. Jej lęki podsycaly opowieści o wilkunach. Latem jednakże spędzał w tych okolicach większość czasu, głównie w towarzystwie Dylana. Ich pierwsze spotkanie nie zaczęło się najlepiej – pokłócili się, bo Corban postanowił stanąć w obronie swej siostry po tym, jak ta palnęła jakieś głupstwo. Na szczęście kłótnia skończyła się śmiechem,

a Corban i Dylan wkrótce zostali wielkimi przyjaciółmi, choć Dylan był kilka lat starszy.

Dylan ciężko pracował dla swego ojca, ale podczas odwiedzin Corbana zwykle znajdował dla niego trochę czasu. Wtajemniczał go w swoje obowiązki w gospodarstwie, pokazywał mu, jak się kopie dziury pod słupki płotu, sieje zboże, łapie łososie i dziesiątki innych rzeczy. Corbana jednakże o wiele bardziej interesowała nauka posługiwania się procą, rozpoznawania tropów zwierząt oraz polowania na zające, obdzierania ich ze skóry i gotowania. Najciekawszym przeżyciem były krótkie wypadki na pobrzeża Baglunu, który wydawał się całkiem innym światem, czasem nieco strasznym, ale zawsze kuszącym.

Corban uniósł wzrok i spojrzał na puszcę, której bezmiar nikał w oddali. Nie był w stanie wyobrazić sobie większego lasu, choć ponoć osławiony legendami Forn, leżący daleko na wschodzie, był większy od połowy królestw Ziem Wygnanych razem wziętych. Parsknął, przypominając sobie wyprawy z Dylanem do Baglunu. Pod koniec zeszłego lata, gdy żniwa zajmowały Dylana od świtu do zmierzchu, Corban rozpoczął samodzielne wędrówki do lasu. Był z siebie taki dumny, że opowiedział o wszystkim Dathowi i zaprosił go, by ten udał się razem z nim. Dath pobladł, uczynił znak odczyniający zło i oznajmił przyjacielowi, że jest bardzo odważny lub, co było bardziej prawdopodobne, całkiem oszalał. Prawdę powiedziawszy, wyprawy do Baglunu nie miały nic wspólnego z odwagą, której, jeśli wziąć pod uwagę ostatnie spotkanie z Rafe'em, Corban nie miał w sobie zbyt wiele. Po prostu w lesie dobrze się czuł, choć na samą myśl o tym, że mama poznałaby jego sekret, robiło mu się zimno nawet w piekącym słońcu.

Dylan znajdował się w odległości zaledwie kilkuset kroków, więc Corban ściągnął wodze kucyka i zatrzymał się. Darol pomachał mu, przejeżdżając obok.

– Cześć, Ban! – zawołał Dylan, ale zmarszczył brwi, gdy ujrzał jego posiniaczoną twarz. – Co ci się stało?

– Przewróciłem się – odparł chłopak. – Przyszło mi do głowy, że zajrzę do was i pomogę trochę, może przy łososiach, co? Ale wygląda na to, że przyjechałem za późno.

– Ojciec złapał już wystarczająco dużo ryb o wschodzie słońca. Poza tym musimy dostarczyć jedzenie do Havan przed ucztą. Może kiedy indziej, co?

W tym momencie rozpędzony Frith znalazł się za plecami Dylana i z rozmachem kopnął go w kostkę. Zachichotał i chciał rzucić się do ucieczki, gdy Dylan, podskakując na jednej nodze, złapał go i poderwał do góry. Malec przez moment przebierał nogami w powietrzu, jakby nadal biegł, ale gdy uświadomił sobie, że ucieczka jest nadaremna, zaprzestał prób i uśmiechnął się szeroko. Dylan zaś dźwignął go wyżej i posadził sobie na ramionach.

– Już za duży na to jesteś – powiedział. – Zbliża się dziewiąty dzień twego imienia!

– Ale podoba mi się tu! – zaprotestował Frith.

– Dobra, a więc siedź tam sobie, może dzięki temu przestaniesz broić – rzekł Dylan i odwrócił się do Corbana. – Idziesz z nami? Mam ogromną ochotę rozejrzeć się po jarmarku!

– Dzięki, właśnie stamtąd idę.

– W porządku, Ban, ale wrócisz chyba na zrękowiny, co?

Corban pokiwał głową.

– Dobra, to opowiesz mi o tym upadku. Aaargh! – krzyknął Dylan, gdy Frith złapał go za uszy i pociągnął z całej siły. – Co ty wyczyniasz?

– Jesteś moim koniem! Naprzód! – krzyknął chłopiec i znów szarpnął Dylana za uszy. Ten zaś złapał siostrzeńca za rączki i pogalopował za furmanką, odwróciwszy się, by wykrzyknąć słowa pożegnania za Corbanem. Frith uśmiechnął się do niego tryumfująco, a Corban uniósł pięść i pogroził mu, powstrzymując śmiech.

Przez chwilę siedział na Wierzbie, patrząc na niknącą w oddali

furmankę i zastanawiając się, co począć. Potem znów spojrzął na Baglun i cmoknięciem pogonił kuca.

Rozdział czwarty

EVNIS

Evnis przejął bukłak miodu od łowczego Helfacha. Odkorkował i pociągnął łyk, aż poczuł w ustach słodki smak miodu, a alkohol rozgrzał go od środka.

– Dobrze, nie? – spytał Helfach.

– Dobrze – burknął Evnis.

Miał na głowie o wiele ważniejsze rzeczy niż jakość miodu, który popijał. Minęło tyle lat, odkąd złożył przysięgę na lojalność Asrothowi i stał się wspólnikiem Rhin, królowej Cambrenu. Wspiął się przez ten czas wysoko w hierarchii i został doradcą Brenina, króla całego Ardanu. Miał wrażenie, że owa noc w Ciemnym Borze wydarzyła się w innym życiu. Było to przerażające, ale ekscytujące, wręcz odurzające doświadczenie, które nie przestawało go prześladować. Gdy tylko pomyślał o konsekwencjach przysięgi złożonej w przeszłości, znów czuł w sercu osobliwe połączenie lęku i podniecenia.

Siedzieli na polanie gdzieś na południowym skraju lasu Baglun, prawie pół dnia drogi jazdy od Dun Carreg. Gdzieś dalej, po leżących na południu wrzosowiskach wędrowało wielkie stado bawołów. Ziemia drżała pod ich kopytami, a nad stadem unosiła się chmura pyłu, przez co przywodziło na myśl ogromną, drapiezną bestię.

– Gdzie on jest? – mruknął Evnis.

Helfach uniósł głowę i osłonił ręką oczy.

– Powiedziałeś, że ma tu być w samo południe, a więc pewnie zaraz się zjawi.

– Nie cierpię czekać – warknął Ewnis.

Chciał wracać do Fain, swej żony, która nie czuła się najlepiej i potrzebowała jego obecności. Zzerał go niepokój o nią.

Helfach wyszczerzył zęby. Siedzieli w milczeniu i podawali sobie bukłak, aż koń Ewnisa uniósł łeb i zastrzygł uszami.

– O, proszę – rzekł łowczy i wskazał coś ręką.

Spomiędzy drzew wyłoniła się jakaś postać, która ruszyła ku nim.

– Załóż kaptur – polecił Ewnis i zasłonił własną twarz.

Gdy nieznajomy podszedł bliżej, Ewnis podniósł się i podszedł do niego. Był to wysoki mężczyzna o twarzy poznaczonej głębokimi bruzdami i zmarszczkami. Miał zimne oczy, a w ręku trzymał łuk ze zdjętą cięciwą. Ewnis doszedł do wniosku, że jest młodszy, niż na to wygląda.

– To dla ciebie. – Przybysz wręczył mu skórzany cylinder.

Ewnis wyciągnął z niego pergamin, złamał woskową pieczęć i odczytał treść w milczeniu. Po dłuższej chwili skrzywił się, zwinął pismo i wsunął je do kieszeni płaszcza.

– Twoim celem jest gospodarstwo na północny wschód od Baglunu – powiedział. – Na wzgórzu, przy rzece. Otoczone palisadą.

– Coś mi mówi, że to blisko Dun Carreg.

– Nie mylisz się.

– Ilu? – burknął przybysz.

– Sześćoosobowa rodzina.

– Ilu jest w stanie chwycić za broń?

– Dwóch mężczyzn i jeden chłopak, który właśnie zaczął ćwiczyć na Jarzębinowej Łące. Reszta to kobiety i dzieciarnia.

– Nie zabijam kobiet i dzieci.

– Czy Braith na pewno wybrał właściwego człowieka do tej

roboty? – Ewnis zmarszczył brwi.

– Jak dotąd nie narzekał.

Doradca królewski wzruszył ramionami.

– Zajmij się tym dzisiaj. W fortecy trwa uczta weselna, więc jeśli zależy ci na trupach, będziesz musiał poczekać, aż wrócą. Dołóż tylko starań, by gospodarstwo ładnie się paliło.

– W porządku – odparł obcy i znikł między drzewami.

– Załatwiliśmy co trzeba? – spytał Helfach.

Ewnis wyciągnął zwinięty pergamin i odczytał go raz jeszcze:

Witaj, o wierny.

Braith zajął dobrą pozycję. Dobrze wykorzystaj jego ludzi. Wywab Brenina z legowiska najszybciej jak się da, albowiem czas nadchodzi. Co do sprawy, z którą się do mnie zwróciłeś, skoro uzdrowiciele nie mogą pomóc twojej żonie, musisz sięgnąć po moc ziemi. Odnajdź księgę. Wiesz, gdzie się znajduje. Znajdź drzwi, a wówczas ją odnajdziesz. Uthas twierdzi, że ona ci nieco pomoże, choć jedynym ratunkiem jest kociół. Zabierz do niego żonę, jeśli możesz. Pamiętaj jednakże o naszej wspólnej sprawie. Pamiętaj o przysiędze, którą mi złożyłeś.

Ewnis charknął, splunął i spalił list.

– Wracamy – powiedział, wskakując w siodło. – Jeśli nie zdążę na zrękowiny, Alona przeklnie mnie i wyzwie od zdrajców, a potem zażąda, by Brenin oddał mnie katu.

Wyzwie od zdrajców, powtórzył w myślach. Gdyby tylko znała rozmiary mojej zdrady...

– Niech suka próbuje, jeśli jej się chce – parsknął Helfach. – Brenin robi wszystko, co mu powiesz.

– Ona też ma na niego wpływ, większy od mojego. Co więcej, nienawidzi mnie i zawsze będzie mnie winić o śmierć swego brata Rhagora.

I słusznie, dodał w myślach.

W milczeniu wyjechali z polany, minęli rzadkie drzewa na skraju lasu i po chwili znaleźli się już na trakcie do Dun Carreg. Teraz, gdy Ewnis czuł wiatr na twarzy, jego myśli powróciły do listu.

„Czas nadchodzi... Pamiętaj o przysiędze, którą mi złożyłeś”.

Jak mógłby o niej zapomnieć? O przysiędze, by wynieść Rhin do pozycji Najwyższej Królowej, by wywołać Wojnę Bogów i doprowadzić do tego, by Asroth wrócił do formy cielesnej. Skrzywił się. Czy naprawdę upłynęło osiemnaście lat od tej nocy w Ciemnym Borze? Czasem miał wrażenie, że to był jedynie sen, czasem żałował, iż to nie był sen. Wówczas wszystko byłoby o wiele prostsze.

Doprowadź to do końca, powiedział do siebie. Nie ma innego wyjścia.

Jego myśli jak zwykle wróciły do Fain.

Jedno jest pewne, stwierdził. Muszę odnaleźć tę księgę.

Rozdział piąty

CORBAN

Corban zbliżał się do rzeki, gdzie teren był bardziej wyrównany. Po prawej ujrzał jaz na łososie.

Spojrzał na drzewa, które rosły na brzegu po drugiej stronie. Wiedział, że wyznaczają one granicę lasu Baglun i jak zwykle, gdy się do niej zbliżał, poczuł, że przeszywa go dreszcz podniecenia. Kopyta kuca z pluskiem rozbryzgiwały wodę i stukały o kamienie, gdy przejeżdżał przez bród na rzece. Wjechał na brzeg i ruszył w objęcia lasu.

Trakt olbrzymów ciągnął się dalej, choć kamienie pokrywał gęsty, śliski mech. Za sprawą płataniny gałęzi nad głową Corbana świat tonął w półmroku. O dziwo, cienie zawsze uspokajały go i koły.

Pozwolił kucykowi, by podążał własnym tempem, wyobrażając sobie, że jest wielkim łowczym, jak Marrock, który tropił bandę banitów z Ciemnego Boru, napadających na północną granicę. Słyszał od ojca o podobnych zdarzeniach. Thannon lubił mówić podczas pracy i opowiedział synowi wiele historii o Ziemiach Wagnanych, kontynencie, który był ich domem. Opowiadał również o tym, co się współcześnie dzieje z królestwem Ardanu, o coraz większej niezgodzie między królem Breninem a królem Owainem, władcą sąsiedniego Narvonu oraz o nagłym wzroście liczebności banitów, którzy włóczyli się po Ciemnym Borze, puszczy dzielącej

oba królestwa. Thannon opowiadał mu o jednej bandzie, która robiła wypadki do Ardanu, paliła zagrody i napadała na wędrowców. Wspomniał, że być może banici zmierzają do Baglunu.

Corban poczuł ucisk w żołądku. Szeroko otwartymi oczami rozglądał się dookoła i wyobrażał sobie banitów czyhających za krzakami, gotowych, by go napaść. Ale czy ktoś mógłby być na tyle głupi, aby założyć obóz tak blisko fortecy króla?

Nie ma powodu do obaw, pomyślał.

Drzewa rosły tu ciasno, a między nimi krzewiły się kolczaste zagajniki. Daleko przed nim trakt olbrzymów wiodł do otwartej polany. Prześwity w koronach drzew były tam o wiele większe i na ziemi jaśniały plamy światła. Corban wjechał na porośniętą dzwonekami łączkę i zatrzymał się przy kamieniu przysiąg.

Był to ogromny, ciemny, górujący nad całą polaną głaz, na którym wyryto runy dawno zapomnianego języka.

Kolejna pozostałość po olbrzymach, którzy niegdyś władali tymi okolicami, pomyślał chłopak.

Wciąż go wykorzystywano, by uświetnić niektóre okazje, ale nie był oficjalnie odwiedzany od piętnastu lat, odkąd Brenin przejął miecz ojca i zasiadł na tronie Ardanu. Głaz wydawał się stary i samotny. Corban lubił to miejsce.

Zeskoczył z kuca i podszedł do kamienia, który tego dnia wyglądał inaczej niż zwykle – wydawał się mokry. Po jego ścianach biegły ciemne, wilgotne strugi, które ściekały z głęboko wyrytych runów. Corban uniósł rękę i dotknął chropowatej powierzchni. Niespodziewanie polana pociemniała, a niebo przesłoniły chmury. Chłopak zadrżał. Cofnął rękę i ujrzał czerwień na koniuszkach palców. Czy to była krew?

Uświadomił sobie, że jego serce bije mocno, a uszy wypełnia hałas. Potem świat się rozmazał, a on sam runął na ziemię.

* * *

Odzyskawszy przytomność, Corban zamrugał i rozejrzał się.

Nadal znajdował się na polanie, nad którą górował kamień przysiąg. Opierał się o wielki głaz, ale prześladowało go wrażenie, że coś się zmieniło. Coś było nie tak. Wszystko wydawało się blade, jakby ze świata odessano kolory. Chłopak podniósł głowę na ciemne chmury, które pęczniały i falowały nad nim niczym gniewne morze. Było tak cicho... Zbyt cicho. Jego uszu nie dobiegał śpiew ptaków ani bzyczenie owadów, nie było słycać żadnych odgłosów, jedynie szum wiatru między gałęziami.

Potem niespodziewanie runo leśne zachrzęściło i rozległy się czyjeś kroki, niezwykle głośne w tej ciszy. Z zagajnika na skraju polany wyłoniła się samotna postać. Był to mężczyzna z mieczem u boku, okryty wysłużonym, zakurzonym płaszczem. Na widok Corbana zatrzymał się, pochylił głowę i ruszył ku niemu.

– Szukałem cię – rzekł i ukucnął przed chłopcem.

Corban nie miał pojęcia, ile nieznajomy może mieć lat. Wokół jego oczu i ust dostrzegał zmarszczki, ale większość z nich zakrywała krótko przycięta broda. Włosy miał ciemne, przyprószone siwizną. Corban zerknął w jego oczy i spostrzegł, że są żółte niczym u wilka, stare. Nie, nie stare. Starożytne. I pełne mądrości.

– Dlaczego? – spytał.

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło i przyjaźnie. Corban poczuł, że też się uśmiecha.

– Potrzebuję pomocy. Muszę wypełnić pewne zadanie, a sam mu nie poddam.

Wyciągnął z kieszeni jabłko, zaskakująco czerwone w tym wypłowiałym świecie, i ugryzł je z chrzęstem. Pocięł sok. Paznokcie nieznajomego były popękane i połamane, widniały pod nimi krążki brudu.

– Czemu ja? – wymamrotał Corban.

– Nie owijasz w bawełnę – zauważył mężczyzna i znów się uśmiechnął. – To trudne zadanie. Niebezpieczne. Nie każdy

człowiek jest w stanie mi pomóc. – Wciągnął głęboko powietrze i zamknął oczy. – Ale w tobie kryje się coś. Coś szczególnego. Czuję to.

Corban parsknął. Nigdy dotąd nie czuł się nikim szczególnym i nikt nigdy niczego takiego mu nie powiedział, oczywiście z wyjątkiem mamy.

– Co to za zadanie?

– Muszę coś odnaleźć. Pozwól, że ci to pokażę – rzekł mężczyzna i zasłonił dłonią oczy Corbana.

Chłopak uświadomił sobie nagle, że stoi w komnacie o kamiennych ścianach i oknach zwieńczonych łukami, za którymi ziała ciemność, zdająca się zasysać wszelkie światło.

W środku komnaty znajdował się wielki kocioł z czarnego żelaza, wyższy i szerszy od dorosłego człowieka. Niespodziewanie buchnął z niego wrzask, który odbił się echem w pomieszczeniu. Narastał i stawał się coraz ostrzejszy, a kryło się w nim tyle bólu i udręki, że Corban zakrył uszy. Wtem znów zapadła cisza, zakłócana jedynie przez cichy trzask pochodni. Z kotła wysunęły się blade palce i zacisnęły się na czarnej krawędzi. Z wnętrza dźwignęła się jakaś istota, która spłynęła na kamienną podłogę. Postać powoli się podniosła – był to mężczyzna ubrany w luźne, wełniane spodnie. Jego długie ciemne włosy opadały swobodnie na szerokie ramiona, ale Corban wypatrzył wśród pasm warkocz wojownika. Jasnoszara skóra wydawała się cienka i rozciągnięta, a chłopak nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż coś się pod nią przesuwają, jakby usiłowało się wydostać. Dostrzegł widoczne, grube żyły, formujące skomplikowaną pajęczynę na bladej skórze.

Potem mężczyzna odwrócił się i spojrzał na Corbana.

Jego oczy były czarne jak noc. Chłopak nie dostrzegał źrenicy ani tęczówki, ale wiedział, że nieznajomy wpatruje się w niego. Jego usta wykrzywiły się w ohydny uśmiech, z kącika pociekła strużka krwi. Czerwona kropelka oderwała się i spadła na podłogę.

Corban cofnął się o krok, a mężczyzna, jakby naśladując jego

ruchy, zrobił krok naprzód. Chłopak już miał się rzucić do ucieczki, ale zamarł, gdy wyczuł za sobą czyjąś obecność. Chciał odwrócić się i spojrzeć, ale ciało nie słuchało jego poleceń. Włoski na jego szyi podniosły się.

Istota, która wypełzła z kotła, również zamarła. Jej czarne oczy wpatrywały się w coś za plecami Corbana, a twarz przeobrażała się. Naraz chłopak kątem oka dostrzegł za sobą jakiś ruch – pojawiły się dwa wielkie, białe skrzydła, które przecięły powietrze. Postać przed kotłem skrzywiła się i uniosła ramiona, jakby chciała zablokować cios. Zasyczała głośno, a potem odrzuciła głowę w tył i zawyła przeraźliwie. Corban spojrział na skrzydła i poczuł, że jego panika i lęk ustępują, a w ich miejsce w jego sercu pojawia się spokój, choć obca istota nadal była przerażająco. Powoli komnata rozmazała się i znikła pośród ciemności.

* * *

Corban krzyknął cicho i otworzył oczy. Plecy miał mokre od potu. Potrząsnął głową, chcąc się pozbyć wspomnienia nieludzkiego wycia, pozostawionego przez rozmywający się sen. Wierzba tupał i rozrywał kopytami darń, aż dochodzący do siebie chłopak zrozumiał, że wycie wcale nie słabnie. Wręcz przeciwnie, stawało się coraz wyraźniejsze i przybierało inny ton niż w jego śnie. Co więcej, kucyk również je słyszał.

Corban zerwał się na równe nogi i spróbował uspokoić zwierzę. Konik parsknął, ale powoli dochodził do siebie, choć wycie nadal rozbrzmiewało pośród drzew. Chłopak stał przez moment i nasłuchiwał.

– Nie wiem, co to za głos – mruknął do siebie. – Ale wyczuwam w nim lęk.

Przez moment poklepywał kuczka po karku, a potem powziął decyzję i poprowadził zwierzę w kierunku źródła dźwięku. Kilka

uderzeń serca później zatopił się w półmroku gęstego lasu. Gałęzie znajdowały się zbyt nisko, by mógł dosięść Wierzby, musiał też uważać, jak stawia stopy, gdyż po runie pełzały gęste pnącza, gotowe w każdej chwili pochwycić jego but. Co chwila przekraczał płytkie strumyki, zauważył też, że grunt staje się coraz bardziej podmokły. Kopyta Wierzby cmokały, gdy kuc wyciągał je z wilgotnej ziemi.

Chyba powinienem zawrócić, pomyślał Corban.

Dylan ostrzegał go przed niebezpiecznymi bagnami, kryjącymi się w głębi Baglunu. Trzęsawiska z początku wydawały się twarde i stabilne, ale potrafiły niespodziewanie wciągnąć zaskoczoną ofiarę i wydusić z niej życie. Chłopak zatrzymał się. Znów rozległo się wycie. Zdawało się dochodzić z tak bliska.

Jeszcze kawałeczek.

Corban pokonał kolejny zagajnik gęstych drzew, odsuwając na bok czerwone paprocie, gdy niespodziewanie stanął jak wryty.

Kilkanaście kroków przed nim z ziemi wystawały łeb oraz pierś wilkuna. Kły zwierzęcia połyskiwały, długie jak jego przedramię i ostre jak sztylety. Corban nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wilkuny były straszliwymi, polującymi w watahach drapieżcami, które, jeśli wierzyć opowieściom, zostały wyhodowane przez klany olbrzymów podczas Wojny Skarbów. Przypominały kształtem wilki, ale były od nich większe, silniejsze i obdarzone niemałym sprytem, w tych okolicach spotykano je jednak rzadko. Preferowały południe Ardanu, gdzie rozciągały się gęste bory i nieskończone wrzosowiska, po których wędrowały stada bawołów.

Przez moment chłopiec i bestia spoglądali sobie w oczy, po czym wilkun kłapnął szczękami, z których spływała piana. Jedna z łap drapała ziemię bezsilnie. Zwierzę wydawało się bliskie śmierci, słabe i wychudzone. Naraz rozległ się bulgot, a wówczas zapadło się jeszcze głębiej, jakby ktoś skryty w głębi ziemi pociągnął je za tylne łapy. Teren dookoła wydawał się mocny i twardy, porośnięty tymi samymi pnączami, które utrudniały Corbanowi wędrowkę chwilę

wcześniej, ale chłopak domyślił się już, że wilkun wpadł w jedno ze zdradliwych trzęsawisk Baglunu.

Stał przez moment w milczeniu, nie wiedząc, co począć. Uklęknął i przyjrzał się łbu bestii, porośniętemu szarym, poznaczonym białymi plamkami futrem, tu i ówdzie brudnym od błota.

– I co ja mam zrobić? – szepnął. – Nawet gdybym wiedział, jak cię stamtąd wyciągnąć, pożarłbyś mnie potem bez wahania.

Bestia wpatrywała się w chłopaka miedzianymi oczami. Ten rozejrzał się, złapał grubą gałąź, wbił ją w ziemię u swych stóp i macając przed sobą teren, powoli, ostrożnie ruszył naprzód. Wierzba przyglądał mu się z dezaprobatą. Naraz gałąź wniknęła w ziemię, a lewa noga Corbana, nim zdążył zareagować, pograżyła się w bagnie po kolano. Chłopak poczuł przyływ paniki, bo błoto trzymało go mocno, bez litości. Przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i odchylił się do tyłu, powoli, ostrożnie wyciągając lewą z pułapki, aż padł na plecy.

Leżał przez moment bez ruchu, zlany potem. Uwolniona noga pokryta była śliskim, czarnym szlamem. Znów rozległ się bulgot i gdy Corban uniósł wzrok, zobaczył, że wilkun zapadł się jeszcze głębiej. Nagle uświadomił sobie, że wie, co należy zrobić, choć zdawał sobie sprawę z tego, jakie to głupie. Wstał i wrócił do Wierzby. Poklepał kuca, który połyskiwał białkami oczu. Przerazone zwierzę było gotowe w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Uspokoił go nieco i wyciągnął z sakwy linę od Gara. Jeden jej koniec przywiązał do siodła, a potem powoli podprowadził zwierzę do skraju bagna. Na drugim końcu liny zawiązał pętlę, tak jak pokazywała mu Cywen, a później rzucił ją na drapieźnika. Za drugim razem udało mu się przerzucić linę przez łeb i bark wilkuna, wówczas ujął ją łagodnie i powoli, bardzo powoli zaczął ciągnąć. Gdy się napięła, Corban poprowadził Wierzbę dalej od bagna. Lina trzeszczała i drżała pod naporem nieustępliwego kuca, a wilkun zaskamlał i kłapnął szczękami w powietrzu, gdy pętla wgryzła mu się w skórę, ale nagle rozległo się głośnie cmoknięcie

i drapieznik zaczął wysuwać się z bagna. Wierzba zrobił krok naprzód, a potem kolejny. Chwilę później mokra od błota bestia leżała już na boku na skraju bagniska, ciężko dysząc. Dźwignęła się z trudem i stanęła na drżących łapach z nisko opuszczonym łbem.

Choć zwierzę było w opłakanym stanie, Corban przyglądał mu się z zachwytem. Wilkun niemalże dorównywał wzrostem Wierzbie, a jego sierść była matowoszara, pocięta paskami białymi niczym kości. Powoli uniósł łeb i kilkoma kłapnięciami zębisk pozbył się resztek liny, po czym zawył głośno. Wierzba zarżał, wierzgnął i rzucił się do ucieczki. Corban nie był w stanie nawet drgnąć, wpatrzony w długie, zakrzywione kły zwierzęcia.

Niespodziewanie dostrzegł jakiś ruch w pobliżu, wyczuł czyjąś obecność. Cienie pociemniały. W półmroku błysnęły ślepi, wiele par ślepi.

Przybyła jego wataha. Już po mnie, pomyślał chłopak.

Ocalony przez niego wilkun powoli, nieśpiesznie podszedł bliżej. Na jego karku i piersi pęczniały grube zwoje mięśni. Brzuch zwierzęcia, wydęty i ciężki, kołysał się z każdym krokiem.

– Spodziewasz się szczeniąt – szepnął Corban.

Samica okrążyła go, mierząc go spojrzeniem miedzianych ślepi, a potem sapnęła głośno i wcisnęła pysk w jego krocze, wachając. Chłopak odparł przemożną ochotę, by rzucić się do ucieczki. Wiedział, że jego życie zawisło na włosku. Zwierzę uniosło łeb i obwąchało jego brzuch, szyję i szczękę. Corban czuł na sobie ciepło jego oddechu, wyczuwał też duszącą woń wilgotnego futra. Samica przycisnęła pysk do jego skóry, aż chłopak poczuł chłód jej twardych zębów. Uświadomił sobie, że puściły mu zwieracze.

Wtedy drapieznik cofnął się, odwrócił i skoczył w las, natychmiast znikając w jego mroku. Oczy pośród cieni przygasły, a Corban odetchnął z ulgą i osunął się bezwładnie.

Co ja właśnie zrobiłem?, pomyślał.

Leżał przez moment na wilgotnej ziemi, czekając, aż serce

przestanie mu bić jak szalone, a potem podniósł się, odwrócił od bagna i ruszył przed siebie. Las wyglądał teraz inaczej, zdawał się mroczniejszy i ciemniejszy. Runo leśne nadal porastały gęste pnącza, przez co Corban musiał z rozmysłem stawiać każdy krok, by się nie przewrócić. Droga nie była łatwa i minęła dłuższa chwila, nim uświadomił sobie, że od dawna nie widział żadnego z drobnych strumieni, które wcześniej przekroczył. Tupnął nogą i odkrył, że ziemia jest tu sucha i twarda, a nie rozmokła i gąbczasta.

Nie, tylko nie to.

Rozejrzał się dookoła z rozpaczą, szukając jakiejś wskazówki, ale nie dostrzegając niczego znajomego. Przez gęste korony drzew sączyło się rozrzedzone światło słoneczne i chłopak nie był w stanie odnaleźć słońca na niebie. Westchnął ciężko i ruszył przed siebie.

Idź naprzód, myślał. Idź i rozglądaj się za strumieniem, który doprowadzi cię do miejsca, gdzie rozpocząłeś wędrówkę.

Zadrżał, próbując okiełznać panikę narastającą w jego sercu. Dobrze wiedział, że nie ma szans na przeżycie nocy w lesie, ale nigdy nie znajdzie drogi powrotnej, jeśli straci panowanie nad sobą.

Idź, po prostu idź przed siebie, powtarzał w myślach. I miej nadzieję, że nie zapuszczasz się głębiej w las.

Przyśpieszył kroku, zerkając cały czas to na ścieżkę przed sobą, to znów na ziemię pod nogami. Gdy wreszcie się zatrzymał, miał obolałe, poranione stopy i zdrętwiałe palce. Wydawało mu się, że brnie przed siebie całą wieczność, ale nadal nie było ani śladu strumienia. Rozejrzał się, wypatrzył jakiś wysoki wiąz i rozpoczął wspinaczkę. W miarę, jak pisał się w górę, gałęzie stawały się coraz cieńsze i bardziej oddalone od siebie, aż dotarł do miejsca, w którym nie mógł już dosięgnąć kolejnej gałęzi, nawet gdy stał na palcach.

Jeśli dotrę na samą górę, z pewnością uda mi się dostrzec Dun Carreg, a wówczas będę przynajmniej wiedział, czy idę we właściwym kierunku, powiedział sobie.

Desperacja dodała mu sił. Ukucnął, wyskoczył i złapał się

obiema rękami konaru nad głową. Wisiał przez moment, kołysząc się na rozchwianej gałęzi, gdy nagle jedna z jego dłoni zaczęła się zsuwać. Rozpaczliwie zamachał rękami i runął w dół, zderzając się z niższymi konarami. Uderzył w ziemię i stracił na moment przytomność, a gdy znów otworzył oczy, ujrzał, że leży na stercie połamanych gałęzi. Usiadł z jękiem, a wtedy usłyszał jakiś nowy odgłos. Z pewnością dobiegał z oddali, gdyż w lesie panowała cisza, nawet wiatr nie szeleścił wśród koron drzew. Corban wy tężył słuch i naraz nabrał pewności, że jego uszu dobiega wołanie. Zerwał się i zapomniawszy o zmęczeniu, ruszył biegiem przed siebie. Zatrzymał się na moment, by ponownie nadstawić uszu. Po chwili ciszy raz jeszcze rozległ się ten głos, tym razem o wiele bliżej. Ktoś wołał go po imieniu.

– Tutaj! – krzyknął, osłoniwszy usta dłońmi.

Znów zaczął biec, wołając przez cały czas, aż dostrzegł wysoką postać, która wyłoniła się zza drzewa, prowadząc dwa konie: sporego srokacza i kuca. Przybysz utykał.

– Gar! – wykrzyknął Corban, pędząc teraz jak szalony.

Po jego policzkach płynęły strumienie łez, gdy rzucił się stajennemu w ramiona. Ciemnowłosa mężczyzna w pierwszej chwili stał nieruchomo niczym posąg, aż w końcu przytulił chłopaka i poklepał go po plecach.

– Co ty tu robisz? – spytał Corban drżącym głosem.

– Szukam cię, rzecz jasna, głupku! Wierzba potrafi odnaleźć drogę do domu, nawet jeśli tobie to nie wychodzi – rzekł Gar i zrobił krok w tył, by przyjrzeć się chłopakowi. – Co ci się stało? Wyglądałeś nie najlepiej jeszcze przed wyjazdem z osady, ale teraz...

Corban spojrział po sobie. Był powalany błotem, do którego lepiły się liście. Skórę miał podrapaną, a w płaszczu i spodniach ziały dziury.

– Ja... – zaczął, ale urwał, czując, że to, co ma do powiedzenia, zabrzmiało niebywale głupio. – Potrzebowałem ciszy. Chciałem pobyć

chwilę sam – ciągnął niepewnie, wpatrując się w trawę i mech. – No i zgubiłem się.

Wyraz twarzy Gara przekonał go, że najmniejsza nawet wzmianka o wilkunach nie jest dobrym pomysłem. Stajenny przyglądał się brudnemu, obdartemu chłopakowi, po czym pociągnął nosem i westchnął głęboko.

– Możesz podziękować siostrze. Dath powiedział jej o tym, co zrobił Rafe, a wtedy przybiegła do mnie i namówiła, bym cię odnalazł.

– Och – bąknął Corban i zgarbił się. – A więc wie?

– Tak, chłopcze, ale teraz się tym nie przejmuj. Wracajmy do domu. Jeśli dotrzymasz mi tempa, zdołamy wrócić na zrękowiny. I obyśmy zdążyli. W przeciwnym razie może się okazać, że uratowałem ci życie tylko po to, by cię matka zabiła.

– Coś mi mówi, że zabije mnie tak czy owak. – Corban przyjrzał się swemu brudnemu, podartemu płaszczowi.

– Dobrze, zatem jedźmy do domu i przekonajmy się – rzekł Gar i zawrócił wierzchowca.

Rozdział szósty

VERADIS

Veradis napiął mięśnie ramion, próbując poprawić koszulkę kolczą, która zdążyła mu już obetrzeć skórę w kilku miejscach, choć założył pod spód lnianą tunikę. Rytmiczne ruchy konia, na którym jechał kilkanaście kroków za Nathairem, tylko pogarszały sprawę.

Szkoda, że częściej czegoś takiego nie nosiłem, pomyślał, ale potem przypomniał sobie, że w kolczudze czuł się nieswojo. Tylko kilku wojowników w Ripie miało pancierz na własność – jego brat Krelis, rzecz jasna, ojciec, ich zbrojmistrz Alben oraz dwóch czy trzech synów miejscowych baronów. Za każdym razem, gdy Veradis nosił kolczugę, co nie zdarzało się często, zdawało mu się, że wygląda inaczej i wyróżnia się. Na co dzień wystarczająco często czuł się inny i nie chciał dodatkowo pogłębiać tego wrażenia, więc kolczuga z reguły spoczywała w kufrze w jego komnacie.

Mimo to lubił ją i cenił. Powodem przypuszczalnie było to, że otrzymał ją w darze od Krelisa po swej Długiej Nocy, ostatej części sprawdzianu wojownika, kiedy wreszcie awansował z chłopca na mężczyznę. Była dlań ważna również ze względu na słowa, które jego brat wówczas wypowiedział:

– Skórzana zbroja zatrzyma słaby lub niecelny cios, ale ta powstrzyma nawet mocny atak, więc traktuj ją jak dobrego przyjaciela.

I tak też było. Veradis wyciągał pancierz co wieczór z kufra, oliwił

i czyścił, a potem składał i zamykał skrzynię.

Król Aquilus spełnił życzenie Nathaira i pozwolił mu zabrać zbrojny hufiec, by osaczyć Lykosa, samozwańczego króla piratów. Veradis spędził więc w Jerolin zaledwie dwie noce, po czym znów musiał wspiąć się na siodło.

Zerknął przez ramię. Jechał w przedniej części krótkiej kolumny, liczącej około osiemdziesięciu jeźdźców. Mniej więcej połowa z nich została zwerbowana przez księcia do hufca, który właśnie tworzył, a reszta została dobrana z orlej straży Aquilusa, na co nalegała Fidele, matka Nathaira.

Po lewej stronie Veradisa jechał Rauca, trzeci syn miejscowego barona, młodzieniec sympatyczny, dobroduszny i chętnie dobywający miecza, a po prawej miał Bosa, syna jednego z gwardzistów Aquilusa, człowieka o rozłożystych barach, grubej szyi i ramionach przypominających sękate konary dębu.

Nie marnowali czasu. Jechali na południe, pokonując milę za milą, mijając rozległe łąki i bezkresne bory, aż po trzech nocach Veradis dostrzegł góry, które wyznaczały mniej więcej połowę ich trasy. Wyrastały spośród równin niczym wygięty kręgosłup pomarszczonego, kalekiego starca.

– Veradisie! – zawołał jadący na czele Nathair.

Młodzieniec dotknął końskich boków piętami i szybko zrównał się z dowódcą.

– Nie odbyliśmy jeszcze rozmowy, którą ci obiecałem – rzekł książę i zerknął na młodego wojownika z uśmiechem.

– Miałeś sporo na głowie, panie.

– Och, przestań z tym „panie”. Już zapomniałeś, co ci mówiłem?

– Proszę o wybaczenie, pa... – zaczął Veradis, ale ugryzł się w język.

Nathair zachichotał i rzekł:

– Cieszę się, że dołączyłeś do mego hufca. Nie jest on na razie szczególnie liczny, ale rozrośnie się.

– Pewnie.

– O tobie zaś mówią, że jesteś najlepszym szermierzem, którego zrodziła Ripa. Jestem rad, że służyysz pod moimi rozkazami.

– Kto wygaduje... – zaczął Veradis.

– Twój brat. Rozmawiałem z nim przez chwilę, nim wyjechał. Nie mógł się nachwalić twego talentu.

– Och – szepnął Veradis, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Ojciec musi być z ciebie bardzo dumny! – dodał Nathair.

– Hm – mruknął Veradis. Otworzył usta, ale nie przychodziło mu do głowy nic sensownego, co mógłby powiedzieć. – No tak – bąknął w końcu.

– Krelis to popularny człowiek. Trudno ci było dorastać w jego cieniu?

Veradis zmarszczył brwi, ale nie odezwał się ani słowem.

– Wybacz, że wścibiam nos w nie swoje sprawy – rzekł Nathair.

– Ale ta kwestia interesuje mnie szczególnie.

Veradis wzruszył ramionami. Jego dzieciństwo w istocie nie było łatwe, tym bardziej że ojciec nie widział świata poza jego bratem i nie szczędził mu pochwał. Trzeci z ich grona, Ektor, nigdy się tym szczególnie nie przejmował, gdyż wystarczało mu towarzystwo ksiąg, ale Veradisowi wyższość brata doskwierała niczym odłamek żelaza wbijający się coraz głębiej w ciało. Mimo to kochał Krelisa, a chwile, kiedy jego przewaga budziła w nim zazdrość, należały do rzadkości i szybko mijały. Jeśli ktoś tu ponosił winę, tą osobą był jego ojciec.

– Czasami – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– Dobrze wiem, jak to jest dorastać w cieniu innej osoby – rzekł cicho Nathair.

Veradis spojrział na księcia i zauważył że ma przekrwione oczy, a pod nimi ciemne plamy.

– Nic ci nie jest? – spytał.

– Co? Nie, nic – odparł Nathair. – Nie spałem najlepiej i to wszystko. Koszmary, sam wiesz.

Jechali przez chwilę w milczeniu traktem wijącym się między drzewami. Wśród traw wyrastały białe firletki. Kilka leśnych skowronków zerwało się do lotu z gałęzi nad ich głowami, spłoszonych ich przejazdem.

– Widziałeś zbrojnych, którzy wyjechali z Jerolin przed nami? – spytał nagle ksiązę.

– Tak. Widziałem.

W istocie, ponad dwudziestu wojowników opuściło fortecę w dniu, kiedy Veradis przygotowywał się do drogi. Wszyscy mieli zapasowe konie i zapasy na długą podróż.

– Uznałem, że to ma jakiś związek z powrotem Meicala – dodał.
– To doradca twego ojca, prawda?

– W istocie, miało to związek z jego powrotem. – Ksiązę skrzywił się, ale dodał: – Ci jeźdźcy to posłańcy. Mój ojciec wzywa wszystkich władców Ziem Wygnanych na naradę.

– Wszystkich?

– Tak. Posłańcy mają za zadanie odwiedzić każdego z królów.

– Ale po co?

– Cóż, o tym mówić nie powinienem, a przynajmniej na razie. Mój ojciec wyjawi swe powody na naradzie.

– A przyjadą? Czy wszyscy królowie stawią się na spotkaniu?

– Powinni. Mój ojciec jest Najwyższym Królem – odparł Nathair.

– Cóż. – Veradis się skrzywił.

Aquilus w istocie cieszył się godnością Najwyższego Króla, ale w ich czasach był to już pusty tytuł. Wiele pokoleń temu, gdy Wygnańcy wylądowali na brzegach i rozpętali wojnę z klanami olbrzymów, władał nimi tylko jeden król o imieniu Sokar. Gdy władza olbrzymów została obalona, a Ziemię Wygnanych zaludnili ludzie, wszyscy złożyli mu przysięgę na wierność. Miało to jednak miejsce dawno temu. W międzyczasie powstały inne królestwa i na Ziemach Wygnanych zaczęło władać wielu królów, choć wszyscy nadal uznawali zwierzchnictwo monarchy Tenebralu, wywodzącego się od pierwszego władcy. A przynajmniej w teorii.

– Ojciec twierdzi, że przyjadą – rzekł Nathair i wzruszył ramionami. – Choć między nami mówiąc, nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie. – Pochylił się ku towarzyszowi i dodał ciszej: – Słyszałeś o tym, że kamienie olbrzymów płaczą? – Uśmiechnął się, najwyraźniej podekscytowany. – Żyjemy w niezwykłych czasach, Veradisie. W czasach, które, jak sądzę, będą potrzebować twych osławionych umiejętności szermierczych. Żyjemy na krawędzi czegoś nowego. To dobry moment, by stworzyć własny hufiec i, jak już ci mówiłem, cieszę się, że jedziesz pod moim znakiem. – Książę odwrócił głowę i spojrzał na kolumnę jadącą za nimi. – To dobrzy ludzie, bez wyjątku odważni i lojalni. Ty jednakże jesteś synem barona. Jesteśmy do siebie podobni, rozumiesz?

– Tak, mój pa... – Veradis ugryzł się w język. – Tak, rozumiem. I też się cieszę, że staję się częścią tego wszystkiego.

Czuł, że jego ciekawość narasta, a dzięki słowom Nathaira krew w jego żyłach krąży żywiej. Entuzjazm księcia był zaraźliwy, a co więcej, po raz pierwszy od dawna Veradis uświadomił sobie, że odkrywa coś, co jak dotąd było głęboko ukryte. Poczul, że ma jakąś wartość.

* * *

Dni mijały jeden za drugim, a Veradis i jego hufiec nadal zmierzali na południe. Przez jakiś czas jechali w cieniu szczytów, które młodzieniec wypatrzył z oddali. Przemierzali wartkie, spienione potoki, które z hukiem staczały się z wyższych partii gór, aż zjechali w niziny, gdzie lasy złożone z wiązów i klonów szybko ustąpiły miejsca pagórkowatej, porośniętej trawami równinie. W miarę jak jechali na południe, robiło się coraz goręcej, a trawy rzedły i blakły.

Niebawem dotarli do brzegów rzeki Nox, którą przemierzali po starożytnym, kamiennym moście, wzniesionym wiele pokoleń temu

przez olbrzymy. Stamtąd ruszyli wzdłuż rzeki na południe, zagłębiając się w krainę skał i wzgórz, aż pewnego poranka Veradis wyczuł posmak soli w powietrzu i usłyszał krzyki mew w oddali.

Dowódca oddziału, Orcus, uniósł rękę i kolumna jeźdźców zatrzymała się. Nathair zeskoczył z konia i wraz z orlim gwardzistą pochylił się nad rozłożoną mapą, po czym skinął na Veradisa i Raucę. Veradis podszedł bliżej i zmarszczył brwi. Czytanie map zawsze przychodziło mu z trudem. Z pewnością nie przepadał za nimi tak jak jego brat Ektor, który mógł spędzać całe dnie w bibliotece w Ripie, przeglądając stare pergaminy. Niektóre z nich pokazywały nawet granice królestw olbrzymów, którzy rządzą Ziemią Wygnanych, nim na plażach wylądowali Wygnańcy.

– Jesteśmy tutaj – powiedział Orcus i uderzył palcem w mapę niedaleko linii brzegowej.

– Jasne – rzekł Nathair. – I wygląda na to, że znaleźliśmy się w miejscu, wskazanym przez więźnia z Vin Thalun. – Przy tych słowach wskazał wysoki cedr, którego pień został rozszczepiony i zwęglony przez uderzenie błyskawicy. – Jeśli mówił prawdę, do spotkania ma dojść w miejscu oddalonym o milę na wschód od tego drzewa.

– Wkrótce się przekonamy. – Orcus z trzaskiem zwinął mapę i schował ją do skórzanego rulonu.

– Przekażcie ludziom, że jesteśmy już blisko – polecił Nathair Veradisowi i Rauce.

Obaj wojownicy zawrócili i przejechali wzdłuż kolumny jeźdźców, przekazując wiadomość. Nathair, który znów wysforował się na czoło, pomachał ręką i poprowadził ich dalej, skręcając na wschód i zostawiając strumień za sobą.

Niebawem znaleźli się w jałowej krainie niskich wzgórz, skał o ostrych krawędziach i prażonych żarem, wijących się dolin. Nathair wstrzymał oddział wczesnym popołudniem. Słońce było białe i paliło bez litości.

– Dalej pójdziemy pieszo! – zawołał.

Osiemdziesięciu wojowników zeskokczyło z siodeł, szczęknął oręż, zaskrzypiały uprząże. Księżę wyznaczył tuzin ludzi do pilnowania koni, a reszta ruszyła ścieżką ku łańcuchowi niskich wzgórz.

Veradis otarł pot z czoła i pociągnął łyk wody z bukłaka. Znosił upały lepiej od większości towarzyszy, gdyż jego rodzinna Ripa leżała prawie na tej samej szerokości geograficznej i cieszyła się podobnym klimatem. Brakowało mu jedynie powiewu wiatru znad morza, który w Ripie nie zamierał ani na moment. Tu, bez tej nieustannej bryzy, upał wydawał się o wiele cięższy i wręcz duszący. Młodzieniec miał wrażenie, że każdy kolejny oddech pali mu nos i gardło.

Rozciągnięci w długi szereg za Nathairem i Orcusem pięli się po zboczach wzgórz. Ćwieki w skórzanych podeszwach sandałów Veradisa zgrzytały o kamienny grunt. Naraz obaj dowódcy zatrzymali się i wyteżyli wzrok, a potem kapitan odwrócił się i gestem dał znać ludziom, by ustawili się w wachlarz. Veradis, wsparty na włóczni jak na lasce, poprawił tarczę zawieszoną na plecach i ruszył w górę wraz z resztą. Prowadzący ich Nathair dotarł na szczyt wzgórz, gdzie padł na brzuch i poczołgał się naprzód. Wojownicy poszli w jego ślady i wkrótce cały szereg zamarł wzdłuż długiego grzbietu. Veradis osłaniał Nathaira z jednej strony, a Rauca z drugiej. Młodzieniec wyjrzał ostrożnie zza grani.

Teren opadał tu ostro w dół i wyrównywał się dopiero kilkadziesiąt kroków niżej. Veradis spoglądał na płaską, usłaną kamieniami nieckę, przeciętą wąskim parowem, w którym płynął strumień. Na brzegu rosło kilka lichych wawrzynów, a przed drzewami, w cieniu wielkiego głazu, siedział człowiek. Sądząc po jego srebrzystych włosach, umiejętnie związanych skórzanym rzemykiem, nie był już młodzieńcem. Szturczał patykiem niewielkie ognisko, aż buchały iskry, i podsmażał strzelający tłuszczem posiłek. Nucił coś pod nosem. Za jego plecami, na lewo od wawrzynów, wznosił się pstrokaty namiot.

Veradis zerknął na marszczącego brwi Nathaira, a potem znów na starca. Wydawało się, że jest sam, aczkolwiek trudno było mieć pewność. Wśród głązów i kamieni, a także za wawrzynami mogło się ukryć wielu ludzi, a w namiocie jeszcze przynajmniej z tuzin.

– I co robimy? – szepnął Veradis do Nathaira.

Książę wzruszył ramionami i mruknął:

– Czekamy.

Czekali więc, rozciągnięci wzdłuż grani, prażeni przez bezlitosne słońce. Veradis miał wrażenie, że jego okryta kolczugą skóra zaczyna się gotować. Tymczasem starzec nadal smażył swój obiad, a gdy uznał, że jest już gotów, zjadł wszystko i z zadowoleniem oblizał palce. Następnie spiał starannie przyciętą brodę, by się nie zamoczyła i umył ręce w płytkim strumyku. Spojrzał przy tym na grań, za którą czuwał Nathair ze swymi ludźmi.

– W sumie to mógłbyś już zejść! – zawołał. – Nie chce mi się wspinać do was tak wysoko!

Zaskoczony Veradis zamarł i spojrzał na księcia, który wydawał się równie zaskoczony jak on sam. Starzec powtórzył swe zaproszenie, po czym wzruszył ramionami i usiadł, oparty plecami o głąz.

– Dobra, schodzę – szepnął Nathair. – Veradis, Rauca, za mną. Reszta zostaje tutaj. Może wypatrzył tylko mnie.

Z tymi słowami wstał i zaczął ześlizgiwać się w dół stromego zbocza. Obaj przybocznicy nie opuszczali go ani na krok, a Veradis rozglądał się czujnie w poszukiwaniu ukrytych wrogów.

Stary mężczyzna uśmiechnął się i podniósł, czekając, aż Nathair podejdzie bliżej. Za ich plecami rozległ się chrobot kamieni. Veradis spojrzał przez ramię – to Orcus ześlizgiwał się, by do nich dołączyć.

– Witaj, Nathairze, synu Aquilusa. – Starzec uklonił się nisko.

Veradis obszukał go wzrokiem, wypatrując broni, ale niczego nie znalazł. Mimo to nieznajomy emanował siłą i energią, a jego nagie ramiona były żylaste i muskularne. Twarz miał poznaczoną głębokimi zmarszczkami, a w jego oczach skrzył się humor. Młody

wojownik zmarszczył brwi – oczy starca wyglądały dziwnie. Czyżby były żółtawe?

– Król Lykos? – spytał Nathair i zatrzymał się kilka kroków przed starcem.

Veradis, Rauca i Orcus stali tuż za swoim dowódcą.

– Ja? Że niby ja miałbym być Lykosem? – Stary mężczyzna nie przestawał się uśmiechać. – Nie, niestety, nie. Szkoda, że nim nie jestem, bo zazdroszczę mu młodości i wigoru. Niemniej jestem tylko jego sługą i przekazuję jego słowa. Przepraszam was, że nie mogłem stawić się osobiście.

– A gdzie jest? – Nathair omiótł spojrzeniem okoliczne głązy.

– Zatrzymały go sprawy niecierpiące zwłoki, a w swoim zastępstwie przysłał mnie.

– A kim ty jesteś?

– Jestem doradcą Lykosa, króla Trzech Wysp i Morza Thetys. – Starzec znów się uklonił.

Orcus parsknął, a Veradis zauważył, że nieznajomy nie podał im właściwie swego imienia.

– A ów baron, z którym miałeś się spotkać? – spytał Nathair.

– Ach, racja. – Starzec pociągnął za swą krótką brodę. – Musisz zrozumieć, panie, że Lykos i ja bardzo chcieliśmy się z tobą zobaczyć. Owe spotkanie z baronem było tylko... Cóż, wybiegiem. Uznaliśmy, że to najlepszy sposób, by cię tu ściągnąć.

– Co takiego? Skąd niby mieliście pewność, że przyjadę?

Doradca uśmiechnął się.

– Cóż, wszyscy wiedzą, że Peritus, pierwszy miecz twego ojca, na czele większości hufca z Jerolin toczy kampanię przeciwko olbrzymom w Górach Agullas, co wyklucza go z udziału w spotkaniu. Z uwagi na to, że podejrzenie padło na jednego z baronów twego ojca, Aquilus zapewne nie miał ochoty wysłać żadnego z nich. Ba, byłby głupcem, gdyby się na to zdecydował. Czy pozostał więc ktoś inny, komu twój ojciec mógłby zaufać? Poza tym nie jest tajemnicą, że przywilej dowodzenia kampaniami jakoś cię

do tej pory omijał.

Nathair skrzywił się i zarumienił.

– A więc to wszystko – zakreślił ręką łuk – to jedynie fortel?

– Tak, w zasadzie tak, choć nie tego słowa bym użył. Jak już mówiłem, bardzo chcieliśmy się z tobą spotkać.

– Dlaczego?

– Wreszcie dobre pytanie, takie, które celuje w sedno sprawy – rzekł starzec. – Pytanie, które wymaga szczegółowej odpowiedzi. Miałbyś może ochotę wejść do mego namiotu? Są tam wygodne krzesła, jest wino, są owoce. Lepsze warunki, by odbyć długą rozmowę.

Nathair zmarszczył czoło i zmrużył oczy.

– Rozumiem, że nie jesteś jeszcze gotowy. – Doradca wzruszył ramionami. – Wyczuwam u ciebie wiele nieufności, książę.

– Co w tych okolicznościach jest chyba zrozumiałe – rzekł Nathair.

– Rozumiem, w rzeczy samej. Dobrze, przedstawię więc skróconą wersję. Otóż Lykos chciałby doprowadzić do porozumienia między nami.

– Między nami? – parsknął Orcus.

– Tak. Między Tenebralem i Wyspami. Zależy mu na rozejmie, a nawet sojuszu.

– Phi! – prychnął Orcus, ale Nathair nie spuszczał wzroku z doradcy Lykosa.

– Ojciec nigdy się na to nie zgodzi. Nienawidzi Vin Thalun – rzekł.

– Tak, jesteśmy świadomi antypatii Aquilusa – powiedział starzec. – Między innymi dlatego rozmawiam z tobą, Nathairze. Jesteś wszak przyszłością Tenebrału i to ty będziesz decydował o współpracy między nami. Właśnie ty!

– To mój ojciec jest królem, nie ja.

– Na razie tak, ale to nie potrwa wiecznie. – Starzec uśmiechnął się, jakby rozmawiał z przyjacielem. – Im człowiek jest starszy, tym

większe ryzyko, że utknie we własnych stereotypach i nabierze niechęci do zmiany zdania. Czasem więc trzeba świeżej krwi, by poprowadzić ku zmianom. Żyjemy w ekscytujących czasach, o czym twój ojciec z pewnością zdążył już z tobą porozmawiać. Niewykluczone więc, że twoja opinia czy twoja rada będą miały znaczenie.

Spoglądał intensywnie na księcia. Ten parsknął, ale nie odwrócił wzroku.

– Nawet gdybym się zgodził, że sojusz z wami może przynieść jakieś korzyści, skąd mam mieć pewność, czy można wam zaufać? – spytał. – Wam, ludziom, którzy żerują na słabszych od siebie, którzy palą i rabują, którzy, przynajmniej do tej pory, nie potrafili utrzymać sojuszu we własnym gronie?

– I znowu wracamy do tej samej kwestii. – Doradca Lykosa zmarszczył brwi. – Do zaufania, najważniejszego fundamentu każdego związku. Mógłbym cię obsypać słowami i obietnicami, ale słowa przychodzą z łatwością i nie sędzę, byś dał im się zwieść. – Starzec zrobił krok w kierunku ognia. – Być może przydałaby się nieco bardziej praktyczna demonstracja zaufania.

– Jaka znowu demonstracja? – zapytał podejrzliwie Orcus.

– Alcyonie, pozwól do nas! – zawołał doradca.

Spomiędzy wawrzynów wyłoniła się potężna postać z pobrużdżoną, ogorzałą twarzą, czarnymi, zaplecionymi w warkocz włosami i oklapłymi wąsiskami. Na potężnych ramionach mężczyzny wiły się błękitne tatuaże, które znikwały pod rękawami koszulki kolczej. Znad barku sterczała rękojeść ogromnego miecza.

– Olbrzym! – parsknął Rauca, jakby rzucał przekleństwo, a trzech przyboczni księcia jednocześnie dobyli broni.

W tej samej chwili doradca królewski pochylił głowę i wymamrotał kilka słów. Ogień, na którym szykował posiłek, buchnął wysoko. Płomienie w okamgnieniu sięgnęły wzrostem dorosłego mężczyzny, a potem rozbiegły się w bok, formując linię między Nathairem a jego eskortą. Księżę znalazł się

niespodziewanie po niewłaściwej stronie – tej, po której stali doradca Lykosa oraz olbrzym.

Orcus zrobił krok ku płomieniom i cofnął się, gdy te buchnęły mu w twarz, parząc skórę. Veradis usłyszał szczęk oręża i stukot potracanych kamieni, gdy reszta hufca runęła ku nim. Wśród płomieni widział rozedrgane, niewyraźne kontury olbrzymia, księcia i doradcy. Olbrzym dobył już broni i zbliżył jej czubek ku Nathairowi. Veradis nabrał tchu, zasłonił twarz tarczą i wskoczył w ogień.

Rozdział siódmy

CYWEN

Gdzie oni są? – myślała Cywen, gładząc przednią nogę wielkiego dereszowatego źrebaka, jednego z kilku, które Gar kazał jej przypilnować podczas swej nieobecności. Mruknęła, gdy jej palce natrafiły na niewielkie zgrubienie po wewnętrznej stronie kopyta.

– Coś nie tak? – spytał handlarz, który był właścicielem źrebaka.

– Ten tu kuleje. – Dziewczyna wzruszyła ramionami i odruchowo odsunęła kosmyk ciemnych włosów, który uwolnił się spod szpili.

– Co? – Handlarz, mężczyzna z długim, cienkim nosem, zmrużył oczy i wbił wzrok w Cywen.

– Kuleje – powtórzyła dziewczyna.

Stali na wydzielonej linami części łąki pośród stad koni przyprowadzonych na Wiosenny Festiwal. Cywen jeszcze nigdy nie bawiła się tak dobrze. Najpierw pomagała Garowi wybrać i wynegocjować ceny nowych koni, których potrzebował Brenin, a potem stajenny poprosił ją o wsparcie przy wierzchowcach króla. Dziewczyna uważała, że to najlepszy dzień w jej życiu, dopóki nie wypatrzyła Datha z miną ponurą jak jesienny wieczór. Z początku nie chciał jej nic powiedzieć, ale gdy pogroziła mu pięścią, wyjawiał prawdę o tym, co się wydarzyło.

Biedny Corban, pomyślała.

Troska o brata walczyła w jej sercu o lepsze ze złością na Rafe'a. Znowu poczuła przyływ wściekłości i wyobraziła sobie, jak uderza

pięścią prosto w arogancką gębę wyrostka.

Nie, mama obedrze mnie ze skóry, jeśli znowu wdam się w bójkę.

Co gorsza, Gar oświadczył, że musi odnaleźć Corbana i znikł bez śladu, a dziewczyna zaczynała się martwić również o niego. Z trudem skupiła uwagę na handlarzu.

– Gdzie jest Gar? – dopytywał mężczyzna.

– Tu go nie ma. – Cywen wzruszyła ramionami. – Powiedział, że ma ważną sprawę, która może mu zabrać cały dzień. A koń kuleje i tyle. Jestem pewna, że Gar chętnie by go kupił, ale nie za tę cenę. Jeśli chcesz się z nim układać, wróc za rok.

Handlarz skrzywił się, pomarudził jeszcze chwilę, ale w końcu przyjął monety zaproponowane mu przez Cywen i odszedł sztywno, mamrocząc pod nosem. Dziewczyna uśmiechnęła się do siebie i poklepała deresza po karku.

– Dobra robota! – odezwał się ktoś za nią.

Wystraszona Cywen aż podskoczyła. Odwróciła się i ujrzała wysoką, gibką dziewczynę o długich, złocistych włosach, które ocieniały jej piękną, poważną twarz.

– Dziękuję – bąknęła i naraz rozpoznała osobę, z którą rozmawiała.

– Wyście są...

– Edana – odparła księżniczka. – A ty?

– Ja jestem Cywen i... i pomagam tu, w stajniach. Jestem córką kowala Thannona.

– Widywałam cię już w stajniach, głównie z Garem, ale nie wiedziałam, jak masz na imię. Sprytnie poradziłaś sobie z tym kupcem.

Cywen uśmiechnęła się.

– Ten koń rzeczywiście kuleje, ale to wkrótce minie. Spójrzcie, pani. – Cywen uniosła przednią nogę źrebaka i oparła odwrócone kopyto o własne kolano.

Edana przyglądała się ponad jej ramieniem.

– O, tu. – Dziewczyna przesunęła palcem po wybrzuszeniu na

wrażliwej części kopyta, a potem przycisnęła do niego ostrze noża i delikatnie nacięła skórę. – Ta grudka jest tu już od pewnego czasu i zdążyła stworzyć pancerzyk – wyjaśniła.

Skupiona, ostrożnie nacinała dalej twardą skórę, posapując przy tym cicho, aż w końcu przytknęła do niej kciuk i nacisnęła z całej siły. Grudka pękła, a ze środka popłynęła zielona i żółta ropa. Mięśnie konia zadrżały. Cywen szepnęła do niego kilka uspokajających słów i nadal przyciskała kciuk, aż ropa przestała wyciekać.

– Ależ to obrzydliwe – stwierdziła Edana.

– To nie koniec – rzekła Cywen, po czym zanurzyła szmatkę w wodzie stojącej w korycie i zaczęła oczyszczać ranę. Wsunęła czubek noża w głąb skaleczenia, przyciskając go kciukiem, i dłubała, aż wyciągnęła długi kolec. Pokazała drzazgę Edanie. – O, proszę. Nic mu już nie będzie. – Uśmiechnęła się i poklepała konia po karku.

– Skąd wiedziałaś o tej drzazdze? – spytała Edana.

– Gar wiele mnie nauczył. – Cywen wzruszyła ramionami.

– W rzeczy samej.

Coś za plecami Edany przyciągnęło uwagę młodej stajennej. Mignęły jej jasne włosy, potem rozpoznała zawadiacki chód.

Rafe, pomyślała.

– Popilnujcie, pani, źrebaka! – rzuciła i zerwała się do biegu. Zanurkowała pod liną, która wytyczała zagrodę i pomknęła przez tłum ludzi, by bez wahania skoczyć Rafe'owi na plecy. Splątani, zwalili się na ziemię z łośkotem. – Podobało ci się? – warknęła, odskakując od toczącego się po ziemi Rafe'a, a potem przypadła doń, kopnęła w żołądek i znów na niego skoczyła, by zasypać go gradem wściekłych ciosów. Znów się przetoczyli. Rafe próbował się zasłonić, ale wtedy ktoś złapał Cywen i odciągnął. – Puszcząć! – wrzasnęła, wijąc się i szarpiąc. Wymierzyła sponiewieranemu Rafe'owi ostatniego, desperackiego kopniaka.

– Uspokój się, kocico! – rzekł trzymający ją Vonn.

Cywen miotała się jeszcze przez chwilę, aż uświadomiła sobie, że Vonn i Crain nie mają zamiaru jej puścić. Rafe jęknął, trzymając się za brzuch, a potem przetoczył się na bok i podniósł niepewnie. Był brudny od trawy i błota, a jego potargane włosy sterczały na wszystkie strony. Z nosa ciekła mu cieniutka strużka krwi.

W międzyczasie zgromadził się wokół nich tłum gapiów. Ktoś zaśmiał się głośno, a Rafe poczerwieniał.

– Odbiło ci, dziewczyno? – warknął, ścierając wierzchem dłoni krew z twarzy. Zerknął na tłum. – Powinnaś bardziej na siebie uważać. Miałaś szczęście, bo mało brakowało, a wyrządziłbym ci krzywdę.

– To ty miałaś szczęście, że wzięłaś ze sobą dwóch ochroniarzy – parsknęła Cywen.

– Cóż to za choroba każe ci atakować niewinnych ludzi?! – wołał Rafe. – I to od tyłu, jak ostatni tchórz.

Cywen znów zaczęła się szarpać, a chłopak parsknął śmiechem. W jego ślady poszło kilka najbliższych stojących osób, a po chwili wesołość udzieliła się wszystkim gapiom, tym bardziej że Cywen nie zarzucała prób uwolnienia się. Miotała się z narastającą zaciekłością, a przy tym pluła na Rafe'a i warczała na niego.

– Uspokój się, proszę – rzekł Vonn. – W przeciwnym razie będę musiał posłać Rafe'a po wiadro zimnej wody, byś ochłonęła.

– To... on... jest... tchórzem! – wywarczała Cywen, ale przestała się już szarpać. – On, Rafe! Trenuje na Jarzębinowej Łące od ponad roku, a na ofiarę wybiera sobie kogoś, kto nawet stopy tam nie postawił. – Znów na niego splunęła. – Nie wbiłeś sobie jeszcze do głowy kodeksu? A może jesteś zbyt wielkim przygłupem, by go zrozumieć?

Vonn uśmiechnął się szeroko.

– Charakter to ona ma, co nie?

Rafe zmrużył oczy.

– Twemu bratu trzeba było dać nauczkę. A i tobie nie zaszkodzi – syknął, po czym zacisnął pięść i podszedł bliżej.

– Dość! – zawołał ktoś z tłumu.

Rafe zamarł ze wzniesioną pięścią, a do kręgu uformowanego przez gapiów wkroczyła szczupła, dumnie wyprostowana dziewczyna z surową miną. Była to Edana.

– Puśćcie ją – warknęła do Vonna i Craina, miażdżąc ich spojrzeniem.

– Przecież nic byśmy jej nie zrobili – oznajmił Vonn i wypuścił Cywen. – Nie chcieliśmy tylko, żeby zrobiła krzywdę Rafe’owi.

– Ona mnie zaatakowała! – zawołał Rafe, oblizując wargi. – Ktoś musi jej dać nauczki.

– Nauczki? – spytała Edana. – Być może, ale to nie będzie twoje zadanie, Rafe synu Helfacha. Słyszałam co nieco o nauczkiach, jakie daje twój ojciec, i nie życzę takiego losu nikomu. Nawet tobie.

Rafe spurpurowiał.

– Chodźmy! – zwrócił się Vonn do przyjaciół. – Lepiej wykonać strategiczny odwrót. Czuję, że mamy do czynienia z przewagą liczebną.

Mrugnął przy tych słowach do Edany.

– Wielka szkoda, że Corban nie ma tyle odwagi co jego siostra! – zawołał Rafe przez ramię. – Może wówczas byłby w stanie samodzielnie toczyć własne bitwy. A ty – wymierzył palec w Cywen – pamiętaj, że następnym razem, gdy popadniesz w tarapaty, królewska córka może być zbyt daleko!

Potem zniknął w tłumie. Cywen chciała się za nim rzucić, ale Edana powstrzymała ją, dotykając jej ramienia.

– Chodźmy już – powiedziała i delikatnie skierowała dziewczynę ku zagrodom.

Szły w milczeniu.

– Dziękuję – szepnęła Cywen, głaszcząc dereszowatego żrebaka. – Czasami rzucam się do działania, zanim się porządnie zastanowię. No dobra, nie czasami. Często. – Zarumieniła się na myśl o tym, co właśnie zrobiła. I to jeszcze na oczach Edany, córki samego króla... – Przepraszam – powiedziała.

– Wyjaśnisz mi, o co poszło?

Edana z uwagą wysłuchiwała opowieści o tym, co zdarzyło się między bratem Cywen a Rafe'em. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, barwiąc zatokę na migotliwy brąz. Zagrody pustoszały, a ludzie kierowali się ku północnej części łąk.

– ...a teraz zaczynam się martwić również o Gara, bo żaden z nich nie wrócił, a jest już bardzo późno – zakończyła Cywen.

Edana spojrzała w kierunku traktu olbrzymów.

– Widzę dwóch jeźdźców. Spójrz!

– To chyba naprawdę oni! – zawołała Cywen.

Obie dziewczyny ruszyły przez łąki. Cywen niemalże biegła, a Edana szła obok posuwistymi krokami, bez trudu dotrzymując jej tempa. Dotarły do drogi i podążały nią aż do miejsca, w którym rozwidlała się na wschód i zachód. Jeźdźcy byli już blisko – jeden dosiadał konia, a drugi kuca.

Cywen podbiegła bliżej i uściśnęła nogę Gara, gdy ten wstrzymał swego srokacza.

– Gdzie wy byliście?! – wykrzyknęła. – Nie było was tak długo!

– Najlepiej będzie, jak spytasz swego brata – rzekł Gar, jak zwykle z kamienną twarzą.

Cywen spojrzała na Corbana, który podjechał bliżej na swoim kucu.

– Och, Ban – szepnęła na widok jego posiniaczonej, pokaleczonej twarzy.

– Cześć, Cywen. – Chłopak zmusił się do uśmiechu.

Wtedy do jego siostry podeszła Edana i Corban zarumienił się po uszy. Gar skinął jej na powitanie.

– Obserwowałam Cywen przy pracy z końmi – rzekła Edana. – Jestem pod wielkim wrażeniem jej umiejętności. Powiedziała mi, że miała dobrego nauczyciela.

– Szybko się uczy, pod warunkiem że trzyma jęzor za zębami na tyle długo, by mnie wysłuchać – odparł główny stajenny.

– Gdzie byłeś, Ban? – spytała Cywen.

– W Baglunie.

– Co? Dlaczego? – sapnęła przerażona dziewczyna.

– Nie przejmuj się. Ale nie mów mamie – dodał szybko Corban. – O tej drugiej sprawie pogadamy później – szepnął, zerkając na Edaną.

– O drugiej sprawie? Masz na myśli Rafe’a? – Cywen spojrzała w tym samym kierunku co jej brat. – Nie martw się, Edana wie o wszystkim.

– Och. – Corban zgarbił się.

– Twoja siostra zamieniła kilka słów z Rafe’em – powiedziała Edana.

– Co? – Głos zaskoczonego Corbana przeszedł w pisk. – Co masz na myśli?

– Kiedy Dath opowiedział mi o tym, co ci się przytrafiło, rozgniewałam się jak rzadko, a potem, cóż... Potem ujrzałam go w tłumie. Rafe’a, znaczy się. I...

– Co ty zrobiłaś? – spytał surowo Gar.

Corban poczuł, że robi mu się niedobrze.

– Cóż, nie pamiętam dokładnie, ale przewróciłam go na ziemię i walnęłam parę razy pięścią. I chyba go też kopnęłam.

– Gdy przybyłam na miejsce, krwawił z nosa – dodała Edana.

Gar wpatrywał się w Cywen, która zerknęła na brata, szukając wsparcia i pociechy. Twarz Corbana wydawała się wykuta z kamienia.

– Wielkie dzięki – powiedział w końcu zimnym głosem. Brzmiał tak, jakby miał problemy z oddychaniem. Cywen wpatrywała się w niego, a w jej żołądku rozlewało się zimno. – Gdy znów będę musiał się z kimś bić, zawołam cię, byś mogła mnie wyręczyć.

– Rafe też coś takiego powiedział – palnęła Cywen bez namysłu. Gdy się zorientowała, co właśnie zrobiła, zacisnęła usta i zasłoniła je dłonią. Corban skrzywił się. – Ban, nie bądź głupi! – zawołała. – Przecież jutro nikt nie będzie o tym pamiętał. I przestań się tak krzywić, bo wyglądasz jak stary Eluned, a to nic dobrego, jak sam

wiesz.

Corban nabrał tchu.

– Tak czy owak, musisz się doprowadzić do porządku. Zobaczmy też, czy uda się jakoś naprawić twój płaszcz, nim mama cię zobaczy. Ze skóry cię obedrze, jeśli zjawisz się w takim stanie na zrękowinach.

– Wiem – odparł przygnębiony chłopak.

– A skoro już mowa o matkach – odezwała się Edana – myślę, że na mnie czas. W przeciwnym razie moja też będzie chciała zrobić mi coś okropnego.

Główny stajenny pochylił głowę.

– Do zobaczenia, pani.

– Bywaj, Garze – rzekła Edana z uśmiechem, po czym odwróciła się i ruszyła pośpiesznie ku tłumom na łące.

– Co za pokaz głupoty! – jęknął Corban.

– Odczep się od niej! – warknęła Cywen. – Wcale nie jest głupia.

– Nie miałem na myśli jej, a siebie.

Siostra miała ochotę zgodzić się z nim, ale ugryzła się w język.

Przypomnę mu te słowa przy innej okazji, pomyślała.

– A poza tym to nie rozmawiam z tobą. – Corban wycelował w jej kierunku palec.

– Chodźcie – rzekł Gar, który siedział już w siodle, ale nagle odwrócił się i spojrzał na wschód wzdłuż traktu olbrzymów.

– Co się dzieje? – spytała Cywen.

– Jacyś dwaj jeźdźcy – mruknął stajenny, ale wzruszył ramionami i rozsiadł się wygodniej.

Wszyscy razem skierowali się do osady.

– Co ty robiłeś w Baglunie? – zapytała Cywen, ale Corban zignorował ją. – Przestań już się tak zachowywać, Ban! – ciągnęła.

– Wiem, że nie potraktowałam Rafe’a miło, ale... ale spójrz tylko na swoją twarz.

Oparła dłoń na jego nodze. Corban szarpnął za wodze, a Wierzba skreślił i oddalił się od dziewczyny.

– Dlaczego chcesz mnie ukarać? – spytała ze łzami w oczach. – Jeśli chcesz na kims wyładować swą złość, to może wybierz Rafe’a, co?

Corban znów się skrzywił i popędził Wierzbę. Cywen ruszyła za nim biegiem, ale gdy mijała wierzchowca głównego stajennego, ten przywołał ją do siebie.

– Daj chłopakowi chwilę – powiedział.

– Ale...

– Daj mu spokój – rzekł stanowczo. – Nie pomagasz mu w ten sposób.

– Ty też nie! – burknęła dziewczyna i kopnęła leżący na drodze kamień.

– Wiem, że nie masz złych intencji, ale czasami, jak na przykład teraz, dobrze by było się zastanowić, zanim zaczniesz działać. Nie rozumiesz, że twoja odwaga sprawiła, że Corban wyszedł na tchórza nie raz, ale dwa razy?

– Ale on wcale nie jest tchórzem! – parsknęła dziewczyna.

– Moje czy twoje zdanie nie ma tu znaczenia. On w to wierzy i tyle.

– Czy to naprawdę aż takie ważne? – spytała Cywen. – Przecież on ma jedynie rozciętą wargę. Bywało, że poturbowałam się gorzej, spadając z konia.

– Tu wcale nie chodzi o rozciętą wargę. Niebawem Corban wkroczy na Jarzębinową Łąkę, by rozpocząć swój marsz ku dojrzałości. Wydarzenia z dzisiejszego dnia zaciążą mu na sercu.

– Co ja mogę zrobić? – zapytała Cywen.

– Zrobić? Nie, lepiej już nic nie rób, niech cię Elyon strzeże. Corban musi przejść przez to sam. Ty natomiast wbij sobie do głowy, że najpierw się myśli, a potem działa. Tym się lepiej zajmij. – Gar spojrział na przygarbioną Cywen i dodał: – Po prostu daj mu trochę czasu.

Dziewczyna pokiwała głową.

Na spotkanie wybiegł im Dath. Corban ściągnął wodze,

a chłopak przypadł do niego, na chwilę przedtem, zanim nadjechali Cywen i Gar.

– Jak się masz, Ban? – spytał, przyglądając się uważnie przyjacielowi.

– W porządku – odparł oschle Corban, ale zaraz westchnął i dodał: – Trochę mnie boli podbródek, jeśli mam być szczery, i warga. I żebra.

– Pozbierałem twoje prezenty – rzekł Dath.

– Och, całkiem o nich zapomniałem. – Corban zajrzał do torby przyjaciela.

– Słyszałem o tym, co zrobiłaś! – Dath spojrzał na Cywen z szerokim uśmiechem. – Ludzie na jarmarku nie mówią o niczym innym.

Dziewczyna zrobiła tak paskudną minę, że uśmiech Datha wyparował w jednej chwili.

– Masz, to dla ciebie – wymamrotał Corban i rzucił Cywen broszę.

– Ale piękna! – zachwyciła się jego siostra i musnęła palcem wyrzeźbionego na niej konia. – Dziękuję, Ban. – W jej oczach znów pojawiły się łzy.

Za nimi rozległ się tętent kopyt. Dwaj jeźdźcy, których wcześniej spostrzegł Gar, pędzili ku nim, błyskawicznie pokonując dystans, aż zrównali się z ich grupą. Mieli wielkie, okrągłe tarcze, przytroczone do końskich siodeł i długie miecze u boku, a ich płaszcze były zakurzone i brudne. Gar skinął im na powitanie. Jeden z nich, zdaniem Cywen młodszy od towarzysza, uśmiechnął się szeroko. Błękitne oczy rozbłysły na chłopięco przystojnej twarzy.

– Witajcie – rzekł. – Patrzę właśnie na tę stertę kłopotów nad urwiskiem i zastanawiam się, czy aby nie dotarliśmy do Dun Carreg.

– Dotarliście – odparł Gar.

Błękitnooki jeździec uśmiechnął się do towarzysza i klepnął go

w plecy.

– Słyszałeś go, bracie?

Jego towarzysz siedział jednak w milczeniu na koniu i wpatrywał się w fortecę.

– Chcemy rozmawiać z królem Breninem – rzekł w końcu. Długie, ciemne włosy okalały surową, ogorzałą twarz.

– Znajdziecie go na łąkach – powiedział Gar. – Jego bratanek ma dziś zrękowiny.

– Dziękuję – odparł surowy wojownik i obaj mężczyźni popędzili konie ku łąkom.

Stajenny odprowadził ich wzrokiem, na jego czole pogłębiała się zmarszczka. Potem odwrócił się w stronę Corbana.

– Chodźcie, słońce już prawie zaszło. Cywen, postaraj się wydobyć utracony blask z płaszcza twego brata, a ja przedstawię go wiadru wody.

Rozdział ósmy

KASTELL

Kastell przeciągnął się w siodle i odetchnął głęboko. Powietrze było zimne i rześkie, przesycone zapachem świerków porastających górskie stoki, ku którym zmierzali. W miarę jak jego rodzinna twierdza Mikil nikła mu z oczu, powoli odzyskiwał entuzjazm i energię. Życie w zamku ostatnio stało się nie do wytrzymania, więc kiedy jego wuj Romar, król i władca całego Isiltiru, zaproponował, by wyruszył w eskorcie kupieckiej karawany, zgodził się bez wahania.

U boku jechał jego przyboczny, wojownik o imieniu Maquin, ze swobodą i lekkością trzymający długą tarczę po wewnętrznej stronie łokcia. Ich znajomość trwała od wielu lat, gdyż Maquin był ostatnim żyjącym domownikiem jego ojca. Wszyscy pozostali nie żyli już od dziesięciu lat, wymordowani przez olbrzymy, które urządziły wypad z lasu Forn.

Kastell wstrzymał konia i spojrzał za siebie, odgarniając rude włosy z oczu. Na wschodzie ciągnął się las Forn, najstarszy i budzący największą grozę na Ziemiach Wagnanych. Młodzieniec przyglądał się ciemności, która kotłowała się i czaiła w odległości zaledwie kilku mil, i zadrżał, choć słońce grzało go prosto w twarz. Ogromne drzewa wznosiły się niczym mroczna ściana, a dalej przeradzały się w ciemny, falujący ocean, ciągnący się w nieskończoność w stronę północnego horyzontu. Choć Mikil

leżała w odległości zaledwie kilku dni podróży od wielkiej puszczy, Kastell widział ją po raz pierwszy od wielu lat. Po raz pierwszy od rzezi, która spotkała jego rodzinę. Oddziały wojowników z Isiltiru nieustannie patrolowały obrzeża lasu i chroniły mieszkańców przed istotami, które mogły w każdej chwili wyłonić się z głębi Fornu – dzikimi olbrzymami Hunen, żądnymi zemsty za krzywdy wyrządzone im w przeszłości, watahami wilkunów oraz rojami wielkich nietoperzy, gotowych wyssać z człowieka ostatnią kroplę krwi.

– Nienawidzę tego lasu – szepnął.

– Zgadza się – burknął Maquin. – Złe wspomnienia.

Na zachodzie nadal widać było szare mury twierdzy Mikil, wyraźnie odcinające się od otaczających je równin. Kastell cieszył się, że mógł wreszcie się stamtąd wyrwać i uwolnić od mieszkających tam krewniaków, a przynajmniej od jednego z nich – kuzyna Jaela, którego ojciec zginął w okolicznościach zbliżonych do tych, w których Kastell stracił własną rodzinę.

Byli w wieku na tyle podobnym, by móc wychowywać się jak bracia, ale nie było między nimi miłości, a Jael czerpał wiele satysfakcji z upokarzania Kastella. Zachowanie kuzyna nigdy nie sprawiało Kastellowi przyjemności, ale gdy byli młodszy, te zaczepki miały przynajmniej formę zabawy, choć chłopak nie przypominał sobie, by kiedykolwiek w niej wygrywał. Teraz, ponad rok po tym, jak obaj ukończyli szesnaście lat, przeszli sprawdzian wojownika oraz przesiedzieli Długą Noc, z chłopców stając się mężczyznami, drwiny Jaela stały się ostrzejsze i bardziej rzeczywiste. W sercu Kastella gromadziła się kipiąca wściekłość, która z każdym kolejnym szyderstwem kuzyna była bliższa wybuchu.

Tak, lepiej trzymać się z dala od Mikil.

Kastell skupił się na drodze. Podążali szerokim, kamiennym traktem, który wijąc się, wnikał między góry. Wraz z Maquinem jechali na tyłach kupieckiej kolumny składającej się z dwudziestu wozów, co do jednego ciężko wyładowanych towarem zakupionym

w Mikil – sztabami srebra ze słynnych kopalni twierdzy, a także kadziami z miodem, balami tkaniny i beczkami jabłek. Karawana zmierzała do Halstat, górniczego miasta w Helvecie. Jej eskortę stanowiło czterdziestu wojowników, żołnierzy z Helvethu, którzy służyli kupcom w Halstat, oraz najemników jego wuja, który w każdej sytuacji był w stanie dostrzec szansę na zarobek. Napady olbrzymów skłaniały bowiem ludzi interesu do zaciągania większych eskort, tym bardziej że jedyna droga przez góry do Helvethu biegła niebezpiecznie blisko lasu Forn.

Kastell popędził konia, Maquin pognał za nim.

– Kiedy dotrzemy do Halstat? – spytał młodzieniec, gdy dogonili wozy.

– Za dwanaście, czternaście nocy – odparł Maquin. – W tym tempie może nawet później. Któż by pomyślał, że sól jest aż taka droga.

Halstat zawdzięczało swój dobrobyt kopalniom soli, które zaopatrywały większość ziem Helvethu i kraje ościenne, w tym Isiltir.

– Ja chętnie uszczupliłbym ładunek karawany o dzban miodu czy dwa – dodał wojownik.

– O ile ruszylibyśmy dzięki temu szybciej – stwierdził Kastell.

Wolne tempo już zaczynało działać mu na nerwy, choć bez przerwy powtarzał sobie, że wszystko jest lepsze od pobytu w Mikil i Jaela.

Reszta dnia upłynęła bez szczególnych wydarzeń. Jechali drogą, która pięła się wśród gór, aż wreszcie słońce ruszyło w dół, a cienie zaczęły się rozciągać. Ogłoszono postój i wędrowcy sprawnie przystąpili do rozbijania obozu.

Kastell usiadł w pewnej odległości od żołnierzy i służby kupców. Metodycznie przesuwając osełkę to z jednej strony ostrza miecza, to z drugiej, co stanowiło element jego wieczornej rutyny. Rytmiczny zgrzyt osełki wprowadził go w trans. Pochłonięty myślami uświadomił sobie czyjąś obecność, dopiero gdy ujrzał przed sobą buty. Uniósł

głowę i zobaczył Maquina, który trzymał dwa kubki i bukłak wina pod pachą. Stary wojownik uśmiechał się.

– Weź to, chłopcze – rzekł i wcisnął Kastellowi kubek.

Kwaśny, mocny miód szybko odpędził chłód nocy.

– Możemy usiąść przy ogniu – dodał Maquin, gdy spostrzegł, że młodzieńca przeszywa dreszcz.

– Tu mi dobrze – odparł Kastell.

Wokół ognia zasiadali przecież nie tylko najemnicy i kupcy, ale też wojownicy z Mikil.

Większość z nich zapewne jest już zatruta kłamstwami Jaela, pomyślał z irytacją młodzieniec.

Przyboczny obrzucił go długim, znaczącym spojrzeniem, ale nie powiedział ani słowa. Spomiędzy wozów wyszedł Aguila, dowódca najemników, który podszedł do siwowłosego Maquina, ukucnął przed nim i wręczył mu bukłak. Wojownik pociągnął spory łyk, po jego brodzie pociekł ciemny płyn. Zakaszłał.

– Na pewno lepsze od tych końskich sików, które pijecie – rzekł Aguila z uśmiechem. – No i szybciej rozgrzewa.

– W to akurat jestem skłonny uwierzyć – odparł Maquin i pociągnął kolejny łyk, a potem oddał bukłak Aguieli. Kapitan podał go Kastellowi, który obwąchał go uważnie.

– To cię nie zabije, chłopcze – powiedział mężczyzna.

Kastell pociągnął potężny łyk, przełknął i rozkaszłał się. Miał wrażenie, że brzuch i gardło stanęły mu w ogniu.

– Co to jest? – wychrypiał, gdy zdołał wreszcie złapać oddech.

– Lepiej nie pytaj. – Aguila wyszczerzył zęby. – Łatwiej wówczas wchodzi i lepiej smakuje.

Kastell nie uwierzył mu, ale wziął kolejny, mniejszy łyk. Tym razem nie zapiekło aż tak bardzo.

– No, dzielny chłopak! – Kapitan klepnął go w ramię. – Cieszę się, że jesteście z nami.

Zerknął na miecz Kastella oraz osełkę.

– Dobrze jest raz na jakiś czas wyjechać na chwilę z Mikil – rzekł

Maquin.

– Fakt. Sytuacja wygląda nieco inaczej niż podczas mojej ostatniej wizyty, temu nie da się zaprzeczyć. Nie dało się wejść do karczmy, żeby któryś z ludzi Romara nie pogroził ci mieczem.

– Mówisz o moim wuju – odezwał się Kastell, ale jego głos nie zabrzmiał tak mocno, jak sobie tego życzył.

– Wiem o tym. – Aguila wzruszył ramionami. – Nie chciałem nikogo znieważyć, dzielę się tylko spostrzeżeniem. Coś jest nie tak i tyle.

– Nie mylisz się – rzekł Maquin. – Dziwne rzeczy się dzieją, zarówno w twierdzy, jak i w okolicy.

– Co masz na myśli? – spytał Aguila.

– Widziałeś kamień olbrzymów, który wyznacza granice Isiltiru? Do Mikil dotarły wieści, że zaczął krwawić.

– Ludzie tu i ówdzie szepczą już o tym – rzekł Aguila. – W Helvecie, na południe od Halstat, stoi cały krąg kamieni olbrzymów. Podobno tam dzieje się to samo.

– Ale to nie wszystko, przynajmniej jeśli chodzi o Romara. Ktoś ukradł topór z gwiazdnego kamienia.

– Ach. To wszystko wyjaśnia. – Aguila pokiwał głową.

Topór z gwiazdnego kamienia był legendarnym reliktem, pochodzącym z epoki sprzed pojawienia się Wygnańców, a nawet sprzed Plagi Elyona. Jeśli wierzyć opowieściom, gwiazda spadła z nieba w czasach, gdy ludzie i olbrzymy żyli w pokoju i harmonii, choć Kastell nie wierzył, by kiedykolwiek mogło tak być. Z gwiazdnego kamienia wykuto później siedem Skarbów – kocioł, torkwes, naszyjnik, włócznię, sztylet, topór i kielich – które stały się przyczyną rozlicznych wojen. Te zaś w końcu wywołały straszliwy gniew Elyona, który zesłał Plagę. Mówiono, że topór w Mikil zaliczał się do Skarbów, a ludzie wierzyli w to, że dysponuje magicznymi właściwościami, które pozwalają pokonać granicę między światem doczesnym a Zaświatem, gdzie mieszkali bogowie Elyon i Asroth. Podążali więc z daleka, by go ujrzyć.

Kastell nie miał pojęcia, czy te historie są prawdziwe, i właściwie powątpiewał w nie, ale wiedział jedno – topór był dla Mikil źródłem wielkiego bogactwa. Wraz z niekończącym się ciągiem pielgrzymów odwiedzających relikwiarz do skarbcza trafiał strumień złota i srebra. Romar również zdawał sobie z tego sprawę, więc po kradzieży topora jego wściekłość nie miała granic. Kolejny powód, by wyrwać się na chwilę z Mikil. Ataki furii Romara i drwiny Jaela nie dodawały temu miejscu uroku.

– Kiedy do tego doszło? – spytał Aguila.

– Dziesięć nocy temu – odparł Maquin.

– A kto dopuścił się kradzieży? Pewnie Hunen – wymamrotał najemnik.

– Hunen – powtórzył Kastell. – Z pewnością marzą o Skarbie, a w promieniu stu mil nie ma innego klanu olbrzymów, ale myślę, że zauważono by ich, gdyby się zakradli do Mikil. Ktoś o wzroście olbrzyma rzuca się w oczy.

Znów pociągnął z bukłaka. Tym razem alkohol wydał mu się niemalże przyjemny.

– Pewno, ale oni przecież władają magią żywiołów – upierał się Aguila. – Może rzucili jakiś urok?

– Może – zgodził się Maquin i wyjął bukłak z rąk Kastella.

– Hunen to podstępny, straszliwy klan – rzekł kapitan.

– Wiem coś o tym – wymamrotał Kastell.

– Miałeś więc z nimi do czynienia, co? – zapytał Aguila.

– Hunen wybili jego rodzinę i zabili człowieka, któremu złożyłem przysięgę na wierność – rzekł ponurym głosem Maquin.

Kastell zamknął oczy i przypomniał sobie ogromne postacie, wdzierające się przez wyłamane bramy rodzinnej twierdzy, wymachujące wielkimi młotami i toporami wojennymi, w blasku ognia z pożarów. Miał wówczas sześć lat. Oddałby wiele, by Aguila zmienił temat. Nie mówiąc ani słowa, odebrał bukłak od swego przybocznego i upił kolejny łyk.

– Zwolnili cię po wpłaceniu okupu? – spytał Aguila.

– Hunen nie biorą jeńców – odrzekł Kastell. – Maquin mnie wyniósł.

– Ten klan to banda morderców i grabieżców, nic ponad to! – warknął Maquin, a Kastell ułożył palce w znak chroniący przed złem.

Aguila zauważył to i uśmiechnął się.

– Nie musisz się teraz nimi przejmować, chłopcze. Jest tu czterdziestu zbrojnych, a ja założę się, że i ty dobrze wiesz, do czego służy twój miecz. Sam Elyon wie, że jest już dostatecznie ostry.

Zerknął wymownie na osełkę i mrugnął do Maquina.

– Kpisz sobie ze mnie? – Kastell niespodziewanie poczuł, jak narasta w nim gniew. – Gadałeś z Jaelem, tak? – warknął.

Krew napłynęła mu do twarzy, a dłoń opadła na rękojeść miecza. Przyjazny uśmiech Aguii znikł, rysy twarzy stwardniały.

– Lepiej bacz na słowa – powiedział, wstając. – Może i należysz do rodu Romara, ale nie będzie cię to wiecznie chronić.

Kastell odprowadził odchodzącego kapitana pochmurnym spojrzeniem.

– Widzisz, jak się ze mnie natrzęsają? – burknął. – Skoro Jael tak postępuje, wszyscy inni sądzą, że też mają do tego prawo. – Zacisnął mocno zęby.

Maquin nabrał głęboko tchu i pokręcił głową.

– Czasami, Kas, doszukujesz się wrogów tam, gdzie ich nie ma. Aguila nie chciał cię urazić, chyba to rozumiesz?

Kastell parsknął.

– Nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać z tobą na ten temat – rzekł Maquin. – Wiele razy czułem, że powinienem się wtrącić, ale powstrzymałem się od tego w nadziei, że sam dostrzeżesz prawdę. Gdy przeszedłeś sprawdzian wojownika, przebyłeś Długą Noc i stałeś się mężczyzną, sądziłem, że wszystko samo się skończy. – Ponownie pokręcił głową. – Myślę więc, że pora na kilka słów prawdy. Jael nie obrócił wszystkich ludzi przeciwko tobie, nawet jeśli rzeczywiście przyszło mu to do głowy. Nie jesteś uważany za

kogoś, z kogo można bezkarnie drwić. Wielu uważa cię jednak za człowieka wyniosłego i aroganckiego. Zbyt dumnego, by zadawać się z innymi. Jest w tobie wiele dobra, Kas, ale naucz się to pokazywać, bo w przeciwnym razie to dobro zniknie zagrzebane pod kurhanem użalania się nad sobą. Twój ojciec byłby rozczarowany, gdyby słyszał twe słowa.

Zakończywszy wypowiedź, stary wojownik podniósł się i odszedł, a Kastell siedział nieruchomo i wpatrywał się w trawy szeroko otwartymi oczami.

Przesiedział tak w samotności resztę wieczoru, słuchając prowadzonych półgłosem rozmów i śpiewanych cicho pieśni innych wędrowców. Gdy większość udała się już na spoczynek, Maquin przekazał Kastellowi, że przypada mu następna warta. Chłopak wymknął się po cichu poza krąg wozów i stanął na obrzeżach obozu.

Użalanie się nad sobą, powtórzył w myślach, krzywiąc się ponuro i wpatrując się w mrok. W jego sercu gniew toczył bój ze wstydem.

Z gór powiał chłodny wiatr i Kastell otulił się szczelniej płaszczem. Po nocnym niebie mknęły chmury i blask księżyca to przygasał, to znów się rozjarzał. Słowa Maquina poruszyły go do głębi i myślał nad nimi przez całą wartę, aż niechętnie doszedł do wniosku, że stary przyboczny miał rację. Czuł wstyd i był zły na siebie za to, jak się zachowywał, ale ta złość obejmowała również Maquina, Aguilę i wielu, wielu innych, którzy po prostu go nie rozumieli. Tak, zachowywał się jak dziecko, jak rozpuszczone, nadęte dziecko, ale w jego sercu pojawiła się iskierka nadziei. Myśl o tym, że większość mieszkańców fortecy wcale nie sprzymierzyła się z Jaelem, by z niego sztydzić i drwić, przyniosła mu pokrzepienie. Nagle w samym środku nocy podjął nową decyzję.

Zrobię to rano, pomyślał.

Gdy świeca wyznaczająca długość jego warty wypaliła się i zgasła, zapalił nową od żaru ogniska i obudził swego zmiennika.

Chwilę później już spał.

* * *

Na niebie szarzał nadchodzący świt, gdy Kastell otworzył oczy. Podniósł się szybko i zakrzętnął wokół siebie. Osiodłał wierzchowca i pomógł innym zaprząć konie pociągowe do wozów i załadować sprzęt obozowy. Gdy obowiązki dobiegły końca i większość członków karawany zasiadła do śniadania, Kastell zauważył Aguilę, który zbliżał się do swego wielkiego, gniadego rumaka. Podbiegł do kapitana i poklepał go po ramieniu.

– Ja... ja chciałem przeprosić za to, co powiedziałem wczoraj – rzekł. Jego głos lekko zadrżał. – Źle cię zrozumiałem.

Na twarzy Aguili znów pojawił się swobodny uśmiech.

– Już nie pamiętam, o co chodziło, chłopcze – odparł.

Kastell skinął głową, a potem, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, odwrócił się i odszedł. Sam również się uśmiechał. Kątem oka dostrzegł, że Maquin mu się przygląda.

Rozdział dziewiąty

CORBAN

Heb uniósł ręce ku niebu. Promienie zachodzącego słońca obramowały jego sylwetkę.

– Fionn ap Torin, Marrocku ben Rhagor! – wykrzyknął potężnym głosem, zaskakującym jak na człowieka tak chudego. – Oto wasz dzień się kończy! Zarówno wasze ręce, jak i wasze serca zostały związane, przeto przeżyliście go jako jedna osoba. Nadszedł moment Wyboru. Czy chcecie związać się na wieczność czy lina ma zostać przecięta?

Marrock i Fionn spojrzeli po sobie i unieśli związane ręce ku niebu.

– Chcemy pozostać związani ze sobą i przeżyć to życie razem!

Zgromadzony tłum obiegnął szmer, a Heb zrobił krok naprzód i ujął związane dłonie młodych.

– Nadszedł czas przysięgi! – wykrzyknął.

– Fionn ap Torin – zaczął Marrock. – Obiecuję ci pierwszy kęs mej pieczeni, pierwszy łyk mego miodu...

Corban przestąpił z nogi na nogę.

Zaraz umrę z głodu, pomyślał, wpatrzony w długie ławy stojące w rzędach niedaleko ognisk, uginające się od mis z dymiącym jedzeniem. Mama wpatrywała się w ślubującą parę, a w jej oczach mieniły się łzy. Jego ojciec Thannon, ogromny niczym niedźwiedź, stał obok niej, a ogar Buddai leżał zwinięty u jego stóp. Wokół oka

Thannona czerwienił się siniak, miał też rozbitą wargę, ale nie wydawał się tym przejmować – został przecież mistrzem pięściarstwa na kolejny rok.

Wszystko skończyło się o wiele lepiej, niż mogło, uznał Corban i pogładził własną spuchniętą wargę.

Mama oczywiście spytała go, co się stało z płaszczem, ale przyjęła wyjaśnienie, że śpieszył się na zrękowiny i zostawił go przy Wierzbie, choć widać było, że jest nieco zirytowana. Skaleczenia i siniaki zrzucił na niefortunny wypadek, w którym, oprócz niego, udział wziął Dath oraz pewne drzewo, co w sumie nie było dalekie od prawdy. Uniesione brwi mamy i nieprzyjemne spojrzenie ojca przepełniły go niepokojem, ale wówczas pośpiesznie rozdał prezenty, unikając kolejnych pytań.

Westchnął ciężko.

Dlaczego te ceremonie są takie nudne?, pomyślał.

Na szczęście Heb śpiewał właśnie ostatnie błogosławieństwo:

– ...niech pokój was zawsze otacza, a szczęście próg domostwa wyznacza.

Znawca obyczajów podał kielich, który para młodych ujęła związanymi rękami. Oboje upili z niego łyk, a potem Heb rzucił go na ziemię i rozdeptał.

– I stało się! – zawołał, a tłum zaczął wiwatować.

– Dalej! – Dath szturchnął Corbana w żebra. – Czas na żarcie!

Chłopak pokiwał głową i poprowadził przyjaciela w kierunku ławy. Dostrzegł już przy niej Dylana. Ten powitał go uśmiechem.

– A więc wróciłeś!

– Jasne – odparł Corban.

– Co ci się stało w twarz?

Corban wzruszył ramionami, na samo wspomnienie Rafe'a w jego sercu buchnął gniew.

– Zaraz po naszym spotkaniu pojechałem do Baglunu – rzekł, pragnąc zmienić temat.

– Sam? – spytał Dylan.

– Tak, sam.

– Nie powinienesz robić takich rzeczy, Ban. Mogłeś popaść w niezłe tarapaty!

I tak też się stało, pomyślał Corban, ale parsknął głośno i warknął:

– Nie jestem dzieckiem!

Nie miał pojęcia, skąd się wziął u niego taki ton. Natychmiast go pożałował. Przecież był zły na Rafe'a, a nie na Dylana.

Na szczęście Darol przywołał syna do siebie, a wtedy Corban i Dath zaczęli wrzucać kawałki ciepłego chleba i rozmaitych mięs na drewniane talerze. Dath przycisnął ramieniem do ciała dzbanuszek z sosem, odwrócił się i zamarł. Jego oczom ukazała się bowiem kobieta o srebrnych, długich włosach, która napełniała własny talerz. Była to uzdrowicielka Brina.

– Co się dzieje, Dath? – mruknął Corban.

– To ona! – syknął jego przyjaciel. – Wiedzma!

Brina w istocie cieszyła się nie lada reputacją wśród ludzi zamieszkujących okolice Dun Carreg. Przypuszczalnie usłyszała słowa Datha, gdyż spojrzała prosto na niego i skrzywiła się wymownie.

Chłopak wyglądał, jakby jego gałki oczne miały lada chwila wystrzelić z czaszki. Odwrócił się pośpiesznie i naraz zderzył z twardą ścianą skóry i żelaza, upuszczając przy tym zarówno dzbanek, jak i talerz.

Brat królowej, Pendathran, pochylił się nad chłopcami i skrzywił. Rozlany przez Datha sos ściekał mu z tuniki na buty. Nie bez powodu nazywano go Niedźwiedziem.

– Prze... przepraszam! – wyjąkał Dath, próbując zetrzeć tłuszcz z ubrania wojownika, ale zdołał jedynie rozsmarować go jeszcze bardziej.

Pendathran złapał chłopaka za nadgarstek i warknął. Corban przez moment był przekonany, że jego przyjaciel zemdleje ze strachu, ale wtedy surowa mina wojownika znikła, a on sam

zachichotał.

– Nie martw się, chłopcze – oznajmił. – Mój bratanek się żeni, więc wybaczam ci, nawet jeśli jesteś niezdarnym idiotą.

Dath uśmiechnął się z ulgą, ale Pendathran spojrział nad jego ramieniem i jego dobry humor znikł. Na twarzy znów pojawił się grymas.

– Witaj, Pendathranie – rzekł drobny, niski mężczyzna, któremu towarzyszył wyższy od niego, o wiele lepiej zbudowany młodzieniec.

Brat królowej obrzucił go długim spojrzeniem, a w końcu odwrócił się i odszedł. Szczupły mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w plecy wojownika, a potem pokręcił głową i wmieszał się w tłum.

– Kto to był? – spytał Dath, gdy na nowo napełnił swój talerz.

– Nie wiesz? To był Anwarth oraz jego syn, Farrell. Plotki głoszą, że Anwarth to tchórz, bo udawał martwego, gdy brat Pendathrana i królowej Alony, Rhagor, został zabity przez bandytów w Ciemnym Borze.

– Słyszałem, że to doradca Ewnis został o to obwiniony.

– Przez Alonę, ale król Brenin nie chciał ukarać ani Ewnisa, ani też Anwartha. Powiedział, że nie ma dowodów.

– Sporo złej krwi. – Dath wydał policzki.

– Aha.

– Słuchaj, a czemu ten Farrell jest taki wielki? Przecież jego ojciec to mikrus.

– Widziałeś ty kiedyś jego matkę? Wielka baba, mówię ci. A Farrell, nawiasem mówiąc, jest w tym samym wieku co my. Ba, chyba nawet młodszy. Mówią jednak, że jest nieco przewrażliwiony. Wiesz, jeśli chodzi o reputację ojca.

– Co masz na myśli? – spytał Dath.

– Bije każdego, kto choć bąknie o oskarżeniach, które ciążyą na jego ojcu.

– Aaa, rozumiem. Przypomnij mi, bym nie gadał o tym, gdy Farrell będzie w zasięgu słuchu. Mam wrażenie, że lada moment

stanie się równie wielki jak twój ojciec.

– Matka pewnie dobrze go karmi. – Corban zachichotał.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym mieszkać w twierdzy – westchnął Dath. – Ludzie opowiadają tam tyle fajnych historii!

– Daj spokój, mieszkanie we wsi też ma swoje dobre strony. W fortecy, na przykład, nie usłyszysz tylu niesamowitych historii o rybach!

Dath kopnął przyjaciela w łydkę.

Wkrótce znaleźli Gwenith i Thannona, którzy siedzieli na płaszczu, zajadając z częściowo pustego talerza i popijając miód z dzbana. Była tam również Cywen, ale Corban, siadając, nawet na nią nie spojrzał.

– Znalazłam twój płaszcz, Ban – powiedziała i podała mu go.

Chłopak zauważył, że siostra pozszywała mu okrycie zgodnie z obietnicą i jego rozdrażnienie szybko ustąpiło miejsca uldze, ale szybko zdusił to uczucie. Po tym, co zrobiła, nie chciał czuć się zobowiązany wobec niej.

– Dzięki – wykrztusił. – Gdzie twój ojciec? – zwrócił się do Datha.

Ten zrobił kwaśną minę.

– Nie jestem pewien. Wiesz, o tej godzinie...

Corban doskonale wiedział, jak odebrać te słowa. Dath nie chciał myśleć o tym, gdzie aktualnie przebywa jego ojciec. Strata żony bardzo zaboląa mężczyznę i pił coraz więcej, a co gorsza, zaczynał też o coraz wcześniejszej godzinie.

– Zjedz coś z nami – powiedziała Gwenith i poklepała ręką miejsce obok siebie.

Dath uśmiechnął się z wdzięcznością. Było już ciemno, ale mrok nad łąką odpędzało wiele małych ognisk. Corban rozejrzał się i dostrzegł Brenina i Alonę, którzy śmiali się z Marrockiem i Fionn. Obok króla pojawiła się Edana, która uśmiechnęła się i pomachała do niego. Do Corbana!

Chłopak również się uśmiechnął, rozanielony, i odruchowo

podniósł rękę, by do niej pomachać. Wówczas Edana skinęła, zachęcając go, by podszedł. Zaskoczony, zaczął się ponosić, gdy nagle usłyszał głos Cywen:

– Mamo, Edana mnie woła. Niedługo wrócę!

Z tymi słowami dziewczyna zerwała się i podbiegła do królewskiej córki, a Corban z piekącymi od rumieńca policzkami padł z powrotem ziemię. Gdy w końcu zebrał w sobie odwagę, by unieść głowę, uświadomił sobie, że spogląda prosto w oczy Ventosa. Kupiec stał z dzbankiem miodu w ręku i uśmiechał się, a przy jego nodze czuwał Talar.

– Szukałem cię! – oznajmił.

– Witaj, Ventosie – odparł Corban i przedstawił handlarza mamie i tacie, którzy poprosili go, by usiadł wraz z nimi. Thannon podsunął Talarowi dłoń do obwąchania. Pies zawarczał głucho, na co Buddai uniósł łeb i odpowiedział tym samym.

– Mój Buddai nigdy nie zaczyna walki – rzekł Thannon. – Ale jeśli dojdzie co do czego, z pewnością ją zakończy.

– Talar! – warknął kupiec i warczenie psa urwało się jak nożem cięte.

– Ventos pochodzi z Helvethu – rzekł Dath.

– To stamtąd przybył Gar, prawda, mamo? – spytał Corban.

– Zgadza się – odparła jego mama i spojrzała znacząco na Thannona.

Dokładnie w tej samej chwili z ciemności wychynął utykający Gar. Poklepał Thannona po plecach, a potem usiadł niezgrabnie, wyciągając jedną nogę przed siebie. Zmarszczył brwi, gdy ujrzał Ventosa.

– Jak siodło? – odezwał się kupiec.

– Pasuje.

– Słyszałem, że pochodzisz z Helvethu? – ciągnął Ventos.

– Pochodzę. I co z tego?

– Nic. Ja też urodziłem się w Helvecie. To daleko stąd. Jak tu dotarłeś?

Gar przymknął oczy i przez chwilę Corban sądził, że główny stajenny znów zignoruje pytanie. Ten jednakże uniósł głowę i zaczął mówić:

– Mieszkałem w wiosce leżącej niedaleko skraju lasu Forn, aż pewnego dnia wypadła z niego zgraja olbrzymów, spaliła całą wieś i wymordowała niemalże wszystkich mieszkańców. Udało mi się uciec wraz z garstką innych. Nikt z mojej rodziny nie ocalał. – Wzruszył ramionami przy tych słowach. – Nic mnie już nie trzymało w rodzinnych stronach, a więc ruszyłem przed siebie i jakoś dotarłem tu. Brenin przyjął mnie na służbę i dobrze traktował.

Thannon podał mu kubek miodu. Gar pociągnął długi łyk.

– Olbrzymy, co? – rzekł Ventos. – Hunen są wciąż przekleństwem dla Helvethu, a ostatnimi czasy nabrali śmiałości i atakują coraz dalej. Ponoć Braster, król Helvethu, zbiera siły, by wkroczyć do lasu i zniszczyć ich raz na zawsze.

– I dobrze – oznajmił Gar i upił łyk miodu.

Corban ujrzał Darola, który prowadził kuca zaprzęzonego do furmanki. Na tyle siedział Dylan. Chłopak zerwał się i podbiegł do nich.

– Dlaczego wyjeżdżacie tak wcześnie? – spytał, idąc obok jadącej furmanki.

– Tata jest zmęczony. – Dylan skrzywił się. – Ja chciałbym zostać. Słyszałem, że Heb ma dziś zabawić wszystkich swą opowieścią. – Westchnął ciężko i dodał: – Tato ma paskudny nastrój i nie ma ochoty tu przebywać. Ty zaś nadal nie opowiedziałeś mi, dlaczego wyglądasz, jakbyś w pełnym biegu zderzył się z drzewem.

– Odwiedzę was jutro! – zawołał Corban.

Furmanka przyśpieszyła i niebawem pogrążyła się w ciemnościach. Chłopak pomachał Dylanowi i jego rodzinie. Inni również opuszczali łąki i znikali pośród nocy. Corban wrócił do swej rodziny i usiadł przy mamie. Przyszła też Cywen. Chłopak nadal

był na nią zły, ale jego nastrój wkrótce się poprawił. Siedział w kręgu, słuchał historii, śmiał się razem z resztą, aż w pewnym momencie położył się i wsunął dłonie pod głowę. Wpatrywał się w rój gwiazd rozsypany na nocnym niebie i wsłuchiwał się w rytmiczny szum morza. Mama nieświadomie wyciągnęła rękę i pogładziła go po czuprynie.

Niebawem rozległo się klaskanie i chłopiec usiadł. Heb wdrapał się na stół niedaleko jednego z ognisk, a wokół niego, na ławkach, zaczęły gromadzić się grupki ludzi. Wszyscy żądni byli opowieści znawcy obyczajów. Corban i jego bliscy dołączyli do reszty.

– Co chcielibyście usłyszeć tej nocy?! – zawołał Heb.

Ludzie zewsząd wykrzykiwali swe propozycje, ale nim Heb zdołał odpowiedzieć, królowa Alona wkroczyła w krąg światła rzucanego przez ognisko.

– Wedle tradycji to Marrock ma prawo wyboru – rzekła i wskazała swego bratanka i jego młodą żonę.

Heb spojrzał wyczekująco na Marrocka, który przez moment wpatrywał się w płomienie, aż uśmiechnął się i rzekł:

– Opowiedz nam historię o Cambrosie.

– Chcecie usłyszeć tak tragiczną opowieść w tak radosny wieczór? – Heb uniósł brwi.

– Dlaczego nazywasz ją tragiczną, skoro mówi o tym, w jaki sposób mogłem przyjść na świat w tej krainie, a potem poznać mą żonę? – odparł Marrock i spojrzał na Fionn.

– Już się upił! – zawołał ktoś pośród mroku. Jego słowa wywołały falę śmiechu.

Heb uniósł rękę.

– A więc opowieść o Cambrosie! – zawołał i machnął ręką, a na ławkach zapadła cisza. – Nasi przodkowie przybyli na te ziemie na pokładach wielkiej flotyli. Sami siebie zwali Wygnańcami, gdyż po długiej i krwawej wojnie zostali wypędzeni z Wyspy Lata. Wylądowali na południowy wschód stąd i nazwali tę krainę Ziemiami Wygnanych. Naszym królem był wówczas Sokar.

Wkrótce nasi przodkowie przekonali się, że nowo odkryta kraina nie należy do nich – zamieszkiwały ją bowiem olbrzymy, ocalałe po Pladze zesłanej przez Elyona. Stare niesnaski nie odchodzą łatwo w niepamięć i choć od Plagi, która niemalże wygubiła zarówno ludzi, jak i olbrzymy, minęło wiele pokoleń, wrogość między rasami wcale nie osłabła. Rozpoczęły się więc Wielkie Wojny, które znamy z legend o zwycięstwach i tragediach, zbyt licznych, by opowiedzieć je tej nocy.

Podczas tej straszliwej wojny Sokar poległ na swoich generałach. Na zachód wysłał Cambrosa zwanego Bykiem wraz z jego synami Cadlasem i Ardem, by walczyli z olbrzymami Benothi, tymi samymi, którzy mieszkali tu i wzniesli Dun Carreg. – Heb urwał i wskazał górującą nad nimi fortecę. – Olbrzymy zostały pokonane i odepchnięte, a Cadlas i jego wojownicy ruszyli nieustępliwie za nimi...

Corban zamknął oczy i wyobraził sobie tamte czasy. Znał opowieść o Cambrosie, którą często słyszał od mamy i taty. Heb tymczasem rozwodził się nad szczegółami kampanii wojennej, która doprowadziła do klęski Benothi i zmusiła ich do odwrotu jeszcze dalej na północ.

– Wówczas olbrzymy przegrupowały się, by stoczyć ostatnią bitwę na zboczach Dun Vaner – ciągnął. – Uległszy dumie i pysze, która zawsze przyczyniała się do ich klęsk, Benothi wymaszerowali ze swej kamiennej fortecy, by stawić czoła Cambrosowi i jego hufcowi. Bitwa toczyła się przez dwa długie dni. Ziemia poczerniała od krwi, a niebo przesłoniły stada kruków, które zleciały się na żer. Pod koniec drugiego dnia, gdy niebo zalały rdzawe promienie zachodzącego słońca, Cambros i jego tarczownicy przełamali szeregi Benothi, a sam Byk zmierzył się z ich królem Ruadem w pojedynku na śmierć i życie. Walczyli samotnie, gdyż ich przyboczni leżeli martwi, porzrucani na polu walki. Ruad grzmotnął Cambrosa swym wielkim toporem i rozbił mu tarczę. Mimo to Cambros walczył jak lew. Trzykrotnie utoczył krwi z króla

olbrzymów, aż jego ostrze pękło, a on sam padł.

Wokół rozległy się jęki rozpacz. Corban odwrócił się i ujrzał łzy w oczach mamy.

– Przywiedziony do rozpacz Cambros pochwycił gałąź, która spadła z drzewa. Gdy Ruad wznosił topór do ostatecznego ciosu, Cambros przywołał resztki sił i wbił gałąź w kolano olbrzyma, przebijając mięśnie i miażdżąc kości. Ruad padł z rykiem, a Cambros wpełził na jego pierś i wbił złamany miecz w jego serce. Widząc śmierć swego króla, Benothi stracili ochotę do walki i uszli na północ, gdzie nadal żyją. Cambros zaś podzielił podbite ziemie między siebie i swych synów, Arda i Cadlasa. Od tej pory żyli w pokoju. – Spoglądając na Marrocka i Fionn, Heb dodał: – I dzięki tym oto wydarzeniom, Marrocku ben Rhagor, możesz teraz stać na tej oto łące w królestwie Ardanu, poślubiwszy piękną Fionn.

Marrock pochylił głowę, by podziękować za opowieść. Brenin wykrzyknął toast i wszyscy poderwali się, krzycząc z zapalem i aprobatą.

Corban siedział zaś w milczeniu i myślał o wysłuchanej historii. Ludzie dookoła niego długo jeszcze rozmawiali, choć niektóre rodziny wracały już powoli na wieś bądź do okolicznych gospodarstw. Ogniska przygasały, a gwiazdy na niebie stawały się coraz jaśniejsze.

Naraz chłopak uświadomił sobie, że wokół niego narasta szmer ożywionych głosów. Ludzie zwracali oczy ku zachodowi, ku lasowi Baglun. Corban wstał i wyteżył wzrok, aż dostrzegł odległy, czerwonopomarańczowy blask, który kołysał się niczym płomień świeczki na wietrze. Gar stanął obok niego.

– Co się dzieje? – zapytał chłopak.

Stajenny milczał przez moment, a potem krzyknął:

– Na koń! Na koń!

I utykając, popędził ku wsi.

– Co się dzieje?! – zawołał za nim Corban.

– Gospodarstwo Darola, chłopcze! – krzyknął Gar przez ramię. –

Płonie!

Rozdział dziesiąty

KASTELL

Karawana nadal zmierzała powoli w kierunku Halstat, a Kastell radował się każdym dniem. Czasami Aguila cofał się na tyły i przez jakiś czas jechał z nim i Maquinem, a po pierwszej nocy Kastell wraz ze swym przybocznym zasiedli wraz z resztą wokół ogniska. Chłopak nie odzywał się często, ale mimo to cieszył się świadomością, że wreszcie należy do jakiejś grupy. W rozpolitykowanym, rozdartym intrygami Mikil już dawno zapomniał, na czym to polega. Czwartego dnia wędrówki, tuż po świcie, na szlaku przed nimi pojawił się samotny jeździec, który popędził ku nim. Nosił znak Tenebrału, królestwa, które znajdowało się daleko na południu. Zaproszono go, by zjadł z resztą śniadanie, ale wymówił się pośpiechem – twierdził, że wiezie ważną wieść dla króla Romara.

* * *

Rankiem szóstego dnia wędrówki jeden z najemników przygalopował na tył kolumny, gdzie jak zwykle jechali Kastell i Maquin.

- Kapitan chce, byście dołączyli do niego na czele! – zawołał.
- Czym zamierzacie się zająć, gdy dotrzemy do Halstat i wasze zlecenie dobiegnie końca? – spytał Aguila, gdy Kastell i Maquin

podjechali bliżej.

– Pewnie wrócimy do Mikil – odparł młodzieniec. – Czemu pytasz?

– Jeśli nie chcecie jeszcze wracać, mogę znaleźć dla was robotę przy moim oddziale.

– Sam nie wiem – powiedział zaskoczony Kastell. Do tej pory nie zastanawiał się nad tym, czym zajmie się po wykonaniu zadania, ale myśl o powrocie do Mikil nie napełniała go radością. Odpowiadało mu życie na trakcie, z dala od Jaela.

– Być może skorzystamy z zaproszenia – odparł, zerkając na Maquina.

– Jakoś nie palę się do powrotu do Mikil – rzekł jego przyboczny.

Od pewnego czasu wyrastał przed nimi ogromny masyw skalny o ostrych zboczach, który wcinał się głęboko w las Forn. Trakt, który od kilku dni biegł równoległe do skraju puszczy, teraz skręcił ku niej. Kastell przyglądał się szczytom, które na tle wschodzącego słońca przypominały szpiczaste, obtłuczone kły. Wedle legendy łańcuch powstał podczas kataklizmu zwanego Plagą Elyona, kiedy to zniszczeniu uległa cała ziemia. Mówiono, że daleko na północy, poza granicami lasu Forn, nadal ciągnęły się nieskończone pustkowia i równiny popiołu, pocięte przepaściami i otchłaniami.

Jadąca traktem karawana powoli zbliżała się do skraju lasu, aż znaleźli się tak blisko, że Kastell widział gałęzie kołyszące się na wietrze.

– Gdy tylko pokonamy ten masyw – Aguila wskazał ręką – trakt odbije od lasu i skręci ku góróm. Będziemy podążać wzdłuż nurtu rzeki Danvius, która złobi szlak prowadzący aż pod bramy Halstat.

– Dobrze – stwierdził Kastell nie bez ulgi. Obaj starsi mężczyźni zachichotali.

Wciąż jechali ku górskim szczytom, których ostre wierzchołki sięgały wysoko ku chmurom, aż droga opadła w głąb dolinki ciągnącej się u podnóża gór.

– Przepuszczalnie nigdy już nie znajdziesz się bliżej lasu Forn –

rzekł Maquin, gdy karawana zaczęła zjeżdżać w dół. – Chyba że dołączysz do wojsk strzegących Dal Gadrai.

– To mi wystarczy – odparł Kastell.

Dal Gadrai była przeciętą przez rzekę doliną, która sąsiadowała z lasem Forn na południu ich ojczyzny. Brzeg rzeki patrolowała złożona wyłącznie z ochotników grupa, która strzegła żeglujących po niej statków kupieckich i powstrzymywała mieszkańców lasu przed próbami wdarcia się do Isiltiru. Oddział zwał się Gadrai, a wstąpić do niego mogli tylko ci, którzy zabili jakiegoś Hunen, członka klanu olbrzymów, który nadal zamieszkiwał las Forn. Wojownicy Gadrai często służyli później jako przyboczni Romara, króla Isiltiru.

Trakt opadał ostro w dół. W dolinie powitała ich mgła, kłębiąca się wokół końskich kopyt. Kastell obrócił się w siodle i spostrzegł, że mgła oblepia koła wozów toczących się za nim i pnie się coraz wyżej. Zadrżał z zimna.

Jechali przez chwilę w milczeniu, a droga stopniowo wyrównywała się. Gęstniejąca mgła tłumiała odgłosy, przez co chłopak słyszał tylko pobrzękiwanie własnej uprzęży, poskrzypywanie najbliższego wozu i niewyraźny plusk strumienia gdzieś w oddali.

– Nie podoba mi się to – mruknął do siebie.

Ledwie widział sylwetki Maquina i Aguili, którzy osłaniali go z obu stron.

– Słusznie, chłopcze – burknął Maquin. – Mnie też nie.

Wbił pięty w końskie boki.

Niespodziewanie dobiegł ich syk, zakończony serią mokrych mlaśnieć. Mignęły czyjeś ruchy, siodło wierzchowca Aguili nagle opustoszało. Zarówno przed nimi, jak i za nimi rozległy się wrzaski. Maquin i Kastell pochyłili się w siodłach i obrócili swe wierzchowce, szukając wzrokiem Aguili.

Leżał nieopodal, a z jego piersi sterczała strzała gruba jak nadgarstek Kastella. Niewidzące oczy wpatrywały się w niebo,

a wokół powiększała się kałuża czarnej krwi. Chłopak uklęknął przy zabitym wojowniku.

– Prędko, chłopcze! – krzyknął Maquin. – Już mu nie pomożesz.

Mężczyzna wbił ostrogi w końskie boki i pognął ku cieniom majaczącym z tyłu. Kastell popędził za nim, przerażony myślą, że mógłby zagubić się w tej przeklętej mgle.

Sekundę później znalazł się w samym środku sceny rodem z najgorszego koszmaru. Zaprzężony do wozu koń rżał dziko, przygwożdżony włócznią do ziemi. W jego ślepiach połyskiwały białka, a z pyska spływała krwawa piana. Na ziemi leżało kilka trupów, zarówno wojowników, jak i kupców, którzy padli ofiarą gradu spadających włóczy. Potem pośród gęstej bieli zamajaczyła wielka, ciemna postać.

Hunen.

Nadbiegający olbrzym był o połowę wyższy od niego. Ciemne warkocze opadały po obu stronach wykrzywionej wściekle, trójkątnej twarzy, oczy tonęły w czerni oczodołów. Po chwili chłopak dostrzegł piersi owinięte pasmami skóry i z zaskoczeniem stwierdził, że to była kobieta. Biegła, wyjąc i wywijając toporem nad głową. Trysnęła krew i kolejny wojownik osunął się na ziemię. Głowa odtoczyła się od ciała. Szarżujący Maquin cisnął własną włócznią, która przebiła czarną skórzaną zbroję i wgrzyła się w ramię olbrzymki. Uderzenie obróciło ją, ale wyprostowała się i wyrwała włócznię z ciała. Wydawała się bardziej wściekła niż ranna.

Maquin rzucił się na nią i zamachnął mieczem. Brzęknęła stal, gdy olbrzymka zablokowała cios starego wojownika i pchnęła go przednią częścią topora, wyrzucając z siodła. Kastell uniósł własną włócznię i przygotował się do rzutu, ale rozmyślił się w porę, popędził konia i zaatakował olbrzymkę, która wzniosła już topór nad leżącym na ziemi Maquinem. Usłyszała łomot kopyt, ale było już za późno. Kastell mocno pochwycił za wodze, gdy koń stanął dęba i grzmotnął olbrzymkę kopytami w twarz, zamieniając jej

oblicze w krwawy befsztyk. Padła na ziemię niczym ścięte drzewo. Kastell pchnął ją wówczas włócznią, a Maquin pochwycił miecz i rąbnął na odlew, rozpryskując naokoło krople krwi.

Stał nad ciałem olbrzymki i oddychał ciężko, rozchylając nozdrza. Jego siwe włosy były ciemne i lepkie od krwi. Nie zauważył, że Kastell złapał jego konia i potrząsnął wymownie wodzami. Ocknął się dopiero, gdy chłopak wcisnął mu je do ręki. Zamrugnął wówczas, potrząsnął głową i wspiął się na siodło. Znów byli sami – odgłosy bitwy dobiegały zewsząd, ale mgła skutecznie ograniczała widoczność.

– Musimy podjechać gdzieś wyżej! – mruknął Maquin.

Kastell skinął głową i obaj ruszyli naprzód w nadziei, iż obrali właściwy kierunek. Po chwili teren pod kopytami końskimi zaczął się wznosić, a potem oślepił ich blask słońca. Odwrócili się, by spojrzeć na dolinkę.

Niecka była po brzegi zalana zdradziecką mgłą, w której poruszały się ciemne postacie, a za nią ciągnęła się opromieniona słońcem łąka, która docierała do lasu. Kilko niedobitków wypadło z mgły i rzuciło się biegiem wśród traw ku zbawczym drzewom, ale wyjące olbrzymy dopadły ich w okamgnieniu i rąbały, aż nikt nie pozostał przy życiu.

– Uciekajmy – szepnął Maquin. – I to szybko, nim ktokolwiek nas zauważy. Nasze konie prześcigną rozpędzonego Hunen, ale olbrzymy są jak psy myśliwskie. Jeśli nas spostrzegą i postanowią dogonić, będą nas ścigać bez końca.

– Ale... – zaczął Kastell. Z najwyższym trudem walczył z paniką, która nakazywała mu zawrócić konia i gnać, uciekać z tego miejsca, którym zawładnęło szaleństwo, ale coś zmusiło go, by się zatrzymał. – Ale myśmy mieli ich chronić!

– Zgoda, chłopcze – burknął Maquin. – Ale tam już nie ma kogo chronić. Posłuchaj tylko.

Miał rację. Odgłosy walki ucichły i ich uszu dobiegało jedynie rżenie konającego konia i krakanie krążących na niebie

żarłocznych kruków, które zwęszyły krew, choć niczego nie widziały. Nie było słyhać żadnego innego dźwięku. Wokół panowała cisza niemalże tak przerażająca jak odgłosy trwającej przed chwilą bitwy. Chłopak skinął głową i obaj zawrócili konie.

Strome wzniesienie sprawiło, że Kastell ściągnął wodze i obejrzał się za siebie. Mgła powoli się rozpraszała, ukazując rozrzucone bezwładnie, zakrwawione ciała ludzi i koni. Woda w strumieniu była różowa od krwi. Olbrzymy zgromadziły się wokół jednego z wozów i rozrąbywały ułożone na nich skrzynie. Niespodziewanie poniósł się wśród nich wielki okrzyk. Jeden z olbrzymów sięgnął do skrzyni, wyciągnął jakiś przedmiot i zamachał nim w powietrzu. Znajezisko zamigotało w blasku słońca.

– To topór z gwiezdneho kamienia! – syknął Maquin.

– Co? Jak to możliwe? – zachłysnął się Kastell.

– A skąd niby mam wiedzieć?

Naraz w dolince zagrzmiął osobliwie brzmiący róg, a Kastell poczuł lodowate ukłucie strachu. Właśnie zostali zauważeni. Około dwudziestu Hunen rzuciło się pędem w stronę górskiego szlaku.

Kastell i Maquin spojrzeli po sobie i bez słowa pośpieszyli wierzchowce.

– Tylko bez szaleństw! – Krzyk Maquina przedarł się przez łomot kopyt. – Jeśli zmusimy konie do galopu, padną nam przed południem. Takie tempo wystarczy! Jesteśmy szybsi od Hunen, a więc oddalmy się od nich, ale nie za bardzo. Miejmy nadzieję, że niebawem odechce im się pościgu.

– Ale powiedziałaś...

– Wiem, co powiedziałem, chłopcze! – odwarknął Maquin.

Kastell oddychał głęboko, starając się okiełznać panikę, i skupił się na trakcie przed sobą. Jechali w milczeniu, a jedynym towarzyszącym im odgłosem był łoskot kopyt i końskie oddechy. Około południa przebyli z pluskiem strumień, który zagroził im drogę. Wstrzymali wówczas wierzchowce i zeskoczyli z siodeł, by

napełnić bukłaki i dać zwierzętom chwilę wytchnienia.

Maquin napił się do syta, a potem wyprostował się, spojrzał na drogę za nimi i nagle skoczył ku koniom.

– Ruszamy! Hunen nadciągają!

Stary wojownik nie był człowiekiem, z którym można by się wyklócać, zwłaszcza teraz, gdy na jego włosach i twarzy schła krew olbrzyma. Kastell obrócił głowę ku horyzontowi i dostrzegł gromadę biegnących, potężnych postaci. Pośpiesznie przypadł do konia, którego sierść pokrywały białe plamy soli, pozostałej po schnącym pocie, wskoczył na siodło i ruszył przed siebie.

Jechali miarowym kłusem po szerokim trakcie. Kastell raz po raz zerkał przez ramię. Czasami wydawało mu się, że dostrzega ruch na skraju pola widzenia. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a ich cienie wydłużyły się, Maquin ogłosił kolejny postój.

– Jak ten topór znalazł się na wozie? – spytał Kastell.

– Przypuszczam, że skradł go pracodawca Aguili. – Maquin wzruszył ramionami.

– Ale skąd Hunen wiedzieli, że karawana go wiezie?

– Nie wiem, chłopcze. Może uciekli się do tej swojej paskudnej magii? – Stary wojownik znów wzruszył ramionami.

– Jak myśmy w ogóle ich pokonali? – spytał Kastell.

– My?

– Ludzkość. W jaki sposób rozbiliśmy olbrzymy?

Wciąż miał przed oczami czarnowłosą wojowniczkę, która prawie zabiła jego przybocznego.

– Ciężko w to uwierzyć, co? – rzekł Maquin. – Szczerze powiedziawszy, choć stare opowieści mówią o wielkiej odwadze i walecznych czynach, przypuszczam, że o wszystkim zadecydowała przewaga liczebna. Było nas więcej i tyle. Słabością olbrzymów okazała się ich duma. Patrzyli na nas z góry i nigdy nie uważali za prawdziwe zagrożenie. O, i to warto zapamiętać. Nigdy nie lekceważ wroga, nawet jeśli jesteś silny i potężny jak olbrzym. – Charknął i splunął. – No i co, chłopcze? Chcesz teraz dołączyć do

Gadrai?

Kastell spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Zabiłeś olbrzyma. Poświadczę za ciebie, widziałem to przecież na własne oczy.

Chłopak parsknął.

– Nie olbrzyma, a olbrzymkę – poprawił go. – A na miejsce w szeregach Gadrai zasłużył głównie mój koń. – Poklepał drżący kark zwierzęcia. – To przecież on ją zabił, choć ty dołożyłeś starań, by już nie wstała.

– Trzeba się było pozbyć problemu i tyle. – Maquin uśmiechnął się. – Ty zaś wykazałeś się niezłym hartem ducha, chłopcze. I ocaliłeś mi życie. Nie zapomnę tego.

Zawstydzony nieco Kastell odwrócił wzrok.

– Jak oceniasz nasze szanse? – spytał po chwili.

Maquin milczał przez moment, aż powiedział:

– Nie sądzę, by po przebyciu Rhenus ścigali nas jeszcze długo. Jeśli przekroczymy rzekę i z powrotem wjedziemy na teren Isiltiru, przypuszczalnie zaprzestaną pościgu, ale skoro jadą za nami tak długo, wcześniej się raczej nie poddadzą.

– Ale przecież po przekroczeniu Rhenus jechaliśmy przez pięć dni! – odezwał się Kastell, próbując ukryć lęk w swoim głosie.

– Zgadza się, ale poruszaliśmy się wówczas innym tempem. Naszą prędkość wyznaczały powolne wozy. Już teraz przejechaliśmy odległość, do przebycia której wozy potrzebowałyby dwóch dni. – Na jego twarzy pojawił się grymas. – Ale konie się męczą. Daliśmy im za bardzo do wiwatu. Jeśli chcemy dożyć świtu, musimy jechać przez całą noc, ale trzeba zwolnić. Przypuszczam, że jutro około południa ujrzymy rzekę, oczywiście o ile Hunen nie dopadną nas wcześniej. I jeśli konie pod nami nie padną.

– Na samą myśl o tym, że olbrzym może mi wbić włócznię w tyłek, jakoś odechciewa mi się spać – rzekł Kastell, a Maquin pokiwał ponuro głową.

Zjedli nieco suszonego mięsa, popili skromny posiłek wodą,

a potem Maquin rzucił:

– Jedźmy dalej. Przekonajmy się, czy uda nam się dożyć do świtu.

* * *

Noc minęła jak we śnie. Wyczerpane konie zwolniły i przez większość czasu szły, zamiast biec, a Kastell co chwila ulegał senności i budził się gwałtownie, gdy uświadamiał sobie, że zsuwa się z siodła. Parokrotnie wyciągnął też rękę, by złapać osuwającego się z siodła Maquina. W modlitwach mamrotanych do Elyona dziękował za bezchmurne niebo, gdyż blask księżyca i gwiazd pozwalał im bez trudu poruszać się po górskim trakcie. Świt nadszedł niespodziewanie – niebo poszarzało, a potem przeszło w ciemny błękit, nim obaj uciekinierzy zorientowali się, że noc dobiegła końca. Maquin nie miał jednak zamiaru się zatrzymywać. Łąki przed nimi zakrywała bowiem gęsta mgła, która ciągnęła się aż do skraju lasu. Stary wojownik przyglądał się jej podejrzliwie i uparcie poganiał wierzchowca.

Wkrótce ich plecy ogrzały pierwsze promienie słońca, które wysuszyły mgłę. Obaj uciekinierzy wstrzymali wówczas konie i ze zmęczenia o mało nie spadli z siodła. Kastell odwrócił się, by sprawdzić, czy nie widać pościgu, ale oślepiło go wschodzące słońce.

– Napij się – wychrypiał Maquin, a sam nalał nieco wody na dłoń i podsunął ją pod koński pysk.

Kastell znów się odwrócił. Z blasku słońca, który zalewał drogę, wyłoniły się ciemne postacie. Były blisko, znacznie bliżej, niż uznałyby to za możliwe. Złapał towarzysza za ramię i krzyknął ostrzegawczo.

– Uciekamy! – zawołał Maquin i popchnął Kastella w stronę jego wierzchowca.

Wizja rychłej śmierci sprawiła, że obaj natychmiast zapomnieli

o zamiarze oszczędzania koni. Bez litości kopali w boki swych rumaków, zmuszając je do galopu. Owładnięty paniką Kastell krzychał na swego konia, by nakłonić go do większego wysiłku. Z trudem dotarli na szczyt wzgórza. W oddali dostrzegli migotanie Rhenus, która wiła się i oddalała od lasu. Chwilę później trakt opadł w kolejną dolinkę i rzeka znikła im z oczu.

Niespodziewanie Kastell usłyszał głośny okrzyk, a potem łoskot. Obrócił się w siodle i ujrzał Maquina leżącego na ziemi. Jego koń leżał tuż za nim z nogą wykrzywioną pod dziwnym kątem. Kastell zawrócił wierzchowca i podjechał do mężczyzny, który podniósł się z trudem. Jedną stronę twarzy miał zdartą do krwi. Wystarczył rzut oka na konia, by wiedzieć, że już nie wstanie.

– Złamał nogę – rzekł Maquin.

Kastell wyciągnął rękę i pomógł towarzyszowi wspiąć się na siodło za jego plecami, ale obciążony dodatkowym jeźdźcem wierzchowiec zatańczył w miejscu na drżących nogach. Młodzieniec zaklął i popędził go, ale wierzchowiec był w stanie zaledwie iść. Po kilku krokach Maquin burknął wściekle i zeskoczył na ziemię.

– Uciekaj, chłopcze – powiedział. – Wystarczy, by jeden z nas to przeżył.

Kastell wpatrywał się w niego bez słowa.

– Nad czym się jeszcze zastanawiasz? – burknął Maquin i w spokoju zapiął hełm. – Ruszaj, bo zaraz i dla ciebie będzie za późno. Widziałeś rzekę?

Chłopak pokiwał głową.

– Zatrzymam ich na chwilę i zyskam dla ciebie trochę czasu. Nadal masz szansę dotrzeć do mostu. To żadna hańba, chłopcze. Musisz przeżyć i tyle.

Kastell siedział nieruchomo, a jego myśli krążyły chaotycznie w wyczerpanym umyśle. Potem potrząsnął głową i ześlizgnął się z siodła.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz – wymamrotał.

Maquin uśmiechnął się ponuro.

– To przynajmniej oddaj mi swą włócznię. Moja utknęła w tej olbrzymce, a sam nie trafiłbyś w stodołę z odległości dziesięciu kroków.

Kastell uśmiechnął się i oddał włócznię towarzyszowi. Odtoczył swą tarczę. Jego koń był wycieńczony i bez wątpienia nie przydałby mu się w walce. Klepnął go mocno w zad, a zwierzę wystrzełiło i znikło za kolejnym wzniesieniem.

Obaj mężczyźni stali ramię w ramię na trakcie, gdy na pokonanym właśnie przez nich wzgórzu pojawili się Hunen. Chłopak znów poczuł ukłucie strachu, a jego nogi zamieniły się w galaretę, gdy w powietrzu poniosło się złowieszcze, wibrujące wycie, widomy znak, że olbrzymy ich dostrzegły. Potem zamilkły i słycać było jedynie tupot ich ciężkich stóp.

Kastell próbował ich policzyć. Przeciwników było przynajmniej dwudziestu, może więcej. Trudno było ocenić. Dojrzał kilka kobiet, które od mężczyzn odróżniał jedynie brak bród i wąsów. Słońce przejrzało się w ostrzach toporów, wyciągniętych z pochew na plecach.

Wówczas młodzieniec usłyszał szept stojącego obok niego Maquina. Stary wojownik zamknął oczy i poruszał jedynie ustami, aż nagle rozchylił powieki, cofnął ramię i z całej siły wyrzucił włócznię Kastella. Ta zakreśliła łuk w powietrzu i opadła. Jeden z olbrzymów potknął się, przewrócił i już nie wstał.

Kastell ze zgrzytem wyciągnął miecz z pochwy. Z orężem w rękę zapominał o swej niezręczności i czuł się jak zupełnie inny człowiek. Poprzysiął w sercu, że zabierze ze sobą przynajmniej jednego z tych potworów w drogę po moście mieczy.

Z oddali dobiegł grzmot przywodzący na myśl piorun, ale niebo nad ich głowami nadal było czyste. Nadbiegające olbrzymy były już na tyle blisko, że młodzieniec dostrzegał wyróżniające je szczegóły. Zbroje z czarnej skóry, rozmieszczone w osobliwy sposób na ciałach, tatuaże wijące się na ramionach, ciemne ślepiea pośród białych twarzy, czarne warkocze, opadające wąsy.

Najbliżsi wymijali już leżącego na trawie konia Maquina. Kastell wyszeptał ostatnią modlitwę do Elyona i wzniósł miecz. Znowu rozległ się grzmot, tym razem głośniejszy. Co ciekawe, miast cichnąć, nabierał mocy, aż niespodziewanie Maquin zepchnął go ze szlaku. Kastell padł i przetoczył się po żwirze, protestując i klnąc wściekle. Grzmot nadal przybierał na sile, aż ziemia zaczęła drżeć. Wtem młodzieniec uświadomił sobie, że ten hurgot wcale nie dochodzi z nieba, lecz z wzniesienia za ich plecami. Po jego zboczu spływała bowiem fala jeźdźców, a na ich czele gnał jego wuj w błyszczącej zbroi. Niczym anioł zemsty sprzed Plagi Romar zjawił się z odsieczą.

Rozdział jedenasty

CORBAN

Corban przywarł do pleców Gara, gdy gnali po trakcie olbrzymów. Niewiele widział, ponieważ niemalże wszystko przesłaniał mu łopoczący płaszcz głównego stajennego, ale od czasu do czasu dostrzegał pomarańczową lunę migoczącą z przodu i blask pochodni zapalonych przez innych, śpieszących na pomoc Darolowi i jego rodzinie. Podróż przez ciemność wydała mu się powolna i męcząca, a ponadto nie miał pojęcia, jak długo przyjdzie im jechać, gdyż cała grupa gnała w ponurym milczeniu. Słysząc było jedynie łoskot kopyt na kamieniach starożytnego traktu.

Ale przynajmniej mogłem jechać z nimi, pomyślał, przypominając sobie, z jakim trudem nakłonił Gara, by ten wziął go ze sobą.

– Ile jeszcze? – zapytał znowu, wtulony w plecy stajennego. Mężczyzna nie odpowiedział, więc chłopak powtórzył pytanie, tym razem głośniej.

– Jeszcze trochę – burknął Gar. – I przysięgam, że jeśli znów zadasz mi to pytanie, zrzucę cię z konia.

Corban skrzywił się, ale na wszelki wypadek nie odpowiedział ani słowem. W jego myślach znów pojawiła się twarz Dylana, którą widział bez przerwy od chwili, gdy dowiedział się o pożarze w gospodarstwie. Wiele osób zbiegło się do stajni na okrzyk Gara i grupa, w której teraz jechał, liczyła przynajmniej czterdziestu

ludzi, którym przewodził sam król Brenin. Chłopiec westchnął i wtulił się mocniej w plecy Gara.

Miał wrażenie, że upłynęła cała wieczność, nim poczuł jak Młot, srokacz Gara, skręca i rusza pod górę. Wreszcie dotarli na miejsce. Niebo nad nim jaśniało i w pierwszej chwili chłopiec uznał, że to oznaki nadciągającego świtu, ale po chwili usłyszał trzask płomieni i poczuł zapach dymu. Zrozumiał wówczas, że to nie świt, a blask łuny znad gospodarstwa Darola.

Jeźdźcy wstrzymywali konie, a Corban zsunął się z siodła i rozejrzał z przerażeniem. Języki ognia lizały palisadę i biły ku ciemnemu niebu. Pośród nich ziała czarna dziura otwartej bramy, z której buchały kłęby duszącego dymu.

Brenin przebiegł resztę drogi, chroniony przez tarczowników, którzy utworzyli półokrąg wokół niego.

– Nie zwracaj na siebie uwagi – szepnął Gar do Corbana. – Nie powinno cię tu być.

Chłopak pokiwał głową. Dobrze wiedział, że tylko ci, którzy ukończyli sprawdzian wojownika i przeszli Długą Noc, mieli prawo jechać z królem. Nawet tacy jak Rafe nie mogli do nich dołączyć, choć trenowali już na Jarzębinowej Łące.

Chmury dymu otoczyły go, gdy w ślad za resztą przeszedł przez płonąca bramę. Czuł zapach płonącego drewna, ale również słodsza, bardziej mdła woń, która przylgnęła mu do gardła. Budynki za palisadą nie płonęły już tak intensywnie, gdyż z głównej hali i stajni zostały zaledwie poczerniałe belki.

Brenin uklęknął na środku podwórza, otoczony grupą wojowników. Potem powstał i ruszył naprzód. Corban podkradł się bliżej, by zobaczyć, co przykuło uwagę władcy.

Na ziemi leżały jakieś zwłoki. Był to Darol. Wokół jego brzucha rozlewała się ciemna plama, a palce, zakrwawione i zakrzywione, wgryzały się w ziemię.

Wojownik, który stał przy stercie poczerniałego drewna, niegdyś tworzącego halę, i rozchyłał resztki tęnym końcem włóczni, zawołał

coś. Jeden z dwóch braci, którzy zajęli do osady wieczorem, skoczył mu na pomoc, inni stłoczyli się i zasłonili Corbanowi widok. Chłopiec naraz zapomniał o tym, że ma nie ścierać na siebie niczyjej uwagi. Przepchnął się między wojownikami, brudząc sobie buty popiołem, aż ujrzał rozrzucone pogorzeliwo.

Na ziemi leżało pięć ciał, czarnych, poskręcanych od ognia. Smród uderzył Corbana z siłą młota i odebrał mu dech, a jego żołądek natychmiast skręcił się w torsjach. Ogień pożarł swe ofiary do tego stopnia, że chłopak nie był w stanie rozpoznać nikogo, za wyjątkiem najdrobniejszego ciała, które musiało należeć do Fritha. Nie miał pojęcia, które ciało należy do Dylana, ale wiedział, że jego przyjaciel również znajduje się wśród zmarłych. Znowu poczuł nudności, a w jego oczach pojawiły się łzy. Rozmazał je ręką, wciąż świadom, że stoi pośród śmietanki wojowników z Dun Carreg. Odwrócił się i uciekł, potykając się, aż padł na kolana i wymiotował na zasłany popiołem dziedziniec.

Czyjaś dłoń opadła na jego ramię. Zamrugnął, by odgnać łzy, i ujrzał Thannona. Ojciec bez wysiłku podniósł go z ziemi.

– Nie powinno cię tu być, Ban – warknął.

– Dylan – wyszeptał Corban, a wówczas ojciec przytulił go mocno.

Chłopak nie był w stanie powstrzymać drżenia. Stali tak przez chwilę, podczas gdy wojownicy krążyli po pogorzeliwo i rozgarniali popiół.

W końcu Corban odsunął się od ojca i raz jeszcze przetarł oczy, rozcierając brud na twarzy. Podszedł do nich Gar.

– Brenin właśnie wysłał ludzi, by rozejrzeli się na wzgórzach. Może natrafią na jakieś ślady, które powiedzą nam, do czego tu doszło.

– A co ty sądzisz? – spytał Corban.

– Ktoś chciał się zemścić na Darolu albo go okraść – warknął Thannon. – Cóż innego!?

– Ja bym stawiał na banitów – rzekł Gar. – Słyszałem pogłoski

o tym, że część ludzi Braitha opuściła Ciemny Bór i ruszyła na wschód, paląc i kradnąc po drodze. Baglun nie jest tak wielki jak Ciemny Bór, ale mogli uznać go za dogodną siedzibę.

– Nie licząc wilkunów i bliskiego sąsiedztwa Brenina – rzekł Thannon.

– W Ciemnym Borze też są wilkuny. – Gar wzruszył ramionami.
– Naprawdę uważasz, że to owoc czyjejś zemsty? Że Darol miał wrogów, którzy mogliby się dopuścić takiej zbrodni?

Thannon westchnął i pokręcił głową.

– Nie. Po prostu nie podoba mi się myśl, że tak blisko nas może czaić się banda banitów.

Zza bramy dobiegły jakieś odgłosy, po czym pojawił się pierwszy z wielu wozów, którym przyjechali ludzie ze wsi i z fortecy. Wielu trzymało rozmaite narzędzia, od łopat po wiadra. Corban zauważył mamę i siostrę, które biegły ku nim w górę wzgórza. Gwenith przypadła do niego i złapała go za rękę.

– Dylan nie żyje – wykrztusił chłopak, próbując przełknąć włochatą kulę w gardle. W jego oczach pojawiły się nowe łzy. Gwenith chciała go przygarnąć i przytulić, ale się cofnęła.

Przybywali coraz to nowi ludzie, którzy z miejsca przystępowali do pracy. Składali w jednym miejscu spalone drewno, odgarniali popiół, przeszukiwali zgliszcza. Reszta poranka upłynęła szybko. Ban ponownie usiadł na koniu za plecami Gara i razem udali się nad rzekę, gdzie pracowało wiele osób wraz z samym Breninem. Usunęli założone przez Darola pułapki na łososie i wydobywali wielkie kamienie z dna rzeki, by następnie ułożyć je na wozach. Zdejmowano je przy spalonej palisadzie i wznoszono z nich kurhan wokół ciał Darola i jego rodziny. Ostatnie kamienie znalazły się na miejscu, gdy zachodzące słońce chowało się już za horyzontem. Wtedy wystąpił Brenin.

– Większość z was znała Darola i jego rodzinę. Byli dobrymi ludźmi, zarówno oni, jak i ich dzieci. Zeszłej nocy zostali zaatakowani przez banitów. – Król skinął na Marrocka.

– Znaleźliśmy dwa rzędy tropów – rzekł łowczy. – Jeden wychodził z lasu, drugi do niego powracał. Około dwunastu konnych. Niektórzy z nich, jak sądzę, przeleźli przez palisadę i otworzyli bramę pozostałym. Darol usłyszał hałasy i wyszedł, by sprawdzić, co się dzieje, po czym zginął na miejscu. Pozostali zginęli w sali biesiadnej. Zaszliśmy po śladach daleko w głąb Baglunu, aż trop znikł. – Marrock skrzywił się i skinął na starszego i poważniejszego z braci, których Corban spotkał zeszłej nocy na trakcie. Ten wystąpił. – Halion odnalazł zaś to! – rzekł łowczy, na co przybysz wyciągnął rękę i pokazał perłowy naszyjnik, który Corban czasem widywał na szyi Elin, siostry Dylana.

Brenin dobył miecza.

– Miała tu miejsce mroczna zbrodnia – warknął. – I przysięgam wam wszystkim, iż nie pozwolę mordercom i złodziejom wyprawiać w Ardanie tego, co im się żywnie podoba, a zwłaszcza w naszej okolicy! Darol i jego rodzina zostaną pomszczeni, a winni poniosą karę. Przysięgam na miecz mego ojca i uświęcam to własną krwią!

Zacisnął dłoń na ostrzu, a po klindze spłynęła cieniutka, czerwona strużka. Potem wepchnął miecz z powrotem do pochwy.

* * *

Następnego dnia po obudzeniu Corban przez moment miał wrażenie, że wszystko jest tak, jak było kiedyś, aż niespodziewanie przygniotły go wspomnienia. Dylan. Pożar. W jego oczach pojawiły się łzy. Chciał się odwrócić i znów zasnąć, ale Gwenith najwyraźniej usłyszała go, gdyż wtargnęła do pokoju i ściągnęła zeń koc. Usiadła obok, pogładziła go po głowie i delikatnie pocałowała w policzek.

– Chodź na śniadanie – szepnęła.

Corban długo skubał miodowe ciastko i popijał mlekiem.

– Gdzie jest Cywen? – spytał w końcu.

– W stajni z Garem – odparła mama i spojrzała na niego z ukosa.
– Tato mówił, że potrzebuje dziś twojej pomocy w kuźni.

Corban podniósł się z westchnieniem.

– Dobra, poszukam go.

Od ojca dowiedział się jednak, że będzie potrzebny dopiero po południu. Udał się więc do domu Datha i zastukał do drzwi. Otworzyła mu Bethan.

– Dath wypłynął z tatą – powiedziała.

– Aha – burknął Corban i przestąpił z nogi na nogę.

– Ruszyli z przyływem, tuż po wschodzie słońca – dodała Bethan.

– No dobra – burknął chłopak, odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Corban! – zawołała za nim dziewczyna. – Byłeś blisko z Darolami, nie?

– Byłem.

Bethan podeszła bliżej i złapała go za rękę.

– Brenin złapie tych ludzi – zapewniła go.

Corban westchnął i odszedł.

Na łąkach, gdzie przed dwoma dniami roiło się od ludzi, było teraz niemalże pusto, ale spostrzegł wysokiego człowieka z wielkim psem, zajętego ładowaniem wozu. Talar zastrzygł uszami, gdy chłopak podbiegł do kupca, taszczącego ogromny zwój owczych skór.

– A więc już wyjeżdżasz – rzekł Corban.

– Tak, chłopcze. Mam wiele towaru do sprzedania. Liczę, że przed Dniem Letniego Przesilenia uda mi się przemierzyć większość terytorium Ardanu. Przykro mi z powodu tego, co się wczoraj stało. Straszna tragedia. Znałeś ich dobrze?

– Tak, zwłaszcza Dylana, syna Darola. – Oczy znów zasły Corbanowi mgłą. – Dzięki za pomoc.

– To dobre miejsce – mruknął Ventos. – I mieszkają tu dobrzy ludzie. Nie wszędzie na Ziemiach Wygnanych tylu ludzi pośpieszyłoby z pomocą co u was.

– Bo u nas nie dochodzi do morderstw – bąknął Corban.

Słyszał o przestępstwach popełnianych przez banitów i wiedział, że palili gospodarstwa leżące bliżej Ciemnego Boru, ale tu, w cieniu fortecy, takie historie wydawały się opowieściami wyssanymi z palca.

Ventos pokiwał głową.

– Macie dobrego króla, który nie pozwala na łamanie prawa. W innych miejscach dochodzi do o wiele gorszych rzeczy. Nie mam wątpliwości, że wasz król dorwie i osądzi tych, którzy dopuścili się zbrodni. A teraz chodź i pomóż mi z tym załadunkiem – dodał, ocierając pot z czoła.

Gdy spakowali wszystkie towary, handlarz rozsiadł się na koźle. Mocny, przysadzisty kuc został już zaprzężony do wozu, a innego, ciężko objuczonego, mężczyzna przytroczył długą liną do tylnej klapy.

– Trzymaj się z daleka od Baglunu – powiedział Corban, gdy Ventos ujął lejce.

– Nie martw się o mnie, chłopcze. Talar się o mnie zatroszczy.

Strzelił wodzami i kuc ruszył naprzód. Ventos uśmiechnął się szeroko, pomachał do chłopaka i skierował się ku traktowi olbrzymów, a pies potruczał obok wozu. Corban stał i patrzył, jak kupiecki wóz niknie na horyzoncie, a potem spojrzał na słońce i zaklął. Rzucił się biegiem w kierunku fortecy.

Buddai uniósł łeb i spojrzał na Corbana, który przeskoczył nad nim i wpadł do kuźni. Chłopak oparł się o drewnianą framugę i łapczywie łapał powietrze, a jego klatka piersiowa rosła i opadała niczym miechy poruszane potężną dłonią Thannona.

– Spóźniłeś się – rzekł ojciec. Jego sylwetka, opromieniona przez żar padający z pieca, wydawała się całkiem czarna. Był rozebrany do pasa, a jego potężną klatkę piersiową oraz brzuch chronił fartuch ze skóry bawołu. W powietrzu niósł się smród palonych włosów, gdy iskry co rusz strzelały spod jego młota i padały na brodę bądź grube przedramiona.

– Przepraszam, tato – wysapał chłopak.

– Mniejsza o to, ale pamiętaj, że mężczyzna powinien dotrzymywać danego słowa. – Thannon zmierzył go surowym spojrzeniem. – Chciałbym, żebyś coś wykuł. Torin prosił o pół tuzina kos. – Spojrzał na Corbana, wciąż opartego o framugę. – Dobra, chłopcze, chodź tutaj. Musimy uformować to żelazo, nim ostygnie.

Corban nałożył swój podziurawiony skórzany fartuch i pochwycił młot, którym Thannon machnął w jego kierunku. Na kowadle spoczywał rozżarzony do białości gruby, żelazny pręt, trzymany w długich szczypcach. Corban wiedział, co do niego należy. Gdy celnymi uderzeniami wygładzał nierówności, na boki strzelały iskry, a po kuźni niósł się miarowy brzęk metalu.

Reszta popołudnia upłynęła mu jak we śnie. Buchało gorąco, łomotał młot, czasami, na krótką chwilę nawiedzały go wspomnienia wczorajszych wydarzeń. W pewnym momencie na jego wzniesionym ramieniu zacisnęło się ogromne łapsko Thannona.

– Ban, na dzisiaj już skończyliśmy – oznajmił jego ojciec i spojrzał na niego z troską.

Corban zamrugał, odwiesił młot obok pozostałych narzędzi i nachylił się nad paleniskiem, rozgrabiając na pół wypalone węgielki na boki. Gdy wyszli z kuźni, chłodny podmuch wieczornego wiatru w okamgnieniu wystudził pot na jego skórze. Chłopak zadrżał.

Niespodziewanie na trakcie pojawił się samotny jeździec, który popędził brukowaną drogą w stronę stajni fortecy. Miał herb, którego Corban jeszcze nigdy nie widział.

Był to biały orzeł na czarnym tle.

Rozdział dwunasty

VERADIS

Ze wszystkich stron osaczyło go straszliwe gorąco, ale pokonał skokiem mur płomieni i wtoczył się do płytkiego strumienia. Czuł smród spalonych włosów, skóry, ciała. Jego odzież dymiła w kilku miejscach, ale nawet nie pomyślał o tym, by przyglądać się sobie. Bez namysłu cisnął włócznią w olbrzyma, który groził mieczem Nathairowi.

Olbrzym zamachnął się, tak szybko, że Veradis nie był w stanie nadążyć za nim wzrokiem. Rozległ się trzask i oba kawałki przeciętej włóczni wystrzeliły w przeciwnych kierunkach.

Wielkolud nawet nie drgnął, a jedynie wbił w młodzieńca spojrzenie ciemnych, pozbawionych emocji oczu. Veradis skrzywił się i wyszarpnął miecz.

– Nie! – krzyknął Nathair, ale młody wojownik już nacierał.

Zasłaniając się tarczą, zbliżał się szybko do olbrzyma, próbując zająć go od prawej. Ten zamachnął się dwuręcznym mieczem, ale Veradis nachylił się w porę, przepuszczając wrogie ostrze ze świstem nad głową, i rzucił się do ataku. Olbrzym cofnął się w odpowiednim momencie i czubek miecza Veradisa ześlizgnął się niegroźnie po jego kolczudze. Młodzieniec nie poddawał się – napierał dalej, wiedząc, że jeśli się cofnie, przeciwnik będzie w stanie wykorzystać swój długi miecz. Uderzył tarczą w jego brzuch i jednocześnie rąbnął go ostrzem w kostkę.

Rana nie była głęboka, ale olbrzym chrząknął z bólu. Veradis przez krótki moment czuł euforię, ale wtem ogromna dłoń zacisnęła się na krawędzi jego tarczy i odebrała mu ją gwałtownym szarpnięciem, od którego popękały rzemienie. Coś rąbnęło go w klatkę piersiową, poczuł oszałamiający ból i uświadomił sobie, że leci. Chwilę później uderzył o ziemię, przetoczył się i walnął twarzą o coś twardego. W jego głowie buchnęła jasność.

– Dobrze walczysz, człowieczku – oznajmił olbrzym, zmierzając ku niemu wielkimi krokami. Jego głos był zgrzytliwy niczym zardzewiałe, dawno nieużywane zawiasy, a sumiaste wąsiska drgnęły, gdy uśmiechnął się lekko.

Veradis usiłował się podnieść, jednocześnie macając ręką za rękojeścią miecza, który jakimś cudem znikł. Jego wzrok przyćmiewała gęstniejąca czarna chmura. Próbował się skupić, skoncentrować. Od śmierci dzieliły go ułamki sekund.

Naraz pojawił się Nathair z dobytym ostrzem.

– Stać! – krzyknął ktoś za plecami olbrzyma.

Veradis wreszcie się poderwał, ale w tej samej chwili w jego głowie eksplodował ból. Nagle pojął, że leci, zapada się w sobie, a potem zawładnęła nim ciemność.

* * *

Ból. Rytmiczny, pulsujący ból. Veradis powoli, ostrożnie otworzył oczy. Miał wrażenie, że w jego czaszkę wbijają się ostre sztylety, które wywołują kolejne fale torsji.

Gdzie ja jestem? Nathair...

Poruszył się, ale zbyt szybko. W głębi czaszki za oczami znów eksplodował ból. Nabrał powietrza, wypuścił je szybko i czekał, aż świat się uspokoi.

– A więc żyjesz – powiedział ktoś.

Rauca nachylał się nad nim. Wsunął mu ramię pod plecy

i pomógł usiąść, a potem oprzeć się o pień wawrzynu.

– A gdzie Nathair? – wymamrotał Veradis.

– W tamtym namiocie. – Rauca skinął przez ramię.

Nadal przebywali w tej samej dolince. Tu i tam widać było wojowników z oddziału księcia, część z nich pełniła wartę wzdłuż grzbietu górskiego. Ciemnowłosey olbrzym strzegł wejścia do pstrokatego namiotu.

– Co się stało?

– Po tym, jak postanowiłeś splonąć żywcem? – Rauca ukucnął obok niego i uśmiechnął się szeroko.

– Niech ci będzie.

– Z tego, co udało mi się dostrzec, rzuciłeś się na olbrzyma i rąbałeś w niego przez chwilę, aż ten walnął cię i posłał prosto na te drzewa.

– To pamiętam – mruknął Veradis i dotknął twarzy oraz nosa, wciąż pulsujących bólem i lepkich od krwi.

– Wszystko wskazywało na to, że olbrzym chce nabić cię na swój miecz, ale Nathair stanął między wami. – Rauca znów się uśmiechnął. – Popatrz, a już myślałem, że to ty masz chronić jego!

Veradis się zarumienił.

– Sprawy wymknęły się spod kontroli. Co było dalej?

– Cóż, wówczas zainterweniował ów starzec, który uspokoił olbrzyma. Mam wrażenie, że to całe przedstawienie: płomień, olbrzym, miecz, miało swój cel.

– Cel?

– Tak. Miało pokazać, że Nathair znalazł się pod ich władzą i gdyby chcieli go skrzywdzić, mogliby to zrobić w każdej chwili.

– Och. Ale tak się nie stało.

– Nie. Przedstawienie odniosło swój skutek. Nathair został najwyraźniej przekonany, bo gdy się upewnił, że nadal oddychasz, zamknął się w namiocie z tym całym doradcą i nadal tam siedzą.

Veradis spojrział na namiot i strzegącego go olbrzyma. Skrzywił się.

– A ten ogień?

Dobrze pamiętał ścianę huczących płomieni, która niespodziewanie wyrosła z niewielkiego obozowego ogniska.

– Nie wiem. – Rauca wzruszył ramionami. – Słyszałem opowieści o ludziach, którzy potrafią robić takie rzeczy. Jak to się nazywa? Magia żywiołów? – szepnął.

– Też o tym słyszałem – mruknął Veradis i opanował dreszcz.

Podtrzymywany przez Raucę wstał i dotarł do niewielkiego strumyka, gdzie towarzysz pomógł mu ściągnąć kolczugę. Veradis nie był w stanie powstrzymać jęków – każdy ruch wywoływał kolejne fale bólu. Był w istocie srodze poturbowany. Bolały go miejsca, które przyjęły impet upadku, a potem zderzenia z drzewem, tu i ówdzie dawała o sobie znać przypalona skóra, ale najbardziej dokuczała mu klatka piersiowa, w którą trafił cios olbrzyma. Kolczuga uchroniła kości przed połamaniem, ale na skórze pojawił się już ciemnofioletowy siniak. Ponadto młodzieniec nadal czuł intensywne pulsowanie w nosie, którym uderzył o pień.

– Złamany! – oświadczył Rauca z zadowoleniem, które wcale się Veradisowi nie spodobało. – Mam ci go nastawić czy może chcesz dalej wyglądać jak jeden z Kadoshim Asrotha?

– Nastaw go – burknął Veradis, po czym odpiął skórzany pas i zagryzł go mocno.

Rauca chwycił obiema dłońmi nasadę nosa i przekręcił gwałtownie. Rozległ się stłumiony trzask. Młodzieniec sapnął z bólu i zagryzł pas. Po chwili, gdy najgorsze minęło, nabrał dłońmi wody ze strumienia i obmył twarz, po której pociekła świeża krew.

– Dzięki – mruknął, gdy Rauca ukucnął obok niego.

– Nie ma sprawy. – Przyjaciel poklepał go po ramieniu.

Rozbili obozowisko w dolince. Słońce zniknęło już za horyzontem, a niebo powoli przybrało kolor ciemnego aksamitu, na którym, niczym okruchy lodu, zamigotały gwiazdy. Orcus nadal pełnił wartę na wzgórzu, wyznaczył też drugą grupę, która miała strzec namiotu oraz olbrzyma przez całą noc.

Veradis obudził się obolały i połamany.

Wojownicy w ciszy spożyli śniadanie, czekając na swego księcia. Niedługo potem olbrzym, który nadal stał na straży, uniósł klapę namiotu, a ze środka wyłonili się Nathair oraz srebrnowłosego starzec. Księżę odnalazł Orcusa i wydał mu rozkaz przygotowania oddziału do drogi. Olbrzym zabrał się za składanie namiotu, a starzec stał z założonymi ramionami i nie spuszczał z Nathaira oczu.

Księżę jednakże dostrzegł Veradisa i podszedł do niego, uśmiechając się szeroko.

– Cieszę się, że nic ci nie jest – powiedział i ujął go pod ramię. – Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłeś.

– Z tego, co mi mówiono, to ty mnie uratowałeś – rzekł Veradis.

– Prawda. – Nathair wyszczerzył zęby. – Ale skoczyłeś za mną przez płomień, na co nie zdobył się nikt inny. – Pokręcił głową i dodał: – Nie zostanie ci to zapomniane.

Po chwili hufiec księcia był już gotów do wymarszu. Nathair raz jeszcze rozmówił się z doradcą i wziął od niego skórzaną tuleję na pergaminy. Veradis stanął u boku księcia, zerkając na olbrzyma, wyższego od pozostałych o kilka głów, który spoglądał pochmurnie na zgromadzonych ludzi. Miał na sobie ciemny, skórzany kaftan i kolczugę, a po jego lewym ramieniu piał się tatuaż przedstawiający cierniste pnącza, który schodził częścią prawego ramienia. Nad barkiem sterczała rękojeść miecza. Jego twarz, pomimo ostrych, wydatnych rysów, przypominała ludzką. Sumiaste wąsiska były przewiązane rzemykami. Niespodziewanie wycelował spojrzenie w Veradisa, który odwrócił wzrok.

– Bezpiecznej podróży – rzekł starzec i uściśnął przedramię Nathaira, jak czynili to wojownicy.

– Do następnego spotkania – odparł księżę.

– Do następnego spotkania – powtórzył doradca.

Nathair odwrócił się i poprowadził swój hufiec w górę zbocza, a potem w dół. Wkrótce mogli już ponownie dosiąść koni i ruszyć

wzdłuż brzegu rzeki Nox. Prowadził Orcus na czele kilku orlich gwardzistów, a jadącego za nim Nathaira osłaniali z obu stron Veradis i Rauca. Od chwili opuszczenia doliny księżę nie odezwał się ani słowem.

– Wynegocjowałem pokój – rzekł niespodziewanie, zaskakując Veradisa.

Rauca zmarszczył brwi.

– Wiem, że dla większości naszych rodaków będzie to wstrząs, ale moim zdaniem to dla nas punkt zwrotny.

– Wstrząs? Wielu będzie gotowych chwycić za broń – oznajmił Veradis. Sam dorastał na wybrzeżu i choć Vin Thalun nie dawali o sobie znać przez dziesięć lat, nadal cieszyli się złą sławą. Co więcej, ostatnio znów dochodziło do napadów.

– To ma posłużyć większemu dobru – oznajmił Nathair.

– Ale czy jesteś w stanie im zaufać? – mruknął Rauca.

– Nie. Ale starzec przekonał mnie do swoich racji – rzekł księżę. – Gdyby chcieli, zabiliby mnie bez trudu. Wszystko wskazuje na to, że chcą, bym im zaufał. Cóż, niebawem się dowiemy. Wiele z tego, co usłyszałem, ma sens, przydałby się nam sojusz. Z ich pomocą osiągnęlibyśmy o wiele więcej. Wykorzystam ich tak, jak oni próbują wykorzystać mnie.

– Tylko bądź ostrożny, co? – poprosił Veradis, spoglądając na Raucę.

– Pewnie. – Nathair uśmiechnął się szeroko. – Trzymaj się przyjaciół, ale nie spuszczaaj oczu z wrogów, czyż nie?

– Powiedział ci, jak się nazywa?

– Tak. Calidus – odparł Nathair cicho, niemalże szeptem. – Ale nikomu o nim nie wspominajcie. Wszystko wskazuje na to, że między nim a moim ojcem doszło wiele lat temu do jakichś niesnasek. Nie mogę dopuścić do tego, aby wszystko, co osiągnąłem, zostało odrzucone przez mego ojca ze względu na jakieś imię z przeszłości. – Spojrzał na Veradisa i Raucę. – Chcę, byście złożyli przysięgę.

- Oczywiście – rzekł Rauca, a Veradis pokiwał głową. Nathair uśmiechnął się nagle i skinął.
- Jak już mówiłem, wszystko to dla większego dobra.

* * *

Czarne mury Jerolin zamigotały w jasnym słońcu, gdy Veradis wjechał na szczyt niewielkiego wzniesienia i ujrzał całą fortecę oraz leżące przed nią jezioro. Na horyzoncie ciągnęły się zębate, poszarpane góry Agullas, oddzielające ląd od nieba.

Droga powrotna przebiegła bez większych przygód. Hufiec podróżował w niezłym tempie, gdyż wszyscy mieli już dosyć upałów południa. Tu, na północy Tenebralu, również było gorąco, ale temperaturę łagodziły podmuchy wiatru od gór.

Hufiec minął otoczoną palisadą wieś położoną nad jeziorem, pomknął wzdłuż brzegów, mijając kołyszące się na falach łódki rybaków i większe barki kupieckie, a potem wspiał się na trakt prowadzący do fortecy. Orli proporzec Tenebralu łopotał na wietrze, kopyta rumaków tłukły o bruk. Wkrótce jeźdźcy przejechali pod szeroką łukowatą bramą i poczuli zsiadać z koni przed stajniami.

Na dziedzińcu panował chaos. Wojownicy i stajenni tłoczyli się wokół wierzchowców, choć Veradis już dostrzegł Valyna, próbującego zapanować nad sytuacją. Jego potężny głos przebił się przez wrzawę, ale hałas przycichł, dopiero gdy zjawili się król Aquilus oraz królowa Fidele z eskortą.

Fidele podbiegła do Nathaira i uścisnęła go mocno, ale księżę stał sztywno, szukając wzrokiem ojca, który zatrzymał się nieco dalej i powitał syna bardziej powściągliwie. Król przywołał do siebie Orcusa i cała czwórka opuściła stajnie, by skierować się ku sali biesiadnej i wznoszącej się za nią wieży.

Chwilę później Veradis, w towarzystwie Rauki i Bosa, również

wszedł do sali biesiadnej. Bos z hukiem postawił dzban wina na stole, po czym wziął trzy pucharki, napełnił je, a swój opróżnił jednym haustem.

– Teraz już wiem, czemu jesteś taki wielki – rzekł Rauca, spoglądając wymownie na miskę Bosa, na której piętrzyło się jedzenie.

Ten wzruszył tylko ramionami i zaczął pochłaniać posiłek. Veradis poszedł w jego ślady, a gdy skończył, odsunął miskę od siebie i rozsiadł się wygodnie. Upił nieco wina i rozejrzał się po opustoszałej częściowo sali.

– Czy to Peritus? – spytał szeptem, spoglądając na grupę wojowników siedzących po przeciwnej stronie. W środku gromady zasiadał szczupły mężczyzna średniego wzrostu. Był nieco starszy od pozostałych, a krótko przycięte włosy i pojedynczy warkocz wojownika nie ukrywały faktu, że zaczynałłysieć.

– Zgadza się – burknął Bos.

– Tak mi się wydawało – rzekł Veradis.

Widział już kiedyś wojewodę Aquilusa, ale miało to miejsce przynajmniej osiem lat temu, kiedy sam liczył ich niespełna dziesięć. Peritus przyprowadził zbrojny hufiec i pomógł jego ojcu rozprawić się z bandą banitów, która urządziła sobie bazę wypadową w największym lesie Tenebrału.

– Przyjechał dziś rano – dodał Rauca. – Niedługo przed nami. Zzaledwie połową ludzi, których zabrał.

– Co się stało? – spytał Veradis.

– Olbrzymy. Grasowały na południe od gór, aż miejscowi baronowie zaczęli naciskać na Marcellina. Ten przydusił Aquilusa, który wysłał Peritusa.

– I tylko połowa oddziału wróciła? Nie miałem pojęcia, że olbrzymów zostało tam aż tyle, by zadać takie straty – rzekł Veradis. Przypomniała mu się Balara, zrujnowana, rozpadająca się forteca, która wznosiła się niedaleko jego domu. Na niewielkie grupki olbrzymów można było się natknąć w wielu miejscach

w Tenebralu, ale klan został rozbity i rozpedzony na cztery wiatry pokolenia temu, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Nie potrzeba ich wielu, by zadać wielkie straty – odezwał się Bos. – Mój ojciec służył pod Marcellinem, zanim przywdział tu tunikę z orłem. Twierdził, że niekiedy potrzeba czterdziestu twardych wojowników, by pokonać jednego olbrzyma.

– Chyba że nazywasz się Veradis – rzekł Rauca. – Ten to rzuca się na olbrzymy w pojedynkę. – Uśmiechnął się szeroko i stuknął swoim pucharkiem w naczynie młodzieńca, rozlewając czerwone wino na stole. Veradis skrzywił się lekko.

Do sali wkroczyła niewielka grupa wojowników prowadzona przez zbrojmistrza Armatusa. Mężczyzna ujrzał Peritusa i podszedł do niego, a ten wstał. Rzucili się sobie w objęcia i zaczęli poklepywać się głośno po plecach.

– Wychowali się w tej samej wsi – powiedział Rauca. – Przybyli do Jerolin wspólnie, by dołączyć do królewskiego hufca. Aquilus był w tych czasach jeszcze księciem.

Naraz rozległy się ledwo słyszalne kroki, które ucichły tuż za plecami Veradisa. Młodzieniec obrócił się i ujrzał stojącą za nim królową. Bładość na twarzy kobiety uwydatniała jeszcze bardziej czerwona szminka na ustach, w jej ciemnych włosach pojawiły się już pierwsze nitki srebra. Wojownicy chcieli się poderwać, ale królowa wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Veradisa.

– Słyszałam, co zrobiłeś dla mego syna – rzekła.

Młody wojownik miał wrażenie, że powinien coś odpowiedzieć. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Chciałam ci podziękować – ciągnęła królowa. – On potrzebuje przy sobie dobrych ludzi. Takich jak ty.

– Dziękuję – wymamrotał Veradis, czując na twarzy gorący rumieniec.

Fidele uśmiechnęła się, uścisnęła jego ramię i odeszła.

– Odważny to ty może jesteś – rzucił Rauca – ale elokwencji to nie masz za grosz.

Bos zachichotał, a Veradis zarumienił się jeszcze bardziej.

* * *

Kolejne dziesięć dni upłynęło Veradisowi szybko. Przez większość czasu ćwiczył wraz z nowo utworzonym hufcem młodego księcia, choć on sam rzadko do nich dołączał. Po powrocie Nathair złożył ojcu dokładny raport ze swej podróży i spotkania z doradcą Lykosa, precyzyjnie naświetlając mu warunki traktatu zaproponowanego przez Vin Thalun. Aquilus nie okazał entuzjazmu, na który liczył Nathair, i wciąż zastanawiał się nad propozycją, nie mogąc podjąć decyzji. Podczas ostatniego spotkania z Veradisem książę był więc spięty i z trudem tłumił złość.

Ich hufiec natomiast, choć mały, rósł w siłę. Każdy wojownik, który przybywał do fortecy, by służyć królowi Tenebralu, otrzymywał propozycję wstąpienia do drużyny jego syna.

Każdy dzień rozpoczynał się od ćwiczeń i tak oto wczesnym rankiem ósmego dnia po powrocie Veradis przebywał na dziedzińcu treningowym. Zlany potem po walce z Bossem oglądał swoje kłykcie, zaczerwienione i piekące po ciosie. Zdołał wygrać to starcie. Szybko zdobywał sobie uznanie wśród wojowników z Jerolin. Kilkakrotnie już zauważył, że zbrojmistrz Armatius przygląda mu się z aprobatą.

Gdy siedział i patrzył na inne walki, czekając, aż słońce osuszy jego pot, usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się i ujrzał idącego ku niemu szeroko uśmiechniętego Nathaira.

– Udało się! – oznajmił książę i ścisnął mocno ramię Veradisa. – Ojciec się zgodził.

– To dobra wiadomość – rzekł młodzieniec, choć wrodzony brak zaufania do Vin Thalun studził jego entuzjazm.

– Nasz więzień Deinon zawiezie odpowiedź Lykosowi.

– A więc Aquilus nie strąci mu głowy z ramion?

– Oczywiście, że nie. Nie byłby to najlepszy sposób, by stworzyć

nowy sojusz. – Nathair uśmiechnął się.

Gdzieś za nimi rozległy się głosy oraz kroki. Przez dziedziniec szedł król Aquilus, a za nim podążał Deinon w eskorcie dwóch orlich strażników. Nathair przyglądał im się przez chwilę, a potem ruszył ku nim, dając Veradisowi znak, by mu towarzyszył. Dogonili króla przy stajniach, gdzie Deinon oraz orli strażnicy dosiadali koni. Vin Thalun pożegnał się krótko i ruszył przed siebie, w jukach wioząc tuleję z pergaminami. Orli strażnicy popędzili w ślad za piratem i wraz z nim opuścili fortecę.

– Chodź ze mną – rzekł Aquilus do syna. Ruszył przed siebie, a Nathair i Veradis podążyli za nim.

Szli w milczeniu za królem, aż dotarli na mury, skąd roztaczał się widok na jezioro i równinę. Deinon i dwaj towarzyszący mu jeźdźcy byli już punkcikami na horyzoncie.

– Po co ta zbrojna eskorta, ojcze? – zapytał Nathair. – Przecież droga na wybrzeże nie nastęcza trudności.

– Są z nim po to, by naprawdę tam dotarł, Nathairze. By się nie ociągał ani nie zbaczał gdzieś po drodze. Ja im nie ufam. Nie ufam im! Od wielu pokoleń Vin Thalun najeżdżali zarówno nasze wybrzeża, jak i wybrzeża naszych sąsiadów. A teraz, ni z tego, ni z owego, chcą zawrzeć pokój i zbudować sojusz. Tylko z nami. Dlaczego nie z Tarbeshem czy Carnutanem? Dlaczego z Tenebralem? Meical twierdzi, że wcale nie przez przypadek złożyli tę propozycję akurat teraz, a ja się z nim zgadzam.

Oblicze Nathaira spochmurniało.

– Doradca Meical – parsknął. – Ja również nie ufam Vin Thalun, ojcze, ale nie mam wątpliwości, że ich propozycja może nam przynieść korzyści. Musimy tylko zachować rozwagę.

– Tak, synu. Jeśli chcesz złapać zdobycz, musisz zastawić odpowiednią przynętę. Chcę wiedzieć, co oni zamierzają osiągnąć, a sojusz z nimi wydaje się na to najlepszym sposobem. – Skubnął palcami nasadę nosa. – Dobrze się spisałeś, synu, ale nadchodzą burzliwe czasy. Nadciąga wojna. Musimy mieć oczy i uszy szeroko

otwarte.

Wojna, pomyślał Veradis.

Nadal odprowadzał wzrokiem odjeżdżającego pirata, kiedy dostrzegł grupę zbrojnych jeźdźców, zmierzających ku twierdzy.

– A to kto? – zapytał.

We trzech wpatrywali się w milczeniu w przybyszów do chwili, gdy ci niemalże dotarli do bram. Grupa liczyła czterdziestu, może nawet pięćdziesięciu jeźdźców, a powiewał nad nimi proporzec, którego Veradis nigdy dotąd nie widział. Przedstawiał rożek księżycyca na rozgwieżdżonym niebie.

– A więc już się zaczęło – powiedział cicho Aquilus. – To proporzec Tarbeshu. Myślę, że przewodzi im Rahim, król Tarbeshu. Pierwszy władca, który odpowiedział na moje wezwanie.

Rozdział trzynasty

CORBAN

– Skąd on jest, mamó? – spytała Cywen. – Jak myślisz?

Corban grzebał łyżką w misce owsianki, rozprawiając wielką kroplę miodu pomiędzy płatkami. Gwenith zmarszczyła brwi, zerkając odruchowo na męża, a potem usiadła przed paleniskiem i zaczęła opiekać chleb na długim widelcu.

– Nie wiem – westchnęła. – Ale chyba mi nie wierzysz, bo pytasz o to samo piąty raz.

– Ale ktoś musi to wiedzieć! – jęknęła Cywen z rozpaczą. – Tato?

– Przykro mi – burknął Thannon, żując miodowe ciastko.

– Na tarczy był biały orzeł. Tak powiedziałaś, Ban, co nie?

– Tak.

– Czyj to znak?

– Dziś wieczorzymy w sali biesiadnej. Może Brenin ogłosi, kto go odwiedził – oznajmiła Gwenith i położyła przypieczony kawałek chleba na talerzu na środku stołu. Thannon, zręczny pomimo ogromnych rozmiarów, złapał go jako pierwszy, uśmiechnął się do siebie i zaczął smarować go grubą warstwą masła. Cywen milczała i marszczyła nos, jak zwykle, gdy ją coś zafrapowało.

– Pewnie masz rację, ale wieczór będzie za tysiąc lat!

– Cierpliwości, dziewczę – rzekł Thannon i rozparł się z zadowoleniem na krześle, masując się po brzuchu.

Corban zmarszczył brwi. Było to jedyne słowo, którego szczerze

nie znosił, bo zazwyczaj oznaczało, iż pora się zamknąć lub zmienić temat. Wyraz twarzy Cywen zdradzał, że jest podobnego zdania.

– Chłopcze, szybciej! Trzeba rozpalić ogień! Mamy kolejne kosy do zrobienia!

Corban skrzywił się. Ramię bolało go po wczorajszej pracy, a w miejscu, gdzie kciuk spotykał się z dłonią, pojawił się szczególnie bolesny pęcherz.

– Och, byłabym zapomniała – odezwała się Cywen. – Gar powiedział mi, że musi z tobą dziś porozmawiać, Ban. Idę prosto do stajni. Może chodź ze mną, co? Do kuźni zajrzysz później. O ile nie masz nic przeciwko, tato?

– W porządku, Ban. Zobaczymy się później – rzekł Thannon, który wstał i otrzepał tunikę z okruchów. Wyszedł z kuchni, a Buddai podreptał za nim.

Corban i Cywen wyszli chwilę później, ale mama nadal siedziała przy palenisku i wpatrywała się w trzaskające płomienie.

* * *

– A czego chce Gar? – spytał Corban siostrę.

Nie czuł już do niej żalu i na powrót z nią rozmawiał. Śmierć Dylana wstrząsnęła nim na tyle, że impulsywny występki Cywen nie miał już dla niego żadnego znaczenia.

– Nie wiem. Pytałam, ale nie chciał mi nic wyjaśnić. Niekiedy nie da się z niego nic wycisnąć.

– Uhm – mruknął Corban.

Stajnie były ogromną, drewnianą budowlą krytą strzechą. Olbrzymy Benothi z wiadomych względów nie jeździły konno, a więc nie budowały stajni. Toteż Ard musiał nakazać wzniesienie własnych konstrukcji pośród kamiennych budowli starej fortecy.

Corban i Cywen zastali głównego stajennego na wybiegu, gdzie zajmował się źrebakiem kupionym przez dziewczynę na

Wiosennym Festiwalu. Oparł jego przednią nogę o swe kolano i nakładał na miejsce, z którego Cywen wyciągnęła cierń, maść wygrzebywaną palcami z dzbanuszka. Corban i jego siostra stali w milczeniu i patrzyli, jak mężczyzna kończy bandażować końskie kopyto. Cywen zmarszczyła nos, gdy poczuła smród maści.

– Dojdzie do siebie – rzekł Gar i poklepał źrebaka po karku.

– Cywen powiedziała, że chcesz się ze mną zobaczyć – powiedział Corban.

– Zgadza się – odparł główny stajenny i spojrzał znacząco na dziewczynę. Ta zmarszczyła brwi i udawała, że nie dostrzega jego wzroku, całkiem zajęta wygrzebywaniem rzepu z końskiej grzywy. Cisza przeciągała się, aż stała się krępująca, gdy ktoś zawołał imię Cywen.

Rozpromieniona Edana szła szybko ku nim w asyście jakiegoś wojownika.

– Witajcie! Cywen, Garze, Corbanie! – Księżniczka uśmiechnęła się do każdego z nich. – Miałam nadzieję, że cię tu znajdę – zwróciła się do dziewczyny. – Zastanawiałam się, czy miałabyś może ochotę na przejażdżkę?

– Ochotę to bym miała – Cywen uśmiechnęła się szeroko – ale Gar jak dotąd nie powiedział mi, na czym będą polegać moje poranne obowiązki.

Wbiła przy tym wzrok w swe stopy, na co główny stajenny obdarzył ją jednym z rzadkich u siebie uśmiechów.

– Nie krępuj się – powiedział. – Przejedź się z księżniczką.

Cywen zarzuciła Garowi ramiona na szyję i wycisnęła mu całus na policzku, po czym wraz z Edaną odbiegły ku stajniom. Wojownik towarzyszący księżniczce usiłował za nimi nadążyć, stawiając długie kroki.

– Jak się czujesz, Ban? – spytał Gar.

– Nie narzekam. – Chłopak wzruszył ramionami. Niespodziewanie poczuł się nieswojo i wbił wzrok w murawę. Po długiej przerwie uniósł głowę i spojrzał Garowi w oczy. – A jak niby

mam się czuć? Mój przyjaciel nie żyje. Dylan został zamordowany!
– Westchnął ciężko. – Mam w sobie mnóstwo uczuć, Gar. Złość, smutek. Czasami zapominam nawet o tym, co się wydarzyło i przez chwilę jestem szczęśliwy. To najgorsze, co może być.

– A widziałeś może tego młodego brutalą Rafe’a od Wiosennego Festiwalu?

– Tylko z daleka. Ten kłopot jakoś przestał mnie dręczyć.

– To dobrze – burknął Gar. – Ale sam z siebie nie zniknie. Moja propozycja jest nadal aktualna. Pamiętasz o niej?

– Tak.

Cywen, Edana oraz przyboczny księżniczki wyjechali ze stajni.

– Nadal chcesz się ze mną spotykać i ćwiczyć? – spytał cicho główny stajenny.

Prawdę powiedziawszy, Corban całkiem zapomniał o propozycji, którą złożył mu Gar, ale w jego głowie naraz pojawiło się wyraźne wspomnienie Rafe’a.

– Tak, chcę.

– To spotkajmy się tutaj jutro rano. Jeśli nie zjawisz się w chwili, gdy słońce dotyka krawędzi klifów, uznam, że zmieniłeś zdanie i nigdy już nie wrócę do tematu.

Bez słowa odwrócił się i odszedł, kusztykając, ku stajniom.

* * *

Corban nigdy dotąd nie widział takich tłumów w sali biesiadnej. Wszyscy poddani byli zawsze mile widziani przy stole króla, ale zwykle w niewielkich gospodarstwach rozlokowanych wokół twierdzy – jak na przykład u Thannona – spożywano wieczorny posiłek w domach. Tego dnia jednakże było inaczej. Sala rozbrzmiewała gwarem rozmów, a Corban, wciśnięty między siostrę i tatę, ledwie mógł się poruszyć.

Drzwi na tyłach sali stanęły otworem i wrzawa zaczęła

przycichać. Oczom wszystkich ukazał się król Brenin, poważny i surowy, który wszedł do środka w towarzystwie orlego posłańca. Zbliżył się do paleniska i odciął kawałek obracanej nad nim pieczeni, co było sygnałem do rozpoczęcia uczyty.

Znów buchnęła wrzawa, gdy wszyscy zabrali się do jedzenia. Corban szybko pochłonął własną porcję i popił ją piwem. Wówczas dostrzegł Rafe'a stojącego za Evnisem, a na jego twarzy pojawił się grymas niechęci.

Naraz Brenin odepchnął od siebie pustą do połowy miskę i wstał. Wszyscy zebrani natychmiast zwrócili ku niemu oczy.

– Muszę na jakiś czas wyjechać z Ardanu – powiedział. Jego słowa powitała cisza. – Przybył posłaniec z Tenebralu – dodał i wskazał mężczyznę siedzącego obok niego. – Aquilus, król Tenebralu, Najwyższy Król Ziem Wygnanych, wzywa królewską radę. – Tym razem z sali rozległy się okrzyki zaskoczenia. – To pierwsze wezwanie od czasów, gdy Wygnańcy wylądowali na brzegach tej krainy, ponad tysiąc lat temu – ciągnął król. – Muszę się tam stawić. Pod moją nieobecność rządzić będzie Alona.

– A co z Darolem i jego zamordowaną rodziną?! – zawołał ktoś z zebranych, na co Brenin powoli pokiwał głową.

– Nie zapomniałem o przysiedze, jaką wam złożyłem. Pendathran powiedzie hufiec w głąb lasu Baglun i nie wróci, póki nie odnajdzie odpowiedzialnych za tę zbrodnię. Mam nadzieję, że ujmie ich żywcem, bym mógł im wymierzyć sprawiedliwość, gdy powrócę.

Pendathran rąbnął pięścią w stół, aż miski i kubki podskoczyły.

– Niech was Ben-Elim strzegą, gdy mnie nie będzie – zakończył król i wyszedł.

Z chwilą, gdy zamknęły się za nim drzwi, gwar buchnął ze zdwojoną siłą. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

* * *

Corban leżał na łóżku z dłońmi splecionymi pod głową i wpatrywał się w roztańczone cienie, rzucane przez wiszącą w korytarzu pochodnię. Słyszał niewyraźne fragmenty rozmowy toczonej przez jego rodziców w kuchni. Parsknął. Mama i tata irytująco milczeli, gdy wraz z Cywen chcieli z nimi porozmawiać o nieoczekiwanej decyzji króla, ale po tym, jak zagnali ich oboje do łóżek, ani na moment nie przestali gadać.

Mama przykładła wielką wagę do wiedzy i nauczyła ich historii tych ziem, począwszy od Plagi, stąd też chłopak od razu rozpoznał tę nazwę. Tenebral. Wiedział, że to gorący kraj leżący na południowym wschodzie, gdzie ludzie nosili sandały i spódniczki zamiast butów i bryczesów. Wypuścił głośno powietrze z płuc. Tenebral. Nie wiedział dlaczego, ale samo brzmienie tej nazwy budziło w nim podniecenie. Westchnął. Nie mógł zasnąć, choć leżał w łóżku już od dłuższej chwili.

Wtedy usłyszał nowy, intrygujący odgłos – ciche pukanie do drzwi. Ktoś bardzo delikatnie odsunął zasuwkę drzwi kuchennych, a potem owionął go przeciąg. Rozległy się kroki i drzwi zamknęły się niemal bezszelestnie. Wstrzymał oddech, by usłyszeć coś więcej, ale przez chwilę trwała absolutna cisza. Stuknęły kufle, zachrobotać przesuwane krzesło i znów zapadła cisza.

Ciekawość natychmiast zabiła w Corbanie ochotę do spania. Ostrożnie odsunął wełniany koc, wyslizgnął się z łóżka i na palcach zbliżył się do drzwi prowadzących na korytarz. Z duszą na ramieniu przekradł się w okolice kuchni i zamarł, gdyż nie miał odwagi podejść bliżej. Wstrzymał oddech i wyteżył słuch. Musiał się dowiedzieć, kim był przybysz.

Po chwili usłyszał charakterystyczny głos Gara.

– A więc chwila nadchodzi. Musimy być bardziej czujni niż kiedykolwiek wcześniej.

– Zgadza się – westchnęła jego matka.

Nogi krzesła znów zaszurały i Corban uciekł do łóżka.

Rozdział czternasty

EVNIS

Evnis stał przy łóżku żony. Wpatrzony w Fain i jej unoszącą się pierś całkiem zapomniał o swej roli królewskiego doradcy. Śpiąca kobieta oddychała płytko niczym ptaszek. Evnis czuł przytłaczającą go frustrację, dziką wściekłość na własną bezsilność. Jego dłoń przeszył dreszcz. Wyciągnął rękę, by musnąć palce żony.

Był taki czas w jego życiu, kiedy nie czuł niczego poza nienawiścią. Nienawidził swego brata Gethina i nienawidził swej matki za jej szyderczą pobłażliwość. Potem poślubił Fain. Jakie to dziwne, że największe szczęście w życiu odnalazł dzięki najzłośliwшему czynowi brata. Gethin uznał bowiem, że srodze zrani i upokorzy Evnisa, doprowadzając do jego ślubu z kobietą pochodzącą z uboższej rodziny. Z początku w istocie tak było, ale Evnis niebawem uświadomił sobie, że kocha Fain. Miłość nie przysła nagle, niczym grom z jasnego nieba, ale wkraczała do jego serca powoli, stopniowo, dzień po dniu. Jej życzliwość i umiejętność widzenia jedynie dobra całkiem zawróciły mu w głowie i w magiczny sposób wyciszyły w nim nienawiść do innych. To uczucie nigdy całkiem nie wyparowało, ale stało się mniej istotne.

Teraz jednakże furia powracała, kipiąc i bulgocząc, podsycana lękiem przed stratą. Miał ochotę eksplodować i zabić coś. Coś albo kogoś. Powrócił myślami do Rhin oraz owej nocy w lesie, kiedy dowiedział się o ukrytej pod fortecą księdze olbrzymów,

zawierającej sekrety mocy ziemi.

Uthas opowiedział mu o niej owej nocy w lesie wiele lat temu, a podczas kolejnych tajnych spotkań podawał mu więcej szczegółów. Ewnis dowiedział się o labiryncie tuneli wykopanych przez olbrzymy pod Dun Carreg i o ukrytych w nich skarbach. Jednym z nich była właśnie owa księga, ucząca tajników magii ziemi. Wypełniając swą część zadania, Ewnis przybył do Dun Carreg i wkupił się w łaski króla, po czym rozpoczął poszukiwania wejścia do tuneli, ale wielokrotne próby nie przyniosły żadnego rezultatu. Wiedział, że przeszukuje właściwy fragment odpowiedniej wieży, ale niczego nie odkrył. Z czasem zaprzestał prób.

Stan Fain nie dawał mu jednak wyboru. Musiał odnaleźć księgę, bo, jak mu powiedziano, dzięki niej będzie mógł przedłużyć życie Fain na tyle, by zabrać ją do kotła, ukrytego daleko na północ od ojczyzny Uthasa. Od chwili, gdy w dniu Wiosennego Festiwalu otrzymał wiadomość od Rhin, przypominającą mu o potędze księgi, wznowił wysiłki. Podlegli mu ludzie dzień i noc kopali w piwnicach pod wieżą, ale skała była twarda, a piwnice ciągnęły się daleko. Poszukiwania nie przyniosły jak dotąd żadnego rezultatu.

A teraz król Brenin wyjeżdżał. Oznajmił w sali biesiadnej, że następnego dnia wyrusza do Tenebralu na wezwanie tamtejszego władcy. Czas nadchodził. Wydarzenia nabierały tempa. Ewnisowi kręciło się w głowie, gdy uświadamiał sobie, że zbliża się to, na co czekał i co planował. Serce znów zabiło mu szybciej. Dlaczego? Czyżby to strach? A może podniecenie. Cóż, przypuszczalnie jedno i drugie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Na progu stał jego łowczy Helfach.

– Coś mamy – rzekł.

Ewnis z trudem powstrzymał się od biegu. Zszedł prędko po spiralnie skrzyżowanych schodach i przemknął przez ciąg komnat o niskich sufitach. W rogu jednej z nich zgromadziła się grupka

wojowników, która jeszcze przed chwilą zajmowała się usuwaniem kamiennej podłogi. Wyrwali też wiele cegieł ze ścian i w ten sposób odsłoniли okute żelazem drzwi z grubego dębowego drewna.

– Próbowaliśmy je otworzyć, ale nie dało rady – mruknął jeden z nich.

– Oczywiście, że są zamknięte – rzekł Ewnis. – Łapcie za siekiery.

Dwóch mężczyzn zajęło pozycje po obu stronach drzwi i zaczęło w nie rąbać. Wokół strzelały iskry, a gdy wyrębana dziura była już na tyle duża, że mógł się przez nią prześlizgnąć człowiek, Ewnis kazał zapalić pochodnie. Helfach sprowadził jednego ze swych ogarów, wielką bestię o szarej sierści, która zaskomlała, gdy łowczy pociągnął ją za sobą w mrok. Ewnis wślizgnął się do środka za nim, a grupę zamknęło dwóch wojowników uzbrojonych we włócznie.

Szli szerokim, wysoko sklepionym tunelem, który biegł w dół i co rusz skręcał. Jego ściany były śliskie od wilgoci. Bez przerwy mijali mniejsze otwory w ścianach, prowadzące w głąb ciemności, aż znaleźli się w wielkiej, podziemnej sali. W szarych skałach wiły się migotliwe, błękitne żyły. Z pomieszczenia wybiegały dwa korytarze, z których jeden prowadził w dół, a drugi w górę.

Helfach zawołał coś. Jego pies, położywszy po sobie uszy, obwąchiwał ścianę, aż uwagę łowczego przyciągnęła pajęczyna gruba niczym gobelin. Wyciągnął pochodnię i spalił ją w okamgnieniu, czym odsłonił kolejne przejście, prowadzące do niewielkiej, okrągłej komnaty. Wzdłuż ścian ciągnęły się dwa rzędy ogromnych toporów i młotów wojennych, pokrytych kurzem i obwieszonych pajęczynami. W miejscu, gdzie spotykały się rzędy broni, wznosił się grobowiec, ogromny, o wiele za duży jak na miejsce pochówku człowieka.

– Elyonie, miej nas w swojej opiece – szepnął jeden z wojowników.

Przecież on cię nawet nie usłyszy, pomyślał Ewnis. Naprawdę masz nadzieję, że przyjdzie ci z pomocą?

Z ogromnym wysiłkiem zsunęli kamienną płytę przykrywającą grobowiec. W środku znajdowało się ciało olbrzyma, który zaciskał dłonie na leżącej na piersi skrzyni.

Evnis z trudem ją wyswobodził, dłonie miał niezgrabne i lepkie od potu. Znalazł w niej oprawioną w skórę księgę, zawierającą wiele stron suchego pergaminu. Uniósł ją z nabożnym szacunkiem, a pod nią ujrzał oprawiony w srebro kamień, czarny i matowy, a mimo to emanujący światłem. Evnisowi wydało się, że pulsuje niemalże w rytmie serca. Dotknął go i natychmiast cofnął dłoń. Zatrzasnął wieko skrzyni.

– Wracamy – szepnął.

Jego towarzysze nie spuszczaali oka ze znaleziska.

Niespodziewanie ogar Helfacha zawarczał na głazy leżące u stóp grobowca. Jeden z nich pękł z głośnym trzaskiem, po czym buchnęła z niego śluzowata substancja.

Helfach przysunął bliżej pochodnię.

Na głazie widać było ryse, która nagle się wydłużyła. Wzdłuż jej krawędzi odpadały już pierwsze okruchy. Pies szczeknął i przyskoczył bliżej, warcząc, po czym umknął.

– To nie kamień – syknął Helfach. – To jajo!

W tej samej chwili grube skorupy pękły, rozepchnięte od środka, a ze szczeliny wysunął się płaski, pokryty łuską pysk. Zamigotał długi, gadzi język. Potem kawałki skorupy i wypełniający jajo śluz eksplodowały na boki. Ogar Helfacha skoczył naprzód z warknięciem, ale wtedy z jaja wystrzeliło coś białego, wijącego się, co oplotło się wokół psa. Rozległ się syk, a po nim przeraźliwy pisk, który urwał się gwałtownie.

Evnis cofnął się o krok, z chorobliwą fascynacją przyglądając się temu, co działo się na jego oczach.

Stworzenie, które wyzwoliło się z jaja, było wielkim, białym niczym mleko wężem, dłuższym od dwóch ludzi, średnicy beczułki. Na ich oczach pożerało ogara Helfacha. Gdy połknęło połowę zwierzęcia, ukryte pod skórą mięśnie przesunęły się płynnie i pies

wsunął się jeszcze głębiej w rozchylone, wysunięte ze stawów szczęki. Jeden z ludzi Evnisa zwymiotował.

– Białozmij! – szepnął Ewnis.

Jak dotąd uważał je za stworzenia z bajek, rzekomo hodowane przez klany olbrzymów i wykorzystywane do walki podczas Wojny Skarbów. Oderwał spojrzenie od węża i omiótł wzrokiem komnatę. U stóp grobowca znajdowały się kolejne głazy. Nie, nie głazy. Jaja.

Helfach skoczył naprzód i dźgnął białozmija nożem, a potem uderzył go pochodnią w łeb. Ciało potwora przeszyły konwulsje. W kilku skurczach zwrócił ciało martwego psa i smagnął łowczego ogonem, wyrzucając go za drzwi.

Wtedy do ataku ruszył inny wojownik i pchnął białozmija włócznią. Buchnęła czarna krew, ale bestia zdołała zatopić długie kły w szyi i ramieniu mężczyzny. Ten wrzasnął i szarpnął się, ale wąż oplótł go bez litości.

– Uciekać! – zawołał Ewnis i rzucił się ku drzwiom, potykając się i przyciskając skrzynię mocno do piersi. Pomógł Helfachowi zatrzaskać drzwi, podczas gdy drugi z wojowników celował w nie włócznią.

Wtedy potwór uderzył w drzwi z furją, wrywając zawiasy ze ściany. Ewnis i Helfach z desperacją usiłowali utrzymać drzwi, ale po kolejnym uderzeniu zachwiali się. Trzeci i czwarty cios rozłupał je na kawałki, a mężczyźni padli na podłogę. Towarzyszący im wojownik skoczył bliżej i pchnął włócznią na ślepo przez dziurę w zniszczonych drzwiach. Jej grot wbił się w coś, ale odskoczył, gdy z płuc potwora buchnął ryk połączony z sykiem. Białozmij runął naprzód, rozbijając futrynę, naokoło strzeliły ogromne drzazgi i kawałki kamienia. Wtedy zawałiła się ściana, blokując wejście do komnaty z grobowcem. Buchnął kurz, który przesłonił wszystko.

Ewnis dźwignął się na nogi, nadal ściskając skrzynię. Podczas upadku upuścił pochodnię, której płomień buchał dziko, rzucając roztańczone odblaski na ściany. Podniósł miecz i zbliżył się do wijącego się potwora, w gardle którego utkwiała włócznia. Helfach

okrażał bestię z długim nożem w jednej dłoni, a pochodnią w drugiej.

Potwór został ranny, być może śmiertelnie, i bez wątpienia cierpiał straszliwe katusze. Dostrzegł Evnisa i rzucił się na niego, ale mężczyzna uskoczył i ciął go mieczem, rozcinając mu pysk. Wtedy przypadł doń Helfach, pchnął stworzenie i odskoczył.

Białożmij słabł szybko. W miarę upływu krwi opuszczały go siły. Trzech mężczyzn dźgało go i rąbało do chwili, aż bestia wyzionęła ducha.

Stali przez moment w milczeniu, oddychając szybko, chrapliwie.
– Odetnijcie mu łeb – rzekł w końcu Ewnis.

* * *

– Muszę stanąć przed obliczem króla – oznajmił Ewnis do jednego z dwóch strażników, którzy trzymali wartę przed drzwiami do komnaty Brenina. – To pilne.

Wyszedł z tuneli i rozkazał zamurować wejście w obawie przed pojawieniem się kolejnego potwora, po czym zaszył się we własnej komnacie, by przestudiować znalezisko. Księga, która okazała się wprowadzeniem do magii ziemi, była wspaniała i Ewnis aż drżał z podniecenia. Z drugiej strony klejnot był niepokojący. Niewątpliwie został wykonany przez olbrzymy i krył w sobie jakąś moc, ale napawał Evnisa wielkim lękiem, więc postanowił zamknąć go do chwili, gdy będzie mógł go lepiej zbadać.

Uznał, że w pierwszej kolejności musi spotkać się z Breninem, nim ten wyruszy w drogę do Tenebralu. Wiedział, że minie wiele księżycy, nim władca wróci do Ardanu.

Jego syn, Vonn, był świadom zamieszania w podziemiach i widział ucięty łeb białożmija. Poprosił ojca, by pozwolił mu towarzyszyć sobie podczas rozmowy z królem, ale Ewnis oczywiście się nie zgodził. Kochał swego syna, ale był on wciąż młody i widział

świat w czerni i bieli, podczas gdy w rzeczywistości składały się na niego niezliczone, ulegające przemianom odcienie szarości. Nie zamierzał zabierać ze sobą syna przed oblicze władcy, gdyż musiał przekazać mu kilka kłamstw, a chłopak mógł tego nie zrozumieć.

– Ale przecież nie zaczęło jeszcze świtać. – Wojownik strzegący wejścia do komnat Brenina zmarszczył brwi. – Król śpi.

– To go rozbudzi – rzekł Ewnis i rozchylił konopny worek, by pokazać znajdujący się w środku łeb białozmija.

Wojownik wślizgnął się do pokojów królewskich, a doradcy wskazano miejsce w przedpokoju, ale nie musiał długo czekać. Brenin, półnagi i z zaspanymi oczami, zjawił się szybko.

– Mam nadzieję, że to naprawdę ważne – mruknął.

Ewnis wyrzucił zawartość worka na stół. Władca się cofnął.

– To białozmij – rzekł królewski doradca.

Brenin przetarł oczy i pochylił się nad łbem.

– Gdzie to znalazłeś?

– Helfach natknął się na niego podczas polowania w Baglunie – rzekł Ewnis.

Lepiej, żeby Brenin nie wiedział o tunelach pod fortecą, pomyślał, a głośno dodał:

– Zabił psa i jednego z moich wojowników.

– Dziwaczny zbieg okoliczności – mruknął król. – Posłaniec Aquilusa ostrzegał przed dziwnymi potworami, które włóczą się po naszych ziemiach. – Podrapał się po brodzie i zmarszczył brwi. – Zabiorę to coś ze sobą na radę. Dziękuję ci. A co z Helfachem? Nic mu się nie stało?

– Nic, panie.

– Czy tych bestii jest więcej?

– Helfach przyniósł tylko jeden łeb, ale któż to może wiedzieć.

– Cóż to za czasy – mruknął Brenin. – Po dwóch tysiącach lat kamienie przysiąg płaczą krwawymi łzami, a białozmije wyruszają w świat.

– W istocie, dziwne to czasy – stwierdził Ewnis.

Gdybyś tylko wiedział o wszystkim, mój panie, drżałbyś ze strachu, pomyślał, a głośno rzekł:

– Nim wyjedziesz, mój panie, chciałem poruszyć z tobą jeszcze jedną kwestię.

– Mów więc.

– Chodzi o Fain, która nagle poczuła się nieco lepiej. Poprosiła, bym zabrał ją do domu, póki jest na siłach. Czy mogę prosić o zgodę na opuszczenie Dun Carreg na jakiś czas? Zawiozę ją do Badun. Co więcej, mieszka tam uzdrowiciel, którego znam od dzieciństwa. Taka wyprawa może jej dobrze zrobić.

– Kiedy chcesz wyjechać?

– Wkrótce, panie. W ciągu najbliższej dziesięcionocy.

– Przykro mi, Ewnisie, ale muszę odmówić. – Brenin skrzywił się.
– Zabieram ze sobą Heba, który jest moim znawcą obyczajów, a z tego, co zrozumiałem, znajomość historii będzie miała wielkie znaczenie podczas narady u Aquilusa. Musisz więc pozostać na miejscu, by pomóc Alonie w rządach. Po moim powrocie natomiast nie będę stwarzał żadnych trudności.

– Ale to dla mnie najważniejsza sprawa na świecie... – Ewnisowi zabrakło słów. – Proszę, błagam! Nie ma jakiegoś sposobu?

– Nie. Jeśli ciebie zabraknie, Alona będzie mogła liczyć jedynie na rady Pendathrana, a jeśli ci dwoje przejmą rządy nad królestwem, po powrocie ujrzą głowy połowy moich baronów na ostrzach włóczni. Przykro mi, Ewnisie. Poślij po tego uzdrowiciela. Możesz przydzielić mu eskortę, by dotarł tu szybciej.

Ewnis pochylił głowę i zacisnął powieki.

– Musi być jakiś sposób – powtórzył.

– Nie. Przykro mi, ale nadeszły mroczne czasy. Gra toczy się o wysoką stawkę, to nie moment na wycieczki.

Wycieczki. Cholera, ja muszę się jakoś dostać do kotła!

– Jak każesz, panie – rzekł Ewnis.

Wychodząc z królewskiej komnaty, otarł łzę z policzka.

Rozdział piętnasty

CORBAN

Corban błąkał się po szarym, pozbawionym wszelkiego życia świecie. Wokół niego unosiły się rozmaite wizje. Widział upiory we mgle o ciałach utkanych z mgły. Dojrzał kamień przysiąg, po którym ciekły wielkie łyzy krwi. Przerazająco czerwone. Oglądał wijące się, prężące, żerujące węże, a nad jego głową wojownicy z wielkimi, pierzastymi skrzydłami, zbrojni w miecze i włócznie, toczyli bój z hordami innych, których skrzydła były ciemne i skórzaste. Ujrzał drzewo o pniu grubszym niż cała forteca Dun Carreg, którego korzenie wgryzały się głęboko w ziemię pod niekończącym się lasem.

Nagle sceneria się zmieniła i chłopak spostrzegł, że siedzi na brzegu strumienia i trąca palcami powierzchnię wody. Szedł ku niemu jakiś człowiek z mieczem u boku. Miał krótką brodę i żółte oczy.

Uśmiechnął się do Corbana, a ten natychmiast sobie wszystko przypomniał.

– Znam cię – rzekł.

– Tak. Zostaniemy przyjaciółmi, ty i ja – odparł tamten z uśmiechem. Usiadł obok Corbana i rzucił kamieniem w wodę, po której rozeszły się koła. – Widzisz? Tak wygląda twoje życie. Będzie miało wpływ na wiele rzeczy i wielu ludzi, na niejedno królestwo i niejedno wydarzenie.

– Nie rozumiem – bąknął Corban.

– Pomóż mi. Potrzebuję twojej pomocy. Znajdź kocioł i przynieś mi go.

– Dlaczego?

– By uniknąć katastrofy. O wiele większej, niż możesz sobie wyobrazić. – Mężczyzna wpatrywał się w chłopca żółtymi oczami. – Nadciąga Wojna Bogów. Wezmą w niej udział wszyscy bez wyjątku, a jedynym, na co będziesz miał wpływ, jest strona, po której się opowiesz.

– Jesteś Ojcem Ojców? Elyonem? – szepnął Corban. Słowa nieznajomego sprawiły, że krew zaczęła płynąć w nim żywiej, a puls przyspieszył.

– On odwrócił się od nas. – Mężczyzna pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się smutek. Corban poczuł, jak udzielają mu się jego emocje. – Niemniej wojna trwa nadal. W twoim sercu widnieje dziura, pusta jama, którą musisz wypełnić czymś, co ma znaczenie. Musisz odnaleźć coś, o co warto walczyć i dla czego warto żyć, a może nawet umrzeć.

– Gdzie ja jestem? – szepnął Corban.

– Wybierz mnie – rzekł nieznajomy.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Dobrze wiesz. Odpowiedzi szukaj tutaj – odparł mężczyzna i dźgnął Corbana palcem w pierś. Chłopak poczuł, jak niespodziewanie rozlewa się po nim fala mocy. – Czas nie czeka na nikogo. Dokonaj wyboru, nim będzie za późno.

* * *

Corban poderwał się z posłania ze stłumionym okrzykiem. Na dworze wciąż było ciemno, choć słyszał już pokrzykiwanie mew. Wiedział, że niebawem nadejdzie świt. Jego sen nadal unosił się na skraju świadomości, ale w jego wspomnieniu było coś, co sprawiło,

że chłopaka przeszył dreszcz. Ubrał się szybko i wymknął na dwór. Niebo szarzało i jaśniało, a nozdrza Corbana wychwyciły znajomy zapach stajni. Pobiegł tam i oparł się o drewnianą barierkę otaczającą zagrodę.

Rozległy się kroki. Chłopak sądził, że jest sam, ale wtedy dostrzegł Gara wśród głębokich cieni na tyłach budynku. Jego twarz była mokra od potu, a kosmyki długich, ciemnych włosów kleiły się do skroni i szyi.

– Oto jestem – rzekł.

– Widzę.

– Dobra, eee... To co mam robić?

– Biec.

– Biec?

– Otóż to. Rozpoczniemy od biegania wokół zagrody.

Corban nabrał tchu, gotów zaprotestować, ale pośpiesznie przemyślał sprawę i zrezygnował. Obiegł powoli zagrodę i zatrzymał się przy Garze, który wykonywał dziwne ruchy, przypominające nieco taniec, ale o wiele wolniejsze.

– Co znowu? – burknął Gar.

– Jak to co? Obiegnę zagrodę, tak jak mi kazałeś!

– Jeszcze raz.

– Jeszcze raz?

– Tak. I to ja ci powiem, kiedy masz przestać.

Corban westchnął, ale przygryzł wargę i znów zaczął biec. Po dłuższej chwili – sam nie miał pojęcia, jak długo biegał wkoło – Gar uniósł rękę i przywołał go do siebie. Chłopak zatrzymał się przy głównym stajennym i wsparł o barierkę.

– W jaki... sposób... ma... mi... to... dodać... odwagi? – wysapał, zlany potem.

– Jeśli chcesz wytrenować własny umysł, najpierw musisz wytrenować ciało. Chodź za mną.

Corban skrzywił się, ale posłusznie podążył za Garem, który wszedł do stajni, podskoczył i złapał się jednej z belek

zawieszonych pod sufitem. Następnie podciągnął się tak, by podbródkiem dotknąć belki, po czym się opuścił. Powtórzył to jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt razy – Corban stracił rachubę – po czym zeskoczył na ziemię.

– Twoja kolej – rzekł do chłopaka.

Ten z powątpiewaniem spojrzął na belkę, ale podskoczył i złapał się jej. Podciągnął się z głośnym stęknięciem. Miał wrażenie, że mięśnie w jego plecach napinają się tak bardzo, iż lada moment rozerwą skórę. Gdy opuszczał się ku ziemi, belka wyslizgnęła mu się z rąk i poleciał w dół. Wstał i się otrzepał.

– Jeszcze raz – nakazał mu Gar.

– Ale ja już nie mogę. Sam widziałeś!

– Pomogę ci. Ruszaj.

Corban podjął więc kolejną próbę. Napiął mięśnie, by się podciągnąć, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Już miał się poddać, gdy poczuł, jak Gar łapie go za kostki i unosi. Znów wyteżył siły i dosięgnął podbródkiem belki. Z pomocą mężczyzny opuścił się w nieco bardziej kontrolowany sposób, a potem powtórzył ćwiczenie osiem, dziewięć razy, nim Gar pozwolił mu wreszcie zeskoczyć. Stojąc już na ziemi, chłopak przytknął dłoń do ust i wyciągnął zębami drzazgę.

Gar zaś natychmiast wyznaczył mu kolejne, równie bolesne ćwiczenie, a potem jeszcze jedno, aż w końcu ogłosił koniec.

– Po co ja to robię? – wyrzęził Corban ponurym głosem.

– Jak ci już powiedziałem, chcąc wyszkolić umysł, musisz ćwiczyć ciało. W tej chwili być może wydaje ci się to bezcelowe, ale ciało jest jedynie narzędziem, bronią, którą należy umieć się posługiwać. Strach nie różni się niczym od innych emocji, jak gniew, niepokój, radość czy pożądanie, gdyż każda z nich może cię pochłonąć i przytłoczyć. Musisz opanować sztukę rozpoznawania i kontrolowania ich, a silne, zdyscyplinowane ciało może ci w tym pomóc. To oczywiście dopiero początek. Wykonaliśmy pierwszy krok i w zależności od twoich postępów w którymś momencie będę

mógł wręczyć ci ostrze.

– Kiedy? – Corban rozpromienił się.

– To zależy od ciebie. A teraz, zanim zakończymy, wykonamy jeszcze jedno ćwiczenie, którego celem jest nauczenie cię samokontroli. W przeciwieństwie do tego, co mówi ci ojciec, bitew na ogół nie wygrywa się brutalną siłą. Rób to co ja.

Z tymi słowami Gar zaczął mu pokazywać skomplikowane układy ruchów, które chłopak obserwował, gdy biegał wokół zagrody. Okazały się one o wiele trudniejsze, niż z początku sądził. Szczególną trudność sprawiło mu utrzymywanie nieruchomej pozycji przez dłuższą chwilę, z drżącymi, sztywniejącymi mięśniami.

– Widzisz, chłopcze? Właśnie uczysz się kontroli. Wkrótce twoje ciało będzie robić dokładnie to, co mu każesz – rzekł Gar z rzadkim u niego uśmiechem.

Corban burknął coś pod nosem, nazbyt skupiony, by odpowiedzieć.

– Dzięki – sapnął, gdy mężczyzna ogłosił koniec treningu. – Co z twoją nogą? – zapytał. – Mam wrażenie, że nie boli cię tak jak zwykle. Czyżby było z nią lepiej?

– Z moją nogą? Nie. Po prostu czasami boli mniej niż kiedy indziej i tyle. Dobra, ruszaj, zanim zrobi się tu rojno. Do zobaczenia jutro o świcie.

Corban ruszył przed siebie. Ledwie powłóczył nogami, ale chłodne poranne powietrze ostudziło jego pot. Forteca powoli budziła się do życia.

* * *

Na dziedzińcu przed wielkimi bramami Dun Carreg trwało niecodzienne zamieszanie. Osiemdziesięciu wojowników siedziało już w siodłach, a przed nimi stał Tull, królewski czempion,

trzymając własnego rumaka za uzdę. Miał na sobie skórzaną zbroję i wełniany płaszcz, a poznaczone siwizną włosy związał z tyłu rzemieniem. Swój długi miecz przytoczył do siodła. Obok niego stał Pendathran, który trzymał królewskiego deresza.

Rozległy się wiwaty, gdy nadszedł Brenin w towarzystwie małżonki, królowej Alony. Bez trudu wskoczył w siodło i spojrzał na zgromadzonych rodaków.

– Wróć przed Dniem Letniego Przesilenia! – wykrzyknął i pozdrowił wszystkich wzniesioną ręką, a potem popędził konia ku Kamiennej Bramie.

Za nim jechał posłaniec z Tenebralu oraz Heb, znawca obyczajów, który zdaniem Corbana wyglądał na mocno niezadowolonego. Nad krzaczastymi brwiami mędrca widniała głęboka bruzda. Wojownicy pośpieszyli za władcą i cały orszak z hukiem przemknął przez most łączący twierdzę ze stałym lądem, nad rozbijającymi się z hukiem falami.

Corban i Cywen stali i spoglądali za kolumną jeźdźców, powoli niknącą w oddali, aż przywołała ich księżniczka Edana, która towarzyszyła królowej i Pendathranowi. Królowa Alona uśmiechnęła się ciepło, wpatrując się w chłopaka.

– Cywen pracuje u Gara, matko – rzekła Edana. – Ma świetną rękę do koni. Byś ty widziała, jak jeździ!

– Każdy, kto pobiera nauki od Gara, szybko staje się ekspertem od koni. Moim zdaniem ten człowiek nosi w sobie dar od samego Elyona. – Alona uśmiechnęła się do córki. – Pamiętam, kiedy tu przybył. Byłaś wówczas malutka, minął dopiero pierwszy dzień twego imienia.

Gdy szli w kierunku fortecy, drogę zastąpił im Ewnis, któremu towarzyszył syn Vonn.

– Chciałbym coś z tobą omówić, pani. Na osobności – rzekł do Alony.

Królowa zmarszczyła brwi, ale jej córka rzekła:

– Przecież to nie problem! Zaczekam tutaj!

Alona skinęła głową i odeszła pośpiesznym krokiem, prowadząc za sobą Evnisa. Pendathran i Vonn ruszyli za nimi, ale ten ostatni zdążył się jeszcze odwrócić i mrugnąć do Edany, która skrzywiła się niechętnie.

– Spójrzcie tylko na niego – burknęła. – Myśli sobie, że sam jest darem Elyona.

– Cóż, nie da się ukryć, że przystojniak z niego – oznajmiła Cywen.

– A co gorsza – ciągnęła Edana, która postanowiła udąć, że nie słyszała słów dziewczyny – wbił sobie do głowy, że zostaniemy poślubieni.

– A skąd mu się to wzięło? – zapytała Cywen.

– Evnis od lat podsuwa ten pomysł ojcu. Ten nigdy nie udzielił mu zdecydowanej odpowiedzi, ale wydaje mi się, że teraz uznali sprawę za załatwioną.

– A więc nie chcesz się z nim wiązać? – spytał Corban.

Edana spojrzała na niego wrogo.

– Nie. Nie jestem sztuką mięsa, którą można sprzedać na rynku!

Grupka przed nimi przystanąła i rozprawiała o czymś.

– Nie, Evnisie! – rzekł donośnym głosem wojewoda. – Nie możesz teraz wyjeżdżać!

– Miałem wrażenie, że to królowa Ardanu podejmuje decyzje pod nieobecność króla – odparł chłodnym głosem Evnis.

– Przykro mi – powiedziała Alona. – W innych okolicznościach na pewno bym się zgodziła, ale Pendathran jutro wyjeżdża, a mój król nie pozostawił cienia wątpliwości, iż życzy sobie, by doradca przez cały czas przebywał przy mnie. – Jej twarz złagodniała. – Naprawdę mi przykro. Przekaż Fain, że odwiedzę ją dziś wieczór.

– Odwiedzisz – powtórzył Evnis drżącym głosem. – To wszystko przez Rhagora, prawda? Nadal obwiniasz mnie o śmierć brata. Cóż za śliczna mała zemsta.

– Co? – spytała zaskoczona Alona. – Ależ nie...

– Nie wypowiadaj jego imienia – warknął Pendathran. – Nigdy

więcej.

Przez chwilę Ewnis stał nieruchomo, drżąc na całym ciele. Potem pochylił głowę, odwrócił się i odszedł szybkim krokiem. Vonn musiał podbiegać, by za nim nadążyć.

* * *

Dziesięcionoc później Corban szedł do wsi z zamiarem odnalezienia Datha, kiedy ujrzał odległego jeźdźca, pędzącego traktem olbrzymów. Był to Marrock, którego nie widział od kilku dni, gdyż wyjechał wraz z hufcem Pendathrana do lasu Baglun. Chłopak natychmiast zapomniał o Dathu i pognął do fortecy – przypuszczał, że Marrock skieruje się do sali biesiadnej.

W istocie, ujrzał go tam, stojącego przed ozdobnie rzeźbionym tronem z drzewa dębu. Na tronie siedziała Alona, a obok niej stał Ewnis.

– Co straciłem? – szepnął Corban do siostry.

– Znaleźli trop w lesie i natrafili na zwłoki człowieka, częściowo zjedzonego przez wilki lub wilkuny. Myślą, że to jeden z bandytów. Marrock przybył po posiłki. Pendathran chce, by patrolowali zachodni skraj lasu i zamknęli drogę ucieczki bandytom, których sami wypłoszą – odparła Cywen.

– Zajmę się tym, moja pani! – rzekł Ewnis i wybiegł z sali.

Rozdział szesnasty

CAMLIN

Camlina bolały stopy. Trudno się było dziwić, wszak przez cały dzień próbował znaleźć drogę w tym przeklętym lesie. Po jego ramionach i policzkach ściekały cieniutkie strużki krwi ze skaleczeń pozostawionych przez ciernie. Ranki piekły, gdy spływał do nich pot.

To sam Braith, Władca Ciemnego Boru, postawił go na czele oddziału.

Władca Ciemnego Boru, myślał Camlin ze złością. Już prędeziej herszt bandy dzikich rzezimieszków.

Mimo to nie mógł zapomnieć o tym, że awans bardzo go ucieszył. Na czele czternastu ludzi wkroczył do Ardanu i zapuścił się w głąb lasu Baglun, ale teraz pozostało mu już tylko dziewięciu towarzyszy. Właśnie wkraczali w obszar gęstwiny i Camlin musiał przyznać, że nigdy dotąd nie widział tak zwartego poszycia i tylu splątanych, kolczastych pnączy. Nie podobało mu się w Baglunie. Ciemny Bór, choć o wiele rozleglejszy od tego miejsca, był jego domem dłużej, niż mógł spamiętać. Spędził w nim większość swego ponad trzydziestoletniego życia, ale nigdy nie czuł takiego niepokoju jak teraz. Czuł się nieswojo od chwili, gdy przekroczyli granice tego lasu.

Westchnął ciężko. Opuścili Braitha i Ciemny Bór dumni i podekscytowani. Wszak mieli założyć nową bazę w samym sercu

Ardanu. Jak więc doszło do tej sytuacji? Niemalże natychmiast zostali odkryci przez zbrojny hufiec, na czele którego stał, co gorsza, sam Pendathran, nienawidzący Braitha i wszystkich jego stronników.

Najwyraźniej udało im się jednak zgubić pościg albo przynajmniej zostawić go z tyłu. Do tego w tej części lasu można było poruszać się tylko pieszo, co zresztą nastęrczało wiele trudności, a ścigający ich hufiec składał się z jeźdźców.

Camlin i jego banda parli naprzód w milczeniu. Jedynymi odgłosami były ich posapywanie lub trzask pękającej gałązki, aż wreszcie ich uszu dobiegł plusk płynącej wody. Teren zaczął opadać i stał się bardziej podmokły, aż wędrowcy uświadomili sobie, że wkroczyli do cienistej dolinki. Drzewa i krzewy rosły tu w większej odległości od siebie. Po przeciwnej stronie ze skalnego nawisu spływał strumień. Było już niemalże ciemno.

– Zatrzymamy się tu na noc – zdecydował Camlin.

Jego ludzie zrzucili plecaki i zaczęli urządzać obozowisko, a przywódca napił się chciwie z bukłaka i ściągnął buty.

– Hej, Cam! – zawołał Goran, potężny mężczyzna, który towarzyszył Braithowi niemalże równie długo jak i sam Camlin. – Załóż lepiej te buciory z powrotem, co? Jeszcze raz poczuję smród twoich stóp, a nic nie przełknę do rana!

Zewsząd dobiegły śmiechy, a Camlin zmusił się do dobrodusznego uśmiechu. Kilka nocy temu mało brakowało, a wbiłby Goranowi nóż w brzuch. Powinien był to zrobić. Pozwolił, by Goran złamał rozkaz, i nie wyciągnął konsekwencji. Teraz reszta chłopaków była zniechęcona, rozdrażniona sytuacją lub, co gorsza, nieufna wobec niego. Wyczuwał atmosferę narastającego buntu.

– Stopy przynajmniej da się umyć – rzekł. – Poza tym przez ich smród nie czuję odoru z twojej gęby. Coś ty znowu zagryzał na śniadanie? Suszone łajno?

Znów wybuchły śmiechy. Goran zrobił paskudną minę, a potem

skrzywił się, gdy zabołało go rozległe skaleczenie, biegnące od lewego oka aż po usta.

Camlin nie pozwolił na rozpalenie ognia, ale wszyscy rozumieli sens zakazu i nikt się nie sprzeciwiał. Zjedli więc skromną wieczerzę, a potem dowódca wysłał kilku chłopaków po własnych śladach, by strzegli obozowiska.

– Pokonaliśmy niezły szmat drogi – burknął. – Nie sądzę, by banda Brenina porzuciła konie i pognąła za nami pieszo. A nawet gdyby tak się stało, będą od nas wolniejsi.

– I głośniejsi – wtrącił Goran. – Z daleka byśmy ich usłyszeli.

Camlin próbował się uśmiechnąć i wyglądać na równie pewnego siebie jak reszta, ale potrzebował czegoś więcej, by nabrać otuchy. Wszyscy ludzie w ich niewielkiej bandzie od wielu lat żyli w Ciemnym Borze, co było jednym z powodów, dla których wyznaczono ich do wykonania zadania. Nie był zresztą jedynym w ich gronie, który się nie uśmiechnął. Czuł, że część towarzyszy wini go o sytuację, w której się znaleźli, choć przecież początek był bardzo obiecujący. Spalili kilka gospodarstw i bez trudu dotarli do lasu Baglun, gdzie nawiązali kontakt z człowiekiem Braitha w Dun Carreg i otrzymali pierwszą robotę do wykonania. Jego zdaniem wybrana farma leżała za blisko fortecy i nie nadawała się na cel pierwszego uderzenia, ale kontakt jego zwierzchnika nalegał. Camlin wiedział poza tym, że trzeba zrobić jak najwięcej zamętu, by wywabić Brenina poza kamienne mury. Nie znał co prawda przyczyny, ale długie lata służby oduczyły go kwestionowania rozkazów. Wzruszył więc ramionami i zabrał się do pracy.

Wtedy wszystko zaczęło się komplikować. Przelazł przez palisadę, otworzył reszcie bramę i wbił miecz w bebechy pierwszego, który ich usłyszał. Dwóch innych również próbowało stawić im czoła, ale z piętnastoma napastnikami nie mieli szans. Zapędzili kobiety i dzieciaka do izby, ale Goran postanowił trochę się poznać nad chłopakiem. Zanim się zorientował, jedna z kobiet wyciągnęła nóż i chlasnęła go po twarzy, od oka po usta. Oczywiście

wpadł w złość i nim Camlin zdołał zareagować, obie kobiety i dzieciak byli już martwi. Nie spodobało mu się to. Cała banda wiedziała, że nigdy nie zgodziłyby się na zabijanie kobiet i dzieci. Bynajmniej nie był bez grzechu jak święci Ben-Elim, skądże znowu. Kradł, oszukiwał i mordował jak wszyscy inni banici, ale na kobiety i dzieci ręki nie podniósł. Miał swoje powody i jak dotąd nigdy nie było to problemem. Ba, wręcz przeciwnie. Braith chciał przecież, by wieści o tym, kto pali i zabija, poniosły się daleko, a żywi relacjonowali wydarzenia o wiele lepiej od martwych. Miał ogromną ochotę zabić Gorana za niesubordynację, czuł już przyływ krwi do mózgu i trzymał w ręku nóż. Tak, szkoda, że tego nie zrobił. Braith ostrzegał go, by nigdy nie wydawał rozkazu, za który nie byłby gotowy rozplatać komuś brzucha.

Westchnął ciężko. Nie było sensu martwić się o to, co by było, gdyby okoliczności ułożyły się inaczej. Miał nadzieję, że to koniec pecha, ale tak naprawdę ich pech dopiero się zaczął. Kilka nocy później jeden z towarzyszy utonął w bagnie, a następnego dnia czterech ludzi padło ofiarą wilkunów. Potem dowiedzieli się, że hufiec Pendathrana jest na ich tropie, po czym weszli głębiej w ten przeklęty las.

A teraz siedzieli w zimnej, kamiennej niecce, bez ognia, ze świadomością, że ściga ich zgraja rozwścieczonych wojowników.

– I co dalej, szefie? – spytał Goran z grymasem niechęci.

– Przyczaimy się. Być może nas nie zauważą – odparł Camlin i skubnął pęcherz na stopie. – Jeśli dojdzie do najgorszego, przebijemy się na wschód i skierujemy ku bagnetom. Tam nas nigdy nie znajdą. – Spojrzał na każdego z kamratów, posępnych teraz i zniechęconych. – Bywaliśmy już nie raz w opresji i zawsze nam się udawało. Widzicie jakąś różnicę?

– Ale wtedy dowodził Braith – burknął Goran.

Camlin wbił wzrok w wielkiego banitę. Palce aż go świerzbiły, by złapać za nóż.

Gdybyś nie zaczął zabijać dzieci, nie mielibyśmy na karku

połowy wojowników Ardanu!, pomyślał.

Znów ujrzał twarz tego malca, który wrzeszczał i płakał nad ciałem kobiety. Siostry? A może mamy? Widok ten przypomniał mu inne dziecko, płaczące nad ciałem innej kobiety. Zamrugał. Minęło ponad dwadzieścia lat, ale pamiętał swego brata Cola oraz ich mamę równie wyraźnie, jakby rozstał się z nimi wczoraj.

Był to ten sam rok, w którym zaraza zabrała mu ojca. Miał wówczas piętnaście lat i naprawiał jeden z murków na ich polach, cierpliwie układając kamienie, jeden na drugim. Niespodziewanie usłyszał przeraźliwy okrzyk matki i ujrzał dym, unoszący się nad ich gospodarstwem. Popędził do domu. Na końcu drogi zwolnił i podkradł się do rogu stodoły, by wyjrzeć zza niego ostrożnie. Mama leżała nieruchomo na ubitej ziemi przed ich domem, a nad jej ciałem górował jasnowłosy wojownik dosiadający dereszowatego ogiera. Inni, z dobytymi mieczami i włóczniami, jeździli wokół podwórza. Wtedy z chaty wypadł Col, starszy od niego o dwa lata, machając włócznią. Napastnicy obrócili konie ku niemu i przebili go bez wysiłku.

Sparalizowany strachem Camlin nawet nie drgnął. Kulił się i dygotał, wpatrzony w rabusiów, którzy opróżnili dom ze wszystkiego, co miało wartość, i odjechali ku Ciemnemu Borowi, pozostawiając za sobą chmurę kurzu. W końcu zdobył się na odwagę i wyslizgnął się na podwórze, by przyklęknąć przy ciałach matki i brata. Płakał bez końca, a w jego sercu szalała wściekłość, podsycana wstydem. Nie mógł sobie darować, że się schował, zamiast walczyć. W końcu osiodłał kucyka i pojechał w ślad za banitami.

Nie był wojownikiem – nie osiągnął nawet pełnoletności! – ale ojciec przekazał mu już sporo wiedzy o lasach i ziemi. Przed zachodem słońca dogonił rabusiów, którzy jechali beztrąsko przez Ciemny Bór. Podążał za nimi przez dwa dni. W ślad za bandą przebył las i wjechał do Ardanu, aż ujrzał, jak banicy przejeżdżają przez bramy Badun.

Następnie powrócił do swego spalonego domu i podzielił się informacją z miejscowym władką, ale ten nie był zainteresowany całą sprawą. Camlin nie był jeszcze wystarczająco duży, by samemu chwycić za włóczę, nie pochodził również z zacnego rodu, nic więc dziwnego, że następnego dnia zbrojni z okolicy zjechali się, by sprawdzić, czy w gospodarstwie zostało coś wartościowego. Chłopak wyzwiał ich i wyklął od tchórzy, na co ci parsknęli śmiechem i przegnali go precz. Uciekł do Ciemnego Boru i włóczył się po nim całymi dniami, aż odnaleźli go mieszkający tam banici. Przygarnęli go i nauczyli sztuki życia w lesie, a on powoli wrastał w ich środowisko i nabierał znaczenia. I tak oto znalazł się tutaj.

Ale się ustawiłem, pomyślał i parsknął.

* * *

Przebudził się gwałtownie i zamrugał kilkakrotnie, by przegonić obraz martwych oczu matki. Do lasu wnikał już szary blask świtu. Camlin oparł się na łokciu, przetarł powieki i dostrzegł jakiś ruch pośród cieni. Zmrużył oczy. Coś zabłysło.

– Pobudka! – krzyknął głosem ochrypłym od snu i zerwał się na równe nogi, wyciągając miecz z pochwy.

Las wokół nich niespodziewanie ożył. Camlin kopnął Gorana, by go popędzić, ale w tej samej chwili usłyszał kroki na lewo. Cofnął się błyskawicznie i przypadł do skalnej ściany, a miejsce, w którym stał przed chwilą, przeciął czyjś miecz. Pchnął swoim w klatkę piersiową nacierającego przeciwnika i wyszarpnął ostrze z furją, uwalniając strumień krwi, a potem przeskoczył nad ciałem leżącym u stóp Gorana.

Wrogowie nadbiegali zewsząd, a w powietrzu niosły się wrzaski i bojowe okrzyki. Camlin nie miał pewności, ale wyglądało na to, że jego towarzysze nie radzą sobie najlepiej. Nim zdołał się zorientować w sytuacji, skoczył na niego kolejny napastnik. Camlin

zablokował jego cios, grzmotnął go w twarz i odepchnął od siebie, a ten przewrócił się o trupa.

Niespodziewanie powietrze przeszył ostry zaśpiew. Z mgły wychynęli kolejni wojownicy, uzbrojeni w nagie miecze.

– Pora na nas! – warknął Camlin do Gorana, który walczył u jego boku.

W kilku susach przypadł do brzegu strumienia i zeskoczył do wody, ale poślizgnął się i upadł z pluskiem. Uderzył kolanami o śliskie kamienie na dnie. Zabolało jak diabli, ale wiedział, że to nie czas, by rozczulać się nad sobą. Zerwał się i pognął w stronę brodu. Za sobą usłyszał kolejny plusk. Miał wielką nadzieję, że to Goran.

Brnął przez wodę przez dłuższą chwilę, aż nie był już w stanie zmusić się do następnego kroku. Znów usłyszał pluski, tym razem głośniejsze. Złapał miecz, ale ujrzał tylko ogromną postać swojego towarzysza.

Sięgnął po nowe siły i obaj mężczyźni ruszyli szybko przed siebie. Las wokół nich stawał się coraz jaśniejszy, a krzaki i zarośla wkrótce zaczęły się przerzedzać.

– No i co teraz? – szepnął Goran, gdy już dotarli do skraju puszczy.

Przed sobą mieli równinę, na której tu i ówdzie rosły skupiska drzew.

– Ja szedłbym wzdłuż strumienia aż do bagien – rzekł Camlin. – Skoro dogonili nas aż tutaj, z pewnością już nam nie odpuszczą. Jedynym miejscem, gdzie mamy szansę im ujść, jest bagno.

– O ile zdołamy tam dotrzeć.

– Tak, o ile nam się to uda, ale stojąc i gadając, na pewno niczego nie osiągniemy. Chodźmy.

Raz jeszcze uważnie rozejrzeli się po równinie, po czym wypadli z lasu i ruszyli biegiem ku skupisku rosnących w oddali olch. Gdy byli w połowie drogi, Camlin usłyszał nagle łomot kopyt gdzieś z tyłu. Obejrzał się za siebie i zobaczył jadących ku nim trzech

wojowników. Drzewa były nadal zbyt daleko. Spojrzał na Gorana i obaj skinęli głowami. Zatrzymali się, dobyli mieczy i odwrócili się ku nadciągającym jeźdźcom. Jadący w środku mężczyzna zeskoczył z konia. Jego nos był czerwony i napuchnięty, jakby niedawno został złamany.

– Nie bójcie się, nic wam nie grozi – rzekł. – Szybko, trzeba zniknąć z otwartej przestrzeni. Zabierzemy was w bezpieczne miejsce.

Camlin odetchnął z ulgą i schował miecz, Goran poszedł w jego ślady. Pozostali dwaj jeźdźcy również zeskoczyli na ziemię, gdy nagle w lesie rozległ się trzask łamanych gałęzi. Obaj banici odwrócili się i ujrzeli gromadę mężczyzn wypadających na równinę. Goran ze zgrzytem dobył broni, ani chybi gotów bronić się do ostatniej kropli krwi, ale niespodziewanie runął na ziemię i zmarł bez życia.

– Nie zabijajcie ich! – krzyknął jeden z biegnących ku nim wojowników.

Camlin zaczął się odwracać, gdy naraz jego bok przeszył straszliwy ból. Nogi ugięły się pod nim, a świat się rozmazał. Banita osunął się na ziemię.

Rozdział siedemnasty

CORBAN

Było wciąż ciemno, gdy Corban się przebudził. Pośpiesznie się ubrał i pognął do stajni, gdzie jak zwykle czekał na niego Gar, zlany potem po swoich tajemniczych, porannych czynnościach. Chłopak skinął mu na powitanie i bez słowa zaczął biegać wokół zagrody. Po dłuższej chwili obaj weszli do stajni, a tam Corban wykonał ćwiczenia, które wcześniej zademonstrował mu Gar.

Treningi o świcie stanowiły nieodłączny element ich codziennej rutyny od niemalże dwóch dziesięcionocy i Corban już czuł się silniejszy i sprawniejszy. Elementem wieńczącym każde ich spotkanie był ów skomplikowany taniec, który wpajał mu Gar. Chłopak uczył się płynnego przechodzenia z jednej pozycji w drugą i utrzymywania ich do chwili, gdy ból mięśni stawał się nie do zniesienia. Gdy wszystkie ćwiczenia dobiegły końca i Corban otarł pot z czoła, Gar zawołał go. Odwrócił się szybko i dostrzegł, że główny stajenny rzuca mu coś. Wzdrygnął się, ale odruchowo wyciągnął rękę i to złapał.

Trzymał w dłoni miecz ćwiczebny.

Zaparło mu dech w piersiach.

Wreszcie, pomyślał.

Przez twarz Gara przemknął cień uśmiechu.

– No, chodź – rzekł. – Zobaczymy, na co cię stać.

– Jesteś gotów? – spytał Corban i zbliżył się do mężczyzny.

Ten pokiwał głową, nie podnosząc nawet własnej broni.

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy – rzekł chłopak, wdzięczny, że wreszcie będzie miał okazję pokazać, na co go stać, gdy trzyma miecz w ręku.

Miał wielką ochotę wydać z siebie okrzyk bojowy, ale zacisnął usta, wznosił broń i ruszył do ataku. Gar poruszył się błyskawicznie i Corban nagle uświadomił sobie, że leży na ziemi. W nosie i w oczach miał słomę, a kłykcie aż go piekły.

– Chyba się potknąłem – burknął i przewrócił się na plecy.

Główny stajenny wyciągnął rękę, by pomóc mu wstać.

– Najwyraźniej tak. Spróbujmy jeszcze raz – rzekł. – Oszczędzaj mnie, proszę. Nie jestem już taki młody, a do tego spowalnia mnie rana.

– Oczywiście – rzekł Corban.

Wylądował z twarzą w słomie trzy razy pod rząd, nadal nie mając pojęcia, co jest tego przyczyną, a Gar chichotał, oparty na swoim mieczu. Chłopak poczuł przypływ gniewu i poderwał się z grymasem na twarzy, ale jego harda mina złagodniała, gdy spojrział na nauczyciela. Miał wrażenie, że ten wygląda inaczej. Nigdy dotąd nie widział, by Gar śmiał się jak inni ludzie. Na jego twarzy zaszły niespodziewane zmiany – znikła ta surowa mina, która stanowiła jego znak rozpoznawczy.

– To jak będzie, mój młody mistrzu szermierki? Czy istnieje coś, co stary kaleka może ci jeszcze pokazać? – zapytał.

– Chyba tak – wymamrotał Corban. – Na przykład jak się utrzymać na nogach.

W kącikach ust Gara znów mignął ledwie zauważalny uśmiech.

– W porządku. Pamiętasz ów powolny taniec, jak to nazywasz? Prawidłowa nazwa to taniec miecza. Każda pozycja to postawa techniki walki mieczem. Zacznijmy od pierwszej z nich.

Wszelkie oznaki wesołości znikły bez śladu i twarz Gara znów była maską surowości. Corban słuchał z zapałem, spijając słowa z ust nauczyciela, a potem przećwiczyli serię ruchów opartych na

pierwszej postawie, tym razem z mieczem w ręku. Następnie Corban popędził do domu, by zjeść śniadanie.

Zastał tam jednak tylko ojca, który nie chciał mu powiedzieć, gdzie podziały się mama i Cywen. Nie wdając się w rozmowy, postawił porcję Corbana na stole i kazał mu się pośpieszyć, gdyż chciał mu coś pokazać. Chwilę później maszerowali już po moście przed Kamienną Bramą. Buddai nie odstępował Thannona nawet o krok.

– Gdzie idziemy? – spytał Corban, choć nie spodziewał się odpowiedzi.

Thannon uśmiechnął się do niego.

– Ogier Gara spłodził źrebaka, który urodził się dziś rano. To srokacz. Jeśli chcesz, jest twój.

Ojciec narzucił ostre tempo i wkrótce schodzili już wijącą się drogą do Havan. Spienione fale z hukiem uderzały o wybrzeże. Wiatr nacierał gwałtownie, pozostawiając w ustach smak soli. W sporej odległości widać było szereg jeźdźców, którzy zmierzali traktem olbrzymów. Ciemna smuga lasu Baglun ciągnęła się daleko za nimi.

– To hufiec! – oznajmił Thannon.

Corbanowi żywiej zabiło serce. Jeźdźców było tak wielu. Z pewnością miało miejsce coś niezwykłego. Wraz z ojcem zatrzymali się i czekali na wojowników.

Pierwszy jechał Pendathran, potem Marrock, a za nimi dwaj przybysze, Halion i Conall, oraz reszta. W centrum grupy znajdowało się pół tuzina koni bez jeźdźców oraz wóz ciągnięty przez dwa kudłate kuce.

Na wozie leżał stos czegoś, co przykryto zszytymi skórami wołowymi. Wóz najechał na kamień i podskoczył, a wówczas spod skór wysunęła się ludzka ręka, blada, z paznokciami czarnymi od brudu.

Rozdział osiemnasty

VERADIS

Na równinie przed czarnymi murami Jerolin łopotały sztandary. Wszyscy władcy odpowiedzieli na wezwanie Najwyższego Króla Aquilusa. Wielu dołączyło do przybyszów spod znaku półksiężyca i gwiazd, których przybycie Veradis obserwował wraz z księciem Nathairem w dniu, gdy uwolnili więźnia z Vin Thalun. Był wśród nich czarny młot Helvethu, byk Narvonu i płonąca pochodnia Carnutanu oraz wiele innych sztandarów, których oznaczeń młodzieniec nie rozpoznawał – warczący wilk, wierzgający koń, czerwona dłoń, samotna góra i ułamana gałąź. Wszystkie łopotały na wietrze pośród skupisk namiotów przeznaczonych dla żołnierzy i członków orszaków przybyłych władców. Nie zabrakło żadnego z nich. Wszyscy przybyli na wezwanie Aquilusa. Veradis poczuł, że rozpiera go duma.

Odwrócił się i skierował w stronę dziedzińca ćwiczebnego. W fortecy było teraz tłoczno od wojowników ze wszystkich stron Ziemi Wynnanych, z których większość miała ochotę spróbować swoich sił i zdobyć sławę poza granicami własnych królestw.

Veradis był nadal zaskoczony tym, jak bardzo się między sobą różnili. Miejscowych łatwo było rozpoznać, gdyż nosili sandały z ćwiekami, tuniki i skórzane spodniczki, a włosy przycinali krótko. Większość nowo przybyłych wołała jednak buty i spodnie, co oznaczało, że pochodzili z chłodniejszych krain, a do tego

preferowali długie włosy i brody. Niektórzy spośród nich nosili obszerniejsze, luźne stroje. Veradis zauważył też wiele odcieni koloru skóry, od bladych, przywodzących na myśl poranne niebo, po ciemne niczym drewno tekowe. Choć różnice w wyglądzie były ogromne, wszystkich wojowników łączyło jedno. Bez względu na to, czy włosy strzygli krótko jak Veradis, czy też zapuszczali je dziko, czy schludnie czesali, czy też wiązali w koński ogon, każdy z nich nosił warkocz wojownika.

Na dziedzińcu walczył Rauca, który z dumą reprezentował hufiec księcia Nathaira. Jego przeciwnik, rozebrany do pasa wojownik w spodniach w kratę, był od niego wyższy i szerszy w barach. Pod jego skórą rysowały się grube węzły mięśni, ale Veradis nie martwił się o wynik starcia. Wszak wojownik, z którym mierzył się Rauca, miał siwiejące włosy, a potężne rozmiary i podeszły wiek zazwyczaj oznaczały, że walczący jest powolny.

Walka trwała już od dłuższej chwili i ciała obu wojowników pokrywała warstewka lśniącego potu. Rauca krążył wokół przeciwnika, zmuszając go, by przez cały czas obracał się i zasłaniał tarczą, aż niespodziewanie przeszedł do ataku. Mierzył w pierś starszego wojownika, który podniósł własny miecz, by zablokować uderzenie, lecz wtedy Rauca przesunął ciężar ciała i zawirował, by zmienić tor ciosu. Jego miecz padał teraz łukiem na odsłoniętą szyję przeciwnika. Był to znakomity manewr, który łączył w sobie zarówno zwód, jak i atak, ale przeciwnik w jakiś sposób odczytał jego intencje. Nawet nie próbował się wyprostować, ale wykorzystał pęd, by zrobić krok naprzód. Miecz Rauki przeszył powietrze. Starszy mężczyzna odzyskał równowagę i zdając sobie sprawę, że jego młody przeciwnik się zachwiał, ułamek sekundy później pacnął go mieczem w nadgarstek i zmusił do wypuszczenia broni.

Zaśmiał się głośno, tubalnie i klepnął Raucę w plecy. Młodzieniec uśmiechnął się ponuro, podniósł broń i obaj opuścili dziedziniec, dając dwóm innym oczekującym wojownikom okazję do

wypróbowania własnych sił.

Starszy wojownik szepnął Rauce coś do ucha, a potem narzucił na ramiona szary płaszcz i odszedł. Ludzie rozstępowali się przed nim. Veradis podszedł do przyjaciela i uśmiechnął się.

– Powinieneś być wygrać to starcie – powiedział.

– Też mi się tak wydawało – mruknął Rauca i wzruszył ramionami.

– Co ci powiedział?

Rauca zrobił kwaśną minę.

– Powiedział, że starzenie się nie ma sensu, jeśli człowiek nie nabywa przy tym sprytu.

– Trudno zaprzeczyć! – roześmiał się Veradis. – Kto to był?

– Przedstawił się imieniem Tull. Przybył z hufcem króla Ardanu.

– A gdzie to jest?

– Powinieneś zainteresować się mapami, Veradisie, i to szybko. Cóż z ciebie będzie za wojewoda, jeśli nie będziesz wiedział, dokąd poprowadzić hufiec.

– Od tego mam ciebie – rzekł Veradis i zachichotał.

Wokół dziedzińca ćwiczebnego buchnęły śmiechy. Obaj wojownicy odwrócili się i ujrzeli wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, który stał nad leżącym przeciwnikiem. Ten próbował się dźwignąć, ale ciemnowłosy machnął mieczem ćwiczebnym i uderzył go w ramię. Pokonany padł i przetoczył się po ziemi.

Jakiś starszy wojownik z siwiejącymi, choć gdzieś jeszcze czarnymi włosami chciał wejść na arenę, ale powstrzymali go inni. W międzyczasie pokonany odtoczył się i poderwał na równe nogi. Veradis dostrzegł, że był to przysadzisty młodzieniec, szeroki w barach, ale i w talii. Przeczesał dłonią niesforną, rudą czuprynę, po czym pochylił się i podniósł miecz. Jego ciemnowłosy przeciwnik uniósł własny i się uśmiechnął.

Rudzielec zaatakował z nieoczekiwaną prędkością i zasypał ciemnowłosego gradem ciosów. Ten się cofnął, ale nadal z łatwością parował każde uderzenie, nie przestając się przy tym uśmiechać.

Dobra walka, pomyślał Veradis.

Wtedy ciemnowłosy zablokował kolejny atak i wykręcił nadgarstek rudego młodzieńca tak, że miecz wyfrunął z jego dłoni. Sam wzniosł ostrze do ciosu znad głowy, ale nie zdążył już go spuścić, rudzielec bowiem, nie marnując okazji, doskoczył i grzmotnął go kolanem w krocze. Ciemnowłosy jęknął, osunął się na ziemię i zwinął w kłębek. Zwycięzca stał nad nim przez moment, a potem z dumą opuścił dziedziniec. Kilku innych wojowników wbiegło na arenę i pomogło podnieść się przegranemu.

Ktoś złapał Veradisa za ramię. Odwrócił się i ujrzał uśmiechniętego Nathaira, który skinął na niego i na Raucę. Obaj podążyli za nim.

– Rada zaczyna się jutro – rzekł książę. – Przybył ostatni król. Chodźcie, sami zobaczycie.

Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem ku stajniom, a dwaj przyboczni pobiegli za nim. Nathair zatrzymał się niedaleko dwóch mężczyzn, którzy właśnie zsiadali z koni. Veradis o mało nie parsknął śmiechem na widok ich wierzchowców, które były małe, kudłate i przypominały bardziej kuce niż konie, ale jego wesołość znikła, gdy przeniósł wzrok na jeźdźców. Obaj byli niskimi, szczupłymi mężczyznami, a na ich strój składały się luźne spodnie i sakwa przewieszona przez nagi tors. Uwagę młodzieńca przykuły jednakże ich twarze. Nie licząc grubego, gęstego warkocza, wyrastającego ze środka głowy, ich czaszki były całkowicie ogolone. Pod wydatnymi brwiami błyszczały małe, czarne oczy. Największą uwagę przyciągała jednak plątanina krzyżujących się blizn, która pokrywała twarze, głowy i torsy przybyszów.

– Zamknij usta. – Nathair szturchnął Veradisa.

– Kim oni są? – szepnął chłopak.

– To Sirakowie – odparł książę. – Przybysze z Morza Traw.

Veradis pokiwał głową, gdyż przypominał już sobie historie opowiadane mu w dzieciństwie przez piastunkę. Wiele z nich mówiło o zdradach i zawziętej rywalizacji między przywódcami

jeźdźców oraz olbrzymami.

– Jutro czeka nas bardzo ciekawy dzień – powiedział do Nathaira i Rauki.

* * *

Veradis rozejrzał się po sali biesiadnej, z której wyniesiono większość ław. Stał za plecami Nathaira, który zasiadał przy ogromnym stole z dębowego drewna, ciągnącym się niemalże przez całą długość sali. Na wezwanie Aquilusa przybyło ponad dwudziestu królów i baronów, z których każdy zabrał ze sobą przynajmniej jedną osobę – doradcę, czempiona bądź obu – przez co wokół ogromnego stołu zgromadziło się ponad czterdziestu ludzi.

Nathair siedział obok Aquilusa, który założył na skronie cieniutki diadem z czystego złota. Po prawicy króla zasiadał jego doradca Meical, który zaplótł długie, czarne włosy w warkocz i ściągnął go srebrnym drutem. Uważnie przyglądał się wszystkim, którzy wchodzili do sali. Veradis nie mógł wprost oderwać od niego wzroku. Był wysokim mężczyzną, co dało się zauważyć, nawet gdy siedział. Przepuszczalnie przewyższał wzrostem Krelisa, który był największym znanym Veradisowi człowiekiem, a z bliska można było zauważyć, że w swoim życiu nie stronił od walki. Brakowało mu części lewego ucha, a od włosów aż po policzek ciągnęły się cztery czyste blizny, przypominające ślady po pazurach. Na skórze ramion widniały kolejne, srebrzyste sznyty, a kłykcie miał wydatne, sękate, jakby całe życie spędził na arenie.

Do sali majestatycznie wkroczyła kobieta, nie pierwszej młodości, ale trzymająca się prosto. Jej białe włosy spływały na czarny, przetkany złotą nitką płaszcz, a na szyi mieniła się cienka obręcz ze srebra. Nosila koronę na szyi podobnie jak paru obecnych władców, podczas gdy pozostali wsuwali je na ramiona jak obręcze.

Przed nowo przybyłą szedł młody, szczupły mężczyzna. Kroczył

dumnie, emanując pewnością siebie, i omiatał salę zimnym, aroganckim spojrzeniem, czujny jak jastrząb.

Pewnie jej pierwszy miecz, pomyślał Veradis. Trzeba mieć na niego oko.

Młody wojownik odsunął krzesło dla swej pani, która zasiadła z uśmiechem. Była ostatnią z oczekiwanych.

Gdy powstał Aquilus, wokół zapadła cisza.

– Rodacy z Ziemi Wygnanych! Bez względu na to, czyście są królami czy baronami, upoważnionymi przez swoich władców do zabierania głosu, witam pod moim dachem.

Aquilus podchodził do każdego z przybyszów i witał się z nim serdecznie. Przez umysł Veradisa płynął strumień dziwnych imion i miejsc, z których kojarzył tylko nieliczne. Rozpoznał Brenina, króla Ardanu, gdyż jego czempion, stojący teraz u boku władcy, okazał się tym samym wojownikiem, który pokonał Raucę. Pamiętał też Romara, króla Isiltiru. Towarzyszyło mu dwóch mężczyzn, których starcie przyciągnęło wczoraj jego uwagę. Rudowłosy miał na imię Kastell, a ciemnowłosy – Jael.

Rozlegały się kolejne miana, aż Aquilus dotarł do damy, która weszła jako ostatnia. Była nią Rhin, królowa Cambrenu.

– To wielka chwila – rzekł Aquilus, wróciwszy na miejsce. – Do spotkania tej rangi nie doszło od chwili, gdy nasi przodkowie po raz pierwszy postawili stopę na tych wybrzeżach, a Sokar został obrany Najwyższym Królem. Jestem zaszczycony, że tak wielu spośród was pamiętało o przysiędze złożonej przez waszych dziadów i zdecydowało się przybyć.

– Trudno się było oprzeć – rzekł Mandros, król Carnutanu. – Choć rzadko się zdarza, bym odbył tak długą podróż z tak niejasnych powodów. Mroczne czasy, nowa epoka, znaki i wróżby... Do licha, ciekawość mnie zżera, Aquilusie. O co tu chodzi?

Zapadła cisza. Nathair stukał cicho palcami w gładkie, dębowe drewno stołu.

– Nadciąga wojna – rzekł Aquilus. – Nadchodzi wróg, który

zdobędzie władzę nad Ziemiami Wygnanych i zniszczy nas wszystkich.

– Kto?! – wykrzyknął Braster, król Helvethu, korpulentny mężczyzna z rudymi włosami.

– Asroth – odparł Aquilus. – Zbliży się Wojna Bogów. Asroth i Elyon zamienią Ziemię Wygnanych w pole bitwy.

Zapadła cisza. Złociste pyłki kurzu tańczyły w blasku słońca, które wpadało przez wysokie okna. Mandros parsknął śmiechem.

– Chyba kpisz – rzekł. – Chcesz powiedzieć, że przejechałem sto mil po to, by ktoś opowiedział mi bajkę, którą mama straszyla mnie w dzieciństwie?

Nie ufaj mu, szepnął głos w głowie Veradisa.

– Pojawiły się znaki – odparł Aquilus. – Wiem, że niebawem wszyscy je ujrzą. Nie sądzę bowiem, by moje królestwo było jedynym, w którym dzieją się takie rzeczy.

– Jakie rzeczy? – parsknął Mandros.

– Olbrzymy po raz pierwszy od wielu pokoleń atakują większymi siłami. Banici się mnożą, rabują, zabijają. Potwory, dotąd czające się w ciemnych zakamarkach, wychodzą na światło dzienne, śmielsze niż kiedykolwiek wcześniej. Kamienie olbrzymów płaczą krwią. Czyżbyście naprawdę o tym nie słyszeli?

– Bujdy gawędziarzy! – oznajmił Mandros.

– Ja słyszałem o tym, co opowiada Aquilus – odezwał się mężczyzna ze złotym torkwesem na szyi. Był to Brenin, władca Ardanu. – W moim królestwie wznoszą się kamienie olbrzymów, a ludzie, którym ufam, opowiadali mi o kroplach krwi, ściekających po nich niczym łzy.

– Olbrzymy zaś stały się plagą na moich pograniczach! – odezwał się barczysty Romar z Isiltiru. – W drodze do Jerolin musiałem stoczyć walkę z bandą Hunen, która wypadła z lasu Forn i skradła mi potężny relikw. Był to topór, jeden z siedmiu Skarbów z dawnych czasów. Zgodzę się też z tym, co mówisz o potworach. Na moich wzgórzach po raz pierwszy od bardzo dawna pojawiły się draigi.

– Na mym dworze również krążą niepokojące opowieści. – Braster szarpnął się za rudą brodę. – Takie, jak mówicie. O olbrzymach, draigach i jeszcze gorszych rzeczach. W górach i na skraju lasu Forn zauważono bowiem białozmije.

Mandros pokręcił głową wzgardliwie.

– Białozmije żyją tylko w baśniach. One nie istnieją.

– Niestety, mylisz się – rzekł Brenin i skinął na swego czempiona.

Stary wojownik podniósł się, złapał jakiś worek i wyrzucił jego zawartość na stół. Po blacie potoczył się gadzi łeb, wielki niczym tarcza, z długimi kłami i czerwonymi ślepiami. W miejscu, gdzie go odcinano, ciało było poszarpane i cuchnęło, a łuski zaczęły gnić i odpadać, ale nikt nie miał wątpliwości, że jeszcze niedawno były białe. Wokół stołu poniosły się okrzyki przestrawu i zaskoczenia.

– Nikt nie widywał białozmij od czasów Plagi – rzekł Aquilus. – Wedle opowieści hodowane były przez klany olbrzymów, które później wykorzystały je w Wojnie Skarbów.

– Zapominacie wszyscy o jednej rzeczy – odezwała się Rhin, królowa Cambrenu. – Mówicie o Wojnie Bogów, ale żeby do niej doszło, muszą przecież istnieć bogowie. Tymczasem Elyon odwrócił się od nas. Odwrócił się od wszystkiego: od ludzi, olbrzymów i wszystkich swoich tworów. O ile, rzecz jasna, nasi znawcy obyczajów się nie mylą. By stoczyć bitwę, potrzeba dwóch stron konfliktu. Elyon jest nieobecnym bogiem. Odszedł, a więc nie ma mowy o Wojnie Bogów.

– Ale do wojny dojdzie – po raz pierwszy odezwał się Meical. Jego słowa były precyzyjnie dobrane, a ton spokojny i wyważony. – Asroth chce zniszczyć wszystko, co stworzył Elyon. Chce zniszczyć was, każdego z was, i nie potrzebuje do tego Elyona! Macie w związku z tym dwie możliwości. Dać mu się zwieść i potulnie pójść na rzeź bądź też chwycić w porę za broń. – Wbił wzrok w Rhin. – Król może być nieobecny, ale ci, którzy dochowali mu wiary, poprowadzą kampanię wojenną za niego.

– Poza tym Elyon może powrócić – dodał Aquilus. – Jeśli nasi znawcy obyczajów się nie mylą.

Rhin uśmiechnęła się i ukloniła lekko Najwyższemu Królowi, jakby uznawała jego drobne zwycięstwo w tej wymianie zdań. Potem przeniosła wzrok na Meicala, a jej uśmiech przygasł.

– Nawet jeśli te wszystkie wydarzenia rzeczywiście mają miejsce, co nadal poddawałbym pod dyskusję – odezwał się Mandros – skąd pewność, iż zwiastują one tę całą Wojnę Bogów? – Skrzywił się i dodał: – Nie jesteśmy przecież przesądnymi dziećmi. Od czasu do czasu dzieje się coś złego, bo tak jest już urządzone ten świat. Dlaczego dopatrujemy się w tym znaków?

– Oto powód. – Aquilus skinął na Meicala, który odwrócił się i wyjął z kieszeni płaszcz ciężką, oprawioną w skórę księgę.

– Odnalazłem ją w Drassil – wyjaśnił. – Została napisana przez Halvora, olbrzyna, który żył w czasach Plagi.

– Ha! – wybuchnął Mandros i walnął pięścią w stół. – Teraz to już przesadzacie! Księga, która ma tysiąc lat? Drassil, miasto z bajek? Aquilusie, wybacz, ale obrażasz nas wszystkich.

Veradis rozejrzał się i zauważył, że wielu z obecnych potakuje królowi Carnutanu, ale inni siedzieli w milczeniu, a na ich twarzach malował się przestrah. Sam ledwie mógł uwierzyć w to, co słyszał. W głowie kręciło mu się od wieści o bogach, wojnach i znakach.

– Kiedyś myślałem dokładnie tak jak ty. – Aquilus zwrócił się do Mandrosa. – Ale z pewnych powodów zmieniłem zdanie. Proszę, wysłuchajcie mnie do końca, a potem wydacie osąd.

Mandros zrobił kwaśną minę i rozparł się na krześle, a Meical przewrócił skórzaną okładkę.

– Jak już mówiłem, księga została napisana przez Halvora w czasach Plagi i przytacza nasze najstarsze opowieści: o gwiazdnym kamieniu, śmierci Skalda, pierwszego króla olbrzymów i Wojnie Skarbów, która z kolei doprowadziła do Plagi. Ta część księgi jest napisana przejrzyście i klarownie, ale tu

i ówdzie znajdują się dopiski. Wyglądają jak napisane inną ręką, ale charakter pisma wskazuje na tego samego autora.

– Odczytaj im je, Meicalu – rzekł król. – Te fragmenty o awatarach.

Doradca królewski odwracał przez chwilę trzeszczące kartki, aż zatrzymał się i przesunął palec w dół tekstu.

– Oto pierwszy fragment – rzekł. – „Nastąpiła wojna wieczna między Wiernymi a Upadłymi, gniew nieskończony zstąpił do świata ludzi. Niosący Światło wypęła z kotła, w ciało obleczony, zrywa kajdany i wojna znów się budzi”.

Mandros parsknął.

– Matka opowiadała mi takie rzeczy, gdy siedziałem u niej na kolanach – burknął.

Zajęty księgą Meical nie zwrócił na niego uwagi.

– „Dwaj zrodzeni z krwi, pyłu i popiołu dokonają wyboru między Ciemnością a Światłem” – odczytał i przerzucił kolejne strony. – Te zapiski są mało widoczne i rozsiane po całej księdze. Odnalezienie i odczytanie kilku raptem skrawków zabrało mi kilka księżyców, ale jest jeszcze coś. O, tutaj. „Czarne Słońce utopi ziemię w krwi, zaś Jasna Gwiazda musi odnaleźć Skarby”. – Znów urwał i ostrożnie odwracał strony, aż dotarł do kolejnego fragmentu: – „Poznacie ich po mianach. Rodobójca, Mściciel, Przyjaciół Olbrzymów, Jeździec Draigów, Mroczna Moc przeciwko Niosącemu Blask”. – I tak ciągnął przez dłuższą chwilę. Odwracał strony, odszukiwał fragmenty, czytał: – „Jeden z nich będzie Falą, a drugi Skalą na rozszalałym morzu. Jeden z nich wezwie tarczę i burzę na swe rozkazy, za drugim Czyste Serce i Czarne Serce staną. U boku jednego pojedzie Ukochana, obok drugiego podąży Mszcząca Dłoń. Za jednym staną Zrodzeni z Mocy, szlachetni Ben-Elim, skupieni wokół Wielkiego Drzewa, za drugim zbiorą się Wyklęci, złowieszczy Kadoshim, Którzy próbują przekroczyć most i rzucić świat na kolana”.

Po jego słowach zapadła głucha cisza, którą przerwał Braster:

– Nie brzmi to najlepiej – mruknął.

– Jest tego więcej – rzekł Aquilus, a Meical podjął czytanie:

– „Wypatrujcie ich, gdy świat obiegnie wezwanie Najwyższego Króla, gdy wojownicy cienia wyruszą na szlak, gdy opustoszeje Telassar, otoczony białymi murami, gdy na północy zostanie odnaleziona księga, gdy białozmije wyroją się z gniazd, gdy Pierworodni odbiorą to, co zostało utracone, gdy przebudzą się uśpione Skarby. Tak ziemia, jak i niebo wykrzyczą ostrzeżenie, zwiastując Wojnę Rozpaczy. Krwawe łzy popłyną z kości ziemi, a gdy zima dobiegnie połowy, Jasny dzień stanie się czarną nocą”.

Krwawe łzy, pomyślał Veradis. Tu z pewnością chodzi o płaczące kamienie...

Jak dotąd większość fragmentów odczytanych przez Meicala przypominała mu stare opowieści ludowe, ale ostatnie zdania wstrząsnęły nim do głębi. Jak to możliwe, by te słowa zostały napisane wieki temu? Niespodziewanie poczuł, że po jego ciele rozlewa się zimno, zupełnie jakby na jego sercu zacisnęła się wielka pięść.

– To jakieś szaleństwo – oznajmił Mandros. – Nie będę już słuchał tych klechd!

Jego krzesło skrzypnęło, gdy poderwał się i ruszył w stronę wyjścia wraz z synem, który mu towarzyszył.

– Co to wszystko ma oznaczać? – spytał Braster. – Większość brzmi jak zagadka!

– Dlatego właśnie wezwałem was tutaj – rzekł Aquilus. – Chcę, byśmy omówili znaczenie tych słów i ustalili wspólną politykę.

Wokół stołu wybuchnął gwar rozmów. Zebrani królowie i doradcy zaczęli z werwą omawiać znaczenie i wiarygodność słów odczytanych przez Meicala. Zastanawiali się, co mają począć, gdyby te zapowiedzi okazały się prawdą. Od ich gadania Veradisowi zakręciło się w głowie. Rozległ się dzwon, oznaczający nadejście południa, i na stole pojawiło się jadło. Gdy służba zabrała puste talerze, wniesiono wino, a rozmowy ciągnęły się dalej, aż zaczęło

zmierzchać, a na ścianach zatknięto pochodnie. Wtedy Braster rzekł:

– Czego od nas oczekujesz? Nie możemy wyruszyć przeciwko wrogowi, którego nie widać. Wiem, że często pojawiało się tu imię Czarnego Słońca, czempiona Asrotha, ale gdzie on jest? Ba, kim on jest?

– Nie wiem – rzekł Aquilus. – Ale oto moja propozycja. Chcę, byśmy ustalili, że będziemy się nawzajem wspierać przeciwko naszym wrogom, bez względu na to, czy to banici, piraci, olbrzymy czy też hordy żmij bądź innych bestii z lasu Forn. Przyrzeknijmy też sobie nawzajem, że gdy ów Czarne Słońce pojawi się, zjednoczymy nasze siły i razem stawimy mu czoła.

– A kto nas powiedzie? – spytała Rhin. – Ty?

Aquilus wzruszył ramionami.

– Poprowadzi nas Jasna Gwiazda. To on będzie naszym przywódcą, gdy już się objawi.

– On lub ona – poprawiła go Rhin, a Aquilus uśmiechnął się i dodał:

– Do tego czasu przewodzić nam będzie ten, kogo wybierzemy. Ja jestem Najwyższym Królem, ale nie będę narzucał nikomu swej woli. Nie chcę narażać naszego sojuszu. Być może, gdy będziemy potrzebować przywódcy, wybierzemy go bez sporów. – Wstał i wsparł się o stół. – Powiedzieliśmy tu wszystko, co powiedzieć można. Nadszedł więc czas wyboru. Jeśli chcecie się do mnie przyłączyć, powstańcie teraz!

Zachroboty krzesła odsuwane po kamiennej podłodze. Veradis zmarszczył brwi, bo podniosło się jedynie pięciu z zebranych: Romar, król Isiltiru, Brenin z Ardanu, rudobrody Braster, Temel, władca Siraków oraz Rahim z Tarbeshu.

– Ja zaczekam – oznajmił Owain, król Narvonu, który nie powstał. – Zaczekam do Dnia Zimowego Przesilenia. Chcę najpierw ujrzeć ów znak, o którym mówi przepowiednia. Potem podejmę decyzję.

Aquilus skinął głową i rzekł:

– Sojusz stoi otworem przed wszystkimi, którzy myślą podobnie. Z tymi spośród was, którzy zdecydowali się mnie poprzeć, spotkam się jutro ponownie. Reszcie chcę podziękować za to, że przebyliście tak daleką drogę ze swoich ziem. Niech Elyon ześle wam bezpieczną podróż. Mam jednak nadzieję, że nie wyruszyacie jeszcze dziś, bo kazałem przygotować dla was wielką ucztę. Bez względu na to, jaką decyzję podjęliście, jedźmy dziś razem i pijmy!

* * *

Chwilę później Veradis znalazł się w komnatach króla Aquilusa. Książę Nathair sączył czerwone wino i milczał ponuro, a Meical stał przy oknie i wpatrywał się w słońce, zachodzące za odległymi górami.

– Dlaczego Vin Thalun nie zostali zaproszeni na radę, ojczy? – spytał Nathair niespodziewanie.

– Bo im nie ufam – odparł Aquilus. – Rozmawialiśmy już o tym.

– Gdyby zaufanie stanowiło jakiegokolwiek kryterium, nie zaprosiłbym większości królów, którzy zasiedli dziś w naszej sali biesiadnej – mruknął Nathair.

Aquilus westchnął i spojrzał bacznie na syna.

– O co ci chodzi?

– Nie ufam Mandrosowi, Rhin ani Brasterowi. Nie ufam nikomu z nich. Wszyscy mają swe sekrety, swe tajne plany. Ba, każdy z nich może się okazać Czarnym Słońcem albo przynajmniej zaoferować mu swe usługi. Z tego, co słyszałem, Mandros próbował podważyć wszystko, co powiedziałaś. – Nathair nabrał ze świstem tchu i przymknął oczy. – Twój sojusz ma połączyć tych, którzy mogą się przydać, a w tym kontekście trudno mi sobie wyobrazić bardziej przydatnego sojusznika niż Vin Thalun. Mają flotę, siatkę wywiadowczą wszędzie na Ziemiach Wagnanych i sporą armię.

Powinni tu być.

– Zapominasz o tym, że Vin Thalun najeżdżali ziemie i mordowali poddanych większości królów, którzy zjechali się na me zaproszenie. Ba, pewnie nadal to robią. Moi goście nie znieśliby Vin Thalun w swym gronie.

– Niech sobie zachowają własne żale dla siebie! To poniżej naszej godności!

– Sojusz to najważniejsza kwestia – warknął Aquilus. – Nie zaprzepaszczę szansy, zapraszając piratów do stołu!

– Nawet jeśli przez to wyjdę na człowieka, który łamie przysięgi? Przecież zawarłem z nimi pakt. – Nathair skrzywił się. Jego ojciec milczał. – A poza tym, po co zawierać sojusz z tymi wszystkimi królami? Większość z nich zapewne i tak się później na nic nie zgodzi. Nie, lepszym rozwiązaniem od sojuszu byłoby ustanowienie cesarstwa. Gdybyś nimi rządził, nie musiałbyś wysłuchiwać ich sprzeczek i biadolenia!

Aquilus zasłonił sobie dłonią oczy.

– Im bliżej tronu się znajdziesz, Nathairze, tym więcej sprzeczek i biadolenia wysłuchasz. Przynajmniej wciąż cieszę się statusem, dzięki któremu mogę na nich jakoś wpłynąć. A co do Vin Thalun, zostaniemy przez nich zdradzeni.

– A jeśli się mylisz?

– Dość tego! – Meical odwrócił się od okna. – Twój ojciec przemówił.

– Nie przypominam sobie, bym prosił cię o zabranie głosu – warknął książę.

Przez moment Meical i Nathair spoglądali na siebie, napięcie w komnacie narastało. Veradis instynktownie oparł dłoń na rękojeści miecza.

Wtedy Nathair odwrócił się i wyszedł, a jego przyboczny udał się za nim.

Rozdział dziewiętnasty

CYWEN

Cywen wraz ze swym bratem czekała beczynn timer na dziedzińcu przed salą biesiadną, pochłonięta wygrzebywaniem brudu spod paznokci za pomocą noża. Trudno było usłyszeć cokolwiek wiarygodnego od kogokolwiek z napotkanych ludzi, ale jedna rzecz nie budziła wątpliwości – przyniesiony do osady ranny był ostatnim ocalałym z bandy banitów z lasu Baglun.

Niespodziewanie na dziedziniec wtargnęło dwóch jeźdźców, którzy ostro wstrzymali konie przed schodami prowadzącymi do sali.

Jeden z nich, wysoki mężczyzna, zsiadł jako pierwszy i przytrzymał drugiego wierzchowca.

– Dam sobie radę – warknęła jego towarzyszka, którą okazała się uzdrowicielka Brina.

Nie była już młodą kobietą, a mimo to zeskoczyła z gracją na ziemię. Jej srebrzyste włosy rozsypały się na czarnym szalu. Obrzuciła dziedziniec władcym spojrzeniem, po czym ujęła torbę zwisającą z łęku i wkroczyła do sali. Dwaj wojownicy, którzy stali na straży, otworzyli przed nią drzwi.

Cywen pośpiesznie przypadła do wejścia, by zajrzeć do środka. Pochwyciła spojrzenie księżniczki Edany, która podbiegła do nich.

– Cześć! – powiedziała, uśmiechając się do Cywen i Corbana, a potem spojrzała przez ramię do izby. – Słuchajcie, nie mogę teraz

wyjsc do was. Nie chce niczego przegapic.

– A co tam sie dzieje? – szepnela Cywen. Corban sluchal uwaznie nad jej ramieniem.

– No dobra, chodźcie – mruknela Edana i wyszla na zewnatrz. Pośpiesznie przebiegla przez dziedziniec i wraz z rodzeństwem skryla sie w cieniu wschodniej sciany sali biesiadnej. – Musicie trzymac jezyk za zebami! Mama oblupi mnie ze skory, jezeli sie o tym dowie.

– O czym? – spytal Corban.

– Ze wpuścila was do fortecy, abyście wszystko sami uslyszeli.

Zatrzymala sie, otworzyla niewielkie, wazkie drzwi i poprowadzila dwójke towarzyszy przez labirynt szerokich korytarzy.

– Zaczekajcie tutaj! – szepnela, polozywszy dlon na zelaznej klamce ogromnych drzwi z dębowego drewna. – Po drugiej stronie jest sala biesiadna! Pozostawie drzwi lekko uchylone, zebyście slyszeli, o czym jest mowa.

– Dziękuje! – Cywen złapala księzniczke za reke.

– Po to sa przyjaciele, prawda? – odparla Edana i wslizgnela sie do sali.

Cywen i Corban przysuneli uszy do szczeliny.

– ...pewien, ze wszyscy nie zyja? – rozlegl sie glós królowej Alony.

– Tak – burknal Pendathran. – Wszyscy z wyjatkiem tego tutaj, a wiele wskazuje na to, ze i on nie doczeka switu.

– Jesteś pewien, ze nie bylo nikogo innego? – tym razem odezwal sie Ewnis.

– Tak. Moi łowczy przeczesali kazdy zakatek tego przekletego lasu. Nie tylko mój bratanek Marrock, ale rowniez ów przybysz, Halion. To wlasnie on odkryl trop.

– Cóz, bracie, naleza ci sie gratulacje, choc mój maz nie bedzie zadowolony z tego, ze nie przezył nikt, komu mozna by wymierzyc sprawiedliwosc.

Pendathran mruknel coś pod nosem, ale znów odezwala sie

Alona:

– Zrobiłeś to, co do ciebie należało. Twoi ludzie muszą teraz coś zjeść i odpocząć. Brina, jak brzmi twój osąd? Przeżyje?

– A ty przeżyłabyś z wielką dziurą między żebrami w tej zimnej sali pełnej przeciągów? – warknęła uzdrowicielka. – Mam zioła, z których mogę zrobić okład, oraz wywar z kory leszczyny, by uśmierzyć jego ból, ale może już być za późno. Rano będziemy wiedzieć więcej.

– Ale Pendathran powiedział, że banita może nie dożyć ranka – rzekł Ewnis.

– Wówczas jego stan nie będzie budził wątpliwości, prawda?

Zapadła cisza.

– Zrób wszystko, co możesz, Brino – rzekła królowa. – Chodź, Pendathranie, odprowadzisz mnie do komnaty. Chciałabym z tobą porozmawiać. Ewnisie, dowiedz się, czego potrzebuje Brina i wydaj jedzenie wojownikom.

– Jak każesz, pani.

– Tarben, Conall, pierwsza warta. Dobrze pilnujcie tego drania, bo Darol miał wielu przyjaciół – polecił chrapliwym głosem Pendathran.

Cywen i Corban usłyszeli zbliżające się kroki i przyłgnęli do ściany. Rozejrzeli się z lękiem po korytarzu. Najbliższy zakręt był zbyt daleko, by do niego dobiec, nie było też za czym się schować. Poczuli narastającą panikę – wszak nie chcieli zostać przyłapani na podsłuchiwanie królowej! – ale nagle na progu pojawiła się księżniczka Edana.

– Szybko! – syknęła i rzuciła się biegiem naprzód, a rodzeństwo pognało za nią.

Korytarze wiły się i rozdzielały, a gobeliny na ścianach kołysały się, trącane podmuchami powietrza. W końcu wbiegli na górę po szerokich, kamiennych stopniach, a tam księżniczka pchnęła jakieś drzwi. Corban i Cywen wskoczyli do komnaty, a Edana zamknęła drzwi za nimi.

Centralne miejsce w pomieszczeniu zajmowało ogromne, dębowe łóżko, a na podłodze leżały rozrzucone ubrania.

– To moja sypialnia – szepnęła księżniczka. – Chodźcie za mną!

Podeszła do wielkiego okna, rozchyliła okiennice, wspięła się na kamienny parapet i zeskoczyła na znajdujący się za nim balkon.

– Komnata moich rodziców znajduje się tuż obok! To tam mama przyprowadzi Pendathrana!

Ostrożnie przekradli się pod sąsiednie okno, a już po chwili usłyszeli, jak ktoś otwiera i zamyka drzwi w komnacie królewskiej pary. Zachrobotwały krzesła, plusnął nalewany napój.

– Musiałeś ich wszystkich zabijać? – spytała Alona.

– Tak, siostrze. Dzielnie walczyli. Próbowałem wziąć paru z nich żywcem i właśnie dlatego straciliśmy tylu ludzi. To trudniejsze, niż ci się wydaje!

Królowa Alona parsknęła szyderczo.

– Doszło do naprawdę zaciętej walki. Jej losy odwrócili ci dwaj nowi, Halion i Conall, choć nie sądzę, by aż tak im zależało na braniu jeńców. Moim zdaniem trzeba ich obserwować.

– Dlaczego?

– Cóż, przydaliby mi się tacy przybocznicy i chciałbym móc im zaufać.

– Są aż tacy dobrzy?

– Tak. Ten starszy, Halion, najpierw myśli, potem działa. Co więcej, dowodził już ludźmi, nie ma co do tego wątpliwości. Moi chłopcy od razu poczuli do niego sympatię.

– A ten drugi?

– Conall? Całkowite przeciwieństwo. Nie zawraca sobie głowy myśleniem, ale walczy z mocą letniej burzy. Jest śmiertelnie skuteczny. Myślę, że mógłby nawet konkurować z Tullem.

Alona wciągnęła powietrze.

– Kim oni są, siostrze?

– Brenin nie chciał mi nic o nich powiedzieć – westchnęła królowa. – Pytałam, ale unikał odpowiedzi. Podobno dał słowo.

Sam wiesz, jaki on jest.

– Wiem. Bez względu na to, co od nich usłyszał, zabierze to ze sobą na drugą stronę mostu mieczy. Cóż... Jest w tych dwóch wojownikach coś dziwnego. Nie są przyzwyczajeni do słuchania rozkazów, wolą je wydawać. Na razie nie ufam żadnemu z nich.

Zapadła cisza. Słyszać było tylko odgłosy przełykanego napoju, a potem stukot odstawianego pucharu. Zaskrzypiało krzesło.

– Cóż, siostrze, pora, bym coś zjadł i napił się piwa.

– Dziękuję, Pen. Brenin będzie ci równie wdzięczny jak ja, a... – Alona zawahała się. – A Rhagor byłby z ciebie dumny.

Kroki zmierzające ku drzwiom zamarły.

– Nie ma dnia, bym o nim nie pomyślał – mruknął Pendathran.
– Modłę się, by ten banita przeżył. Serce mi mówi, że ta banda należała do ludzi Braitha, ale wolałbym mieć pewność.

– Myślę, że jeśli jeniec wylize się z ran i potwierdzi twoje przecucia, król rozprawi się z Braithem i jego bandą raz na zawsze – oznajmiła Alona, a Pendathran zaśmiał się.

– Sama myśl o tym, droga siostrze, napęła radością serce starego człowieka.

– Starego? Nie gadaj głupstw, niedźwiedziu! Moim zdaniem masz przed sobą wiele, wiele długich lat.

Nie przestając chichotać, Pendathran wyszedł z komnaty, a Cywen i Corban wrócili w ślad za Edaną do jej sypialni. Następnie bez słowa prześlizgnęli się korytarzem aż do stromych schodów i dotarli do drzwi, którymi weszli do twierdzy.

Cywen i Corban podziękowali księżniczce szeptem, świadomi ryzyka, jakie na siebie wzięła, wpuszczając ich do fortecy. Edana uśmiechnęła się szeroko.

– Mam nadzieję, że nie powiecie nikomu, co?

Oboje z powagą pokręcili głowami.

– Gdzie się teraz wybieracie? – spytała niespodziewanie księżniczka.

Corban spojrzał na słońce. Minęło już południe, ale do wieczora

wciąż pozostawało mnóstwo czasu.

– Chodźmy obejrzyć mojego nowego żrebaka – zaproponował.

– W porządku – odparła Cywen. – Ale nie będziemy mogli zostać tam długo.

– Jakiego żrebaka? – spytała Edana, na co Corban w kilku słowach opowiedział jej o swoim prezencie.

Po chwili zmierzali już ścieżką, która prowadziła z fortecy do Havan. Edana naciągnęła kaptur płaszcza.

– Nie wolno mi opuszczać fortecy bez mojego przybocznego, Ronana – wyjaśniła.

Na głównej ulicy wsi bawiły się grupki dzieci, a psy biegały i szczekały między nimi. Na wielkim kamieniu leżącym na rozstaju siedziała posepnie znajoma postać.

– Dath, co tu robisz?! – zawołał Corban. – Co ci się stało?

– Eee, nic takiego. Przewróciłem się – odparł Dath i zasłonił dłonią policzek.

Edana podeszła bliżej i odrzuciła kaptur. Chłopak natychmiast ją rozpoznał – otworzył usta i zamknął je niczym ryba.

– Nie sądzę, byś się przewrócił. Nie tak to wygląda. – Księżniczka ostrożnie dotknęła skaleczenia na policzku chłopaka. – To ślad po czymś ostrym.

– Po pierścieniu ojca – wymamrotał Dath. – Jutro nawet nie będzie o niczym pamiętał. Powiem mu, że się poślizgnąłem i uderzyłem o burtę naszej łodzi.

– Ale dlaczego cię uderzył? – spytała Edana.

– Przegapił przyływ dziś rano i sięgnął po flaszkę *usque*. – Dath wzruszył ramionami, po czym odwrócił wzrok. – Mówi, że przypominam mu mamę, ale nie wiem, czemu go to tak złości. Nie przejmujcie się, jutro nie będzie o niczym pamiętał.

– A więc powinienesz mu powiedzieć o tym, co zrobił! – wypaliła Cywen. – Gdy będzie trzeźwy... Przecież... przecież tak nie można!

– Ale to chyba nie twoja sprawa, co? – warknął Dath. – I może zastanów się, zanim uznasz, że coś jest dobre, a co innego złe. Ty

nadal masz matkę!

W powietrzu zawisła niezręczna cisza, aż Corban zakasłał i rzekł:

– Chodź z nami, Dath. Dostałem prezent! Żrebaka! Chodź, obejrzysz go z nami!

* * *

Szli w stronę zagrody, rzucając coraz dłuższe cienie, gdy rozległ się tętent kopyt. Zbiegli w dół po kamienistej skarpie i stanęli na łące wśród traw i kwiatów. W jeźdźcu rozpoznali uzdrowicielkę Brinę, która gnała naprzód, nie szzczędzając konia. Dath wykonał znak chroniący przed złymi siłami.

– Zimno mi się robi, gdy na nią patrzę – mruknął.

– Sądziłam, że zostanie na noc w twierdzy! – szepnęła Edana, gdy Brina zniknęła już na horyzoncie.

– Ona musi wrócić do siebie na noc przez te swoje czary! Inaczej mogłyby jej pouciekać duchy, które kontroluje! – oznajmił Dath, a potem spojrzał na miny towarzyszy i skrzywił się. – Nie słyszeliście tych historii? Niby siedzi w chatce sama, ale słysząc jakieś dziwne głosy, hałasy...

– To uzdrowicielka, a nie wiedźma – powiedziała Cywen, ale w jej oczach pojawił się lęk.

Ruszyli w stronę zagrody.

– Jak nazwiesz swego konia, Corban? – spytała Edana, gdy ujrzeli żrebaka z matką.

– Jeszcze nie wiem. Gar powiedział, że nie powinienem się śpieszyć z wymyślaniem dla niego imienia. Powinienem poczekać, aż wpadnę na coś, co będzie do niego pasowało.

Żrebień uniosło łeb, spojrzało na drogę i odbiegło na bok. Cywen ujrzała dwie postacie, kryjące się za ogrodzeniem. W pierwszej chwili nie była w stanie ich rozpoznać, gdyż oslepiało ją zachodzące

słońce, ale nagle jeden z kryjących się coś krzyknął, a dziewczyna ujrzała na moment jego jasną czuprynę. Był to Rafe, a wraz z nim chował się jego kompan Crain.

– Och, nie – szepnął Corban.

Klacz spojrzała na przybyszów, po czym potruchtała w ślad za młodym. Cywen ruszyła ku Rafe'owi, a reszta podążyła za nią. Edana nałożyła po drodze kaptur.

– Patrz! – zawołał Rafe. – Oto Cywen waleczna i jej braciszek o trzęsących się nogach.

Crain zaśmiał się głośno i zatoczył lekko.

– *Usque* – mruknął Dath, bezbłędnie rozpoznawszy zapach.

Crain uniósł gliniany dzban i siorbnął głośno, a potem otarł podbródek wierzchem dłoni.

– Otóż to – oznajmił. – Chcesz sobie golnąć?

Dath pokręcił głową.

– Widzisz? – Rafe klepnął Craina w pierś. – Mówiłem ci, że to oni.

Pochylił się lekko, naśladując dworski ukłon.

– Chciałem ci podziękować za twój dar, Corbanie. Toż to najwspanialszy miecz ćwiczebny, jakim miałem przyjemność trenować.

Przy tych słowach uniósł wysoko drewniany miecz, ale Corban rzekł jedynie:

– Cieszę się, że ci się podoba.

Cywen zmarszczyła brwi. Ban nigdy nie mówił jej ani słowa o ćwiczebnym mieczu.

– Ach, łupy wojenne to wspaniała sprawa! – chełpił się Rafe.

– Jesteś złodziejem. Jeśli została ci choć odrobina honoru, powinieneś go oddać! – burknął Dath.

– Co takiego? Honor? Syn rybaka zarzuca mi brak honoru? – spytał Rafe. – Zaraz, jakiego rybaka? Teraz, chłopie, jesteś synem miejscowego pijaczyny, co nie? To tatuś cię rąbnął w gębę?

Dath zacisnął pięści, ale wtedy Edana zdjęła kaptur. Rafe

odruchowo zrobił krok w tył.

– Co... co ty tu robisz? Co robisz z... – Urwał, wskazując Cywen, Corbana i Datha.

– Nie powinieneś wytykać nikomu nałogów jego ojca – rzekła Edana. – Tym bardziej, że twoje własne siniaki dopiero co się zagoiły.

Pusta dłoń Rafe'a uniosła się ku policzkowi, ale zatrzymała się w połowie drogi. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Edana ciągnęła dalej:

– Ukradłeś ten miecz Corbanowi? Jeśli tak, masz go zwrócić. Natychmiast.

– Nie ukradłem go! – parsknął Rafe. – Wygrałem go! W konkursie! Jeśli Corban chce go z powrotem, musi sobie na to zasłużyć!

– Co masz na myśli? – warknęła Cywen, czując, jak jej gniew narasta.

– Mam na myśli to – Rafe odwrócił ku niej głowę i obdarzył ją wrednym uśmiechem – że jeśli twój dzielny brat życzy sobie odzyskać swój kijek, będzie musiał wykonać pewne zadanie.

– Jakie znowu zadanie? – spytała dziewczyna.

Rafe postukał się palcem po podbródku, zastanawiając się przez chwilę, a potem uśmiechnął się szeroko.

– Będzie musiał zakraść się do chaty uzdrowicielki i przynieść coś, co udowodni, że to zrobił.

– Przecież to niedorzeczne! – oznajmiła Edana, a Dath wciągnął powietrze głęboko w płuca.

– W porządku! – wypalił Corban.

– Nie! – wykrzyknęli jednocześnie Cywen i Dath.

– Przecież wiesz, co ona potrafi robić z ludźmi, Ban! – zawołał Dath. – Może rzucić na ciebie czar albo... albo zabrać ci duszę czy coś!

Cywen ujrzała, że jej brat zerknął przelotnie na księżniczkę, a potem nabrał tchu i wyprostował się, unosząc ramiona.

– Zrobię to, by odzyskać mój miecz i udowodnić, że nie jestem tchórzem!

– Dobrze! – Rafe roześmiał się. – Chodźmy więc! Zaczekamy w pobliżu, aż wrócisz z nory więdźmy!

Rozdział dwudziesty

VERADIS

Veradis wypadł galopem przez bramy Jerolin, śladem księcia Nathaira.

Ten, po kłótni z ojcem, bez wahania opuścił wieżę i skierował się ku stajniom. Wyrwał chłopcu stajennemu osiodłanego konia, wskoczył na niego i wyjechał z fortecy. Veradis potrzebował nieco więcej czasu, by znaleźć dla siebie rumaka, ale nadrobił opóźnienie, jadąc traktem wokół jeziora. Na zdyszanym koniu dogonił księcia, a wtedy obaj zwolnili.

– Mój ojciec – odezwał się po chwili Nathair – wygłasza wielkie mowy o prawdzie, honorze i wsparciu Elyona w walce przeciwko Asrothowi, a nie jest w stanie dostrzec tego, że sam okrywa się hańbą. A może po prostu nie chce tego dostrzec? Tworzenie nowego sojuszu pochłonęło go bez reszty, a do tego łąsi się u stóp tego robaka jak ślepe szczenię!

– Robaka? – spytał Veradis. – Kogo masz na myśli?

– Doradcę Meicala – warknął Nathair. – Honor! Ojciec zawsze przedstawiał mi honor jako najważniejszą rzecz na świecie. Mówił, że honor musi być fundamentem dla każdego działania i każdej decyzji, a gdy przychodzi co do czego, mój własny honor oraz złożona przysięga wydają się nie mieć dla niego znaczenia. Wiem, że Vin Thalun byli kiedyś największym wrogiem Tenebralu, ale dałem przecież słowo!

– Zgadzam się z tobą – rzekł Veradis. – Ale rozumiem również wątpliwości króla. Całe życie spędziłem na wybrzeżu, Nathairze, tam odczuwa się skutki pirackich najazdów dużo mocniej niż tutaj. Trudno sobie wyobrazić, by teraz mieli zarzucić swe pirackie rzemiosło.

Nathair pokiwał głową i nabrał tchu.

– Stoimy u zarania nowej epoki, Veradisie. Mój ojciec z zapałem głosi, że czeka nas wiele zmian, ale gdy staje w ich obliczu, nie potrafi się z nimi pogodzić. Myśli tylko i wyłącznie o tej radzie i stworzeniu swojego sojuszu. Marzy o nim i wyobraża go sobie od tak dawna, że nie jest już w stanie dostrzec rzeczywistości. Ci zaś – parsknął Nathair, wskazując sztandary falujące na wietrze dookoła fortecy – przybyli tu tylko i wyłącznie po to, by chronić własne interesy. Nie potrafią spojrzeć na świat z szerszej perspektywy, a ich wizje kończą się na własnych granicach. Jak mój ojciec wyobraża sobie sojusz z takimi ludźmi? Nad takimi jak oni trzeba rozciągnąć władzę, zamiast się z nimi użerać! Jeśli sytuacja rzeczywiście jest tak poważna, jak przedstawia to mój ojciec, nie możemy opierać się na tych chwiejnych, kapryśnych władcykach. Nie stać nas na takie ryzyko! Przecież oni są gotowi zmienić zdanie, gdy tylko wiatr zawieje z innej strony! I co wtedy?

Książę znów patrzył na Veradisa.

– Nie wiem – odparł tamten. – Spędziłem więcej czasu z mieczem i włócznią na równinach niż w komnacie narad mego ojca. W twoich słowach kryje się wiele mądrości, ale musimy przecież ufać swemu królowi, czyż nie? Przecież oprócz niego nie mamy już nikogo!

Nathair spojrzał przenikliwie na młodzieńca i powoli pokiwał głową.

– A co sądzisz o tej całej Wojnie Bogów? – spytał Veradis.

Nadal nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał na radzie. Lubił stare opowieści i wiedział, że w historiach o Wielkich Wojnach kryje się wiele prawdy. Nie miał też wątpliwości, że w wielu miejscach wciąż

było widać wyraźne, niebudzące wątpliwości ślady po Pladze Elyona. Ale wojna między Asrothem i Elyonem? Nie, tego nie mógł sobie nawet wyobrazić.

– Wierzę w bogów, jeśli o to ci chodzi, a owa księga, którą przyniósł Meical... Cóż, nie przepadam za nim, ale być może przepowiednia jest prawdziwa. Nie rozumiem wielu spośród tych zagadkowych zdań, ale niektóre z tych rzeczy naprawdę miały miejsce. Kamienie olbrzymów roniły przecież łzy, czyż nie? Nie można temu zaprzeczyć. A Brenin przywiózł łeb żmii w worku...

– Prawda – mruknął Veradis i poczuł dreszcz na wspomnienie Meicala czytającego tajemnicze słowa ze swojej księgi.

– Dzień Zimowego Przesilenia – ciągnął książkę. – Gdy dzień stanie się nocą. Wtedy większość królów podejmie decyzję, ale mój ojciec wierzy w przepowiednię już teraz, nie ma najmniejszych wątpliwości. – Zerknął na Veradisa i dodał: – Ja zresztą też. Z własnych powodów.

– Jakich?

– Kiedy indziej ci o nich opowiem.

Dotarli do miejsca, w którym droga się rozgałęziała, a wtedy Veradis ujrzał tłum ludzi, którzy biegli ze wsi leżącej nad jeziorem w stronę lasu. Pochylił się i zawołał chłopaka, który ich mijał.

– Hej! Dokąd wszyscy biegają?

– W lesie pojawiło się coś dziwnego! – wysapał zdyszany chłopak.

– Cóż znowu?

– Jakieś stworzenia! Sam nie wiem!

Chłopak wzruszył ramionami i popędził dalej, Veradis spojrzawszy zaś na Nathaira, który uniósł brew i cmoknął na konia. Obaj wjechali w las, mijając wielu pieszych, aż dotarli na okazałych rozmiarów polanę, na której zgromadziło się już sporo ludzi. Przepchnęli się na czoło.

Ziemia tam była czarna i drżała w tysiącach miejsc jednocześnie.

Mrówki. Tysiące, tysiące tysięcy mrówek, największych, jakie Veradis kiedykolwiek widział, dorównujących długością jego

małemu palcowi. Maszerowały niepowstrzymaną kolumną, szeroką niczym człowiek z wyciągniętymi do góry ramionami. Veradis uniósł głowę i spostrzegł, jak ciemna, wrząca masa niknie w głębi lasu.

– Słyszałem opowieści o takich owadach, które żyją głęboko w sercu najstarszych borów – szepnął do Nathaira – ale nigdy tak naprawdę w nie nie wierzyłem.

Księżę nie odpowiedział, a jedynie ukucnął, by lepiej przyjrzeć się mrówkom. Na jego twarzy pojawiło się skupienie, niemalże zachwyty.

Od kolumny wędrujących owadów dzielił ich pas zieleni. Nikt z gapiów nie miał odwagi ani ochoty, by podejść bliżej. Veradis dostrzegł chłopaka, z którym rozmawiał przed chwilą na drodze. Od tyłu napierali na niego gromadzący się ludzie. Tłum stawał się coraz liczniejszy, aż przestraszony perspektywą upadku twarzą naprzód w maszerujące mrowie wojownik zrobił krok w tył, rozpychając się nieco.

Gromada zafalowała, gdy dotarła kolejna grupa ciekawskich, próbujących przepchnąć się na czoło. Chłopak, niespodziewanie pchnięty przez kogoś z tyłu, zatoczył się i zrobił krok naprzód. Jego stopa ugrzęzła w kolumnie, a czarna masa błyskawicznie pomknęła w górę jego nogi. Chłopak chciał odskoczyć, ale zatrzymał go napór ludzkich ciał. Wrzasnął i zaczął otrzępywać w panice nogę, po której już ściekały strużki krwi. Mrówki bez trudu przegryzały się przez materiał spodni i wpijały w ciało.

Veradis przemknął obok księcia, który zerknął na przyjaciela, ale natychmiast powrócił do obserwacji mrówek, i poderwał chłopaka do góry. Natychmiast poczuł piekące ugryzienia przeskakujących na niego owadów.

– Do mnie! Daj go do mnie! – zawołał ktoś.

Veradis uniósł głowę i ujrzał młodego rudzielca, który machał do niego energicznie.

Przyboczny księcia przesunął ręką wzdłuż nogi chłopaka i strącił

dziesiątki mrówek na ziemię. Ludzie gwałtownie odsuwali się od niego.

O, proszę, pomyślał. Czyli potrafią jednak zrobić miejsce.

Wykorzystał sytuację, uniósł chłopaka wysoko nad głowę i przerzucił go do rudowłosego wojownika. Gdzieś niedaleko czekał pies, obszarpany łowca szczurów o wyliniałym futrze. Veradis dostrzegł, że ktoś kopniakiem wtrącił go do strumienia mrówek. Owady w pierwszej chwili nie zwróciły na niego uwagi i wymijały go niczym gład pośrodku nurtu rzeki, ale wnet czarny strumień wdarł się po psich łapach i wyżej. Skamlenie zwierzęcia przerodziło się w oszalałe wycie. Pies potknął się, próbował podnieść, kłapał szczękami, a piana w jego pysku naraz nabrała różowej barwy. Kilka sekund później zadrżał i zeszywniał.

Veradis zaklął i przepchnął się przez tłum, smagając ludzi złowrogim spojrzeniem. Rudowłosy wojownik zajmował się chłopakiem w pustej części polany. Veradis uświadomił sobie, że to Kastell, który na uczcie siedział u boku Romara, króla Isiltiru. Teraz metodycznie zrywał insekty z ciała chłopaka i rozgniatał je wielkimi dłońmi. Chłopiec szlochał konwulsyjnie, wręcz rozdzierająco, ale klęczał przy nim też inny wojownik, starszy i siwowłosy, który próbował go uspokoić.

– Wielkie dzięki – rzekł Veradis. – Mało kto kwapił się tam do pomocy.

Rudy pokiwał głową bez słowa, ale jego siwowłosy towarzysz powiedział:

– Widziałem cię wcześniej. Należysz do świty księcia?

– Tak. Mam na imię Veradis – rzekł młodzieniec i wyciągnął zakrwawioną dłoń.

– A ja Maquin. A mój przyjaciel to Kastell. Dziwny widok, co? – dodał, wskazując kolumnę maszerujących mrówek.

– Tak. Nigdy dotąd nie widziałem niczego takiego.

– Wygląda na to, że nadeszły czasy, kiedy niczemu nie należy się dziwić – rzekł Kastell. – Przynajmniej sądząc po tym, co

usłyszałem na radzie.

Veradis uśmiechnął się.

– Widziałem wczoraj twoją walkę na dziedzińcu treningowym. Gdyby nie celny kopniak poniżej pasa w odpowiednim momencie, kiepsko by się to dla ciebie skończyło.

– Nie tak miało się to skończyć. – Postawny młodzieniec skrzywił się.

– Ale nie skończyło się źle. Dobra robota – rzekł Veradis, a Maquin burknął, zgadzając się z nim. – Twój przeciwnik zasłużył sobie na to. Następnym razem nie będzie już tak skory do wyszydzania cię przy innych.

– Może. A może tylko pogorszyłem sprawę.

– Dlaczego?

Kastell nie odpowiedział, ale odezwał się Maquin:

– Jego przeciwnikiem był Jael, siostrzeniec króla Romara.

– Jael to mój kuzyn – dodał Kastell. – W mojej ojczyźnie bynajmniej nie słynie z wyrozumiałości. Nie powinienem był zdzielić go aż tak mocno, zwłaszcza na oczach tylu ludzi.

– Eee tam. Już dawno powinienesz mu włomotać – warknął Maquin, a Veradis parsknął śmiechem.

– A ty powinienesz trzymać się od tego z daleka, Maquin. – Kastell skrzywił się. – Bo Jael i ciebie dopisze do listy wrogów.

– Miałeś sześć lat, kiedy zawiozłem cię do stolicy Romara na swym siodle, a twoim przybocznym jestem jeszcze dłużej. Myślę, że od dawna figuruję na liście Jaela.

– Tak czy owak, uważaj na to, co robisz. Lepiej nie rzucać się Jaelowi w oczy.

– Mądre słowa jak na człowieka, który kopnął go z całej siły w jaja! – Veradis roześmiał się.

– Nie zachęcaj go – rzekł Kastell i odwrócił się do Maquina. – A ty nie myśl sobie, że jesteś niezwyciężony. To, że stałeś się zabójcą olbrzymów, o niczym nie świadczy.

– Nie chcę pogłębiać różnic między wami. – Veradis uniósł

dłonie. – Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem dzielnie walczyłeś.

Kastell pokiwał głową i uśmiechnął się.

– I wygląda mi na to, że znacie kilka opowieści, których warto wysłuchać – dodał Veradis. – Zabójca olbrzymów?

– Och, to był tylko szczęśliwy rzut – rzekł stary wojownik. – Kastell, w przeciwieństwie do mnie, spojrzał zabijanemu przez siebie olbrzymowi w oczy.

– A więc obaj jesteście zabójcami olbrzymów? To ci dopiero opowieść!

Chłopiec leżący na ziemi zaszlochał.

– Ale to nie czas na nią – rzekł Maquin. – Przysiądź się do nas na wieczornej uczcie, to napijemy się razem wina, a teraz trzeba by oddać tego chłopca rodzinie.

Obaj wynieśli rannego z polany. Veradis przyjrzał się swoim ramionom i skrzywił się, widząc dziesiątki drobnych, zasychających już skaleczeń, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu Nathaira.

Księżę nadal klęczał w trawie na czele tłumu, wciąż całkowicie pochłonięty makabryczną procesją. Naraz obaj ujrzeli jej koniec. Kolumna mrówek, niczym zwinięty dywan, znikła między krzewami po drugiej stronie polany. Ludzie powoli odwracali się i odchodzili. Veradis przyglądał się im w milczeniu, aż on i Nathair zostali sami.

Maszerujące mrówki pożarły wszystko, co znajdowało się przed nimi, przez co ich trasa przypominała teraz szeroką, dobrze wydeptaną ścieżkę. Z psa zostało jedynie nieco poszarpanego, zakrwawionego futra i kości.

– Jedzą w marszu – rzekł Nathair, wpatrzony w Veradisa. – Niesamowite. To było niesamowite, Veradisie. Widziałeś to? Widziałeś te mrówki? Widziałeś, z jaką łatwością pokonały i zniszczyły wielokrotnie większego i silniejszego przeciwnika?

– Tak, widziałem – rzekł młodzieniec i wzdrygnął się na samo wspomnienie.

- Możemy się od nich wiele nauczyć – szepnął Nathair.
- Co masz na myśli?
- Gdy dochodzi do bitwy, walczymy jeden na jednego, czasami w asyście przybocznego, ale na ogół sami. Nasze wojny przypominają więc tysiące pojedynków na polu bitwy, odbywających się w tej samej chwili.
- Zgadza się. Tak to zawsze bywało.
- A co by było, gdybyśmy walczyli jak mrówki, Veradisie? Zwartą formacją, jak jeden organizm, pomagając sobie nawzajem przez cały czas? – Książę urwał na moment. – Bylibyśmy nie do powstrzymania.

* * *

Veradis wgrzył się w gruby kawałek mięsa, aż po brodzie pociekł mu tłuszcz. Siedział przy jednej z ław, które rozstawiono na dziedzińcu ćwiczebnym. Noc była ciepła, a na bezchmurnym niebie pośród miriad migoczących gwiazd wisiał półksiężyc. Młody wojownik odnalazł Kastella i Maquina, napił się z nimi wina i przez dłuższą chwilę dobrze bawił się w ich towarzystwie, ale zostali wcześniej odwołani przez króla Romara. Teraz siedział obok niego jego towarzysz broni Rauca, który próbował jednocześnie mówić i ogryzać żeberka. Veradis nie mógł się jednak skupić na jego słowach, gdyż wciąż myślał o Nathairze i wydarzeniach, które miały miejsce po zakończeniu rady.

Naraz Rauca klepnął go w ramię i pokazał mu otwarte drzwi do twierdzy, w których stanął książę Nathair, ubrany w czerń. Na skórzanym pancerzu nosił orła Tenebralu. Dostrzegł przybocznego i przywołał go do siebie.

- Wszystko u ciebie w porządku? – spytał Veradis.
- Tak, przyjacielu. Wybacz mi moje nastroje. Kocham mego ojca, tylko po prostu nie rozumiem niektórych jego decyzji.

Przemyślałem sobie to, co mi powiedziałaś, i myślę, że masz rację. Musimy ufać naszemu królowi. Ale nie będę siedział bezczynnie i patrzył, jak wszystko, na czym mu zależało, rozpada się w pył. Muszę popierać jego działania, bo w ten sposób pracuję również na własną korzyść. Przecież po nim to ja zostanę królem, prawda?

– Tak, Nathairze. Oczywiście.

– A więc chodźmy i rozegrajmy naszą grę – rzekł książę i uśmiechnął się.

Prowadząc za sobą przyjaciela, Nathair wszedł na dziedziniec, a tam kolejno podchodził do każdego króla i barona, by zamienić z nim kilka słów. Traktował przyjaźnie i uprzejmie każdego z nich, bez względu na to, czy zgodzili się zawrzeć sojusz z Aquilusem czy też nie. Pytał ich o zdanie na temat sojuszu oraz o problemy, z którymi borykali się we własnych królestwach. Jednym z nielicznych, którzy oparli się urokowi Nathaira, był Mandros z Carnutanu, więc książę zwrócił uwagę na jego syna, Gundula, młodzieńca o okrągłej twarzy, który śmiał się głośno z jego dowcipów. Nathair zaprosił niejednego z przybyłych na łowy, które chciał zorganizować następnego dnia. Gundul przyjął zaproszenie, podobnie jak wielu innych, w tym Jael, przeciwnik Kastella z dziedzińca ćwiczebnego.

On narodził się, by przejąć tron, pomyślał Veradis, obserwując księcia przez cały wieczór.

Nathair był ujmujący, interesował się sprawami gości i popisywał się wiedzą na każdy temat. Gdy zrobiło się późno i wielu z zaproszonych kierowało się już na spoczynek, książę zaprowadził Veradisa do grupy ludzi pochodzących z królewskich rodów, która zgromadziła się w ogrodzie przy dziedzińcu. Młodzieniec rozpoznał Brenina z Ardanu oraz Rhin i Owaina.

Brenin oparł dłoń na ramieniu Nathaira, a Veradis zwrócił wówczas uwagę na jego muskulaturę.

Nie jest miękkim słabeuszem jak wielu innych, pomyślał.

Skinął na powitanie Tullowi, pierwszemu mieczowi władcy

Ardanu, a starzejący się wojownik uśmiechnął się do niego.

– Jak się miewa twój przyjaciel Rauca? – szepnął, pochyliwszy się ku niemu.

– Dobrze, ale kłykcie ma zapewne nadal poranione – odparł Veradis.

Tull roześmiał się.

– Dobrze walczy, ale nie pożyje tak długo jak ja, jeśli nie nauczy się korzystać z tego. – Postukał się palcem po czaszce.

Veradis uśmiechnął się. Lubił Tulla.

– Oto Heb, mój znawca obyczajów, któremu nic się nie podoba. – Król Brenin wskazał wysokiego, chudego człowieka za sobą.

– Naprawdę nic?

– Och, nie bierz sobie tych słów do serca – odparł Heb. – Bardzo lubię Brenina, ale bliższe jest mi ciepło mego własnego ognia. Poza tym nie cierpię długich podróży.

Veradis zakaszłał, by zamaskować rozbawienie.

– Nie słuchajcie go, bo kłamie – rzekł Brenin. – Musiałbym go chyba związać, gdybym chciał, by pozostał w Ardanie. Jest na to nazbyt ciekawski i dociekliwy.

Nathair ujął rękę Rhin i ucałował ją. Jej skóra była sucha, poznaczona plamkami i poprzecinana błękitnymi żyłami.

– Jesteś piękna, moja pani – rzekł.

– A ty jesteś pochlebcą – stwierdziła Rhin, choć uśmiechnęła się do niego ciepło.

Migotliwe światło pochodni zamieniło jej twarz w mozaikę cieni.

– Nie waham się mówić prawdy, gdy ją widzę.

– Czyżby? To niebezpieczne przyzwyczajenie, zwłaszcza u księcia. Czy powiedziałbyś mi prawdę, gdybym była brzydka?

– Nie – odparł Nathair. – Bo wówczas skupiłbym się na innych zaletach.

– O ile coś byś znalazł.

– Wszyscy ludzie mają w sobie coś cennego i niezwykłego. Trzeba tylko zadać sobie odrobinę trudu i tego poszukać.

– Dobrze powiedziane. – Rhin uśmiechnęła się. – Szukaj więc dalej moich zalet, a myślę, że będziemy się dobrze dogadywać.

– Proszę cię, Rhin, przestań bawić się tym chłopakiem – odezwał się Owain, władca Narvonu. Był ciemnowłosym mężczyzną o ostrych rysach, a w jego uśmiechu nie było zbyt wiele ciepła. Jego królestwo, o ile Veradis dobrze kojarzył z mapy, graniczyło zarówno z ziemiami Rhin, jak i Brenina.

– Ja się nie bawię – odparła Rhin, która nie spuszczała oczu z Nathaira. – A poza tym książę dobrze sobie radzi. Przynajmniej jak dotąd.

Veradis uznał, że nie lubi Rhin. W spojrzeniu, jakim obrzucała Nathaira, kryło się coś drapieżnego, a tak nie powinno być. Była już przecież starszą kobietą.

– Ostrożnie, Nathairze. Zapuszczasz się na niebezpieczny akwen – rzekł Owain i opróżnił pucharek. – Nim się spostrzeżesz, Rhin zagarnie cię i zmusi do zrękowin.

– Co ty wygadujesz! – parsknęła królowa. – Ja wolę różnorodność, bo to dzięki niej udaje mi się zachować młodość. Choć gdyby trafił mi się właściwy mężczyzna... – Uśmiechnęła się.

– A jak się przedstawia sytuacja w twym królestwie? – spytał Nathair, którego szyję oblał rumieniec.

– Nie narzekam! – Rhin roześmiała się. – Większością ościennych królestw rządzą moi krewni, a więc sytuacja jest stabilna. Jest trochę nudno, ale spokojnie, nie licząc oczywiście olbrzymów na północy. Przeklęte plemię zawsze szuka sposobności, by przetestować męstwo moich wojowników, ale mi niebezpieczeństwo nigdy nie grozi, nawet gdy olbrzymy są zuchwalsze niż zwykle. – Odwróciła się ku swemu czempionowi. – Mam však przy sobie Morcanta – dodała i musnęła policzek mężczyzny długim, białym palcem.

Morcant uśmiechnął się. Coś w geście kobiety sprawiło, że Veradis oblał się rumieńcem.

– Jeśli to, co usłyszeliśmy dziś na radzie, okaże się prawdą, jeden

miecz nie wystarczy, by zapewnić ci bezpieczeństwo – rzekł Nathair. – Muszę przyznać, że trochę się rozczarowałem. Miałem nadzieję, że propozycja ojca spotka się z większym poparciem. – Spojrzał na Owaina oraz Rhin i dodał: – Nie przypominam sobie, by któreś z was wstało, by go poprzeć.

– Pewnie dlatego, że tego nie zrobiliśmy – rzekła Rhin. – Liczę sobie wiele lat, Nathairze, a wiek przekłada się na doświadczenie. Życie nauczyło mnie między innymi tego, by zachować ostrożność i powściągliwość. Poruszyło mnie wiele rzeczy, o których opowiadał twój ojciec, ale nie jestem przekonana. Co więcej, nie mam całkowitej pewności, jeśli tak mogę to ująć, co do doradcy twego ojca oraz jego znalezisk. Jest w nich coś podejrzanego. – Uśmiechnęła się i odsunęła kosmyk białych włosów z twarzy. – Nie jestem najbardziej ufną osobą na świecie, obawiam się, że jest to jedna z moich największych wad, i trudno mi uwierzyć w rewelacje tej rangi wychodzące z ust raptem jednego człowieka. Poczekam więc i przekonam się, co przyniesie nam Dzień Zimowego Przesilenia. A poza tym – dodała – może cała ta gadanina o bogach i demonach to przesada? Może nie powinniśmy wypatrywać wojen i konfliktów tak daleko? Są wśród nas władcy, którzy mogliby zwrócić większą uwagę na to, co się dzieje w ich królestwach, zamiast obawiać się bajek, które mogą się ziścić.

Sprytna jest, pomyślał Veradis. Ciekawe, o kim mówi. O Breninie, Owainie czy Nathairze? A może o wszystkich?

Brenin uniósł brew, ale nic nie powiedział. Heb uśmiechnął się, jakby przyglądał się fascynującej rozgrywce.

– Proszę, mów wprost – rzekł Owain. – Wypiłem za dużo wina, by móc jeszcze sprostać twoim zagadkom.

Rhin cmoknęła z dezaprobatą.

– Całkowity brak taktu, Owainie. Jestem przekonana, że Brenin wszystko ci wyjaśni.

Król Ardanu zachichotał.

– Nie wciągaj mnie w to.

– Jak sobie życzysz. A więc, mówiąc bez ogródek, słyszałam, że obaj macie ostatnio problemy.

– Zgadza się – rzekł Brenin. – Nękają nas bandy banitów z Ciemnego Boru. Przypuszczam, że stoi za tym Braith, choć nie mam na to jeszcze dowodu. Liczę, że będzie na mnie czekał po powrocie.

– Mam to samo – burknął Owain. – Najeżdżają wzdłuż całej granicy Ciemnego Boru.

– Może więc ten sojusz jest dla was obu dobrym rozwiązaniem – rzekła Rhin. – Niewykluczone, że jeśli połączycie siły i otrzymacie pomoc króla Aquilusa, dacie sobie z tymi banitami radę.

– Sam potrafię zapewnić bezpieczeństwo własnym ziemiom – warknął Owain.

– Naprawdę? Mimo to siedzisz tutaj, w gościnie Aquilusa, podczas gdy twe ziemie są najeżdżane, a poddani rabowani. Ty, Breninie, tak samo!

– Ty się nigdy nie zmienisz, Rhin. – Brenin pokręcił głową. – Rób, co uważasz, ja nie dam się wciągnąć w twoje gierki.

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł, a Heb ruszył w ślad za nim. Tull skinął na pożegnanie czempionowi Rhin i podążył za swym królem, mrugając do mijanego po drodze Veradisa.

Księżę wkrótce również pożegnał się i wyruszył razem ze swoim przybocznym na poszukiwanie wina.

– Od tego politykowania tylko człowiekowi zasycha w gębie – rzekł, gdy opróżnili już pucharki.

– Ja od samego słuchania poczułem pragnienie – odparł Veradis.

– I co sądzisz o tym wszystkim? – spytał księżę.

Jego przyboczny wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Szczerze powiedziawszy, Nathairze, nudzi mnie taka gadanina. Nie mam nic przeciwko, by uczestniczyć wraz z tobą w takich spotkaniach, ale robię to tylko po to, abyś miał pewność, że twych pleców strzeże wierny miecz.

Nathair parsknął śmiechem.

– Jesteś miodem na moje rany, Veradisie, pośród tych wszystkich intryg, kłótni i wyrachowanych słów. Skoro nie chcesz mi jednak powiedzieć, co sądzisz, pozwól, że ja podzielę się z tobą moją opinią, o, mieczu, który strzeże mych pleców! – Pochylił się przy tych słowach nisko. – Królowie Ziem Wygnanych są jak dzieci. Wadzą się i pyszną, ale nigdy nie połączą sił. Mój ojciec dał się uwieść swoim marzeniom. Nie jest w stanie utworzyć sojuszu, który przetrwa próbę czasu. Twór, który tu powstał, przypomina postrzępioną linę, która pęknie, gdy ktoś szarpnie nią za mocno, co do tego nie mam wątpliwości.

– Co więc poczniemy, gdy nadejdzie ów Czarne Słońce? Jak stawimy mu czoła?

Nathair rozejrzał się dookoła. Stali sami, w sporej odległości od innych, ale mimo to zniżył głos, gdy rzekł:

– Cesarstwo! Musi powstać cesarstwo! Te ziemie muszą zostać zjednoczone, by móc odpowiedzieć siłą na nadejście Asrotha. Dopóki Ziemie Wygnanych rządzone są przez bandę kłócących się dzieciaków, dopóty nie mamy na to szans. Cesarstwo z armią zbudowaną na podobieństwo pochodu mrówek, której wojownicy walczą jak jeden, by pokonać każdego wroga na swej drodze. Zrobię wszystko, by mój ojciec ujrzał prawdę. Z popiołów jego marzenia wyrosną nowe, a ja poświęcę całe życie, by zobaczyć, jak zamienia się w rzeczywistość.

Rozdział dwudziesty pierwszy

CORBAN

Słońce nikło już za horyzontem, gdy Corban ostrożnie wyszedł zza drzew otaczających chatę Briny. Spomiędzy pni olch dobiegał plusk strumyka, a nad jego głową szeleściły liście. Poza tym panowała całkowita cisza.

Ona jest tylko uzdrowicielką, powtórzył sobie po raz kolejny od chwili, gdy rozstał się z towarzyszami i skierował ku chatce. A w ogóle to jak ja dałem się do tego namówić?, pomyślał, ale wtedy przypomniał mu się szyderczy uśmiech Rafe'a. Nabrał więc tchu, odepchnął strach i wyjrzał zza drzewa na chatę Briny.

Jej ściany wzniesiono z plecionki obrzuconej gliną, a dach pokrywała zielona darń. Z pojedynczego komina ku ciemniejącemu niebu biła cieniutka strużka dymu. W otwartym oknie migotało światło, a ciepły, pomarańczowy blask stawiał czoła półmrokowi.

Niespodziewanie blask przesłonił cień przechodzącej postaci. Corban znów schował się za drzewem i wstrzymał oddech. Policzył do pięćdziesięciu i zdobył się na odwagę, by wyjrzeć ponownie.

Brina musi być w izbie, w której płonie ogień, pomyślał. Wystarczy więc, że wślizgnę się przez któreś z ciemnych okien, złapię coś i w nogi! Nie tracąc przy tym duszy, o ile to możliwe.

Wzdrygnął się.

Pośpiesznie pokonał kilkanaście kroków, dzielących go od drzewa do ściany domu, depcząc po drodze trawę i dzikie kwiaty,

i skulił się pod oknem. Odczekał chwilę, nabrał odwagi, po czym ostrożnie zbadał okiennice. Ku jego wielkiej uldze okazało się, że są otwarte. Pośpiesznie przelazł przez parapet i cichutko opuścił się na podłogę.

Po przeciwnej stronie izdebki ujrzał niewielkie drewniane łóżko. Obok niego stał niski stolik, na którym walały się jakieś ciemne przedmioty, nierozpoznawalne w mroku pomieszczenia. Widział wąską stróżkę światła, wnিকającego przez szczelinę pod drzwiami, znajdującymi się na przeciwnej ścianie.

Pochylony, przemknął bezszelestnie przez pokój, przypadł do stolika i złapał pierwszy przedmiot, którym okazał się kościany grzebień. Pośpiesznie wepchnął go pod koszulę.

– Kradziej! – wychrypiał jakiś głos za jego plecami.

Corban odwrócił się błyskawicznie. Na podłodze załomotały czyjeś stopy i nim chłopak zmusił się do zrobienia choć kroku, drzwi stanęły otworem i izbę zalało światło. Na progu stała Brina.

Corbanowi zrobiło się jednocześnie gorąco i zimno. Na jego czole pojawiły się krople potu.

– Czego tu szukasz? – odezwała się kobieta cichym, ale przerażającym głosem.

Corban otworzył usta, ale nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Coś poruszyło się przy postaci uzdrowicielki. Chłopak zmrużył oczy i nagle uświadomił sobie, że to wielki, czarny kruk, który podskakiwał na żerdzi obok drzwi.

– Kradziej! Obcy! Kradziej! Obcy! – krakało ptaszysko bez ustanku, aż Brina pogładziła je po zmierzwionych piórkach i powiedziała:

– Dziękuję, Craf.

Kruk powoli uspokajał się, aż wreszcie zamilkł, ale nadal podskakiwał to na jednej nóżce, to na drugiej, a jego czarne oczka śledziły przybysza z podejrzliwością.

– Dobrze, chłopcze. Teraz wyjaśnij mi, co porabiasz w moim domu.

– Ja... Jest mi strasznie przykro! – wypalił Corban.

– Ja nie pytałam, jak się czujesz – warknęła uzdrowicielka. – Chcę. Wiedzieć. Czego. Tu. Szukasz.

Z każdym słowem podchodziła bliżej, aż stanęła niemalże twarzą w twarz z nieoczekiwanym gościem, który zrobił krok w tył i natrafił na łóżko. Próbował coś powiedzieć i jakoś wytłumaczyć swą śmiałość, ale wykrztusił tylko ochryple:

– Próba...

– Teraz to brzmisz jak mój kruk – oznajmiła uzdrowicielka.

– Śmierć – mruknął ptak, na co chłopak pisnął z przerażenia.

– Powoli, Craf. Nie ma sensu pochopnie sięgać po stosunkowo permanentne rozwiązania – rzekła Brina i wbiła w chłopaka wzrok. – No i?

– To tylko próba – zdołał wykrztusić Corban. Oddychał głęboko, tak jak uczył go Gar, walcząc z obezwładniającym go atakiem paniki.

– Wyjaśnij mi to – rozkazała uzdrowicielka.

Corban spełnił więc jej wolę. Z początku szło mu opornie i nie mógł się wysłowić, ale już po chwili słowa popłynęły wartkim strumieniem. Brina stała z założonymi ramionami i słuchała o tym, jak opowiada o swoim żrebaku, o Rafie, mieczu ćwiczebnym i wreszcie o próbie odwagi. Gdy skończył, zapadła cisza. Chłopak patrzył na Brinę, a ona na niego, stukając stopą o podłogę.

– Śmierć – wychrypiał kruk, wpatrując się złowieszczo w Corbana, który przełknął głośno ślinę.

– Raczej nie, mój krwiożerczy przyjacielu – powiedziała w końcu kobieta. – A przynajmniej nie tym razem. Pytanie brzmi jednak, co mam teraz począć?

– Żle! Żle! Żle! – wrzasnął kruk i znów zaczął przeskakiwać z jednej nogi na drugą.

– Tak, masz rację, Craf. Nasz gość postąpił źle i musi teraz odpokutować. Zgadzasz się ze mną, chłopcze, nieprawdaż?

Corban niepewnie pokiwał głowę. Brina roześmiała się.

– Nie martw się, chłopcze, nie zamienię cię w ropuchę ani też nie odbiorę ci duszy. Nie spodziewaj się niczego tak dramatycznego. Myślałam raczej o przydzieleniu ci jakiejś roboty.

– Roboty? – powtórzył Corban.

– Tak, roboty. Nie jesteś aby cofnięty w rozwoju, co? – Brina zmarszczyła brwi, pochyliła się ku niemu i wbiła w niego wzrok.

Chłopak pokręcił głową.

– Dobrze więc. Pomyślmy, czym mógłbyś się zająć. Zbieranie ziół, roślin, korzeni oraz wszelkich innych rzeczy potrzebnych uzdrowicielce, na początek. No i mógłbyś też pomóc mi w sprzątanii. Mam naprawdę mnóstwo spraw na głowie i często nie starcza mi na to czasu.

Corban wpatrywał się w nią.

– No więc? – warknęła uzdrowicielka. – Jesteś gotów odpracować to okropne zamieszanie, które wywołałeś?

Chłopak pokiwał głową i wykrztusił:

– Tak.

Nie posiadał się z radości, że nie straci życia, nie zostanie skazany na wieczne tortury ani też nie spędzi lat, które mu zostały, skacząc i łapiąc muchy.

– Dobrze. Staw się więc tu jutro w południe, a teraz lepiej już idź. Dość zamieszania jak na jeden wieczór.

Corban rozejrzał się w poszukiwaniu wyjścia.

– Tym razem może skorzystaj z drzwi – poradziła mu uzdrowicielka.

Chłopak pokiwał głową i pozwolił się wyprowadzić, ale gdy przekroczył próg, zatrzymał się, pogmerał przez moment pod koszulą, wyciągnął kościany grzebień i podał go Brinie. Ta spojrzała na przedmiot i po chwili pokręciła głową.

– Wystarczy, jak mi go jutro oddasz – rzekła.

– Oddam – obiecał chłopak. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się.

– Dziękuję! – bąknął.

– No, uciekaj już! Precz z tobą! – warknęła uzdrowicielka.

Corban zdołał zrobić kilka kroków, nim opuściły go resztki opanowania i zerwał się do biegu. Z bijącym mocno sercem wpadł między olchy. Jakaś postać zastąpiła mu drogę. W ostatniej chwili rozpoznał Cywen, która rzuciła się na niego i objęła go mocno.

– Ależ ja się bałam o ciebie! – szepnęła.

– Nie było potrzeby! – Chłopak wyszczerzył zęby.

Razem powrócili do reszty grupy. Dath i Edana podbiegli do nich, a Rafe i Crain powoli podążyli za nimi.

– Proszę, oto nasz bohater! – zarżał Rafe, który w jednej ręce trzymał drewniany miecz, a w drugiej dzbanek *usque*. – Zaraz, a może żaden z niego bohater? Może po prostu posiedział sobie chwilę w lesie i wrócił z dumną miną? Skąd mam mieć pewność?

– Kazałeś mu przynieść trofeum – rzekł Crain.

– Racja, właśnie – przypomniał sobie Rafe. – No? Gdzie to masz?

Corban sięgnął pod koszulę, powoli, dla uzyskania lepszego efektu, po czym złapał kościany grzebień i wyciągnął go zamaszystym, teatralnym gestem. Trzymał go wysoko, by wszyscy mogli mu się przyjrzeć, a na jego twarzy malowała się ogromna satysfakcja. Dath westchnął z podziwem, Cywen zasłoniła dłonią usta, a Edana uśmiechnęła się do niego.

– Przecież ten grzebień nie należy do wiedzy, a do twojej siostry! – Rafe skrzywił się. – Dała ci go przed chwilą, gdy podbiegła do ciebie. Oboje dobrze to sobie zaplanowaliście. Myślicie, że dam się wam nabrać, przekłęci tchórze?

– To grzebień Briny! – upierał się Corban. – Zrobiłem to, co chciałeś. A teraz oddawaj mi mój miecz!

Rafe skrzywił się jeszcze bardziej i przeniósł spojrzenie z chłopaka na trzymany w ręku kij. Pociągnął łyk z dzbana i oddał go Crainowi.

– Jeśli go chcesz, to chodź i odbierz mi go – rzekł.

Nie, tylko nie to, pomyślał Corban. Znow poczuł przypływ strachu, zupełnie jakby lodowaty wąż, zwinięty w kłębek w jego żołądku, nagle rozprostował swoje sploty.

– Oddawaj mu ten miecz! – warknął Dath.

Rafe wykrzywił się pogardliwie i błyskawicznie, niemalże niedostrzegalnym ruchem, smagnął chłopaka na odlew w twarz.

Wtedy Corban uzmysłowił sobie, że zachodzi w nim jakaś gwałtowna zmiana. Lód stopił się w eksplozji gorąca, które rozlało się rumieńcem na jego obliczu i zmusiło go, by zacisnął pięści. Rzucił się niezdarnie do ataku, w jednej chwili zapominając o wszystkim, czego nauczył go Gar, i uderzył przeciwnika pięścią w twarz.

Ruchy Rafe'a były ociężałe, ale zdołał zrobić unik i pięść Corbana przeszła pustkę. W tej samej chwili zamachnął się mieczem ćwiczebnym i trafił Corbana w kolano, posyłając go na trawę. Chłopak poderwał się ze zwierzęcym warknięciem, zaskakując napastnika zarówno zajadłością, jak i szybkością. Złapał Rafe'a, uniósł go w powietrze i cisnął nim o ziemię. Stał przed nim przez moment, a wtedy przez huk krwi w jego uszach przedarł się nowy dźwięk. Rozejrzał się i uświadomił sobie, że to śmiech. Dath rżał głośno, pokazując palcem wstrząśniętego Rafe'a, a Cywen i Edana szybko do niego dołączyły. Jedynie Crain nie brał udziału w ogólnej wesołości, a na jego twarzy malowała się wściekłość.

Naraz Corban usłyszał szelest, spojrzał tam, gdzie stał Rafe, i odruchowo wykonał unik. Drewniany miecz ze świstem przeciął powietrze w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego głowa. Chłopak odruchowo rzucił się na Rafe'a, ale tym razem szczęście już mu nie dopisało. Miecz treningowy trafił go w prawe ramię. Stracił równowagę, a jego przeciwnik wykorzystał moment i rąbnął go w twarz, tuż pod okiem. Kolana chłopaka zamieniły się w galaretę i runął na ziemię, ogłuszony eksplozją własnego bólu. Rafe uśmiechnął się wzgardliwie, uniósł drewniany miecz i podszedł bliżej.

Wtedy tuż obok jego buta w ziemię wbił się nóż.

– Ani kroku dalej! – wycodziła Cywen, trzymając kolejny nóż, gotowa do rzutu.

– Nie ośmielisz się! – zadrwił Rafe.

– Zrób jeszcze krok, a się przekonasz – odparła dziewczyna. Jej oczy błysnęły w blasku księżyca.

Przez moment trwała cisza, aż Rafe rozluźnił się i parsknął śmiechem.

– Siostrzyczka znów przysłała ci z pomocą, tchórze – powiedział do Corbana, a potem odwrócił się i odszedł, chwiejąc się lekko. Crain podążył za nim.

– Łap, Ban – rzekł Dath i wyciągnął rękę, by pomóc przyjacielowi wstać.

– Upadło ci – powiedziała Edana i podała mu grzebień uzdrowicielki.

Chłopak wziął go ze smutnym uśmiechem.

– Pokaż mi swą twarz – rzekła księżniczka.

Corban skrzywił się, gdy jej palce delikatnie dotknęły jego oblicza.

– Przykro mi, Ban, proszę, nie złość się na mnie. Bałam się, że on cię naprawdę skrzywdzi! – odezwała się Cywen.

– Nic się nie stało – odparł. Był zły na siostrę, ale jeszcze bardziej wściekał się na siebie za to, że znów dał się pobić. Jediną pociechą było to, że tym razem podjął walkę i zdołał choć raz powalić Rafe'a. Co więcej, twarz badającej go Edany znajdowała się niezwykle blisko jego własnej, przez co trudno mu było skupić się na czymkolwiek innym.

– Chyba przeżyjesz – rzekła Edana z uśmiechem.

– Wspaniale – oznajmiła Cywen z sarkazmem. – Może zastanów się nad karierą uzdrowicielki, co?

* * *

Po porannym treningu, gdy Corban pił chciwie z beczki z wodą, Gar zapytał go o siniak na policzku.

– To robota Rafe’a. Posprzeczaaliśmy się zeszłego wieczoru – odparł Corban i opisał całe zdarzenie, łącznie z próbą odwagi, grzebieniem Briny oraz bójką. – Wiem, że przegrałem – ciągnął. – Ale przynajmniej nie stałem jak kołek, zbyt przerażony, by choć się ruszyć. No i raz znalazł się na ziemi!

– A to już coś, chłopcze. Przegrana w walce, póki jesteś nieletni, najczęściej kończy się posiniaczoną gębą i urażoną dumą. Przegrana po Długiej Nocy zazwyczaj oznacza, że nie żyjesz. Z tego, co mówisz, tym razem podczas bójki czuleś nie strach, lecz gniew. Cóż, jeśli dopuścisz do tego, by gniew tobą zawładnął, zginiesz zapewne równie szybko jak wtedy, gdy rządzi tobą strach. Są ludzie, którzy potrafią walczyć oślepieni czerwoną mgiełką furii. Znałem kiedyś kogoś takiego. Mam wrażenie, że to dzięki dzikiej furii wychodził cało z każdej sytuacji. O wiele bardziej prawdopodobne jest jednak to, że gniew zawładnie twoim umysłem i odbierze ci zarówno zręczność, jak i umiejętność logicznego myślenia.

– To jak mam zrobić, żeby wygrać? Przecież człowiek, który niczego nie odczuwa, nie jest chyba człowiekiem!

– Słusznie, chłopcze, ale mi przez cały czas chodzi o kontrolę. O to, kto nad czym panuje. Wszyscy ludzie czują strach oraz złość. Musisz ich użyć! Wykorzystać je! Okiełznać niczym konia pociągowego, by czerpać z nich siłę, ale nie możesz pozwolić, by zaćmiły ci osąd i przejęły władzę nad ciałem. Rozumiesz?

– Tak. – Corban powoli pokiwał głową. – Znaczy się chyba tak.

– Dobrze. Bo dopóki kontrolujesz emocje, dopóty nadal jesteś w stanie myśleć, a ta umiejętność może cię ocalić przed śmiercią. Wśród umiejętności godnych prawdziwego wojownika jest również zdolność oszacowania wyniku starcia, zanim rozpoczniesz walkę. Możesz pokonać Rafe’a?

– Jeszcze nie – burknął Corban. – Choć myślę, że po tym, co mi pokazałeś, z mieczem w ręku mam większą szansę. Tak czy owak nie miałem wyboru. Honor wymagał, bym się na niego rzucił.

– Zawsze jest jakiś wybór. Czasami udaje się wycofać tak, by nie ucierpiał na tym honor. Można toczyć pojedynkę słowami równie skutecznie jak mieczem czy pięściami. Wszak słowa same w sobie kryją moc. Tymczasem pamiętaj o jednym – dodał Gar, widząc przygnębioną minę chłopaka. – Rafe jest starszy i większy od ciebie, a do tego trenuje dłużej. Nieźle dałeś sobie radę. Problemem jest chyba tylko ta rana. Mama nie będzie z niej szczególnie zadowolona, co?

– Wiem – westchnął ze smutkiem Corban.

* * *

– Co ci się stało? – spytała Gwenith z dłońmi opartymi na biodrach, gdy tylko Corban zasiadł do śniadania. Ojciec również wbił w niego wzrok. Cywen nie odrywała oczu od swej miski owsianki.

– Przewróciłem się, mammo. Wygląda źle, ale nie boli aż tak bardzo.

– Mam nadzieję – powiedział Thannon. – Bo w istocie wygląda to źle.

Wokół paskudnego skaleczenia na kości policzkowej Corbana wyrósł spory siniak, a brązowo-czarny strupek nie zarósł jeszcze całej ranki. Gwenith położyła na stole talerz miodowych ciastek, a potem delikatnie dotknęła policzka syna.

– Nie martw się, mammo, nic mi nie będzie – mruknął chłopak.

– Przewróciłeś się, co? – spytała.

– Tak, mammo. Łaziliśmy z Dathem po kamieniach na plaży. Były mokre, no i się poślizgnąłem.

Gwenith pogładziła go po twarzy.

– Musisz bardziej na siebie uważać.

– Dobrze, mammo – odparł Corban i przez chwilę nie unosił głowy znad talerza, aż poczuł na sobie wzrok ojca.

– Przydałaby mi się pomoc w kuźni – rzekł Thannon. – Tylko rano.

Corban pokiwał głową i wkrótce obaj szli po brukowanych uliczkach Dun Carreg. Po dotarciu do kuźni bez słowa przystąpili do zwykłych czynności. Buddai wyciągnął swe wielkie cielsko wzdłuż progu. Chłopak ułożył opał tak, by temperatura w palenisku stopniowo rosła, a potem zabrał się za rozpalać ognia. Uderzał w krzemień, by iskry padały na stosik rozpałki – gałązki, słomę, trochę suchego mchu i kawałki drewna. Gdy stosik wreszcie zajął się ogniem, Corban delikatnie napał na miech. Podsycone podmuchem płomienie buchnęły żarłocznie.

Wówczas przystąpili do pracy. Jak co dzień nadawali surowemu żelazu kształty, które miały przetrwać stulecia.

Jest w tym coś satysfakcjonującego, uznał Corban, waląc młotkiem w miejsca, które wskazywał mu ojciec. Strzelające iskry z sykiem wgryzały się w jego skórzany fartuch. Następnie Thannon wsunął kawałek uformowanego metalu do pełnego wody cebra, z którego z sykiem buchnęły kłęby pary.

Czas mijał szybko, a ojciec i syn pogrążyli się w dobrze sobie znanej rutynie. Gdy Corban włożył do wody kolejny, wciąż gorący fragment żelaza, a wewnątrz kuźni ponownie wypełniła para, w drzwiach pojawiła się czyjaś sylwetka. Był to Vonn, syn Evnisa, który ostrożnie przestąpił nad cielskiem psa.

– Dzień dobry! – powitał Thannona.

– Witaj – odparł mężczyzna.

– Kowalowi mojego ojca zaczęło brakować oleju – powiedział Vonn. – Wysłał mnie, bym spytał, czy nie można by trochę od ciebie kupić.

– Mam go sporo – rzekł Thannon i wyciągnął dwa wielkie wiadra, które zacopowano drewnianymi pokrywkami, by olej się nie rozlewał.

– Wielkie dzięki – rzekł Vonn i sięgnął do sakiewki, ale ojciec Corbana podniósł rękę.

– Spotkam się później z twoim ojcem i wtedy ustalimy cenę.

Vonn pokiwał głową i schował monety do sakiewki, a potem podniósł wiadra. Gdy wychodził z kuźni, zatrzymał się na progu i odwrócił się ku Corbanowi.

– Przykro mi za to, co się stało zeszłego wieczoru. Słyszałem, co zrobił Rafe – rzekł i skinieniem głowy wskazał na jego siniaki. – To nie powinno było się wydarzyć. Rafe za tobą nie przepada, ale wiedz, że on nie zawsze się tak zachowuje.

Corban wbił wzrok w podłogę, a Vonn wzruszył ramionami i wyszedł.

W kuźni przez dłuższą chwilę panowała cisza, aż chłopak uświadomił sobie, że coś podnosi go w powietrze, a potem wpycha mu głowę do koryta z wodą. Szamotał się i walczył, ale Thannon trzymał go w żelaznym uścisku. W końcu wyszarpnął go z wody, aż strzeliły srebrzyste strugi.

– Przewróciłem się, mamó. – Thannon szyderczym tonem przedrzeźniał poranne wyjaśnienia Corbana, a potem znów wsadził mu głowę do koryta. Wyciągnął go po chwili i popchnął mocno, a chłopak stracił równowagę i padł na plecy z głośnym hukiem.

Znów zapadła cisza. Słuchać było tylko kapanie wody, ściekającej ze splątanych włosów.

– Twoja mama nie zasługuje sobie na takie traktowanie – warknął Thannon. – Bez względu na przyczynę, kłamstwa to oręż tchórza. Są niczym trucizna i zsyłają śmierć! Zabijają zaufanie, Ban! Niszczą honor, niweczą szacunek! Istnieją dwie rzeczy! – Uniósł dwa palce. – Dwie: prawda oraz odwaga. Elyon dał nam możliwość wyboru, chłopcze. Wybierz te dwie rzeczy, a ludzie zawsze będą cię szanować. Może nie jest to najłatwiejsza droga, ale... – Thannon wzruszył ramionami i rozparł się na krześle. – A teraz powiedz mi, dlaczego skłamałeś.

Corban nabrał tchu.

– Bo się bałem. Bałem się i wstydzilem. I nie chciałem, żebyś uznał mnie za słabeusza i tchórza.

– Powiedz mi o wszystkim. – W głosie Thannona brzęknęła stal.

Chłopak opowiedział więc ojcu całą historię, od chwili, kiedy Rafe odebrał mu miecz ćwiczebny na Wiosennym Festiwalu, do ich wczorajszej konfrontacji. Gdy skończył, uniósł wzrok i ujrzał, że Thannon siedzi nieruchomo i wpatruje się w niego.

– Czy ty naprawdę myślisz, że ja czy mama kochalibyśmy cię mniej, gdybyśmy znali prawdę?

– Czy byście mnie mniej kochali? Nie, nie sędzę. Ale wydaje mi się, że mielibyście o mnie gorsze zdanie. Bo czemu by nie? Ja sam sobą gardzę.

– Cóż, chłopcze, chyba czas na lekcję. Nauczę cię czegoś o potędze słów – rzekł Thannon i wyszedł z kuźni.

Corban ruszył za nim, a Buddai zerwał się, żeby dotrzymać im towarzystwa.

Ojciec szedł szybko po brukowanych kamieniami ulicach fortecy.

– Dokąd idziemy? – spytał chłopak, który musiał podbiegać, by za nim nadążyć. Miał złe przecucia, a w żołądku znów czuł zimno. Gdy mijali stajnie, mignęła mu Cywen, a gdy zerknął przez ramię, dostrzegł, że jego siostra oraz główny stajenny podążają za nimi.

Ulice wiły się i skręcały, aż minęli salę biesiadną. Ludzie oglądali się za nimi, zwłaszcza za Corbanem, którego włosy nadal ociekały wodą. Wreszcie Thannon zatrzymał się przed wielką bramą, a chłopak uświadomił sobie nagle, dokąd dotarli.

Stali przed domem Evnisa.

Większość wojowników przebywała akurat na Jarzębinowej Łące i na dziedzińcu zastali tylko jednego. Był to człowiek, który walczył z Tullem podczas Wiosennego Festiwalu. Stał wsparty o jedną z kolumn bramy, ale na widok Thannona wyprostował się i złapał mocniej włócznię. U nasady nosa, w miejscu, gdzie został złamany przez Tulla, biegła czerwona pręga.

Za jego plecami znajdował się niewielki dziedziniec, a na nim krótkie schody, prowadzące do masywnej wieży. Corban wyjrzał zza sylwetki ojca i dostrzegł Evnisa, który stał na schodach

i rozmawiał z uzdrowicielką Briną.

Strażnik zastąpił im drogę.

– Co cię tu sprowadza? – spytał, mierząc Thannona uważnym spojrzeniem.

– Chcę rozmawiać z jednym z waszych domowników. Chodzi o łowczego Helfacha.

Brina wsiadła na koń i wyjechała przez bramę. Corban usiłował schować się przed nią za plecami ojca. Ewnis zauważył ich obecność i ruszył ku bramie, a chwilę później dogonili ich Cywen oraz Gar.

– Co wy ty robicie? – szepnęła siostra Corbanowi do ucha.

– Ojciec chce mnie nauczyć czegoś o potędze słów – mruknął w odpowiedzi.

Cywen spojrzała na niego pytająco, a Gar uśmiechnął się lekko.

– Cofnij się – przykazał strażnikowi Ewnis, podchodząc do nich, a następnie zwrócił się do kowala: – Witaj, Thannonie. Przybyłeś w sprawie zapłaty za olej?

– To może poczekać – odparł ojciec Corbana. – Najpierw chciałem porozmawiać z twoim łowczym. Mamy sprawę do omówienia.

– Naprawdę? A więc proszę bardzo – rzekł Ewnis i posłał strażnika po łowczego, a sam wszedł do wieży.

Chwilę później pojawił się Helfach. Za jego plecami szedł wojownik ze złamanym nosem, a u boku wysoki, dobrze zbudowany ogar. Thannon wyszedł im naprzeciw, a Corban niechętnie podążył za nim.

Helfach był wysokim człowiekiem, choć nie dorównywał wzrostem Thannonowi, miał szerokie bary i wąską talię. Z szerokiej, płaskiej twarzy spozierały blade, wodniste oczy.

– Przyszedłeś dowiedzieć się, który z moich psów rozpocznie kolejne łowy? – spytał przyjaznym tonem, poklepując szarego ogara po karku. – Ja postawiłbym na tego tutaj. Nazywa się Braen.

– Nie, Helfachu. Chcę porozmawiać o Rafie.

– A o czym konkretnie?

– Wygląda na to, że miał sprzeczkę z moim synem – rzekł Thannon, po czym złapał Corbana za ramię i pociągnął ku sobie, by łowczy ujrzał sińca na twarzy.

Mężczyzna przyjrzał się mu, ale wzruszył ramionami.

– No i?

Thannon nabrał tchu i mówił dalej:

– To nie pierwsza taka sytuacja. Twój syn jest starszy od mojego niemalże dwa lata i od prawie dwóch lat ćwiczy na Jarzębinowej Łące, podczas gdy Ban nie był tam jeszcze ani razu!

Łowczy nie odpowiedział. Wpatrywał się w kowala beznamiętnym spojrzeniem.

– Twój syn przynosi hańbę sobie i swemu rodowi. To powinno się zakończyć!

– A ty powinieneś trzymać się z daleka od dziecięcych utarczek – rzekł Helfach i odwrócił się. Chciał odejść, ale ręka Thannona wystrzeliła naprzód i zacisnęła się na jego ramieniu.

Mężczyzna warknął i uwolnił się szarpnięciem.

– Nie dotykaj mnie, kowalu! Myślisz sobie, że skoro twój pies raz przewodził łowom, będziesz mógł tu przychodzić, na dwór Evnisa, i narzucać mi swoją wolę! – Splunął na ziemię niedaleko stóp Thannona. – Wynocha stąd! Wracaj do swoich młotów i swego popiołu!

Buddai warknął głucho, a Thannon zamachnął się i rąbnął Helfacha w twarz. Ten zatoczył się i padł na jedno kolano.

Wybuchło ogromne zamieszanie. Ogary skoczyły na siebie i potoczyły się, splecione, kłapiąc szczękami i charcząc. Helfach runął na Thannona i rąbnął go pod żebrami. Kowal stęknął. Corban ujrzał kątem oka gwałtowny ruch, a potem rozległo się głośne łupnięcie. Gdy się odwrócił, zobaczył strażnika ze złamanym nosem leżącego na ziemi. Gar, który zdążył już odebrać mu włócznię, opierał stopę na jego piersi.

Chłopak znów zwrócił się ku ojcu i spostrzegł, że ten pochwycił Helfacha za koszulę oraz spodnie, uniósł go nad głowę i ignorując

jego ciosy, cisnął nim o ścianę. Łowczy osunął się na ziemię. Gdy zaczął się podnosić, Thannon przypadł do niego i wyrznął go pięścią w szczękę. Tym razem mężczyzna już się nie podniósł.

Corban napełnił wiadro wodą i oblał szalejące psy. Thannon pochylił się i odciągnął Buddaia za grubą obrozę. Szary ogar przypadł do Helfacha i trącił go nosem. Wtedy z wieży wypadł Ewnis i rozejrzał się z niedowierzaniem.

– A co to wszystko ma znaczyć? – spytał ostro.

– Przykro mi! – Thannon zmarszczył brwi. – Nie chciałem, by do tego doszło.

Zapadło milczenie.

– Oto potęga słów – mruknął Corban, a Gar odchylił głowę i ryknął śmiechem.

* * *

Corban zastukał do drzwi chatki. Brina otworzyła mu, spojrzała na słońce i zaprosiła go do środka.

– Witaj – powiedziała, a chłopak sięgnął pod koszulę, wyciągnął grzebień i położył go na stole.

– Dzięki – bąknął.

– Kradziej! – wrzasnął mu ktoś prosto do ucha.

Corban aż podskoczył. Odwrócił się i ujrzał Crafa, który siedział w ciemnej alkwie. Jego oczka lśniły niczym koraliki, kiedy przeczesywał dziobem pióra, czarne jak węgiel.

– Nie, Craf, mylisz się. Ten chłopiec właśnie oddaje mi grzebień, a więc słowo „kradziej” jest nie na miejscu. „Pożyczacz” byłoby stosowniejsze.

– Pożyczacz – powtórzył kruk.

– O, właśnie. Przydał ci się mój grzebień? – Brina zwróciła się do gościa.

– Nie, raczej nie – odparł Corban, nie spuszczać wzroku

z ptaka.

– Sądziłam, że był ci potrzebny jako dowód?

– Tak, ale niektórzy ludzie wierzą tylko w to, w co chcą uwierzyć
– rzekł chłopak i dotknął swego policzka.

– Cóż, rozumiem. Tak czy owak, skoro już tu jesteś, znajdziemy ci coś do roboty. Znasz się na roślinach?

Corban spojrzał na nią bez zrozumienia.

– Na roślinach, chłopcze, roślinach! Znasz różnicę między werbeną a naparstnicą? Między koniczyną a piołunem?

– Piorunem?

Brina westchnęła z rozdrażnieniem.

– Na nic – mruknął kruk.

– Dziś pokażę ci co i jak. Mam nadzieję, że została ci jakaś klepka w tej poobijanej czaszce, bo następnym razem będziesz już musiał zrobić to sam.

– Następnym razem? Sam?

– Tak, chłopcze! – wrzasnęła Brina. – Następnym razem! Nie sądzisz chyba, że jedno króciutkie popołudnie wystarczy, by zadośćuczynić za włamanie do mego domu i próbę rabunku? Co?

– Nie, nie!

– Dobrze – warknęła uzdrowicielka, a Craff kłapnął głośno dziobem, aż chłopaka przeszył dreszcz. – I przestań powtarzać to, co powiedziałam. Zaczynasz niepokojąco przypominać mojego kruka.

– Niepokojąco – rzekł ptak.

Uzdrowicielka wraz z chłopakiem opuścili las olchowy, po czym Brina zaczęła pokazywać mu rozmaite rośliny. Ani na moment nie przestając o nich mówić, nachylała się i wyciągała je z ziemi bądź obrywała im listki.

– Oto pięciornik gęsi – powiedziała, podając roślinkę Corbanowi, który ostrożnie umieścił ją w konopnej torbie, otrzymanej od uzdrowicielki. – Choć nie ma wiele wspólnego z gęsią. Zapamiętaj sobie, że ma żółte płatki, a teraz przyjrzyj się liściom. Są zielone,

ale widzisz te małe włoski? Dzięki nim liście wydają się powleczone srebrem.

– Widzę – rzekł Corban i pokiwał głową z mądrą miną, udając zainteresowanie.

– A to psianka. Ma czerwone jagody i niewielkie, fioletowe kwiatki. Doskonały na takie stare kości jak moje.

– Co porabiałaś w domostwie Evnisa? – spytał Corban, który wreszcie zebrał się na odwagę, by zadać jedno z wielu prześladowających go pytań.

– Jego żona jest chora. Ciężko chora. Przywiozłam mu nasiona maku, by mógł ulżyć jej cierpieniom. I wciąż się nad tym zastanawiam – dodała Brina, jakby mówiła do siebie. – To dziwne, ale wyglądała lepiej. Nie myśl czasem, że doszła do siebie, ale miała się lepiej niż podczas mojej ostatniej wizyty. Ludziom w jej stanie raczej się to już nie zdarza.

– Och – rzekł Corban. – A już myślałem, że przyjechałaś do fortecy, by obejrzeć tego banitę z lasu Baglun.

– Bo tak było. Ale zazwyczaj udaje mi się odwiedzić więcej niż tylko jedną osobę, wiesz? Jestem w końcu uzdrowicielką i staram się leczyć ludzi, gdy tylko mogę.

– A więc wciąż żyje?

– Tak, chłopcze, póki co. I o ile zdoła uniknąć kolejnego noża wbitego w plecy. Zawsze zadajesz tyle pytań?

– Mama mówi, że tak – odparł szybko.

– Cóż, chyba nie ma w tym nic złego. Trochę denerwujący nawyk, ale ujdzie.

Czas płynął, a oni wędrowali po lesie i łąkach. Brina pokazywała Corbanowi rośliny i przekazywała wiedzę o ich właściwościach, a chłopak wykorzystywał każdy moment, gdy stara uzdrowicielka nabierała tchu, by zadawać jej pytania, niekoniecznie związane w jakikolwiek sposób z roślinami. W końcu wrócili do chaty, a tam Brina zagoniła Corbana do zamiatania. Minęła dłuższa chwila, nim chłopak pojął, o co w tej czynności chodzi, ale nawet to nie

powstrzymało jego dociekliwości.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Brina kazała Corbanowi iść do domu.

– Kiedy mam wrócić? – zapytał.

– Niech się zastanowię. – Uzdrowicielka postukała długim, kościstym palcem w blat stolika. – Może być co siódmy dzień. Zaczekajmy, aż zbierze się więcej kurzu, a ja nabiorę sił na kolejną lawinę pytań.

Corban uśmiechnął się niepewnie, nie wiedząc, czy Brina żartowała czy też mówiła poważnie. Skinął jej na pożegnanie i ruszył w drogę powrotną. Za jego plecami rozległ się trzepot skrzydeł Crafa, który wskoczył na ramię stojącej w progu uzdrowicielki.

– Denerwujący! – zaskrzeczał kruk.

– Tak, trudno zaprzeczyć – dobiegła go odpowiedź Briny. – Ale w przyjemny sposób.

Rozdział dwudziesty drugi

KASTELL

Kastell przeszedł przez otwartą bramę Jerolin i znalazł się na rozległych równinach, które otaczały miasto. Błonia powoli pustoszały – pororce zwinięto, a po niektórych namiotach zostały tylko splachetki pożółkłej trawy. Wielu uczestników narady wyjechało do domu już poprzedniego dnia.

Do domu, pomyślał.

Dziwna myśl. Opuścił Mikil zaledwie kilka księżyców temu, ale tyle się przez ten czas wydarzyło, że miał wrażenie, iż upłynęły całe lata.

Maquin beknął głośno.

– Zawsze dobrze jest zjeść śniadanie, chłopcze, a to było najlepsze od dawna, jak sędzę. Pora szykować się do drogi powrotnej do domu, co? Nie mam ochoty znaleźć się w siodle jako ostatni i dać twemu kuzynowi powodu do marudzenia.

Kastell parsknął. Stosunki z Jaelem pozostawiały wiele do życzenia. Od czasu walki z kuzynem trzymał się z daleka od dziedzica ćwiczebnego, ale mimo to Jael nadal robił wszystko, co mógł, by podkopać jego pozycję. Jego drwiny i szyderstwa tylko przybrały na sile i Kastell z największym trudem panował nad sobą.

– Znów wyjechał wczesnym rankiem, by zapolować ze swoim nowym przyjacielem, księciem Tenebralu. – Kastell charknął

i splunął. – Dobrana z nich para.

– Dajże spokój, chłopcze – zaśmiał się Maquin. – Zupełnie jakbyś był zazdrosny. Zresztą ksiązę Nathair nie jest wcale taki zły, skoro otacza się ludźmi takimi jak Veradis.

– Cóż, trudno zaprzeczyć.

Po spotkaniu na leśnej polanie spędzili z młodym wojownikiem trochę czasu, który zazwyczaj umilali sobie bukłakiem wina, i Kastell uświadomił sobie, że w jego życiu pojawiło się nowe, osobliwe doznanie – właśnie zawierał przyjaźń.

Skierowali się ku namiotom.

– I co teraz? Wracamy do Mikil? – Maquin spojrzał na Kastella.

– A niby dokąd?

– Jest wiele miejsc, które z otwartymi ramionami powitają człowieka będącego w stanie zabić olbrzyma!

– Przyłączenie się do Gadrai to kuszący pomysł, o ile jedynym kryterium wstępnym jest zabicie olbrzyma. Niemniej jeśli musiałbym potem znów walczyć z tymi Hunen, to chyba już wolę obracać się w towarzystwie Jaela.

– Czyli wracamy na stare śmieci?

– Pozwól, że powtórzę pytanie. Jeśli nie tam, to dokąd?

– Nie mam w zwyczaju mówić innym ludziom, co mają zrobić – zaczął Maquin, ignorując parsknięcie Kastella – ale powrót do Mikil może źle się dla ciebie skończyć. Między tobą a twym kuzynem aż wrze, a z tego wynikną same kłopoty. Poważne kłopoty. Już nie jesteście dziećmi.

Kastell westchnął, ale nic nie odpowiedział. Nie mógł przecież temu zaprzeczyć. W milczeniu wrócili do obozowiska króla Romara.

Czeladź powoli zwijała namioty i pakowała je na konie juczne, gdy uszu Kastella dobiegł nowy dźwięk. Uniósł głowę i ujrzał niewielki oddział jeźdźców, który wypadł z lasu. Na ich czele galopował ksiązę Nathair, który przewiesił sobie przez siodło ustrzeloną sarnę. Tuż obok niego jechał Jael, który pożegnał się głośno z Nathairem i wjechał z hukiem do obozowiska Romara,

obdarzając po drodze Kastella pogardliwym uśmiechem.

Chłopak odwrócił głowę.

Od grupy łowczych odłączył się jeszcze jeden jeździec, który skierował się ku Kastellowi i Maquinowi. Był nim Veradis. Podjechał do nich z uśmiechem, zeskoczył z konia i puścił go wolno, by mógł poskubać trawę.

– Zbieracie się do odjazdu? – spytał.

– Tak. Wróciliście z tych łowów szybciej, niż zakładałem – rzekł Kastell. – Nie sądziłem, że Jael dotrze tu przed zakończeniem wszystkich prac.

– Nie przepada za ciężką robotą? – spytał Veradis.

– Uważaj na słowa – mruknął Maquin i rozejrzał się. – Nie zapominaj, gdzie jesteśmy.

Częściowo złożony namiot zasłaniał go przed wzrokiem pozostałych uczestników wyprawy, ale słyhać było głosy kilku z nich, którzy pracowali w pobliżu.

– Cóż, natomiast Nathair nieźle się dziś rano napracował, przynajmniej moim zdaniem. Nie dość, że ustrzelił sarnę, to jeszcze miał okazję nieco bardziej oczarować kilku królewskich synów.

– Naprawdę nazywasz to pracą? – spytał Maquin.

– Nathair nie szczędzi sił dla dobra swego królestwa. Wspiera dzieło ojca. Wiem, że robi to, co do niego należy, ale nudzi mnie to niepomernie. Nie przepadam za politykowaniem. – Veradis uśmiechnął się. – Już wolę polować.

– Za politykowaniem? – spytał Maquin.

– Nathair próbuje zdobyć więcej poparcia dla swego ojca. Byłeś przecież na naradzie. – Veradis zwrócił się do Kastella. – Opowiedziałeś Maquinowi o tym, co się tam działo?

– Pewnie – burknął młodzieniec.

Jego przyboczny przyjął rewelacje króla Aquilusa i doradcy Meicala z wielkim sceptycyzmem. On sam również nie był w stanie ukryć niedowierzania. Bogowie Asroth i Elyon, bractwa Kadoshim i Ben-Elim, słońca i gwiazdy. Doprawdy, trudno było w to wszystko

uwierzyć. Mimo to Kastell pamiętał, że czuł dziwne uniesienie, wręcz ekscytację, gdy słuchał fragmentów ze starożytnej księgi. A sprawy, o których traktowała, płaczące kamienie i białozmije... To się naprawdę wydarzyło.

– Ryzykowne teorie – powiedział zamyślony Maquin. – Asroth miały toczyć wojnę z Elyonem pośród nas? A ty? Wierzysz w to?

Szyję Veradisa oblał rumieniec.

– Mój król twierdzi, że tak jest, więc nie interesuje mnie nic innego.

– Nie chcemy bynajmniej urazić ciebie ani twego króla. – Maquin uniósł dłoń. – Niemniej posiadanie własnego zdania nie oznacza braku lojalności.

Veradis burknął coś pod nosem, a z jego ramion uszło napięcie.

– Aquilus to dobry król – powiedział powoli. – Jest mądry i sprawiedliwie włada Tenebralem, dłużej, niż ja stąпам po ziemi. Dopiero od niedawna przebywam w jego otoczeniu, ale mój ojciec, który jest krytycznie nastawiony do większości żyjących, zawsze go tylko chwalił. A jakby tego było mało, jest jeszcze Nathair. Jego znam dobrze i jestem gotów oddać za niego życie. Nathair wierzy, że te rzeczy w istocie mają miejsce, a więc tak bez wątplenia jest.

– No dobrze – rzekł Maquin. – Czekają nas więc ciężkie czasy. Miejmy nadzieję, że wysiłki księcia Nathaira przyniosą rezultaty.

– Tak – rzekł Veradis i odprężył się. – A co do Nathaira, powiedziałem mu, że zaraz wrócę. Chciałem się jeszcze z wami spotkać, nim wyjedziecie, i życzyć wam udanej podróży.

Kastell ścisnął nadgarstek Veradisa.

– Jeśli nasz sojusz wejdzie w życie, być może kiedyś razem wyruszymy do boju.

– Byłoby wspaniale – odparł młodzieniec. – Póki co jednak, miej oko na swego kuzyna. A ty trzymaj się z dala od kłopotów, siwowłasy!

Maquin wyszczerzył zęby.

– Martw się lepiej o własną skórę. Ja mam spore doświadczenie

w troszczeniu się o swoją.

Kastell odprowadził Veradisa wzrokiem.

Przez tyle lat nie miałem ani jednego przyjaciela, nie licząc Maquina, a teraz zawieram przyjaźnie wszędzie, pomyślał, po czym wzruszył ramionami i zabrał się za pakowanie.

– O, mamy go, chłopaki! – odezwał się jakiś głos za jego plecami.

Nim Kastell zdążył się odwrócić, ktoś złapał go za ramię, szarpnął ku sobie i grzmotnął pięścią w brzuch. Młodzieniec zgiął się wpół.

– Lepiej trzymaj się od tego z daleka, staru... uch! – usłyszał, choć w uszach mu dzwoniło.

Maquin z zaciśniętymi pięściami stał nad jakimś człowiekiem, ale biegli już ku niemu inni. Znał ich, kojarzył wszystkie twarze z otoczenia Jaela. Niektórzy wpadli na Maquina, a dwóch wyminęło siwowłosego wojownika i rzuciło się na Kastella. Chłopak uniknął pierwszego ciosu, uskoczył w bok i zdołał wyrznąć w szczękę jednego z napastników, który zaraz potem runął na ziemię.

Całkiem nieźle, pomyślał, ale wtedy ktoś złapał go za rękę od tyłu.

– Jael przesyła pozdrowienia – szepnął mu do ucha, a potem posypały się ciosy.

Świat się rozmazał, a z każdym kolejnym uderzeniem przed oczami Kastella eksplodowały nowe gwiazdy. Niespodziewanie rozległ się krzyk, a po nim odgłos, którego nie był w stanie pomylić z żadnym innym – zgrzyt miecza wyciąganego z pochwy. Uświadomił sobie, że ramiona, które go przytrzymały, znikły, a on sam leci na ziemię.

Upadł na kolana, które eksplodowały bólem, a potem powoli się osunął. Znów rozległy się krzyki, a Kastell zamrugał i otworzył oczy. Wszędzie dookoła widział buty, na ziemi leżało kilku ludzi. Jeden z nich podnosił się powoli. Chłopak znów kilkakrotnie zamrugał, by odzyskać klarowny obraz, i uświadomił sobie, że był

to Maquin.

Złapał się tyczki od namiotu i wstał powoli. Dwóch mężczyzn wciąż leżało na ziemi, dwóch innych z uniesionymi pięściami stało naprzeciwko jego przybocznego. Jeszcze inny znieruchomiał z ostrzem obcego miecza na szyi.

To Veradis trzymał ostrze.

Kastell, zataczając się, podszedł do swego przybocznego. Zza namiotu wybiegli kolejni ludzie, tym razem wojownicy króla Romara. Warknęli z gniewem na widok swoich przyjaciół, niektórzy złapali za broń.

– Stać! – rozległ się donośny głos.

Król Romar wydostał się spod częściowo zawalonego namiotu, a za nim wyłonił się Jael.

– Co tu się wyprawia?! – ryknął gniewnie władca.

Zapadła niezręczna cisza. Romar powtórzył pytanie, tym razem kierując je do Veradisa.

– Lepiej spytajcie, panie, własnych podwładnych – odparł ze spokojem wojownik z Tenebralu, nie spuszczać oczu z człowieka, którego trzymał na końcu miecza. – O sobie nie mam wiele do powiedzenia. Zmierzałem już do fortecy, gdy ujrzałem, jak wszyscy ci ludzie atakują tych dwóch. – Wskazał Kastella. – Nie znam zwyczajów panujących w Isiltirze, ale tu, w Tenebralu, atakowanie dwóch ludzi w pięciu uważane jest za tchórzostwo.

Król Romar przeniósł spojrzenie na swoich wojowników, a potem na Kastella i Maquina, którzy mieli zakrwawione twarze. W końcu wbił wzrok w Jaela.

– Możesz schować swój miecz – powiedział do Veradisa, który cofnął się o krok i płynnym ruchem wsunął miecz do pochwy.

– Dzięki za pomoc – wymamrotał Maquin opuchniętymi wargami.

– Ja również ci dziękuję – rzekł Romar. – Chodź, napijmy się wina przed odjazdem.

Veradis spojrział przez ramię na fortecę i skinął głową.

– A wami zajmę się później – powiedział Romar do swoich wojowników i odszedł. Veradis podążył za nim. – Kastell, Jael, wy również – warknął król przez ramię.

Trzech mężczyzn bez słowa ruszyło za barczystym Romarem, aż weszli do jednego z namiotów, gdzie stanęli w szeregu. Król Isiltiru napełnił winem z bukłaka cztery puchary i wręczył je swym gościom. Kastell skrzywił się, gdy pokaleczone usta zapiekły go w kontakcie z ciepłym trunkiem, ale chciwie osuszył puchar do dna. Po walce zawsze chciało mu się pić.

– Raz jeszcze pragnę ci podziękować. – Romar skinął głową Veradisowi.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Bywa, że różnice zdań przeradzają się w coś znacznie gorszego – odparł młodzieniec.

– Nie każdy zachowałby się tak jak ty. Aquilus może się uważać za szczęściarza, skoro otacza się takimi ludźmi. Mądry władca powinien otaczać się tak samo wartościowymi przybocznymi.

Veradis, nieco speszony, uklonił się ponownie.

– Ciekawe natomiast, co to wszystko mówi o mnie? Ludzie, którym ufam, wydają się bardziej skorzy do walki między sobą niż z naszymi prawdziwymi wrogami. – Król Romar skrzywił się, patrząc na Kastella i Jaela. – Co masz do powiedzenia? – spytał Kastella, który przestąpił z nogi na nogę i wbił wzrok w puste naczynie.

– To była tylko sprzeczka. Nic więcej – bąknął.

– Nie okłamuj mnie, chłopcze, bo kiepsko ci to wychodzi – warknął władca i przeniósł wzrok na Jaela. – Macie mnie za idiotę? Myślicie, że nie wiem nic o dziecięcej urazie, którą chowasz do kuzyna?

– Stajesz po jego stronie? – krzyknął Jael z niedowierzaniem w głosie.

– Tu nie chodzi o żadne strony! – ryknął Romar i cisnął pucharem o ziemię. – Widziałem wszystko, Jaelu! Widziałem, co zrobiłeś Kastellowi na dziedzińcu treningowym! – Złapał kolejny

puchar, napełnił go i wychylił duszkiem. – I wstyd mi było. Koniec. Z. Tą. Dziecinadą – warknął.

– Ale... – zaczął Jael.

– Koniec! – ryknął Romar. – Obaj wkrótce zostaniecie lordami! Gdybym odszedł z tego świata, jeden z was przypuszczalnie objąłby tron Isiltiru do chwili, gdy mój syn Hael osiągnie pełnoletniość. Będziecie dowodzić ludźmi, a kiepski to przywódca, który okrywa innych wstydem.

– Ale to on okrył mnie wstydem! Skoro tam byłeś, to widziałeś to na własne oczy!

– Tak, widziałem. Żaden z was nie jest bez winy, ale tym masz na sumieniu o wiele więcej, Jaelu – wyrzucił z siebie Romar i zaczął przechadzać się po namiocie. – Powtórzę więc, wasze niesnaski mają skończyć się tu i teraz. Jesteście krewnymi i łączą was więzy krwi. Takie awantury okrywają wstydem was obu, mnie i naszą rodzinę.

Nastąpiła długa, niezręczna cisza.

– Zaczniście się wreszcie zachowywać jak rodzina! Jak mężczyźni!

Znów chwila milczenia.

– Tak, wuju. Masz rację. Czas położyć kres tej dziecinadzie – rzekł Jael i wyciągnął rękę do Kastella, który uścisnął ją niepewnie.

– No, o wiele lepiej. – Romar uśmiechnął się. – To mi się podoba. – Poklepał obu po plecach. – Dobrze. Pokładam w was wielkie nadzieje. Nadchodzą nowe czasy, bez względu na to, co ten sojusz tak naprawdę... – Urwał, ale podjął szybko: – Tak czy owak, mam wielkie plany wobec Mikil oraz Isiltiru i obaj odgrywacie w nich ważne role. Zwińmy ten obóz do końca i ruszajmy do domu.

– Tak, wuju – powiedział Jael.

Kastell burknął coś pod nosem.

– To dopiero początek – wysyczał Jael, gdy obaj kuzyni wychodzili z namiotu.

Rozdział dwudziesty trzeci

CORBAN

Corban wślizgnął się do kuchni, wciąż spocony i czerwony na twarzy po porannym treningu z Garem. Mama stała przy piecu i wyciągała z niego tacę z owsianymi ciasteczkami. Chłopak przeczesał dłonią wilgotne włosy i przygryzł wargę.

– Mogę z tobą porozmawiać, mamó?

Gwenith ustawiła ciasteczka na stole, wytarła dłonie w wełnianą suknię i usiadła.

– Oczywiście.

Corban zajął miejsce naprzeciwko niej, w roztargnieniu skubiąc sęk w blacie stołu.

– Czy ma to jakiś związek z siniakami na twarzy twego taty? – spytała. – Bądź z plotkami, które słyszę tu i tam, jakoby odbył poważną rozmowę z Helfachem?

– Chciałem cię przeprosić, mamó – powiedział Corban powoli. – Okłamałem cię.

Mama milczała. Chłopak uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

– Chodzi o mojego siniaka. Nie przewróciłem się na skałach. Wdałem się w bijatykę.

– Z kim?

– Z Rafe'em.

– Rozumiem. – Gwenith pokiwała głową. – No już, opowiedz mi wszystko.

Corban więc podzielił się z nią całą historią, nie pomijając próby, jakiej poddał go Rafe, oraz pracy, którą wykonuje dla Briny. Gdy opowieść dobiegła końca, siedzieli przez chwilę w milczeniu, a potem chłopak dodał:

– Ale to nie wszystko. Wczesnym ranem wymykam się z domu, by ćwiczyć. Trenuję pod okiem Gara. Nie pozwolił mi nikomu o tym mówić, ale tobie chciałem powiedzieć. Nie chcę cię już okłamywać.

– Czy Gar wie, że miałeś zamiar powiedzieć mi o wszystkim?

– Tak. Rozmawiałem z nim o tym dziś rano.

Gwenith spojrzała na Corbana, a jej wielkie, brązowe oczy zaszkliły się łzami. Wyciągnęła ramiona.

– No, chodź tu do mnie, synu.

Corban otoczył ją ramionami i wtulił głowę w jej bark.

– Dobry z ciebie chłopak – wyszeptała Gwenith, gładząc jego ciemne włosy. – Lepszy, niż ci się wydaje.

Po jej policzku spłynęła łza.

* * *

– Czemu się roześmiałeś? – sapnął Corban i na moment przerwał podciąganie się na belce pod dachem stajni. – No wiesz, na dziedzińcu Evnisa. Kiedy powiedziałem o „potędze słów”.

– Mam wrażenie, że Thannon chciał przekazać coś zupełnie innego. Twój ojciec nie jest najlepszym kandydatem do wypełniania misji dyplomatycznych. Widzisz, Corbanie, potęga emocji... – Gar zamyślił się i wzruszył ramionami. – Nie spotkałem jeszcze człowieka, który mógłby pokonać twego ojca w walce na pięści, ale tam, na progu domu Evnisa, zawładnął nim gniew i w ten oto sposób zyskał nowego wroga. Śmiertelnego wroga...

– No i co z tego? – spytał Corban. – Jakie to ma znaczenie? – Zeskoczył na ziemię i rozprostował ramiona.

– Może jakieś ma. A może żadne. Od tej pory Thannon będzie

musiał oglądać się za siebie i tyle.

Corban burknął. Nie za bardzo spodobała mu się ta wizja, tym bardziej że to on był przyczyną konfliktu.

– Cóż, póki co Helfach trzyma się od ojca z daleka. Rafe’a też od jakiegoś czasu nie widziałem.

– Pamiętaj, że Helfach to dumny człowiek i niechętnie pogodzi się z takim laniem. A co do Rafe’a... Cóż, słyszałem, że póki co nie jest w stanie wyjść z łóżka o własnych siłach.

Corban opuścił wzrok.

– Królowa Alona wkrótce ogłosi kolejne łowy. Ciekawe, czyj ogar zostanie wybrany, by je poprowadzić.

– Łowy? Wkrótce dzień mego imienia! Jeśli łowy zostaną ogłoszone później, będę mógł wziąć w nich udział.

– Zgadza się, chłopcze. A wiesz, co jeszcze oznacza nadchodzący dzień twego imienia?

– Wiem. Będę mógł dołączyć do ćwiczących na Jarzębinowej Łące – szepnął Corban z nabożnym zachwytem.

Wedle tradycji czternasty dzień imienia u chłopca wyznaczał początek szkolenia na wojownika, choć tak naprawdę wszyscy zaczynali uczyć się o wiele wcześniej, pod okiem własnych ojców bądź tłukąc kijem o bezbronne drzewo. Corban spędził wiele godzin na waleniu w drzewa rosnące w różanym ogrodzie mamy, a Thannon podjął próbę nauczania go podstawowych ciosów, choć niesporo mu to szło, gdyż sam właściwie nigdy nie musiał wykorzystywać tej wiedzy w praktyce.

Jarzębinowa Łąka, rozległa, pusta przestrzeń ciągnąca się na północ od fortecy, dla wszystkich chłopców z Dun Carreg była niemalże świętym miejscem. Po ukończeniu szesnastego roku życia, który tradycyjnie wyznaczał pełnoletniość, trenujący tam chłopcy przystępowali do sprawdzianu wojownika, podczas którego testowano umiejętność jazdy konnej oraz walki mieczem i włócznią. Tych, którzy zdali, czekała Długa Noc, podczas której stali na straży tych, którzy dotąd ich ochraniali. Wówczas chłopak stawał

się mężczyzną.

– Nie nauczą cię tam władać mieczem tak, jak ja to robię – rzekł Gar. – Tam, skąd pochodzę, trening wygląda zupełnie inaczej.

– W Helvecie, tak?

Gar skinął zdawkowo głową.

– Pierwsza różnica polega na tym, że tutaj częściej korzysta się z tarczy. Tam, skąd pochodzę, wojownik trzyma miecz oburącz i rzuca się do ataku. Uczono nas, że atak jest najlepszą obroną, podczas gdy tu wojownik zasłania się tarczą.

– Która technika jest lepsza?

– Sam będziesz musiał zdecydować, ale nie zawadzi poznać obie. Ja będę uczył cię mojej do chwili, gdy poprosisz mnie, bym przestał, bądź też nauczę cię wszystkiego, co sam umiem.

– To chyba nieprędko nastąpi – rzekł Corban.

– Na Jarzębinowej Łące będziesz ćwiczył z innym wojownikiem, który rozpocznie twoje szkolenie. Zazwyczaj początkujący trafiają pod opiekę Tulla, który sprawdza, do czego się nadają, a potem przekazuje ich tym, którzy akurat nie mają nic innego na głowie. Tull jednakże wyjechał z królem, więc jego rolę przejmie zapewne Tarben. Z wojowników pozostałych w fortecy najlepiej się do tego nadaje, o ile jesteś w stanie wytrzymać jego zrzęczenie.

Corban uśmiechnął się.

– Jeśli Tarben będzie zajęty, spróbuj szczęścia u któregoś z nowych, Haliona albo Conalla. Obserwowałem ich na Jarzębinowej Łące. Obaj dobrze wiedzą, jak się trzyma miecz, ale polecałbym Haliona. To ten starszy.

– Dlaczego?

– Bo on najpierw myśli, a potem działa. I nauczy cię, jak korzystać z tego. – I główny stajenny postukał Corbana palcem po czaszce, bynajmniej nie siląc się na delikatność.

* * *

Mijał dzień za dniem. Wiosenne słońce świeciło coraz intensywniej, dni wydłużały się, a upały zaczynały się wcześniej. Corban co rano trenował pod okiem Gara i choć później bolały go wszystkie mięśnie, kładł się do łóżka z poczuciem wielkiej satysfakcji. Stawał się silniejszy, przez co ćwiczenia fizyczne przychodziły mu z większą łatwością, nabierał również zręczności w tańcu miecza.

Resztę dnia wypełniała mu praca w gorącej kuźni i długie godziny spędzane na wybiegu z Cywen i Garem, gdzie budował wież ze swym żrebakiem. Popołudnia spędzał też często u Briny.

* * *

– To będzie dla ciebie szczególny dzień – powiedział mu Gar. – Daruj sobie nasz poranny trening.

Corban posłuchał go. Wstał przed świtem i zjadł śniadanie z rodziną, choć nie miał wielkiego apetytu. Jego myśli wciąż umykały ku Jarzębinowej Łące. Marzył o tym dniu i wypatrywał go z niecierpliwością, ale teraz, gdy wreszcie nadszedł, chętnie poczekałby jeszcze trochę. Awantura z Rafe'em zepsuła mu radość oczekiwania i chłopak czuł, jak w jego głowie i piersi narasta napięcie. Czas wejścia na Łąkę zbliżał się wielkimi krokami, aż w końcu Thannon powstał i razem opuścili chatę.

Szli w ciszy. Minęli salę biesiadną, wieżę i studnie, przeszli obok kamiennych budowli, wokół których uwijali się mieszkańcy, a potem znaleźli się wśród innych, wciąż pustych i ciemnych. Z oddali dobiegał już suchy stukot ścierających się ze sobą drewnianych mieczy, aż uliczka skręciła po raz ostatni i oczom chłopaka ukazało się wejście na Jarzębinową Łąkę.

Drzewa jarzębiny, których gałęzie splatały się w górze na podobieństwo sklepienia, formowały ścieżkę, za którą w blasku słońca migotały zielone trawy. Corban stanął jak wryty.

Oto wpatrywał się w drogę prowadzącą na najbardziej

szanowany plac treningowy całego Ardanu, teren owiany wielką, niemalże mityczną sławą, który miał szczególne miejsce w sercu każdego chłopca w królestwie.

Thannon położył dłoń na jego ramieniu.

– I tak oto dotarłeś tu, synu.

Corban pokiwał w milczeniu głową, nabrał tchu i wszedł w cień rzucany przez drzewa. Widział między pniami wielką łąkę, którą otaczały wysokie, kamienne mury, wzniesione wzdłuż skraju lasu. Słyszał szum fal i krzyk mew, ale wszystko inne zagłuszały odgłosy walk. Drewniane miecze ścierały się ze sobą, tłukły o tarcze i skórzane pancerze, a czasem trafiały w ludzkie ciało. Ziemia dudniła pod kopytami koni. Niedaleko wejścia pary wojowników zmagaly się w walce na drewniane miecze bądź doskonaliły posługiwanie się tarczą. Trawa pod ich nogami była zdeptana bądź całkiem zryta. Za nimi stały rzędy łuczników i włóczników, którzy trenowali celność na wbitych w ziemię, masywnych pniakach, a po przeciwległej stronie Łąki Corban widział konnych wojowników, którzy szarżowali na siebie lub biegli obok rozpedzonych rumaków. Wszędzie stały niewielkie grupki mężczyzn, którzy obserwowali ćwiczenia.

Gdy Corban rozglądał się po Łące, podszedł do nich wysoki, chudy wojownik z długimi, związanymi na karku brązowymi włosami.

– Nazywam się Tarben – powiedział i skinął kowalowi. – To twoja pierwsza wizyta na Łące? – spytał Corbana.

– Tak.

– To mój syn – rzekł Thannon.

– Zazwyczaj to Tull kieruje tu wszystkim i to on by was powitał, ale pojechał sobie z królem, Elyon jeden wie, po jaką cholere, więc obowiązki związane z Łąką na mnie spadły. – Przy tych słowach Tarben wyprostował się i zaczął recytować głośnym, czystym głosem: – Witaj, Corbanie ben Thannon na Jarzębinowej Łące w cieniu Dun Carreg! Niech prawda i odwaga kierują tobą, gdy

będziesz poznawał sekrety życia wojownika!

Corban kątem oka dostrzegł, że mężczyźni przyglądający się ćwiczącym odwracają ku niemu głowy. Zakończywszy wypowiedź, Tarben ścisnął chłopakowi ramię, jak czynią to wojownicy.

– No i po wszystkim – oznajmił i znów się zgarbił. – Zostajesz, olbrzymie? – zapytał Thannona.

– Nie dziś – rzekł mężczyzna, a potem zawahał się i dodał: – To mój syn. Jak dojdzie tu co do czego, nie będę zadowolony.

– Tak, jasne. Już raz dałeś to do zrozumienia – odparł prędko Tarben. – Nie przejmuj się. Póki ja tu jestem, nie będzie żadnych problemów.

Thannon burknął coś pod nosem, klepnął Corbana po plecach i odszedł.

– Dalej, chłopcze, chodź za mną – rzekł Tarben i ruszył szybkim krokiem w kierunku par ćwiczących wojowników. – Tam ćwiczymy walkę z siodła – opowiadał po drodze, machając ręką – a tam są łuki i włócznie, ale Tull zawsze najpierw obserwuje, jak żółtodzioby dają sobie radę z mieczem. Metoda się sprawdza, więc trzymajmy się tego.

Zatrzymali się przed rzędem wiklinowych koszy, z których sterczały rękojeści mieczy treningowych wszystkich kształtów i rozmiarów. Tarben obrzucił Corbana długim, taksującym spojrzeniem, a potem nachylił się, wyciągnął poobijany miecz i podał go chłopakowi.

– No i jak, młody?

Corban machnął ćwiczebną bronią. Czuł gładkie drewno rękojeści, polerowane latami przez dłonie niezliczonych adeptów.

– W porządku – odparł.

– Dobrze. Oto, co teraz nastąpi. Najpierw sprawdzę, na co cię stać, a potem przydzielę cię do wojownika, który będzie cię szkolił.

Tarben ruszył w stronę części łąki zajętej przez fechtujących się mężczyzn, szukając wolnego miejsca. Corban podążył za nim, rozglądając się ukradkiem. Mijani ludzie skupiali się głównie na

walce, ale tu i ówdzie dostrzegał odwracające się ku niemu twarze i utkwione w nim spojrzenia. Naraz uświadomił sobie, że Tarben stoi już naprzeciwko niego z wzniesioną bronią. Corban nabrał tchu, przybrał pierwszą z pozycji tańca miecza i również uniósł broń. Jedna z brwi wojownika podjechała nieco wyżej.

– Zaczynaj! – rozkazał.

Żaden z nich nie drgnął. Tarben znów uniósł brwi, a wreszcie burknął pod nosem i ruszył na Corbana. Ten stał zwrócony do niego bokiem z mieczem wzniesionym tak, jak pokazał mu Gar. Tarben spuścił drewniany oręż na głowę chłopaka, a on niezdarnie zablokował uderzenie, niemalże upuszczając broń. Wtedy Tarben zamierzył się na jego klatkę piersiową, ale Corban odbił jego cios już z większą pewnością. Zablokował uderzenie w udo, a zaraz po nim kolejne w żebra, płynnie zmieniając postawę. Krążył teraz wokół Tarbena, próbując zająć go od lewego boku. Niespodziewanie zaatakował. Wojownik sparował uderzenie i rozpoczęła się ostra wymiana ciosów. Cięcie, blok, kolejne cięcie, błyskawiczny blok i tak dalej. Tarben uderzał coraz szybciej i mocniej, aż Corbana rozbolał nadgarstek, a po nim ramię. Naraz poślizgnął się, a wtedy mężczyzna uderzył go w łokieć. Broń wyfrunęła chłopakowi z ręki. Tarben znieruchomiał i wbił w niego wzrok. Jego twarz lśniła od potu.

– Tarben!

Obaj odwrócili się i ujrzeni wojownika, który wyszedł spomiędzy drzew jarzębiny. Był to Marrock.

– Pendathran chce z tobą pogadać. W sali biesiadnej – rzekł.

Tarben westchnął ciężko.

– Dobra, daj mi chwilę – mruknął i przewrócił oczami, a potem skierował się ku mężczyźnie, który stał obok i przyglądał się ich starciu. Corban uświadomił sobie, że nie był w tym osamotniony – kilku innych odłączyło się od gapiów, otaczających pary walczących, i ruszyło ku niemu. Na ich czele szedł Rafe, który wciąż lekko utykał, a na policzku miał jasnozielonego siniaka.

Corban rozpoznał też wśród idących Vonna i Craina, pozostałych nie znał.

– A więc nasz tchórz wreszcie dotarł na Łąkę – rzekł Rafe.

Corban opuścił wzrok.

– Co, tchórz? Nagle nie masz nic do powiedzenia? Nic dziwnego. Wszak nie ma tu siostrzyczki czy taty, by cię obronili!

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – rzekł chłopak, patrząc na siniaka Rafe'a.

– Przykro ci! – wysyczał Rafe. Żyła na jego szyi pulsowała wściekle. – Przykro, co? – powtórzył i zrobił krok ku Corbanowi.

– Co tu się dzieje? – odezwał się ktoś, cicho, lecz stanowczo. Był to Halion, jeden z dwóch przybyszów. Spojrzał na samotnego Corbana, a potem na Rafe'a na czele całej zgrai, i jego twarz wykrzywił gniew. – Dość tego – oznajmił.

Nikt nie drgnął.

– Dość, powiedziałem! – powtórzył mężczyzna i stanął przed Rafe'em. – To Jarzębinowa Łąka. Wszelkie żale lub urazy zostają tam, za tymi drzewami!

Rafe skrzywił się, ale odwrócił się i odszedł bez słowa, a za nim reszta.

– O co poszło? – spytał Halion.

Corban milczał. Wojownik westchnął.

– Nie moja sprawa, co?

Chłopak trącił kępkę trawy butem.

– Tarben poprosił mnie, bym ci pomógł w nauce. Powiedział mi o tobie kilka rzeczy, Corbanie.

– Co takiego? – spytał chłopak.

– Choćby to, że to twój pierwszy dzień na Łące, a walczysz, jakbyś spędził tu sporo czasu – rzekł Halion. W rękę trzymał miecz treningowy, ale dłuższy i cięższy od tego, którym posługiwał się Tarben. Wsunął czubek pod broń upuszczoną przez Corbana i rzucił mu ją. – Ciekawe, czy odniosę podobne wrażenie.

Fechtowali się przez dłuższą chwilę, aż chłopak stracił poczucie

czasu. Cały jego świat ograniczył się do drewnianej broni Haliona, do jej nacierającego szpica i opadającego ostrza. Blokował uderzenia i sam atakował najlepiej jak potrafił, ale choć wkładał w to wszystkie swoje siły, nie był w stanie nawet zbliżyć się do ciemnowłosego wojownika o poważnym obliczu, który władał bronią ze skutecznością przywodzącą na myśl Gara. Niespodziewanie Halion cofnął się, opuścił miecz i unióśł dłoń. Wsparł się na broni i przyjrzał się uważnie Corbanowi.

– Cóż, nie pochodzę z tych stron, ale chyba muszę się zgodzić z Tarbenem.

Corban uśmiechnął się nieśmiało. Z trudem łapał oddech.

– Kto cię szkolił?

– Rodzina, przyjaciele. – Chłopak wzruszył ramionami.

– Cóż, każdy z nas uczy się, gdzie tylko może, zanim trafi na Łąkę, ale w tobie widzę o wiele więcej. Walczysz w stylu, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Kto cię szkolił?

Corban przez moment wpatrywał się w trawę, a potem unióśł wzrok i spojrzał prosto w oczy Haliona, szare niczym morskie odmęty.

– Skąd przybywasz? – zapytał.

Twarz mężczyzny stwardniała jak kamień. Jego dłoń drgnęła i przez chwilę krótką jak myśl Corban sądził, że nauczyciel go uderzy, ale ta chwila minęła i kąciki ust surowego wojownika drgnęły, jakby próbował się uśmiechnąć.

– A więc takie są reguły gry? Zdradź mi swój sekret, a ja wyjawię ci mój, czy tak? Cóż, tobie być może wydaje się, że to uczciwa wymiana, ale ja po prostu będę musiał nauczyć się żyć bez twego sekretu. – Halion przeczesał dłonią gęste, czarne włosy. – Sporo umiesz, chłopcze, ale na pewno nie wszystko. Pora więc zacząć twój trening.

* * *

Gdy Corban ponownie się rozejrzył, na Łące znajdowało się o wiele mniej osób. Był zlany potem, a ramię dzierżące miecz ciążyło mu niczym ołów.

– Ludzie nie zostają tu długo. – Halion dostrzegł jego spojrzenie.
– Wielu ma rozmaite obowiązki. Trzeba zająć się polami, łowić ryby czy kuć żelazo. Więcej czasu spędzają na Łące głównie ci, którzy służą jako wojownicy baronom tu, w fortecy.

– A ty? Nie musisz nigdzie iść?

– Nie, chłopcze. Brenin przyjął mnie do swego hufca. Dobrym człowiekiem jest ten wasz król. Będziemy służyć wam pomocą, ale tylko wtedy, gdy będzie to konieczne albo dostaniemy rozkaz. Przypuszczam, że podczas żniw spędzę wiele czasu na polach, podobnie jak mój brat. – Wskazał grupę wojowników, którzy nadal walczyli. – Ale póki co nie ma wiele do roboty.

W tym momencie na Łące znów pojawił się długonogi Tarben, który ruszył szybkim krokiem ku nim.

– I co? – zwrócił się do Haliona, ignorując Corbana. – Jak sobie młody radzi?

– Nie najgorzej. Ma potencjał, przynajmniej z mieczem w dłoni. Rzeczywiście nabył już gdzieś wprawy, jak sam mówiłeś, ale szybko się uczy nowych rzeczy. Myśli podczas walki, a to ważne. Nie dałem mu jeszcze łuku ani włóczni.

– Mamy na to sporo czasu. Cóż, jeśli nie masz nic przeciwko, możesz się nim zająć. Walczyć włócznią i strzelać z łuku też jesteś w stanie go nauczyć.

– Dobrze. – Halion skinął głową. – A więc ustalone.

– Gdzie byłeś? – zapytał Corban Tarbena, a ten spojrzał na niego po raz pierwszy.

– Czyżbyś odnalazł swój głos? – spytał wojownik, ale na jego twarzy malowało się zmartwienie. – Cóż, właściwie chyba mogę ci powiedzieć, skoro i tak wkrótce wszyscy się dowiedzą. Fain, żona Evnisa, odeszła z tego świata. Mam przekazać to wszystkim z jego drużyny, którzy tu ćwiczą.

– Kiedy do tego doszło? – spytał chłopak.

Przecież niedawno Brina powiedziała mi, że Fain ma się lepiej, pomyślał.

– Dziś. Na szczęście są jeszcze inne wieści, już nie takie złe. Wkrótce zaczynają się łowy. Za pięć noc, że tak uprzedzę twoje pytanie.

Rozdział dwudziesty czwarty

VERADIS

Zamyślony Veradis jechał konno wzdłuż brzegów rzeki i przyglądał się wodom, które kotłowały się i pienily wśród ogromnych, szarych głazów. Nie tak dawno temu odbył tę samą podróż w przeciwnym kierunku, towarzysząc bratu Krelisowi, który wiódł pojmanego pirata.

Młodzieniec miał jednak wrażenie, że to wydarzyło się sto lat temu. Opuścił Ripę, by odnaleźć własne miejsce na świecie, a teraz powracał i niebawem miał przejechać przez bramy twierdzy swego ojca u boku księcia Tenebralu. Co więcej, Nathair ogłosił go swoim pierwszym mieczem i dowódcą swego ciągle rosnącego hufca. Przypuszczał, że książę nie podjąłby tej decyzji, gdyby nie jego samobójczy skok przez płomień, ale nie było też większych wątpliwości, że Veradis pokonałby wszystkich wojowników na dziedzińcu treningowym, oczywiście poza zbrojmistrzem Armatusem. Powody, którymi kierował się książę, nie były dlań jednak aż tak istotne i po nominacji młodzieniec czuł w sercu rozpierającą go dumę. Nie mógł się doczekać chwili spotkania z Krelisem, choć wiedział, że brat przypuszczalnie połamie mu kości w swoim niedźwiedzim uścisku. Ba, cieszył się nawet na spotkanie z Ektorem, drugim z braci, ale przede wszystkim chciał ujrzeć ojca. Oczywiście kochał go i tęsknił za nim, ale przede wszystkim pragnął się pochwalić osiągnięciem, którego nikt nie

mógł podważyć.

– Piękna jest? – spytał ktoś.

Veradis odwrócił głowę i ujrzał, że Nathair zrównał się z nim.

– Uśmiechałeś się do siebie – wyjaśnił książę. – Pewnie myślisz o dziewczynie, którą zostawiłeś w domu, a wkrótce zobaczysz.

– Nie, panie. – Veradis pokręcił głową.

– Panie. Myślałem, że już ci to wyjaśniłem. Nie chcę, abys mnie tytułował.

– To z przyzwyczajenia. – Veradis uśmiechnął się ze smutkiem. – Zbliżamy się do domu, a tam mamy w zwyczaju tytułować ojca. Tak nas wychowano.

Nathair uniósł brew.

– A więc nie czeka na ciebie żadna piękność z rozpostartymi ramionami?

– Nie.

– Zaskakujesz mnie, Veradisie.

Młodzieniec parsknął.

– Lubię kobiety i podobają mi się, ale... ale czuję się przy nich spięty. Za bardzo się denerwuję. Była kiedyś jedna dziewczyna, Elysia, córka głównego stajennego...

– A jednak! – Nathair strzelił palcami. – Miałem rację od samego początku.

– Nie, nic z tego nie wyszło. Ona zawsze mówiła jedno, a miała na myśli coś innego. Nie mogłem się w tym połapać. Chyba już lepiej chwycić za miecz i znaleźć sobie przeciwnika.

Nathair parsknął śmiechem.

– Może i jesteś jednym z najlepszych wojowników w całym Tenebralu, mój przyjacielu, ale musisz się jeszcze wiele nauczyć.

– Pewnie tak. – Veradis zarumienił się. – A co z tobą? – zapytał szybko, próbując odsunąć od siebie niewygodny temat.

– A więc kontratak? Nie, nie mam kobiety ani kobiet, od jakiegoś czasu przynajmniej. Zbyt wiele wyzwzań przede mną, zbyt wiele do osiągnięcia. W moich planach nie ma już miejsca na nic więcej.

Za ich plecami jechało dwudziestu najlepszych wojowników z powiększającej się drużyny Nathaira.

Rzeka toczyła swe wody naprzód i rozszerzała koryto, by w pewnej odległości wnikać w puszcze. Las przesłaniał cały horyzont, ale Veradis wiedział, że po drugiej stronie znajduje się jego dom, choć stąd nie było go jeszcze widać. Wpatrzony w ścianę drzew, wyobraził sobie mury rodzinnej twierdzy, a wtedy poczuł osobliwe uczucie w żołądku. Czyżby lęk? Wrażenie minęło jednak, zanim zdołał je nazwać.

Wielu ludzi bało się nawet przekroczyć granicę lasu, której nadal strzegły posępne, postrzępione ruiny Balary, twierdzy olbrzymów wzniesionej na nagim wzgórzu na północ od puszczy. Na podobne ruiny, porzucone przez olbrzymy po ich klęsce, można było natknąć się wszędzie na Ziemiach Wagnanych. Niektóre zostały zamieszkałe przez ludzi, tak jak Jerolin, ale wiele innych nadal świeciło pustkami, gdyż ludzie woleli wznosić swe domy z drewna i kryć je strzechą. O ruinach Balary krążyło wiele opowieści, ale Veradis, który wychowywał się na skraju lasu, nigdy nie bał się zapuścić w jego głąb. Lubił te wyprawy, zwłaszcza gdy wybierał się na polowanie z Krelisem.

Spośród wierzb i olch, rosnących na przeciwnym brzegu rzeki, wyleciało stado kraczących kruków. Veradis drgnął. Znów poczuł osobliwe mrowienie w dole żołądka. Przez moment wpatrywał się w zagajnik, aż wreszcie potrząsnął głową.

Myśl o powrocie do domu odbiera mi odwagę, pomyślał i parsknął, zły sam na siebie. Skupił się na trakcie.

* * *

Rozbili obozowisko w głębi lasu. Wody rzeki połyskiwały czarno za ich plecami. Niekiedy Veradis widział między drzewami ciemny zarys częściowo zrujnowanej wieży Balary, opromienionej blaskiem

księżycu.

Tupał nogami i walczył z nadciągającą sennością. Gdzieś zarżał koń, w przygasającym ognisku strzeliła gałązka. Młodzieniec chodził dookoła obozu, po miejscu, gdzie wycięto drzewa, by poprowadzić trakt.

Niespodziewanie jego uwagę przyciągnął jakiś dźwięk. Ruszył w tym kierunku, ostrożnie stąpając wśród śpiących, aż stanął nad Nathairem. Książę mamrotał coś przez sen, a jego kończyny drgały. Veradis ukucnął, starając się usłyszeć lepiej jego słowa.

Na czole księcia perlił się pot. Jego powieki drżały, aż nagle rozchyliły się gwałtownie, a ręka wystrzeliła, by pochwycić Veradisa za gardło. Ten próbował zerwać dłoń księcia, ale nie był w stanie. Palce Nathaira były jak z żelaza, a jego oczy, szeroko otwarte, wytrzeszczone, wpatrywały się w młodzieńca, przypominając ślepiec zapędzonego w pułapkę, dzikiego zwierzęcia. Veradis poczuł panikę, gdy w płucach zaczęło brakować mu powietrza, ale wtedy w oczach księcia znów pojawiło się życie. Rozluźnił uchwyt i opadł na posłanie.

– Przepraszam – wymamrotał i otarł twarz z potu.

– Miałeś jakiś koszmar? – spytał Veradis, masując gardło.

– Tak. – Książę usiadł.

– Mówiłeś przez sen.

– Naprawdę? – Nathair zmrużył oczy. – A co powiedziałem? Słyszałeś, co mówiłem?

– Nie. Chyba nie. Coś o szukaniu, chyba. Wydawało mi się też, że mówisz o jakimś kotle, ale nie mam pewności.

Nathair wpatrywał się przez moment w swojego przybocznego, a potem wzruszył ramionami.

– Prześladują mnie koszmary, Veradisie. Niespokojne sny. Jeden z nich często się powtarza. – Uśmiechnął się niepewnie. – W różnych formach dręczy mnie od lat, ale ostatnio stał się naprawdę dokuczliwy.

Veradis podszedł do gasnącego ognia, przy którym zostawiono

dzbanek wina, aby się zagrzało. Pociągnął łyk ciepłego, kwaśnego trunku, który przyniósł ulgę jego podniebieniu, a potem podał dzbanek Nathairowi, który wziął kilka chciwych łyków.

– Co ci się śni? – spytał.

Książę rozejrzał się dookoła, czy nikt nie podsłuchuje.

– Słyszę głos, który prosi mnie o pomoc. Czasami widzę zamazaną twarz, chyba szlachetnie wyglądającą, arystokratyczną, choć nigdy nie jest wyraźna i chyba nigdy też nie jest ta sama. Głos jednakże się nie zmienia. To szept, ale wypełnia mą głowę hałasem.

– I co mówi?

– Zawsze to samo. On szuka, szuka, a potem prosi mnie o pomoc. Mam znaleźć jakiś kocioł. Nie, nie jakiś. Ten konkretny kocioł, choć nie mam pojęcia, dlaczego to takie ważne. – Westchnął ciężko.

Veradis nagle sobie coś przypomniał.

– Czy Meical nie wspominał o kotle podczas narady zwołanej przez twego ojca?

– Tak, wspominał. Pytałem go o to nawet, ale twierdzi, że nic o tym nie wie. Ja też nic nie wiem, ale ten głos staje się coraz bardziej natarczywy.

– Mówiłeś o tym komuś?

– Nie. Ty jesteś pierwszy. Nie chcę, by ludzie myśleli, że książę Tenebralu postradał zmysły. – Potarł oczy. – Czy ty... czy ty masz mnie za szaleńca?

– Cóż, kilka księżycy temu zapewne bym tak pomyślał. – Veradis uśmiechnął się. – Ale teraz, przy całej tej gadaninie o bogach, demonach, płaczących kamieniach i matce wszystkich wojen – prychnął – powtarzające się sny i dziwne głosy nie wydają się niczym osobliwym.

Uśmiechał się, ale w głębi duszy był zatroskany. Nie wierzył w to, że Nathair był szaleńcem, a co więcej, on sam doświadczał nieprzyjemnych, powracających snów, głównie o matce, która umarła, nim ją poznał. Czasami nawet słyszał jej głos. Zazwyczaj brał to wszystko za wytwór własnej świadomości, ale być może było

w tym coś jeszcze.

Nathair uśmiechnął się i wziął kolejny łyk wina.

– To ma jakieś znaczenie – oznajmił. – Z całą pewnością mój sen jest istotny.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu i podawali sobie dzbanek, aż całkiem go opróżnili. Ciemność wypełniało bzyczenie owadów, wiatr wzdychał wśród gałęzi nad ich głowami.

– Możemy spytać mego brata Ektora – rzekł w końcu Veradis. – Mało kto przeczytał tyle ksiąg co on.

– Nie – warknął Nathair. – Nie chcę, by ktokolwiek się o tym dowiedział.

– Nie musimy mu mówić o twoich snach. Zapytamy go tylko, czy wie coś o tym kotle. Jest naprawdę odczytany. Arogancki i złośliwy, co do tego nie ma dwóch zdań, ale wykształcony. Wieża w Ripie powstała w czasach olbrzymów i kryje w sobie wiele starożytnych manuskryptów. Myślę, że Ektor przeczytał je wszystkie. Jeśli ktokolwiek może nam pomóc, będzie to na pewno mój brat.

– Może. – Zadumany Nathair pokiwał głową. – Daj mi o tym pomyśleć w świetle dnia.

Książę ułożył głowę z powrotem na ziemi, a Veradis wstał i wrócił na skraj obozowiska. Tam wbił wzrok w noc. Nie czuł już senności.

* * *

Gdy leśny trakt dotarł do równiny porośniętej bujnymi trawami, falującymi płynnie z każdym podmuchem wiatru, oczom wędrowców ukazała się Ripa. Wokół fortecy powstało miasto drewnianych, krytych strzechą budynków, rozrastające się dzięki bogactwom lasu i morza.

Słońce wisiało wysoko na niebie, a dzień był ciepły. Veradis czuł, jak pod ozdobionym srebrnym orłem pancerzem z czarnej skóry

spływają mu krople potu. Jechał konno obok Nathaira na czele ich niewielkiej kolumny. Kilka kobiet, które prały ubrania w rzece w asyście pluskających się dzieci, zatrzymało się, by odprowadzić wojowników wzrokiem. Veradis odetchnął głęboko, gdyż krzyk mew, smak soli na języku i zapach ryb, dolatujący z dziesiątek wędzarni na brzegach wijącej się ku zatoce rzeki, przywoływał wiele wspomnień. Ripa była drewnianą twierdzą, która wyrosła wokół kamiennej wieży. Przed wiekami służyła olbrzymom jako strażnica strzegąca wód zatoki. Było to dogodne miejsce, by bronić ziem przed atakami piratów Vin Thalun, gdyż widok z wieży ciągnął się na wiele mil.

Veradisowi przypomniawszy się chwila, gdy Krelis opowiedział ojcu o planach Vin Thalun i pokazał mu zatrzymanego jeńca. Na twarzy seniora rodu pojawiła się wówczas duma z pierworodnego, który zdołał zdemaskować intrygę wymierzoną w królestwo. Młodzieniec znów poczuł w sercu ostre ukłucie zazdrości, ale zwalczył je błyskawicznie. Wstydział się podobnych reakcji – Krelis ze wszechmiar zasługiwał na uwielbienie ojca.

Omiótł wzrokiem nabrzeże i rozpoznał charakterystyczny kształt galery Vin Thalun, przycumowanej przy innych jednostkach. Okręt był niski i smukły, przypominał wilka przyczajonego wśród niczego nieświadomych owiec. Naraz młodzieniec uświadomił sobie, że odruchowo złapał za miecz i zaczął obracać konia. Król Aquilus zawarł swego rodzaju pakt z Vin Thalun, którzy przybyli już nawet do Jerolin, by rozpocząć handel, powitani osobiście przez Nathaira, ale mimo to Veradis z niedowierzaniem przyglądał się, jak chodzą po ulicach wśród mieszkańców stolicy. Jeszcze większym wstrząsem był widok ich okrętu w Ripie, gdzie byli tylko i wyłącznie wrogami.

W końcu zatrzymali się na zatłoczonym dziedzińcu przed schodami wiodącymi do drewnianej sali biesiadnej. Veradis uśmiechnął się, rozpoznając wiele z otaczających go twarzy. Zeskoczył z konia, a wówczas podszedł do niego chudy mężczyzna,

który przypominał szkielet. Był to Alben, jego zbrojmistrz. Młodzieniec podbiegł i objął go mocno, a ten poklepał go po plecach, a potem cofnął się. Na jego obliczu pojawił się szeroki uśmiech, który uwydatnił liczne zmarszczki wokół oczu i ust.

– Witaj w domu, Veradisie ben Lamar – oznajmił uroczyście i otaksował młodego wojownika od stóp do głów. – Coś mi mówi, że masz mi wiele do powiedzenia.

– Cieszę się, że cię widzę, Albenie. W istocie mam kilka historii w zanadrzu, ale zostawmy to na później – rzekł Veradis, a potem zrobił krok do boku, odsłaniając Nathaira, i dodał głośno: – Zostałem wysłany z Nathairem, księciem Tenebralu, by przekazać ojcu wieści od naszego króla. Gdzie go zastanę, Albenie?

– Ojciec jest w środku i czeka na ciebie! – Siwowłosy wojownik wskazał wejście do drewnianej sali. – Witaj, Nathairze, księżę Tenebralu. Lamar, baron Ripy i Strażnik Zatoki, pragnie cię powitać w naszych skromnych progach.

– Dziękuję. – Nathair uśmiechnął się serdecznie.

– Mój pan polecił mi, bym czym prędzej zaprowadził was do niego, zarówno ciebie, panie, jak i tego, którego mianowaliście pierwszym mieczem. – Alben zerknął przy tych słowach na Veradisa, który poczuł przyływ gorącej dumy.

On wie, pomyślał. A więc ojciec również wie o wszystkim!

Zbrojmistrz poprowadził ich po schodach do okrągłej komnaty, gdzie dwóch mężczyzn nachylało się nad wielkim pergaminem. Lamar, władca Ripy, uniósł głowę. Nie był już pierwszej młodości i zaczynał się garbić, ale nadal był potężnym mężczyzną. Veradis po raz pierwszy zauważył u niego wyraźne oznaki starości. Skóra ojca przypominała kolorem i fakturą papier, a tu i ówdzie zwisała niczym stopniały воск. Ramiona Lamara wciąż były potężne i rozłożyste, ale nadgarstki i dłonie wydawały się delikatne i kościste, niemalże kruche. Na szczęście oczy ojca nadal połyskiwały, a jego wzrok był bystry niczym u jastrzębia, dokładnie tak, jak to Veradis zapamiętał.

Obok ojca stał drobny, o wiele młodszy od niego mężczyzna o bladym obliczu, okolonym strąkami ciemnych, przetłuszczonych włosów. Był to brat Veradisa, Ektor. Obrzucił wchodzących do komnaty przybyszów spojrzeniem, którym dziecko śledzi owady schwytane do słoika.

Veradis zamarł na dłuższą chwilę, onieśmielony spojrzeniem ojca, a potem podszedł bliżej i opadł na jedno kolano.

– Panie! – rzekł.

– Powstań! – zagrzemiał niski głos Lamara.

Dobrze, że i to udało mu się ocalić przed nadciągającą starością, pomyślał Veradis.

– Książę! – Baron skłonił się.

– Bądź pozdrowiony, lordzie Lamarze – odpowiedział Nathair. – Mój ojciec przesyła wam pozdrowienia, ale nie tylko. Prosił mnie, bym opowiedział wam o ostatnich wydarzeniach z Jerolin, a przede wszystkim o radzie i decyzjach, jakie tam zapadły.

Przy tych słowach książę przeniósł wzrok na Ektora, który odwzajemnił spojrzenie, nie mrugając, a potem uklonił się sztywno.

Na schodach poniósł się odgłos ciężkich, zbliżających się kroków. Naraz drzwi stanęły otworem, a framugę niemalże całkowicie wypełniła postać barczystego mężczyzny, który wpadł do środka i bezceremonialnie, ze wszystkich sił przygarnął Veradisa do piersi.

– Postaw... mnie... z powrotem... Krelisie! – wyrzeźił młodzieniec, przeświadczony, że zaraz popękają mu kości.

– Ciebie też miło ujrzeć! – zachichotał Krelis. Odstawił Veradisa na ziemię i obejrzał go dokładnie od stóp do głów. – Spójrz tylko, ojcze! Mój mały braciszek się zmienił! O, nos ci złamano? Dobrze! – Musnął przy tym palcem grzbiet własnego nosa, który nosił ślady licznych złamań. – Wiele o tobie słyszałem! Naprawdę walczyłeś z olbrzymem?

– Tak – bąknął Veradis i zerknął na ojca.

– To nie wszystko – wtrącił się Nathair. – Przeskoczył przez ścianę ognia, w pojedynkę ruszył na olbrzyma, by mnie ocalić,

i podążył za mną tam, gdzie nikt inny się nie odważył.

Krelis ponownie objął Veradisa ze wszystkich sił.

– Wiedziałem, braciszku! Jesteś najlepszy z naszej trójki! Pisane ci są wielkie czyny! – oznajmił, wypuszczając go. Na jego brodatej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, a w oczach błysnęła wilgoć. – Szkoda tylko, że nadal nie możesz wyhodować sobie porządnej brody – dodał i mrugnął do brata, szarpiąc go za potargane bokobrody, które Veradis zapuścił podczas podróży na południe.

– Dość tych wygłupów, Krelisie – rzekł Lamar. – Księżę Nathair przywozi nam wieści z Jerolin, ale, o ile nie grozi nam nagła inwazja i nie muszę skrzykiwać hufca, chciałbym, byście wpierv odpoczęli i zmyli z siebie pył podróży. Zjedzcie z nami kolację, panie, i wówczas przekażecie nam wieści.

– Będę zaszczycony.

– Cieszę się. Alben wskaże wam drogę do waszych komnat, panie.

Veradis już miał ruszyć za Nathairem, ale zatrzymał się.

– Czy mam oczekiwać na wasze wezwanie, panie?

Lamar zmarszczył brwi.

– Może jutro – rzekł.

Veradis skinął zdawkowo, starając się ukryć, jak bardzo zaboląły go słowa ojca, a potem ruszył za Nathairem, którego kroki cichły już na schodach.

* * *

Reszta dnia upłynęła szybko. Zarówno konie, jak i reszta drużyny nie wymagały od nich szczególnej uwagi, więc Veradis i Alben wzięli bukłak wina i dwa gliniane kubki, po czym rozsiedli się na schodach prowadzących do sali biesiadnej, wygrzewając się w promieniach słońca.

– Jerolin było dla ciebie łaskawe, mały jastrzębiu – powiedział

Alben.

Nazywał tak Veradisa, odkąd młodzieniec sięgał pamięcią. Alben był nauczycielem fechtunku zarówno jego, jak i pozostałych braci, a naukę rozpoczął, gdy Veradis sięgał mu ledwie do pasa. Młodzieniec upił nieco wina i spojrzał na mury twierdzy.

– Gdy wyjechałeś, byłeś nieopierzonym wojownikiem, a wróciłeś jako dowódca – ciągnął Alben. – Nie ma co do tego wątpliwości.

– To Nathair nami dowodzi – parsknął Veradis. – Podążylibyśmy za nim wszędzie. Jest wielkim człowiekiem.

– Tak, zapewne to prawda, ale ten fakt nie wpływa na moje spostrzeżenia. Przynosisz zaszczyt nam wszystkim i swemu miastu, Veradisie. Jestem z ciebie dumny.

Młodzieniec znów prychnął.

– A mój ojciec? On jakoś nie wydawał się dumny.

– Rozejrzyj się. Twój ojciec jest władcą wszystkiego, co cię otacza, i ma wiele spraw na głowie.

– Tak, nie przeczę, ale nadal jest moim ojcem. – Veradis potrząsnął głową. – Nie powinienem tak wiele oczekiwać. Wówczas nie byłbym tak rozczarowany.

– Wiesz, że przypominasz mu matkę, prawda? – spytał Alben. – Ze wszystkich braci ty akurat jesteś do niej najbardziej podobny.

– I ja ją zabiłem – szepnął Veradis. – To dlatego nie może na mnie patrzeć.

Alben kilkakrotnie cmoknął cicho.

– Lamar kochał twą matkę. Do szaleństwa, rzekłbym. Gdy zaś darzyłeś kogoś tak wielkim uczuciem, wspomnienia o nim mogą sprawiać ból. Nie oznacza to, że ojciec cię nie kocha.

Veradis prychnął.

– Pamiętam cię, gdy byłeś dzieckiem i ledwo sięgałeś mi do kolan. Zawsze byłeś cichy i zamyślony.

– Mylisz mnie z Ektorem.

– Nie. – Alben dopił swe wino. – Nie sędzę. Pamiętasz, kiedy raz pojechałeś w ślad za Krelisem, który wybrał się na potajemną

wyprawę do lasu? Nie zdawał sobie sprawy z twojej obecności do chwili, gdy wdepnął w lisią norę i złamał sobie kostkę.

– Trochę pamiętam, ale nie wszystko, jeśli mam być szczerzy.

– Nic dziwnego. Nie mogłeś mieć więcej niż pięć zim. Tak czy owak, zostałeś z nim w lesie przez całą noc. Nie opuściłeś go, bo bałeś się, że pojawią się duchy olbrzymów i ci go odbiorą. Wróciłeś do fortecy dopiero o świcie. Twój ojciec był chory ze zgryzoty. Złapał cię, przycisnął do piersi i trzymał, jakby już nigdy nie miał cię puścić. Gdy Krelis powiedział mu później, że zostałeś w lesie z własnej woli, sądząc, że w ten sposób go ochronisz, jego oczy aż zapłonęły dumą. Widziałem w nich ten sam blask, gdy dowiedzieliśmy się, że zostałeś pierwszym mieczem Nathaira.

– A więc wie o tym?

– Tak. Od jakiegoś czasu.

Veradis westchnął i potarł dłonią twarz.

– Ja nie znam tego człowieka, o którym mówisz, Albenie. Widziałem często, jak spogląda w ten sposób na Krelisa, ale nigdy na mnie. – Wzruszył ramionami i dodał: – Starzejesz się. Może wszystko ci się już miesza w tej łepetynie.

Zbrojmistrz pacnął go w tył głowy ruchem szybkim jak atak węża. Obaj parsknęli śmiechem.

– Czasami najtrudniej jest ujrzeć to, co znajduje się tuż przed nami – rzekł cicho Alben.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają – odparł Nathair. – Ciągłe słyszę same zagadki.

Rozdział dwudziesty piąty

EVNIS

Evnis szlochał, gdy na kurhanie Fain kładziono ostatni kamień.

Księga z początku pomogła – moc ziemi wzmocniła na jakiś czas ciało chorującej kobiety. Jej uśmiech dodawał mu otuchy i pomagał okiełznać tłącą się w nim nienawiść. Niestety, nie trwało to długo. Wkrótce energia opuściła jego ukochaną i stała się ona cieniem samej siebie. A potem odeszła.

Jego syn, Vonn, stał obok niego, wysoki, wyprostowany, tłumiący w sobie rozpacz.

Czego on ode mnie chce? – myślał Evnis. Bym go pocieszył? Bym go pokrzepił na duchu? Bo teraz wszystko jest mi obojętne. Noszę własny żal, zbyt ciężki i przytłaczający, bym mógł jeszcze myśleć o synu.

Otaczał go krąg wojowników z jego hufca, którzy wznosili wysoko włócznie. Za nimi zgromadzili się jego domownicy, wszyscy gotowi, by zaśpiewać ostatni lament. Mimo to, nawet w chwili tak smutnej, myśli królewskiego doradcy bezustannie powracały do księgi. Jak do tej pory opanował zaledwie drobną cząstkę zawartej w niej wiedzy, ale księga była niczym narkotyk – pochłaniała go, bez chwili przerwy nakłaniała, by powrócił do studiowania. Z niemałym wysiłkiem odegnał myśli o niej i skupił się na kurhanie przed sobą. Na Fain. Jego nienawiść zapłonęła jasno, gdy na liście wrogów pojawił się ktoś nowy. Król Brenin.

Zemsta, wyszeptał jakiś głos w jego głowie.
Zniszczę go, obiecał mu.

Rozdział dwudziesty szósty

CORBAN

Corban osłonił dłonią oczy i spojrzał w stronę rzeki Tarin, gdzie jego ojciec stał teraz przed łowczymi z Dun Carreg.

Znajdował się jakieś pół mili od miejsca, w którym zbierali się uczestnicy łowów. Nie był sam – wraz z innymi chłopakami, którzy ćwiczyli na Jarzębinowej Łące, ale byli za młodzi, by przystąpić do sprawdzianu wojownika, tworzyli długą, rozciągniętą linię, zwróconą w stronę lasu. Ich zadaniem było płoszenie i naganianie zwierzyny łowczym.

Wiatr przyniósł pomruk samotnego rogu, po czym rozległ się odległy ryk. Serce mu podskoczyło – łowy się rozpoczęły! Razem z resztą naganiaczy ruszył energicznie w stronę lasu. Wkrótce zagłębili się między drzewa i zaczęli tłuc drewnianymi kijami o siebie. Hałas był ogłuszający, ale mimo to Corban usłyszał echo dobiegające z przeciwnego kierunku, co oznaczało, że z drugiego końca lasu również ruszyła nagonka. Biegł między drzewami, a jego towarzysze to pojawiali się, to znów znikali.

Idź powoli i wal co sił!, napomniał się w myślach.

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, ale mimo to nieśpiesznie, krok po kroku, Corban zapuszczał się w głąb lasu Baglun, tłukąc kijem o kij, ile mógł. Wkrótce szereg naganiaczy został rozproszony przez drzewa i krzewy.

W pewnym momencie usłyszał burczenie w brzuchu. Jak długo

tak szedł, hałasując? Już dawno spostrzegł, że osobie, która zapuszcza się w głąb lasu, czas płynie bardzo szybko. Rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby przysiąść i coś zjeść. Gdzieś po swojej prawej stronie słyszał jeszcze łoskot dwóch kijów.

– Farrell! – zawołał imię chłopaka, który stał obok niego w szeregu, gdy wchodzili do Baglunu. Nie chciał jeść sam.

– Jestem! – dobiegła go odpowiedź, szybciej, niż się spodziewał. – Tutaj!

Ruszył w kierunku głosu i wkrótce odnalazł kolegę.

– Głodny? – spytał.

– Nie masz pojęcia – odparł Farrell syn Anwartha, którego wielu ludzi nazywało tchórzem.

Farrell był wysokim, barczystym chłopakiem o masywnych nogach i ramionach. Miał przystojną, choć często ponurą twarz i czuprynę zmierzwionych, brązowych włosów. Corban widywał go na Jarzębinowej Łące i spostrzegł, że ów macha mieczem jak młotem.

Farrell usiadł na płaskim, pokrytym mchem kamieniu, a Corban rozłożył się obok niego. Plecami oparł się o gruby pień.

– Znudziłeś się już? – spytał Farrell, żując ogromny kęs chleba z serem.

– Nie. Lubię łązić po Baglunie. Jak długo trzeba będzie jeszcze naganiać? – spytał Corban.

– Och, usłyszymy rogi. Słuchaj, a może pójdziemy razem, co? Szereg i tak już się rozpadł. Jeden z nas może robić hałas, a drugi będzie torował drogę. Cierniste krzaki nie utoczą z nas tyle krwi.

– Dobry pomysł – przyznał Corban z krzywym uśmiechem i wkrótce ruszyli przed siebie.

Corban szedł przodem, a Farrell za nim. Szybko dostrzegł ślady jelenia w miękkiej ziemi niedaleko strumyka, a nieco dalej tropy czegoś większego, czego nie potrafił już nazwać.

Może to wilk?, pomyślał i nagle przystanął, żeby się rozejrzeć.

Zapuściłem się dalej niż kiedykolwiek wcześniej, uświadomił

sobie z narastającym lękiem. Nawet w dniu, kiedy się zgubiłem, nie byłem aż tak daleko.

Na szczęście tym razem nie był sam. Miał ze sobą Farrella. Wkrótce zamienili się miejscami. Przeskoczyli strumyk, który pojawił się na ich drodze, a wtedy Farrell stanął jak wryty, a Corban wpadł na jego plecy.

– Co się dzieje? – zaczął, ale uciszyło go ciche, niskie warknięcie.

Farrell zrobił krok w tył, obrócił się nagle i rzucił do ucieczki w głąb zagajnika, nie bacząc już na ostre kolce.

– Wiejemy! – wrzasnął na Corbana.

Złapał go w biegu za koszulę, szarpnął i wypuścił, ale to wystarczyło, by chłopak zatoczył się i wpadł w cierniste gałęzie. W tej samej chwili rozległ się plusk, gdy Farrell pokonał strumień i umknął, pozostawiając Corbana w potrzasku. Chłopak obrócił głowę ku temu, co wystraszyło jego towarzysza.

Patrzył na przynajmniej pół tuzina wilkunów, które stały na polance przed nim i warczały cicho, obnażając kły długie niczym sztylety. Każdy z nich był rozmiarów kuca. Jeden warknął głośniej, a Corbana sparaliżowało lodowate przerażenie, odbierające zdolność formułowania myśli. Otworzył usta, by krzyknąć, by zawołać o pomoc, ale nie padł z nich żaden dźwięk.

W oddali rozległ się róg. W odpowiedzi, nieco bliżej, zaszczekały psy.

Naraz Corban usłyszał za sobą kroki i wyczuł czyjąś obecność.

– Dlaczego nie uciekasz? – szepnął.

– A co, ja mam wiać, a ty tu zostaniesz? Nie ma mowy. Nie chcę, by wymyślano mi od tchórzy!

– Lepsze to niż śmierć.

– Nie dla mnie.

Polanka przed nimi była otoczona gąszczem drzew i ciernistych krzewów, a w jej centrum wznosiło się prastare drzewo o szerokim pniu. Podenerwowane odgłosami łowów wilkuny miały się dookoła niego. Większość z nich drżała i co chwila kładła uszy po

sobie, ale z ich grona wyróżniał się jeden, który stał nieruchomo. Wszystkie zwierzęta wpatrywały się w niego ślepiami koloru miedzi. Wtedy Corban ujrzał na ziemi jakieś poruszenie.

Szczeniaki. Na leśnym mchu, między dwoma rozłożystymi korzeniami, pełzały i turlały się szczenięta, nad którymi stała matka. Wciąż miała obwisły brzuch, a jej matowe, szare futro pocięte było białymi pręgami. Jej kły ociekały śliną, gdy warczała na chłopaka. Ten zaś spojrział w jej miedziane oczy i naraz przypomniał ją sobie, choć podczas ich poprzedniego spotkania była brudna od błota, a jej brzuch rozdymała ciąża. Miał przed sobą samicę, którą uratował z błota. Na jego oczach wciągnęła mocno powietrze w nozdrza, łapiąc jego zapach.

Inny wilkun, wielki i czarny, warknął i zrobił krok ku Corbanowi. Mięśnie jego łap napięły się, gdy drapieżnik szykował się do skoku, ale samica niepodziewanie zawarczała na niego ostro.

Chłopak nadal wpatrywał się w jej oczy, kiedy wśród drzew po drugiej stronie polany zaroilo się od psów, ludzi i wierzchowców. Pojawił się Ewnis na końskim grzbiecie, uzbrojony w długą, ciężką włócznię. Za nim wypadli z lasu Vonn i Helfach, otoczeni zgrają ogarów, a dalej reszta drużyny. Corban próbował ich zliczyć, ale stracił rachubę przy piętnastu.

Wilkuny zamarły, a potem bez chwili wahania rzuciły się na drużynę łowiecką. Sfora ogarów zastąpiła im drogę i na runie leśnym rozpętała się zaciekle walka. Zwierzęta warczały, kłapały szczękami, darły pazurami, tryskała krew. Któryś z ogarów wystrzelił w powietrze i uderzył w pień drzewa, aż chrupnęły łamane kości, po czym osunął się bez życia na ziemię. Jeden z wilkunów dopadł konia, wpił kły w jego szyję i przewrócił go na ziemię. Łyskały białka końskich ślepi, przygnieciony jego ciężarem jeździec wrzeszczał, bok drapieżnika przeszywały włócznie. Nieco dalej inny wilkun uniósł okrwawiony pysk znad poszarpanej twarzy i gardła powalonego wojownika. Ogary krążyły wokół drapieżników i kęsały je po zadach i tylnych nogach, a jeden z nich,

przysadziste bydlę o szarym futrze, doskoczył i zacisnął szczęki na gardle wilkuna. Ten w odpowiedzi machnął pazurami ostrymi niczym sztylety i rozpruł psu brzuch, uwalniając jelita, ale pozostałe psy wykorzystały moment i opadły wilkuna ze wszystkich stron. Drapieżnik, choć przygnieciony do ziemi, nie przestawał się miotać i walczyć, odbierając życie do końca, choć jego własne wsiąkało wraz z krwią w ziemię. Któryś z łowczych wrzasnął, gdy inny wilkun wgrzył się w jego ramię. Przewrócił się, a z rany trysnęła krew. Drapieżnik natychmiast znalazł się nad nim, szarpiąc jego ciałem jak szmacianą lalką. Helfach w okamgnieniu przypadł do niego, siekąc długim myśliwskim nożem.

I nagle wszystko ucichło. Ktoś jęczał, skamlał pies, myśliwi oddychali głośno, chrapliwie. Ewnis zsunął się z siodła i przypadł do jeźdźca uwięzionego pod przewróconym koniem. Był to Vonn.

– Nie! – wymamrotał Ewnis, układając sobie głowę chłopaka na kolanach. Jego twarz była blada, a oczy zamknięte. – Nie mogę stracić i jego. Dalej, pomóżcie mi!

Ludzie ocknęli się i zaczęli wyciągać ciało Vonna spod wierzchowca. Młody wojownik miał złamaną nogę.

– Tam jest jeszcze jeden! – wykrzyknął któryś z łowczych.

Głowy wszystkich obróciły się we wskazanym kierunku. Między dwoma grubymi korzeniami wśród liści kulila się samica wilkunów, ostatnia z watahy, której futro niemalże zlewało się z otoczeniem. Osłaniała własnym ciałem szczenięta.

Ewnis warknął, wskoczył na konia, porwał włócznię i runął na drapieżnika. Samica warknęła i poderwała się. Napięła mięśnie i skoczyła na szarżującego myśliwego, lecz głuchy warkot przerodził się w przeraźliwy pisk, gdy włócznia Ewnisa przybiła ją do ziemi. Jej ciałem wstrząsnął spazm, po czym znieruchomiała, ale królewski doradca nie zatrzymywał się. Poprowadził wierzchowca ku gromadce szczeniąt, tratując je kopytami. Krew bryzgała na wszystkie strony, piski maleństw urywały się, aż Ewnis uznał, że jest już po wszystkim i zawrócił konia.

Na polanę docierali kolejni myśliwi – Corban ujrzał Pendathrana, Marrocka i pozostałych, ale jego uwagę przyciągnęło coś innego, jakiś ruch wśród matowych futerek stratowanych szczeniąt. Nim uświadomił sobie, co właściwie czyni, ruszył chwiejnym krokiem ku drzewu. Jedno ze szczeniąt nadal żyło i niemrawo trącało noskiem ciało pobliskiego zwierzęcia. Chłopak odruchowo nachylił się, podniósł je i przytulił niczym nowonarodzone dziecko.

A potem spojrzał dookoła.

Wszyscy wpatrywali się w niego. Corban rozglądał się, aż dostrzegł Evnisa, który zmrużył oczy i wbił w niego wzrok.

– Odłóż to, chłopcze – powiedział cicho, ale usłyszeli go wszyscy na polanie.

Corban nie odpowiedział.

– Odłóż tego szczeniaka! – krzyknął Ewnis.

Wtedy chłopak usłyszał własny głos:

– Nie.

Królewski doradca zamknął oczy, oddychając głęboko.

– Połóż tego szczeniaka na ziemi i odsuń się na bok albo, niech mi świadkiem Elyon nad nami i Asroth pod nami, rozjadę zarówno jego, jak i ciebie!

Chłopak kątem oka pochwycił czyjś ruch. Ktoś zrobił ku niemu krok. Gar.

Ewnis uniósł wodze.

– Stój! – krzyknął ktoś głośno. – Zatrzymaj się, Ewnisie.

Był to Pendathran.

– Te bestie o mały włos zabrałyby mi syna! Ten szczeniak musi zginąć!

Pendathran zmarszczył brwi, wpatrując się w Corbana.

– On ma rację, chłopcze. Jeśli go wypuścisz, ten wilkun urośnie i być może odbierze życie kolejnym ludziom. Poza tym jego matka nie żyje, a więc prędzej czy później szczeniak zdechnie z głodu. Odłóż go lepiej.

Corban przytulił zwierzę mocniej i pokręcił głową.

– Zrób, co ci mówię! – warknął Pendathran.

Chłopak rozejrzał się w panice dookoła, ale nikt z obecnych na polanie nie miał ochoty przemówić w jego obronie. Gar przyglądał mu się, a jego twarz była nieprzeniknioną maską. On również nawet nie drgnął, by mu pomóc.

Pendathran cmoknięciem popędził konia.

– Domagam się królewskiej sprawiedliwości! – wypalił niespodziewanie Corban, patrząc to na wojewodę, to na Evnisa.

Pendathran wstrzymał wierzchowca i skrzywił się.

– Masz ku temu prawo, ale tylko odwlekasz to, co nieuniknione, a do tego budzisz moją złość – oznajmił i przygwoździł Corbana ponurym spojrzeniem. – Jesteś tego pewien?

Chłopak pokiwał głową.

– A więc niech tak będzie – warknął Pendathran i zawrócił konia.

Evnis wrócił do syna, nie spuszczając Corbana ani na moment z oczu. Malutki wilkun popiskiwał i mościł się w zagłębieniu ramienia chłopaka.

Rozdział dwudziesty siódmy

KASTELL

Dotarcie do granic Tenebralu zabrało prawie cały księżyc, choć król Romar narzucił ostre tempo, a drogi były w dobrym stanie. W miarę, jak wjeżdżali w wyższe partie gór, wyznaczające granicę Helvethu, liściaste lasy Tenebralu, w których przeważały dęby i kasztany, powoli ustępowały miejsca świerkom i sosnom. W pewnym momencie lasy się skończyły i drużyna podążyła dalej traktem wijącym się wśród bujnych łąk. Gdy wyrosły nad nimi ośnieżone szczyty, wojownicy wjechali w wąską dolinę. Z łomotem kopyt przemknęli po starym, niszczącym moście, rozpiętym nad głęboką przepaścią, przypominającą pęknięcie w skórze ziemi.

– To pozostałość po Pladze – mruknął do Kastella Maquin. – Gdy gniew Elyona obrócił cały świat w perzynę.

Młodzieniec zerknął w dół i dostrzegł nagie, ostre skały, niknące w ciemności. Nie miał pojęcia, jak głęboka była przepaść.

Niedługo potem rozbili obóz na noc.

Następnego dnia, gdy jechali przez głębokie doliny wzdłuż ciemnych jezior, wyznaczających południową granicę Helvethu, król Romar wezwał do siebie Kastella.

– Wierzysz w przeznaczenie, chłopcze? – spytał go, gdy ten zrównał się z nim. – Lub w wolę Elyona, jak zwał, tak zwał?

– Nie wiem – odparł Kastell. – Chyba tak.

– To dobrze – burknął Romar. – Bo ja tak. Wierzę w bogów,

w Elyona i Asrotha, i w nadejście Czarnego Słońca. Nie potrafię ci tego wyjaśnić, ale gdy Aquilus dzielił się swymi rewelacjami na radzie, w głębi serca wiedziałem, że to prawda. Czułem to.

Kastell burknął cicho. Nie miał pojęcia, co ma odpowiedzieć. Sam również coś poczuł, ale nie rozumiał tego i nie był w stanie tego opisać.

– Co więcej, wierzę, że ty miałeś się tu znaleźć, bratanku. Nie przez przypadek ocalałem cię w ostatniej chwili przed olbrzymami, gdy zmierzałem na radę. Nie, to na pewno nie był przypadek. – Spojrzał na Kastella i uśmiechnął się. Zmarszczki na jego szerokiej twarzy się pogłębiły. – Cieszę się, że twój zatarg z Jaelem dobiegł końca. Widziałem, co się dzieje, już gdy byliście dziećmi, ale nie chciałem interweniować. – Zmarszczył brwi i pokręcił głową. – Martwiłem się o was i poczułem ulgę, gdy wyjechałeś z Maquinem. Czułem, że to będzie dla was lepsze rozwiązanie. Mimo to wróciłeś, a wasz konflikt należy już do przeszłości. Moim zdaniem to przeznaczenie. Może Elyon opiekuje się nami nawet teraz, w tej chwili. – Znów uśmiechnął się do bratanka. – Jestem z ciebie dumny. Nie minął jeszcze osiemnasty dzień twego imienia, a już zasłynąłeś jako zabójca olbrzymów. Twój ojciec pękłby z dumy.

Kastell skrzywił się. Nie wydawał się sobie odważny, nie czuł też szczególnych powodów do dumy. Olbrzymy kojarzyły mu się głównie ze skrajnym przerażeniem.

– Jest wśród nas wielu, którzy noszą miano zabójcy olbrzymów – powiedział.

– To prawda, chłopcze. Sam nim jestem, choć przyznam, że gdy dotarliśmy na szczyt wzgórza i ujrzeliśmy Hunen szarżujących na was, na moment zrobiło mi się słabo. Ale prawda, rozbiliśmy ich w pył, choć odwaga przychodzi łatwiej, gdy ma się osiemdziesięciu wojów za plecami.

Zaśmiał się głośno, a Kastell nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. Trudno było się nie zgodzić z wujem.

Romar znów otaksował go wzrokiem.

– Zmieniłeś się, chłopcze. Wyrosłeś. To, co powiedziałem w namiocie przed twierdzą Aquilusa, było prawdą. Mam plany co do ciebie. Rozmawiałem już z Brasterem, królem Helvethu. Podjęliśmy decyzję o wspólnym uderzeniu na Hunen, by rozbić olbrzymy raz na zawsze.

– Czemu akurat teraz, wuju?

– To, co usłyszałem na radzie, przemawia do mnie i trafia prosto do mojego serca. Olbrzymy są dla nas przekleństwem od zarania dziejów. Elyon powinien był je wybić podczas Plagi. Cóż, stało się inaczej, a więc rozbić Hunen wydaje się sensownym działaniem na początek naszego sojuszu. Mój syn odziedziczy po mnie bezpieczniejsze królestwo. Hael ma dopiero osiem lat, ale król zawsze musi patrzeć w przyszłość. Poza tym olbrzymy ukradły mi topór, a ja muszę go odzyskać.

– Kiedy zaczniesz działać?

– Wkrótce. – Romar wzruszył ramionami. – Jeszcze nie w tym roku, ale przypuszczalnie wiosną przyszłego roku, może latem. Mam ochotę wciągnąć w to Aquilusa. W końcu to on zaproponował, byśmy sobie nawzajem przychodzili z pomocą. Skoro mamy zapuścić się w las Forn i wydać Hunen bitwę na ich własnym terytorium, im więcej będziemy mieli ludzi, tym lepiej, nieprawdaż?

– Chcecie się wdrzeć do Fornu?

– Tak, chłopcze. Nie wydaje mi się, by Hunen zgodzili się wyjść z lasu i stawić nam czoła na otwartej równinie. Trzeba zapuścić się między drzewa i wygubić ich do szczętu.

Kastell powoli pokiwał głową.

– Nie ma wątpliwości, że nadchodzą mroczne, niebezpieczne czasy. Będę potrzebował ludzi, którym mogę zaufać. Ludzi, którzy mogą stawać na czele oddziałów i nie będą się wzbraniać przed obowiązkami. Jesteś jednym z nich.

Zdumiony Kastell spojrział na wuja z otwartymi ustami, a ten znów parsknął śmiechem.

– Nie martw się, chłopcze. Nie nastąpi to dziś.

– Mimo to nie sądzę, by zaprawiony w bojach weteran chciał słuchać moich rozkazów.

– Zdziwiłbyś się. Jesteś moim krewnym. Jeśli wydasz rozkaz, ludzie będą cię słuchać. Jak dotąd nigdy tego nie robiłeś, ale sytuacja może się zmienić w każdej chwili. Spójrz tylko na Jaela. Wprawia się w tym od chwili, gdy jako chłopak przybył do Mikil.

Kastell prychnął.

– I jest jeszcze Maquin – ciągnął król. – Bardziej lojalnego od niego towarzysza trzeba by ze świecą szukać, ale myślę, że mógłby stać się kimś więcej. Nadaje się na dowódcę. Widzę w nim wielki potencjał. Mógłbyś się sporo od niego nauczyć.

– Jest moim przyjacielem – rzekł Kastell i natychmiast poczuł się nieswojo. Nigdy dotąd nie powiedział tego na głos.

– Wiem i cieszę się z tego – odparł Romar.

Zapadła cisza, a po chwili król wysforował na czoło drużyny. Kastell zwolnił zaś, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał. Wkrótce nadciągnął zmierzch, a wtedy na tyłach zjawił się Jael, prowadząc konia jucznego z wieloma pustymi bukłakami.

– Wkrótce będziemy rozbijać obóz – powiedział do Maquina, całkowicie ignorując Kastella. – Weź tego konia i kilku ludzi do pomocy, znajdź źródło wody i napełnij bukłaki. I pośpiesz się lepiej, bo pić mi się chce.

Wcisnął wodze w ręce Maquina, kopnął końskie boki i popędził na czoło kolumny. Siwowłosy wojownik skrzyknął trzech jeźdźców, skinął na Kastella i wspólnie ruszyli w dół łagodnego, porośniętego lasem wzgórza w stronę zauważonego wcześniej strumienia. Między konarami zahukała sowa.

Maquin uklęknął przy strumyku, ale poślizgnął się na porośniętym mchem kamieniu i z pluskiem wpadł do wody. Wszyscy parsknęli śmiechem. Siwowłosy wojownik wyciągnął rękę.

– Ejże, pomóżcie staruszkowi! – zawołał do najbliższego z ich towarzyszy, Ufilasa.

– Kiedy raz nazwałem cię staruszką, to rąbnąłeś mnie pięścią w oko – odparł wojownik. Złapał Maquina za przedramię i wyciągnął go ze strumienia, a ten poklepał go po plecach w ramach podziękowania.

Mój wuj ma rację, pomyślał Kastell. Maquin jest urodzonym przywódcą.

Sowa znów zahukała, tym razem nieco bliżej. Maquin przekrzywił głowę i wbił wzrok w ciemniejący las.

– Co się dzieje? – spytał jeden z wojowników.

Rozległ się syk, a potem łoskot. Z piersi mężczyzny wyrzało ostrze włóczni, a on sam runął do strumienia.

W lesie zaroilo się od ludzi, którzy wyskakiwali z cieni. Byli chudzi i wyglądali na zdesperowanych, gotowych na wszystko. Ze wszystkich stron błysnęło żelazo. Kastell widział włócznie, miecze, długie noże, jakiś topór. Maquin i Ulfilas dobyli mieczy, a trzeci z ich towarzyszy zwarł się z którymś z napastników i razem zwałili się do wody, wymachując ramionami.

Kastella otoczyły krzyki oraz szczęk oręża. Zerwał się, poślizgnął na mchu, ale zdołał wyciągnąć miecz. Zatoczył się ku Maquinowi i Ufilasowi. Jeden z napastników szarżował już, mierząc włócznią w bok starszego wojownika, ale Ulfilas machnął mieczem i rozrąbał drzewce na pół, a Maquin wbił swoje ostrze w gardło wroga. Ten osunął się na ziemię i zaległ wśród innych nieruchomych ciał. Tymczasem otaczali ich już kolejni, zbyt wielu, by ich zliczyć.

Kastell przypadł do walczących w spienionym strumieniu. Uniósł miecz, ale nie był w stanie odróżnić wroga od sojusznika. Wtedy usłyszał okrzyk Maquina i podniósł głowę. Dostrzegł kilku kolejnych napastników, którzy zbliżali się powoli i przezornie, widać nauczeni doświadczeniem. Jeden z nich, zarośnięty człowiek z serca puszczy, przeszedł do szaleńczego ataku. Kastell uniknął ciosu i rzucił się naprzód, wykonując dzikie pchnięcie. Poczul, jak jego ostrze przebija skórę i ludzkie ciało. Nacierał z takim impetem, że miecz pograżył się w ciele przeciwnika aż po rękojeść.

Na dłonie trysnęła mu ciemna krew, a osuwające się ciało pociągnęło go za sobą. Szarpnięciem oswobodził ostrze, odzyskał równowagę i błyskawicznie uskoczył w bok. Wroga włócznia przeszła miejsce, gdzie stał ułamek sekundy wcześniej. Zachwiał się, oślepiony potem ściekającym z czoła, kątem oka ujrzał jakiś ruch i odruchowo uniósł miecz, przechwytyjąc topór opadający prosto na jego czaszkę. Ostrza zazgrzytały, aż buchnęły iskry. Gdy Kastell odzyskał ostrość widzenia, świat przesłoniła mu brudna twarz kolejnego napastnika, który natarł na niego z taką siłą, że niemal zetknęli się ramionami. Poczul jego cuchnący oddech. Ułamek sekundy później dojrzał innego człowieka, próbującego zająć go od tyłu. Ryknął i odrzucił mężczyznę z toporem w stronę brzegu strumienia. Napastnik zachwiał się i potknął, a Kastell wykorzystał sytuację i rąbnął go między szyją a ramieniem. Miecz utknął w ranie. Młodzieniec szarpnął, ale nie mógł go wyswobodzić.

Maquin i Ulfilas walczyli po kolana w wodzie, zwrócenii plecami do siebie. Niespodziewanie Kastell usłyszał za sobą plusk. Z rozpaczą raz jeszcze szarpnął za miecz – znów bezskutecznie – po czym wypuścił go i odwrócił się. Zalała go fala bólu, gdy wroga włócznia drasnęła go w zębra. Miał naprzeciwko siebie kolejnego dzikusa odzianego w futra. Przez zgiełk starcia przebił się ostrzegawczy okrzyk Maquina i Kastell uświadomił sobie, że jego przeciwnik cofa włócznię i szykuje się do kolejnego, śmiertelnego tym razem pchnięcia. Kłykie dłoni zaciśniętych na drzewcu zbieleły, mięśnie drgnęły i włócznia pomknęła naprzód. Wtedy rozległo się ciche mlaśnicie i mężczyzna zatrzymał się. W jego gardle tkwiła czarnopióra strzała. Włócznia wyslizgnęła się z jego dłoni, a on sam osunął się na kolana i przewrócił na plecy. Na jego obliczu zastygł wyraz zaskoczenia.

Spomiędzy drzew wypadli mężczyźni o nieludzkich, wykrzywionych grymasami twarzach. Mieli na sobie obszerne spodnie, ale ich torsy pozostawały gołe. Czaszki mieli wygolone, nie licząc grubych, czarnych warkoczy wojowników, a ich skórę zdobiły

blizny układające się w skomplikowane wzory.

Byli to Sirakowie.

Wyjąc przeraźliwie, natarli na banitów. Ich krótkie, zakrzywione miecze unosiły się i opadały. Ludzie, którzy zaatakowali Kastella i jego towarzyszy, z wrzaskiem rzucili się do ucieczki, próbując ująć nieoczekiwanym, niosącym śmierć napastnikom.

Nikomu się to nie udało.

Wyczerpani Maquin i Ulfilas nadal stali wsparci o siebie w strumieniu. Siwowłosy wojownik miał twarz zalaną krwią i ranę biegnącą w poprzek czoła, Ulfilas opadł na jedno kolano. Z przebitego uda ciekła mu krew.

Kastell ujrzał, jak Maquin pochyla się nad jednym z trupów i coś majstruje przy jego pasku, ale wtedy uwagę wszystkich przyciągnął dobiegający z oddali odgłos. Odwrócili się i dostrzegli tuzin jeźdźców, którzy gnali w ich kierunku na czele z Romarem i Jaelem.

Na widok Siraków Jael pochylił włócznię i popędził konia, ale Maquin wyskoczył ze strumienia i stanął mu na drodze.

– To przyjaciele! – krzyczał, wymachując szaleńczo ramionami. – Przyjaciele!

Romar ściągnął wodze i huknął głośno na Jaela, który uniósł włócznię i zahamował rumaka, aż spod jego kopyt wystrzeliły mech i błoto. Zapadła cisza, przerywana jedynie pochrapywaniem koni i pluskiem wody.

– Co tu się wydarzyło? – warknął Romar.

– Zostaliśmy zaatakowani – Maquin otarł krew z oczu – przez tych... – Urwał i wskazał trupy rozrzucone wzdłuż brzegu strumienia. – Mieli nad nami wielką przewagę, ale w ostatniej chwili ci wojownicy przybyli nam z odsieczą. Uratowali nam życie!

Romar spojrział na niespodziewanych sojuszników. Jeden z nich wystąpił.

– Jestem Temel z Siraków – rzekł z gardłowym akcentem.

– A ja jestem Romar, król Isiltiru. Poznają cię. Spotkaliśmy się

na radzie u króla Aquilusa. – Spojrzał na liczne trupy i dodał: – Dziękuję wam za pomoc. Mój obóz leży w pobliżu. Proszę, przyjmijcie zaproszenie na poczęstunek, bym choć w ten sposób mógł wyrazić swą wdzięczność.

Sirak oszczędnie skinął głową.

– Udamy się po nasze konie i dołączymy do was wkrótce – rzekł i odwrócił się, by wraz z resztą swych ludzi zniknąć w ciemnościach.

– Przeszukajcie ich ciała – rozkazał Romar i wskazał trupy banitów. – Chcę wiedzieć, kim byli.

Ciała napastników zostały zrzucone na kupę, a poległych wojowników Romara przewieszono przez końskie grzbiety. Kastell uklęknął przy strumieniu i zmył krew z dłoni. Czuł pulsujący ból w boku. Uniósł koszulę i obejrzał draśnięcie, z którego ściekała krew.

Maquin uklęknął obok niego.

– A więc nadal żyjemy, chłopcze. Wygląda na to, że ktoś tam, w niebie, uśmiecha się do nas, co nie?

– Nie sądzę – mruknął Kastell i skrzywił się z bólu, obmywając ranę. – Nie wygląda to najlepiej. – Wskazał cięcie na czole Maquina.

– To tylko draśnięcie – odparł stary wojownik. – Wprawdzie krwawię jak zarzynana świnia, ale z ranami czaszki zawsze tak bywa. Nie jest tak źle, jak wygląda. – Oderwał pasmo materiału z koszuli, namoczył wodą ze strumienia, wyżał i owinął je sobie wokół głowy. – Och, na zęby Elyona, boli, ale dobrze jest znowu ujść z życiem!

Romar kazał im siadać na konie. Przy trupach nie znaleziono nic, co wskazywałoby na ich tożsamość. Wojownicy szybko wrócili na drogę i dotarli do obozu, a niebawem dołączyli do nich Sirakowie na swych niewielkich kucach. Była ich garstka, Kastell naliczył niecałe dwa tuziny. Wraz z Maquinem i Ufilasem udali się do królewskiego felczera, by ten zajął się ich ranami.

Po chwili chłopak mógł już zasiąść do wieczerzy, ciesząc się w duchu, że uszedł śmierci. Sirakowie siedzieli dookoła ogniska wraz z jego wujem i garstką innych.

Ocalili mnie, pomyślał Kastell. Ci dziwni, zajadli, przerażająco wyglądający ludzie pomogli mi ujść z życiem.

Chciał im podziękować, ale u boku Romara ujrzał Jaela.

Jeden z Siraków wstał i ruszył na skraj obozowiska. Kastell odprowadził go wzrokiem, a potem poderwał się i podążył za nim, wciąż ściskając bukłak rozwodnionego wina, które upodobał sobie podczas pobytu w Tenebralu.

Sirak stanął przy pniu dębu i ulżył swemu pęcherzowi. Gdy skończył, Kastell podszedł do niego.

– Ocaliłeś mi życie – powiedział.

Obcy wojownik wpatrywał się w niego bez słowa. Ciemne oczy błyszczały pod wydatnym czołem.

– Przy strumieniu. Uratowaliście mnie. Mnie i innych. Dzięki – powiedział niepewnie młodzieniec i podał mężczyźnie bukłak.

Na poblížnionej twarzy obcego wojownika pojawił się uśmiech, przez co w blasku ognia wyglądał jeszcze bardziej przerażająco niż przed chwilą. Ujął bukłak i pociągnął łyk.

– Bodil – powiedział, ścierając strużkę wina z podbródka. – Moje imię. Bodil.

– A moje Kastell. Jak nas znaleźliście?

– Dziwne miejsce na spotkanie, nie? – Bodil zaśmiał się krótko. – Szliśmy za tymi ludźmi. Podążali tym samym szlakiem, który wiedzie do naszej ojczyzny – wyjaśnił i podał Kastellowi bukłak. – Wyjechaliśmy z Jerolin dzień po was. Nie szcędziliśmy koni. Opuściliśmy Arconę – urwał. – Po waszemu Morze Traw. To moja ojczyzna. Zbyt długo byliśmy z dala od Arcony.

Kastell skupił się na mowie Siraka. Jego dziwny akcent utrudniał zrozumienie. Morze Traw znajdowało się na wschód od lasu Forn. Słyszał opowieści o tym królestwie położonym na skalistym płaskowyżu o stromych zboczach, ciągnącym się ponad

wierzchołkami drzew niezmiernego lasu.

– Niedaleko, może jakąś milę stąd – mówił Bodil, machając ręką w stronę lasu – ujrzelśmy ślady, które odbiegały od drogi. Mój ojciec jest nieufnym, ostrożnym człowiekiem, ale nie potrafi obojętnie przejść obok tego, komu grozi niebezpieczeństwo, więc podążyliśmy tym tropem. Resztę już znasz.

W lesie dało się słyszeć wycie wilkuna. Przy ognisku rozległo się wołanie i Bodil zeszywniał.

– Muszę już iść – rzekł. – Ojciec mnie wzywa.

Kastell skinął głową.

– Chciałem tylko podziękować za uratowanie mi życia.

– Do usług, Kastellu z Isiltiru. – Bodil uśmiechnął się i wrócił do ognia.

Młody wojownik oparł się o pień dębu. Sączył nieśpiesznie wino, które powoli się kończyło. Z ciemności wychynął Maquin z głową owiniętą świeżym bandażem.

– O, tu jesteś, chłopcze. Szukałem cię, bo chcę ci coś pokazać – rzekł i wyjął sakiewkę, którą trzymał pod koszulą. Potrząsnął nią lekko, brzęknęły monety.

– Skąd to masz? – spytał Kastell.

– Znalazłem przy jednym z trupów – powiedział mężczyzna cicho i rozejrzał się dookoła. – Nie wiem, co ty o tym sądzisz, ale mnie wydali się bandą obdartusów, a tacy z reguły nie noszą przy sobie pieniędzy.

– Co masz na myśli?

– Wyciągnij rękę, chłopcze – rzekł Maquin i wysypał część zawartości sakiewki na otwartą dłoń Kastella. Monety błysnęły w blasku ognia.

– To złoto! – zdumiał się chłopak.

– Zgadza się, ale to nie wszystko. Przyjrzyj się uważniej.

Kastell podniósł jedną z monet i zbadał ją w świetle płomieni.

– Nic z tego nie rozumiem – wyjąkał. Na monecie ujrzał bowiem zygzak błyskawicy. Herb Isiltiru.

– Nie? A więc pozwól, że ci pomogę. Jesteśmy daleko od Isiltiru, prawda?

Kastell pokiwał głową.

– A nawet gdybyśmy byli w domu, kto mógłby dysponować takimi monetami? Król i jego najbliżsi.

– Jael – szepnął Kastell.

– Otóż to. Myślę, że to, co zdarzyło się przy strumieniu, nie było wcale dziełem przypadku. Ci ludzie zostali opłaceni, i to sownie, by wykonać przydzielone im zadanie.

Kastell wpatrywał się w przybocznego z niepokojem.

– Może teraz przekonasz się do pomysłu wstąpienia w szeregi Gadrai? – spytał Maquin.

Rozdział dwudziesty ósmy

CORBAN

– Czym, na Zaświat Asrotha, jest królewska sprawiedliwość? – spytał Farrell, ogryzając zimną nóżkę kurczaka.

Corban siedział na tyle wielkiego wozu, który podskakiwał na nierównościach traktu olbrzymów. Towarzyszyło mu około tuzina innych chłopców, którzy nie spuszczaali z niego oczu, a ściślej mówiąc nie z niego, a z futrzanego kłębuszka, który wiercił się pod jego pachą. W ich spojrzeniach przestrach mieszał się z ciekawością. Farrell był jedynym, który odezwał się do niego od chwili, gdy rozsiedli się na wozie, choć pozostali słuchali chciwie ich rozmowy.

– To prastare prawo – wyjaśnił Corban. – Jeśli powołasz się na nie, tylko król może rozstrzygnąć twą kwestię.

– Na zęby Asrotha, nigdy wcześniej o tym nie słyszałem. – Farrell gwizdnął, plując jedzeniem.

– Jak już powiedziałem, to stare prawo. Nie sądzę, by ktokolwiek skorzystał z niego od czasów rządów Arda.

– To skąd o nim wiesz?

– Brina mi powiedziała.

– Ta wiedźma? – parsknął Farrell.

– Ona jest uzdrowicielką – mruknął Corban, choć myślami był gdzieś indziej.

Na horyzoncie wisiały ciemne chmury, a nad wozem przemykał

silny, ostry wiatr. Chłopak spojrzał na futrzaną kulkę w swoich objęciach i westchnął.

Co ja robię?, pomyślał. Chyba mi odbiło.

Wtedy przypomniał sobie, jak Ewnis wrzeszczał na niego na polanie, i uświadomił sobie, że nie miał wyboru. Musiał ocalić szczeniaka.

Zabici i ranni zostali przytroczeni do koni i ostrożnie wywiezieni z Baglunu. Posłano też przodem jeźdźca, by sprowadził Brinę i inne uzdrowicielki, które mogły przed wieczorem dotrzeć do fortecy. Vonn stracił przytomność, gdy podniesiono go z ziemi. Corban pamiętał jego zwisające bezwładnie ręce i nogi.

– I co teraz z tym zrobisz? – spytał Farrell, wskazując szczeniaka.

– To, co rozkaże mi królowa Alona.

– Aha. – Farrell pokiwał głową. – Jasne.

– Dzięki – dodał Corban. – No wiesz, za to, że wróciłeś.

Farrell prychnął w odpowiedzi.

W oddali pojawiła się twierdza Dun Carreg. Szare niczym żelazo chmury nadciągały znad morza i dzień przedwcześnie ciemniał. Choć byli daleko od brzegu, Corban poczuł smak soli na wargach. Widział białe plamki mew krążących wzdłuż wybrzeża.

Nadciągał sztorm.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

CYWEN

Cywen chodziła tam i z powrotem po dziedzińcu przed Kamienną Bramą. Coś było nie tak. Działo się coś bardzo, bardzo złego, ale nie miała pojęcia, o co chodzi. Ta świadomość doprowadzała ją do szału. Od dłuższej chwili do fortecy napływały grupki jeźdźców, z których większość miała poważne, a nawet ponure twarze.

Dziewczyna porzuciła swe stanowisko przy bramie i pognąła do stajni, gdzie postanowiła zaczekać na powrót Corbana. W budynku trwało zamieszanie – konie rżały, pobrzękiwała uprząż, ale głosy rozprawiających ludzi były ciche, stłumione. Zwykle było inaczej. Zwykle gwar był wręcz ogłuszający, wojownicy przechwalali się swymi wyczynami i cieszyli się na wieczorną ucztę. Gdy dziewczyna weszła do stajni, nawet te nieliczne rozmowy przycichły, a potem całkiem się urwały.

Podeszła do jednego z koni i zaczęła ściągać z niego siodło. Spytała przy tym uprzejmie, jak się udało polowanie, ale jedyną odpowiedzią było chłodne spojrzenie. Doszła do wniosku, że w stajni niczego się nie dowie, więc wróciła do bramy.

Grupy powracających jeźdźców były teraz liczniejsze. Nagle dziewczyna dojrzała trupy oraz ciała rannych przewieszane przez grzbiety wierzchowców, prowadzonych przez znużonych wojowników. Słowa uwieźły jej w gardle na ten widok.

Tato! Corban! Gar! Gdzie oni są?, pomyślała.

Wówczas spostrzegła ojca, który jechał na Nieugiętym, swym wielkim koniu roboczym. Obok niego na Młocie jechał Gar, jak zwykle z kamiennym, niewzruszonym obliczem, a za nimi człapał Buddai. Cywen odetchnęła z ulgą i podbiegła do nich.

– Gdzie jest Ban? – zapytała, zrównawszy się z jadącymi.

Thannon spojrział na nią. Jego wzrok był tak ponury, że dziewczyna cofnęła się o krok.

– Zaraz tu dotrze – powiedział.

– Czyli nic mu nie jest? Kiedy zobaczyłam, że niektórzy z powracających...

– Tak, Cy. Nic mu nie jest. Przynajmniej na razie – odparł ojciec i przetarł twarz wielką, stwardniałą dłonią, odprężając się nieco.

– Co się stało? – spytała Cywen.

– Nie teraz, dziewczyno – mruknął kowal i rozejrzał się.

– Ale...

Ojciec obrzucił ją spojrzeniem, od którego kora odpadała z drzew. Słowa protestu zamarły na jej ustach.

– Idź do domu, dziewczyno. Niedługo tam dotrzemy.

Wbił wzrok w coś daleko przed sobą, ignorując jej obecność, a Cywen posłusznie opuściła głowę, odwróciła się i wybiegła z dziedzińca, ale gdy tylko zniknęła ojcu z oczu, natychmiast zawróciła. Przypadła do rogu budynku, znajdującego się na skraju, upewniła się, że Gar i Thannon pojechali dalej, i popędziła do bramy.

Minęło sporo czasu, nim pojawiły się wozy z chłopakami z nagonki, które turkocząc, wtoczyły się na most. Zmierzch nadchodził szybko, a na niebie kotłowały się grube, czarne chmury, przez co dziewczyna wpierw nie była w stanie wypatrzeć Corbana w tłumie.

Dopiero po chwili spostrzegła go, siedzącego z tyłu drugiego wozu. Zeskoczył na ziemię, jedną ręką trzymając się burty. Drugą ręką przyciskał coś do boku.

– Ban, co się dzieje?! – zawołała Cywen, podbiegłszy do niego. –

Nic ci nie jest?

Naraz zatrzymała się jak wryta, bo na łokciu Corbana coś się poruszyło. Błysnęło jasne futro z ciemnymi plamkami. Jej brat nie odpowiedział ani słowem. Miast tego nabrał tchu i ruszył przed siebie. Podążyła za nim, podbiegając, by nadążyć.

– Ban, co się stało? Skąd masz tego psa?

Corban wciągnął powietrze.

– To nie pies – rzekł i pokazał jej młode.

Jego siostra z trudem powstrzymała okrzyk, gdy ujrzała długi pysk, pokryte meszkiem policzki i ślepia koloru miedzi. Z pyszczka sterczały dwa ostre kielki.

– To szczenię wilkuna, Cy. Znalazłem je w Baglunie.

– Och – bąknęła dziewczyna. Przez dłuższą chwilę nie miała pojęcia, co powiedzieć, a potem w jej głowie zaczęła wzbierać lawina pytań.

Corban przypuszczalnie dostrzegł to w jej oczach, gdyż rzekł:

– Proszę, Cy, cierpliwości. Nie chcę opowiadać tego samego tysiąc razy. Chcę teraz tylko znaleźć się w domu, a tam opowiem wam o wszystkim.

Naraz oboje dostrzegli Marrocka, który szedł szybkim krokiem ku Corbanowi.

– Królowa chce się z tobą zobaczyć. Teraz.

Nie czekając na odpowiedź, mężczyzna odwrócił się i ruszył z powrotem, a Corban w milczeniu podążył za nim. Cywen nie odstępowała go na krok.

Było już ciemno, a z nieba zaczęły padać grube krople deszczu. Podrywane ostrymi podmuchami wiatru kęsały dziewczynę w twarz. Naciągnęła na głowę kaptur.

Wkrótce z ciemności wyłoniła się sala biesiadna. Całą trójką weszli do środka i ujrzeni sarnę obracaną nad ogniem. Przez chwilę Marrock prowadził ich kamiennymi korytarzami, a potem przeszedł przez drzwi. Alona, okryta futrami, zasiadała na tronie z ciemnego drewna.

Za nią stali Gar oraz rodzice Corbana, Thannon i Gwenith.

– Czy ktoś z twojej rodziny ma zamiar jeszcze do nas dołączyć, Thannonie? – spytała Alona.

– Nie – burknął zarumieniony kowal i przestąpił z nogi na nogę.
– Ale Ban jest jeszcze niepełnoletni, a to poważna sprawa. Powinienem być obecny.

– Z pewnością. Zarówno ty, jak i matka chłopca. – Alona zerknęła na Gwenith. – Obecność jego siostry i mego stajennego nie jest już taka oczywista, ale – uniosła dłoń, by powstrzymać protesty – pozwolę im zostać. Nie będziemy przecież zdradzać sekretów królestwa. Chyba.

Cywen przytuliła się do matki, a Corban podszedł bliżej i stanął przed królową. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Alona znów uniosła dłoń.

– Zaczekajmy na jeszcze jedną osobę – rzekła chłodno.

Chłopak pokiwał głową i wbił wzrok w podłogę.

Minęła dłuższa chwila, nim na korytarzu rozległy się kroki, a potem pojawił się Ewnis, pobladły, brudny od błota i zaschniętej krwi.

– Ewnisie – odezwała się królowa. – Pendathran opowiedział mi o tym, co się zdarzyło. W jakim stanie jest twój syn?

– Żyje, moja pani. Znalazł się pod opieką Briny. Natrafiliśmy na nią na trakcie, ale uparła się, że zajmie się nim w swojej chacie. To dlatego dotarłem dopiero teraz. – Nabrał tchu, jakby chciał mówić dalej, ale zmienił zdanie.

– A więc, Corbanie, postanowiłeś powołać się na sprawiedliwość królewską?

Chłopak uniósł głowę.

– Tak, moja pani.

– Niestety, jak sam wiesz, króla tu nie ma. Czy zgodzisz się, bym to ja go zastąpiła?

– Oczywiście, tak – powiedział Corban cicho. – Wszak jesteś, pani, głosem króla Brenina podczas jego nieobecności.

– Dobrze. Wysłucham więc wszystkiego, co masz do powiedzenia, a gdy wydam wyrok, będzie on ostateczny. Czy to jasne?

– Tak, moja pani – rzekł Corban.

– Ewnisie?

– Oczywiście – potwierdził doradca.

– Po pierwsze, Corbanie, chciałabym wiedzieć, gdzie usłyszałeś o królewskiej sprawiedliwości?

– Brina opowiedziała mi o tym.

– Brina. Doprawdy? – Alona uniosła brew.

– Pomagam jej czasem w zbieraniu ziół i obowiązkach domowych.

– Rozumiem. – Królowa spojrzała na Corbana z namysłem. – Ewnisie. Pora, byś opowiedział nam, co się dziś wydarzyło.

– Niewiele mam do powiedzenia, moja pani. Chwilę po południu drużyna łowczych, którą prowadziłem, znalazła się na polanie w głębi Baglunu. Natknęliśmy się tam na wilkuny oraz tego chłopaka. – Wskazał Corbana. – Wilkuny zaatakowały nas, ale zdołaliśmy je pozabijać, ponosząc przy tym wielkie straty. Mój Vonn... – Urwał na moment, po czym podjął drżącym głosem: – Vonn znalazł się wśród rannych, choć przeżył. Po walce okazało się, że na polanie są jeszcze szczenięta. Pozabijałem je wszystkie z wyjątkiem tego, którego trzyma teraz chłopak. Kazałem mu go wypuścić, ale chłopak odmówił, choć jestem doradcą samego króla. Następnie nie posłuchał również polecenia twego brata, pani, wojewody Ardanu. Sprawa jest prosta. Szczeniak musi zostać zabity, a temu bezczelnemu smarkaczowi trzeba przypomnieć, czym jest dyscyplina.

Cywen nie mogła uwierzyć własnym uszom i z wielkim wysiłkiem zamknęła rozchylone usta. Jak Ban mógł się wpakować w coś takiego? Jak to możliwe, że stawiał czoła Ewnisowi i Pendathranowi, dwóm najpotężniejszym ludziom w królestwie?

– Marrocku, jak to możliwe? Nie słyszałam, by kiedykolwiek doszło do takiego starcia między nami a wilkunami!

Marrock wystąpił. Stare blizny, pozostawione przez wilkuna na policzku i szyi, błysnęły.

– Nie mam pewności, moja pani. Moje doświadczenia z wilkunami są ograniczone, ale jeśli wierzyć opowieściom, bestie te pochodzą z dawnych czasów. Olbrzymy hodowały je, by wykorzystać do walki w Wojnie Skarbów. Heb mógłby opowiedzieć nam coś więcej. Wiem, że budową przypominają wilki, choć są większe, rzecz jasna, i rzekomo niezwykle inteligentne. Doskonale tropią, polują i zabijają. Zaryzykowałbym teorię, że wilkuny nie zaatakowałyby nas, gdyby nie szczenięta. Rozejrzałem się po polanie i odkryłem wielką norę między korzeniami drzewa. Zazwyczaj szczeniaki spędzają tam pierwsze księżyce, dopóki nie urosną na tyle, by mogły się przemieszczać z całą watahą. Gdyby ich tam nie było, dorosłe wilkuny po prostu by odeszły. – Spojrzał na futrzaną kulkę na rękach Corbana. – Przypuszczam, że to instynkt nie pozwolił wilkunom przenieść szceniaków w inne miejsce. Postanowiły zostać przy nich, a gdy zostały odkryte, walczyły niczym demony, by je ochronić. Wilkuny spędzają całe życie w watahach i wydaje mi się, że ich więzi są bardzo mocne.

Alona pokiwała głową, a potem powoli odwróciła się ku Corbanowi.

– A ty? Co masz nam do powiedzenia?

Corban wyglądał, jakby się wahał. Przez moment Cywen wydawało się, że jej brat odda szcenię, ale nagle ujrzała, że się prostuje. Zobaczyła upór w jego oczach.

– To wszystko... – zaczął. – Trudno mi to wszystko wyjaśnić.

– Cóż, ale musisz spróbować, jeśli rzeczywiście zależy ci na życiu tego zwierzaka – rzekła królowa chłodno.

Chłopak uklonił się i rzekł:

– By zrozumieć, co takiego zrobiłem i dlaczego, muszę... – Urwał, a Cywen ujrzała na jego twarzy lęk bądź troskę. – Muszę opowiedzieć wam o mojej ostatniej wyprawie do lasu Baglun.

– Nie krępuj się. – Alona machnęła ręką.

Corban opowiedział więc o swojej wyprawie do Baglunu, o wyciu, które usłyszał, o uratowanej samicy wilkuna i o tym, jak odnalazł go Gar. Cywen odwróciła się i spostrzegła zaskoczenie malujące się na twarzach rodziców. Nawet stajenny, zazwyczaj nieporuszony, wydawał się zdumiony.

– Gdy znalazłem się na polanie i uświadomiłem sobie, że są na niej wilkuny, naprawdę się przestraszyłem. Ba, to nie był przestach, a zgroza. Skamieniałem z przerażenia. Byłem pewien, że zaraz zginę. Ale wtedy samica wilkuna spojrzała na mnie, a ja ją rozpoznałem. Ona też mnie poznała. Pamiętała tę chwilę z bagien.

Evnis parsknął, a Corban oblał się rumieńcem.

– Naprawdę tak było! A ów atak... Przecież wilkuny broniły tylko swoich dzieci! Każdy z nas by to zrobił!

– Zginęło ośmiu ludzi. Padły trzy konie i niemalże cała moja sfera – warknął Evnis.

– Ale ja chcę właśnie przekazać, że to nie wina szczeniaków! Przecież one nikomu nic nie zrobiły, a ty je stratowałeś – wyrzucił z siebie Corban, a potem urwał i zacisnął zęby. – Gdy było już po wszystkim i zwierzątka były martwe, ujrzałem, że jedno nadal żyje. Podbiegłem więc i złapałem je. Nie planowałem tego. Po prostu nagle uświadomiłem sobie, że już je trzymam, a gdy spojrzałem na nie, przytuliłem i poczułem, jak się wije i wierci, ja... ja pomyślałem sobie wówczas, że zrobiłem coś dobrego. Że tak należy. Że trzeba chronić niewinne istoty, prawda?

– Prawda – szepnęła Cywen.

– Gdybym pozwolił, by Evnis je zabił, to... Sam nie wiem, wszystko poszłoby na marne! To, że zgubiłem się w lesie i że wyciągnąłem tę samicę z bagna... No, wszystko!

Alona pochyliła głowę. W komnacie zapadła cisza. Królowa zacisnęła dłonie na poręczach tronu.

– A co chcesz począć z tym szczeniakiem? – spytała Corbana.

Evnis wytrzeszczył oczy, a na twarzy chłopaka pojawiło się coś nowego. Czyżby nadzieja?

– Będę się o niego troszczył. Będę się nim opiekował. Wychowam go. Mój ojciec hoduje najlepsze ogary, jakie świat widział. Nikt nie zrobi tego lepiej od niego.

– Powoli, chłopcze – parsknął Thannon. – To, co właśnie trzymasz, nie jest psem!

– No to może chowajmy go jak psa! – wykrzyknął Corban, całkiem pochłonięty tą myślą. – Co ty na to? Wilkuny są większe od psów i mają dłuższe kły, ale poza tym niewiele się od nich różnią!

Kąciki ust Alony drgnęły.

– Twój entuzjazm jest ujmujący. Marrocku, czy to możliwe?

Evnis parsknął z pogardą, a łowczy wzruszył ramionami.

– Nie mam pewności. Może. Idzie za tym pewne ryzyko, ale... – Postukał palcem w rękojeść miecza. – Ale może ten dzieciak podołałby zadaniu, z pomocą Thannona. – Znów wzruszył ramionami.

Evnis otworzył usta, ale uprzedziła go Alona.

– To w istocie ryzykowny pomysł – powiedziała i wbiła w chłopca surowe spojrzenie. – Ale mam ochotę spełnić twe życzenie. Nadeszły trudne czasy i potrzeba nam nie tylko surowej sprawiedliwości, ale i przykładów miłosierdzia. Thannonie, jako głowa tej rodziny, czy jesteś gotów pomóc synowi w tym dziele?

Thannon zerknął na Gwenith, która skinęła szybko głową.

– Tak, moja pani.

– Dobrze. Niemniej – w głosie królowej znów pojawiły się chłód i surowość – jeśli dojdzie do choć jednego incydentu, w którym mój poddany zostanie skrzywdzony przez tę istotę, zostanie ona zgładzona. Natychmiast, bez szans na ulaskawienie. Oto moje warunki.

– Co?! – wykrztusił Evnis. – Jak możesz w ogóle aprobować coś takiego? Te zwierzęta to potwory! Mordercze potwory! Pozwalając mu żyć, okrywasz hańbą mego syna! Jak możesz mi to zrobić?

– To szczenie nie wyrządziło Vonnowi żadnej krzywdy, Evnisie, a dorosłe sztuki, zdaniem mego łowczego, próbowały jedynie

ochronić swe młode.

– Mimo to... – zaczął Ewnis, ale Alona mu przerwała:

– Czy mam ci przypomnieć, że przysięgałeś zgodzić się z moim wyrokiem?

Ewnis przez chwilę próbował odzyskać panowanie nad sobą, aż wreszcie pochylił głowę.

– Jeśli to wszystko, moja pani, chciałbym się zająć synem.

Alona skinęła głową i doradca królewski wyszedł pośpiesznie z komnaty.

Zaskoczona Cywen spojrzała na matkę i ojca, ale jako pierwszy zareagował Corban, który padł na kolana przed królową i ucałował jej dłoń. Potem powstał powoli, nie wiedząc, gdzie ma skierować wzrok.

– Ja... ja chciałbym podziękować – wymamrotał. – Nie pożałujesz swej decyzji, pani.

– Czas to pokaże – odparła Alona i wskazała drzwi.

Chłopiec zrozumiał gest i ruszył na zewnątrz. Cywen podążyła za mamą, ale po drodze zauważyła, że spojrzenia Gwenith i Alony spotkały się na ułamek sekundy. Po chwili wszyscy znaleźli się w kamiennym korytarzu.

* * *

To właśnie Gwenith przerwała ciszę, gdy wpadli do ciepłej kuchni, mokrzy od deszczu.

– Przyniosę trochę koziego mleka. Szkoda by było, by szczeniak umarł z głodu po tym, co dla niego zrobiłeś.

Corban postawił małego wilkuna na podłodze. Ten stał przez moment nieruchomo na wyprostowanych, sztywnych łapkach, aż chłopak usiadł obok niego i przysunął rękę do jego pyszczka. Szczeniak wyciągnął szyję i obwąchał ją. Jego uszka drgały. Był pokryty gęstym, białym futrem, a jego tułów przecinały ciemniejsze

paski. Buddai dźwignął się ze swego legowiska przy palenisku, przyczłapał do szczeniaka i wcisnął swój pomarszczony, czarny pysk w jego futro, oddychając głęboko, chrapliwie. Malec próbował złapać go zębami, ale Buddai potrząsnął tylko łbem. Na oczach całej rodziny zwałił się przy nim na podłogę i zaczął go szturchać wielkimi łapami, na co młody wilkun skoczył na niego z warknięciem i próbował go pochwycić za ucho.

Thannon parsknął śmiechem.

– Głupi pies – prychnął. – Ciągłe sądzi, że jest szczeniakiem. Cóż, chłopcze, jeśli Buddai nie ma nic przeciwko zwierzakowi, ja również nie. To pies czy suka?

Corban wzruszył ramionami i unióś tylną nogę psa.

– Suczka.

– Jak ją nazwiesz, Ban? – spytała Cywen.

Nad fortem zamigotała błyskawica, niemalże natychmiast po niej zagrzmiał piorun. Podmuch wiatru otworzył kuchenne drzwi, które uderzyły z trzaskiem o ścianę, deszcz smagnał kamienną podłogę. Gar zamknął drzwi.

– Burza – rzekł chłopak. – Nazwę ją Burza.

Rozdział trzydziesty

VERADIS

Veradis siedział w komnacie, w której został powitany przez ojca. Ze stołu znikły już mapy, a pojawiły się na nim dzbany i puchary. Król Lamar zasiadał między Krelisem i Ektorem, a po przeciwnej stronie znajdował się książę Nathair z Veradisem. Wspólny posiłek, który spożyli w wielkiej sali, przebiegł bez zakłóceń, nie licząc jednego incydentu z Nathairem. Książę chciał bowiem usiąść na krześle obok Lamara, które zawsze pozostawało puste, gdyż kiedyś należało do matki Veradisa. Oczywiście ojciec zrzucił winę na syna za to, że nie opowiedział Nathairowi o ich tradycji, a Veradis musiał się z tym zgodzić. Był bowiem nadal rozkojarzony po rozmowie z Elysią, córką stajennego, i całkiem o tym zapomniał. W efekcie ojciec stracił humor i wciąż pozostawał markotny.

– Aquilus wyświadczył mi wielki zaszczyt, wysyłając tu ciebie, Nathairze – rzekł.

– Mój ojciec bardzo cię ceni. – Książę przechylił głowę. – Dobrze wie, że jesteś lojalny wobec korony.

– A więc, pora na wieści z rady. – Baron Ripy pochylił się ku księciu. – Mówiłeś, że masz mi coś do przekazania.

– Tak. Przed nami doniosłe chwile, Lamarze. Jak już wiesz, mój ojciec wysłał posłańców do wszystkich krańców Ziem Wagnanych, a większość z odwiedzonych przez nich władców zdecydowała się skorzystać z zaproszenia na radę. Nie przybyła jedynie garstka.

Veradis przyglądał się twarzom ojca i braci, gdy Nathair opowiadał o przebiegu rady u Aquilusa, rewelacjach Meicala i zapiskach olbrzyma Halvora. Książę opowiadał o tajemnicach i wizjach zawartych w odnalezionej księdze, a potem o projekcie sojuszu wszystkich królów przeciwko temu, co może nadejść w przyszłości, oraz o burzliwej debacie, która potem wybuchła.

Twarz Lamara była nieporuszona, ale zadał wiele pytań, zwłaszcza dotyczących argumentów za sojuszem i przeciwko niemu. Chciał też wiedzieć, kto się sprzeciwił woli Aquilusa. Krelis kilkakrotnie dał wyraz emocjom, zwłaszcza gdy Nathair mówił o tych, którzy występowali przeciwko królowi. Ektor słuchał uważnie, ale nie odezwał się ani słowem.

– Ten cały Meical – rzekł Lamar. – Słyszałem już kiedyś to miano, ale nigdy nie poznałem tego człowieka. Opowiedz mi o nim.

– To doradca mego ojca, ale rzadko kiedy odwiedza królestwo. Był poza jego granicami przez wiele lat i zbierał informacje, które wam teraz przedstawiłem.

– Jak wygląda? – przerwał Ektor.

– Jest wysoki. Bardzo wysoki. Ma ciemne włosy i liczne blizny po walce – rzekł Nathair i wzruszył ramionami. – Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

– A oczy? Jakiego koloru ma oczy?

– Eee... Ciemne chyba. Nie mam pewności. Czemu pytasz?

– Tak tylko. – Ektor machnął dłonią.

– Czy jest jeszcze coś, co możesz mi o nim opowiedzieć? – spytał Lamar.

– Niewiele ponad to, że ojciec ufa mu całkowicie. Posłańcy z zaproszeniem na radę zostali wysłani dopiero po jego przybyciu.

– A ty? Ty też mu ufasz?

Nathair rozparł się na krześle.

– To doradca mego ojca, a nie mój. Nie zwieramy się sobie z wątpliwości, ale ja chylę czoła przed mądrością mego ojca i jeśli on mu ufa, uważam, że powinienem zrobić to samo.

– Cóż, dobrze powiedziane. Aquilus nie jest głupcem, tego jednego jestem pewien. – Lamar wydawał się znużony, gdy wychylił się naprzód. – W istocie przynosisz wielkie wieści. Na naszych oczach ma się rozegrać Wojna Bogów, a co więcej, my zostaniemy wykorzystani w niej jako pionki. Trudno sobie to wszystko wyobrazić, choć wciąż wszędzie widać wielkie blizny, jakie na tym świecie pozostawiła Plaga. Bogowie, anioły i demony na tym padole? – Zacisnął pięść, aż zachrzęściły stawy, po czym skrzywił się. – Ale wpierw ma nadejść to Czarne Słońce, tak? – Zmarszczył brwi. – Bardzo chciałbym móc przeczytać księgę tego Halvora.

– I ja również! – odezwał się pożądliwie Ektor.

Lamar położył dłoń na jego ramieniu.

– Mój syn jest niezwykle wykształconym człowiekiem. Dysponujemy kolekcją starożytnych manuskryptów, tu w tej wieży. Ektor być może będzie mógł wam pomóc w zrozumieniu przepowiedni.

– Znam reputację Ektora – rzekł Nathair, a Veradis ujrzał cień nowej emocji na twarzy brata. Czyżby duma? – Jestem przekonany, że da się to jakoś załatwić.

– A więc czego Aquilus ode mnie oczekuje? – spytał Lamar.

– Byś przygotował się na najgorsze. Trenuj swój hufiec na nadchodzącą wojnę i przychodź z pomocą tym, którzy poparli króla na radzie.

– Niby jak?

– Mój ojciec da ci znać. Słyszałem rozmowy o stworzeniu armii, która miałaby rozprawić się z Hunen, niedobitkami wielkiego klanu olbrzymów, nękającymi od czasu do czasu pogranicze Helvethu. Niewykluczone, że ojciec wesprze ją własnymi oddziałami, choć na razie to tylko luźny pomysł.

– Dostarczyłeś mi wiele tematów do przemyśleń – rzekł Lamar. – Jeśli to wszystko, udam się już na spoczynek. Porozmawiamy rano.

Nathair skinął głową i zaczął się podnosić.

– Chciałem też przeprosić za to, co miało miejsce wcześniej – powiedział.

– Przeprosić?

– Tak. Za to nieporozumienie z krzesłem. Veradis opowiedział mi już o waszej tradycji.

– Szkoda, że nie zrobił tego przed wieczerzą – oznajmił Lamar.

– Już za to przepraszałem, ojcie – wymamrotał Veradis.

– Może. – Ojciec mówił cichym, zimnym głosem. – Ale nie mnie. Poza tym, jak można przeproszać za to, że zapomniano się o własnej matce? Nie ma słów, które byłyby w stanie za to zadośćuczynić.

Baron Ripy wstał.

– Jesteś zanadto surowy, Lamarze – powiedział Nathair. – Veradis osiągnął wiele w Tenebralu. Bardzo wiele, rzekłbym. Jest moim pierwszym mieczem, a także dowódcą mojej drużyny. Masz wiele powodów, by być z niego dumnym. Proponuję skupić się na nich, a nie na mało istotnym niedopatrzaniu.

– Mało istotnym... – Lamar zeszywniał i nabrał tchu. – To, co jest ważne, a co nie, często zależy od punktu widzenia. Wiele osiągnął, jak mówisz. Może. A może za dużo i za szybko? Dzieciak nie staje się mężczyzną z dnia na dzień.

– Trudno się z tym nie zgodzić. Ale być może spodziewasz się nadal widzieć dziecko tam, gdzie stoi już mężczyzna.

Lamar zacisnął dłonie na poręczach fotela, aż poblady mu kłykcie.

– Nie próbuj pouczać mnie w moim własnym domu, jak mam wychowywać synów. Nie jesteś jeszcze królem, Nathairze. Jesteś młodym człowiekiem, ale młodość to marne wytłumaczenie dla tak wielkiej arogancji.

Nastała cisza. Słowa Lamara nadal wisiały w powietrzu.

Nazywa mnie dzieckiem, pomyślał wstrząśnięty Veradis. I znieważa księcia, jedyne go człowieka, któremu ufam.

Niespodziewanie buchnął w nim gniew.

– Powinieneś teraz przeprosić Nathaira! – warknął i uświadomił

sobie, że wstaje. – Jest twoim księciem i jesteś mu winien szacunek! – Serce waliło mu jak młotem.

Krelis również się poderwał. Lamar spoglądał to na Nathaira, to znów na Veradisa. Przez dłuższą chwilę wszyscy stali w milczeniu.

– Szacunek – powiedział w końcu Lamar. – Jaka szkoda, że wiesz o tym tak mało.

Odwrócił się i wyszedł, a Ektor podniósł się szybko i podążył za nim. Krelis zawahał się, ale uczynił to samo.

* * *

Veradis jechał na czele swej niewielkiej kolumny wojowników z Nathairem u boku. Książę podjął decyzję o wyjeździe o świcie.

– Zrobiłem wszystko, o co prosił mnie ojciec, dopełniłem swej powinności – powiedział.

O pierwszym brzasku Veradis udał się więc do stajni, gotów do wyjazdu. W gronie jego wojowników niektórzy mieli przekrwione oczy i cierpieli na ból głowy, ale młodzieniec z dumą zauważył, że wszyscy stawili się na dziedzińcu przed główną bramą. Po chwili wyszedł do nich Nathair, pogrążony w rozmowie z Ektorem. Za nimi pojawiła się sylwetka Krelisa, który podszedł prosto do Veradisa.

– Żegnaj więc, braciszku – rzekł i wyciągnął rękę.

Veradis wychylił się z siodła i ścisnął jego ramię.

– Zeszłej nocy ojciec... – zaczął Krelis, ale pokręcił głową. – Nieważne. Myślę, że cię wkrótce odwiedzę. Póki co, uważaj na siebie.

Zerknął przelotnie na Nathaira, a wtedy Veradis poczuł, że znów wzbiera w nim ten sam gniew, który pochwycił go wczoraj.

– Mam na siebie uważać, co? – syknął. – Chciałem ci przypomnieć, że zostałem wysłany do Jerolin, ale wróciłem z honorem! Dobrze wykorzystałem mój czas i na pewno nie jestem

już dzieckiem. Służę księciu Tenebralu!

– Tak. Zeszłej nocy dałeś nam to wyraźnie do zrozumienia – odparł Krelis. Mówił cichym głosem, tak by jego słowa dotarły tylko do Veradisa.

– Czy służenie księciu to przestępstwo? – wycedził jego brat. – Myślę, że to ojciec powinien na siebie uważać. Jego słowa niebezpiecznie zahaczały o zdradę.

Krelis zmrużył oczy i pośpiesznie puścił ramię Veradisa.

– Dobrze się zastanów, zanim powiesz to, co chcesz rzec. Bo raz wypowiedzianych słów cofnąć się nie da.

Nim młodzieniec zdołał odpowiedzieć, jego brat zrobił krok do tyłu i podniósł rękę na pożegnanie. Veradis również wznosił dłoń, zacisnąwszy ją w pięść, a potem na czele swych wojowników wyjechał z Ripy. Nie odwrócił się nawet za siebie.

* * *

Nathair wybrał zapomniany, zaniedbany trakt, który mijał las od północy, mówiąc, że wyjaśni swój wybór później. Veradis nie przejmował się tym szczególnie, gdyż w myślach wciąż rozpamiętywał minę brata i jego ostatnie, nader szorstkie słowa. Nigdy dotąd nie pokłócił się z Krelisem. Nigdy.

Przed zachodem słońca rozbili obóz niedaleko ruin Balary, starej twierdzy olbrzymów.

– Nie zdejmuj siodła – polecił mu Nathair. – My dwaj zaraz wyruszamy.

Veradis skinął głową i pomógł innym wojownikom, którzy zajmowali się swoimi wierzchowcami i rozstawiali namioty. Potem, gdy słońce zaczęło chować się za lasem, nasyciwszy chmury łagodnym różem, usiadł i zjadł miskę potrawy z ryby. Chwilę później zawołał go Nathair.

– Jeśli nie wrócimy o pierwszym brzasku – rzekł książę do Rauki

i wskazał ruiny twierdzy olbrzymów – zbierz ludzi, jedź do tamtej wieży, i pozabijaj wszystkich, których tam znajdziesz. Rozumiesz?

Rauca zmarszczył brwi, ale pokiwał głową.

– Spotkamy się tam z Calidusem z Vin Thalun oraz jego towarzyszem – wyjaśnił Nathair, gdy ruszyli w mrok. Teren podnosił się łagodnie, minęli już pierwsze drzewa. – A będzie nim jego władca, Lykos.

– Czy to bezpieczne?

– Tak mi się wydaje. – Książę wzruszył ramionami. – Czasami trzeba podjąć ryzyko, jeśli spodziewasz się wielkich korzyści. Dziś zrobię kolejną ważną rzecz dla mego ojca.

– A co, jeśli będą chcieli cię zabić? Albo wziąć do niewoli i zażądać okupu.

– Tak, trzeba się z tym liczyć, ale przecież, gdyby tego chcieli, mogli już dawno to zrobić. Calidus dał mi to wyraźnie do zrozumienia, pamiętasz?

– Ale... – mruknął Veradis i urwał. Nie podobał mu się ten pomysł.

Jadący obok niego Nathair ściągnął wodze i zeskoczył z wierzchowca.

– Najpierw jednak chciałem porozmawiać z tobą, o czymś zupełnie innym.

Veradis również ześlizgnął się z końskiego grzbietu i zwrócił się ku księciu, którego twarz niknęła pośród cieni, ale oczy mieniły się niczym płynne światło gwiazd.

– O sprawie mego ojca. O naszej wspólnej sprawie. Wierzysz w nią?

– Tak, Nathairze.

Książę wpatrywał się w niego w milczeniu, aż Veradis przerwał ciszę i dodał:

– Nie mam w zwyczaju dużo myśleć, tak jak Ektor, ale chyba znam się na ludziach. Poznałem króla Aquilusa, poznałem ciebie. Wypełniam twoje rozkazy i ufam memu królowi. Nadeszły dziwne

czasy, co do tego nie ma dwóch zdań. Kamienie ronią krwawe łzy, białozmije snują się po ziemi.

– Nie. – Nathair pokręcił głową. – Słuchanie mnie czy mego ojca nie wystarczy. Veradisie, ja muszę wiedzieć, w co wierzysz. – Szturchnął przybocznego palcem w pierś. – Księga Halvora i przepowiednie o Wojnie Bogów. Wierzysz w nie?

Veradis powoli pokiwał głową.

– Tak – powiedział i z zaskoczeniem uświadomił sobie, że tak właśnie było. Że nie ma wątpliwości.

Nathair uśmiechnął się i przeczesał palcami włosy. Chwila ciszy przeciągała się, aż wreszcie księżę zabrał głos:

– Pamiętasz moje sny? Te, o których ci mówiłem?

– Tak.

– Myślę, że zaczynam je rozumieć. Ów głos, który słyszę, ciągle ten sam... Myślę, że należy do Elyona, Ojca Ojców. – Urwał. – Masz mnie za szaleńca?

– Nie, Nathairze.

– Ten, o którym mówi proroctwo, Jasna Gwiazda, obrońca Elyona. Ja myślę... myślę, że to ja nim jestem. Że Elyon wzywa mnie przez moje sny. Pamiętasz, gdy spotkaliśmy Calidusa, a ty skoczyłeś przez ścianę ognia? Rozmawiałem z nim później długo w jego namiocie. On wie o wszystkim. Opowiedział mi o Wojnie Bogów i powiedział mi, że jestem... że jestem wybrany.

Veradis zadrżał.

– Mój ojciec od dawna opowiadał mi o tym, co ma nadejść. Ostrzegał mnie przed tymi dniami, przygotowywał mnie na nie. Stoimy na krawędzi przepaści, Veradisie. Muszę mieć przy sobie wiernych ludzi. Wielkich ludzi. Jesteś pierwszym z nich, a już udowodniłeś, ile jesteś w stanie dla mnie zrobić. Skoczyłeś dla mnie przez ogień, czego nie zrobił nikt inny, a zeszłej nocy pokazałeś, że przedkładasz mnie ponad własną rodzinę.

Veradis milczał. Chciał odwrócić wzrok, gdyż nagle poczuł skrepowanie, ale wzięło go spojrzenie Nathaira. Księżę wyciągnął

nóż zza pasa. Jego ostrze błysnęło w blasku gwiazd.

– Chcę, byśmy złożyli sobie przysięgę krwi. Jesteś dla mnie darem od Elyona, bratem, którego nigdy nie miałem, moim pierwszym mieczem, obrońcą, dowódcą mych ludzi oraz przyjacielem. Zwiąż się ze mną, a Elyon przyniesie nam chwałę, o której nigdy nawet nie marzyliśmy. Stawimy czoła Czarnemu Słońcu Asrotha i zmienimy nasz świat. Co ty na to?

Przez umysł Veradisa przemknęło wszystko, co wydarzyło się pod koniec poprzedniego księżyca. Ponownie ujrzał twarz swego ojca i usłyszał słowa, które padły z jego ust: „Dzieciak nie staje się mężczyzną z dnia na dzień”. Zobaczył oblicze Krelisa i Ektora, ale brzmienie słów Nathaira zagłuszyło to wszystko. Nagle odkrył w sobie niezbitą pewność, że Nathair został stworzony do wielkich celów. Czuł to, niemalże słyszał głos szepczący w jego głowie, ponaglający go, by ugiął kolano, a do tego uświadomił sobie najważniejsze – otóż Nathair w niego wierzył.

Nie mógł się oprzeć. Słowa jego księcia, przywódcy i przyjaciela trafiły mu prosto do serca i Veradis opadł na kolana.

– Z ochotą złożę tę przysięgę. Jestem gotów związać się z tobą i z naszą sprawą, Nathairze, aż po ostatni dzień mego życia.

– A więc powstań, bracie, bo odtąd nim właśnie dla mnie będziesz. Wspólnie przypieczętujemy nasze słowa krwią.

Księżę przeciągnął nożem po otwartej dłoni i podał ostrze Veradisowi, a ten wykonał szybkie cięcie. Potem ich zakrwawione dłonie połączyły się w uścisku. Stali tak przez długie chwile w ciemnościach.

– Jesteśmy teraz zaprzysiężeni krwią i związani ze sobą dopóty, dopóki krew będzie nadal płynąć w naszych ciałach – rzekł Nathair i uśmiechnął się. – A teraz ruszajmy na spotkanie naszego przeznaczenia.

Wskoczył na powrót w siodło i popędził konia naprzód. Veradis stał przez moment, zaciskając piekącą dłoń, po czym również dosiadł swego wierzchowca.

Ruiny Balary – czarny kolos obramowany blaskiem gwiazd – potężniały przed nimi z każdą chwilą. Bliskość miejsca, którego tak się bał jako dziecko, sprawiała, że Veradisa przechodziły dreszcze przerażenia, ale Nathair bez lęku parł naprzód. Brama była zawalona gruzem, zatem ruszyli wzdłuż murów i jechali tak długo, aż odnaleźli wyrwę. Nie była ona na tyle szeroka, by przeprowadzić przez nią konie, więc zeskoczyli na ziemię i przywiązali je do pobliskich drzew, a potem wkroczyli w cienie prastarej twierdzy olbrzymów.

Nathair szedł szeroką drogą, a Veradis kroczył tuż za nim, podejrzliwie próbując przeniknąć wzrokiem mrok. Nagle ujrzeni przed sobą światło, które wypełniało zwieńczone łukiem wejście. Nad bramą wyrastała zniszczona wieża, której fragmenty zaścielały dziedziniec.

Przy drzwiach stał samotny wojownik z długą włócznią w ręku. Veradis złapał za miecz, ale Nathair wyminął obcego i wniknął do środka wieży. Strażnikiem okazał się Deion, mężczyzna Vin Thalun, który został przywieziony do Jerolin w łańcuchach. Pirat skinął Veradisowi głową, a ten burknął coś pod nosem i wszedł za Nathairem do wieży.

Wielkie, okrągłe pomieszczenie, w którym się znaleźli, opromieniał blask pochodni. Wszędzie zalegały gruz i gnijące drewno. Wzdłuż ścian biegły kamienne schody, które nagle się urywały, a przez dziurę wyszarpaną w murze migotały gwiazdy.

Przed nimi stały trzy postacie. Veradis natychmiast rozpoznał chudą twarz siwobrodego Calidusa oraz towarzyszącego mu olbrzyma Alcyona, ale uwagę skupił na trzeciej osobie, która wystąpiła naprzód. Mężczyzna nosił zwykłą zbroję z utwardzanej skóry. Miał ogorzałą twarz o ostrych rysach i głębokie zmarszczki wokół oczu. Wyciągnął rękę ku Nathairowi. W blasku pochodni zamigotał pierścień z klejnotem.

– Witaj, Nathairze – powiedział. – Nazywam się Lykos. Czekałem na ten moment od dawna.

Książę uściskał mu ramię.

– Witaj, Lykosie. Przybyłem na twoje wezwanie. Cieszę się z paktu między nami.

– Były czasy, gdy taki układ byłby nie do pomyślenia, bo nikt nie mógł przemówić za Vin Thalun – odparł Lykos. Mówił gładko, ale w jego głosie pobrzmiwała szorstkość. Z jakiegoś powodu kojarzył się Veradisowi z wilkiem. – Teraz jednakże przywódcy Trzech Wysp ugięli przede mną karki. Nie jesteśmy już podzielonym narodem. Jesteśmy realną siłą, a nie tylko utrapieniem dla większych królestw. – Zadumany pociągnął za posiwiały warkocz w brodzie. Żelazne pierścienie w jego zaroście brzęknęły cicho o siebie. – Chciałem się z tobą spotkać i osobiście podziękować za twe zaangażowanie w zaistnienie tego sojuszu. Jestem pewien, że bez twego wysiłku nie doszedłby do skutku.

Nathair pochylił głowę.

– To jedyny powód, dla którego spotykamy się tutaj, w środku nocy? – zapytał.

– A więc nie wiesz?

– Może wiem – powiedział Nathair cicho, niemalże szeptem. – Ale chciałbym to usłyszeć.

– A więc proszę bardzo. – Lykos nabrał tchu. – Od wielu dziesiątków lat wiem, że przyjdzie mi ci służyć i przygotowuję się do tego. Jesteś wybrańcem, Nathairze.

Twarc księcia ani drgnęła, ale Veradis nagle wyczuł jakąś zmianę. W komnacie pojawiło się napięcie, od którego mrowiła mu skóra.

– Skąd ta pewność? – szepnął Nathair.

– Ponieważ widziałem to wszystko w moich snach – padła odpowiedź. – Śniłem o ciemności, która rychło nadejdzie, ale także o człowieku, który zmieni świat, przez który idziemy, i zjednoczy Ziemię Wygnanych pod jednym sztandarem. Dowiedziałem się, że to ty jesteś tym człowiekiem, Nathairze.

Nagle Lykos padł na kolana.

– Jestem na twe rozkazy, Nathairze, a wraz ze mną Trzy Wyspy Vin Thalun oraz flota, jakiej nie widziały Ziemie Wygnanych od chwili, gdy Wygnańcy wylądowali na jej brzegach.

Rozdział trzydziesty pierwszy

CORBAN

Corban raz jeszcze sprawdził listę ziół i roślin, po które wysłała go Brina: nawłóć, fiołek, mak, tojad oraz czarny bez. Wszystkie znalazły się w torbie, którą niósł na ramieniu.

– Nie mieszaj ich ze sobą! – ostrzegła go uzdrowicielka, a chłopak bez namysłu zapytał o powód.

Zdarzało się, że cierpliwość Briny wyczerpywała się dopiero po pół tuzinie jego pytań, ale bywały dni, jak na przykład dziś, kiedy Corban spodziewał się kąśliwej odpowiedzi na każde pytanie.

– Bo z niektórych zrobię okłady, a z innych wywary – warknęła. – A teraz do roboty, darmożjadzie, bo ten chłopak wyzionie ducha, czekając na leki! – dodała, otwierając przed nim drzwi.

– Do roboty! – wrzasnął za nim przeraźliwie kruk Craf.

Corban nie znosił tego ptaka.

Wracał teraz do chaty, a w jego żołądku rozlewał się powoli lęk. Bał się, że o czymś zapomniał.

– Nawłóć, fiołek, mak, tojad, czarny bez – recytował głośno.

Burza przechyliła łebek i spojrzała na niego spomiędzy wysokich traw, w których buszowała. Co chwila zatrzymywała się, by polować na motyle i uganiać się wśród kęp traw, co go spowalniało, ale cieszył się w duchu z takich przerw.

Od czasu polowania, które miało miejsce dziesięć noc temu, stali się niemalże nierozłączni. Rozstawał się ze szczeniakiem tylko

na czas ćwiczeń na Jarzębinowej Łące, na co nalegał Thannon.

– Niech się ludzie najpierw oswoją ze świadomością, że masz takie zwierzę – wyjaśnił chłopcu. – To jeszcze nie czas, by z nią paradować przed innymi. Poza tym niektórzy wojownicy na Łące mają bliskich, którzy zginęli lub zostali ranni podczas polowania.

Kiedy Thannon podejmował jakąś decyzję, mało co było w stanie go od niej odwieść, a poza tym ojciec w tym przypadku miał rację. W lesie Baglun w istocie zginęło kilku ludzi. Gdyby ktoś spośród nich był krewnym Corbana, przypuszczalnie również nie byłby w stanie myśleć o Burzy bez niechęci.

Chłopak pochylił się i zaszeleścił trawą niedaleko szczeniaka. Ten przykucnął, wyskoczył, złapał go zębami za nadgarstek i potrząsnął łebkiem. Corban jęknął z bólu. Kiełki Burzy były ostrzejsze od kościanych igieł jego mamy. Uwolnił rękę, złapał psiaka za futro na policzkach i pociągnął dla żartów.

Uniósł wzrok i ujrzał strużkę dymu, wznoszącą się z komina otoczonej olchami chaty Briny. Nie chciał tam wracać. Źle znosił sam fakt przebywania w towarzystwie Vonna, syna Evnisa, choć teraz rannego dopadła gorączka i Corban nie musiał wysłuchiwać jego uszczypliwych komentarzy. Wytrzymywanie paskudnych nastrojów Briny również nie należało do przyjemności i chłopaka kusiło, by nie wracać jeszcze do chaty uzdrowicielki, czuł jednak, że czym później tam zawita, tym większą burę zbierze.

– Chodźmy już – rzekł z rezygnacją do Burzy i ruszył w drogę.

Dwa konie pasły się wśród bujnych traw wokół chatki, a jakiś człowiek siedział oparty o jej ścianę. Wstał na widok Corbana i stanął przed drzwiami. Był to strażnik Evnisa, mężczyzna imieniem Glyn, któremu Tull złamał nos podczas zawodów. Chłopak chciał go objeść. Unikając kontaktu wzrokowego, sięgnął po kłamkę, ale wojownik zablokował mu drogę.

– Nikt nie ma wstępu – rzekł.

– Ale Brina... – wyjąkał Corban.

– Nikt – przerwał mu ostro wojownik i dźgnął go w pierś

sękatym palcem. Chłopak cofnął się o krok i wbił wzrok w ziemię, nie wiedząc, co ma począć.

Burza wydała z siebie ni to syk, ni to warknięcie.

– Chętnie przebiłbym tego twojego zwierzaka – mruknął wojownik, szturchając suczkę tępym końcem włóczni w zębra.

– Nie dotykaj jej! – warknął Corban, nim się opamiętał.

Glyn pacnął ją znowu, tym razem mocniej. Burza zaskomlała, odskoczyła i kłapnęła szczękami. Dłoń Corbana wystrzeliła i pochwyliła drzewce włóczni. Glyn usiłował je wyszarpnąć, ale chłopak trzymał je mocno. Nie zdawał sobie sprawy, że ma w sobie tyle siły.

Nastąpiła chwila ciszy. Corban i wojownik wpatrywali się w siebie wrogo, aż drzwi chatki otworzyły się niespodziewanie. Na progu stanęła Brina, a za nią pojawiła się większa postać.

– ...mi się pod nogami! – dokończyła uzdrowicielka. Zmrużyła oczy na widok Glyna i Corbana, który nadal trzymał drzewce włóczni. Dziabnęła wojownika twardym, kościstym palcem, a ten cofnął się, jakby ugryzł go wąż. – Z drogi, tępy wole! – warknęła na niego. – I wpuść mego ucznia!

Ucznia! – powtórzył w myślach Corban i otworzył szeroko oczy.

– Niesie zioła, bez których Vonn nie dojdzie do siebie. Mam nadzieję, że nie zatrzymywałeś go tu zbyt długo – dodała i obrzuciła go ostrym spojrzeniem.

Glyn cofnął się jeszcze o krok.

– Dość tego – rzekł Ewnis i wyszedł na światło słoneczne. – Zostawię Glyna przy twojej chatce. Jeśli stan mego syna ulegnie zmianie, wyślij go do mnie natychmiast.

– Już ci mówiłam, że nie życzę sobie tłumu ludzi w mojej chatce, która i tak jest za ciasna! A poza tym, jeśli zajdzie taka potrzeba, mam kogo wysłać z wiadomością!

Wskazała przy tych słowach Corbana. Ewnis obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Zostawię tu Glyna – upierał się.

– Pod warunkiem, że nie będzie wchodził do środka – rzekła Brina.

Złapała Corbana za ramię, wciągnęła do izby i trzasnęła drzwiami. Burza cudem uniknęła przytrzaśnięcia ogona.

– No i? – Uzdrowicielka naskoczyła na Corbana.

Chłopak przez chwilę wpatrywał się w nią w oszołomieniu, a potem pośpiesznie wręczył jej torbę z ziołami. Brina, mamrocząc coś pod nosem, odwróciła się w stronę kotła zawieszzonego nad ogniem. Wysypała zawartość torby na ziemię i pośpiesznie podzieliła ją na dwie kupki, po czym wybrała część roślin, roztarła je i wrzuciła do bulgoczącego kotła.

Craf wrzasnął, przeskakując z nogi na nogę i trzepocząc skrzydłami.

– Elixir! – wychrypiał.

– Jak to się dzieje – zaczął niepewnie Corban – że Craf mówi?

Uzdrowicielka i kruk spojrzeli na niego. Przez krótką chwilę wydawali się niepokojąco podobni do siebie.

– Od dłuższego czasu spodziewałam się, że zadasz wreszcie to pytanie – powiedziała Brina.

– Wielokrotnie chciałem o to spytać – przyznał chłopak.

– A więc czemu tego nie zrobiłeś?

– Uznałem, że to może nieuprzejme. – Corban wzruszył ramionami.

Brina odrzuciła głowę do tyłu i parsknęła chrapliwym, złowieszczym śmiechem. Craf znów wrzasnął i zmierzwił swe pióra, a potem uderzył raz skrzydłami. Burza zasyczała i schowała się za nogami swego opiekuna.

– Jak to się dzieje, że Craf mówi? – powtórzyła Brina, gdy opanowała swą wesołość. – Kiedy świat był młody, wszystko wyglądało inaczej, o czy zapewne już wiesz lub wiedzieć powinienes – dodała, marszcząc brwi. – Przed Plagą światem rządziła harmonia, a między rasami ludzi i olbrzymów panowała równowaga. Elyon narzucił porządek zarówno naturze, jak i nam,

żyjącym pośród niej. Ludzie i olbrzymy otrzymali szczególny dar, którym była odpowiedzialność. Nadzorowaliśmy ten świat, a naszym obowiązkiem było dbać o niego i o wszystkich, którzy go zamieszkiwali. Pewnie słyszałeś kiedyś nazwę elementalizm?

– Tak, choć nie rozumiem jej do końca. Chodzi o magię żywiołów, czy tak?

– O magię! – parsknęła Brina. – Magia to słowo, którym ignoranci opisują wszystko, czego nie rozumieją. Elementalista to człowiek, który rozkazuje światu dookoła siebie. Nie, lepszym pojęciem będzie „władza”. Dzięki swym zdolnościom może wykorzystywać cztery żywioły i do pewnego stopnia narzucać im swą wolę. Olbrzymy twierdzą, że nadal potrafią częściowo nimi władać, choć nigdy nie były w tym osamotnione. Dawno temu, gdy świat był młody, wszyscy byli elementalistami. Była to część układu między nami a bogiem, część życia codziennego. Elyon przekazał nam moce, byśmy lepiej dbali o świat, w którym przyszło nam żyć.

– Co? Chcesz powiedzieć, że każdy z nas mógł...

– Tak. Dokładnie to mam na myśli. A wśród naszych mocy znajdowała się również umiejętność porozumiewania się ze zwierzętami. To była część porządku świata.

– Ale... – Corban nie mógł pozbierać myśli. – Ale co się z tym wszystkim stało? Dlaczego nie władamy już tymi mocami? Czy to aby nie legenda?

– Skoro to legenda, to dlaczego słyszysz, jak Craf gada? – Brina wzruszyła ramionami, a jej brwi zeszyły się na czole, gdy wbiła wzrok w chłopaka.

– No... Nie wiem – odparł.

Uzdrowicielka parsknęła.

– No to co się stało? – zapytał w końcu, lekko urażony.

– Słyszałeś o Zaświecie?

– Tak, choć...

– ...nie znasz wszystkich szczegółów – dokończyła Brina,

krzywiąc się. – Jasne. Zaświat to królestwo Elyona i Asrotha. Niektórzy ludzie twierdzą, że możemy je ujrzyć, a czasem nawet wejść do niego we śnie. To świat duchów.

Corban zmarszczył brwi. Nawiedziło go osobliwe uczucie, jakby jakieś odległe, zapomniane wspomnienie właśnie próbowało do niego wrócić.

– Jak wiesz, Asroth i jego Kadoshim nie są szczególnie uradowani z tego, że zostali uwięzieni w Zaświecie. Asroth pragnie tylko i wyłącznie wrócić do świata, w którym żyjemy.

– Dlaczego?

– Bo on nas nienawidzi, Corbanie. On nienawidzi wszystkiego, co żyje, a życie przynosi radość i chwałę jego wrogowi, sam rozumiesz. Jest zbyt cwany, by znów rzucić mu wyzwanie, przez co będzie wolał zniszczyć to, co Elyon stworzył. Mnie, ciebie, wszystkich nas. To swoisty rodzaj zemsty, jeśli wolisz to określenie.

Corban nagle poczuł niepokój, jakby ktoś się mu przyglądał. Rozejrzał się po chatce.

– Przed Plagą olbrzymy były inne – ciągnęła Brina. – Mniej wojownicze i bardziej dociekliwe, ale jak zwykle doszło do tego, czego można się było spodziewać. – Zaciśnęła pięść. – Chciwość, zazdrość, zepsucie, żądza władzy. Z nieba spadła gwiazda, z której olbrzymy wykonały niezwykle przedmioty – włócznię, torkwes, kocioł i kilka innych – które w jakiś sposób były związane z Zaświatem. Niektóre olbrzymy, skuszone przez Asrotha, co do czego nie mam wątpliwości, zaczęły interesować się tym związkiem i stworzyły coś na kształt portalu, przejścia między światem materialnym a Zaświatem. Wtedy wmieszal się Elyon, który najwidoczniej uznał, że dość już tego dobrego. Resztę prawdopodobnie znasz. Elyon zesłał na nas Plagę ognia i wody, a świat zmienił się raz na zawsze. Rasy ludzi i olbrzymów uległy zagładzie, a nasi przodkowie umknęli, by wylądować na brzegach Wyspy Lata. – Brina musnęła palcem piórka Crafa i uśmiechnęła się ze smutkiem do Corbana. – A więc kiedyś wszystkie zwierzęta

mówiły, wszyscy ludzie byli elementalistami i żyliśmy w harmonii ze światem. Wiele z tego zostało utracone. Świat, w którym przyszło nam żyć dzisiaj, to tylko blade odbicie, cząstka przeszłości, a nasze dziedzictwo wciąż blednie i niknie. – Pociągnęła nosem. – Taki już chyba jest porządek rzeczy i nie ma co z tym walczyć.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – spytał Corban.

– Nauczyłam się tego, co mogłam. Czytałam, słuchałam. Też powinieneś spróbować, chłopcze. Historia to wartościowa nauka. Gdybyśmy zwracali większą uwagę na błędy popełnione w przeszłości, przyszłość wyglądałaby inaczej.

– Ja i moja siostra Cywen poznaliśmy historie z dawnych dziejów dzięki mamie i tacie – powiedział chłopak. – Ale ty wiesz tak dużo... I znasz się na olbrzymach...

– Czasami, chłopcze, zadajesz tyle pytań, że tak stara kobieta jak ja nie jest w stanie za nimi nadążyć – rzekła Brina. – Już samo odpowiadanie na twoje pytania jest wystarczająco trudne, a zwłaszcza, gdy trzeba to robić dwukrotnie! Już ci powiedziałam. Nauczyłam się wszystkiego, co mogłam, czytałam i słuchałam.

Vonn jęknął i przewrócił się na łóżku. Uzdrowicielka skupiła uwagę na kotle wiszącym nad ogniem.

– Możesz wracać do domu – rzuciła przez ramię. – Dziś nie przydasz już mi się na nic. Ale wróć jutro.

* * *

Corban spotkał się z Cywen na trakcie olbrzymów, niedaleko zagród.

– Czekałam na ciebie. Mama kazała nam znaleźć trochę jajek – powiedziała dziewczyna. – Nasze kury niczego nie zniosły.

– Czemu? Co z nimi nie tak?

– Mama twierdzi, że to przez Burzę, która budzi w nich przerażenie.

– Ale już się za nimi nie ugania! – rzekł Corban w obronie pupila.

– Tak, jasne. – Cywen uśmiechnęła się szeroko. – Teraz już tylko wodzi za nimi wygłodniałym wzrokiem.

– Dobra, poszukajmy Datha. Chcę mu pokazać Burzę!

Dath siedział oparty o ścianę swej chaty. Był zajęty patroszeniem beczki pełnej ryb. Corban nakłonił go, by poczęstował Burzę kawałkiem ryby. Ręka jego przyjaciela drżała, gdy podawał kęs wilkuncy, a ta porwała go i przełknęła w okamgnieniu, po czym oblizwała wargi i kły, które zaczęły się stawać coraz bardziej widoczne.

– Wszyscy gadają o tobie i tej bestii – rzekł Dath. Nadal siedział całkowicie nieruchomo, wpatrzony w Burzę, która obwąchała jego dłoń i polizała go w palec. – Piękna – szepnął. – Ale... ale czy nie jest niebezpieczna?

– Nie – rzekł Corban. – Ojciec pomaga mi ją szkolić. Wiesz, traktujemy ją jak zwykłego ogara. Nieźle sobie radzi.

– Dobra, a jesteś w stanie wyszkolić ją tak, by pogryzła Rafe'a? – spytał Dath, uśmiechając się.

– Och, chciałbym, ale królowa powiedziała, że jeśli Burza zrobi komuś krzywdę, zostanie zabita.

– Szkoda. – Przyjaciel zmarszczył brwi.

Corban usiadł obok niego.

– Myślałem, że będziesz dziś łowił – rzekł.

– Gdzie tam. – Bruzda na czole Datha pogłębiła się.

– Ojciec jest w środku?

– Uhm.

Cywen kopnęła Corbana w stopę.

– Słuchaj, a może wybrałbyś się z nami na klify. Chcemy poszukać gniazd, a wspinaczka to pewnie jedyna rzecz, na której się znasz.

Dath spojrział na nich i westchnął.

– Dobra. Zobaczą tylko, co u ojca.

Wślizgnął się do środka, a ze szpary między drzwiami a framugą buchnął stęchły zapach. Rodzeństwo usłyszało stłumione chrapanie, a potem kroki wracającego chłopaka.

– No to chodźmy – rzucił oschle i skierował się ku plaży. – Pewnie będzie jeszcze długo spał.

– Jak się trzyma twój ojciec? – spytał Corban, dogoniwszy przyjaciela.

Ten wzruszył ramionami i rzekł:

– Nie najlepiej. – Głos zadrżał mu lekko. – Nie wiem, co począć, Ban. – Zamrugął nagle.

– A Bethan? Co ona o tym myśli?

– Bethan? Ona właściwie już nie wraca do domu, a kiedy się zjawia, natychmiast wybuchają awantury. Myślę, że jest gdzieś tam. – Wskazał wędzarnie, które stały rzędem wzdłuż ścieżki prowadzącej na plażę.

– Powinieneś zamieszkać u nas – powiedziała Cywen.

– Nie mogę porzucić ojca – rzekł Dath. – Przecież on mnie potrzebuje!

– Jako kukły do bicia?

– Wy nie macie pojęcia, o czym mówicie! – parsknął chłopak.

Przez moment szli w milczeniu krętą ścieżką, która wiodła na plażę. Dath zerknął parokrotnie w prawo, gdzie leżał wciągnięty na brzeg skiff jego ojca. Następnie skręcili w stronę klifów, na których wznosiła się Dun Carreg. Trwał właśnie odpływ i Cywen, Corban oraz Dath z pluskiem przemierzali płytkie kałuże, płosząc kraby uwijające się po mokrym piasku, aż stanęli u stóp skały.

Corban wbił wzrok w ziejące w kamiennej ścianie czarne wejście do wielkiej jaskini. Wdzierały się tam fale, których huk zwielokrotniało i zniekształcało echo. Do pieczary prowadziła wąska, śliska od wodorostów ścieżka, która nikła w mroku.

Dath dostrzegł jego spojrzenie i skrzywił się.

– Tam jajek nie znajdziesz, Ban.

– W porządku. – Corban pokiwał głową. – Wejdziemy tam kiedy

indziej.

– Nie gadaj głupot. To miejsce jest przeklęte!

– Dath, czy jest na świecie coś, czego się nie boisz? – ofuknął go Corban.

– Powtórz to pytanie, gdy będziemy tam! – Przyjaciel zadarł głowę i wskazał gniazda, znajdujące się wysoko na skalnych występach. Ruszył w górę po klifie, bez trudu pnąc się po mokrej, nierównej skale.

– Zaczekaj tu na mnie z Burzą – rzekł Corban do Cywen.

Dziewczyna uśmiechnęła się, patrząc, jak szczenię wilkuna szykuje się do skoku na wielkiego kraba. Corban zaczął zaś piąć się w górę, co szło mu o wiele wolniej niż Dathowi. Nigdy nie był tak dobry jak on we wspinaczce. Jego przyjaciel wdrapywał się na skały niemalże bez wysiłku, co wydawało mu się wręcz nadnaturalną umiejętnością. W miarę, jak był coraz wyżej, wiatr, tak ożywczy, gdy jego stopy dotykały ziemi, stawał się coraz bardziej zdradliwy. Podmuchy szarpały nim i próbowały oderwać go od skał, ale w końcu dotarł do gniazd i napełnił sakwę jajkami.

Z dołu dobiegł czyis głos, ktoś wołał go po imieniu. Na moment zrobiło mu się słabo, bo uzmysłowił sobie, jak wysoko się znalazł. Odwrócił się i ujrzał Cywen, która skakała i machała do niego rękami. Krzyknął do Datha, a potem ruszył w dół i po krótkiej chwili stał już u stóp klifu. Ręce i nogi drżały mu od wysiłku. Przyjaciel zeskoczył tuż za nim.

– Burza uciekła! – wrzasnęła Cywen. – Chciałam ją zatrzymać. Pobiełam kawałek za nią, ale było za ciemno, by cokolwiek zobaczyć. Wołałam i wołałam, ale nie chciała już wyjść! – Jej oczy wezbrały łzami.

– Gdzie pobiegła? – przerwał jej Corban, a siostra wskazała jaskinię.

– Och, nie! – jęknął Dath. – Tylko nie to!

Corban podszedł bliżej do wejścia, wołając Burzę, ale jego głos utonął wśród huku fal rozbijających się o skały. Cywen miała rację

– już po kilku krokach ogarnęła go ciemność. Przeszedł jeszcze kawałek, trzymając się kurczowo zimnej, skalnej ściany, ale naraz jego noga poślizgnęła się na mokrym kamieniu i o mało nie wpadł do kanału z morską wodą, który wnikał głęboko w jaskinię. Zawrócił.

– Gdzie jest Dath? – zapytał, gdy wybiegł na piasek, mrugając oczami, gdyż światło słoneczne było oślepiające.

– Pobiegł po pochodnię!

Dath pojawił się po chwili. Gnał ku nim po piasku, a potem pośpiesznie rozпалиł pochodnię za pomocą suchych liści. Ta zapłonęła żywym ogniem i dzieciaki ponownie weszły do jaskini. Pierwszy szedł Corban, a za nim Cywen.

– Ban! – zawołał Dath, który stał przy wejściu, blady, jakby zaraz miał zwymiotować.

– Co się dzieje?

– Ja chyba nie dam rady – wymamrotał chłopak.

– Czemu nie? – parsknęła Cywen.

– Przecież ta jaskinia jest... No, jest przeklęta!

Dziewczyna parsknęła.

– W porządku. Weź jaja i zanieś je naszej mamie.

– Dzięki – powiedział Dath i wziął od Corbana torbę z jajkami.

– Powiedz mamie, że pomagamy Brinie czy coś – dodała Cywen.

– Dobra! – zawołał chłopak przez ramię.

Jaskinia ciągnęła się dalej, niż Corban sądził, a jej ściany stopniowo zwężały się, choć sufit znajdował się tak wysoko, że światło pochodni do niego nie docierało. Wkrótce natrafili na Burzę, która stała nad brzegiem skalnego rozlewiska. Na oczach Corbana zanurzyła łapę w wodzie i wyłowiła tłustą, srebrzystą rybę. Zdobycz przez moment podskakiwała na skałach, aż mała wilkunica skoczyła na nią i zmiażdżyła jej łeb.

– Ona chyba naprawdę lubi ryby – powiedziała Cywen. W jej głosie pobrzmiwała ulga.

– Tak. – Corban uśmiechnął się.

Burza spostrzegła ich, złapała rybę i umknęła w mrok. Brat i siostra pognali za nią. Ich pochodnia rzucała blask na lśniące, wilgotne ściany jaskini i czarne, rozkołysane morze między nimi. Wijąca się wśród skał ścieżka pod ich stopami zwężała się, aż stała się nieprzyjemnie ciasna, a wtedy dzieciaki dotarły do ślepego zaułka. Burza kuciała na końcu ścieżki, porzuciwszy przeżutą do połowy rybę, i warczała na skalną ścianę.

– Co się z nią dzieje? – zapytała Cywen.

Corban podszedł i podniósł szczenię, które wiło się i wyrywało, nie przestając syczeć.

– Nie wygłupiaj się – rzekł chłopak. – Przecież tutaj nic nie ma!

Na dowód chciał postukać pochodnią w ścianę, ale ta znikła wraz z połową jego ramienia. Zaskoczony Corban krzyknął i zatoczył się kilka kroków w przód. W jego głowie i klatce piersiowej pojawił się ucisk, a w uszach rozległ się szum, ale po chwili wrażenie znikło.

Rozejrzał się. Stał plecami do skalnej ściany, a przed nim roztaczała się ogromna komora. Nigdzie nie widział Cywen, choć z oddali dobiegał jej głos. Słyszał, że go woła. Wyciągnął rękę, by dotknąć skały za swymi plecami i ujrzał, jak jego dłoń wnika w ścianę. Krzyknął cicho, zdumiony i wyciągnął ją pośpiesznie, a potem powtórzył ruch. Nabrał tchu i wkroczył w ścianę. Znow osaczyły go ucisk i szum, a Burza zaczęła wić się i warczeć, ale po chwili był już po drugiej stronie. Cywen stała przed nim z szeroko otwartymi ustami.

– Chodź za mną! – powiedział i znów zagłębił się w ścianę.

Pojawił się w sąsiedniej sali, a po chwili dołączyła do niego oszołomiona Cywen.

– Co to takiego?

– Czary – szepnął Corban. – Bo cóżby innego? Przecież w każdej opowieści olbrzymy korzystały z magii. To oni wzniesli Dun Carreg, a więc zapewne stworzyli i to.

Znajdowali się w ogromnej komorze o chropowatych ścianach wyrąbanych w skale, wilgotnych i ociekających wodą. Po

przeciwnej stronie widać było wielkie, zwieńczone łukiem wejście, a za nim wiodące w górę schody. Burza nadal syczała na magiczną ścianę, położywszy po sobie uszka, więc chłopak przeszedł kilka kroków i dopiero wtedy postawił ją na ziemi. Suczka warknęła po raz ostatni, a potem zajęła się obwąchiwaniem ogromnej jaskini.

– Jak myślisz, dokąd prowadzą te schody? – szepnęła Cywen.

– W górę. – Corban wzruszył ramionami. – Istnieje tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Ruszyli po stopniach, które wiły się nieskończoną spiralą, aż dotarli do innej sali, gdzie uwagę Corbana przyciągnął jakiś kształt. Na środku pomieszczenia znajdowała się splątana masa, która, gdy ostrożnie podeszli bliżej, okazała się truchłem ogromnego węża o białej skórze. Jego ciało było grubsze od nich obojga razem wziętych. Potworowi odrąbano głowę, a na skalnej podłodze widniała kałuża czarnej, zaschniętej krwi. Burza obwąchała ją i cofnęła się.

– Nie podoba mi się to – szepnęła Cywen.

– Mnie też nie – odparł Corban i rozejrzał się dookoła. – Ciekawe, co go zabiło. Ciekawe też, czy są tu inne?

Słyszał o wielkich wężach, które mieszkały w odległym Fornie, ale nigdy nie sądził, że natrafi kiedyś na coś takiego. Uklęknął i szturchnął cielsko końcem pochodni. Skóra potwora była gruba i powlekała ją warstwa śliskiego śluzu.

– Co go zabiło? – mruknął.

– Chyba przestało mnie to interesować – powiedziała Cywen. – Wynośmy się stąd.

Corban zmarszczył brwi. Bestia nie miała łba, a cięcie wydawało się czyste. Nie zauważył śladów kłów ani szponów.

A więc łeb odcięto bądź odrąbano. Za pomocą broni?

– W porządku – powiedział. – Ale idźmy w górę, a nie w dół. Skoro dotarliśmy tak wysoko, musimy znajdować się blisko szczytu.

Cywen spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale pokiwała

głową.

Za kolejnym wyjściem natknęli się na tunel, który wiódł w górę. Ruszyli naprzód bez wahania. Po drodze natrafiali na pomniejszych korytarze, które odbiegały w ciemność. Corban zaglądał w każdy z nich i wyobrażał sobie białe węże wijące się w ciemnościach, gotowe, by zaatakować. Muskał dłonią ścianę, szukając kolejnego magicznego przejścia. Zwiększył tempo, aż znów dotarł do ślepego zaułka. Obmacał wszystkie ściany, ale te były twarde i materialne.

– Co to takiego? – spytała Cywen.

Oglądała niewielkie wgłębienie rozmiarów pięści. Corban przysunął bliżej pochodnię i ujrzał w środku jakąś dźwignię. Złapał ją i obrócił, a wtedy w skale z sykiem pojawił się zarys drzwi. Cywen pchnęła je, a drzwi odchyliły się. Brat i siostra przeszli przez nie i ujrzeni wielką, ciemną jamę, wokół której biegła ścieżka.

– Dotarliśmy do zbiornika fortecy! – oznajmiła dziewczyna.

Gromadzono tu większość zapasów wody Dun Carreg, a od samej fortecy dzielił ich krótki korytarz. Było tu widno – Corban uświadomił sobie, że do środka przenika blade światło wieczoru. Cywen zatrzasnęła za nimi drzwi, a ich zarys znikł. Widzieli już tylko skalną ścianę.

– Po tej stronie też musi być jakaś dźwignia – rzekł Corban.

Po długich, intensywnych poszukiwaniach odkryli wreszcie, że dźwignia znajduje się na ścianie zbiornika. Cywen złapała Corbana za stopy, a ten położył się na ziemi i wychylił w głąb studni, by namacać dźwignię. Wgłębienie, w którym się znajdowała, wydawało się zaledwie ciemniejszym cieniem na tle ściany. Chłopak zdołał jej dosięgnąć i szarpnął ze wszystkich sił. Na ścianie znów pojawiły się drzwi, ale w innym miejscu.

– Wracajmy do domu! Zaraz pojawi się księżyc, a mama obłupi nas ze skóry! – powiedziała Cywen.

Corban zamknął drzwi, które stopiły się ze skalną ścianą. Dzieciaki zwróciły się w stronę korytarzyka i po chwili wyszły na pusty dziedziniec przed zbiornikiem. W oddali rozległy się jakieś

głosy i czyjeś kroki. Cywen i Corban wskoczyli do pustego budynku.

Rozdział trzydziesty drugi

CAMLIN

Camlin wpatrywał się w ścianę. Obserwował, jak wilgoć zbiera się w pojedynczą kroplę, która ścieka wolno po skale. Jej trasa zmieniała się, w miarę jak natrafiała na wybrzuszenia i zagłębienia, aż wreszcie docierała do skraju, a tam wisiała przez moment, póki nie dołączyła do niej kolejna kropla. Wówczas, nabrzmiała, odrywała się, spadała i rozbryzgiwała się o podłogę.

Mężczyzna westchnął. Nienawidził tego miejsca. Nienawidził tych skał i kamieni. Tęsknił za drzewami, wiatrem i niebem.

Stęknął, podniósł się z pryczy i wyciągnął ramiona nad głowę. Skrzywił się, gdy zaboląła go rana. Pochylił się i dotknął jej uważnie, aby upewnić się, czy się nie otworzyła. Musiał przyznać, że uzdrowicielka, choć miała paskudne usposobienie, wykonała znakomitą robotę. Ludzie umierali po odniesieniu lżejszych ran, zwłaszcza gdy dopadła ich gorączka. Nie taki koniec planował dla siebie.

– Wyleczyła mnie, by mogli mnie zabić jak należy – mruknął cicho, krążąc po wielkiej komnacie, która stała się jego celą. – Cóż, ale w każdym razie żyję i tylko to się liczy.

Pokręcił głową.

Gadasz do siebie, ty stary głupcze, pomyślał. To pierwszy krok do szaleństwa.

Zmarszczył brwi, gdy przypomniał sobie twarz martwego Gorana

wśród dzikich kwiatów i traw łąkowych. Oblicza z przeszłości ostatnio nawiedzały go często – widział mamę i Cola, widział pozbawione imion twarze ludzi zabitych z zasadzki bądź w walce, a przede wszystkim twarze tych wieśniaków, którzy padli ich ofiarą niedaleko Baglunu.

Pokręcił głową, jakby chciał odepchnąć to wspomnienie. Wyciągnął się na podłodze i zaczął robić pompki, aż na jego lnianej koszuli pojawiły się plamy potu. W końcu, gdy ramiona już mu drżały i nie był w stanie opuścić się na rękach ani razu więcej, przetoczył się na plecy i wbił wzrok w sufit. Zmuszenie się do regularnych ćwiczeń, które pozwoliłyby mu odzyskać siły, z początku stanowiło dla niego spory problem. Był bowiem słaby jak niemowlę – rana i następująca po niej gorączka spaliły resztki tłuszczu w jego ciele i odebrały mięśniom krzepę, ale najbardziej wstrząsnęło nim odbicie własnej twarzy, które dojrzał, gdy pierwszy raz przechodził obok zbiornika na wodę. Przypominał woskową lalkę, którą ktoś zostawił zbyt długo na słońcu. Na szczęście solidne ćwiczenia i uparta determinacja zaczynały przynosić rezultaty. Nie odzyskał jeszcze dawnej wagi, ale był już zdecydowanie silniejszy. Wiedział, że z czasem dojdzie do siebie, tym bardziej że jak dotąd karmiono go dobrze.

Gdy jego oddech wreszcie się uspokoił, usłyszał głosy, które wpadały przez okienko umieszczone wysoko nad nim. Jacyś ludzie krzyczeli, rozległo się również echo szybkich kroków. Camlin zacisnął dłoń w pięść i zaczął tłuc nią w grube, dębowe drzwi swej celi.

– Co tam się dzieje?! – zawołał, ale nikt mu nie odpowiedział. Uderzył jeszcze parokrotnie, po czym przerwał i znów wykrzyknął.

– Cicho bądź! – Ktoś po drugiej stronie drzwi warknął ostro stłumionym głosem.

Camlin uśmiechnął się i nie przestawał tłuc pięścią, robiąc przerwy tylko po to, by znów wykrzyknąć pytanie. Nie było już jednakże żadnej reakcji, więc znów usiadł na prycy i utkwiał

spojrzenie w drobnych kanalikach, którymi spływały niewielkie krople wody.

– Raz – szepnął, gdy pierwsza z nich opadła na ziemię.

W sytuacji takiej jak jego trzeba było robić coś – cokolwiek – by przyspieszyć upływ czasu.

* * *

Nie nadszedł jeszcze wieczór, gdy niespodziewanie zadygotały otwierane drzwi i zaskrzypiały zawiasy. W półmrok celi wdarł się blask pochodni, aż banita zmrużył oczy. Powstrzymał ochotę, by się poderwać – nadal leżał na prycy, złączywszy jedynie dłonie przed głową.

Na progu stanęła potężna postać, którą rozpoznał natychmiast. Pendathran.

Odwiedził go kilkakrotnie po tym, jak ustąpiła gorączka, by zadać mu serię pytań. Camlin nie odpowiedział na żadne z nich. Wojownik tracił w końcu cierpliwość i wychodził z celi, klnąc głośno i waląc pięścią w drzwi.

Po nim do środka wszedł Conall. Mężczyzna powalił dwóch ludzi Camlina w Baglunie, ale banita nauczył się go cenić, tym bardziej że regularnie towarzyszył mu podczas spacerów dookoła fortecy.

– Potrzebuje światła i świeżego powietrza – oznajmiła uzdrowicielka. – A do tego sporo ruchu. W przeciwnym razie umrze, zanim zdołacie go porządnie przesłuchać.

Ostatnim człowiekiem, który wszedł do celi, był wysoki, barczysty mężczyzna – choć nie tak bardzo jak Pendathran – z jasnymi włosami splecionymi w zwykły warkocz wojownika. Na szyi nosił złoty, ciężki torkwes, choć odzienie miał proste, składające się ze zwykłych lnianych spodni oraz koszuli.

Camlin od razu wiedział, że ma do czynienia z przywódcą. Zdradził to zarówno szacunek, jaki okazywali mężczyźnie

Pendathran i Conall, jak i jego postawa oraz wzrok. Przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu przywodziło banicie na myśl Braitha, choć różnili się wyglądem.

To na pewno Brenin, pomyślał.

– Wstań przed swoim królem! – warknął Pendathran.

Camlin odwrócił głowę, by spojrzeć na przypominającego niedźwiedzia wojownika, po czym usiadł, próbując ukryć wysiłek, jaki był z tym związany. Pochylił głowę i zaczął skubać paznokieć kciuka.

– To nie mój król – powiedział.

Pendathran podszedł i uniósł pięść. Camlin zeszywniał w oczekiwaniu na cios, ale ten nie padł. Banita uniósł głowę i zobaczył, że Brenin położył dłoń na ramieniu niedźwiedzia.

– To prawda – rzekł. – Nie jestem twoim królem, ale władam tymi ziemiami i wszystkimi, którzy zdecydują się na nie wejść. Ty zaś znalazłeś się w miejscu, gdzie moja władza jest najpotężniejsza. Siedzisz w celi, otoczony przez moich ludzi.

Camlin rozparł się na pryczy i nie odpowiedział ani słowem.

– Nie będę cię oszukiwać. Jutro zostaniesz osądzony przed moimi poddanymi. Przypuszczam, że zostaniesz skazany na śmierć – mówił Brenin, wpatrując się intensywnie w więźnia. Wydawało się, że świat skurczył się do ich dwóch. – Chcę, byś odpowiedział na moje pytania. Od ciebie zależy, czy przejdiesz po moście mieczy i staniesz przed obliczem stwórcy jako ten, który mówi prawdę, czy może z ustami splamionymi kłamstwem. Niech cię to zachęci do mówienia prawdy, bo są inne rozwiązania. Jak dotąd nie spotkałeś się z narzędziami kata, gdyż moja uzdrowicielka uznała, że jesteś na to za słaby. Z tego, co widzę, doszedłeś już do siebie. Jeśli więc twoje odpowiedzi mnie nie przekonają, zostaniesz przesłuchany przez kata jeszcze dziś wieczór. Jutro i tak zginiesz, ale to, jak spędzisz ostatnią noc, nadal pozostaje kwestią otwartą.

A więc egzekucja, pomyślał Camlin. A wcześniej tortury.

Liczył się z tym, wiedział, że każdy kolejny dzień to dar,

z którego należy się cieszyć, ale mimo to, gdy usłyszał słowa króla, poczuł w sercu chłód.

– Co chcesz wiedzieć? – spytał. Cieszył się, że głos nawet mu nie zdrzął i nie zdradził przerażenia, które rozlewało się w jego trzewiach.

– Czy służysz Braithowi?

Camlin nabrał głęboko tchu. Na końcu języka miał odpowiedź „nie”, ale słowa Brenina trafiły prosto do jego serca. Nie chciał stanąć przed obliczem Elyona z piętnem kłamcy. Fakt, miał na swoim koncie wiele złych czynów, ale definicja zła często zależała od tego, po której stronie człowiek stał. Jego dowódca wydawał rozkazy, a on je wypełniał, i na tym się kończyło. Nie czuł z tego powodu wstydu. Co więcej, był mu winien życie.

– Tak, służę Braithowi. Niemniej wiedz, że nie powiem wam nic, co mogłoby mu zaszkodzić – dodał, unosząc rękę.

Braith rządził Ciemnym Borem od ponad dziesięciu lat. Pod jego rozkazami stali się czymś więcej niż tylko bandą banitów napadających na podróżnych na leśnym trakcie. Camlin wciąż dobrze pamiętał dzień, w którym Braith został przyprowadzony przez zwiadowców i postawiony przed obliczem Casalu, ich dotychczasowego wodza.

Braith od razu zyskał sobie wielką popularność, gdyż umiał sprawić, że ludzie czuli się ważni i wyjątkowi. Wkrótce w obozie doszło do podziału, a liczba zwolenników Braitha zaczęła szybko rosnąć. Casalu szybko wyczuł rosnące niebezpieczeństwo i zaczął wysyłać konkurenta na najbardziej niebezpieczne misje, ale ten wciąż wracał.

W końcu Braith rzucił wyzwanie Casalu. Postanowili, że rozstrzygną pojedynek wedle zasad panujących w Ciemnym Borze – przywiązali się jeden do drugiego za nadgarstki i dobyli noży. Podczas walki Braith stawał się kimś innym, niż był zazwyczaj, w jego zachowaniu pojawiała się dzikość i wyrachowanie. O mało nie odrąbał Casalu głowy. Od chwili, gdy przejął władzę, nikt nie

rzucił mu wyzwania.

– Dziękuję ci za szczerość – rzekł Brenin i pochylił głowę. – Wiedz jednak, że twój pan chciał mnie zabić.

Camlin uniósł brew.

– Na wzgórzach między Carnutanem i Ardanem. Wczoraj.

– To możliwe. – Camlin wzruszył ramionami. – Braith nie zwierza mi się ze swoich planów. A skąd masz pewność?

– Napastnicy byli ludźmi lasu, tak jak ty. Zaatakowali nas z zasadzki, strzelając z łuków.

– Tchórze – mruknął Pendathran.

– Ale, jak widzisz, nie udało im się.

– Skąd wiesz, że stał za tym Braith? – powtórzył Camlin.

– Pojmaliśmy jednego z nich. Tull... Słyszałeś o moim pierwszym mieczu, prawda? Potrafi być bardzo przekonujący, gdy się uprze. Jeniec sporo nam powiedział.

– No i co z tego? Sam próbujesz zabić Braitha od lat. Dobrze, że odpłaca się pięknym za nadobne.

– Prawda. Ale nie myśl, że jesteśmy tacy sami. – W głosie Brenina brzęknęła stal. – Ścigałem go, ponieważ najeżdża me ziemie, rabuje mych poddanych, pali ich domy, morduje mężczyzn, kobiety i dzieci. Czy mnie oskarżysz o to samo? Mógłbyś mnie o to oskarżyć?

Brenin wbił wzrok w Camlina. Ten usiłował wytrzymać jego spojrzenie, ale zabrakło mu siły woli. Odwrócił oczy.

– Twierdzisz, że Braith jest dobrym człowiekiem, tak? Cóż, może dla tych, którzy za nim podążają. Ale honoru nie ma za grosz.

Camlin chciał odpowiedzieć, ale przed oczami stanęła mu twarz zabitej matki i zamordowanego brata i nie był w stanie odnaleźć odpowiednich słów. Wbił nieprzychylny wzrok w króla.

– Po co przybyłeś do lasu Baglun?

– W Ciemnym Borze robi się ciasno. Razem z kilkoma chłopakami postanowiliśmy poszukać dla siebie lepszego miejsca.

Brenin zmrużył oczy.

– Mów prawdę albo nie odzywaj się wcale.

Camlin, ku swemu zdumieniu, poczuł, jak zalewa go wstyd.

– Odpowiedź jest oczywista – mruknął, patrząc na podłogę. – Braith wysłał nas tutaj.

– Dlaczego?

– W tym, co ci powiedziałem, jest sporo prawdy. W Ciemnym Borze naprawdę brakuje już miejsca. Banda Braitha bardzo się ostatnio rozrosła i mamy zbyt wiele gąb do wyżywienia. Braith uznał, że czas się rozdzielić. Jesteśmy ludźmi lasu, a Baglun to najbliższa nam duża puszcza.

Wzruszył ramionami. Oczywiście powodów, dla których rozstali się z Braithem, było znacznie więcej, ale nie miał najmniejszego zamiaru zdradzić swego przywódcy. Nigdy w życiu.

– Nie mówisz mi wszystkiego, człowieku puszczy – rzekł Brenin.

– Już mówiłem, że Braith nie zwierza mi się ze swoich decyzji. Jeśli istniały inne przyczyny, nie wiem o nich nic.

Tym razem Camlin uniósł głowę, spojrział Breninowi w oczy i nie odwrócił wzroku. Król po chwili westchnął i skinął.

– A więc przejdźmy do ostatniej kwestii. Jestem przekonany, że pomógł ci ktoś z fortecy lub z osady. Kto to był?

Myśli Camlina rozpoczęły gorączkową gonitwę. Brenin nie mógł się tego dowiedzieć, ale on sam nie miał ochoty go okłamywać, nie po tym, jak król zaszczerpił w jego sercu lęk przed Elyonem. Pozostawały więc stare, dobre półprawdy.

– Tak, ktoś mi pomógł, ale nie wiem, kto to był.

– Czy możesz mi coś powiedzieć o tym człowieku? To zadziała na twoją korzyść. Twój kontakt może nie być zadowolony z tego, że wciąż oddychasz. Wszak mógłbyś w każdej chwili go zdemaskować.

Camlin pomyślał o mężczyznach, którzy zastąpili mu drogę na łące, o jednym z nich, tym ze złamanym nosem. Pomyślał o Goranie, który został przez nich dźgnięty w plecy. Nie powinien był w ten sposób zginąć, ale to były kontakty Braitha i to on powinien zmierzyć się z ich zdradą.

– Tak – rzekł. – Wiem o tym. Ale przecież planujesz wyręczyć tego człowieka, nieprawdaż? Jeśli jutro stracę głowę, ów kontakt uśmiechnie się jedynie z satysfakcją.

– A więc twoim zdaniem powinienem darować ci życie, by dać mu powód do wielu nieprzespanych nocy? – spytał król. Kąciki jego ust drgnęły, jakby ukrywał rozbawienie.

– Miewałem w życiu gorsze pomysły – odparł Camlin.

Na twarz Brenina powróciła surowość.

– Brałeś udział w mordowaniu moich poddanych: mężczyzn, kobiet i chłopców zbyt młodych na Długą Noc – rzekł i nabrał tchu. – Myślę, że jutro nastąpi ostatni dzień twego życia.

Słowa króla zabolowały go mocno. Zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił, a nie był to pierwszy raz, kiedy dopuścił się zabójstwa. Każdy jego czyn był jednakże elementem ich wspólnej sprawy, a podczas wojny należało robić wiele złych rzeczy dla większego dobra. Mimo to oskarżenie króla, wypowiedziane głośno i wyraźnie, dotknęło go do żywego. Co więcej, nie kazał zabijać kobiet i dzieci. Ich śmierć była przypadkiem. Camlin czuł jednak, że nie ma sensu głośno o tym mówić, bo ci ludzie nigdy mu nie uwierzą. Dokonał swego wyboru wiele lat temu, w dniu, w którym zginęli Col oraz mama, a teraz był gotów ponieść konsekwencje. Skinął głową.

Brenin potarł czoło. Niespodziewanie wydał się Camlinowi bardzo znużony.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział i rozejrzał się. – Dobrze cię tu traktowano?

– Tak – burknął Camlin. – Dość dobrze. Wasza uzdrowicielka kazała im nawet wyprowadzać mnie na spacer raz dziennie. Mam zadatki na porządnego psa!

Tylko Conall się uśmiechnął.

– A dziś byłeś już na spacerze? – spytał Brenin.

– Nie.

Król spojrział na Conalla.

– Wkrótce pewnie po niego przyjdą – rzekł wojownik. – Moja

warta niedługo się kończy.

Brenin przeniósł wzrok z powrotem na Camlina.

– Baw się dobrze – rzekł i urwał, nie mówiąc na głos tego, co było oczywiste: „bo to przypuszczalnie będzie twój ostatni spacer”.

Camlin pociągnął nosem, a król wyszedł z celi. Za nim udał się Pendathran, który obrzucił więźnia ostatnim, ponurym spojrzeniem. Conall mrugnął do niego i zamknął drzwi. Zazgrzytał klucz w zamku.

Camlin westchnął i rozciągnął się na pryczy. A więc to był król Brenin. Słyszał o nim sporo, dorastając w wiosce w Narvonie niedaleko Ciemnego Boru, a potem, gdy dołączył do nielicznej jeszcze bandy Braitha, dowiedział się więcej. Ludzie dużo o nim mówili, ale niewiele było w tym dobrego. Tymczasem, choć zamienili raptem kilka słów, Camlin nie odnalazł w zachowaniu władcy nic, co by mógł negatywnie ocenić. Zawsze uważał się za dobrego znawcę ludzkich charakterów i nie wyczuwał w królu żadnego fałszu. Nie spodobał mu się ten wniosek i postanowił się nad nim nie rozwodzić. Zamiast tego wstał i zmusił się do kolejnych ćwiczeń.

Zmęcz ciało, to uspokoisz umysł, powiedział do siebie w myślach.

Chwilę później usłyszał kroki na korytarzu, a potem stłumione głosy.

– Gotów na spacer? – rzekł do człowieka stojącego przed nim. Wiedział tylko tyle, że jest to Marrock, bratanek Pendathrana. Znał dobrze procedurę, więc ruszył w ślad za mężczyzną, słysząc za sobą ciche kroki drugiego wojownika, którego jeszcze nie widział.

Po chwili znaleźli się na podwórzu i podążyli drogą, którą Camlin znał już doskonale. Zapadał zmierzch. Banita nabrał tchu i poczuł smak soli w ustach. Ulica przed nimi wiła się i skręcała, a odgłosy ludzkiej krzątania powoli cichły, aż znaleźli się na kamiennym dziedzińcu z wielkim zbiornikiem wodnym. Jak zwykle panowała tam cisza.

– A więc udało się ocalić króla przed tym, co czekało na niego

w Baglunie? – odezwał się do Marrocka, gdy kroczyli po dziedzińcu, głównie po to, by przegnać ciszę.

– Tak. Szlag by was trafił – burknął Marrock.

– To nie moja zasługa, jak wiesz. Wszak od pewnego czasu przebywam u was w gościnie.

– Chodziło mi o całą tę waszą zgraję. – Marrock obrzucił więźnia surowym spojrzeniem.

Camlin stał teraz niedaleko cembrowiny zbiornika. Podszedł do niego, nabrał w garście lodowato zimnej wody i obmył sobie twarz. Gdy zamrużył, dostrzegł jakiś ruch za rogiem budynku. Zmrużył oczy i zrobił krok w tamtym kierunku.

– Stój, banito! – warknął Marrock. – Albo poczujesz na sobie ostrze, bez względu na to, co ma cię spotkać jutro. Gwarantuję, że moja broń zada ci więcej bólu niż katowski topór!

Camlin zamarł.

Niespodziewanie rozległ się świst. W gardle drugiego strażnika uwięzła strzała, następna wbiła się w jego pierś. Buchnęła krew, która zbryzgała twarz Camlina. Wojownik złapał za drzewce, próbował wyszarpnąć je z ciała, ale zabrakło mu życia i runął na ziemię.

Marrock obrócił się ku kolejnym strzałom, które nadleciały z ciemności. Jedna wbiła się w jego ramię z taką siłą, że wojownik zakręcił się i upadł. Z mroku wychynęły dwie postacie w ciemnych płaszczach z naciągniętymi kapturami. Błysnęło ciemne żelazo. Marrock poderwał się na jedno kolano, łapiąc niezgrabnie za strzałę sterczącą z ramienia. Wyrwał ją z głuchym stęknieniem i odrzucił na ziemię. Padła na kamienie z cichym trzaskiem, a wojownik złapał za miecz.

Co to ma oznaczać?, pomyślał Camlin. Chcą mnie uratować czy zabić?

Niespodziewanie wizja jutrzejszej egzekucji zaczęła wydawać mu się o wiele bardziej nęcąca niż natychmiastowa śmierć.

Jeden z zakapturzonych napastników przypadł do Marrocka

i bez litości kopnął go w ramię trzymające miecz. Broń wypadła mu z ręki i z brzękiem potoczyła się po bruku. Napastnik oparł but na piersi wojownika i wzniósł miecz.

– Nie! – wrzasnął ktoś za plecami Camlina.

Ten odwrócił się błyskawicznie i ujrzał dwóch chłopców oraz szczeniaka po drugiej stronie sadzawki. Nie, nie dwóch chłopców, lecz chłopca i dziewczynę! Zamrugął i potrząsnął głową. Rety, to był szczeniak wilkuna! Ta noc z minuty na minutę stawała się coraz dziwniejsza. Gdyby nie fakt, że czuł oddech śmierci na plecach, parsknąłby głośnym śmiechem.

Zakapturzeni mężczyźni spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co począć. Dziewczyna sięgnęła po nóż przy pasie, a wtedy jeden z napastników podszedł bliżej i odrzucił kaptur.

– Ale schudłeś, Cam! – oznajmił. Wyglądasz teraz jak śnieżny zajac.

Banita otworzył usta, ale nie padł z nich żaden dźwięk. Człowiek, który się do niego odezwał, był wysokim blondynem z blizną, biegnącą od brwi aż po podbródek.

– Braith – wyszeptał Camlin. – Co wy tu robicie?

– Ratujemy ci skórę, przygłupie. A cóż innego mielibyśmy robić? Chodzą słuchy, że wpakowałeś się w niezłą kabałę.

Obaj przybysze parsknęli śmiechem. Chłopak, dziewczyna i szczeniak dalej stali w tym samym miejscu. Drugi z zakapturzonych wojowników celował w nich z łuku.

– Nie możemy pozostawić żadnych świadków – rzekł Braith.

W oczach chłopaka błysnął lęk, ale mimo to zasłonił dziewczynę własnym ciałem.

– Nie. – Camlin usłyszał własny głos. Sekundę później stał między Braithem a chłopakiem.

– Co się z tobą dzieje? Nie możemy tak po prostu stąd odejść. O ile pamiętasz, znajdujemy się w samym środku Dun Carreg. Długa droga przed nami, zanim będziemy mogli odetchnąć z ulgą. To jedyne rozwiązanie.

Przed oczami Camlina pojawiły się twarze mamy i brata, a potem oblicza zamordowanych wieśniaków.

– Nie będziemy już rozlewać krwi niewinnych ludzi – rzekł.

– To nie pora na wyrzuty sumienia! – warknął Braith. Ramię jego towarzysza, który wciąż trzymał napięty łuk, zaczynało już drżeć. – Odwróć głowę i tyle.

– Nie, Braith! – Camlin odetchnął chrapliwie. – Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że przybyłeś mi z pomocą, ale wolę wrócić do celi i jutro położyć głowę na pieńku katowskim, niż patrzeć na to, jak ich zabijasz.

– Braith? – mruknął ich towarzysz, który nadal celował do chłopaka.

– Zostaw – warknął herszt i opuścił własny łuk. – No to co z nimi robimy? Jakieś propozycje? – parsknął.

– Dobrze pytanie. Hej, wy! – Camlin ruszył ku dzieciakom. – Wygląda na to, że mamy tu problem. – odezwał się cicho, by nie usłyszał tego nikt poza nimi. Chłopak i dziewczyna spoglądali na niego szeroko otwartymi oczami. – Mam zamiar za chwilę opuścić to miejsce wraz z moimi przyjaciółmi, ale sęk w tym, że to nieufne typy. Jakoś nie wierzą, że nie powiecie nikomu o tym, co się właśnie wydarzyło.

– Ale tobie nie wolno stąd odejść – rzekł chłopak, który nadal stał przed dziewczyną, choć musiał przytrzymać ją ręką. – Zabiłeś Dylana. Masz zostać osądzony.

– Cicho bądź, chłopcze! – Camlin uniósł rękę. – Przez takie gadanie możesz stracić życie.

Nad dziedzińcem poniosł się długi, ochrypły jęk Marrocka, który pełznął w kierunku swego miecza. Miał pobladłą twarz, a z jego rany na ramieniu nadal tryskała krew. Braith i jego towarzysz natychmiast wycelowali w niego strzały.

– Nie! – tym razem zainterweniował chłopak, który podbiegł do rannego, potykając się i wymachując rękami.

– To Marrock – szepnął Camlin do Braitha. – Wiesz który.

Chłopak Rhagora.

Braith zluzował nieco cięciwę, a Camlin uświadomił sobie, że w jego głowie rodzi się plan.

– Weźmy go! – zawołał.

Herszt spojrział na niego, czekając na wyjaśnienia.

– Weźmy go jako zakładnika! Otacza go tu powszechny szacunek! Jest wszak synem Rhagora, bratankiem Alony i Pendathrana.

Braith pokiwał głową.

– W porządku. Może się przydać, zwłaszcza jeśli zrobi się gorąco. Czasem całkiem mnie zaskakujesz, Cam! – Opuścił łuk i przypadł do Marrocka szybko, zręcznie niczym kot. – Zaknebluj go i zawiąż mu oczy – rozkazał towarzyszowi. – I szybko opatrzcie jego ranę, zanim się wykrwawi na śmierć.

– Robi się, szefie.

Camlin również pośpieszył z pomocą, a Braith podszedł do dwójki dzieci.

– Znasz tego mężczyznę, chłopcze? – spytał.

– Pewnie.

– Ani słowa o tym, do czego tu doszło, o ile nie chcecie, by zginął.

– Braith wskazał Marrocka. – Macie mi złożyć przysięgę. Jeśli dotrzymacie słowa, uwolnię go.

– Żywego?

– Tak, żywego.

– Kiedy? – Chłopak wyprężył pierś, na co Braith zmrużył oczy.

– Naprawdę sądzisz, że możesz się teraz targować, chłopcze? Gdyby nie przyплыw wyrzutów sumienia u mego przyjaciela, wszyscy bylibyście już martwi.

– Kiedy go uwolnisz? – powtórzył chłopak, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

Banita wywrócił oczami.

– Kiedy znajdziemy się dostatecznie daleko od tego przeklętego miejsca. O świcie powinniśmy być już w bezpiecznym miejscu.

Chłopak spojrzał na resztę. Wilkunica trzymała się nadal jego nóg i wpatrywała się w Braitha błyszczącymi, miedzianymi oczami. W końcu wyrostek westchnął, wiedząc, że w zasadzie nie ma wyboru.

– Masz moje słowo.

Braith splunął na dłoń i spojrzał na chłopaka, który przez moment patrzył na niego bez zrozumienia, a potem napluł na własną dłoń i ścisnął wyciągniętą rękę banity. Ten uśmiechnął się.

– A więc mamy umowę – rzekł. – I to jeszcze w stylu mieszkańców Ciemnego Boru. Złam dane mi słowo, a Asroth wraz ze strasznym legionem swoich Kadoshim poogryzają ci pięty.

Chłopak pobladł, a Braith uśmiechnął się raz jeszcze, lecz mało przyjaźnie.

– Do zobaczenia – rzucił. – Zmywamy się stąd!

Było już ciemno, gdy Braith, Camlin oraz trzeci banita wprowadzili Marrocka w boczną uliczkę.

– Czy aby na pewno przybyłeś tu tylko po mnie? – Camlin zwrócił się do herszta.

Ten spojrzał na niego uważnie i uniósł brew. Nagle, szybko niczym atakująca żmija, przygwoździł go do ściany i podsunął mu nóż pod gardło.

– Co im zdradziłeś, Cam? Co im powiedziałeś o mnie i o Ciemnym Borze?

– Nic, Braith. Nic, przysięgam. Nic, czego sami by nie wiedzieli, w każdym razie.

– Powiedziałeś im, kto jest moim kontaktem tu, w fortecy? – Z jego martwych oczu bił chłód. Tak spoglądał morderca.

– Nie. – Camlin próbował pokręcić głową, ale poczuł, że ostrze rozdziera mu skórę. Po szyi pociekła strużka krwi.

– Jeśli się dowiem, że mnie oszukałeś, źle się to dla ciebie skończy, a więc dobrze ci radzę, powiedz mi prawdę tu i teraz.

– Przysięgam, Braith.

– Wzięli cię na tortury?

– Nie. Przypuszczam, że miałem trafić do oprawcy jeszcze dziś wieczór. Brenin dopiero co powrócił.

– Wiem. – Braith cofnął się o krok, rozciął tunikę Camlina i przyjrzał się jego klatce piersiowej. Potem uniósł jego dłonie, przeliczył mu palce i przyjrzał się, czy nie ma nigdzie świeżych ran ani poparzeń, a potem, ku zdziwieniu mężczyzny, uśmiechnął się. – Musiałem mieć pewność, Cam – rzekł. – Dalej, nie mamy dużo czasu!

– Jak chcesz się wydostać z tej skały? – szepnął Camlin z ulgą. Czuł, jak opuszcza go lęk.

– Zabawa dopiero się zaczęła! – Braith uśmiechnął się szeroko. Przywódcy banitów często wystarczał jeden uśmiech, by zdobywać serca mężczyzn i kobiet. Jego uśmiech mówił bowiem: „Jesteś tu jedyny i najważniejszy”, a przez to zawierał w sobie moc i urok przysięgi krwi. Camlin uświadomił sobie, że również się uśmiecha. – Na twoje szczęście mam przyjaciół w najrozmaitszych miejscach. Czeka nas długa wędrówka przez ciemność. – Złapał Camlina za ramię i dodał: – Wiesz co, przyjacielu? Czasem potrafisz przysporzyć nie lada problemów.

Rozdział trzydziesty trzeci

VERADIS

Veradis gwizdnął przez zaciśnięte zęby. Stał w największej stajni w Jerolin pośród ogromnych kolumn z czarnego kamienia, które wznosiły się wysoko i wspierały belki szersze od dwóch mężów opartych o siebie plecami. Tu i ówdzie migwały ptaki, które uganiały się pod sufitem.

Wraz z Nathairem spoglądali z podziwem na ogromnego, białego ogiera, który rżał i stawał dęba. Podłoga drżała pod nimi, gdy koń tłukł w nią kopytami.

– Ładny jest, muszę stwierdzić – rzekł stajenny Valyn.

– Ładny! – zaśmiał się Nathair. – Mów lepiej prawdę, Valynie! To najpiękniejsze zwierzę, jakie kiedykolwiek na oczy widziałeś.

– Fakt, nie ma sobie równych – przyznał stajenny. – Choć mamy tu jednego, który może mu dorównać. Nie jest tak grubokościsty, za to nieco wyższy i przypuszczalnie szybszy.

– Co? – Nathair był autentycznie zaskoczony.

– Tak, to prawda. Ów rumak należy do przyjaciela twego ojca, owego Meicala. – Valyn wskazał skinieniem głowy inny boks, w którym mignęła srebrzysta grzywa. – Nie sądzę, aby był tak naprawdę lepszy od tego tutaj – dodał, widząc, jak oblicze Nathaira pochmurnieje. – I szczerze powiedziawszy, nie licząc rumaka Meicala, nie widziałem żadnego, który mógłby dorównać temu.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę, by ogier mógł ją obwąchać.

Chłopiec stajenny, który wyglądał na mocno zdenerwowanego, trzymał konia za uzdę.

– Skąd go masz, Nathairze? Nie krępuj się, powiedz mi – odezwał się Veradis. – Nie wygląda na miejscowego.

– To dar od Jaela z Isiltiru.

Veradis milczał przez moment, przypominając sobie przystojną twarz ciemnowłosego młodzieńca.

– Ach, bliski krewny króla Romara. Pamiętam go.

Pamiętał też Kastella, który powalił Jaela kopnięciem kolana w krocze na oczach najlepszych wojowników z Ziem Wycznanych. Uśmiechnął się do siebie, ale nie podzielił się z księciem tym wspomnieniem.

– Pewnie zrobiłeś na nim wielkie wrażenie – powiedział zamiast tego.

– Chyba tak. – Nathair uśmiechnął się.

– Spokojnie, tylko spokojnie! – Valyn oparł dłoń na piersi ogiera, a drugą musnął jego przednią nogę, zmuszając go, by pokazał mu kopyto. Rumak spełnił polecenie, ale gdy stajenny nachylił się, by przyjrzeć się lepiej, nagle opuścił głowę i kłapnął zębami. Mężczyzna cofnął się w ostatniej chwili i ze śmiechem zwrócił się do Nathaira i Veradisa. – Ma charakter, tego nie da się ukryć! – oznajmił.

– Nie pozwolisz chyba, by uszło mu to na sucho? – spytał Veradis, który szczycił się sporym doświadczeniem w ujarzmianiu koni. Zawsze go uczono, by natychmiast poskramiać u nich nawyk gryzienia.

– Na razie mu daruję – odparł Valyn. – Przebył długą drogę i znalazł się w obcym miejscu. Nawet najmądrzejsi ludzie czasem źle reagują na zmiany, a co dopiero konie. Poza tym takie odruchy można dobrze wykorzystać – rzekł do Nathaira. – Myślę, że właśnie znalazłeś idealny materiał na rumaka bojowego. Rzadko się zdarza, by dobry rumak bojowy miał dobrotliwe usposobienie. Czas pokaże.

Nagle odwrócił głowę w innym kierunku, a Nathair i Veradis

spojrzeli w ślad za nim.

Na progu stajni stał Meical, którego ciemną postać oświetlały wpadające do środka promienie słoneczne. Mężczyzna skinął Valynowi i ruszył w kierunku swego wierzchowca.

– Mogę w czymś pomóc?! – zawołał główny stajenny.

Meical pokręcił głową, a potem zauważył Nathaira.

– Twój ojciec rozesłał ludzi, aby cię znaleźli. Chce, byś stawił się w jego komnatach i to jak najszybciej.

Z tymi słowami ruszył przed siebie, a Nathair podążył za nim.

– Veradisie, sprawdź, czy w pobliżu nie ma jakiegoś ciekawskiego. Muszę zamienić z Meicałem kilka słów na osobności – rzucił książę, po czym wszedł do sąsiedniego boksu.

Meical mocował właśnie juki na grzbiecie wysokiego, jabłkowitego konia, który zmierzył Nathaira ciemnymi, lśniącoymi oczami. Valyn nie mylił się – zwierzę w istocie było imponujące, wręcz godne króla i nie tak grubokościste jak rumak z Isiltiru. Veradis ustawił się przy otwartej furtce, skąd miał dobry widok zarówno na resztę stajni, jak i na księcia oraz Meicala. W królewskim doradcy było bowiem coś, co nie przypadło mu do gustu.

Meical znieruchomiał, gdy Nathair wszedł do boksu. Zerknął na Veradisa, a potem znów na księcia. Veradisa znów zdumiał imponujący wzrost królewskiego doradcy.

Jest chyba jeszcze wyższy od Krelisa, choć nie tak barczysty, pomyślał. Do tej pory Krelis był największym człowiekiem, jakiego widział w całym Tenebralu.

Nagle przypomniały mu się pytania, które jego brat i ojciec zadawali mu w Ripie na temat Meicala. Ektor na przykład chciał wiedzieć, jakiego koloru są oczy królewskiego doradcy. Veradis przyjrzał się uważnie, ale w stajni było stosunkowo ciemno i stwierdził tylko tyle, że są ciemne.

– Jak idzie z księgą tego olbrzyma? – spytał Nathair.

Meical wbił w niego spojrzenie. Miał dokładnie ogoloną,

poznaczoną bliznami twarzy, która była wolna od zmarszczek, ale mimo to coś w niej wskazywało, że Meical nie jest pierwszej młodości. Długie, ciemne włosy miał związane srebrnym drucikiem na karku.

– Powoli – rzekł.

– Czy wiesz już, kim jest Czarne Słońce? I skąd zaatakuje?

Meical przyglądał mu się ciemnymi, błyszczącymi oczami.

– Tego nie mogę jeszcze powiedzieć.

– Nie możesz czy nie chcesz? Jestem księciem Tenebralu i twoim sojusznikiem. Możesz ze mną rozmawiać na takie tematy.

– W istocie, jesteś księciem, ale nie królem. Najlepiej zrobisz, jeśli zadasz te pytania swemu ojcu.

– Kim ty jesteś? – szepnął Nathair. – Kim jesteś, że mój ojciec tak ci ufa?

Meical znów zwrócił się w stronę swego wierzchowca i narzucił mu siodło na grzbiet. Ewidentnie uznał rozmowę za zakończoną.

Nathaira przeszył dreszcz. Odwrócił się i odszedł, a Veradis nie spuszczał wzroku z Meicala. Ten, nie mrugając, odwzajemnił spojrzenie. Przyboczny księcia odwrócił głowę jako pierwszy i podążył za Nathairem, który wychodził ze stajni.

Dogonił go, gdy księżę wchodził do wieży. Miał wrażenie, że przez ostatnie księżyce poznał go dobrze i wiedział, kiedy można zadawać mu pytania. Wystarczył rzut oka na jego minę, by wiedzieć, że to niewłaściwy moment.

Wbiegli po schodach i wpadli w krótki korytarz. Szli tak szybko, że ich pęd poruszał gobelinami wiszącymi na ścianach. Nathair zastukał w drewniane drzwi i pchnął je, nie czekając na zaproszenie.

Król Aquilus zasiadał na rzeźbionym, dębowym krześle, a przed nim stał wojewoda Peritus. Obecna była również Fidele, która stała w cieniu i spoglądała przez wąskie okno.

– Ojczy, wzywałeś mnie – rzekł Nathair i dodał: – Witaj, matko!

Fidele pozdrowiła go uśmiechem.

– Powrócił Peritus – rzekł król. – Chciałem porozmawiać z wami dwoma o tym, co nas czeka i jakie kroki podjąć. – Uśmiechnął się do Veradisa i oznajmił: – Stałeś się cieniem mego syna i wypełniasz swe zadanie tak umiejętnie, iż niemalże zapomniałem o twojej obecności, Veradisie ben Lamar.

Młodzieniec odpowiedział uśmiechem. Podobały mu się słowa króla.

– Myślę, że nie muszę ci mówić, że sprawy, które tu omówimy, mają pozostać tajemnicą.

Veradis skinął głową.

– Dobrze. Peritusie, opowiedz nam o swej podróży.

Wojewoda królewski był drobnym człowiekiem o skórze zbrązowiałej od słońca i ciemnych włosach, rzadziejących na czubku głowy. Pomimo swej postury słynął jako dzielny, niepohamowany wojownik. Buty oraz skraj jego płaszcza były brudne od błota, a ubranie pokryte podróżnym pyłem.

– Przemierzyłem północną granicę, a najdłuższy postój zrobiłem w Baran – rzekł Peritus. – Marcellin jak zwykle okazał się zacnym gospodarzem. Prosił, by przekazać, że będzie przestrzegał danej ci przysięgi aż do śmierci i jest gotów na twe rozkazy.

– Dobrze – rzekł Aquilus.

– Reszta mojej podróży przebiegła w podobny sposób. Wszyscy baronowie, z którymi rozmawiałem, potwierdzili, że będą lojalni zarówno wobec ciebie, panie, jak i wobec twojej polityki.

Aquilus pokiwał powoli głową i przeniósł wzrok na Nathaira.

– Teraz ty, mój synu, opowiedz nam o swej podróży, by Peritus miał pełen obraz sprawy.

– Moja opowieść, jak sam wiesz, nie różni się od tej zbyt wiele. Lamar z Ripy zgodził się przygotować do wojny i jest gotów odnowić swą przysięgę. Inni baronowie, z którymi się spotkałem, są bardziej zaprzątnięci zbiorami, pogodą, powiększaniem własnego terytorium i walką z banitami, ale pamiętają o przysiędze na wierność. Przybędą na wezwanie. Tenebral jednoczy się u twych

stóp.

– I tak być powinno, ale nie wolno nam siedzieć bezczynnie i czekać na Dzień Zimowego Przesilenia. Wielu wówczas stanie po naszej stronie, co do tego nie ma wątpliwości, ale nie wszyscy.

Aquilus podniósł się i zaczął przemierzać komnatę. Jego oczy były zapadnięte, a pod nimi widniały ciemne plamy. Veradis zauważył też o wiele więcej siwizny w jego włosach i brodzie. Bez wątpienia król dźwigał na swoich barkach wielki ciężar.

– Nie mamy pojęcia, kto okaże się czempionem Asrotha – ciągnął władca. – Kim on jest? Gdzie się objawi? Nie wiemy nic, a więc trzeba jak najlepiej wykorzystać czas, który jest nam dany. Nathairze, jak idzie tworzenie drużyny?

– Dobrze, ojcze. Moi wojownicy trenują ciężko każdego dnia, a ich liczebność rośnie – odparł książe i spojrział na Veradisa.

– Ilu masz ludzi?

– Blisko tysiąc.

Aquilus otworzył szerzej oczy. Parsknął śmiechem i klepnął młodzieńca w ramię.

– Dobra robota, synu! Wzięłeś moje słowa na poważnie!

– Tak.

– Nic więc dziwnego, że nasze spiżarnie pustoszeją tak szybko. Cóż, mniejsza o to. Musimy znaleźć coś do roboty dla twojej drużyny. Pora, by zarobili na swoje utrzymanie i pokazali zęby!

– W Tenebralu jak zawsze panuje pokój – zauważył Peritus.

– To prawda, tym bardziej że Vin Thalun dotrzymują słowa i nie nękają naszych granic. – Aquilus zerknął przy tych słowach na Nathaira. – Musimy więc gdzie indziej poszukać okazji, by twoi ludzie zdobyli doświadczenie bojowe.

– Co masz na myśli, ojcze?

– Myślę o sojuszu, który powstał podczas naszej rady. Tylko kilku z obecnych władców poparło nas bez wahania, ale już otrzymałem listy z prośbami o pomoc od Brastera z Helvethu, Romara z Isiltiru i Rahima z Tarbeshu. Brenin z Ardanu również

poinformował mnie o kłopotach na swej granicy. Myślę, że i jemu przydałoby się wsparcie. Braster i Romar zaś wspólnie graniczą z lasem Forn i postanowili połączyć siły, by zmiażdżyć Hunen, klan olbrzymów, który tam mieszka. Poprosili mnie o pomoc wojskową, a ja mam ochotę im jej udzielić.

– Kiedy? – spytał Nathair.

– Przypuszczalnie w przyszłym roku na wiosnę. Królestwo Brenina leży w pobliżu, a więc moglibyśmy wysłać tam hufiec, a potem go podzielić. Część dołączyłaby do wojsk walczących z Hunen w lesie Forn, a pozostali wsparliby Brenina w jego bojach z banitami nękającymi granice.

– W mrocznych zakamarkach czają się kłopoty – mruknął Peritus.

– Trudno zaprzeczyć – rzekł Aquilus.

– A król Rahim z Tarbeshu? – spytał Nathair.

– On również boryka się z resztkami klanu olbrzymów. Podróżowanie po niektórych zakątkach jego kraju stało się niebezpieczne. Na szczęście to nie lasy – rzekł król i uśmiechnął się do Peritusa.

– A kiedy chcesz wysłać pomoc Rahimowi? – naciskał książę.

– Być może jeszcze w tym roku. – Aquilus szarpał się za krótką brodę. – Być może wkrótce. Jego kraina leży na południowym wschodzie, a jego terytorium to w znacznym stopniu pustynie, przez co można tam toczyć kampanie wojenne zimą.

– Będę zaszczycony, mogąc poprowadzić nasze wojska do Tarbeshu, by reprezentować ciebie, umocnić nasz sojusz i poprzeć naszą sprawę – rzekł Nathair z zapałem.

– Słyszałem, że to osobliwa kraina – powiedział Aquilus. – Za dnia trwają tam prażące upały, a noce są dotkliwie zimne. Planowałem wysłać tam bardziej doświadczoną drużynę, składającą się z ludzi, którzy odbyli już kampanię wojenną. Ciebie zamierzałem wysłać wiosną do Isiltiru, Nathairze.

– Wątpisz we mnie? Wątpisz w moich ludzi? Doskonale

nadajemy się do wypełnienia tego zadania!

Aquilus przyjrzał mu się uważnie, a potem przeniósł wzrok na Peritusa.

– Być może więc spotkam się wpierw z twymi ludźmi i przyjrzę się ich szkoleniu, o którym tyle słyszałem – powiedział, unosząc brew. – Wówczas podejmę decyzję.

Nathair pochylił głowę.

– Jak sobie życzysz.

– Peritusie – rzekł Aquilus. – Wciąż nie zmyłeś z siebie podróznego kurzu. Proszę, zrób sobie dzień wolnego, odpocznij. I staw się jutro, byśmy wspólnie mogli dokonać inspekcji hufca mego syna.

– Na twoje życzenie – rzekł wojewoda, po czym skinął Nathairowi i wyszedł.

– Jest jeszcze jedna kwestia, którą pragnę z tobą omówić. – Król zwrócił się do syna, marszcząc brwi. – Dziś rano przybył posłaniec z rejonów leżących przy granicy z Carnutanem. Przywiózł doprawdy intrygujące wieści. Vin Thalun napadli na Carnutan.

Nathair milczał.

– Przez ostatni księżyc Vin Thalun spowodowali więcej zniszczeń niż kiedykolwiek wcześniej.

– I co z tego, ojcze? – Nathair wzruszył ramionami. – Przecież dotrzyмали słowa, które nam dali. Naszych posiadłości nie zaatakowali.

– Tak, zgadza się. – Król nabrał tchu i powoli wypuścił powietrze. – Ale martwi mnie coś innego. Otóż Vin Thalun nigdy dotąd nie zapuszczali się tak daleko na zachód.

Aquilus stukał palcami w poręcz krzesła. W komnacie panowała absolutna cisza.

– Wystarczy się skupić, by ujrzeć w tym pewien wzór – podjął. – W ciągu ostatniego księżyca zaatakowane zostało Carnutan, którego władca, Mandros, jako jedyny głośno przeciwstawił mi się na radzie. A Tarbesh? Niegdyś byli często nękani najazdami Vin

Thalun, ale poparli mnie na radzie i co? Nic. Żadnych napadów! – Aquilus nagle powstał. – Powiedz mi prawdę, synu. Czy to twoja sprawka?

Ojciec i syn mierzyli się spojrzeniami przez dłuższą chwilę.

– Nie – odparł Nathair, wytrzymując spojrzenie króla.

Ten westchnął i odwrócił głowę.

Napięcie momentalnie osłabło.

– Dobrze. To dobrze. Niemniej skoro ja o tym pomyślałem, inni też na to wpadną. Mandros bez wątpienia dojdzie do identycznego wniosku. Ten człowiek nie ufa nikomu, a powszechnie wiadomo, że to ty doprowadziłeś do naszego traktatu z Vin Thalun. Ci piraci mogą zacząć siać niezgodę i osłabić sojusz, nim naprawdę zaczną działać!

– Ależ skąd, ojcze!

– Jeszcze jakiś czas temu pewnie bym się z tobą zgodził, ale ich przywódca, ów Lykos... Usłyszałem o nim kilka niepokojących faktów. Jak udało mu się zjednoczyć wyspy? To ci dopiero wyczyn, co? Panos, Nerin i Pelset zawsze były cierniem w boku dla władców na kontynencie, ale nie stanowiły prawdziwego zagrożenia. Teraz, gdy Vin Thalun połączyli swe siły, są w stanie osiągnąć znacznie więcej.

Veradis czuł się coraz bardziej niezręcznie. Wiedział, że Nathair ukrył wiele kwestii przed ojcem, ale teraz kłamał w żywe oczy, co było jeszcze gorsze. Przełknął ślinę.

To wszystko dla większego dobra, powiedział do siebie w myślach.

Zerknął na Fidele, która nie spuszczała oczu z syna. Przyglądała mu się bardzo uważnie.

– Ojcze, dlaczego przejmujesz się zdaniem takich ludzi jak Mandros? Przecież on ci do pięt nie dorasta! Nie potrzebujemy ani jego, ani nikogo takiego jak on. Jesteśmy wszak narzędziem sprawiedliwości Elyona. Szykujemy się, by wydać wojnę Asrothowi, a tacy jak Mandros nie mają dla nas znaczenia.

Aquilus potrząsnął głową.

– Nathairze, jesteś młody i trzymasz się swoich zasad, ale musisz się jeszcze wiele nauczyć o polityce. Wciąż cechują cię naiwność i duma, tak typowe dla okresu młodości – westchnął. – Czempion Asrotha, owe Czarne Słońce, nie będzie jakimś tam górskim rozbójnikiem, którego można przepędzić po zwykłej potyczce. Musimy zebrać wszystkie nasze siły, nim się ujawni. Potrzebujemy takich ludzi jak Mandros. Każde królestwo, które nie stoi po naszej stronie, najprawdopodobniej zwróci się przeciwko nam.

– Nie zgadzam się, ojcze – parsknął Nathair. – Mandros i inni mu podobni wywołują więcej zamieszania, niż to warte. A jeśli chodzi o samego Mandrosa, mam wrażenie, że nosi w sobie jakieś zło. Czy przyszło ci do głowy, iż być może sprzysiągł się z Czarnym Słońcem? Ha, on nawet może nim być! Wszak Asroth, jeśli wierzyć opowieściom, to zło wcielone. Na pewno chciałby ci jakoś przeszkodzić w budowaniu sojuszu.

– Nie słuchasz mnie! – Aquilus uderzył w poręcz krzesła, ale po chwili odezwał się już ciszej: – Twoje argumenty i teorie nie interesują mnie tak bardzo jak twa lojalność. Nie pozwolę ci na to, byś na każdym kroku mi się przeciwstawiał. Jestem królem, Nathairze, a moje słowo jest prawem. Nie zapominaj o tym. – Naraz wydał się znużony. Opuścił głowę i stanął obok żony przy otwartym oknie. – A oto moja decyzja: nabierz dystansu do Vin Thalun. Nie chcę, aby w jakikolwiek sposób łączono cię z nimi. Czy to jasne?

Nathair napiął mięśnie.

– Tak, ojcze. Twoja wola jest dla mnie jasna.

– Dobrze – burknął Aquilus. – Zobaczmy się więc jutro.

Rozdział trzydziesty czwarty

CORBAN

Corban stęknął z bólu, uderzony mieczem ćwiczebnym Gara w kłykcie. Odruchowo rozwarł dłoń i jego własny oręż upadł na ubitą ziemię w stajni.

– Co się z tobą dzieje? – spytał Gar, gdy chłopak pochylił się, by podnieść broń.

– Nic – mruknął Corban i skrzywił się, rozprostowując dłoń. Kłykcie były zaczerwienione i już puchły.

Nie powiedział stajennemu prawdy – było źle, a nawet bardzo źle. Nie spał zbyt wiele w nocy, przez cały czas zastanawiając się, czy postąpił właściwie, pozwalając banitom na ucieczkę. Cywen nie kryła się ze swoim zdaniem i zwymyślała go od głupców, jeszcze nim Braith i jego ludzie znikli. Ale czy istniało jakieś inne rozwiązanie? Mógł oczywiście zginąć śmiercią wojownika, ale wtedy to samo czekałoby Cywen i Marrocka. Zastanawiali się, czy nie udać się prosto do króla Brenina lub czy nie porozmawiać o wszystkim z mamą i tatą, ale postanowili, że tego nie zrobią. Rozmowa z kimś dorosłym doprowadziłaby do pośpiesznego wszczęcia alarmu, a w efekcie do egzekucji Marrocka. Corban ani przez moment nie wątpił, że Braith jest do tego zdolny. Dopóki milczeli, dopóty była szansa, że Marrock wciąż żyje.

Westchnął, podniósł swój miecz i odwrócił się ku Garowi. Próbuując oczyścić myśli, nabrał głęboko tchu i wstrzymał oddech,

czując, jak w jego piersi gęstnieje napięcie, a potem powoli wypuścił powietrze, tak jak go nauczył stajenny.

Nic nie uchodzi jego uwadze, pomyślał.

Sekundę później wszelkie myśli umknęły z jego głowy, gdy podjął walkę, desperacko próbując uchronić kłykcie przed kolejnym bolesnym uderzeniem.

* * *

– Coś cię gryzie – odezwał się Gar, przerywając ciszę, która zapadła po ich treningu. Corban spojrzał na niego, ale nie odpowiedział. Główny stajenny wzruszył ramionami. – Fakt, nie moja sprawa. Ale musisz lepiej się koncentrować, bo byłeś dziś rozkojarzony. To wpłynęło na twą postawę.

Chłopak zanurzył chochlę w beczce z wodą i upił łyk.

– Łatwo ci mówić – burknął.

– Łatwo, zgadza się – rzekł stajenny.

Corban zamrugał, znów czując nagłą falę wstydu.

– Z rzeczy, które mają jakąś wartość, mało która przychodzi człowiekowi łatwo – ciągnął Gar. – A każda umiejętność, która pomoże ci przeżyć na polu walki, bez wątpienia ma wielką wartość. Nie wiem, co cię rozpraszało, ale po chwili udało ci się to przewyciężyć. Cieszę się, ale następnym razem uporaj się z tym szybciej. Szkoda twoich kłykci.

– Acha – mruknął Corban.

– Jak ci idzie na Jarzębinowej Łące? – spytał mężczyzna.

Dobrze wiesz, pomyślał Corban.

Niejednokrotnie widział sylwetkę Gara, który przyglądał się jego postępom na Łące, stojąc wśród cieni. Halion wiele go nauczył i chłopak coraz lepiej posługiwał się włócznią oraz tarczą, ale najlepiej szło mu z mieczem. Miał wrażenie, że miecz nie był już ciężkim patykiem, ale częścią jego samego, przedłużeniem

ramienia. Nikt mu tego nie powiedział, ale czuł, że dobrze mu idzie, o czym świadczyło choćby to, że Halionowi zdarzało się unieść z zaskoczeniem brew podczas ćwiczeń czy sprawdzić w trakcie przerwy, czy nie przygląda im się ktoś ze starszych wojowników. Corban wiedział, że w znacznym stopniu zawdzięcza to Garowi.

– Robię postępy w nauce – rzekł. – Halion nie mówi wiele, choć na pewno więcej od ciebie. Chyba jest ze mnie zadowolony.

Gar burknął coś pod nosem.

– Dlaczego sam nie szkolisz nikogo na Łące? – Corban wygłosił pytanie, które dręczyło go od dawna.

– Nie jestem w stanie walczyć w drużynie przez chromą nogę. – Mężczyzna odwrócił się, nabrał wody w dłoń i się napił. – Nie ma sensu szkolić wojowników, z którymi nie można potem stanąć w szeregu.

Corban wydawał się sceptyczny.

– Myślę, że ta rana nie przeszkadza ci aż tak bardzo, jak twierdzisz. Mógłbyś mnie zabić sto razy podczas każdego treningu.

– Ale ty masz czternaście lat i jeszcze sporo ci brakuje do dorosłego, wyszkolonego wojownika.

– Mimo to przyglądam się innym na Łące, Garze. Halion dałby pewnie radę większości z nich, może nawet wszystkim, a ty jesteś przynajmniej tak dobry jak on. Ludzie szanowałiby cię o wiele bardziej, gdyby wiedzieli. Mieliby cię za kogoś więcej niż tylko stajennego!

– Tylko stajennego. – Gar zmarszczył brwi. – Nie zależy mi na szacunku innych ludzi, a praca stajennego odpowiada mi w zupełności.

– Ale...

– Dość już. – Garowi powoli kończyła się cierpliwość. – Podjąłem decyzję wiele lat temu i nie mam zamiaru jej zmieniać.

W milczeniu ściągnęli z mieczy miękkie jagnięce skóry, którymi owijali je, by nie robić hałasu i nie przyciągać niczyjej uwagi.

– Jak twój szczeniak? – spytał główny stajenny.

Corban nie był w stanie opanować uśmiechu.

– Wszystko w porządku. Gdy wychodziłem, Burza spała przed ogniem obok Buddaia i głośno chrapała.

Suczka miała w zwyczaju budzić się o tej samej porze co on, ale dziś było inaczej. Tak czy owak na ogół zostawiał ją w domu, gdyż po treningu w stajni szedł prosto na Jarzębinową Łąkę. Halion lubił wcześniej zaczynać ćwiczenia, bo dzięki temu szybciej mógł skończyć i zająć się innymi rzeczami. Dziś Corban również zostawił Burzę w domu, choć treningu na Łące nie było. Halion wyjechał bowiem wraz z wieloma innymi wojownikami, by szukać Marrocka i zbiegłych banitów.

Zaburczało mu w żołądku.

– Chyba wrócę, by ją obudzić – powiedział i pożegnał się z Garem.

Wrócił do domu i wślizgnął się do kuchni. Thannon siedział na krześle przy ogniu. Podbródek wsparł o pierś i chrapał rytmicznie, aż drżały kosmyki jego czarnej brody. Buddai, zwinięty w kłębek u stóp pana, uniósł łeb i rozpoznawszy Corbana, zaczął miękko tłuc ogonem o kamienną podłogę. Zza cielska ogara wyłonił się łebek Burzy, która przeskoczyła nad nim i podbiegła bliżej. Wciąż była kłębkim miękkiego, białego futra z ciemniejszymi pasemkami. Chłopak ukucnął, a samiczka wilkuna potarła o niego pyszczkiem i próbowała pochwycić jego palce ostrymi, szczytującymi kielkami.

– Ciii! – szepnął, nie chcąc budzić ojca. Delikatnie głaskał Burzę. Spostrzegł, że w jej puszystym futerku pojawiły się już twardsze, ciemniejsze włosy.

Thannona zbudził dopiero huk garnków ustawianych na kuchennym stole, a chwilę później z ogrodu wróciła Cywen, niosąc tuzin jaj w koszuli.

Niewiele rozmawiali podczas śniadania, gdyż wszyscy byli zmęczeni i niewyspani. W środku nocy podniesiono bowiem alarm po tym, jak wartownik z kolejnej zmiany ujrzał pustą celę. Niedługo później rozeszły się wieści o martwym wojowniku, którego

ciało znaleziono niedaleko zbiornika, oraz o zniknięciu Marrocka i Camlina. Corban skupił się na pałaszowaniu sera i jaj oraz kromek ciepłego chleba, które stały przed nim.

– Są jakieś wieści? – spytała Cywen.

Chłopak wpatrywał się w swój talerz, opierając się pokusie, by spojrzeć na siostrę, choć czuł na sobie jej wzrok.

– Jak na razie nic – powiedziała Gwenith, która stała zwrócona do nich plecami, uwijając się przy piecu.

– Jest wciąż wcześnie – rzekł Thannon. – Teraz, po wschodzie słońca, tropienie stanie się łatwiejsze.

Nastał świt, pomyślał Corban. Marrock miał zostać wypuszczony o świcie.

Uniósł głowę i przechwycił spojrzenie Cywen, z którego wyczytał, że siostra myśli o tym samym.

Braith dał im słowo. W stylu mieszkańców Ciemnego Boru. Wzdrygnął się na wspomnienie spojrzenia banity, jego potężnego uścisku i obietnicy zemsty, jeśli Corban złamie słowo. Usłyszał tyle strasznych historii o przywódcy banitów z Ciemnego Boru, a mimo to mu uwierzył.

Jestem głupcem, pomyślał. Straszny głupcem.

– Ruszam do Briny – rzekł. Nogi krzesła zaszurały na kamiennych płytach, gdy podniósł się szybko. – Muszę jak najszybciej uporać się z obowiązkami.

– Przejdę się kawałek z tobą – powiedział Thannon.

Gwenith podała Corbanowi nieco jedzenia zapakowanego w nawoskowany papier, po czym chłopiec opuścił dom wraz z ojcem. Buddai i Burza potruchtaly za nimi.

– Dokąd się wybierasz, tato? – zapytał Corban.

– Dobrze by było sprawdzić, co z Nieugiętym – odparł ogromny kowal. – Trzymam go w zagrodzie niedaleko twego żrebaka.

Szli ku Kamiennej Bramie. Chłopak spojrzał na ojca z uniesioną brwią.

– A szczerze powiedziawszy, nie chcę, byś sam chodził teraz po

lasach, skoro dookoła włóczę się zbiegli banici z Ciemnego Boru.

– Przecież ich dawno już tu nie ma! – rzekł Corban.

– A skąd to wiesz, chłopcze? – spytał Thannon.

Serce Corbana aż podskoczyło, gdy usłyszał pytanie ojca, ale ten ciągnął dalej:

– Moim zdaniem równie dobrze mogli znaleźć jakąś kryjówkę w pobliżu, gdzie przeczekają całe zamieszanie, a ruszą w drogę powrotną do Ciemnego Boru, gdy nikt już nie będzie ich szukał. To stara sztuczka i niewykluczone, że ten banita po nią sięgnie. Mnie interesuje jednak to, gdzie jest Marrock. Przypuszczalnie nie żyje – dodał, nie patrząc na chłopaka. – Leży gdzieś za murem albo na dnie zatoki z poderżniętym gardłem.

Corbanowi zrobiło się niedobrze.

W milczeniu przeszli pod sklepieniem Kamiennej Bramy i ruszyli po starożytnym moście z kamienia, by wkrótce zejść na stały ląd. Po wzgórzach błąkały się owce, które szukały kępek trawy i smacznych roślin wśród smaganych wichrem skał. Tu i ówdzie zółciły się krzaki janowca.

– Wymyśliłeś już imię dla swego źrebaka, Ban? – spytał Thannon.

– Nie. Jeszcze nie.

Nie przestawał się nad tym zastanawiać. Spędzał sporo czasu ze źrebakiem, czasami samemu, a czasami w towarzystwie Gara oraz Cywen, i nieraz zasypiał, przebierając wśród najrozmaitszych nazw: Chyży, Łowca, Bystry, Błyskawica, Podmuch. Zastanawiał się nawet, czy nie nazwać go Wichura na cześć ogiera, który należał do Sokara, pierwszego króla Ziem Wygnanych, ale żadne imię nie wydawało się odpowiednie.

– Gar powiedział mi, że to imię wybierze konia i że nie mam się z tym śpieszyć – rzekł. – Ale minęło już sporo czasu, a ja mam już dosyć wołania na niego „Mały”!

– Mało kto zna się na koniach tak dobrze jak Gar. Na twoim miejscu posłuchałbym jego rady.

– Nie mam wyboru – zgodził się Corban.

Podążali w dół drogą biegnącą od mostu. Przeszli przez wieś i skierowali się w stronę traktu olbrzymów. Dzieci na ulicach przerywały zabawę, by przyjrzeć się Buddaiowi i Burzy, które biegły za nimi. Wilkunica dokazywała wokół psa i co rusz prześlizgiwała się pod jego nogami. Thannon zachichotał.

– Już się przyzwyczaiłeś do tego, że ludzie się za tobą oglądają? – spytał, spoglądając na dzieciaki stojące z szeroko otwartymi oczami.

– Nie – odparł Corban. – Mam nadzieję, że to ludzie się do niej przyzwyczajają.

– Trochę to potrwa – rzekł Thannon. – Nie ma wielu miejsc na świecie, gdzie wilkun chodzi w świetle dnia wśród ludzi. A szczeniak z każdym dniem będzie coraz większy.

Corban nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tym, jak Burza będzie wyglądać w przyszłości, ale musiał przyznać ojcu rację.

– Gdzieś to mam – powiedział. – Żyje wśród nas i nic tego nie zmieni. Ludzie będą musieli przywyknąć.

– Jasne, chłopcze, nie ma co do tego wątpliwości.

Corban wciąż musiał sobie przypominać, że jego szczeniak nie był zwykłym psem, ale należał do gatunku o wiele dzikszego i bardziej niebezpiecznego. Jak do tej pory przekonał się o tym jedynie raz. Wracał wówczas z wioski, niosąc kilka wędzonych ryb, po które wysłała go matka. W pewnej odległości za nim szło kilka psów z Havan. Rzucił kawałek ryby Burzy, ale jeden z psów postanowił wykorzystać sytuację i skoczył, by odebrać jej kąsek. Burza wypuściła rybę z pyska i z furią rzuciła się na dwakroć większego od siebie psa, kłapiąc szczękami. Ten umknął, skamłając, z podkulonym ogonem.

Zostawili już zabudowania wsi za sobą, a przed nimi pojawiły się zagrody. Corban dostrzegł swego żrebaka, który stał spokojnie w cieniu krzaku głogu.

– Zobaczę, co u Nieugiętego. Dasz już sobie radę, Ban?

– Od początku mówiłem, że niepotrzebnie się o mnie martwisz – odparł chłopak.

Chata Briny znajdowała się niedaleko stąd, nad drzewami widać już było strużkę dymu płynącą z jej komina.

Naraz uszu Thannona i Corbana dobiegł odległy stukot kół na bruku. Odwrócili się i ujrzeni spory, zaprzężony w dwa konie wóz, który opuścił Havan i podązał w ich kierunku. Kowal wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem spojrzął na syna.

– A może powinienem cię odprowadzić do chaty uzdrowicielki – rzekł.

– Dam sobie radę. Nie jestem dzieckiem, a poza tym nie jestem sam. Burza mnie obroni.

– Cóż, na pewno dałaby z siebie wszystko, ale musi najpierw trochę podrosnąć. Weź Buddaia. Nie dość, że twój staruszek poczuje się trochę lepiej, to jeszcze przestanie się nad tobą rozczulać, jakby był twą matką.

– W porządku – odparł Corban.

Ojciec uśmiechnął się i zszedł z drogi, ruchem nadgarstka nakazując psu, by został z chłopakiem.

Ogar odprowadził swego pana wzrokiem, a potem poczłapał za Corbanem i Burzą.

Ścieżka do chatki Briny została wydeptana przez krążących w tę i z powrotem strażników, których przysyłał Ewnis, by pilnowali Vonna. Corban ujrzał jednego z nich, który siedział oparty plecami o drzewo. Jego koń skubał trawę, a obok niego stał inny wierzchowiec, z wodzami luźno zarzuconymi na gałąź wierzby przy strumieniu.

Corban podszedł do chatki, w której rozprawiano podniesionymi głosami, po czym zapukał do drzwi. Te rozwarły się gwałtownie, a chłopak ujrzał pomarszczoną twarz Briny.

– Co znowu! A, to ty – powiedziała, mrużąc oczy i wpatrując się w Corbana. – Cóż, wejź do środka, czemu nie. Co masz stać na dworze, skoro wszyscy i tak już tu są. Mam Wiosenny Festiwal pod

własnym dachem!

Corban przestąpił próg, nie wiedząc, czy ma się uśmiechnąć czy też nie. Czujny Buddai poczłapał do środka za nim, wężąc naokoło. Burza wciąż kryła się między nogami wielkiego ogara.

Na środku izby stał chudy starzec z siwymi włosami. Corban zamrugał, natychmiast rozpoznając w nim Heba, znawcę obyczajów. Mężczyzna spojrzał na chłopaka i z powrotem na Brinę, unosząc brew.

– To mój uczeń – odparła uzdrowicielka i machnęła ręką.

Heb uniósł drugą brew.

– Uczeń. No cóż, dobrze. Jak już mówiłem, Brino, zrobiło się niebezpiecznie. Nikt nie wie, dokąd uciekł banita, ilu ludzi mu pomagało ani gdzie się skrył. – Znawca obyczajów usiadł na drewnianym krześle i splótł palce pod brodą. – Martwię się o ciebie. Mieszkasz tu samotnie, tak daleko od tych, którzy mogliby cię chronić.

Twarc Briny niespodziewanie zaczęła zmieniać kolor na purpurowy, jakby uzdrowicielka dławiła się kamieniem.

– Niebezpiecznie, tak? – wykrztusiła. – I nikt mnie nie ochrania? Rety, mieszkam tu sama od ponad dwudziestu lat, bez ciebie i twoich nowych trosk i zmartwień! – Ostatnie słowa wypluła jak truciznę. – Znoszenie kretynów uzbrojonych w pogrzebaczę, dzień i noc snujących się pod moimi oknami, jest już wystarczająco trudne, a ty chcesz, bym się przeniosła do twierdzy, w której są ich setki? – Uśmiechnęła się ponuro. – Brakuje ci mego towarzystwa?

– Towarzystwa? Ciebie i twojego kruka? – Znawca obyczajów podniósł się i zaczął krążyć po izbie. – Kobieto, przy tobie szybciej się starzeję.

Z góry dobiegło krakanie. Heb uniósł głowę i ujrzał Crafa, który siedział na belce i przyglądał mu się z uwagą. Jego czarne oczka połyskiwały.

– Krnąbrna i uparta jak zwykle – wymamrotał starzec. – Przecież ludzie z wiekiem powinni nabywać łagodności?

– Że niby miałabym stać się miękka tak jak ty?

Heb uniósł rękę i nabrał tchu.

– Na pewno nie chcesz wziąć tego pod rozwagę? Spałbym lepiej ze świadomością, że znalazłaś się między murami fortecy.

– Dun Carreg to nie miejsce dla mnie. Wolę drzewa i trawy od kamieni i szkła.

– Przemyśl to, Brino. Dobrze wiesz, że w moich słowach kryje się mądrość.

– Jasne. Mądrość. A skąd ty masz wiedzieć, czym jest mądrość, co? – wymamrotała uzdrowicielka.

– Poddaję się – oznajmił Heb, po czym uniósł ręce i ruszył ku drzwiom. – Nie spędzaj przy tej kobiecie za dużo czasu, bo jej towarzystwo szkodzi zdrowiu.

Zatrzasnął za sobą drzwi.

Corban i Brina stali nieruchomo i patrzyli na siebie.

– Zły człowiek – mruknął Craf.

Chłopak poczuł dreszcze i czym prędzej odwrócił wzrok. W izbie obok leżał Vonn, blady i z podkrążonymi oczami, ale najwidoczniej już wolny od gorączki.

– Czym mam się zająć? – spytał Corban.

– Nie mam dziś dla ciebie wiele pracy. Nie potrzebuję nowych ziół, ale zawsze można pozamiatać. Właśnie. Skąd się bierze ten cały kurz?

Chłopak ruszył po miotłę.

– Tylko pilnuj, żeby twój pies nie pożarł mi kruka! – dodała Brina, przyglądając się nieufnie ogarowi. Buddai siedział bowiem nieruchomo, wpatrzony w ptaka, a z fałdów pyska ciekła mu strużka śliny.

Udławiłby się, pomyślał Corban, ale zdołał zachować to dla siebie. Wskazał ogarowi miejsce przed frontowymi drzwiami, a pies natychmiast zwinął się w tam w kłębek. Burza z ochotą zaczęła ciągnąć go za obwisłe ucho.

Vonn wsparł się na poduszkach i przyglądał się Corbanowi

zamiatającemu izbę.

– Przegapiłeś kilka paprochów – powiedział i wskazał mu kąt.

Corban zignorował go.

– Hej, chłopcze, mówię do ciebie!

Corban spojrzał na niego.

– O, słyszysz mnie. Wspaniale. Zamieć to, a potem tam, pod stołem. O, właśnie tam.

Corban burknął pod nosem i zamiótł miejsca wskazane mu przez Vonna. Irytowało go, że musiał spełniać jego wolę, ale przecież Brina kazała mu, by wszędzie posprzątał, a nie miał wątpliwości, że uzdrowicielka słyszy ich rozmowę, bez względu na to, gdzie się właśnie znajduje.

Niespodziewanie do izby weszła Burza, która znudziła się zabawą z Buddaiem. Zauważyła sztywne włosie miotły, przemieszczające się to w jedną, to w drugą stronę, i skoczyła na nie z zapalem. Corban roześmiał się, gdy wilkunica wyrwała mu miotłę z rąk.

– To ty! – odezwał się Vonn.

– Co takiego? – Corban odwrócił się.

Vonn zdołał się podnieść do pozycji siedzącej. Jego jasne włosy były ciemne od potu, kilka kosmyków przykleiło mu się do twarzy.

– Ten chłopak w Baglunie... To byłeś ty, tak? – Vonn patrzył to na Corbana, to na szczenię.

– Tak. I co z tego? – odparł Corban.

– I ośmielasz się tu wchodzić? I jeszcze przynosić ze sobą to bydlę? – Vonn oskarżycielsko wycelował palec w Burzę.

– Tak. Ośmielam się.

– Jeszcze mi za to odpowiesz! Gdybym nie był przykutym do łóżka, pokazałbym ci, gdzie raki zimują! I to zaraz!

– Nie zrobiłem nic złego.

– Nie? Chronisz zwierzę, które zabiło wielu dzielnych ludzi i doprowadziło mnie do tego stanu. To wedle ciebie nic złego? Poczekaj tylko, aż dojdę do siebie. Znajdę cię, a wtedy zapłacisz mi

za to.

– Nie zrobiłem nic złego – powtórzył Corban, czując, jak wzbiera w nim mieszanina gniewu i lęku. Powszechnie wiadomo było, że chłopak doskonale włada mieczem.

– Mój ojciec ma na ten temat inne zdanie – rzekł Vonn.

– Szkoda tylko, że królowa się z nim nie zgadza – odciął się Corban.

Obaj milczeli przez dłuższą chwilę, aż chłopak rzucił:

– Sam sobie pozamiataj u siebie.

Wyszedł z izby, wołając za sobą Burzę, i zabrał się za zamiatanie w innym miejscu. Machał miotłą tak gwałtownie, że wkrótce podniósł tumany gęstego kurzu, lecz nie zwrócił na to uwagi. Brina siedziała na krześle i pochylała się nad oprawioną w skórę księgą. Co chwila zerkwała na chłopaka, otoczonego chmurą pyłu, ale nie powiedziała ani słowa.

Nagle przez otwarte okna dało się słyszeć czyjeś krzyki. Corban podbiegł do drzwi, a Brina poszła za nim.

Wojownik pozostawiony przez Evnisa stał po drugiej stronie polany, trzymając włócznię wysoko i pokrzykując tryumfalnie. Z oddali dobiegał tętent kopyt wielu koni. Strażnik umilkł, przyglądał się jeźdźcom jeszcze przez chwilę, po czym zawrócił.

– Co się dzieje? – spytał Corban.

Wojownik spojrzał na niego, ale nie odpowiedział ani słowem.

– No? – warknęła Brina. – Głuchy jesteś? Chłopak zadał ci pytanie!

– To była grupa poszukiwawcza, wracająca do zamku – rzekł wpatrzony w Brinę mężczyzna, nadal ignorując Corbana. – Jechał z nimi Marrock.

Rozdział trzydziesty piąty

VERADIS

Veradis nabrał głęboko tchu, rozkoszując się zapachem soli w powietrzu, choć wiatr smagał jego twarz, a oczy wzbierały mu łzami. Bez trudu chodził po pokładzie, odruchowo, podświadomie równoważąc kołysanie. Reszta nie dawała sobie rady tak dobrze.

Bos przywarł do burty okrętu i trwał zgięty wpool, a z jego ust ściekała ślina. Obok niego widać było towarzyszy w podobnych pozycjach. Veradis uśmiechnął się. Wychowywał się nad wodami zatoki, przez co pokład okrętu był dla niego środowiskiem naturalnym, ale wielu innych wojowników Nathaira pochodziło z głębi lądu i pierwszy raz w ogóle widziało morze, nie mówiąc już o żeglowaniu.

Zrobił ponurą minę. Vin Thalun miałoby teraz świetną okazję, by się z nimi rozprawić. Wszak płynęli na ich okrętach.

Nie, pomyślał. Nathair się nie myli. Gdyby naprawdę chcieli ich pozabijać, już dawno skorzystaliby z którejś z okazji.

Dotarł na dziób. Słońce wstawało na horyzoncie przed nimi i zamieniało morze w taflę migotliwego złota. Żeglowali już pół dziesięcionocy i jeszcze chwilę temu widzieli wybrzeże Pelset, najbardziej wysuniętej na wschód wyspy Vin Thalun. Teraz znajdowali się na samym środku wielkiego bezmiaru Morza Tethys, a między nimi a wybrzeżem Tarbeshu nie było już nic poza wodą.

Veradis spojrział przez ramię i dostrzegł pozostałe okręty z ich floty, przypominające teraz czarne plamki w blasku słońca. Na ich pokładach znajdowało się ośmiuset wojowników Nathaira – z całej drużyny książęcej w Jerolin pozostała jedynie setka, która miała gromadzić i szkolić rekrutów podczas ich nieobecności. Młodzieniec uśmiechnął się na wspomnienie zaskoczonych min króla Aquilusa oraz wojewody Peritusa, obserwujących trening ich hufca.

W rzeczywistości było to widowisko godne podziwu. Ustawił jedną trzecią drużyny, około trzystu osób, w szeregach i kazał im odeprzeć atak pozostałych dwóch trzecich, którzy mieli szarżować bezwładną masą, jak to zwykle się czynić na Ziemiach Wygnanych. Z okrzykami bojowymi na ustach napastnicy nacierali na nieruchomy szereg wojowników z wzniesionymi drewnianymi mieczami i włóczniami. Gdy obie grupy dzieliło zaledwie kilkadziesiąt kroków, mężczyźni stojący w szeregu poderwali ogromne, okrągłe tarcze, tworząc ścianę dębowego drewna i żelaza.

Szarżujący uderzyli w nią z impetem. Ściana zadrżała na końcach niczym cięciwa napiętego łuku, ale wytrzymała, i napastnicy tłukli w nią bez widocznego efektu. Ich okrzyki przerodziły się we wściekłe sapanie – napierali i dobywali wszystkich sił, ale ściana trwała nieporuszona. Niespodziewanie rozległ się odgłos rogu, a wówczas tarczownicy wykonali krok. Potem kolejny. Napastnicy zaczęli odpadać od muru, nie mogąc cofnąć się ani wykonać jakiegokolwiek manewru w zbitej masie.

– W jaki sposób władają orężem w takim ścisku? – zapytał wówczas król.

Veradis i Nathair przyglądali się pozorowanej bitwie wraz z Aquilusem, Fidele i Peritusem z niewielkiego, błotnisteo wzgórza, z którego wycięto drzewa. Veradis pamiętał uśmiech, z jakim książę odpowiedział ojcu.

– Napastnicy nie są w stanie walczyć – oznajmił. – Mur tarcz nie zostawia im żadnej swobody. Nie mogą rozbić szyku obrońcy na setki walczących par, jak to dotąd bywało, a więc ich miecze

i włócznie są zwyczajnie za długie i stają się nieporęczne. Tarczownicy natomiast uzbrojeni są w to!

Wyciągnął wówczas krótki miecz, który przytroczył w miejscu, gdzie trzymał nóż. Zlecił ich wykonanie w tajemnicy, a drużyna otrzymała drewniane odpowiedniki do ćwiczeń.

– Takie miecze lepiej nadają się do starć w ścisku. Widzicie, jak przenikają między tarczami? Wojownicy nie muszą wykonywać zamachu, wystarczy, że będą pchać do przodu.

Aquilus spojrzał na Peritusa, który przyglądał się starciu w milczeniu. Wojewoda skinął raz głową.

– Twoim ludziom grozi otoczenie z flanki – powiedział.

– Zgadza się, ale patrzcie!

Mur tarcz wygiął się na obu skrajach, gdyż napastnicy wciąż nacierali, próbując go okrążyć bądź zmiażdżyć samym naporem. Znow rozległ się ryk rogu, tym razem dwukrotnie. Wojownicy z centrum szyku przesunęli się sprawnie, by wzmocnić flanki. W tej samej chwili spomiędzy drzew wychyły dwie grupy jeźdźców, liczące po dwa tuziny zbrojnych. Runęły na wrogów próbujących przełamać flanki, ale zamiast wbić się w ciżbę, skręciły w ostatniej chwili i przeorały ją włóczniami i długimi mieczami. Wynik starcia był już przesądzony.

– Nowy szyk sprawdza się we współpracy z konnicą – rzekł Veradis.

– Dość już widziałem – uznał Aquilus.

Nathair uniósł rękę. Zaryczał róg i pozorowana bitwa natychmiast się skończyła. Tarczownicy pomagali powalonym kolegom wstać.

– I co powiesz, ojcze? Nadal uważasz, że nie jesteśmy gotowi?

Aquilus nabrał głęboko tchu. Veradis wciąż pamiętał zapach polany, w którym mieszały się wonie świeżego powietrza, wilgotnego od porannej rosy, gnijących liści, potu końskiej sierści i żyznej leśnej gleby.

– Imponujące, Nathairze. Co ty na to, Peritusie?

– Zgadzam się, panie – odparł wojewoda. – Dobrze wykorzystałeś teren, ale tu jego ukształtowanie sprzyja użyciu muru tarcz. Niemniej nie zawsze będziesz mógł stosować to rozwiązanie, nie sprawdzi się ono na przykład w lesie, wśród wzgórz czy na bardziej otwartej przestrzeni, gdzie przeciwnicy nie będą zmuszeni się tak tłoczyć. – Wzruszył ramionami. – Nie wszystko mi się tu podoba. Ci ludzie to wojownicy, a gna się ich niczym bydło. A co do broni... Osobiście wolę walkę twarzą w twarz, kiedy wiem, że zwycięstwo zawdzięczam tylko swym zdolnościom.

– Rzemieślnik, który ma do wykonania zadanie, sięga po odpowiednie narzędzia – rzekł Nathair. – A jeśli takie narzędzie nie istnieje, wówczas je tworzy. Nie widzę tu żadnej różnicy. Należy przecież wygrać! Trzeba pokonać Czarne Słońce Asrotha, czyż nie tak, ojczy?

– Tak, to prawda – odparł Aquilus, marszcząc brwi.

– Nie możemy dopuścić do naszej klęski. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić sobie zwycięstwo – ciągnął Nathair.

Peritus milczał przez dłuższą chwilę.

– W tym, co mówisz, jest trochę prawdy, a twoje metody są skuteczne, nie ma co do tego wątpliwości. A jak twój mur tarcz zniesie atak ciężkiej konnicy?

– Dobrze. Koń nie uderzy w ścianę z kamienia czy drewna, nie będzie nawet chciał wjechać w zbity zagajnik. Nie widzę różnicy – rzekł Nathair.

– Tymczasem pewności nie masz – odpowiedział wojewoda. – Twoja drużyna robi wrażenie, ale składa się z niedoświadczonych wojowników, z których wielu dopiero co ma za sobą Długą Noc. Ilu weteranów masz w swoich szeregach? Żadnego, a tymczasem w chwili zagrożenia czy paniki szereg utrzyma doświadczenie, a nie młodzieńcza pasja.

Peritus spojrział na Aquilusa i wzruszył ramionami, ignorując spojrzenie Nathaira. Minęła długa chwila ciszy, po której król

ogłosił swą decyzję.

– Udasz się do Tarbeshu – powiedział. – Zaczniemy przygotowania jeszcze dziś, bo chcę, byś wrócił przed Dniem Zimowego Przesilenia.

– Tak, ojciec. Dziękuję – rzekł Nathair. Jego twarz promieniowała szczęściem.

Wkrótce Aquilus i Peritus odjechali z polany, ale królowa nie ruszyła się z miejsca.

– Wyrastasz na nadprzeciętnego człowieka – powiedziała do syna, a ten uśmiechnął się do niej. – Nie zapomnij słów swego ojca. Wypełniaj jego wolę, a wszystko się dobrze poukłada, zarówno dla ciebie, jak i dla nas.

– Co masz na myśli, matko? – zapytał Nathair.

Królowa podeszła bliżej i ujęła jego twarz.

– Myślę, że wiesz, co chcę powiedzieć, synu. Pamiętaj, że mam tylko ciebie i nie chcę, byś wypadł z łask ojca. Masz bystry umysł i potrafisz myśleć strategicznie, ale musisz okiełznać swój entuzjazm. Masz nowatorskie pomysły, to widać. – Wskazała jego drużynę. – Część z nich może nam pomóc, ale niektóre muszą poczekać na inne czasy. Są wśród nich i takie, o których należy zapomnieć na zawsze.

– Jak na przykład które?

– Chodzi mi o twe związki z Vin Thalun.

– Matko, nie jestem już dzieckiem. – Nathair wywrócił oczami.

– Nie, ale syn musi słuchać ojca bez względu na to, ile ma lat, a poddany winien wypełniać wolę króla – odparła królowa, mierząc księcia surowym spojrzeniem, a potem odwróciła się, by odejść.

– Uważaj na mego syna – powiedziała do Veradisa.

Po kilku nocach opuścili Jerolin. Nathair jechał na czele ośmiu setek wojowników z Veradisem u boku. Za nimi jechał Rauca, który trzymał proporzec z orłem Tenebralu. Przez jedną dziesięcionoc podążali wzdłuż rzeki Aphros. Veradis wyraźnie pamiętał napięcie, które zaczął odczuwać, gdy na horyzoncie pojawiły się pierwsze

drzewa Sarvy. Wiedział bowiem, że wkrótce przyjdzie mu znów spotkać się z ojcem. Wtedy jednakże Nathair zmienił kierunek i powiódł ich na południe wzdłuż wybrzeża.

Niebawem natknęli się na czekających na nich Vin Thalun. Lykos stał na kamienistej plaży, a obok niego – Calidus i jego ogromny strażnik Alcyon. Na falach kołysała się flotylla zakotwiczonych okrętów.

– Ojciec nie będzie zadowolony – powiedział wówczas Veradis do Nathaira. – Matka też nie.

Książę uśmiechnął się szeroko.

– To, o czym nie wiedzą, raczej ich nie zaboli – odparł. – Poza tym ojciec chce, bym wrócił na Dzień Zimowego Przesilenia, co bez pomocy Vin Thalun raczej by się nie udało.

– A co z ludzką gadatliwością? Mamy osiem setek wojów pod rozkazami!

– Naszych ludzi czeka więc test lojalności – rzekł surowo Nathair. – To moja drużyna, moi wojownicy, a nie mego ojca. Dam im to wyraźnie do zrozumienia.

Veradis wzruszył ramionami, bo sam czuł w duchu ulgę z powodu tego, że nie będzie musiał stanąć przed obliczem własnego ojca. Po upływie kilku godzin cała drużyna wraz końmi oraz wozami z zaopatrzeniem znalazła się na pokładach okrętów Vin Thalun.

* * *

Odgłos kroków przywrócił go do rzeczywistości. Odwrócił głowę i ujrzał zbliżającego się Nathaira.

– Dobrze, że nie toczymy kampanii na morzu – rzekł książę i wskazał cierpiących na chorobę morską wojowników, rozrzuconych wzdłuż burty.

– Zgadza się – mruknął Veradis, który ciągle nie mógł zapomnieć

o tym, że ich oddział po raz pierwszy znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

– Zaoszczędzimy w ten sposób przynajmniej cały księżyc ostrej jazdy i drugie tyle, jeśli wrócimy również drogą morską. Za jakieś pięć nocy powinniśmy znów stanąć na twardym gruncie.

– Naprawdę aż tak palisz się do walki z olbrzymami z Tarbeshu? – spytał Veradis.

– Tak. – Nathair machnął ręką i wgrzył się w trzymaną w dłoni śliwkę. Ciemny sok pociekł mu po brodzie. – Wdepczemy ich w ziemię. Ziemie Wygnanych nie widziały jeszcze takiego oddziału jak nasz, Veradisie. Wzywa nas przeznaczenie. Podołamy każdemu wyzwaniu, a to, które nadchodzi, będzie dla nas dobrym sprawdzianem. – Uśmiechnął się dziko. – Mój ojciec miał rację. Potrzebujemy walki, bo tylko w ten sposób zmęźniejemy i naostrzymy sobie pazury. Mądry z niego człowiek, w niektórych kwestiach.

Ale nie we wszystkich, pomyślał Veradis, kończąc myśl za księcia.

– Ale ta jego obsesja na punkcie Vin Thalun... Wkrótce uświadomi sobie, że nie miała ona żadnych podstaw. Doprowadzę do tego, że zmieni zdanie. To logicznie myślący człowiek, a my musimy wszak skupić się na przyszłości, a nie rozpatrywać przeszłość, prawda?

Nathair ogryzł pestkę i cisnął ją w fale.

– Racja – rzekł Veradis.

– Rozejrzyj się – ciągnął książkę i wskazał ręką flotyllę. – Ci Vin Thalun to wartościowy sojusznik. Nie dość, że oszczędzimy w ten sposób mnóstwo czasu, to jeszcze przybędziemy do Tarbeshu w miarę wypoczęci, a nie znużeni po wyczerpującej wędrówce. Tyle można zyskać dzięki współpracy z nimi! Możemy przemieszczać oddziały z wielką prędkością, wykorzystywać element zaskoczenia, rety. Końca nie widać!

Wypoczęci? Cóż, na pewno nie wszyscy z nas, pomyślał Veradis,

zerkając na wojownika, który wymiotował żółcią przez reling. Mimo to nie mógł odmówić wywodowi Nathaira sensu.

– A to nie wszystko, w czym mogą nam pomóc – dodał książę cichszym głosem. – Wyznaczyłem Lykosowi poufne zadanie. Poprosiłem go, by zdobył dla mnie nieco informacji.

– Na jaki temat?

– Pamiętasz tę księgę, z której Meical czytał fragmenty na naradzie u mego ojca?

– Oczywiście. Pojawiło się wówczas wiele ważnych kwestii.

– Otóż to. Omówiłem niektóre z nich z Lykosem i Calidusem. Pomagają mi je zrozumieć.

Veradis zmarszczył brwi. Nie był przekonany, czy to mu się podoba.

– Dlaczego nie spytasz ojca lub Meicala? Co z nimi?

– Próbowałem. Meical nie chce mi nic powiedzieć, a ojciec powtarza jedynie: „wkrótce”. Tyle że „wkrótce” niedługo będzie oznaczało „za późno”. Muszę więc szukać pomocy wszędzie, gdzie się da. Lykos zbudował imponującą siatkę... Jak ich nazwać...

– Szpiegów? – podsunął Veradis.

– Informatorów. Calidus zaś najwyraźniej wie po prostu wszystko. Pamiętasz, jak Meical czytał o Telassar obwiedzionym białymi murami oraz o wojownikach cienia?

– Tak. Nie miałem bladego pojęcia, co przez to rozumieć.

– Ja również nie. Ale Lykos powiedział mi prawdę o Telassar. To niezwykle miasto z legend, które zostało ukryte za pomocą magii. Zamieszkują je wojownicy bezgranicznie oddani Elyonowi, którzy nazywają się wojownikami cienia lub wojownikami Jehar. Wiedzą o nadciągającej Wojnie Bogów i całe życie poświęcili przygotowaniom do niej. Gotują się też na nadejście Jasnej Gwiazdy, wybrańca Elyona. Będą więc walczyć dla mnie.

– To miałyby sens. – Veradis pokiwał głową. – Pozostaje tylko jeden problem. Gdzie oni są? Miasta z legend najczęściej są... No, sam wiesz, legendarne. A skoro to zostało ukryte przy użyciu

magii, w jaki sposób je odnajdziesz?

– Dobre pytania. Jeśli chodzi o jego lokalizację, Lykos słyszał, iż ponoć znajduje się w Tarbeshu.

– Ach!

– Otóż to. Będziemy więc mogli dobrze wykorzystać czas, który zaoszczędziliśmy dzięki Vin Thalun. Odnajdziemy Telassar i naradzimy się z wojownikami cienia.

– Zanim uporamy się z olbrzymami z Tarbeshu czy po walce?

– Po walce. – Nathair uśmiechnął się szeroko. – A co do samej kampanii, chciałem właśnie usiąść i ustalić plan działania. Zaprosiłem na naradę Lykosa i Calidusa, gdy tylko znajdą chwilę czasu.

– I pewnie przyprowadzą tego olbrzyma. Nie masz skrupułów przed przyjmowaniem rad od kogoś takiego jak on?

– Skrupułów? Nie, Veradisie. Ani na moment nie zapominaj o tym, że przyświeca nam wielki cel.

– Cel. A co tak naprawdę jest naszym celem?

– Zwycięstwo! – szepnął Nathair. – Jestem gotów skorzystać z pomocy każdego, by doprowadzić do zwycięstwa, obojętnie, czy będzie to człowiek, olbrzym czy zwierzę. Dla większego dobra zrobię wszystko, co należy.

Rozległo się skrzypnięcie drzwi. Veradis odwrócił się i ujrzał zwalistą postać Alcyona, który wyłonił się z ładowni. Lykos i Calidus szli w jego cieniu.

Jest w nim coś z wilka, pomyślał Veradis, przyglądając się nadchodzącemu Lykosowi. W jego siwiejącej brodzie pobrzękiwały żelazne pierścienie. Szedł z gracją i pewnością siebie, co świadczyło o wielu latach spędzonych na pokładzie okrętu.

– Bądź pozdrowiony, panie – rzekł przywódca piratów, podchodząc bliżej. Wielu spośród wojowników Nathaira spojrzało na niego ze zdziwieniem, nie spodziewając się takich słów z ust Vin Thalun.

– Bądź pozdrowiony – rzekł Nathair. – Jak wiecie, ruszam na

pomoc królowi Rahimowi, który jest nękany najazdami olbrzymów. Czy możecie powiedzieć mi coś, co ułatwiłoby wypełnienie tego zadania?

– Po naszej rozmowie o Telassar wysłałem wielu ludzi do Tarbeshu z zadaniem odnalezienia fortecy – rzekł Lykos. – Wykonując swe misje, każdy z nich przemierzył niezły szmat drogi i wiele się dowiedział.

– Opowiedz mi o wszystkim.

– Wywiadowcy składają raporty Calidusowi, który jest moimi uszami od wielu lat i wiernie mi służy. – Lykos wskazał chudego starca.

– Wschodnią granicę Tarbeshu wyznacza rzeka – podjął Calidus – za którą ciągną się już ziemie olbrzymów Shekam. Ci niedawno zaczęli przekraczać rzekę i dokonywać napadów na osady Rahima. Z tego, co wiem, do podobnych najazdów dochodzi w różnych miejscach. Ocalałe klany olbrzymów stają się coraz śmielsze wszędzie na Ziemiach Wygnanych.

– Tak, ja również o tym słyszałem – rzekł Nathair. – Czy wiadome jest wam, jak ci Shekam toczą wojnę?

– Jest wśród nas ktoś, kto posiadał na ten temat wiedzę większą ode mnie – rzekł z krzywym uśmiechem Calidus i skinął na Alcyona.

Olbrzym zrobił krok naprzód. Pokład zadrżał pod jego stopami.

– Znasz Shekam? – spytał Nathair, spoglądając na szeroką, kanciastą twarz Alcyona.

– Znam – zagrzmiał olbrzym w odpowiedzi. Jego głos był niski i chrapliwy. – Wszystkie klany mają wiele ze sobą wspólnego. Shekam, podobnie jak pozostałe, walczą toporami i młotami. Istnieją jednakże różnice. Otóż Shekam często walczą z siodła.

– Z siodła? – zdziwił się Veradis. – Ale przecież nie ma koni zdolnych unieść olbrzyma!

– Zgadza się, człowieku księcia. – Alcyon zwrócił na młodzieńca małe, ciemne oczka. – Jeżdżą na draigach.

– Na draigach – parsknął Veradis i otworzył szeroko oczy.

– Tak. Na draigach – powtórzył olbrzym. W kącikach jego ust pojawił się na moment uśmiech, przez co jego opadające wąsiska drgnęły.

– Nie wiedziałem, że olbrzymy jeżdżą na czymkolwiek – rzekł Nathair.

– To rzadkość. Wszak pieszo jesteśmy w stanie dorównać waszym koniom. – Olbrzym wzruszył ramionami. – Niemniej wszystkie nasze klany są wojownicze z natury i toczyły ze sobą zaciekle wojny na długo, nim pojawiliście się wy, przez co chętnie sięgały po wszystko, co mogło dać im przewagę. Jotun na północy dosiadali niegdyś niedźwiedzi. Nie wiem, czy nadal to praktykują, skoro wasi pobratymcy przegnali ich za Kościane Wzgórza, ale przypuszczam, że tak. Shekam z kolei dosiadają draigów.

Veradis pokiwał głową, myśląc o nadciągającej potyczce. Wiedział, że klan olbrzymów został już raz pokonany, a ludzie mieli nad nimi wielką przewagę liczebną, przez co zadanie wydawało się wykonalne, ale olbrzymy na draigach... Młodzieniec poczuł narastający niepokój.

– Czy jest coś jeszcze, co możesz nam zdradzić, Alcyonie? – spytał Nathair.

– Tak. Największe niebezpieczeństwo grozi wam ze strony elementalistów, którzy prawie na pewno znajdą się w ich szeregach.

Veradis znów otworzył szeroko oczy.

– Czarownicy – wymamrotał.

– Tak. Ci, którzy władają mocą ziemi – zagrzemiał Alcyon.

– To już coś więcej niż tylko misja, podczas której mamy zmęścić i naostrzyć sobie zęby, Nathairze – mruknął Veradis.

– W istocie – odparł ksiączę. – Jak się walczy z tymi elementalistami?

– Nie martw się o nich – rzekł Calidus. – Dołączymy do was wraz z Alcyonem. Moc ziemi nie jest nam obca.

– Jesteście czarownikami? – spytał Veradis.

Alcyon nie odezwał się ani słowem, a Calidus uśmiechnął się tylko.

* * *

Reszta podróży upłynęła szybko. Było gorąco, ale upały łagodziły ciągle podmuchy wiatru, które nadymały żagle okrętów. Słońce rozlewało swój blask po błękitnym, bezchmurnym niebie i prażyło skórę każdego, kto stanął na pokładzie. Po upływie pięciu kolejnych nocy Veradis znów stanął na dziobie okrętu i wbił wzrok w ciemną smugę lądu na horyzoncie.

– Tarbesh – szepnął do siebie, czując, jak narasta w nim podniecenie.

Mijały godziny, a ląd stawał się coraz wyraźniejszy, aż młodzieniec był już w stanie dojrzeć pierwsze szczegóły – ciemne, czerwonawe skały, tworzące poszarpane klify, piaszczyste plaże z kępami smaganej wiatrem trawy, tu i ówdzie karłowate drzewka oliwne o bladej korze, przypominające masę poskręcanych mięśni i ścięgien.

Ich niewielka flotylla skręciła ku północy i płynęła wzdłuż brzegu, aż dotarła do wielkiej zatoki, w której wody rzeki wpadały do morza. Okolica była zieleńsza, a brzegi rzeki ocieniały wysokie cedry. Przed zapadnięciem zmroku wojownicy Nathaira znaleźli się na lądzie i rozbili obóz niedaleko rzeki. Rankiem Lykos przybył, by się z nimi pożegnać.

– Powrócę ostatniej nocy Księżyca Żniwiarza – powiedział. – Jeśli nie będzie was tutaj, zaczekamy na was bądź na wieści od was. Odstawię was do Tenebralu, byście bez trudu zdążyli przed Dniem Zimowego Przesilenia.

Nathair odwrócił się i wskoczył na grzbiet swego białego ogiera. Zagrzmiały rogi i drużyna ruszyła naprzód.

- Kiedy dotrzemy do fortecy Rahima? – spytał Nathair Calidusa.
- Za jakieś cztery, pięć nocy, nie więcej – odparł starzec.
- Dobrze – rzekł książę i odwrócił się w siodle, by spojrzeć na swą drużynę.

Veradis czuł, jak narasta w nim uniesienie, gdy w tłumie wojowników ujrzał Raucę, trzymającego wysoko sztandar Nathaira. Orzeł Tenebralu łopotał dziko na wietrze. Szeroko uśmiechnięty, uniósł rękę, by pozdrowić przyjaciela. Nigdy dotąd nie czuł w sobie tyle radości życia.

Nathair uśmiechnął się do niego z entuzjazmem i młody wojownik odgadł, iż książę również to czuje. Prowadziło ich przeznaczenie, dokładnie tak, jak to przepowiedział Nathair.

Obaj spojrzeli przed siebie i pognali swe rumaki.

Rozdział trzydziesty szósty

CORBAN

Spocony, zdyszany Corban pokonał wreszcie Kamienną Bramę i wpadł na uliczki Dun Carreg, zalane chłodnym cieniem. Nie odrywał wzroku od ziemi u swych stóp, bojąc się, że zewsząd padną na niego oskarżycielskie spojrzenia.

Co powie Marrock? Czy wszyscy już wiedzą, że to ja pozwoliłem banicie uciec?

Buddai człapał za nim, zatknięta pod pachą Burza wierciła się. Chłopak tak bardzo chciał jak najszybciej dostać się do fortecy, że pokonał całą drogę biegiem, choć z drugiej strony czuł przerażenie na myśl o tym, co może tam zastać.

W pierwszej chwili, gdy usłyszał, że Marrock żyje, poczuł ogromną radość i jeszcze większą ulgę. A więc Braith dotrzymał słowa i uwolnił go!

A może sam zdołał uciec?, pomyślał chwilę później.

Miał tyle pytań...

Dokąd powinien się teraz udać? Marrocka z pewnością zabrano prosto do króla Brenina, ale przecież minęło już trochę czasu! Wystarczająco dużo, by po fortecy rozeszła się plotka o powrocie mężczyzny, a wraz z nią opowieść jego samego o tym, co się stało, łącznie z rolą, jaką odegrał w tej historii Corban.

Chłopak uniósł głowę i ujrzał swój dom, wzniesiony z szarego kamienia. Jak to się stało, że tu dotarł? Drzwi były otwarte, a na

progu stała mama. Napięcie rosło, jakby jego serce potężniało, rozpychając się w nagle przyciasnej klatce piersiowej. Nie podobało mu się to, jak mama patrzyła na niego – miała zmarszczone brwi, a jej usta utworzyły prostą linię. W oczach było zmartwienie.

Burza znów zaczęła się wiercić. Corban postawił ją na ziemi, a wilkunica przemknęła obok nóg mamy i w ślad za Buddaiem wślizgnęła się do środka.

Gwenith nawet nie drgnęła, gdy jej syn podszedł do drzwi. Corban zatrzymał się wówczas i powoli uniósł wzrok, aż spojrzał mamie w oczy. Wtedy ona wyciągnęła rękę i odgarnęła kosmyki włosów przyklejone do jego spoconego czoła.

– Masz gościa – powiedziała.

– Gdzie? – spytał, usiłując zerknąć zza jej pleców do kuchni.

Gwenith cofnęła się, by zrobić mu miejsce, choć chłopak nadal nie mógł zrobić kroku. Czuł się, jakby wdepnął w któreś z bagnisk Baglunu.

– Z tyłu. W ogrodzie – rzekła matka.

Chłopak przełamał wreszcie wewnętrzny opór i wszedł do kuchni, nie zapytawszy nawet, kim jest ów gość. Zbliżył się do tylnych drzwi, otworzył je na oścież i przeszedł pod zawieszonym nad nimi wielkim młotem wojennym jego ojca. Burza przecisnęła się w ślad za nim, nim zamknął drzwi.

Na pniaku przy stercie drewna na opał siedział Marrock i patrzył na niego. Obok niego stała milcząca Cywen. Trzymała nóż w ręku, więc zapewne ćwiczyła rzuty, gdy zjawił się gość. Corban zamarł na moment i zamrugał, oślepiiony promieniami słońca, po czym podszedł do łowczego.

Jego plecy i ramię obwiązano mocno bandażem, a twarz była tak blada, że ciągnąca się przez nią blizna wydawała się wręcz różowa. Przez moment wpatrywali się w siebie w milczeniu, po czym Marrock wskazał Corbanowi miejsce, gdzie mógł usiąść.

– On zrobił co mógł, by uratować nas oboje! – wypaliła Cywen. – Byłbyś martwy, gdyby postąpił inaczej!

– Cicho bądź, dziewczucho! – Marrock uniósł dłoń, ale zaraz skrzywił się z bólu. Rozsiadł się wygodnie i zmierzył rodzeństwo spojrzeniem.

Nadal mnie broni, choć sądzi, że postąpiłem źle, pomyślał Corban, wpatrzony z wdzięcznością w siostrę.

Zapadła ciężka cisza. Marrock wpatrywał się w nich, Cywen marszczyła gniewnie brwi, a Corban zerkał to na jedno, to na drugie.

– Jestem twoim dłużnikiem – oznajmił mężczyzna. Spojrzenie jego błękitnych oczu wwiercało się w chłopaka. – Ocaliłeś mi życie.

A to ci dopiero!, pomyślał Corban, a napięcie, gęstniejące u nasady czaszki i między łopatkami, nagle zaczęło ustępować. – Nie obwinia mnie.

Sekundę później ukłuła go inna, niepokojąca myśl:

Kto jeszcze wie?

Oderwał wzrok od łowczego i utkwiał go w trawie u swych stóp. Nie miał pojęcia, co zrobić ani co powiedzieć. Stał więc w milczeniu i ani drgnął.

– W jaki sposób się tam znalazłeś? Przy sadzawce? – spytał Marrock.

Corban wzruszył ramionami i zerknął na Cywen. O to również się sprzeczali. Siostra twierdziła, że powinni udać się prosto do Brenina i opowiedzieć mu o wszystkim, łącznie z tajemnymi drzwiami i tunelami pod fortecą. Corban jednakże nie zgadzał się z nią. Nie potrafił nawet wyjaśnić, dlaczego tak bardzo chciał utrzymać ich odkrycie w tajemnicy, ale nalegał na to z pasją i zagroził, że jeśli Cywen opowie o nim komukolwiek, do końca życia będzie uważał ją za taką, która nie potrafi dochować tajemnicy.

– Przypadek – wymamrotał.

Marrock wypuścił powietrze z płuc, patrząc to na chłopaka, to na jego siostrę.

– Przypadek? Cóż, Elyon wiąże zapewne ze mną wielkie plany,

skoro sprowadził cię w tak szczęśliwym momencie.

Corban znów wzruszył ramionami i nabrał tchu. Musiał poznać całą prawdę.

– Czy powiedziałeś komukolwiek o nas? O naszym udziale?

– Tak, chłopcze. Powiedziałem.

Corban próbował przełknąć ślinę, ale w ustach czuł jedynie suchość. Miał wrażenie, że jego gardło się kurczy, a w uszach słyszał dudnienie pulsu.

Trudno, pomyślał, próbując sobie przypomnieć rady Gara dotyczące powolnego, regularnego oddychania przez nos. Niech się dzieje wola nieba.

– Ale prawdę znają jedynie król oraz mój wuj – dodał Marrock. – Co więcej, Brenin zmusił nas, byśmy przysięgli, że nikt się nie dowie o waszym udziale.

Ciszę przerywał cichy szelest wiatru wśród gałęzi jabłonek. Chłopak czuł ogromną ulgę.

– Oboje wykazaliście się wielką odwagą – ciągnął łowczy. – Wielu znanych mi wojowników nie byłoby zdolnych do takiego męstwa. Gdyby to ode mnie zależało, opowiadałbym o waszej odwadze aż do końca mych dni, ale Brenin jest innego zdania. Uważa, że jeśli ludzie się dowiedzą o waszym udziale, mogłoby dojść do nieporozumień i nie chce, by wasz odważny czyn ściągnął na was pogardę lub jeszcze gorsze rzeczy. Innymi słowy – uśmiechnął się, a blizna na jego policzku zmieniała kształt – wszystko to pozostanie naszym sekretem. Mówiliście już komuś?

– Nie – odparli jednocześnie Corban i Cywen.

– To dobrze. I niech już tak zostanie.

– Uciekłeś? – spytała Cywen.

– Czy uciekłem? Nie, dziewczę. Z bólem to mówię, ale Braith dotrzymał słowa. Wypuścił mnie o świcie, tak jak obiecał. – Marrock uniósł dłoń i przeczesał palcami włosy. – Widzieliście jego bliznę? – spytał i przesunął palcem od lewego oka w dół, ku szczęce.

– Ja widziałem – odezwał się Corban.

– To sprawka mego ojca, Rhagora, o czym powiedział mi sam Braith. Sporo mówił o nim. – Marrock umilkł na moment i zamknął oczy. – Starli się raz w Ciemnym Borze. Braith powiedział, że wcześniej żaden wojownik nie zdołał nawet połaskotać go swym ostrzem. Ojciec był pierwszym, który naprawdę stawiał mu czoła. Ubił go wtedy, w Ciemnym Borze. – Przez twarz myśliwego przemknęła rozpacz, zaraz pośpiesznie zamaskowana. – Gdzie się nauczyłaś tak rzucać nożem, dziewczę? – zapytał. Odetchnął lekko i znów się uśmiechnął.

– Mama mnie nauczyła. – Cywen uśmiechnęła się nieśmiało w odpowiedzi. – Tam! – Wskazała pień starego drzewa niedaleko krzaków róż, poznaczony setkami szczerb po ostrzu noża. – Mało kto wie, że to umiem – dodała. – Trzymam to w sekrecie, bo ludziom chyba niezbyt się to podoba. Mama twierdzi, że ludzie czują się nieswojo w towarzystwie kogoś, kto umie rzucać nożem.

Marrock parsknął.

– Cóż, ja na przykład cieszę się, że to potrafisz.

Cywen uśmiechnęła się. Burza westchnęła i przewróciła się u stóp Corbana, by podrapać się tylną nogą za uchem.

– Jak się miewa twoje szczenię? – spytał Marrock, patrząc na wilkunicę.

– Chyba dobrze – odparł Corban. – Szkolimy ją tak, jak mój ojciec szkoli Buddaia.

– I udaje się?

– Na razie nie pożarła nam żadnego kurczaka. – Chłopak wyszczerzył zęby. – Wciąż pamiętam, jak w dniu łowów, gdy stanąłem przed obliczem królowej, wstawiłaś się za mną. Gdybyś tego nie zrobił, myślę, że Burzy dziś nie byłoby z nami. – Potargał gęstniejące futro szczeniaka. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Tak po prawdzie to nie mam pojęcia, chłopcze. Trzymanie wilkuna to niezbyt rozsądny pomysł, ale... Po prostu tak mi nakazało przecucie. Wiesz, czasami słyszysz w głowie jakiś głos i tyle. – Marrock wzruszył ramionami i dodał: – Bardzo się cieszę,

że cię poparłem. Być może, gdybym tego nie zrobił, ty nie broniłbyś mego życia z taką odwagą.

– Ależ oczywiście, że by cię bronił! – parsknęła Cywen. – Ban wcale nie jest taki!

Marrock uniósł dłonie, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Pewnie masz rację, dziewczyno. Z pewnością kryje się w tobie coś wielkiego, chłopcze. Bez lęku stanąłeś przez Braithem, owianym najgorszą sławą banitą Ardanu. Co więcej, zdobyłeś się nawet na to, by z nim negocjować! Masz wilkuna u stóp i siostrę wojowniczkę u boku.

Cywen uśmiechnęła się szeroko, a Marrock wstał.

– Muszę już iść. Moja żona martwi się o moje zdrowie i chce się jak najszybciej mną zająć. Oboje pamiętajcie, że jestem waszym dłużnikiem. Ocaliliście mi życie. – Uścisnął przedramię Cywen, jak to czynią wojownicy, co wywołało u niej kolejny uśmiech. – Uważaj na swojego zwierzaka, chłopcze – rzekł do Corbana, ściskając również jego ramię. – Nie wszyscy się cieszą z tego, że zamieszkał w twoim domu. Ewnis ma wielu zwolenników w fortecy.

* * *

Corban wyszedł spomiędzy cieni rzucanych przez jarzębiny. Zatrzymał się i nabrał głęboko tchu, a potem ruszył w kierunku Haliona. Nie spuszczał oczu z nauczyciela, choć czuł, że jego pojawienie się z każdą chwilą wzbudza coraz więcej emocji. Zewsząd dobiegały szeptki i ciche okrzyki.

Oto przyprowadził Burzę na Jarzębinową Łąkę.

Od powrotu Marrocka minęła już cała dziesięć noc i życie niemalże wróciło do normy. Vonn doszedł do siebie na tyle, by móc wrócić do domu ojca, przez co Corban był chwilowo wolny od pracy u Briny. Zauważył, że rozmowa z Marrockiem wywołała w nim osobliwą zmianę. Czuł się dziwnie, niemalże nieswojo, gdy słuchał,

jak łowczy mówi o jego odwadze i męstwie. Ze spotkania przy sadzawce pamiętał jedynie swoje skrajne przerażenie. Miał wówczas wrażenie, że jelita wypełniła mu woda, ale mimo to z odwagą stawił czoła Braithowi, a nawet zdobył się na to, by z nim negocjować. Z pewnością miało to jakieś znaczenie, nawet jeśli on sam w głębi serca wiedział, że jego postępowaniem nie kierowała odwaga.

I naraz doszedł do wniosku, że ma już dosyć chowania Burzy przed innymi. Przy śniadaniu powiedział ojcu, że chce zabrać wilkunicę na Łąkę. Spodziewał się, że Thannon wybuchnie gniewem lub przynajmniej powie: „Nie”, ale nic takiego się nie stało. Ojciec spojrział na niego i zmarszczył krzaczaste brwi.

– Jak chcesz – rzekł i wrócił do pałaszowania sterty placków owsianych z talerza.

Chłopak spojrział na Burzę, która człapała obok niego. Od chwili wyniesienia jej z Baglunu upłynęły zaledwie trzy tygodnie, a mimo to wilkunica zdążyła już urosnąć. Była teraz wyższa i mniej puszysta, a jej białe futro przecinały ciemne paski. Corban wiedział, że jej widok wywoła u wielu ludzi bolesne wspomnienia, ale to nie była jej wina. Burza należała do niego, a on był z niej dumny.

– Zabierz to plugawe bydlę Asrotha z Łąki!

Corban uniósł głowę. Między nim a Halionem pojawiła się grupka ludzi – kilku młodszych chłopaków, jeszcze przed Długą Nocą, ale również paru starszych wojowników. Dojrzał wśród nich twarz Rafe’a.

Rozejrzał się pośpiesznie. Wielu ludzi przyglądało się zajściu.

– To nie miejsce dla tego zwierzęcia! – zawołał ktoś.

Chłopak zauważył, że Halion rusza ku nim długimi krokami. Chciał się przepchnąć przez niewielki tłum, ale wtedy na drodze stanął mu Rafe.

– Przepuść mnie! – mruknął Corban.

– Nie słyszałeś, co powiedzieliśmy, chłopcze kowala? – warknął

Rafe. – Zabierz stąd to coś. Masz szczęście, że Vonn jeszcze nie wrócił na Łąkę.

Oddychaj głęboko, napomniał się Corban, czując, jak znowu zaczyna kotłować się w nim gniew. Powoli wypuścił powietrze.

– Nie – odparł. Z ulgą stwierdził, iż głos mu nawet nie zadrżał. Ruszył naprzód.

Rafe zacisnął pięść i wymierzył cios, ale Corban tylko na to czekał. Zrobił unik, nadepnął Rafe'owi na stopę i pchnął go oburącz w klatkę piersiową. Przeciwnik starał się utrzymać równowagę, ale przeszkodziła mu w tym przygwożdżona stopa i zwałił się na ziemię.

Nim Corban wykonał choć krok, na jego ramieniu zacisnęła się mocna dłoń. Tym razem był to starszy wojownik, potężny i barczysty. Glyn. Na jego ustach pojawił się pogardliwy uśmiech. Złapał Corbana i poderwał w górę, aż chłopak stanął na palcach. Burza warknęła, a mężczyzna zamierzył się do kopnięcia.

– Odstaw go, Glyn – odezwał się Halion, który stał na zewnątrz grupy. Wydawał się spokojny, jedynie zaciśnięte usta zdradzały skrywane napięcie.

– To nie twoja sprawa – burknął Glyn, wbijając nieprzyjazne spojrzenie w wojownika.

– Jesteśmy na Jarzębinowej Łące. Urazy i pretensje pozostają za tamtymi drzewami, zapomniałeś?

– Nie w tej sytuacji. Ty nie jesteś stąd, nic dziwnego, że nie rozumiesz. Odejdź, przybłędo.

– Nie.

Glyn wypuścił chłopaka i odepchnął go daleko od siebie, a potem odwrócił się ku Halionowi. Ten uniósł otwarte dłonie.

– Nie ma sensu robić z tego wielkiej awantury, Glyn. Każdym z nas rządzą emocje i porywy serca. Zamknijmy sprawę tu i teraz, dobrze?

– Nie będziesz mnie niczego uczył, cudzoziemcze! – Glyn zrobił krok ku Halionowi, który nadal nie ruszył się z miejsca, a zmienił

jedynie ustawienie stóp.

– Co tu się dzieje? – rozległ się niski, tubalny głos.

Ponad głowami zgromadzonych Corban ujrzał zbliżającą się ogromną postać. Był to Tull. Wszyscy rozstąpili się przed czempionem króla Brenina, który stanął przed chłopakiem.

– Co tu się dzieje? – powtórzył i spojrział najpierw na Corbana, a potem na Haliona i Glynę. Halion nie odpowiedział, odwzajemniając spojrzenie Tulla. – Niech ktoś mi odpowie, nim się zniecierpliwę i zacznę rozbijać łby! – warknął starzejący się wojownik.

Wokół nich zgromadził się już spory tłum, przez który przebijał się właśnie Conall, brat Haliona, z krzywym grymasem na twarzy.

– On przyprowadził tego diabelskiego psa na Łąkę! – wypalił Rafe zza pleców Glynę.

Tull obrócił gwałtownie głowę niczym ptak myśliwski szukający zdobyczy i wbił wzrok w syna Helfacha.

– On z nas drwi! – wyjąkał Rafe, spuszczać wzrok. – Szydzą z wojowników, którzy polegli na polowaniu!

– Było tak, jak mówi chłopak – wymamrotał Glynę, co potwierdziły inne głosy w tłumie.

Tull uniósł rękę i rozejrzał się, aż jego wzrok natrafił na Corbana i szczeniaka u jego stóp. Zapadła głucha cisza. Królewski czempion przyglądał się mu badawczo, a chłopak czuł na sobie również ciężar spojrzeń reszty zebranych. Nie miał wątpliwości, że wszyscy na Łące obserwują zajście. Wyzwał się w myślach od głupców.

Co ja zrobiłem najlepszego?

– Chłopcze, czy to ty domagałeś się królewskiej sprawiedliwości i stanąłeś przed królową Aloną? – spytał głośno Tull, tak by wszyscy go usłyszeli.

– Eee... T-t-tak... – wybełkotał Corban.

– Mów głośniej! Skoro znalazłeś w sobie odwagę, by przemówić przed obliczem królowej, z pewnością dasz radę odezwać się przed tą zgrają!

– Tak! – odezwał się Corban głośniej.

– Czy usłyszałeś wyrok?

– Tak.

– A jak on brzmiał?

– Że nie odpowiadam za to, co miało miejsce w Baglunie. I że mogę zatrzymać szczeniaka.

Tull burknął coś pod nosem i huknął:

– Czy wszyscy słyszeli?!

Odpowiedziało mu milczenie.

– Królewska sprawiedliwość mówi, iż szczeniak może zostać u chłopaka, a ten ma prawo zabrać go, gdzie mu się żywnie podoba. Czy jest tu ktoś, kto chce podważyć wyrok królowej? – grzmiał Tull. Jego spojrzenie toczyło się po zebranych, aż natrafiło na Rafe'a. – Ktokolwiek?

Znów reakcją zebranych była cisza.

– Dobrze. Bo tak być powinno. Przypominam wszystkim, że to ja jestem królewskim mieczem. Tym razem zapomnę o zniewadze, do której tu doszło, ale nie liczcie na moją pobłażliwość po raz wtóry.

Stał, milcząc i wpatrując się gniewnie w grupę otaczającą Corbana. Ludzie jeden po drugim odwracali się i odchodzili, aż nie został już nikt. Wówczas Tull spojrzał na chłopaka i zmarszczył brwi.

– Będę miał na ciebie oko – rzekł i odszedł.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – spytał Halion.

Corban śledził plecy oddalającego się Tulla.

– Eee... Tak, w porządku – wymamrotał.

– Dobrze. Chodźmy więc.

Podeszli do koszy z bronią i zaczęli szukać odpowiadających im mieczy ćwiczebnych. Coś jednak sprawiło, że Corban spojrzał za siebie. W cieniu jarzębinowych drzew stały dwie postacie – jedna potężna, barczysta, a druga nieco niższa i szczuplejsza. Nagle odwróciły się i zaczęły oddalać, a gdy Corban zamrugał, znikły bez śladu.

– Jesteś pewien, że wszystko gra? – Halion powoli pytanie, gdy znaleźli miejsce do ćwiczeń. – Poblądłeś.

Corban wypuścił powietrze z płuc. Trochę kręciło mu się w głowie.

– Nie spodziewałem się tego – rzekł.

– Nie? – Halion uniósł brew.

– Nie. Nawykłem do wrogich spojrzeń i szorstkich słów, ale to...

– Gwałtowne emocje, chłopcze, nierzadko dają ujście w gwałtownych czynach.

– Fakt. Teraz już wiem.

– Dlaczego przywodziłeś tu tego szczeniaka?

Corban spojrzał na Burzę, która leżała w trawie i śledziła go ślepkami koloru miedzi.

– Bo nie chciałem już jej chować. Przecież to niesprawiedliwe! Ona nie zrobiła nic złego i zasługuje na lepsze traktowanie. Ja też nie zrobiłem nic złego i nie mam zamiaru zachowywać się tak, jakbym miał coś na sumieniu. – Uśmiechnął się do Haliona i dodał: – Dziękuję.

– Za co?

– Za to, że wstawiłeś się za mną. Nikt inny tego nie zrobił.

– Proszę bardzo, chłopcze. Dobrze, zaczynajmy już.

Wysoki wojownik uniósł broń i rzucił się na Corbana, zadając mu ciosy w głowę i pierś. Chłopak cofnął się błyskawicznie i zdołał zablokować oba uderzenia. Przeszedł do kontrataku i sam zasypał Haliona gradem uderzeń, aż nagle wojownik poleciał z krzykiem do tyłu. Skakał na jednej nodze i wściekle potrząsał drugą.

Przez moment Corban nie miał pojęcia, co się dzieje, a potem dojrzał kłębek futra uczepony łydki mężczyzny. Burza wgryzła się w jego nogę i nie chciała puścić, aż wreszcie Halion zatrzymał się. Zwierzak oparł się łapkami o ziemię, ale nadal nie puszczał, tylko jego miedziane ślepia uniosły się, by spojrzeć na wysokiego wojownika. Z głębi gardzieli dobiegł głuchy, stłumiony warkot.

Zapadła cisza. Corban ruszył ku Halionowi, a ten

niespodziewanie ryknął śmiechem.

– Burza! Puść! – rzucił ostro chłopak, a szczeniak puścił męczyznę i wycofał się.

– Cóż, trudno ją obwiniać – rzekł Halion, gdy opanował wesołość. – Uznała, że cię atakuję. Potraktuj to jako ostrzeżenie. – Pogroził Corbanowi palcem. – Póki co jest to śmieszne, ale to zwierzę niedługo osiągnie rozmiary kuca. Wówczas podobne zachowania nikogo nie rozbawią.

Corban również zaczął się śmiać, rozbawiony wizją.

– Oduczyliśmy ją gryzienia kurczaków – powiedział. – Pora więc wpoić jej, by trzymała się i od ciebie z daleka.

– Byłbym zobowiązany. Ale nie przeszkadzaj jej, gdy będzie cię bronić. Może ci się to przydać.

– Nie będę. Ale uczę ją już komend „swój” i „obcy”.

– Co to takiego?

Corban podszedł do Haliona i uklęknął przy nim, a potem przywołał Burzę.

– Wyciągnij rękę – polecił.

Wojownik ukucnął i zrobił to, o co prosił go chłopak. Burza obwąchała jego dłoń długim pyskiem i warknęła.

– Swój! – powiedział chłopak i warkot urwał się jak ucięty nożem.

– Dajże spokój, chłopcze – parsknął Halion. – Taka mądra to nawet ona nie jest.

– Ojciec twierdzi, że jest. Uczy tej sztuczki wszystkie swoje ogary, ale jego zdaniem psom przychodzi to o wiele wolniej. Nawet Buddai długo się uczył. Tata powiedział, że jest bardzo bystra i wychwytuje tropy o wiele lepiej niż każdy inny pies, z którym się zetknął.

Halion uniósł brwi, ale niedowierzanie na jego twarzy osłabło. Naraz spojrzał gdzieś dalej, a potem podniósł się i ruszył pośpiesznie w kierunku areny. Corban zawahał się na moment, po czym podążył za nim.

Arena, miejsce, gdzie wojownicy toczyli swe walki, była ogromnym płaskim gładem o mniej więcej kwadratowym kształcie. Wolno było postawić na niej nogę tylko tym, którzy mieli za sobą Długą Noc.

Po drodze Corban dostrzegł Tulla, który wyróżniał się wśród pozostałych niczym stary potężny dąb w otoczeniu młodych drzewek. Przed starym wojownikiem stały dwie drobniejsze postacie. Chłopak zamrugał, rozpoznając Datha oraz jego ojca, Mordwyrę.

Oczywiście!, pomyślał, czując przyływ radości. Przecież to dzień imienia Datha!

Na twarzy przyjaciela widać było skupienie, ale też ogromną ekscytację. Uśmiechnął się szeroko, gdy Tull ścisnął mu nadgarstek w tradycyjnym powitaniu wojowników.

Będę miał przynajmniej jednego przyjaciela na Łące, pomyślał Corban.

Halion tymczasem zmierzał nadal w stronę areny, aż zatrzymał się i założył ramiona na piersi. Dwóch mężczyzn toczyło tam walkę, choć, zważywszy na charakter starcia, nazwa ta nie była adekwatna. Jeden z wojowników poruszał się z niebywałą szybkością i zasypywał przeciwnika gradem ciosów, a drugi, zauważalnie gorzej wyszkolony, bronił się rozpaczliwie. Był to Glyn.

Jego szalejący przeciwnik zatrzymał się i roześmiał. Był to Conall, brat Haliona.

– Zasłaniaj głowę, człowieku! – zawołał i zadał kolejny cios. – Dobrze, dobrze. Prawe udo! – krzyknął. – Brzuch! Lewe ramię! Gardło!

Miecz ćwiczebny uderzał ułamek sekundy później dokładnie tam, gdzie Conall zapowiedział. Wojownicy dookoła zaczęli się śmiać, choć kilku marszczyło brwi.

– Lewe kolano! – krzyknął Conall, ale zamiast w kolano z głośnym trzaskiem uderzył Glynę w nadgarstek.

Miecz ćwiczebny wypadł ze zdrtwiałych palców wojownika, a czubek broni Conalla nagle znalazł się tuż przy jego gardle i napierał na podbródek. Conall skrzywił się i zrobił krok naprzód, spychając Glyna do tyłu.

– Kiedy następnym razem odezwiesz się do mego brata, zdobądź się na większą uprzejmość – wycedził i zrobił kolejny krok do przodu. Jego przeciwnik potknął się i przewrócił na plecy, a Conall charknął i splunął u jego stóp, po czym odwrócił się i odszedł. Dostrzegłszy Haliona, uśmiechnął się szeroko i skręcił ku niemu.

Corban patrzył, jak Glyn podnosi się powoli i pociera gardło. Miał zaczerwienione policzki, a w spojrzeniu, jakim obrzucił Conalla, kryła się żądza mordu.

– Myślisz, że spodobała mu się lekcja, Hal? – spytał Conall. Był zdyszany, ale nadal szeroko się uśmiechał. Podszedł do brata i zarzucił mu ramię na bark. – Przy kolejnym spotkaniu będzie dla ciebie miłszy.

– Jestem w stanie toczyć własne bitwy, Con – odpowiedział wojownik.

– Jesteś zbyt miękki, bracie – odparł Conall i ruszył naprzód, wciąż obejmując Haliona. Corban i Burza podążyli za nimi. – Obraził cię. Nazwał przybłądą. – Na twarzy Conalla pojawił się na moment gniew, ale potem znów powrócił na nią uśmiech. – Już więcej tego nie zrobi, jak sędzę.

– Może nie – rzekł Halion. – Ale nie zdobyłeś dziś wielu przyjaciół na Łące.

– Przyjaciół? Nie dbam o przyjaciół. Dla mnie liczysz się tylko ty. Jesteś moim bratem, zapomniałeś?

Surową twarz Haliona rozjaśnił uśmiech.

– Wiem, Con, ale nie zapominaj, że jesteśmy tu tylko dzięki życzliwości króla Brenina. Nie przeciągaj struny.

Conall zrobił pochmurną minę.

– Nie zniosę żadnej zniewagi wymierzonej we mnie czy w ciebie, bez względu na to, z czyich łask mogę przez to wypaść.

– Uspokój się, Con. Ja na przykład mam ochotę tu zostać, a twój język i twój temperament... – Halion rozejrzał się i nabrał tchu. – Jak już powiedziałem, jestem w stanie toczyć własne bitwy.

Conall cofnął ramię i ze wściekłą miną skreślił ostro ku jarzębinom. Halion odprowadzał go wzrokiem, aż jego brat znikł między drzewami. Wówczas westchnął i spojrzał na Corbana.

– Chodź, chłopcze. Dokończymy nasz trening.

Rozdział trzydziesty siódmy

VERADIS

Veradis poruszył się w siodle, szukając wygodniejszej pozycji. Po jego plecach płynął pot. Otarł dłonią twarz i strzepnął wilgoć z palców. Jego koń potknął się i młodzieniec wychylił się, by poklepać go po karku.

– Przeklęty upał – wymamrotał.

– Otóż to – burknął Nathair i osłonił dłonią oczy, wpatrując się w dal.

Stali w zagłębieniu zbocza na stromym, porośniętym trawą wzgórzu i spoglądali na szeroką, ciemną rzekę, którą Calidus nazwał Rhetta. Veradis obrócił się i zerknął na starca, który siedział na koniu kilka kroków dalej. Przy nim stał milczący Alcyon.

– Gdzie przekraczają rzekę? – spytał cicho Nathair.

Veradis wzruszył ramionami i skrzywił się nieświadomie, gdy kolczuga znów otarła mu skórę.

– Rahim twierdzi, że istnieje tylko jeden naturalny bród. Znajduje się jakąś milę na północ stąd.

– Tak, ale jest strzeżony, więc przeprawiają się gdzieś indziej!

Veradis wyteżył wzrok i powiódł nim wzdłuż nurtu ocieźale snującej się rzeki. W oddali dostrzegł niewyraźny zarys wieży oraz otaczających ją budowli. Był to bastion Rahima, wzniesiony dla obrony przed najazdami Shekam, choć jak dotąd nie przydał się na

wiele.

– To olbrzymy – rzekł. – Może korzystają z magii?

Nathair nie odpowiedział. Z miejsca, w którym stali, rzeka wydawała się czarna i przywodziła na myśl krzepnącą krew w otwartej ranie. Ziemię aż po jej brzeg były porośnięte zieloną, bujną trawą, upstrzoną kwiatami i kępami drzew. Przy trakcie, który wiódł na zachód, znajdowała się niewielka wioska z parterowymi domami z białego kamienia. Nie było w niej widać żywego ducha – wieśniacy już dawno porzucili sadyby ze strachu przed najazdami dzikich Shekam. Na przeciwnym brzegu z kolei ciągnęły się trzęsawiska. Veradis odetchnął głęboko i skrzywił się lekko, gdy wyczuł ich mdły, słodki zapach, przypominający smród jedzenia leżącego zbyt długo na słońcu.

– By pozabijać te olbrzymy, musimy je najpierw znaleźć – powiedział, tylko po to, by przerwać ciszę.

Nathair obrzucił go kwaśnym spojrzeniem.

– To oczywiste. Nie wiem natomiast, jak ich znaleźć. Moglibyśmy rozstawić posterunki wzdłuż rzeki, ale wówczas nasze siły będą zanadto rozciągnięte, by wydać im bitwę!

– Panie – odezwał się Calidus.

Veradis poczuł ukłucie irytacji, w głosie starca było bowiem coś, co zaczynało mu działać na nerwy. Odwrócił głowę i przyjrzał mu się uważnie. Doradca króla Lykosa był chudy, ale ramiona miał mocne i muskularne. Trzymał się prosto i emanował siłą, która przeczyła siwym włosom. Jego oczy lśniły w blasku słońca. Veradis zmrużył powieki i przyjrzał im się baczniej.

Cóż za osobliwy kolor, pomyślał. Bursztynowe, jak u wilka.

– Słucham cię – mruknął Nathair, nadal wpatrzony w dal.

– Możemy pomóc ci zlokalizować każdego Shekam, który przekroczy rzekę.

– Jak?

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o wykorzystaniu naszej szczególnej umiejętności?

- Mów otwarcie. Masz na myśli moc ziemi?
 - Tak. – Kąciki ust Calidusa drgnęły. Czyżby z irytacji?
 - A więc pamiętam. Dokładnie pamiętam.
 - Obejmiemy wraz z Alcyonem wartę. Będziemy wiedzieć, kiedy Shekam przekroczy rzekę.
 - Naprawdę? – Nathair spojrział na niego. – Macie taką możliwość? Nie chcę rozkładać tu obozu i narażać całej drużyny na takie upały tylko po to, by się dowiedzieć, że jednak się nie udało.
 - Nie zawiedziemy cię.
- Nathair milczał przez chwilę, aż w końcu rzekł:
- Dobrze. A więc będziemy czekać na wieści od was.
- Znowu czekanie, pomyślał Veradis.

Minęły już prawie dwie dziesięcionoce, odkąd zeszli na plażę Tarbeshu. Dzień Letniego Przesilenia przemknął niespostrzeżenie, a Księżyc Łąk przeszedł w Księżyc Draigów. Spędzili kilka dni w fortecy Rahima, który wydał na ich cześć ucztę, a potem wyruszyli w drogę na wschód. Niemalże od samego początku wiadomym było, że Rahim uważa hufiec Nathaira bardziej za dowód dobrej woli Aquilusa aniżeli sposób na rozwiązanie problemu z olbrzymami, ale przydał im dwie setki ludzi z własnej drużyny pod komendą swego wojewody.

Nathair szarpnął uzdę swego ogiera i wraz z Veradisem pognął w górę zbocza. Po dotarciu na szczyt ujrzeli obozowisko, które wypełniało dolinę o łagodnych zboczach. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się skórzane namioty i migotały ogniska, a dalej wznosił się obóz ludzi Rahima.

* * *

Do świtu wciąż brakowało trochę czasu. Veradis zadrzał z zimna. Nie mógł pojąć tego, że dni tu bywały tak gorące, a noce tak lodowate. Zamrugał oczami, które aż piekły go ze zmęczenia.

Gdzieś zaskrzypiała skóra, zarżał koń. Młodzieniec zerknął przez ramię i ujrzał wiele postaci, które w mroku przypominały materialne, nieprzeniknione cienie. Wiedział, że ma wokół siebie czterystu wojowników, ale był w stanie dostrzec tylko kilku najbliższych.

Ruszyli pod wieczór, niedługo po tym, jak pojawił się Alcyon. Olbrzym, który trzymał w ramionach nieprzytomnego Calidusa, wszedł do namiotu Nathaira. Widząc to, Veradis natychmiast wbiegł tam za nim.

– Shekam przekroczyli rzekę jakieś dwadzieścia mil na północ stąd! – oznajmił Alcyon. – Kierują się na południowy zachód i przechwycimy ich, jeśli się pośpieszymy.

Calidus żył, ale był wyczerpany po długim, jak to nazwał, poszukiwaniu, co zapewne oznaczało jakąś magiczną działalność. Chwilę później wszyscy byli już w siodłach – czekała ich ostra jazda przez pół nocy. Veradis wciąż czuł dreszcze na samą myśl o tym, że – o ile Alcyonowi i Calidusowi można wierzyć – lada moment czeka ich starcie z Shekam.

Z ciemności wyłoniła się ogromna postać.

– Nadszedł czas! – zadudnił olbrzym.

Veradis zsunął się z siodła, podał wodze wojownikowi obok siebie i ruszył za wielkoludem. Wspięli się na strome wzgórze, a na szczycie Alcyon padł na brzuch i przepelznął ostatni kawałek dzielący ich od skraju. Veradis poszedł w jego ślady, mrużąc ze złością, gdy ostre kamienie wbijały mu się w kolana i ramiona. Po chwili jednak znalazł się obok olbrzyma i spojrzał w dół, lecz niewiele mu to dało. Szarzało już, a na niebie rozlewał się ciemny fiolet, ale dolinę pod nimi nadal spowijały ciemności.

– Gdzie oni są? – szepnął Veradis.

– Nadchodzą od wschodu. Cierpliwości, człowieczku.

I znów czekanie.

Veradis pragnął, aby wreszcie doszło do starcia. Wszystko było lepsze od siedzenia i czekania. Wytarł spocone dłonie w szorstką

trawę, wciąż wpatrując się w dolinę. Próbował wypatrzeć sąsiedni grzbiet, gdzie krył się Nathair i reszta ich drużyny.

Ciemność powoli rzedniała i wyłaniały się z niej rozpoznawalne kształty – głazy zalegające na dnie doliny, samotne, powykrzywiane drzewa. Veradis słyszał też cichy plusk wody, przypuszczalnie dobiegający od strony wioski, którą Shekam planowali zniszczyć.

Tym razem im się to nie uda, pomyślał i uśmiechnął się bez wesołości.

– Nadejdą stamtąd – zadudnił Alcyon i wskazał kierunek.

Veradis spojrział na jego rękę i dostrzegł na nadgarstku tatuaż, który wił się wokół skrytych pod skórą węzłów mięśni i ścięgien. Przypominał winorośl. Łodyga biegła po ramieniu olbrzyma, znikając pod krótkim rękawem koszuli, wyrastały z niej zakrzywione kolce.

– Co to oznacza? – spytał bez zastanowienia.

Olbrzym spojrział na ramię.

– To mój *sgedul*. W waszym języku Litania – odparł zimnym, pozbawionym emocji głosem.

– Litania?

– Tak. Tak oznaczamy odebrane życia.

– A więc każdy kolec to... – Veradis przełknął ślinę.

Olbrzym potwierdził burknięciem. Młodzieniec z wielkim trudem oderwał wzrok od ręki Alcyona, porzuciwszy próby zliczenia kolców, po czym ponownie wbił wzrok w dolinę. W oddali, w kierunku wskazanym przez olbrzyma, widział już kłęby gęstej mgły. Zamrugał, a po chwili nabrał pewności, że obłok zbliża się i rozrasta. Sunął niczym fala przyływu przez dno doliny.

– Przybyli – szepnął Alcyon.

Veradis poczuł, jak ziemia zaczyna lekko drzeć, a potem rozległ się stłumiony dźwięk. Czyżby były to bębny? Nie, z pewnością nie. Obłok znajdował się teraz dokładnie pod nim i sunął ku wiosce niczym kipiąca burza gnana wichrami.

– Ta mgła... – wymamrotał.

– Nie bój się niczego, człowieczku. Przygotuj się lepiej do walki! – powiedział Alcyon i zaczął szeptać tak cicho, że młodzieniec nie był w stanie rozpoznać słów.

Spojrzał przez ramię i ujrzał blade, niespokojne twarze wpatrzonych w niego wojowników. Mgła w dolinie zwolniła, jakby natknęła się na przeszkodę, a potem zatrzymała się. Dudnienie zdawało się bliższe, nieco głośniejsze, ale nadal było stłumione. Dochodziło z obłoku.

Blask wschodu rozlał się po horyzoncie, a potem wychynał zza niego krąg słoneczny, przypominający stopione złoto. Mgła zaczęła kipieć i bulgotać niczym woda, a potem rozrzedziła się i rozplynęła w powietrzu, ukazując skryte w niej ogromne kształty. Alcyon wbił palce w grunt i zacisnął pięści pełne ziemi. Spomiędzy jego palców unosiły się smuzki dymu bądź mgły. Nadal szeptał. Gdy mgła jeszcze bardziej się przerzedziła, jego głos niespodziewanie spotęźniał, a potem ucichł. Olbrzym osunął się na ziemię. Jego twarz była blada i lśniła od potu.

– Uderzaj, człowieku księcia – wychrypiał. – Ja zaraz dołączę.

Veradis, potykając się, przypadł do swego wierzchowca i wskoczył w siodło. Uniósł rękę, kopnął piętami w końskie boki i ruszył w górę zbocza.

Oddech uwiązał mu w piersi, gdy dotarł na szczyt wzniesienia. Słyszał, jak starzy ludzie opowiadali o draigach, i oglądał je na rysunkach, ale nigdy nie widział żywego osobnika. Naraz okazało się, że opowieści wcale nie były przesadzone.

Draigi kształtem przypominały jaszczurki, które wygrzewały się na słońcu na murach fortecy Rahima, ale były tysiąc razy od nich większe. Ich brzuchy zwisały nisko nad ziemią, a palce czterech łap zwieńczone były zakrzywionymi pazurami podobnymi do mieczy wojowników z Tarbeshu. Idąc, poruszały szerokimi, długimi ogonami, ale uwagę Veradisa przyciągnęły przede wszystkim łby z szerokimi, płaskimi czaszkami i długimi pyskami z rzędami

ostrzych zębów. Ich ślepia były małe, matowoczarne. Na grzbietach draigów zasiadały olbrzymy, które w porównaniu z bestiami wydawały się wręcz drobne. Dno doliny roilo się od nich niczym gniazdo węży. Nie było sposobu, by je zliczyć.

Alcyon powiedział, że rzekę przekroczyło około sześćdziesięciu olbrzymów, ale zdaniem Veradisa było ich znacznie więcej. Nabrał tchu i zacisnął mocno oczy.

Nie zapomnij o planie!

W jego głowie odezwał się głos Nathaira: „Mrówki, Veradisie, pamiętaj o mrówkach!”.

Ściągnął wodze. Koń stanął dęba i zarżał dziko, a wtedy wojownik krzyknął ze wszystkich sił:

– Nathair!

Jego okrzyk pochwycili inni, a Veradis gnał już w dół zbocza niczym burza. W dole rozległy się okrzyki zaskoczenia, które po chwili zostały zagłuszone przez osobliwie brzmiące rogi. Draigi zaryczały głucho, a ziemia zadrżała, gdy olbrzymy zwróciły swe wierzchowce ku atakującym.

Od przeciwnika dzieliło ich zaledwie kilkaset kroków, gdy za plecami Veradisa zagrzemiał róg, tym razem dobrze mu znany. Zawrócił wówczas konia i ruszył równoległe do szeregu olbrzymów. Rzucił okiem za siebie i przekonał się, że gnający za nim wojownicy wykonali ten sam manewr. Gdzieś rozległ się łoskot, a po nim przeraźliwe rzenie konia.

Sięgnął po przytroczoną do siodła włócznię w nadziei, że pozostali uczynią to samo. Jego dłoń zacisnęła się mocno na gładkim, wyslizganym od częstego użycia drzewcu. Zamachnął się i wyrzucił włócznię w powietrze, a jego gest powtórzyły setki wojowników. Rój śmiertelnych pocisków wzbił się wysoko, zamarł na dłuższą chwilę na niebie, a potem runął w dół. Wiele z włóczni odbiło się od pokrytych grubą łuską skór draigów lub utkwilo niegroźnie, chwiejąc się w skórzanych pancerzach olbrzymów, ale inne trafiły w cel.

Veradis nigdy dotąd nie słyszał takiego wrzasku. Dno doliny spowiły kłęby gęstego pyłu, w którym miotały się jakieś kształty. Olbrzymy spadały z grzbietów ogromnych gadów, one same waliły się z hukiem na ziemię. Niektóre ryczały z bólu, inne umierały w milczeniu.

Młodzieniec znów wbił pięty w końskie boki i skierował się ku zbocz, jak najdalej od dna doliny. Nim dotarł na szczyt wzniesienia, zeskoczył z siodła, klepnął konia w zad, by go przepędzić, a potem zerwał wielką, okrągłą tarczę z pleców i wyszarpnął krótki miecz z pochwy. Wokół wojownicy szli w jego ślady.

Oddychał teraz głęboko, żeby uspokoić bijące gwałtownie serce, i próbował przeniknąć wzrokiem tumany kurzu.

Powalili wiele draigów i olbrzymów. Kilka pozbawionych jeźdźców jaszczurów gnało z rykiem ku pustej wsi, a zamęt pogłębiały ochryple, gardłowe pokrzykiwania olbrzymów. Ci, którzy nadal posiadali wierzchowce, utworzyli nierówny szereg i ruszyli w górę zbocza, zaskakująco szybko, zważywszy na rozmiary draigów. Pozostało ich ponad dwudziestu.

Zbyt wielu, pomyślał Veradis.

Za jaszczurczą kawalerią zmierzały wielkimi krokami piesze olbrzymy, które wyciągały wielkie młoty i topory z pochew na plecach. Ziemia drżała pod ich wysokimi, sięgającymi kolan butami.

– Mur tarcz! – wrzasnął Veradis i zrobił kilka kroków naprzód, by znaleźć się w samym środku szyku. Wszędzie dookoła siebie widział zwartych ciasno wojowników, których tarcze zderzały się z głuchym łoskotem.

Jak dotąd plan działał idealnie. Powalili wielu olbrzymów bez większych strat po swojej stronie. Nathair miał rację. Wykorzystanie broni miotającej tak, by wyjść z walki z życiem, było o wiele lepsze niż walka twarzą w twarz i śmierć.

Z drugiej strony będziemy mieli jeszcze wiele okazji, by zginąć,

pomyślał Veradis.

Teraz nadeszła chwila prawdy.

Draigi pięły się w górę zbocza. Ich wykrzywione odnóża dźwigały ciężkie brzuszyska, a spod wbijających się w podłoże szponów tryskały żwir i grudki ziemi.

Od muru tarcz dzieliło je zaledwie trzysta kroków. Veradis czuł, jak narasta w nim strach, czuł go też wokół siebie. Żołądek podchodził mu do gardła, nogi uginały się w kolanach, w ramionach brakowało sił. Instynkt wrzaskiem nakłaniał go do ucieczki.

– Teraz, Nathairze, teraz! – mruknął.

Dwieście kroków.

Ziemia drżała, a nadchodzące draigi wydawały się być wielką, niszczycielską falą przyływu. Były już tak blisko, że Veradis dostrzegał drobne szczegóły – ukruszony kiel w rozwartej paszczy jednego z nich, zielone i brązowe łuski na grzbiecie innego, wijące się tatuaże na ramionach olbrzymów...

To na pewno ich Litanie, pomyślał. Gdzie jest Alcyon? Gdzie jest Nathair?

Usiłował przełknąć ślinę, ale w ustach czuł suchość. Zakaszłał.

Sto kroków.

Gdzieś w oddali zagrały rogi, a potem rozległ się łoskot przywodzący na myśl huk szalejącego sztormu.

Potężny hałas, przeszło Veradisowi przez myśl. Skoro zdołał się przebić przez łoskot szarży olbrzymów...

Wiele spośród ogromnych jaszczurek zawahało się i zwolniło, a jeźdźcy w siodłach odwracali się. Huk zaś potężniał i wyróżnić już w nim można było trzask broni o tarcze, krzyki wojowników i szaleńcze ryki rogów. Veradis wyjrzał zza swojej tarczy i między sylwetkami olbrzymów dojrzał oddział Nathaira, spływający po przeciwległym zboczu doliny.

– Ty będziesz kowadłem, a ja młotem – powiedział mu przed bitwą książę.

Olbrzymy usiłowały zawrócić swe wierzchowce, uświadomiwszy

sobie nagle, że znalazły się w pułapce między murem tarcz i rozpędzoną, konną szarżą. Znów rozległy się ochryple głosy, a potem wiele spośród jaszczurów zawróciło i popędziło w dół zbocza, naprzeciw konnicy. Kilka z nich jednakże nadal parło ku górze, zdecydowanych rozprawić się z pierwszym spośród napastników, a za nimi nacierały spieszne olbrzymy.

Veradis skrzywił się. Miał nadzieję, że zawróci większa część olbrzymów albo nawet wszystkie. Nabrał tchu, rozstawił szerzej stopy i czekał na uderzenie burzy.

Draigi natarły na mur tarcz, który zafalował na całej długości. Ciała waliły się na ziemię lub wylatywały w powietrze, tarcze pękały, tryskała krew. Veradis czuł, że za moment przerażenie zdobędzie nad nim władzę. Nathair się pomylił. Mur tarcz nie był w stanie zatrzymać nacierających draigów!

Rozpędzone jaszczury przedzierały się przez ich szyki, rozpędzając, depcząc i masakrując wojowników, a olbrzymy na ich grzbietach siały zniszczenie młotami i toporami na długich trzonkach. Chwilę później napastnicy z impetem przedarli się na drugą stronę szyku.

– Przegrupować się! – ryknął Veradis, choć nie miał pewności, czy jego głos przebije się przez okrzyki rannych i umierających.

Nie widział jaszczurów, które z pewnością zawracały, by ponownie uderzyć na jego ludzi, ale na to nie mógł nic poradzić. O wiele ważniejszym problemem wydały mu się teraz milczące, posępne olbrzymy, które szarżowały pieszo ku nim.

– Mur tarcz! – krzyknął.

Usłyszeli go przynajmniej ci, którzy byli najbliżej, gdyż zaraz poczuł, jak ludzie zwierają szyk.

Chwilę później olbrzymy natarły.

Szereg obrońców zachwiał się w miejscach, gdzie uderzały. Ludzie sapali z wysiłku, szerzej rozstawiali nogi, pochylali się, by powstrzymać wrogi napór. Tarczę wojownika, który sąsiedował z Veradisem, rozrąbał cios toporem, obsypując go gradem

drewnianych drzazg, a sam wojownik zniknął, wyszarpnięty z szyku ostrzem. Inny zajął jego miejsce. Kolejny cios spadł na tarczę Veradisa. Ramię mu zdrętwiało, a kolana ugięły się pod nim. Wyjrzał zza tarczy i zobaczył kanciastą twarz z małymi, zaciekłymi oczkami oraz potężne ramiona, wznoszące ogromny młot wojenny do ciosu.

Poderwał tarczę i na ślepo pchnął mieczem pod jej żelaznym wzmocnieniem. Rozległo się dzikie wycie, a na jego rękę bryznąła gorąca krew. Młot wojenny wysunął się z garści olbrzyma i padł na ziemię, a on sam zacisnął dłonie na udzie, usiłując zatamować tryskającą krew. Z łoskotem padł na kolana, a wtedy Veradis pchnął ponownie, tym razem wbijając klingę w gardło olbrzyma. Wyszarpnął ostrze, a wówczas wielkolud runął na plecy. Młodzieniec warknął głucho i znów uniósł tarczę. Pojawił się przed nim kolejny olbrzym, który wznosił obosieczny topór i spuścił go prosto na jego osłonę. Veradis, który trzymał tarczę najmocniej, jak mógł, zamrugał z przerażeniem, gdy ostrze przebiło deski, a jego kraniec wyłonił się tuż przy jego oku.

Niespodziewanie zorientował się, że ludzie za jego plecami przepychają się i poszturchują, rozległy się też okrzyki. Poczuł ukłucie paniki.

Czy to głosy olbrzymów? – pomyślał. Czyżby draigi wróciły?

Napastnik szarpnął za topór i wyrwał go z szyku. Młody wojownik potknął się, poślizgnął na krwi, padł na kolano. Uniósł krótki miecz w desperackiej próbie zablokowania ciosu topora, który zapewne już opadał, co do tego nie było wątpliwości.

Naraz rozległ się chrzęst przerąbywanego ciała i ohydny bulgot, po czym głowa olbrzyma wylądowała w błocie przed nimi.

– I po wszystkim, człowieczku – zadudnił czyjś głos za jego plecami.

Veradis odwrócił się i ujrzał Alcyona z długim mieczem, który ociekał krwią.

– B-b-b... bitwa! – wychrypiał.

– Już po wszystkim – odparł Alcyon. – Patrz!

Veradis osłonił dłonią oczy, ocierając krew i pot. Olbrzym nie mylił się. Mur tarcz wytrzymał natarcie, a na ziemi wzdłuż szeregu swych ludzi naliczył ponad dwadzieścia trupów napastników. Potyczki natomiast wciąż trwały gdzieś w oddali. Veradis wbiegł na szczyt wzgórza, a Alcyon podążył za nim.

Draigi, które przebiły się przez jego szyk, siejąc takie spustoszenie, uciekały teraz z pola bitwy, wzniesając tumany kurzu. Na jego oczach nikły na horyzoncie.

Wówczas zwrócił się w stronę dna doliny. Niektóre olbrzymy i draigi umykały w panice, a garstkę nadal walczących osaczał rozpedzony szereg konnych wojowników.

– Mrówki, Veradisie, pamiętaj o mrówkach! – powiedział mu Nathair przed bitwą.

W istocie, z tej odległości jeźdźcy nacierający na draigi przypominali mrówki wdzierające się na ciało psa. Młodzieniec dostrzegł wojownika, który trzymał sztandar księcia.

A więc Rauca ciągle żyje, pomyślał. Uff, to dobrze.

Potem zauważył samego Nathaira, który gnał na jedynym w swoim rodzaju wielkim, białym ogierze, i z bliska pchnął włócznią w paszczę draiga. Bestia zaryczała, cofnęła się, powalając kilku jeźdźców, i padła, a bitwa skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Veradis westchnął z ulgą. Nathair nie pomylił się – wygrali bitwę dzięki efektowi zaskoczenia, taktyce i elementalistom we własnych szeregach, ale nie było to łatwe zwycięstwo. Co więcej, gdyby olbrzymy na draigach, które przebiły się przez ich szyk, zawróciły, zamiast uciekać...

Na szczęście jednak tak się nie stało. Osiągnęli wielkie zwycięstwo.

Veradis rozejrzał się. Wojownicy stali i wpatrywali się w niego, wielu klęczało i opatrywało rany towarzyszy. Zewsząd dobiegały jęki, płacz, krzyki rannych. Wielu leżało na ziemi, nienaturalnie nieruchomych. Młodzieniec czuł, że jego ciało zaczyna drżeć.

Spojrzał na swe dłonie i uświadomił sobie, że nadal ściska krótki miecz, w całości zbryzgany zasychającą krwią. Uniósł go wysoko w powietrze i wydał okrzyk zwycięstwa. Ci, którzy stali najbliżej, poszli w jego ślady, a potem następni i jeszcze kolejni. Okrzyk niósł się jak fala poruszona kamieniem wpadającym do wody, aż w końcu przerodził się w skandowane słowo:

– Nathair! Nathair! Nathair!

Rozdział trzydziesty ósmy

CYWEN

Cywen zacisnęła zęby. Pot ściekał jej do oczu, szczypał, zmuszał do mrugania. Potrząsnęła głową, próbując odzyskać ostrość widzenia, i wtedy poczuła, jak broń Corbana trafia ją między szyję a ramię. Określenie „broń” było oczywiście przesadą – jej brat trzymał gałąź, którą ociosali na tyle, by przypominała miecz treningowy.

Dziewczyna skrzywiła się, rzuciła własny kij na ziemię i uniosła dłoń.

– Poczekaj chwilę – wymamrotała, próbując złapać oddech.

Corban pokiwał głową i cofnął się z lekkim uśmiechem. Ćwiczyli w ogrodzie, a niebo nad ich głowami było oszałamiająco błękitne, bez śladu chmurki. Nadal było gorąco, choć Dzień Letniego Przesilenia już dawno minął. Cywen otarła pot z czoła i z rozmachem usiadła w trawie. Burza, która czaiła się w pobliżu, nie zwróciła nawet na nią uwagi. Podkradała się właśnie do kępy trawy i nawłoci, aż znieruchomiała, napięła mięśnie, wychyliła uszka do przodu i wykonała skok. Spomiędzy jej niezgrabnych wciąż łap wyskoczyła ropucha, która błyskawicznie znikła w trawie.

Corban podał siostrze bukłak z wodą. Ta obdarzyła go jeszcze jednym krzywym spojrzeniem, ale wzięła bukłak i pociągnęła kilka łapczywych łyków.

– Wypadałoby okazać wdzięczność – rzekł chłopak, stojąc nad

nią.

– Za co? Za nowego siniaka? – Cywen pomasowała się po ramieniu.

– Nie. Za to, że pokazuję ci, jak zostać wojownikiem – odpowiedział cierpliwie Corban, jak dorosły tłumaczący coś dziecku.

– Wojownikiem – parsknęła dziewczyna, unosząc brew. Corban wykrzywił się. – Ależ ja jestem wdzięczna. – Uśmiechnęła się i podała bratu rękę, by pomógł jej wstać. – Tylko wkurza mnie to, jak łatwo mnie pokonujesz.

– Ja tam akurat się z tego cieszę – powiedział chłopak z uśmiechem. – To dobra zmiana, bo własnych siniaków mam już dość.

Dziewczyna czuła narastającą frustrację. Nie mogła pogodzić się z tym, że uczyła się czegoś nowego i robiła wielkie postępy, stawała się coraz lepsza, a mimo to wciąż nie miała szans nawet dotknąć Corbana swoim kijem. Odnosiła wręcz wrażenie, że różnica między ich umiejętnościami się powiększała.

On to dopiero robi wielkie postępy, pomyślała, taksując brata wzrokiem. Zmienia się w oczach.

Aż zakręciło się jej w głowie, gdy uświadomiła sobie, do jakiego wniosku właśnie doszła. Corban w istocie ulegał przemianom i nie chodziło tu wcale o jego ciało, bo tu akurat zmiany były zauważalne – jego ramiona zgrubiały, barki stały się szersze, a twarz mniej zaokrąglona. O wiele ważniejsza przemiana dokonywała się jednak w jego wnętrzu. Cywen widziała to nawet dziś, gdy wrócił z Jarzębinowej Łąki, cichy i zamyślony, ale o wiele mniej znękany niż niegdyś. Jego uśmiech również stał się głębszy, bardziej serdeczny.

– Chodź – powiedział, ustawiając odpowiednio stopy i unosząc kij. – Poćwiczmy jeszcze.

Cywen podniosła własną oręż i spojrzała w niebo. Cofnęła się o kilka kroków, a potem przeszła bardziej w lewo, aż stanęła

plecami do obrośniętego różami muru, w cieniu wieży, który padał na ogród. Miała słońce za plecami.

Corban zachichotał. Wiedział, że siostra próbuje stanąć tak, by oślepiło go słońce, czego zresztą sam ją nauczył. Zaatakował ją mimo tej przewagi. Tym razem Cywen stawiała mu opór nieco bardziej umiejętnie. Pamiętała, co brat powiedział jej o ustawieniu stóp, zachowała odpowiednią równowagę podczas wypadu i unikała zbyt dalekiego zamachu. Nadal nawet nie dotknęła go ćwiczebną bronią, ale unikała ciosów Corbana dłużej niż kiedykolwiek wcześniej.

Ha!, pomyślała. To już na pewno jest postęp!

W końcu uległa jednak zniecierpliwieniu. Zaatakowała z furją, przekonana, że przełamała jego obronę, by sekundę później uświadomić sobie, że leży twarzą na trawie, a nad sobą słyszy śmiech.

Obróciła głowę, by obrzucić brata przekleństwami, ale wówczas przyskoczyła do niej Burza, by obwąchać jej ucho wilgotnym noskiem i dotknąć łapą jej policzka.

– Dałaś się porwać emocjom – rzekł Corban.

– Idiota i tyle – mruknęła Cywen.

Chłopak odwrócił się i spojrzał na słońce, osłoniwszy oczy.

– Dość już na dzisiaj. Ćwicz dalej, Cy. Dobrze ci idzie.

– Ban... – odezwała się siostra, ale zignorował ją i szybkim krokiem wszedł do domu. W kuchni zastał ojca, który raczył się kawałkiem mięsa i kubkiem pitnego miodu. – Tato, mogę cię o coś zapytać? – zwrócił się do niego.

– Pewnie.

– Dlaczego nie powstrzymałeś mnie przed zabraniami Burzy na Jarzębinową Łąkę dziś rano? Przecież tak długo mi tego zabraniałeś.

Thannon przeniósł spojrzenie na syna i nie odpowiadał przez chwilę. Potem wzruszył ramionami.

– Uznałem, że już jesteś gotowy – rzekł. – Wiedziałem, że nie

przyjdzie ci to łatwo, ale naprawdę tego chciałeś. Widziałem to rano w twoich oczach.

Corban zmarszczył brwi.

– To dlatego przyszedłeś dziś na Łąkę? Z Garem?

– A więc widziałeś nas?

– Tak. Staliście w cieniu. Szpiegowaliście mnie.

– To nie tak, Ban! – Thannon wyciągnął ogromną dłoń i zmierzwił synowi włosy, ale przerwał nagle. – Wiedziałem, że musisz zabrać Burzę na Łąkę i jestem z ciebie dumny, synu. Niemniej czasami sprawy wymykają się błyskawicznie spod kontroli. Jak byś się czuł, gdybyśmy weszli na Łąkę wraz z tobą?

– Jak dziecko – rzekł Corban po chwili namysłu.

Thannon pokiwał głową.

– Są rzeczy, które mężczyzna musi zrobić samemu, ale chciałem tam być. Chciałem to widzieć. I gdyby coś poszło nie tak, cóż...

– Jak rozumiem, tym razem nie odwołałbyś się do potęgi słów? – Corban uśmiechnął się.

– Niekoniecznie. – Thannon zachichotał.

Cywen patrzyła to na jednego, to na drugiego, marszcząc brwi.

– O co chodzi? O czym rozmawiacie? Co się wydarzyło dziś na Łące?

Corban, miast odpowiedzieć, uśmiechnął się do niej.

– Zobaczymy się później – powiedział i ruszył ku drzwiom. Thannon zrobił mu przejście.

– Gdzie idziesz?! – zawołała dziewczyna.

– Chyba muszę odwiedzić Datha. Ma za sobą pierwszy dzień na Łące!

* * *

Cywen przesunęła kciukiem po ostrzu noża, uniosła go i skupiła się na drewnianym słupie. Sekundę później nóż tkwił już w drewnie,

a jego rękojeść drżała od siły włożonej w rzut. Dziewczyna uśmiechnęła się, zadowolona ze swojej celności, po czym wyjęła drugie ostrze i cisnęła nim w ślad za pierwszym. Potem dołączyło do nich trzecie.

Niespodziewanie ktoś za jej plecami zaczął bić brawo. Odwróciła się i ujrzała księżniczkę Edaną, przy której stał Ronan.

– Co ty tu robisz? – warknęła Cywen wbrew sobie i schowała nóż do pochewki. Nie podobało jej się, że ktoś był w stanie się do niej podkraść.

– Pukałam, ale nikt nie otwierał – rzekła Edana. – Pewnie byłaś bardzo skoncentrowana.

– Nie przeczę. – Cywen podeszła do słupa i zajęła się wyciąganiem noży.

– Ostrożnie, dziewczyno, bo się potniesz – rzekł z szerokim uśmiechem Ronan, przyboczny Edany.

Cywen odwróciła się błyskawicznie i rzuciła nożem trzymany w rękę.

Jego ostrze z cichym cmoknięciem wgrzyzło się w drzewo, o które opierał się Ronan, pół dłoni nad jego głową.

– Lepiej uważaj, dziewczyno! – parsknął wojownik, nachyliwszy się. Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Tnę tylko to, co chcę pociąć – oznajmiła Cywen, maskując uśmiech.

– Mogę obejrzeć? – spytała Edana, przyglądając się nożowi tkwiącemu w drzewie.

– Oczywiście.

Ronan wyszarpnął ostrze z kory i gwizdnął cicho, muskając je palcem.

– Dziwnie wyważony – powiedział.

– Bo to nóż do rzucania, a nie zadawania ciosów. Tato mi go zrobił – powiedziała Cywen, ale w duchu skrzywiła się. Sztuki ciskania nożami nauczyła ją mama, ale ojciec kazał jej zachować tę umiejętność dla siebie. Twierdził, że ludziom nie spodoba się fakt,

że tak dobrze włada bronią.

Wszak to nie kobieca rzecz, dodał.

– Twój brat wywołał dziś niezłe zamieszanie, zabierając szczenię wilkuna na Łąkę – mruknęła Edana, oglądając nóż.

– Co takiego? – spytała Cywen.

– Nie wiesz o tym?

– Nikt mi ostatnio nic nie mówi – wymamrotała kwaśno Cywen.

– Co się stało?

Edana opowiedziała jej całą historię.

A więc to o tym Corban rozmawiał z tatą!, pomyślała dziewczyna i poczuła, jak na jej twarzy rozlewa się uśmiech.

– Twoja mama jest w wieży królewskiej – dodała Edana.

– Co?

– Gwenith. Twoja mama. Widziałam ją w wieży. Rozmawiała z moimi rodzicami.

– Ciekawe. Nigdy wcześniej tego nie robiła. O co chodzi?

– Nie mam pojęcia. – Edana wzruszyła ramionami. – Miałam nadzieję, że może ty mi powiesz.

Cywen pokręciła głową. Jej mama miałyby prosić króla Brenina i królową Alonę o audiencję? Po co? Choć z drugiej strony od pewnego czasu w istocie wyglądała, jakby coś ją gryzło.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? – Cywen uśmiechnęła się szeroko do księżniczki. – Jesteś moim osobistym szpiegiem w wieży królewskiej! Najlepsza przyjaciółka, jaką mogę sobie wyobrazić.

Edana wyszczerzyła zęby.

– A gdzie jest twój brat?

– Poszedł spotkać się z Dathem przy łodziach.

– Może on wie, dlaczego twoja mama udała się do wieży. Chodź, zapytajmy go!

Ronan wziął nóż od Edany i oddał go Cywen.

– Masz imponujący talent – powiedział.

Dziewczyna przyjrzała się mu i dostrzegła, że letnie słońce obsypało jego twarz piegami.

Ależ on młody, pomyślała.

– Spodobało ci się coś we mnie? – rzekł, uśmiechając się ponownie.

Cywen odwróciła głowę i skrzywiła się, czując, jak na jej twarz wypływa rumieniec.

– Chodźmy na plażę! – zawołała Edana.

Wsiedli na konie i wyjechali z fortecy, a potem podążyli drogą, która wiodła w dół ku zatoce.

– O, tam są! – oznajmiła księżniczka.

Niedaleko łodzi znajdowały się dwie postacie – jedna z nich rzucała kamieniami do wody, a druga stała na gładkiej niczym stół skale. U jej stóp kulił się drobny cień. Burza!

Chłopcy odwrócili się, usłyszawszy zbliżające się konie. Cywen uniosła rękę i uśmiechnęła się do brata, a ten pomachał do niej. Cała trójka zeskoczyła z siodeł. Dziewczęta podbiegły do Corbana i Datha, a Ronan został przy wierzchowcach.

– Cześć, Cy! – odezwał się Corban. – Witaj, moja pani!

Dath zaś gapił się na Edanę, co z jakiegoś powodu zirytowało Cywen.

– Och, przestań już z tymi tytułami! – Księżniczka zacisnęła usta. – Mam na imię Edana, a nie „moja pani”. Szukałyśmy was.

– I wygląda na to, że nas znalazłyście. – Corban uśmiechnął się lekko.

– Edana mówi, że widziała naszą mamę w wieży! – rzekła Cywen. – Rozmawiała z królem i królową. Wiesz, co tam robiła?

– Nie. – Corban pokręcił głową i zmarszczył brwi. – Pojęcia nie mam. Do tej pory nigdy nie odwiedzała komnat królewskich.

– No właśnie.

– Zapytamy ją przy kolacji – postanowił chłopak.

– To nie takie proste – rzekła Edana. – Wasza mama dołożyła wszelkich starań, by nikt jej nie zauważył. Założyła płaszcz z kapturem, a do wieży wprowadziła ją moja mama. Nie Ewnis, nie Heb ani żaden ze strażników, a sama królowa. Jeśli zaczniesz ją

wypytywać, będzie chciała się dowiedzieć, skąd to wszystko wiesz, a wówczas wasz szpieg zostanie odkryty. Innymi słowy, nic wam to wszystko nie da, prawda?

Zza głazu wyłoniła się Burza i zatrzymała się przy nodze Corbana. Edana pochyliła się ku niej. Wilkunica ani drgnęła, przyglądając się księżniczce ślepiami koloru miedzi.

– Swój – szepnął Corban, a wtedy szczeniak podszedł do Edany i obwąchał jej wyciągniętą dłoń.

– Jest piękna! – Edana rozpromieniła się.

– Tak, to prawda. Szkoda, że nie wszyscy są twojego zdania.

– Słyszałam o tym, co miało dziś miejsce na Łące.

– Ach, tak.

– Szkoda, że go nie widziałaś! – wtrącił Dath. – Ban, sam jeden, stawiał odważnie czoła całej bandzie wojowników. Było ich co najmniej dwudziestu!

Corban zakasłał i nagle się zarumienił. Wbił wzrok w swoje stopy.

– I ustawił Rafe’a z powrotem do szeregu. Kopnął go w tyłek, że hej! – ciągnął Dath, śmiejąc się.

– Dość już – uciał Corban. – To wcale tak nie wyglądało.

– Nie, to Dath ma rację – odezwał się ktoś za ich plecami. Ronan podszedł bliżej. – I nie ja jeden to widziałem. Masz sporo odwagi, trzeba przyznać.

Corban burknął coś pod nosem.

– Jak minął pierwszy dzień na Łące, Dath? – spytała Cywen.

– Nieźle – odparł Dath i cisnął kamieniem, który odbił się od kilku fal.

– Ojciec był pewnie z ciebie dumny, co?

– Cóż, przynajmniej ze mną przyszedł.

– Kto cię ćwiczy, chłopcze? – spytał Ronan.

– Tarben. – Dath odwrócił się ku nim. – Ten to wie, jak władać mieczem! – W jego głosie pojawił się nabożny szacunek.

– Zgadza się, jasne. Włada mieczem jak mało kto, a jeśli

zabraknie mu umiejętności, by pokonać przeciwnika, ma jeszcze jedną tajną broń w zanadrzu – stwierdził Ronan z szerokim uśmiechem.

– A cóż to takiego?

– Marudzenie. Wystarczy, że otworzy usta, a w niecałą minutę wysysa z każdego człowieka radość z życia, po czym masz już tylko ochotę położyć się i czekać, aż cię dobije. Słyszałem, że to starożytna sztuka magiczna, odziedziczona po olbrzymach elementalistach.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Wyjątkiem był Dath, który wydawał się nieco urażony. Ronan mrugnął do Cywen, a ta poczuła, że się rumieni. Odwróciła głowę.

– Dobrze, że twój tato wrócił już z Tenebrału – rzekła do Edany.

– Och, tak. Mama znów się uśmiecha. Choć zaszły w nim jakieś zmiany.

– Zmiany? – spytała Cywen.

– Nie macie pojęcia, jak się wściekł, gdy Marrock został uprowadzony. Nigdy go takim nie widziałam.

– Mój pan również – dodał Ronan. – Pendathran sądził już, że stracił syna swego brata i to jeszcze z rąk tych samych zabójców.

– W każdym razie Marrock wrócił, a ojciec planuje rozprawić się z Braithem raz na zawsze.

– Co masz przez to na myśli? – zapytał Dath.

– Słyszałam, jak rozmawiał z Pendathranem. Ojciec myśli o oczyszczeniu Ciemnego Boru ze wszystkich banitów.

– Ale jak? – Ronan potrząsnął głową. – Nie jest w stanie tego dokonać samodzielnie. Wszak Ciemny Bór ciągnie się jeszcze daleko za granicą Ardanu z Narvonem, a Owain – splunął przy tych słowach – na pewno nie udzieli mu pomocy. Braith wycofa się więc do tej części Ciemnego Boru, która leży na terytorium Narvonu, gdzie Brenin nie będzie mógł wkroczyć.

– To prawda, na razie to niemożliwe, ale ojciec uważa, że sytuacja może się zmienić. Ma to jakiś związek z jego wyprawą do

Tenebralu. Nie do końca rozumiem, o co mu chodzi, ale w Dniu Zimowego Przesilenia chce się spotkać z Rhin, Owainem i Eremonem.

– Gdzie? Tu? – spytał Ronan. – Nigdy w życiu tu nie przyjadą. Ardan leży za daleko. Owain daje się ponieść emocjom i będzie się bał zdrady.

– Nie mają się spotkać tu, lecz w kamiennym kręgu olbrzymów – rzekła Edana. – Wiąże się z nim wiele legend i opowieści. Wszak było to sanktuarium i starożytne miejsce spotkań klanu Benothi.

– Może ma to sens – mruknął Ronan. – Krąg znajduje się na terenie Ardanu, ale blisko granicy z Narvonem. I blisko Ciemnego Boru, co mniej mi się podoba.

Edana wzruszyła ramionami.

– Ojciec rozsyła jeźdźców, by ich zaprosić: Owaina, Rhin i Eremona z Domhainu.

– Dlaczego? – Corban zmarszczył brwi. – Cóż ma nadzieję osiągnąć?

– Nie jestem pewna. Nie wolno mi słuchać takich rzeczy i ja... eee... trochę...

– Szpiegowałam – odpowiedział jej uśmiechnięty Corban.

Edana wzruszyła ramionami i również się uśmiechnęła.

– A do czego miałyby im się przydać Eremon z Domhainu? Przecież Ciemny Bór leży daleko od jego granic, a Braith nie jest jego zmartwieniem – rzekł Ronan.

– Tu chodzi o coś więcej niż tylko banitów z Ciemnego Boru, jak sądzę – odparła Edana. – Ten pomysł ma związek z jakąś przepowiednią czy czymś, co ojciec usłyszał w Tenebralu. – Nabrała głęboko tchu i zmarszczyła brwi. Znad zatoki powiało chłodem. – Mówił coś o znaku, o Dniu Zimowego Przesilenia i... i o Czarnym Słońcu.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

VERADIS

– Już blisko! – rzucił przez ramię Calidus i poprowadził konia naprzód. Alcyon podążał u jego boku tym samym krokiem co zwykle.

– Czyli ile jeszcze drogi zostało?! – zawołał Veradis. Milczący Nathair jechał tuż obok.

– Trudno ocenić – rzekł Calidus. – Te góry to nie jedyny powód, dla którego Telassar pozostało ukryte przez wieki.

Veradis rozejrzał się. Podążali wąską ścieżką wzdłuż pluskającego strumienia, a nad ich głowami wyrastały ogromne szczyty.

– Co chcesz przez to powiedzieć?! – zawołał, osłoniwszy usta dłońmi, by przekrzyczeć plusk.

– Na to miejsce rzucono czar. Wykorzystano moc ziemi, by ukryć fortecę Jehar przed oczami postronnych. Stąd właśnie wiem, że jesteśmy blisko, bo wyczuwam magię.

– Jeśli tak, to jak my w ogóle znajdziemy wejście?! – krzyknął młody wojownik.

Calidus ściągnął wodze i obrócił się w siodle. Błysnęły białe zęby, choć Veradisowi trudno było ocenić, czy uśmiech starca był szczery.

– Mam ci przypomnieć? Ja i Alcyon zostaliśmy wtajemniczeni w sekrety mocy ziemi.

– Pamiętam doskonale i nie będę już w to wątpić – rzekł Veradis

i zerknął na Nathaira. Księżę nadal miał posępną minę. Ponury nastrój zawładnął nim w chwili, gdy opuścili fortecę Rahima, i nie opuszczał go ani na moment.

Calidus cmoknięciem popędził konia i znów ruszyli wąską ścieżką.

Przynajmniej jest tu chłodniej, pomyślał Veradis.

Miał już serdecznie dość upałów. Jego nastrój zaczął się poprawiać dwa dni temu, gdy znaleźli się w cieniu łańcucha gór. W miarę, jak wspinali się coraz wyżej, temperatura spadała.

Spojrzał za ramię i ujrzał, jak strumień niknie w dole wąskiego wąwozu. Zmarszczył brwi. Nie podobało mu się to, że zabrali tak nieliczną eskortę. Góry były naturalną kryjówką banitów i rabusiów, a wąskie ścieżki, którymi podróżowali, idealnie nadawały się na zasadzki. W wypadku starcia mogli zawsze liczyć na Calidusa i Alcyona, ale nawet oni nie byli w stanie zatrzymać wypuszczonej strzały.

Po bitwie z olbrzymami Nathair powiódł swą drużynę do twierdzy Rahima, gdzie zostali powitani ze zdumieniem i wielką radością. Trzy dni upłynęły na ucztach i uroczystościach, a władca szczerze obdarował zarówno swego księcia, jak i jego ludzi. Następnie wyruszyli na zachód, gdyż Nathair oznajmił, że chce jak najszybciej wrócić do ojczyzny i ogłosić wieści o zwycięstwie. Tymczasem po upływie jednego dnia powierzył drużynę Rauce i kazał mu dotrzeć na wybrzeże, gdzie oczekiwał Lykos wraz ze swą flotą. Rauca aż zarumienił się z dumy.

– My zaś jedziemy do Telassar – powiedział wówczas Nathair do Veradisa. – Sami.

Jego przyboczny protestował, błagał i prosił, ale księżę uparł się, by nie brać ze sobą nikogo poza Calidusem i Alcyonem.

– Nie mam zamiaru stanąć u ich bram z oddziałem wojska – rzekł. – Chcę ich sobie zjednać, a nie przerazić.

I tak oto znaleźli się w samym środku górskiej dziczy, między szczytami, na które rzucono jakiś potężny czar, a za przewodników

mieli olbrzyna i szefa wywiadu pirackiego państwa.

* * *

Veradis przyglądał się Alcyonowi, który siedział po drugiej stronie ogniska. Pomarańczowe płomienie rzucały na jego twarz roztańczone cienie, które zlewały się z tatuażami na jego ramionach.

Zawdzięczam mu życie, pomyślał, choć ta świadomość raczej nie napawała go otuchą. Cóż, lepiej pozostać przy życiu i być dłużnikiem olbrzyna, aniżeli leżeć w grobie.

Pociągnął łyk wina z bukłaka. Wciąż widział oczami wyobraźni wrogię olbrzyna górującego nad nim, wciąż pamiętał, jak żołądek podszedł mu do gardła, gdy czekał, aż spadnie wrogi topór, wciąż widział głowę, która obcięta nieruchomieje na ziemi przed nim.

– Nie podziękowałem ci jeszcze – rzekł nad płomieniami.

Alcyon uniósł głowę. Jego oczy wydawały się drobne pośród opromienionej ogniem twarzy.

– Za co? – zagrzemiał.

– Ocaliłeś mi życie. Na szczycie wzgórza.

– Toczyliśmy bitwę – burknął olbrzym. – Każdy robił to, co należało.

– Tak czy owak, dziękuję.

Alcyon wzruszył ramionami i znów burknął, tym razem pod nosem, a Calidus zachichotał piskliwie. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś wciągał powietrze przez cieniutką, pustą w środku trzcinę.

– Mój olbrzym nie nawykł do takich pochwał – powiedział.

– Twój olbrzym? – spytał Nathair. Siedział w pewnej odległości od reszty, otoczywszy ramionami kolana.

– Alcyon jest... Cóż, powiedzmy, że jest moim dłużnikiem – rzekł Vin Thalun.

– Jechałeś kiedyś na draigu? – Nathair zwrócił się do olbrzyma.

– Nie – odparł tamten. – Pochodzę z klanu Kurgan. Mamy inne zwyczaje.

– Te draigi naprawdę robią wrażenie, co nie?

– Robią – burknął olbrzym. – Robią, ale co z tego, skoro i tak je pozabijaliście?

Nathair parsknął śmiechem, co miało miejsce po raz pierwszy od chwili wyjazdu z fortecy Rahima.

– Ale nas, wraz z posiłkami, było około tysiąca, a ich tylko osiemdziesięciu.

– Zgadza się – rzekł Alcyon.

– A wystarczyło zaledwie kilku z nich, by zabić prawie stu naszych ludzi – dodał Veradis, który nie mógł zapomnieć spustoszenia poczynionego przez draigi przedzierające się przez mur tarcz.

– Chciałbym mieć własnego – rzekł Nathair.

– Co? – parsknął Veradis.

Alcyon i Calidus nie odezwali się ani słowem, ale na ich twarzach niespodziewanie pojawiło się ożywienie. Wbili wzrok w księcia.

– Myślicie, że dałbym radę na czymś takim jeździć?

Przez moment ciszę przerywało tylko strzelanie szczap ogniska.

– Tak – rzekł w końcu Calidus. – Olbrzymy są większe od ludzi, ale można by użyć mniejszego siodła. Co więcej, osobniki, z którymi walczyliśmy, były już dojrzałe i w pełni rozwinięte. Draigi po urodzeniu rosną bardzo szybko i w rok osiągają rozmiary, które pozwoliłyby ci takiego dosiąść. Co prawda nie przestają wówczas rosnąć, ale ten proces już zwalnia. Rozmiary, po których może dosiąść ich olbrzym, osiągają po kilku latach. Te w dolinie mogły mieć dziesięć lat lub więcej.

Zamyślony Nathair pokiwał głową.

– A gdzie ja takiego dostanę? Pewnie trudno je schwytać, co? A jak się je szkoli?

W kącikach ust Calidusa błąkał się uśmiech.

– Te, które samodzielnie chodzą, nie nadają się już do tresury – rzekł. – Trzeba zdobyć jajo i być przy tym, jak draig się wykluwa. Muszą poczuć twój zapach, gdy będziesz karmił je mięsem po raz pierwszy. Tak uzyskasz jego niezachwianą lojalność. Każdy z nich dopuszcza na swoim grzbiecie tylko tego, kto je karmi.

– Dobrze, a więc gdzie mogę znaleźć takie jajo?

– Na bagnach, które widzieliśmy. Na granicy Tarbeshu – warknął Alcyon.

Veradis zmarszczył nos. Pamiętał smród bagnisk, ciągnących się wzdłuż rzeki Rhetty.

– Są jeszcze inne miejsca na Ziemiach Wagnanych – dodał Calidus. – Las Forn, niektóre obszary Benothu, Góry Kavala.

Alcyon wstał, podszedł do Nathaira i uklęknął przed nim.

– Przysięgam na wszystko, co święte, księżę Tenebralu, że znajdę ci jajo draiga.

Nathair zaśmiał się głośno.

– Alcyonie, ma wdzięczność nie miałaby granic. Wyobrażasz sobie, jak wjeżdżam na draigu do Jerolin? – zapytał Veradisa, klepiąc go w kolano.

– Nie wiem, czy precisnąłby się przez bramę – mruknął przyboczny księcia.

– Alcyonie. – Nathair znów zwrócił się do olbrzyma. – Gdybyś w istocie mógł to dla mnie zrobić, okazałbyś mi wielką przyjaźń.

Olbrzym skinął i zerknął na Calidusa, po czym z powrotem usiadł na swoim miejscu przy ogniu. Przez moment wszyscy milczeli. Ogień parskał i syczał, wino w przekazywanym bukłaku bulgotało.

– Myślę, że jutro ujrzymy Telassar – rzekł Calidus, zaskakując Veradisa.

– Jesteś pewien? – spytał Nathair.

– Wyczuwam zmiany w emanacji magicznej. Zaczyna słabnąć.

– Uhm – burknął Nathair, znów pochmurniejąc. – Calidusie, czy

wiesz coś o tej fortecy Telassar lub Jehar? Teraz, gdy jesteśmy już tak blisko, zaczynam odczuwać lęk i niepewność, zupełnie jakbym dźwigał na swoich barkach wielki ciężar. – Mówiąc te słowa, wpatrywał się w żar, unikając wzroku Vin Thalun.

– Tak, wiem co nieco o fortecy Telassar i ludziach, którzy ją zamieszkują. Głównie są to legendy i plotki, ale już nie raz się okazało, że w takich przekazach kryje się sporo prawdy. Otóż Jehar pochodzą ze Starej Krwi, co oznacza, że są potomkami ludzi, którzy mieszkali tu przed Plagą Elyona. Przeżyli zarówno szalejący żywioł ognia, jak i wody, które zdziesiątkowały rasy ludzi i olbrzymów. Powiedziałem, że przeżyli, ale możliwe, że zostali oszczędzeni. Nie mam co do tego pewności. – Wzruszył ramionami. – Mówi się natomiast, że są fanatycznymi sługami Elyona, a w rzemiośle wojennym nie mają sobie równych. Ponoć trenują się w walce od chwili, gdy nauczą się chodzić. – Uśmiechnął się. Jego zęby i oczy błysnęły czerwienią w blasku dogasającego ogniska. – Nie wiem, ile prawdy się w tym kryje, ale trochę na pewno.

– Skąd tyle wiesz? – spytał Veradis.

– Jestem oczami i uszami Lykosa. Jestem głową wszystkich tych, którzy zbierają informacje dla Vin Thalun...

– Czyli szpiegów, tak? – wtrącił Veradis.

– Tak, szpiegów. Pamiętajcie, że mamy ich wszędzie. Vin Thalun są żeglarzami, przez co całe wybrzeże Ziem Wygnanych stoi dla nas otworem. Ja zaś, nim podjąłem służbę dla Lykosa, wiele podróżowałem. Jeśli się uprę, jestem w stanie dowiedzieć się niemalże wszystkiego, co mnie interesuje.

– A czym się zajmowałeś przed podjęciem służby dla Lykosa?

– Och, człowieku księcia, to opowieść na inny wieczór.

– Skoro wiesz tak dużo – odezwał się Nathair – być może jesteś w stanie mi zdradzić, kim będzie awatar Asrotha, Czarne Słońce.

– Bardzo chciałbym to wiedzieć. – Calidus skrzywił się. – Jeśli wierzyć starym opowieściom, Asroth jest uosobieniem sprytu i przebiegłości. Od dawna sam zastanawiam się nad odpowiedzią

na pytanie, które właśnie zadałeś. – Wzruszył ramionami. – Powinniśmy go szukać wśród tych, którzy są wam niechętni lub nie poparli sojuszu twego ojca. To oczywisty punkt wyjścia, ale moim zdaniem Czarne Słońce nie objawi się dopóty, dopóki nie będzie mógł zadać nam decydującego ciosu. Być może jednak namierzemy jego sługi...

– Mandros – szepnął Nathair. – Przeciwwstawił się wizji mego ojca, a nawet z niego drwił. Czy to możliwe, by był w ich gronie?

– Niewykluczone – stwierdził Calidus. – Na pewno jest dobrym kandydatem, by służyć sprawie Asrotha. Sieje niezgodę wśród tych, do których zwrócił się twój ojciec, i wyszydza prawdę, która leży u podstaw naszych działań.

Nathair złamał gałązkę i wrzucił ją w ogień.

– Kiedy staniesz jutro przed Jehar – powiedział Calidus – nie zapomnij o tym, co teraz ci powiem. W zapiskach olbrzyma Halvora czytamy o atrybutach czempionów, jak Rodobójca, Mściciel, Przyjaciel Olbrzymów i Jeździec Draigów. Z olbrzymem już się zaprzyjaźniłeś – wskazał Alcyona. – A przed chwilą stwierdziłeś, że chcesz jeździć na draigu. – Zachichotał. – Jesteś żywym prorocstwem, Nathairze!

– Czyli znasz przepowiednię Halvora? – spytał Veradis.

– Oczywiście. – Calidus mrugnął do niego. – Byłbym doprawdy mizernym szefem wywiadu, gdybym nie miał o niej pojęcia, nie sądzisz?

Veradis parsknął i spytał:

– A Jehar? Oni też o niej wiedzą?

– Tak. Nie zapomnij, że ich przodkowie przeżyli Plagę, a więc znają zapiski Halvora. Jeśli moje źródła się nie mylą, poróżniła ich interpretacja przepowiedni, która w istocie miejscami jest niejasna.

– Moim zdaniem brzmi jak zagadka – stwierdził Veradis.

– A to akurat jest dobre dla umysłu. – Calidus postukał się po czaszce. – Jehar mają własną nazwę na Jasną Gwiazdę Elyona. Zwą go Seren Disglair. I pamiętaj jeszcze jedno. Musisz powiedzieć

im to zdanie: „Ben-Elim, anielscy wojownicy Elyona, będą stać murem za Jasną Gwiazdą”.

– A więc Jehar wiedzą o nadciągającej wojnie? – rzekł cicho Nathair.

– Tak, jeśli można wierzyć opowieściom. Żyją w oczekiwaniu na wojnę i przygotowują się na nią. Marzą o niej i pożądają jej.

Veradis przyglądał się twarzom swoich towarzyszy zgromadzonych wokół ogniska. Alcyon wpatrywał się w ziemię, a jego twarz nikła wśród cieni. Calidus i Nathair wpatrywali się zaś w siebie. Książę miał szeroko otwarte oczy, a starzec wbijał w niego intensywne, acz spokojne spojrzenie.

– Wiem, kim jesteś i czym się staniesz – szepnął Vin Thalun. – To dlatego ci służę.

Jego głos zadrżał lekko, a Nathair pokiwał głową.

– Dobrze. Ułożmy się więc do snu i zobaczymy, co przyniesie nam jutro.

* * *

– To tu – rzekł Calidus.

Vin Thalun siedział na koniu na czele ich niewielkiej grupki. Veradis zmrużył oczy i wychylił się z siodła, by dojrzeć to, na co patrzył starzec, ale ujrzał jedynie ciąg dalszy doliny, którą zmierzali od świtu. Zmarszczył brwi, gdy znów ruszyli.

Niespodziewanie Calidus znikł. Veradis zamrugał, ale wtedy znikł również Alcyon. Młody wojownik wyteżył wzrok, ale widział jedynie dwie rozmazane postacie. Powietrze przed nim i Nathairem mieniło się niczym lustro wody, a niewyraźne sylwetki Calidusa i Alcyona wydawały się zanurzać w głębinie.

Nathair spojrzał na niego, wzruszył ramionami, po czym popędził konia. Veradis pośpiesznie ruszył w ślad za nim. Skóra zamrowiła go, gdy pokonywał migoczącą barierę, ale szybko znalazł

się po drugiej stronie.

Góry znikły, a ich miejsce zajęła dolina porośnięta bujną, soczyscie zieloną trawą. Spomiędzy odległych szczytów spływała rzeka, która wijąc się, docierała do morza. Tafla wody wypełniała cały horyzont, migocząc w słońcu, jakby obsypano ją srebrnym proszkiem. W dolinie zaś ciągnęły się żyzne pola uprawne, które kończyły się dopiero przed murami fortecy, wzniesionymi z białego, lśniącego kamienia.

– Oto Telassar – oznajmił Calidus i wskazał twierdzę zamaszystym gestem.

– Gdzie my jesteśmy? – mruknął Veradis.

– Tam ciągnie się Morze Wewnętrzne. – Calidus pokazał ogromny zbiornik wodny. – Jesteśmy na dalekiej północy Tarbeshu, w Ukrytej Dolinie, starożytnej, tajemnej ojczyźnie wojowników Jehar.

Na twarzy sędziwego Vin Thalun pojawił się tryumfujący uśmiech, ale nie powiedział już ani słowa. Veradis spojrzął za siebie, ale nie widział ani śladu traktu, którym przyjechali, a jedynie strome klify, pnące się ku wiszącym wysoko na niebie chmurom.

– No to naprzód – rzekł Nathair i popędził białego ogiera.

Pozostali ruszyli za księciem po krętej drodze wiodącej ku białym murom Telassar.

Znajdowali się jeszcze w sporej odległości od twierdzy, gdy rozległ się ryk rogu. Chwilę później pojawiła się grupa jeźdźców, zmierzająca prosto ku nim. Veradis przyglądał im się uważnie. Jeźdźcy dosiadali wysokich, długonogich rumaków, lżejszych i zwinniejszych od ich własnych. Wierzchowce poruszały się z niewymuszoną gracją, przy której chód ich koni wydawał się niezgrabny. Woje mieli ciemne włosy związane na karku oraz gładko ogolone twarze, a znad ich ramion wystawały rękojeści mieczy. Veradis zamrugał, uświadomiwszy sobie nagle, że były wśród nich kobiety. Gdy obie grupy dzieliło zaledwie kilkanaście

kroków, przybysze wstrzymali swe konie, wzbijając chmury pyłu.

Jeden z nich przemówił. Władał językiem, którego Veradis nigdy dotąd nie słyszał, szorstkim i gardłowym, ale Calidus odpowiedział mu w tej samej mowie. Wojownik zmarszczył brwi i powoli, ostrożnie wypowiadając słowa, rzekł w mowie wspólnej:

– Kim jesteście? Czego tu szukacie?

– Jestem Seren Disglair – odparł Nathair i rozłożył szeroko ramiona. – Chcę rozmawiać z waszym przywódcą.

Jeździec zakołysał się w siodle, a wśród jego towarzyszy poniosły się szepty, po czym zapadła pełna oszołomienia cisza. Na twarzach obcych wojowników widać było wstrząs, lęk, niedowierzenie i nabożny szacunek.

– Seren Disglair? – odezwał się jeździec, który przemówił jako pierwszy, pochylając się w siodle.

– Przebyłem daleką drogę, by was znaleźć. Muszę porozmawiać z waszym władcą.

Przywódca grupy odwrócił się do swoich towarzyszy i rozmawiał z nimi przez moment w gardłowej mowie, po czym wydał rozkaz i jeden z wojowników popędził z powrotem ku fortecy.

– Nazywam się Akar – rzekł przywódca grupy. – Jedźcie za mną. Zaprowadzę was przed oblicze Sumura, pana na Telassar.

W drodze do fortecy Veradis spoglądał na mężczyzn, kobiety i dzieci pracujących na polach. Wszyscy przerywali pracę, by się im przyjrzeć. Bramy twierdzy zbliżały się. Niebawem ich grupa przejechała przez otwarte wrota i znalazła się na wielkim, otwartym dziedzińcu. Wzdłuż jednego boku ciągnęły się rzędy mężczyzn i kobiet, którzy jednocześnie wykonywali ruchy przypominające taniec. Wszyscy trzymali długie, lekko zakrzywione miecze treningowe z drewna, przypominające kształtem oręż, który Akar nosił na plecach.

Wzdłuż drugiego boku pary wojowników trenowały walkę. Nad dziedzińcem unosił się stukot drewnianej broni, osobliwie znajomy w tym obcym miejscu.

Veradis uświadomił sobie, że prostuje się w siodle. Czuł na sobie setki przeszywających go spojrzeń, w miarę jak wieści o osobliwym posłannictwie Nathaira niosły się wśród ćwiczących.

Akar wiódł ich krętymi ulicami, wzdłuż których wznosiły się jednopiętrowe domy z tego samego, białego niczym kość budulca. Co kilkanaście kroków stały ogromne drzewa, których opadające gałęzie z szerokimi liśćmi dawały mnóstwo cienia. W oknach i drzwiach pojawiały się dziesiątki twarzy, ale uwagę miejscowych przyciągał głównie Alcyon, kroczący za Calidusem.

Z olbrzymem w kompanii nie mamy szans na dyskretne wejście, pomyślał Veradis, uśmiechając się do siebie.

Zsiedli z koni w środku gęstniejącego szybko tłumu i oddali rumaki grupkom nadbiegających chłopców stajennych, aż rwących się, by zająć się ich wierzchowcami.

– Tędy – rzekł Akar i machnął dłonią. Zostawiając tłum za plecami, poprowadził ich przez zwieńczoną łukiem bramę do ogrodu. Znaleźli się w królestwie bujnej zieleni, pełnym ciemnych orchidei, fioletowych irysów, kamiennych słupów porośniętych bluszczem oraz wielu innych kwiatów, których Veradis nie rozpoznawał.

– Skąd znasz ich język? – szepnął do Calidusa, gdy szli szeroką ścieżką, przecinającą ogród. – Miałem wrażenie, że przypomina mowę olbrzymów.

Calidus spojrzał na niego, choć widać było, że myślami przebywa gdzieś indziej.

– Ten język był mową wspólną przed Plagą, a posługiwali się nim zarówno ludzie, jak i olbrzymy. Twój przodkowie, Wygnańcy, doprowadzili do wielu zmian po powrocie z Wyspy Lata.

Veradis burknął pod nosem. Przed sobą mieli budynek zwieńczony kopułą z drzwiami z ciemnego, wypolerowanego drewna. Stojący na straży wojownik otworzył je przed nimi, a wówczas przybysze weszli do wysoko sklepionego pomieszczenia. Przez liczne okna wpadały powiewy ożywczego wiatru. W samym

środku komnaty stał wysoki mężczyzna o czarnych niczym atrament włosach związanych na karku. Miał na sobie luźną koszulę z czarnego lnu, która nie zakrywała jego potężnych barków. Nie było wątpliwości, że mają przed sobą wojownika. Spod wydatnych brwi spoglądały na nich czujnie ciemne oczy, które po kolei, szybko lustrowały każdego z nich. Veradis poczuł napięcie w żołądku, a nawet delikatne ukłucie lęku. Mężczyzna wydawał się spokojny, ale kryło się w nim coś śmiertelnie groźnego.

Akar powiedział do niego kilka słów w ich szorstkiej mowie. Mężczyzna odpowiedział, a potem przeniósł spojrzenie na Nathaira.

– Witajcie – rzekł, dotykając dłonią czoła. – Jestem Sumur, pan na Telassar.

– Cieszę się, że przyszło nam się spotkać – odparł Nathair, który zrobił krok naprzód i uśmiechnął się szeroko. – Przebyłem długą drogę, by cię odnaleźć.

Sumur otaksował go wzrokiem i na moment zawiesił spojrzenie na Alcyonie.

– Nieczęsto trafiają do nas goście. Jak znaleźliście to miejsce? Po co tu przybyliście?

– Jestem przekonany, że nasz przewodnik już ci o wszystkim powiedział.

Zapadła cisza. Sumur znów przyglądał się każdemu z gości z osobna.

– Zdradził mi imię, jakim się przedstawiłeś. – Pokiwał powoli głową. – Ale nie odpowiedziałeś na pytanie, które ci zadałem. Jak znaleźliście to miejsce? – W jego głosie brzęknęła stal.

– Elyon nas tu przywiódł – rzekł Nathair.

– Przydałoby się nieco więcej szczegółów – parsknął Sumur.

– Jestem Nathair ben Aquilus, następca tronu Tenebrału – rzekł książę i wykonał zamaszty ruch ręką. – Odnalazłem to miejsce, ponieważ jestem Seren Disglair i było mi pisane je odnaleźć.

– A więc to tak? – Sumur klasnął i wskazał poduszki za sobą. – Usiądźcie, proszę. Pora podać naszym znużonym gościom coś do

picia i do jedzenia. Nie chcę, by mówiono później, że Seren Disglair został nieuprzejmie potraktowany pod moim dachem! – Na jego twarzy ukazał się skąpy uśmiezek.

Jak spod ziemi pojawili się mężczyźni i kobiety z misami aromatycznej wody i ręcznikami, by goście mogli obmyć dłonie. Chwilę później przyniesiono misy z figami, brzoskwiniami, śliwkami i oliwkami, gorące placki oraz dzbany wina. Służący ubiorem przypominali Sumura i Akara, ale żaden nie miał miecza przytroczonego do pleców. Wszyscy wpatrywali się w Nathaira.

Veradis nie jadł dużo. Popijał czerwone wino z pucharu, nie spuszczać wzroku z Sumura.

Denerwuje się, uznał. Nie ma się zresztą czemu dziwić, wszak właśnie do jego domu wszedł czempion boga!

Zmienił pozycję, w jakiej zasiadał na poduszkach. Było mu niewygodnie, czuł się niezdarny i bezbronny, aż po chwili przestał się wiercić i wstał.

Alcyon próbował jeść figi z misy, ale nie był w stanie pochwycić żadnej z nich grubymi paluchami, więc w końcu wziął całą misę i wsypał sobie jej zawartość do ust.

Gdy posiłek dobiegł końca, a służba uprzątnęła niewielkie stoliki, pojawiły się nowe dzbany z winem.

– Przejdźmy więc do rzeczy – powiedział wówczas Nathair. – Stałem u stóp twojej twierdzy i obwołałem się świętym imieniem. Zastanawiasz się zapewne, czy mówię prawdę.

– Otóż to. – Sumur uśmiechnął się i skinął głową.

– Spróbuję cię więc przekonać. – Nathair wstał i zaczął kroczyć po komnacie. – Widzisz mnie przed sobą. Po cóż miałbym tu przybyć, jeśli nie z woli Elyona? Odnalazłem to miejsce, waszą Ukrytą Dolinę, która pozostawała tajemnicą przez dziesiątki, setki pokoleń. Czy byłoby to możliwe, gdyby nie kierował mną sam Elyon?

– Istnieją sposoby, by do nas dotrzeć, choć nie jest to łatwe – rzekł Sumur. – Nie jesteś pierwszym, który tu dotarł.

Nathair uniósł brew, słysząc jego słowa.

– Halvor pisał o tych dniach. Pisał o mnie. Wystarczy, byś na mnie spojrział i rozpoznał we mnie tego, kim jestem.

– Proroctwo zostało już raz źle zinterpretowane – rzekł Akar. – Nasi bracia w mieczu opuścili nas, przekonani słowami kogoś innego. Oni popełnili błąd. My zaś musimy mieć pewność.

Nathair zmarszczył brwi.

– Kamienie olbrzymów płaczą krwią, na ziemi pojawiły się białozmije, znów mówi się o Skarbach.

Nagle Veradis usłyszał nowy dźwięk, przypominający ludzki głos, ale cichy, ledwie słyszalny. Spojrzął na Calidusa i ujrzał, jak jego usta poruszają się i wypowiadają ciche słowa. Miał pięści zaciśnięte tak mocno, że kłykcie mu pobieleły. Po jego czole spływała kropla potu.

Niespodziewanie odniósł wrażenie, że Nathair rośnie, potężnieje, a jego głos, naraz dudniący, wypełnia całe pomieszczenie.

– To ja jestem Jasną Gwiazdą! – oznajmił. – Elyon przychodzi do mnie we śnie i to on objawił przede mną mą misję! Spójrz na moich towarzyszy, którzy zwą mnie Przyjacielem Olbrzymów! – Wskazał przy tych słowach Alcyona. – To ja jestem Seren Disglair, wybrany awatar Elyona. Wszyscy, którzy walczą z Asrothem, staną za mną w szeregu, nawet Ben-Elim, anielscy wojownicy.

Nathair urwał. Stał teraz, milcząc, z zaciśniętymi pięściami i płonącymi oczami, oddychając z trudem.

– Dość już tego! – rzekł Calidus i wstał. Nagle wydał się Veradisowi wyższy, bardziej wyprostowany i barczysty. – Seren Disglair niczego nie negocjuje! On zjawia się, jest i trwa, a jego zwolennicy rozpoznają jego prawdziwą naturę, tak jak ja to czynię!

Niespodziewane zaczął się zmieniać. Veradis miał wrażenie, że jeszcze przed chwilą starca spowijała mgła, która nagle się rozwiała, gdyż zakurzone, brudne szaty podróżne znikły, a w ich miejsce pojawiła się lśniąca kolczuga. Jego oczy zalśniły bursztynem, a z jego pleców wyrosły wielkie skrzydła z białych

piór. Rozciągnęły się na całą szerokość komnaty i uderzyły gwałtownie. Veradis zachwiał się, pchnięty podmuchem powietrza, i rozlał nieco wina z dzbana.

– To jeden z Ben-Elim! – szepnął Akar.

Sumur stał z otwartymi szeroko ustami, a potem opadł na jedno kolano przed Nathairem.

– Jestem twój, panie, a miecze Jehar są na twoje usługi.

Rozdział czterdziesty

KASTELL

Kastell leżał z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi pod głową. Nabrał głęboko tchu, rozkoszując się zapachem trawy zmieszanej z wonią wiązówki oraz wilgotnej, żyznej ziemi. Cieszył się, że znów znalazł się z dala od twierdzy. Cieszył się spokojem.

Mikil okazało się rozczarowaniem. Po powrocie do twierdzy odkrył, że wśród kamiennych murów i tłumów ludzi jest mu ciasno. Nie miał czym oddychać, czuł się niemalże klaustrofobicznie. Wypuścił powietrze z płuc, czując, jak powoli uchodzi z niego napięcie.

Wszystko miało być inaczej. Wszak zabił olbrzymia, pokonał góry, podróżował po sąsiednich królestwach, odwiedził odległe Jerolin, walczył u boku Siraków, został włączony przez wuja w wielkie plany i zawarł nowe przyjaźnie.

Niemniej po powrocie do Mikil uświadomił sobie, że wszystko wróciło do normy. Ludzie nadal szeptali o nim za jego plecami, drwili z niego i pokazywali go sobie palcami, a wojownicy, z którymi zawarł przyjaźń na trakcie, unikali go. Co więcej, po potyczce nad strumieniem i odkryciu sakiewki ze złotem przez Maquina Kastell czuł, jak narasta w nim napięcie. Miał wrażenie, że towarzyszy mu jakiś złowrogi cień niczym kruki unoszące się nad orszakiem wojowników.

Rzadko widywał Jaela, gdyż nie ufał mu teraz za grosz. Nie było

wątpliwości, że kuzyn spiskuje przeciwko niemu.

Żdźbło trawy połaskotało go w ucho. Kastell otworzył oczy i uniósł głowę. Znajdował się na zboczu niewielkiej dolinki, w sercu której wznosił się kopiec. Ze szpar między kamieniami wyrastała trawa oraz leśne kwiaty. Kopiec skrywał kości jego rodziców, zimne teraz i wilgotne. Kastell westchnął. Od jego ostatniej wizyty tutaj upłynęło już wiele czasu.

– Co powinienem począć, tato? – szepnął.

Podmuch wiatru przywiał odgłosy lasu, spomiędzy których wyłonił się tętent kopyt zbliżającego się ku niemu jeźdźca. Kastell poderwał się i porwał za miecz, ale okazało się, że nowo przybyły to Maquin.

– Szukałem cię – oznajmił jego przyboczny, wstrzymując konia na skraju doliny i zeskakując na ziemię. – Miałem nadzieję, że tu cię znajdę. Jael znów coś knuje. Słyszałem dzisiaj w tawernie, że ponoć to ty stoisz za kradzieżą topora. Ba, twierdził nawet, że chciałeś sprzedać go Hunen, ale źle się dogadaliście i Hunen próbowali was zabić.

– Co? Przecież to nieprawda!

– Wiem. Wszak byłem tam z tobą, zapomniałeś?

– Kto wygaduje takie rzeczy?

– Ulfilas. To jeden z ludzi Jaela, oczywiście – rzekł Maquin, po czym potarł kłykcie i się skrzywił. – Następnym razem dobrze się zastanowi, zanim powie coś takiego. Jestem jednak pewien, że nie jemu jedynemu Jael kazał rozpuszczać takie pogłoski. Myślałeś może o wstąpieniu do Gadrai?

Kastell zmarszczył brwi.

– Tak. Bez chwili przerwy.

– No to co cię powstrzymuje? Przecież widzę, co się z tobą dzieje od czasu naszego powrotu. Chłopaki Jaela nie dają ci spokoju. – Maquin charknął i splunął zamasyście.

Kastell miał ogromną ochotę wyruszyć na szlak i odzyskać wolność, którą zawsze cieszył się podczas wędrówki, ale w Mikil

trzymała go ważna sprawa. Nabrał tchu i postanowił wyjawić przybocznemu prawdę.

– Pamiętasz naszą podróż powrotną z Jerolin, kiedy król Romar chciał ze mną porozmawiać?

– Tak, chłopcze.

– Rozmawialiśmy o przyszłym roku. O tym, by zebrać wojowników z Isiltiru, połączyć siły z Brasterem władcą Helvethu i wraz z nim wygnać Hunen z lasu Forn. Romar oznajmił, że chce, bym... – Urwał. Dlaczego tak trudno było mu to powiedzieć? Nabrał znów tchu. – On chce, bym uczestniczył w tej kampanii. Bym dowodził częścią jego sił. Wraz z Jaelem.

Maquin wpatrywał się w Kastella w milczeniu i czekał.

– Wuj nigdy mnie o nic nie prosił. Przygarnął mnie... Przygarnął mnie po śmierci ojca, zatroszczył się o mnie i nigdy nie prosił o nic w zamian. Nie chcę go zostawić na lodzie.

Maquin powoli pokiwał głową.

– Rozumiem – rzekł i zmarszczył brwi. – Ale nie zapomnij, chłopcze, że wuj wierzy, że pogodziłeś się z Jaelem. Że wasz spór jest zażegnany.

– Tak – odparł Kastell. – Wierzy w to.

Stali przez moment w milczeniu i wpatrywali się w siebie.

– Kastellu – odezwał się w końcu Maquin. – Jestem twoim przybocznym, a nie ojcem, przez co nie mogę ci mówić, co masz robić. Zaliczam się jednak do twoich przyjaciół, więc powiem ci, co myślę, a ty postąpisz, jak ci się żywnie podoba.

Kastell odchrząknął.

– Rozumiem, że nie chcesz zawieść wuja, lecz sprostać jego oczekiwaniom, ale to, co się dzieje między tobą i Jaelem... To już nie są dziecinne psoty i obrażanie się na siebie. Pamiętam, co się wydarzyło nad strumieniem, chłopcze. – Uniósł rękę i musnął palcem cienką bliznę na czole. – Walczyłem u twego boku. Widziałem, jak ludzie giną w zatargu między tobą a...

– To nie mój zatarg! – parsknął Kastell. – Nie zrobiłem niczego

złego!

– Tak, chłopcze, prawda! – Maquin uniósł dłoń. – Nie zrobiłeś nic poza kopnięciem go w jaja na oczach najlepszych wojowników Ziemi Wygnanych. Tak czy owak, bez względu na to, czy chcesz tego czy nie, tkwisz w tym po uszy i prędzej czy później ktoś cię dziabnie pod zebro. Ty i Jael jesteście dla Romara niemalże dziedzicami i jeden z was będzie kiedyś władał tą krainą. Wiem, że nigdy ci na tym nie zależało i nigdy się nie domagałeś niczego dla siebie, ale Jael jest ulepiony z innej gliny. On łaknie władzy i w jego oczach jesteś rywalem. Żyjesz więc w tej samej norze co twój wróg, a on z dnia na dzień będzie się stawał coraz potężniejszy. – Stary wojownik westchnął i potrząsnął głową. – To się nie skończy dobrze, chłopcze.

– Ale ja nie chcę uciekać. – Kastell skrzywił się.

– Przecież nie będziesz uciekał! – Maquin wzruszył ramionami. – Wyjedziesz stąd, by dołączyć do Gadrai, co jest marzeniem każdego wojownika.

– A więc sądzisz, że powinienem wyjechać?

– Tak, z jedną poprawką, chłopcze. Nie ty, ale my.

– Nie mogę cię wyrwać z domu. – Kastell pokręcił głową. – Romar zresztą rozmawiał ze mną również o tobie, Maquin. Uważa, że idealnie nadajesz się na dowódcę. Ma wobec ciebie plany, wielkie plany. Nie chcę, byś przekreślił swą przyszłość tylko po to, by trzymać mnie za rękę i chronić przed niebezpieczeństwami.

Maquin potarł dłonią krótką brodę.

– Cóż za zniewaga – rzekł cicho. – Jestem twoim przybocznym od chwili, gdy nauczyłeś się chodzić, a twemu ojcu przysięgałem na naszą krew, że będę cię chronił. A teraz mówisz mi, że mam cię opuścić? Że mam odejść? – Skrzywił się i ze złością przetaił zwilgotniałe nagle oczy. – Jesteś dla mnie jak syn i boję się o twoje życie. I zapamiętaj sobie jedno! – Wycelował w Kastella palcem. – Jedynym, co mnie z tobą rozłączy, jest śmierć. – Milczał przez moment, a potem opuścił rękę i odwrócił głowę. – Poza tym ja też

zawsze marzyłem, by znaleźć się w szeregach Gadrai, wiesz? – dodał, po czym spojrzał przez ramię na Mikil, choć miasto było ukryte przed ich oczami. – Od chwili, gdy wróciliśmy, to miejsce wydaje mi się inne. Mniejsze.

– Zgadza się z tobą.

– Pora więc na zmianę. – Maquin zamknął na moment oczy. Zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. – Moja Reika pokonała most dziesięć lat temu. Nie mam dzieci ani nic, co by mnie łączyło z tym miejscem. Nie widzę żadnego powodu, by tu zostać. Mnie też przyda się odmiana. Wszystko jest lepsze od starzenia się wśród tych zimnych murów. – Machnął dłonią w stronę twierdzy.

– Sam nie wiem, Maquin – westchnął Kastell. – Dla ciebie wszystko jest takie proste. Ja muszę się jeszcze dobrze zastanowić. – Spojrzał na ziemię u swych stóp. – Szczerze powiedziawszy, mam ochotę spotkać się z Jaelem. Porozmawiać z nim. Może da się to wszystko załatwić na spokojnie.

– Cóż, słyszałem o dziwniejszych rzeczach – parsknął Maquin. – Uważaj na siebie. Uważnie dobieraj słowa i poskramiaj temperament. Jael to przebiegły typ. – Nabrał głęboko powietrza w płuca i przez moment przyglądał się kopcowi. – Wracam do miasta, chłopcze. Jedziesz ze mną?

– Tak. – Kastell pokiwał głową. – Chyba tak.

* * *

Kastell szedł ulicami Mikil wśród długich cieni rzucanych przez zachodzące słońce.

Po powrocie do fortecy zwędzili z Maquinem bukłak z miodem z sali biesiadnej i rozsiedli się z nim na zewnętrznym murze. Dobrze było popatrzeć na zachodzące słońce, napić się miodu, porozmawiać i nawet trochę się pośmiać. Dobrze było choć na moment zapomnieć o mrocznym cieniu, który wisiał nad nimi

nawet w najpiękniejsze dni. Poczucie zagrożenia wróciło jednakże o wiele za szybko i Kastell wnet pożegnał się z Maquinem i wrócił do komnat, które przydzielił mu Romar. Była to chłodna, nieprzyjemna część zamku, gdzie oprócz niego pojawiał się jedynie Maquin oraz ich służąca. W komnatach Jaela, dla kontrastu, roiło się od jego sług i stronników. Kastell usiadł na łóżku i przez cały wieczór zastanawiał się nad słowami przybocznego.

Stary wojownik miał rację. Należało coś zrobić. Siedzenie i czekanie, aż spadnie na nich młot, nie było najmądrzejszym pomysłem.

* * *

Przeszedł przez szeroką, zwieńczoną łukiem bramę i znalazł się na dziedzińcu treningowym. Panował tam niemalże spokój – jedynie kilku wojowników wciąż się fechtowało, pozostali stali naokoło i przyglądali się walkom. Stojaki i kosze z bronią były pełne drewnianych mieczy i włóczni. Kastell zatrzymał się i rozejrzał, aż dostrzegł tego, kogo szukał.

Jael stał z kilkoma wojownikami i przyglądał się trenującej parze. Kastell nabrał tchu, wyprostował się i ruszył ku niemu.

Młodzieniec usłyszał go i odruchowo przesunął dłoń w okolice rękojeści miecza.

– Witaj, Jaelu – rzekł Kastell, podchodząc bliżej.

Kuzyn wpatrywał się w niego bez słowa. Jego towarzysze odwracali się ku niemu. Był wśród nich Ulfilas, wysoki wojownik, który walczył u ich boku w strumieniu, a teraz rozsiewał plotki na jego temat. Skinął mu na powitanie, a ten odburknął coś pod nosem i zerknął na Jaela.

– Chcę z tobą porozmawiać – rzekł Kastell.

– Że co? Jakiś podstęp obmyśliłeś? – parsknął Jael, o wiele głośniejszym głosem, niż było to konieczne. – Przecież wszyscy wiedzą, że

życzysz mi źle i darzysz mnie nienawiścią.

– Co? – Kastell zmarszczył brwi. Czuł, jak w szczęce drga mu mięsień. – Chcę porozmawiać z tobą na osobności – powtórzył.

– Dobrze – odparł kuzyn łaskawie. – Chodźmy więc.

Ruszył przed siebie spacerowym krokiem, nie dbając o to, czy Kastell nadaża za nim czy nie.

– Musimy porozmawiać – rzekł cicho młodzieniec, doganiając go.

– Musimy? – spytał sardonicznie Jael.

– Tak. Musimy pogadać o tym, co nas dzieli. Chcę zostawić to za nami.

– Coś nas dzieli? Nie wiem, o czym mówisz.

Kastell odruchowo zacisnął dłonie w pięści.

To będzie trudniejsze, niż sądziłem, pomyślał.

Powoli wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił dłonie.

– Daj spokój tym gierkom, Jaelu. Wiem, że pragniesz, by trafił mnie szlag. Wiem, że wynająłeś tych ludzi, którzy zaatakowali nas przy strumieniu w Helvecie.

Jael rozejrzał się, a potem wbił w Kastella spojrzenie zmrużonych oczu.

– Nie masz na to żadnego dowodu.

– Mam sakiewkę złotych monet z Isiltiru z herbem Romara – odparł Kastell.

– Phi! To niczego nie dowodzi.

– Skoro tak, to rozumiem, że mogę pójść do Romara i opowiedzieć mu o tym, co znaleźliśmy u zabitych banitów?

– Jak sobie życzysz. Mnie jest to obojętne.

Szli jeszcze kawałek w milczeniu, po czym Kastell zatrzymał się, a Jael odwrócił się ku niemu. Dłonie trzymał splecione z tyłu, a na jego twarzy wciąż widniał ów doprowadzający do szaleństwa fałszywy uśmiech. Kątem oka Kastell dostrzegł Ulfilasa i jego ludzi, którzy czujnie ich obserwowali.

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo mnie nie znosisz – rzekł. – Jeśli wyrządziłem ci krzywdę, bardzo mi przykro.

– Krzywdę. Przykro! – wysyczał Jael, któremu mimo wszystko nadal udawało się utrzymać ów krzywy uśmiech. – Tak, wyrządziłeś mi krzywdę. Niestety, za późno na żal. O wiele za późno. Ośmieszylesz mnie, Kastellu – dodał cicho. – Przed największymi wojownikami Ziem Wygnanych, przed królami, ich czempionami i królewskimi synami. Naprawdę sądzisz, że ujdzie ci to na sucho?

– Niemniej twoja wrogość wobec mnie nie zaczęła się w Jerolin.

– Prawda, prawda. – Jael machnął ręką. – Ale wówczas odpłacałem ci się jedynie za występki twego ojca. Teraz to jednak zupełnie inna i o wiele poważniejsza sprawa. Ośmieszylesz mnie przed Nathairem, przyszłym królem Tenebrału. Widział, co mi zrobiłeś, a ja nie mogę pozwolić na to, by uznał mnie za człowieka słabego.

– Występki mego ojca? Co masz na myśli? – warknął Kastell, czując, jak jego temperament bierze górę. Sprawy rozwijały się zbyt szybko, a teraz jeszcze pojawiła się osoba jego ojca.

Jael zmarszczył brwi i przez moment przyglądał się uważnie kuzynowi, a potem parsknął śmiechem.

– Naprawdę o niczym nie wiesz? Szkoda, bo teraz to raczej nieodpowiedni moment, by o tym mówić.

Kastell oddychał głęboko. Ich rozmowa przybierała zły obrót, ale... Jego ojciec. O co chodziło z jego ojcem? Co Jael miał na myśli? Zamrugał parokrotnie, pokręcił głową i z niemałym wysiłkiem przypomniał sobie to, co chciał powiedzieć.

– Romar ma plany – rzekł. – Chce w przyszłym roku wydać wojnę Hunen. Obaj gramy istotne role w jego planach, Jaelu. Przez wzgląd na Isiltir musimy odłożyć nasze niesnaski na bok.

Jael zaklaskał powoli, cicho.

– Przez wzgląd na Isiltir. – Zachichotał. – Isiltir cię nie potrzebuje. Ba, mój wuj cię nie potrzebuje. On tobą gardzi!

W sercu Kastella eksplodowała furia, twarz i szyję zalał rumieniec. Czuł, że jego pięści zaciskają się odruchowo. Odległy,

ledwie słyszalny głos w jego głowie szeptał, że Jael celowo z niego drwi, gdyż próbuje go sprowokować. Ogromnym wysiłkiem woli opanował gniew i zmusił się do rytmicznego oddychania. Udało mu się nawet uśmiechnąć, choć bardziej przypominało to grymas.

– Jesteś bezużytecznym, paskudnym, tępym idiotą, Kastellu – ciągnął Jael, uśmiechnięty teraz od ucha do ucha. – Dokładnie tak jak twój ojciec.

Kastell odruchowo zrobił krok naprzód, ale uświadomił sobie w porę, co się z nim dzieje i powstrzymał kolejny krok.

– Nie, Jaelu – warknął. – Nie jestem już dzieckiem, z którym można igrać jak z lalką. Pociągnij za ten sznurek, a zrobi to, pociągnij za tamten, a zrobi tamto. Zapomnij o tym.

Otarł pot z czoła. W oczach Jaela błysnął gniew, a wściekły grymas wykrzywił na moment jego usta, ale nagle uśmiech powrócił.

– Ach, rozumiem. Wiesz, gdy marionetka nie reaguje już na to, co się jej każe zrobić, trzeba ją wrzucić do ognia – rzekł i zrobił krok ku Kastellowi, a potem pochylił się ku niemu. – Żebyś nie miał wątpliwości – wysyczał. – To ja tu jestem mistrzem marionetek. I obiecuję ci, że któregoś dnia, już wkrótce, twe sznurki zostaną przecięte, a ty wylądujesz w ogniu. – Urwał i pociągnął nosem, a potem dodał: – Co więcej, obawiam się, że twoich bliskich strawi ten sam płomień.

– Co? Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Kastell.

Jael uśmiechnął się.

– Domyśl się, półgłówku. Przecież masz tylko jednego przyjaciela. Brak umiejętności oceny sytuacji może szybko doprowadzić cię do grobu, wiesz?

On mówi o Maquinie, uświadomił sobie Kastell.

Warknął głucho i nagle przeszedł do ataku. Złapał kuzyna, pchnął go, rzucił o kamienną ścianę. Ten stęknął głucho, ale Kastell już zacisnął dłonie na jego szyi. Słyszał jedynie ogłuszający ryk, a świat przed jego oczami się rozmył. Widział Jaela jak przez

mgłę. Widział, jak ten wytrzeszcza oczy i jak tłucze go pięściami, ale nic nie było w stanie go powstrzymać. Z oddali dobiegły jakieś krzyki, potem w jego plecach eksplodował ból, czyjeś dłonie zaczęły go odciągać. Jael zaczął się osuwać na ziemię, ale Kastell nie puszczał.

Jakiś głos przebił się przez czerwoną mgiełkę:

– ...puść go! Zabijesz go, idioto! Puść go albo sam zginiesz.

Ujrzał, jak jego dłonie rozchylają się powoli i wypuszczają Jaela, który osunął się na ziemię, krztusząc się, rżąc, z trudem nabierając tchu. Zewsząd zbiegli się ludzie, którzy zaczęli go podnosić.

Kastell cofnął się i znów poczuł ból. Odwrócił się i ujrzał Ulfilasa z nożem w ręku. Czubek ostrza był umazany krwią.

Co ja zrobiłem najlepszego?

Jael odepchnął swych przyjaciół i dźwignął się niepewnie na równe nogi.

– Ty... – wychrypiał, wskazując go palcem. – Ty... Już po tobie!

Kastell skrzywił się, odwrócił i ruszył chwiejnie przed siebie. Stronnicy Jaela z krzykiem przypadli do niego, ale zatrzymał ich sam Jael:

– Nie! – wychrypiał. – Puście go! Mój wuj się z nim policzy!

* * *

Kastell tłukł bez opamiętania w drzwi Maquina, próbując opanować narastającą panikę. Zajrzał już w każde z ulubionych miejsc przyjaciela, ale nigdzie go nie widział, aż w końcu postanowił sprawdzić jego komnatę, choć wiedział, że stary wojownik nie kładzie się tak wcześnie. Załomotał do drzwi jeszcze raz, kiedy w środku wreszcie rozległy się kroki. Zgrzytnęła klamka, a drzwi uchyliły się.

– Na zęby Asrotha, chłopcze, co się dzieje?

Kastell rzucił się na starego wojownika i wyściskał go ze

wszystkich sił. Ten aż stęknął, a chłopak puścił go, cofnął się o krok i wbił wzrok w podłogę.

– A więc nic... Nic ci nie jest.

– Nic, chłopcze – rzekł Maquin, nie wiedząc, czy ma się uśmiechnąć czy też może zmarszczyć czoło. – A coś miało mi się niby stać?

– Rozmawiałem z Jaelem.

– Aha. Dobrze. I jak poszło?

– Nie najlepiej – wymamrotał Kastell. Nabrał głęboko tchu, wyprostował się i spojrzał Maquinowi w oczy. – Jestem gotów wstąpić do Gadrai. Jeśli nadal chcesz ze mną pojechać, będę bardzo wdzięczny.

Maquin uśmiechnął się i klepnął Kastella w ramię.

– W porządku, chłopcze – oznajmił i spojrzał mu w oczy. – Wnoszę z tego, że nie pogodziłeś się z kuzynem, co?

– Nie – burknął Kastell.

– Nie pokładałam w tym wielkich nadziei. Cóż, przynajmniej spróbowałaś – rzekł Maquin i podrapał się po brodzie. – Kiedy ruszamy?

– Teraz.

– Co? Przecież mamy wiele spraw do załatwienia. A co z Romarem? Przede wszystkim musisz porozmawiać z wujem.

– Już to zrobiłem – odparł chłopak.

Wuj Romar wcale nie był uszczęśliwiony. Kastell czułby się o wiele lepiej, gdyby Romar eksplodował gniewem, ale zamiast tego król Isiltiru patrzył jedynie na niego, a na jego twarzy malowało się wyraźne rozczarowanie.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego chcesz wyjechać, skoro wiesz, że wiąże z tobą nadzieje?

Kastell wiedział, że Jael lada chwila załomocze do drzwi komnat królewskich, by opowiedzieć mu o tym, czego padł ofiarą, więc próbował wujowi wszystko wytłumaczyć. Jego wyjaśnienia były jednak chaotyczne i zagmatwane, przez co Romar ochłódł jeszcze

bardziej. W końcu sięgnął po pióro, napisał kilka słów na pergaminie i nałożył nań pieczęć woskową z odbiciem własnego pierścienia.

– Oddaj to Vandilowi, który jest teraz przywódcą Gadrai, albo Orgullowi, jego kapitanowi. Nikomu innemu. Jasne, chłopcze?

Kastell pokiwał głową. Romar objął go mocno, wyciskając mu powietrze z płuc, a potem otworzył przed nim drzwi na zewnątrz.

Maquin zmarszczył brwi.

– Nie mówisz mi wszystkiego.

– Fakt. Opowiem ci resztę podczas pakowania.

Rozdział czterdziesty pierwszy

CORBAN

Corban zadrżał i mocniej naciągnął płaszcz, czekając na Cywen. Uniósł głowę ku traktowi olbrzymów, gdy naraz z deszczu wyłonił się jeździec. Z jego ramion spływał przemoczony czerwony płaszcz.

Kolejny posłaniec z Narvonu, pomyślał chłopak.

Od chwili, gdy Edana opowiedziała im o planach jej ojca co do Braitha i Ciemnego Boru, a także o prorocctwie, na trakcie olbrzymów zaroilo się od posłańców. Upłynęło już wiele czasu – Księżyc Żniwiarza przeszedł w Księżyc Łowcy, a potem w Księżyc Kruka. Ostatni księżyc lata, kiedy obchodzili Samhuin, minął dziesięcionoc temu. Posłańcy Brenina wyruszyli w drogę niedługo po tym, jak Edana powiedziała im o powziętym przez niego zamiarze zaproszenia innych władców do kamiennego kręgu w Dniu Zimowego Przesilenia. Większość z nich już powróciła. Zdaniem Edany, wszyscy zaproszeni władcy przyjęli zaproszenie, nawet Eremon, król odległego Domhainu.

– Co słyszeć u Briny? – odezwała się radośnie Cywen, podchodząc do Corbana. – Wszystko dobrze?

– Tak – burknął chłopak.

Nienawidził deszczu. Nie miał nic przeciwko upałom, zimnej pogodzie, a nawet śniegowi, ale deszcz doprowadzał go do szału.

– Musimy to robić akurat dzisiaj? – stęknął głucho.

Cywen zmarszczyła brwi, ale nie zatrzymała się. Nachyliła się

pod barierką oddzielającą zagrodę.

– Jazdę konną trzeba ćwiczyć bez względu na pogodę, Ban – powiedziała. Sposobem mówienia irytująco przypominała Gara.

– Jasne – odparł. Nie zgadzał się z siostrą do końca, ale mimo to postanowił zrobić to, co chciała.

Burza podniosła się w ciszy i ruszyła za nim. Cywen stała na środku zagrody, czekając, aż do niej dołączy. Oparła dłoń na karku wilkuncy, wsuwając palce w jej futro. Nie musiała się już nachylać, by jej dosięgnąć. Burza rosła tak szybko, że właściwie nie zasługiwała już na miano szczeniaka – zdążyła przerosnąć Buddaia, a łbem sięgała Corbanowi do pępka. Po miękkim futerku nie było śladu. Jej sierść stała się szorstka, gęstsza, a na torsie widniały ciemne zygzaki, przypominające ślady pazurów na jasnym ciele.

– Łap – powiedziała Cywen, podając bratu uzdę. – Pamiętaj, nie śpiesz się. Jesteś pewien, że wiesz, co masz robić?

Corban zignorował jej słowa.

– Chodź, mały! – zawołał i cmoknął.

– A może już czas wymyślić mu jakieś imię? – spytała cicho Cywen, ale jej brat nie odpowiedział również na to pytanie.

Jego źrebak stał przy matce i chronił się przed deszczem pod gałęziami wielkiego dębu, który wyrastał w samym środku zagrody. Zarżał głośno i podbiegł do nich. Corban sięgnął pod połę płaszcz, wyciągnął kawałek jabłka i podał mu go. Chrupiąc przysmak, źrebak pochylił łeb i obwąchał pysk Burzy. Wilkunica stała nieruchomo, nie patrząc na konia.

Chłopak zachichotał. Kilka księżycy temu Burza miała w zwyczaju gonić wszystko, co się poruszało, nie wyłączając źrebaka. Młody koń z początku tolerował jej zachowanie, biorąc małego szczeniaka za kolejnego towarzysza zabaw, ale gdy Burza zaczęła łapać go zębami za pęciny, mocno oberwała kopytem. Od tego czasu udawała, że źrebak nie istnieje.

Chłopak powoli uniósł postronek. Źrebak obrzucił go nieufnym

spojrzeniem. Corban robił to wielokrotnie na terenie twierdzy, ale tym razem sytuacja przedstawiała się inaczej. Po raz pierwszy zakładał wierzchowcowi uzdę i zdawał sobie sprawę z tego, jakie to ważne. Delikatnie, ostrożnie, przełożył ją przez głowę źrebaka. Ten szarpnął ostro, kładąc uszy po sobie, ale Corban miał już najważniejszą część zadania za sobą. Źrebak zatańczył, wyprowadzony z równowagi nieznaną sobie liną, która podskakiwała mu z boku, po czym popędził galopem dookoła zagrody, podskakując i brykając.

– Nie martw się, Ban – powiedziała Cywen, podchodząc do niego.
– Dobra robota. Zaraz do ciebie wróci. Cierpliwości.

Podeszli do niewielkiej kępy jałowca, rosnącej niedaleko barierek. Naraz rozległ się okrzyk. Corban uniósł głowę i ujrzał trzech jeźdźców na trakcie olbrzymów. Zmrużył oczy i starł deszcz z twarzy, a wtedy jeździec na przedzie zerwał kaptur z głowy. Był to Vonn, syn Evnisa, który niespodziewanie zjechał z traktu po stromym nasypie i zbliżył się do zagrody. Towarzysze podążyli za nim.

Corban westchnął, czując niespodziewanie suchość w ustach. Vonn nigdy nie zrealizował groźby, którą wygłosił w chatce Briny i nigdy nie próbował odnaleźć chłopaka, by nauczyć go pokory. Najwidoczniej słowa Tulla na Jarzębinowej Łące zrobiły na nim odpowiednie wrażenie. Nikt nie chciał, by pierwszy miecz króla Brenina rozbił mu czaszkę. W rzeczy samej od tej chwili na Łące życie Corbana zaczęło się układać o wiele lepiej. Nawet Rafe ograniczał się tylko do wrogich spojrzeń i wyburczanych z rzadka kąśliwości. Tym razem jednak znajdowali się daleko od fortecy i wioski, a wokół nie było nikogo z dorosłych. Corban poczuł niepokój.

– O, przecież to chłopak od wilkunów! – zawołał Vonn z surową, nieporuszoną twarzą. Ściągnął wodze, zeskoczył z konia i przemknął pod barierką ograniczającą wybieg. Jego towarzysze uczynili to samo.

Corban aż jęknął, gdy ich rozpoznał. Helfach i Rafe. Co więcej, łowczy miał ze sobą ulubionego ogara o imieniu Braen, który człapał za nimi.

Trzech mężczyzn stanęło kilka kroków przed Corbanem i Cywen. Burza otarła się bokiem o nogę chłopaka.

– Cóż my tu mamy!?! – rzekł Vonn z zaciętą twarzą. – Od dawna mam nadzieję, że uda nam się wreszcie porozmawiać na osobności. – Rozejrzał się, jakby chciał podkreślić wagę tego, co właśnie powiedział. – Muszę być w łaskach Elyona – dodał.

Corban wpatrywał się w niego bez słowa.

– Czemu nic nie mówisz? Nie masz mi nic do powiedzenia po tym, jak wstałem z łóżka? W chatce uzdrowicielki byłeś o wiele bardziej wygadany.

– Czego chcesz? – odezwał się Corban. Cedził słowa powoli, by zamaskować drżenie głosu.

– Czego chcę? Dobre pytanie – rzekł Vonn. Na jego twarzy pojawił się ponury, pozbawiony wesołości uśmiech. – Przede wszystkim chciałem przypomnieć ci to, co zostało powiedziane w chacie Briny.

– Pamiętam to dobrze – rzekł Corban.

– Nie sądzisz chyba, że rzuciłem te słowa od niechcienia bądź bredziłem pod wpływem gorączki, co? Chcę spełnić obietnicę, którą ci złożyłem, nawet jeśli będę musiał poczekać do twojej Długiej Nocy, kiedy to wreszcie będziemy mogli porozmawiać inaczej, jak wojownik z wojownikiem.

– Miałem nadzieję, że jednak bredzisz pod wpływem choroby. – Corban westchnął. – Z ulgą zepchnąłbym twoje słowa w niepamięć.

Vonn zaśmiał się bez wesołości.

– Tak, pewnie tak. Ja jednakże nie mam zamiaru o nich zapomnieć. – Pochylił się i pomasaował kolano. – Noga dalej mnie boli, zwłaszcza podczas deszczu. Przez ciebie.

– To nie przeze mnie koń się na ciebie przewrócił – rzekł Corban.

– Ja pamiętam to inaczej.

Chłopak uniósł rękę.

– Sprzeczką nic nam nie da. Poprosiłem o królewską sprawiedliwość w sprawie mego wilkuna, a królowa ogłosiła wyrok. Bez względu na to, czy się z nim zgadzasz czy nie, nic na to nie poradzisz. Myślę, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli po prostu o tym zapomnimy.

– Lepiej dla wszystkich – parsknął Helfach. – Lepiej dla ciebie, chciałeś powiedzieć.

Corban nabrał tchu, próbując okiełznać emocje. Splótł palce, by powstrzymać ich drżenie.

– Spójrzcie tylko na niego – ciągnął Helfach, krzywiąc się z pogardą. – Jest przerażony. Nie ma już za plecami Tulla ani tego obcego. Syn wspominał mi, że nie lada tchórz z ciebie. – Obrzucił Corbana pogardliwym spojrzeniem. – Zgodzisz się z tym, chłopcze, co?

– Myślę, że młody nie musi się niczego bać – dodał Rafe. – Ma przecież ze sobą siostrę, która już nieraz biła się z innymi za niego.

– Zamknij pysk! – warknęła Cywen.

To tylko rozbawiło Rafe'a.

– Cicho, Cy – rzekł Corban, ignorując Rafe'a. Czuł, jak budzi się w nim gniew, który przeradza się w coś lodowatego. Spojrzał na Helfacha wyzywająco. – Pomiñałeś jedną osobę, która jest gotowa mnie chronić – rzekł, patrząc mu w oczy. – Mojego ojca. Ciekawe dlaczego.

Helfach zamrugał i odwrócił na moment spojrzenie, bez wątpienia wspominając ów dzień, kiedy Thannon sprzął go do nieprzytomności na dziedzińcu Evnisa.

Jego ogar, przysadzista bestia o szerokiej klatce piersiowej, zawarczała głucho, wyczuwając zmianę nastroju pana. Burza obnażyła kły. W jej piersi narastał głuchy, dudniący warkot. Corban położył dłoń na karku wilkuny i poczuł, jak jej sierść staje dęba. Cmoknął i warczenie ustało w jednej chwili.

Naraz przysły mu do głowy słowa Alony: „Jeśli dojdzie do choć

jednego incydentu, w którym mój poddany zostanie skrzywdzony przez tę istotę, zostanie ona zgładzona. Natychmiast, bez szans na ułaskawienie”.

Przełknął ślinę, czując przypływ strachu.

– Cy – powiedział. – Zabierz stąd Burzę.

– Co? Nie! Niby dlaczego?

– Proszę, zrób, co ci mówię.

Siostra wpatrywała się w niego z zaskoczeniem, ale skinęła głową i odeszła, wołając wilkunicę. Ta nawet nie drgnęła. Nadal trwała nieruchomo u boku chłopaka z napiętymi mięśniami.

– Ruszaj! – Corban strzelił palcami i wskazał Cywen.

Burza odwróciła się niechętnie, ale ruszyła za dziewczyną.

– Dlaczego to zrobiłeś? – Vonn zmarszczył brwi.

Corban nie odpowiedział. Patrzył nadal za siostrą oraz Burzą, aż te dotarły do dębu, przy którym stała matka żrebaka.

– Odpowiadaj lepszym od siebie! – burknął Helfach.

Nastawienie Corbana niespodziewanie uległo zmianie. Odwrócił się ku trójce mężczyzn.

– Twierdzisz, że zachowuję się inaczej, tak? Bo jestem daleko od ludzi, którzy mogą mnie ochronić? A co z tobą? Ty też zachowujesz się inaczej. Tak, jesteś odważniejszy. Pytanie brzmi dlaczego? Wszyscy trzej nagle jesteście strasznie odważni. Czy mielibyście nadal tyle odwagi, gdyby był tu mój ojciec? Albo Tull? Co? – parsknął głośno. – I mnie nazywacie tchórzem!

– Ja chciałem ci powiedzieć tylko to, że któregoś dnia, gdy osiągniesz odpowiedni wiek, policzymy się za to wszystko! – rzucił Vonn. Był wściekły, ale w jego oczach błysnęło coś jeszcze. Czyżby wstyd?

Helfach jednakże spurpurowiał. Wybałuszył oczy, a na jego szyi uwydatniła się pulsująca żyła.

– Jak śmiesz? – warknął. – Może i nie wolno nam cię tknąć, smarkaczu, ale nie sądzę, by te same zakazy dotyczyły zdziczałych ogarów! Braen!

Pies warknął i obnażył kły.

– Helfach, co ty... – zaczął Vonn, ale było już za późno.

Pies zerwał się do ataku. Corban wydał z siebie stłumiony okrzyk i odwrócił się, próbując uciekać, ale ogar skoczył mu na plecy, kłapiąc szczękami. Chłopak przewrócił się i padł na ziemię. Warczący wściekle ogar szamotał się, zaplątany w płaszcz.

– Nie! – krzyknął ktoś. Czyżby to był Vonn?

Pies miotał się i rozdzierał mu płaszcz. Cywen krzyczała jego imię. Corban przetoczył się po trawie i potykając się, rzucił się do niezdarnego biegu. Kątem oka zauważył, że siostra biegnie już ku niemu, a Burza gna obok niej. Sekundę później ogar znów wpadł na niego, przewrócił go na plecy i przygniótł do ziemi. Corban wbił palce w grube, twarde mięśnie w gardle zwierzęcia i próbował je zrzucić, lecz pies bez trudu pokonał jego opór i wpił kły w jego ramię. Chłopak wrzasnął przeraźliwie, wyrwał się, krople krwi padły mu na twarz. Wtedy ogar rzucił mu się do gardła. Rozchylił paszczę i kłapnął kłami tuż przed jego skórą. Owionął go gorący, cuchnący oddech zwierzęcia, ciężkie łapy przygwaźdzały go do ziemi.

Niespodziewanie świat wypełnił głuchy łomot, który zagłuszył wściekle powarkiwanie psa. Corban usłyszał dzikie rzenie i poczuł impet straszliwego, kruszącego kości łoskotu. Rozległ się przeraźliwy pisk i ogar znikł.

Wokół dudniły kopyta. Świat przesłonił źrebak, który stawał dęba i wymachiwał przednimi nogami w powietrzu. Rozległo się obrzydliwe chrupnięcie i kopyta znów uderzyły o ziemię. Źrebak stał nad Corbanem i oddychał szybko. Z rozchylonych nozdrzy buchały wielkie kłęby gorącego powietrza. Potem do chłopaka przypadła Burza, by trącać go nosem i lizać, ani na moment nie spuszczać wzroku z napastników. Stała obok źrebaka, dokładnie między nim a Vonnem i resztą, gotowa do skoku, warcząc i obnażając kły.

Corban przetoczył się. Poczuł otaczające go ramię Cywen, która

pomogła mu wstać. Rana pulsowała bólem, a krew ciekła z niej z każdym uderzeniem mocno bijącego serca. Rozcieńczona kroplami deszczu, spływała po jego rękawie.

Vonn chciał podejść, ale Burza warknęła i kłapnęła szczękami. Syn Evnisa zatrzymał się.

Helfach klęczał w trawie i trzymał głowę psa na kolanach. Za nim stał wstrząśnięty Rafe.

– Ty... ty go zabiłeś! – wykrztusił łowczy. Po jego policzkach spływały łzy.

– Nie, to ty go zabiłeś, Helfachu – odezwał się Vonn. – Chodź. Pomogę ci go nieść.

Otoczył plecy mężczyzny ramieniem i spojrzał na Corbana.

– Przykro mi – powiedział niepewnie. – Czy nic ci... Wiesz, twoje ramię... Chyba musisz iść do Briny.

Oszołomiony Corban pokiwał głową. Odprowadził spojrzeniem Vonna i jego ludzi, którzy wynieśli ciało psa za ogrodzenie.

– Ban, twoja ręka! – zawołała Cywen, tuląc go do siebie. Odsunęła się, by oderwać rąbek sukni, po czym przewiązała go pod jego ramieniem.

– Co się właściwie stało? – wymamrotał Corban, któremu kręciło się w głowie i zbierało na wymioty.

– Ruszyliśmy biegiem, gdy ten pies na ciebie skoczył, ale byliśmy daleko i nawet Burza nie była tak szybka. Ban, on cię prawie zabił! On mógł cię rozszarpać na kawałki...

– Co się stało? – powtórzył Corban mocniejszym głosem.

– Twój źrebak, Ban! Wyskoczył znikąd, przemknął obok nas i rzucił się na ogara! On go zabił! Zabił go w twojej obronie! – Cywen odetchnęła i pokręciła głową. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Słyszałam opowieści o dorosłych koniach, które bronią swych jeźdźców, o potężnych rumakach bojowych, ale żeby źrebak? Nie, w głowie mi się to nie mieści!

Corban pokiwał głową i ruszył przed siebie niepewnym krokiem. Burza musnęła jego dłoń. Chłopak podszedł do źrebaka, objął

zdrowym ramieniem jego kark i oparł o niego czoło.
– Nazwę cię Tarcza – szepnął.

Rozdział czterdziesty drugi

VERADIS

Veradis uśmiechnął się, gdy wjechał na szczyt łagodnego wzniesienia i ujrzał w oddali Jerolin, rozlewające się na równinie. Główna wieża, zbudowana z czarnego kamienia, mierzyła ku niebu niczym wypalony, oskarżycielski palec. Wzdłuż brzegów jeziora, ciągnącego się nieopodal fortecy, uwijali się ludzie, którzy wyładowywali złowione ryby z łodzi. Niebo było czyste, ale błękit ciemniał w miarę, jak zbliżał się wieczór.

Młodzieniec rzucił okiem za siebie i ujrzał szeregi wojowników, ciągnące się po zboczu i równinie. Wciągnął w płuca chłodne, czyste powietrze.

– Dobrze wrócić do domu, co? – powiedział do Nathaira i Rauki, którzy jechali obok niego. Rauca nadal dzierżył w dłoniach odzianych w skórzane rękawice orli sztandar księcia, który łopotał nad nimi na wietrze.

– Dobrze jest wrócić – powtórzył Nathair i rozsiadł się wygodniej w siodle.

– Otóż to – rzekł Rauca i uśmiechnął się szeroko.

Księżę bez słowa kopnął wierzchowca piętami i pognał w dół zbocza. Veradis i Rauca popędzili za nim, a drużyna wylała się zza wzgórza w ślad za nimi.

Podróż powrotna przebiegła bez szczególnych przygód. Wstrząs wywołany odnalezieniem miasta Telassar, manifestacją Calidusa

i przysięgą na wierność, złożoną im przez wojowników Jehar już dawno minął, a wspomnienia zaczynały się zacierać. Po tym, co przeżyli w Ukrytej Dolinie, nic już nie wydawało się takie samo. Wszystkie elementy zaczynały do siebie pasować, a manifestacja Calidusa przypieczętowała ów proces, choć on sam powrócił do postaci zgarbionego starca, a po opuszczeniu komnat Sumura poprosił ich, by zachowali wszystko w tajemnicy.

Veradis wiedział teraz ponad wszelką wątpliwość, że Nathair jest wybrańcem Elyona i że jedzie u boku człowieka, który odmieni cały świat. Sama myśl o tym napełniała jego serce dumą. Wracali do domu z obietnicą Sumura, wciąż dźwięcząca im w uszach. Pan na Telassar obiecał im bowiem, że zbierze całą siłę Jehar, przygotuje ich do wojny i ruszy pod Jerolin.

Dziesięcionoc po wyjeździe z Telassar Veradis i Nathair dołączyli do swej drużyny, która obozowała na brzegu zatoki. Czekał tam również Lykos wraz ze swą flotą, by zabrać ich z powrotem do Tenebrału. Rejs do domu upłynął szybko, choć pogoda pogorszyła się i chorujący wojownicy znów obsiedli burty okrętów. Veradis chodził wśród nich, dziękując Elyonowi za to, że sam wychował się na wybrzeżu, i besztając swoich pogromców olbrzymów za to, że po zwycięskiej bitwie z jeźdźcami draigów dali się pokonać zwykłej niepogodzie.

Alcyon opuścił ich, zanim weszli na okręty Lykosa. Pożegnał się ukłonem z Nathairem, a Veradisa pozdrowił, machając dłonią. Niedługo później Veradis uświadomił sobie ze zdumieniem, że niemalże brakuje mu towarzystwa olbrzyma. Parsknął pod nosem i zaśmiał się cicho.

Lykos wprowadził okręty do tej samej cichej zatoczki, gdzie rozpoczęła się ich morska podróż. Drużyna dosiadła koni i gnała naprzód przez kolejną dziesięcionoc. W sercach jeźdźców wzbierało podniecenie, które przekładało się na energię, z jaką popędzali wierzchowce. Teraz, niemalże na progu domu, Nathair kazał zadać w rogi. Z murów Jerolin nadbiegła odpowiedź, a po chwili wjechali

na zatłoczony dziedziniec twierdzy. Veradis odruchowo wyprostował się w siodle, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Tak, to ci dopiero powrót, pomyślał.

Valyn czekał na nich przy stajniach wraz z gromadą parobków, których zadaniem było pomóc wojownikom zająć się wierzchowcami. Uśmiechnął się do Veradisa i uścisnął go ze wszystkich sił.

– Cieszę się, że wróciłeś, chłopcze, i to w jednym kawałku! – rzekł i cofnął się o krok. – Założę się, że masz nie lada historie do opowiedzenia.

Veradis pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało mu towarzystwa stajennego.

– Dobrze, dość już tego – rzekł Valyn. – Mam pilne obowiązki na głowie. Pogadamy później, tak?

– Jasne – odparł Veradis. – Do zobaczenia!

Zabrał się za zdejmowanie siodła i uprzęży z grzbietu swego rumaka, gdy niespodziewanie na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś mocna dłoń.

– Chodź – rzekł do niego Nathair. – Nie mogę się doczekać spotkania z ojcem, a chcę, byś wówczas stał u mego boku.

Veradis zawołał więc parobka, by ten zajął się jego koniem, i ruszył w ślad za księciem. Ich kroki rozbrzmiewały echem, gdy szli przez pustą salę biesiadną, aż po przeciwnej ścianie otworzyły się drzwi, z których wypadł król Aquilus. Za nim podążała pośpiesznie, niemalże biegnąc, królowa Fidele.

Król dostrzegł syna, w kilku krokach pokonał dzielący ich dystans i zmiądzzył młodzieńca w uścisku. Fidele objęła ich obu. Rozpromieniona, głaskała Nathaira po twarzy i włosach, a na jej policzkach błyszczały łzy. Veradis odwrócił głowę, gdyż nagle poczuł się jak intruz. Przypomniał mu się jego własny ojciec i poczuł ukłucie w sercu. Czyżby zazdrości? Niejasne uczucie wnet

przerodziło się we wstyd podsycony gniewem. Wbił wzrok w kamienną podłogę.

W końcu rodzice wypuścili młodego księcia. Nathair rumienił się lekko, a na jego ustach błąkał się nieśmiały uśmiech.

– Wróciłem – oznajmił.

– Widzimy! – Aquilus roześmiał się. – Chodź! Masz nam na pewno mnóstwo do opowiedzenia!

Nathair pokiwał głową, wciąż uśmiechnięty, i chwilę później wszyscy zasiedli w komnacie w wieży z tacą jedzenia oraz dzbanem wina.

– Rahim przesyła pozdrowienia – rzekł Nathair. – Oraz podziękowania.

– Cóż, nie mam co do tego wątpliwości – odparł Aquilus, wpatrując się w syna z dumą. – Ilu wojowników znajdowało się w hufcu olbrzymów? – zapytał, nie po raz pierwszy.

– Osiem dziesiątek – odparł Veradis z ustami pełnymi słonego sera.

– I dosiadali tych draigów?

– Tak – rzekł Nathair. – Veradis wciągnął ich na zbocze wzgórza i wytrzymał impet ich natarcia. Szkoda, że go nie widziałeś, ojciec – dodał księżę, ściskając ramię przybocznego. – Parokrotnie zasłużył sobie na swój tytuł.

Pełne aprobaty spojrzenia króla Aquilusa i królowej Fidele sprawiły, że Veradis poczerwieniał.

– Ja zaś przypuściłem atak od tyłu – ciągnął Nathair. – Veradis był kowadłem, a ja młotem. – Walnął przy tych słowach pięścią o stół, aż kubek z winem podskoczył.

Aquilus pokręcił głową.

– Synu, gdybym wiedział, ile ich będzie... Gdybym wiedział, że będą dosiadać draigów, nigdy bym cię tam nie posłał!

– Nie, na pewno byś tego nie zrobił – powiedziała Fidele i spojrzała krzywo na męża.

– Przerosłeś oczekiwania, które w tobie pokładaliśmy – ciągnął

Aquilus. – Zależało nam na tym, byście otrzaskali się w boju i naostrzyli sobie zęby, i jestem pewien, że się udało.

– Och, właśnie przypomniałeś mi o czymś, ojcie – rzekł Nathair i wyjął coś z sakiewki. Rozchylił dłoń i pokazał wszystkim długi, zakrzywiony kiel. – Oto ząb draiga. To pamiątka, ojcie, pierwszej kampanii, w której powierzyłeś mi dowództwo.

Veradis podświadomie opuścił dłoń na biodro i wymacał rękojeść miecza, w której osadził podobny ząb, otrzymany od Nathaira. Książę wręczył je wszystkim swoim wojownikom tego wieczoru, gdy weszli na pokłady okrętów Lykosa i odpłynęli z Tarbeshu. W jakiś sposób ów dar związał ich jeszcze mocniej z Nathairem – o ile to było w ogóle możliwe – i napełnił ich dumą z własnej waleczności. Książę wykorzystał okazję i kazał im poprzysiąc, że nie zdradzą nikomu, iż przepłynęli do Tarbeshu na okrętach Vin Thalun.

Aquilus wziął kiel i obejrzał go.

– Dziękuję – szepnął.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść! – zawołała Fidele.

Do komnaty wkroczył Peritus, obdarzając wszystkich uśmiechem. Aquilus wskazał mu krzesło, a wojewoda usiadł. Veradis skinął mu na powitanie, ale jego uśmiech był nieco chłodniejszy. Dobrze pamiętał wątpliwości, jakimi podzielił się Peritus po obejrzeniu szkolenia drużyny księcia. W geście powitalnym Nathaira było jeszcze więcej dystansu.

Król opowiedział wojewodzie o przebiegu kampanii, a ten kiwał głową i pomrukiwał do siebie.

– A więc, jak widzisz – zakończył władca – twe obawy były bezpodstawne.

– Tak. I cieszę się z tego – rzekł Peritus. – Obawiałem się jedynie o wasze bezpieczeństwo – zwrócił się do księcia.

Ten parsknął.

– Czy bitwa kiedykolwiek bywa bezpieczna?

– Prawda. Nikt z nas nie wie, co się nam przytrafi podczas

zbrojnego starcia, ale są kroki, które należy przedsięwziąć. Mamy po swej stronie dary Elyona, takie jak intelekt czy możliwość wyboru. Niemniej okazało się, że się myliłem, i czuję ulgę z tego powodu.

– Nie przejmuj się – mruknął Nathair. – Jeszcze nie przyszedł na świat taki, kto nigdy się nie myli.

W komnacie buchnęły śmiechy.

– Zaskoczyła mnie jedynie prędkość, z jaką się przemieszczaliście. Nie oczekiwałem waszego powrotu przed początkiem kolejnego księżyca – rzekł król.

– Śpieszyło mi się do domu – rzekł Nathair. – Poganiałem ludzi bez litości, być może bardziej, niż powinienem, ale nie wyglądają na niezadowolonych. – Wstał i stęknął, przeciągając się. – Mam wielką ochotę na gorącą kąpiel – oznajmił. – Muszę zedrzeć z siebie warstwę brudu.

– Oczywiście – rzekł Aquilus.

– Chodź, Veradisie – powiedział ksiązę i odwrócił się ku drzwiom.

Przyboczny ruszył w ślad za nim.

– Nathairze! – zawołał za nimi król.

Ksiązę zatrzymał się i odwrócił głowę.

– Przepęlnia mnie duma z ciebie.

Nathair zamknął oczy, rozkoszując się pochwałą.

– Dziękuję ci, ojczy – odparł i wyszedł.

* * *

Veradis pośpiesznie opuścił dziedziniec treningowy, otulając się ciasniej płaszczem. Bruk spowijała cienka warstewka śniegu, który skrzypiał pod butami. Był nadal spocony, serce biło mu mocno, a dawno zapomniane bóle i dolegliwości właśnie dawały o sobie znać. Nabrał głęboko tchu, powoli odprężając się po wytężonym

wysiłku na dziedzińcu, i dotknął dłonią spuchniętego policzka.

Wszedł do głównej wieży i zatrzasnął za sobą drzwi. Uderzyło w niego gorące powietrze sali biesiadnej, przesycone zapachem pieczystego, pikantnych sosów, wina oraz potu. Ostatnio zawsze było tu tłoczno, gdyż do twierdzy wciąż napływali ludzie na Dzień Zimowego Przesilenia. Kiedy upłynął cały ten czas? Z Tarbeshu wrócili trzy księżycy temu, a już za sześć nocy wypadał Dzień Zimowego Przesilenia, po którym można się było wszystkiego spodziewać.

Szybko napełnił swój talerz i znalazł miejsce, by usiąść plecami do wejścia i samotnie spożyć posiłek.

Do sali napływali coraz to nowi ludzie i robiło się głośniejsze. Veradis usłyszał za sobą kroki, a potem poczuł klapnięcie w plecy. Rauca usiadł naprzeciwko niego.

– Na dziedzińcu nadal czeka tłum ludzi, którzy są gotowi odmrozić sobie jajca, by móc ci pogratulować – rzekł.

– Ha – burknął Veradis.

– Czemu się wymknąłeś?

– Bo było mi zimno, chciało mi się jeść i nie widziałem powodu, by zostać dłużej.

– Nie widziałeś powodu. – Rauca pochylił się ku niemu. – Właśnie pokonałeś Armatusa, człowieka. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie lepszego powodu, by tam zostać. Armatus jest zbrojmistrzem, odkąd ukończyłem dwanaście lat, a sławą niepokonanego wojownika cieszył się na długo przedtem.

Veradis wzruszył ramionami.

– Ma już najlepsze lata za sobą, a przez to zimno człowiek tylko sztywnieje i porusza się wolniej, zwłaszcza starszy.

– Może i Armatus ma swoje lata – Rauca potrząsnął głową – ale w całym Tenebralu nie ma ani jednego człowieka, który byłby w stanie przytknąć mu ostrze do gardła. Ty zaś, zamiast świętować swe zwycięstwo, zaszyłeś się tu w kącie i wyglądasz, jakbyś miał zamiar rozpłakać się w talerz.

– Zgadza się – westchnął Veradis.

Wiedział, że Rauca ma rację, ale we współzawodnictwie z Armatusem wyczuwał coś niedobrego. Od powrotu do Jerolin narastało niewypowiedziane napięcie między księciem i wojewodą królewskim, co przeniosło się na ich hufce. Armatus od dziecka przyjaźnił się z Peritusem i kilkakrotnie wypowiedział się mało przychylnie o nowych metodach treningowych Nathaira, a księżę doprowadził dziś do pojedynku między Armatusem i Veradisem. Nie ogłoszono tego oficjalnie, ale w jakiś przedziwny sposób dowiedzieli się o tym wszyscy wojownicy w promieniu pięciu mil od fortecy.

Veradis był gotów zrobić wszystko dla Nathaira. Mógłby oddać własne życie w jego obronie, ale takie postępowanie nie przypadło mu do gustu. Miał wrażenie, że księżę nim manipuluje. Ponadto lubił Armatusa i pokonanie go nie sprawiło mu żadnej przyjemności.

Uniósł rękę i dotknął policzka, wciąż opuchniętego po celnym ciosie zbrojmistrza.

– Nie wiem, kto komu bardziej włomotał. – Skrzywił się.

– Coś ty? Co ty wygadujesz? – Rauca pokręcił głową. – Nie wydaje mi się, byś oberwał bardziej od niego. – Mrugnął do przyjaciela. – Czuję natomiast, że będziesz miał sporo roboty, by obronić swą reputację. Każdy wojownik, który uważa, że wie, jak trzymać miecz, będzie teraz chciał rzucić ci wyzwanie, by samemu okryć się sławą.

Veradis burknął coś pod nosem. Ta myśl spodobała mu się jeszcze mniej.

Nieopodal drzwi uderzyły o ścianę. Uniósł głowę i ujrzał króla Aquilusa, idącego przez salę. Miał surową minę, ale wydawał się znużony. Pod jego oczami rozlewały się ciemne plamy, a zmarszczki na twarzy rysowały się mocniej niż zwykle.

– Tyle zależy od Dnia Zimowego Przesilenia – mruknął Rauca, śledząc kroczącego przez salę monarchę.

– Czy są jakieś wieści od Mandrosa? – spytał Veradis.

Wiedział, że król Carnutanu został ponownie zaproszony do Tenebralu, by wraz z Aquilusem być świadkiem prorocstwa Meicala. Rauca jednakże wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Uwierzę w to, że przyjechał, dopiero gdy go zobaczę na własne oczy.

Veradis pokiwał głową. Nie był przekonany, czy chce, by Mandros przebywał tego dnia w tym samym miejscu co Nathair. A jeśli w istocie okaże się sługą Asrotha?

– Jeśli tu przybędzie, z pewnością otoczy się potężną eskortą – rzekł Rauca. – Choć nie sądzę, by to akurat stanowiło dla ciebie problem.

– Odbiło ci bez reszty? – Veradis pokręcił głową. – Nie jestem jednym z Ben-Elim!

Rauca zakołysał się na krześle i parsknął śmiechem.

– Mam wrażenie, przyjacielu, iż masz o sobie niskie mniemanie. Fakt, że może nie jesteś tak przystojny jak ja – Veradis parsknął przy tych słowach – a ów złamany nos urody ci nie przysporzył, ale... – Rauca pochylił się do przodu i złapał młodzieńca za nadgarstek. – Ale w chwili, gdy sięgasz po miecz, nawet taki drewniany, zachodzi w tobie przemiana. Nagle stajesz się straszliwy. – Na jego twarzy malowała się powaga, jego spojrzenie było intensywne. – Gdybym musiał wybrać człowieka, z którym miałbym iść do bitwy, mój wybór bez wahania padłby na ciebie.

Veradis odwrócił wzrok.

– Na zęby Asrotha, człowieku. Nie wystraszyłeś się szarży wściekłych draigów! Ja nacierałem na nie od tyłu i dźgałem włócznią, a mimo to mało się nie zmoczyłem.

– Mnie samego również sparaliżował strach. – Veradis uśmiechnął się lekko. – Ale byłem tylko jednym wojownikiem wśród czterech setek. Każdy z nas dał z siebie wszystko.

– Dobra, dobra. – Rauca rozparł się na ławie i pokręcił głową. – Zaiste, rzadko się spotyka takich ludzi jak ty, Veradisie ben

Lamar. Gdybym był tobą, wskoczyłbym na ten oto stół, chwalił swe męstwo przed każdym, kto chciałby słuchać, i napawał się uwagą!

– To w takim razie dobrze, że nie jesteś mną. – Veradis uśmiechał się coraz szerzej.

– Ech, pewnie masz rację. – Rauca wgryzł się w jagnięce udo i oderwał zębami kawałek mięsa. Strużka sosu wniknęła mu w brodę. – A gdzie wolałbyś się wybrać? – zapytał z pełnymi ustami.

– O co ci chodzi?

– No wiesz, na wiosnę. Wolałbyś walczyć z olbrzymami w lesie Forn czy z banitami... Zaraz, gdzie to było?

– W Ardanie.

– Ach, tak. W Ardanie. No? Gdzie wolisz pojechać?

– Udam się tam, gdzie każe mi Nathair. – Veradis wzruszył ramionami.

– To akurat wiem! – parsknął Rauca. – Pytam o to, co byś wolał. Forn wydaje się o wiele bardziej ryzykowną kampanią, no nie? Więcej olbrzymów. Trudniej walczyć z olbrzymami, niż wykurzać banitów z dziupli. – Siorbiąc, pociągnął łyk wina. – Ale walka z olbrzymami przynosi zapewne więcej chwały – dodał.

– Pewnie tak. Osobiście nie miałbym nic przeciwko wyprawie do Fornu. Wychowałem się niedaleko skraju puszczy Sarva, a przecież każdy las wygląda mniej więcej tak samo. Podczas rady zawarłem też przyjaźń z wojownikami z Isiltiru. Dobrze byłoby ujrzeć ich ponownie. A ty?

Rauca wzruszył ramionami.

– Pamiętasz tego starszego mężczyznę, który udzielił mi lekcji na dziedzińcu ćwiczebnym?

– Jasne. Jak mógłbym zapomnieć?

– On pochodzi z Ardanu, a ma na imię Tull. Chciałbym wyrównać z nim porachunki.

– Jesteś pewien, że dałbyś sobie radę?

Rauca parsknął śmiechem.

– Nie ma sobie co takimi sprawami głowy zaprzętać – oznajmił Veradis. – Jesteśmy wojownikami i jedziemy tam, gdzie nam każą.

– Zgadza się. – Rauca wstał i otarł sobie usta rękawem. – A skoro już mowa o wojownikach, niektórym trzeba wbić trochę rozumu do głowy. Chodź, książęca drużyna jest gotowa na trening!

Veradis pokiwał głową i wstał. Nogi krzesła zaszurały po kamiennej podłodze. Obaj przyjaciele wyszli z sali biesiadnej na miękkie, cicho padający śnieg.

* * *

– Wspaniale sobie dziś poradziłeś – rzekł Nathair i rozparł się na krześle. Blask pochodni odbijał się od ciemnego, wypolerowanego drewna dębu.

– Cóż... – bąknął Veradis, nie patrząc księciu w oczy. – Dziękuję.

Rozejrzał się dookoła. Znajdowali się w komnacie Nathaira – wielkim, kamiennym pomieszczeniu w wieży twierdzy Jerolin, którego otwarte okna wychodziły na jezioro i równinę. Zapadła już noc i nad pokrytym śniegiem terenem unosiła się słaba poświata światła wsi. Na ścianach komnaty, od sufitu po podłogę, wisiały gobeliny. Jedynymi meblami było pięknie zdobione łóżko, dwa krzesła, na których siedzieli, oraz stolik z misą orzechów i dzbankiem grzanego wina.

– Nie podobało mi się, jak Peritus obrażał mą drużynę. Zasłużyliśmy sobie na jego szacunek, prawda? – Książę dotknął kła draiga, który wisiał na skórzanym rzemyku na jego szyi.

– Tak, zasłużyliśmy – odparł Veradis.

– Nie wypadło, bym osobiście stawił czoła Armatusowi czy któremukolwiek z popleczników Peritusa, ale coś należało zrobić. Trzeba było pokazać, że nie będziemy tolerować potwarzy, a ty wspaniale sobie z tym poradziłeś.

Książę nabrał garść orzechów z misy. W komnacie zapadła cisza.

Nathair spoglądał przez okno, krusząc jeden orzech za drugim i wyjadając ich zawartość.

– Po Dniu Zimowego Przesilenia wiele się zmieni – powiedział w końcu. – Gdy proroctwo się wypełni, wydarzenia nabiorą tempa i zapadną nowe decyzje. A dzieli nas od tego zaledwie kilka nocy...

– Czy są jakieś wieści od Mandrosa? – spytał Veradis.

– Nie. – Nathair skrzywił się szyderczo. – Może przybędzie, może nie. Jest mi to, szczerze powiedziawszy, obojętne. Nie mam pojęcia, dlaczego ojciec tak usilnie szuka jego aprobaty.

– Martwi mnie to, co powiedział o nim Calidus – rzekł Veradis. – A jeśli on naprawdę służy Asrothowi? Jeśli okaże się Czarnym Słońcem?

– W takim razie może byłoby lepiej, gdyby skorzystał z zaproszenia. Jak brzmiało to przysłowie? Trzymaj przyjaciół blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej? – Księżę wzruszył ramionami. W jego oczach błysnęła troska. – Często myślę o naszej wizycie w Telassar i o zachowaniu Mandrosa.

– Ja też. – Veradis pokiwał głową.

– Mieszkańcy Jehar twierdzą, że przybył do nich ktoś inny, kto niby rozszyfrował przepowiednię. Pamiętasz?

– Tak. Mówili o swoich braciach, którzy zostali uwiedzeni przez tego kogoś i opuścili Telassar. Szukali Jasnej Gwiazdy, jak sądzę. Ciebie.

– Cóż, w takim razie mnie nie znaleźli – rzekł Nathair z uśmiechem. – Ale martwi mnie to. Nie podoba mi się fakt, że gdzieś na Ziemiach Wagnanych kryją się tak znakomici wojownicy, którzy służą komuś innemu. – Westchnął ciężko i dodał: – Musimy ich znaleźć.

– Musimy porozmawiać z Calidusem – stwierdził Veradis.

– Tak. Ale tu go nie ma, a mój ojciec wciąż nie wyzbył się swoich uprzedzeń wobec Vin Thalun, więc sprowadzenie Calidusa tutaj, w tej chwili, nie byłoby najlepszym pomysłem.

– Nathairze, a może powinieneś porozmawiać ze swoim ojcem

o tym wszystkim?

Książę pokręcił zdecydowanie głową.

– Dlaczego nie? Na pewno byłoby ci łatwiej. Przecież twój ojciec czeka właśnie na ciebie, choć jeszcze o tym nie wie! Zdradź mu prawdę!

– Nie. – Nathair nabrał głęboko tchu. Miał napięte mięśnie. – Opowiadałem ci raz o tym, jak się żyje w czyimś cieniu. Pamiętasz?

– Tak. W trakcie podróży, podczas której poznaliśmy Calidusa.

– Otóż to. Owym cieniem było i nadal jest wyobrażenie Jasnej Gwiazdy, jakie stworzył sobie mój ojciec, wizja owej legendarnej, baśniowej postaci, na przybycie której przygotowuje się całe życie – rzekł i uśmiechnął się gorzko. – Dostrzegasz w tym ironię? Ojciec nie ma pojęcia, że tym kimś jestem ja.

– Opowiedz mu o wszystkim! – Veradis nie poddawał się.

– Nie. Nie mogę. Ojciec wbił sobie do głowy, że będzie to ktoś obcy, kto przybędzie do nas. Wierzy w to od wielu lat i nie potraktuje moich słów poważnie. Nasze stosunki dobrze się układają. Ba, rzekłbym, że nigdy nie było lepiej. Zawsze chciałem, by patrzył na mnie tak, jak czyni to teraz. – Urwał na moment. – Nie, nie chcę tego stracić. Nie chcę ryzykować. Jeszcze nie.

Veradisowi nagle przypomniał się jego własny ojciec. Uświadomił sobie, że doskonale przyjaciela rozumie. Kiedyś wszak czuł to samo, ale to minęło. Uczucia, jakie żywił do ojca, złożone i wyprane z entuzjazmu, były ukryte głęboko w jego sercu.

– Ale przecież twój ojciec się myli. To ciebie wybrał Elyon. Do ciebie przemawia.

– Tak. – Nathair wzruszył ramionami. – Ale musi sam do tego dojść. Wszak lubi mawiać, że prawda zawsze wyjdzie na jaw.

– Jasne. Ale to dotyczy również sposobu, w jaki dostaliśmy się do Tarbeshu. Nasi ludzie jak dotąd trzymają język za zębami, ale jak długo jeszcze? Byłoby o wiele lepiej, gdyby poznał prawdę od ciebie. Nathairze, sprawy ułożyłyby się zupełnie inaczej, gdyby twój ojciec dowiedział się o wszystkim, gdyby zrozumiał, że to ty jesteś Jasną

Gwiazdą.

Nathair uniósł dłoń.

– Mój ojciec tkwi w tym od dawna, Veradisie. Wciąż mamy czas. Dam mu jeszcze chwilę, nim pokażę swe prawdziwe oblicze.

Przez otwarte okno wpadł powiew świeżego powietrza. Blask pochodni opromienił twarz Nathaira, plamy światła i cienia zniekształciły jej kontury.

Veradisowi przypomniał się Meical, jego blade, nieprzeniknione oblicze, jego ciemne oczy. Królewski doradca. To on odpowiadał za to, w jaki sposób król rozumiał przepowiednię.

Ciche pukanie do drzwi wystraszyło ich obu.

– Wejść! – zawołał Nathair.

Na progu stanęła Fidele. Zamknęła cicho drzwi za sobą. Na widok Veradisa zatrzymała się.

– Chciałam porozmawiać z tobą na osobności – powiedziała do syna.

– Oczywiście, matko. Piliśmy tylko wino z Veradisem – odparł księżę z uśmiechem.

Veradis powstał i zaproponował królowej swe krzesło, ale kobieta pokręciła głową.

– Nie, dziękuję – rzekła, a w jej głosie dało się wyczuć napięcie, widoczne również na jej twarzy.

– Co się dzieje, matko? – spytał Nathair. – Co cię dręczy?

Królowa zerknęła na Veradisa.

– Miałam nadzieję, że zastanę cię samego.

– Nie mamy z Veradisem sekretów. Jest on dla mnie jak brat i możesz przy nim powiedzieć wszystko, co chciałabyś powiedzieć mnie samemu.

– Dobrze więc. – Fidele ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami. – Dotarły do mnie niepokojące pogłoski. Plotki.

– Jakie znowu plotki?

– Dotyczące twojej kampanii w Tarbeshu.

Nathair nie odezwał się ani słowem. Siedział i czekał. Królowa

nabrała tchu.

– Słyszałam rozmowy o czarach. O olbrzymach. O magicznej mgle i tajemniczej flotyli. Słyszałam rozmowy o Vin Thalun.

Matka i syn wpatrywali się w siebie.

– Kto wygaduje takie rzeczy? – spytał Nathair. – Peritus? Ima się wszystkich sposobów, by podkopać mą pozycję. Boi się tego, że mój autorytet rośnie.

– To, gdzie usłyszałam te pogłoski, nie ma żadnego znaczenia! – parsknęła Fidele. – Czy to prawda?

– Od kogo to usłyszałaś? – powtórzył Nathair. – Skoro w tych plotkach niby kryje się prawda, to dlaczego powtarzane są szeptem za moimi plecami? Chcę spotkać się z tym, kto rzuca takie oskarżenia.

W oczach Fidele pojawiło się z wątpienie.

– A więc zaprzeczasz im? – zapytała. Stanowczość w jej głosie zaczęła słabnąć, a w jej miejsce pojawiła się nadzieja.

– Niczemu nie zaprzeczam. Jestem dorosłym mężczyzną i księciem. Nie jestem już dzieckiem. Sam dokonuję osądów i sam podejmuję decyzje. Chcę wiedzieć, kto próbuje mnie oczernić, kto próbuje wbić klin między mnie a mego ojca.

Królowa pokręciła głową.

– Nathairze, nie zapomnij tego, co ci powiedziałam przed twoim wyjazdem. Jeśli nadal masz jakieś układy czy związki z Vin Thalun, odrzuć je i zapomnij o nich. Jeśli ojciec się o tym dowie, to zaciąży na waszej relacji. – Stała przed nimi wyprostowana, dumna i chłodna. Niespodziewanie otoczył ją królewski majestat. – Jesteś księciem, a nie królem. Synem, a nie ojcem. Bądź posłuszny swemu królowi. Słuchaj swego ojca! Nie sprawdzaj jego cierpliwości. Ostatnie księżyce były dla niego wystarczająco ciężkie i ostatnią rzeczą, której mu teraz trzeba, jest syn, który... – W jej spojrzeniu znów pojawiła się troska. – Rób to, co należy – powiedziała, niemalże błagalnym tonem, i wyszła.

– Tak też będzie – rzekł Nathair, gdy zamknęły się drzwi.

Rozdział czterdziesty trzeci

CORBAN

Corban zmrużył oczy, patrząc na bezchmurne niebo. Słońce było blade, wręcz rozmyte, wydawało się odległe. Było zimno i chłopak miał wrażenie, że jego skóra jest mocno napięta.

Zanosilo się na śnieżycę. Gęste, ciężkie chmury gromadziły się na horyzoncie za odległą już linią brzegową i dalej, nad morzem szarym niczym żelazo. Pogoda nie sprzyjała podróżowaniu, ale mimo to chłopak wyruszył z domu sześć nocy temu i jechał teraz traktem olbrzymów u boku króla Brenina na czele ich kolumny.

Kierowali się w stronę Badun, fortecy leżącej nieopodal kamiennego kręgu, by tam, na miejscu stać się świadkami spełnienia się przepowiedni, o której opowiedziała im Edana. Chcieli tam czekać na chwilę, gdy dzień stanie się nocą. Wszystko wskazywało na to, że zjawi się tam również Rhin, królowa Cambrenu, oraz królowie Narvonu i Domhainu. Brenin zorganizował spotkanie, by wspólnie omówić zamysł oczyszczenia Ciemnego Boru z banitów i inne kwestie, związane z rewelacjami ogłoszonymi na radzie w Tenebralu.

Przez pięć nocy podróżowali na wschód wzdłuż smaganych przybojem, ostrych klifów i ukrytych zatok. Dziś droga skreśliła na południe i poprowadziła ich wśród zdradliwych bagien i trzęsawisk. Gdy trakt zaczął łagodnie opadać, Corban ujrzał ciągnące się jak okiem sięgnąć moczary. W bladym blasku słońca tu i ówdzie

migotała woda, zupełnie jakby na równinę narzucono ogromną, pokrytą rosą pajęczynę. W samym środku wznosiło się wzgórze, a z niego sterczała złamana wieża. Chłopak zerknął w bok. Jadąca nieopodal Brina mówiła właśnie coś nieprzyjemnego – o ile sugerować się jej miną – Hebowi, znawcy obyczajów, który nie odstąpił od niej od świtu.

Na horyzoncie pojawiła się ciemna plama.

– Co to takiego? – spytał Corban.

– To Ciemny Bór – rzekł Heb.

Ogromna puszcza niczym cień rozciągała się od wybrzeża i nikła w oddali.

Tam gdzieś jest Braith. I Camlin, jeśli im się udało, pomyślał chłopak, wpatrzony w odległy las.

Odruchowo odszukał wzrokiem Marrocka, jadącego w tłumie jeźdźców w szarych płaszczach obok Haliona i Conalla. Tuż przed nim, na czele kolumny, jechał król Brenin, którego z obu stron osłaniali potężni Pendathran oraz Tull. Za nim podążała Edana, jak zwykle w asyście Ronana.

– Jak sobie radzi w podróży twój wilkun? – spytał Heb, wrywając Corbana z rozmyślań. Zerknął przy tych słowach na Burzę, która biegła nieopodal z nosem przy ziemi.

– Dla niej to nie problem – odparł chłopak. – Myślę, że lubi podróżować.

Wilkunica biegła obok niego przez cały dzień, bez wysiłku nadążając za kolumną, ale to akurat wcale go nie zdziwiło. Burza wciąż rosła i była już niewiele niższa od jego konia. Pochylił się w siodle i musnął szorstką sierść na jej karku. Cieszył się z jej towarzystwa. Wiedział, że nikomu nie jest w nocy tak ciepło jak jemu, gdy Burza kuliła się przy nim.

Zadrzał i poprawił płaszcz. Gdy usłyszał od Edany o planowanej podróży, zapragnął wziąć w niej udział. Nie mógł wprost uwierzyć w swoje szczęście, gdy Brina powiedziała, że będzie potrzebować jego pomocy. Teraz nie był już wcale pewien słuszności swej decyzji.

Sześć zimnych nocy i sześć dni w siodle znacznie ostudziły jego entuzjazm, ale zbliżali się już do celu podróży i znów czuł, że budzi się w nim podniecenie.

Matka nie chciała, by wyjeżdżał, a nawet zakazała mu tego, ale Brina zamieniła z nią kilka słów. Oficjalnie brała udział w wyprawie jako najszlachetniejsza uzdrowicielka króla, ale Corban wiedział, że po prostu chciała w niej uczestniczyć, a on, jako jej uczeń, musiał jej towarzyszyć. Tuż po rozmowie Briny z mamą nagle okazało się, że Gar również musi dołączyć do królewskiego orszaku. Niby miał się zajmować królewskim rumakiem, ale chłopak przypuszczał, że tak naprawdę miał troszczyć się o niego. Przynajmniej dzięki temu mogła jechać z nimi również Cywen. Gdy Corban powiedział jej, że wyjeżdża sam na wyprawę, wyglądała, jakby połknęła pszczołę, ale niespodziewana decyzja głównego stajennego dała jej pretekst, którego potrzebowała. Gar zabrał ze sobą grupkę stajennych, a Cywen wymogła na nim, by wciągnął do niej również Datha. Corban miał wrażenie, że w drogę wyruszyła połowa mieszkańców Dun Carreg.

Zerknął przez ramię na Gara, jadącego na swoim srokaczu. W tłumie wojowników nie mógł dostrzec ani siostry, ani przyjaciela.

Dzień upływał powoli. Padał śnieg, który zgęstniał, gdy zaczęło się ściemniać. Wkrótce zabłysły pierwsze pochodnie, gdyż Brenin nie chciał już zatrzymywać się na nocleg, skoro cel podróży był niedaleko.

Niespodziewanie na czele rozległ się okrzyk i cała kolumna się zatrzymała. Na drodze przed nimi pojawiło się dwóch jeźdźców, którzy przypadli do Brenina.

Stali i czekali. Lepki śnieg przywierał do ich głów i ramion, a wraz z nim ciało przeszywał chłód. W końcu kolumna ruszyła naprzód, a obaj jeźdźcy znaleźli się blisko Corbana. Jeden z nich bez wątplenia był wojownikiem, gdyż spod pół płaszcza sterczała mu pochwa miecza. Zza kaptura mignęła blada twarz z ciemnymi,

zapadłymi oczami. Drugi okazał się kobietą o nieco drobniejszej budowie. W blasku pochodni chłopak dostrzegł rude włosy.

Chwilę później ujrzeli światła Badun, ostatniej ardańskiej sadyby przed skrajem Ciemnego Boru i granicą z Narvonem.

* * *

– Nie ma na to czasu! – powiedział Gar do Corbana, gdy zauważył, że chłopak sięga po placek miodowy. – Zjesz śniadanie później. Teraz potrzebna mi para rąk do pomocy, o ile Brina da sobie radę bez ciebie przez chwilę.

Uzdrowicielka fuknęła i machnęła lekceważąco ręką. Chwilę później Corban brnął już przez śnieg w ślad za utykającym Garem. Burza truchtała za nimi, zostawiając wianuszek śladów na białym puchu.

Forteca Badun strzegła traktu olbrzymów, który wiódł przez Ciemny Bór do królestw Narvonu i Cambrenu. Ze względu na strategiczną pozycję rozrosła się ponad miarę.

Dath i Cywen stali przed wrotami do ogromnej obory i napełniali wiadra z wielkiej beczki. Dziewczyna powitała nadchodzącego brata szerokim uśmiechem.

– Masz publiczność – powiedziała i zerknęła przez ramię na grupkę dzieci, które podążały za nim, pokazując coś palcami i szepcząc do siebie.

– Nie ja, a Burza – rzekł Corban.

Mieszkańcy Dun Carreg i Havan przyzwyczaili się już do wilkunicy, ale ludzie z Badun zareagowali na nią przerażeniem. Chłopakowi pozwolono na wjazd do fortecy tylko dlatego, że podróżował w świcie królewskiej, choć gdy przejeżdżał przez bramy, wojownicy spoglądali za nim złowrogo i czynili gesty odczyniające uroki. Nie wszyscy jednak uznawali Burzę za przerażające stworzenie, w czym najwidoczniej przodowały mieszkające tu

dzieci.

– Wyrabiasz sobie reputację – stwierdził Gar.

Corban wzruszył ramionami i zaczął pomagać siostrze.

* * *

Gdy Corban i Cywen dotarli wreszcie do sali biesiadnej, ta powoli pustoszała, ale rodzeństwo szybko wypatrzyło księżniczkę siedzącą przy palenisku. Ronan właśnie napełniał jej talerz. Edana uniosła głowę i przywołała ich do siebie.

– Wam też coś przyniosę – rzekł przyboczny księżniczki i uśmiechnął się do Cywen.

– Ojciec ma zły humor – szepnęła Edana i wskazała ruchem głowy kąt wielkiej sali, gdzie stał król Brenin w towarzystwie kilku mężczyzn. Byli wśród nich Tull i Pendathran, a także Ewnis oraz Vonn. Corban nie widywał go często od dnia, kiedy jego żreback zabił psa Helfacha, i czuł z tego powodu ulgę. Brenin rozmawiał akurat z wysokim, jasnowłosym mężczyzną, którego warkocz wojownika naznaczyła już siwizna. Miał szczerą, przyjemną twarz i uśmiechał się szeroko do króla.

– Czy to...

– Tak, to Gethin. – Edana pokiwała głową.

Corban zmarszczył brwi. Gethin był panem na Badun, ale również starszym bratem Ewnisa, przez co chłopak od razu poczuł do niego niechęć.

Ronan postawił przed chłopakiem miskę z owsianką, Edanie przyniósł jagody ze śmietaną, a Cywen dostała talerz gorących placków owsianych, nieco bekonu i kromkę chleba grubo posmarowaną masłem. Corban porównał swoją porcję z tym, co otrzymały dziewczęta i zmarszczył brwi. Cywen zaś uśmiechnęła się z wdzięcznością do młodego wojownika.

– Król Owain już tu jest – dodała cicho Edana. – Wraz ze swym

synem Uthanem. Pozostali jeszcze nie przybyli.

– Ale przecież Dzień Zimowego Przesilenia jest już jutro! – rzekła Cywen.

Księżniczka pokiwała głową.

– To dlatego ojciec jest w złym humorze. Uważa, że Rhin zdrwiła sobie z niego, choć król Eremon również jeszcze nie dotarł. On jednakże ma najdłuższą drogę do pokonania. Domhain leży daleko za Narvonem i Cambrenem, a on sam jest już wiekowym starcem.

– Sądzisz, że zgodzą się na plan twego ojca? – spytała Cywen.

– Pojęcia nie mam. – Edana wzruszyła ramionami. – Owain powinien na to przystać, gdyż Braith nęka również jego ziemie, ale on często sprzeciwia się ojcu z samej tylko złośliwości. Rhin i Eremon nie mają zaś aż takiego interesu w oczyszczeniu Ciemnego Boru. Wszak Braith nie najeżdża ich ziem.

– Ale tu chodzi o coś więcej niż tylko oczyszczenie Ciemnego Boru, prawda? – spytała Cywen. – To proroctwo...

Edana pokiwała głową.

– Ojciec twierdzi, że jutro w południe dzień stanie się nocą, bez względu na to, co to właściwie ma oznaczać. Ja sobie tego nie mogę wyobrazić. – Przez moment bawiła się jagodami na talerzu. – Ma to podobno jakiś związek z wojną między Asrothem i Elyonem, która ma mieć miejsce na Ziemiach Wygnanych.

– A to kto? – szepnęła Cywen.

W sali pojawili się ludzie, którzy dołączyli do nich na trakcie. Mężczyzna okazał się bladym młodzieńcem z podkrążonymi oczami, noszącym warkocz wojownika. Omiótł wzrokiem pomieszczenie i wskazał swej towarzyszce miejsce. Kobieta była starsza od niego, a w jej rudych włosach migotały srebrne pasemka.

– Nie mam pewności. Pytałam ojca, ale nie chciał mi nic powiedzieć. – Edana pochyliła głowę i dodała konspiracyjnym szeptem: – Chyba poprosili ojca o Schronienie.

Tych dwoje to nie pierwsi ludzie, którzy przybywają do Brenina

z tą prośbą. Widać jego sława niesie się daleko, pomyślał Corban. Halion powiedział mu, że wraz z bratem postąpili tak samo, choć nie miał zamiaru zdradzić, przed czym uciekali.

– Musimy więc czekać dalej – rzekł. – Ciekawe, czy Rhin i Eremon przybędą. Bez nich twój ojciec nie ma szans na realizację swych planów. – Zamyślił się, grzebiąc w zimnej owsiance.

– Tak – mruknął Ronan.

– Wiele od nich zależy – dodała Edana.

* * *

Z Ciemnego Boru wyłoniła się kolumna jeźdźców. Corban, stojący na drewnianej palisadzie twierdzy Badun, naliczył osiemdziesiątek.

– To królowa Rhin – powiedziała Edana i wskazała ręką. – O, ta z siwymi włosami!

Przybysze zbliżali się już do bram fortecy. Rhin jechała na czele, poprzedzona jedynie przez pół tuzina wojowników, których przytroczone do siodeł włócznie celowały ku niebu. U boku królowej jechał młody, przystojny wojownik, który wydawał się emanować pewnością siebie. Roześmiał się głośno w odpowiedzi na jakiś komentarz królowej. Sprawiał wrażenie bardziej dworzanina podczas wycieczki niż osobistego czempiona królowej Cambrenu.

– Nigdzie nie widzę króla Eremona – mruknęła Edana.

– Bo wysłał zastępstwo – rzekł Ronan. – Spójrzcie na tych ludzi! Noszą zielone herby Domhainu.

Na czele ich grupy jechał starszy mężczyzna. Jego długie, siwe włosy powiewały na wietrze. Nie miał na szyi królewskiego torkwesu, a jedynie cienką, srebrną obręcz na ramieniu. Na oczach Corbana jeden z jego towarzyszy uniósł proporzec z czarnymi wilkami na czerwonym polu.

– To Rath! – szepnął Ronan.

Corban słyshał opowieści o starym wojowniku, który swego czasu był wojewodą Eremona. Podczas jednego ze swoich wypadów olbrzymy na północy wyrznęły całą jego rodzinę i wszystkich domowników. Rath poprzysiągł im wówczas zemstę i ślubował, że będzie bronił północnych granic Domhainu, by dopaść tego, kto zabił jego bliskich. Jeśli wierzyć opowieściom, wielokrotnie wypełnił już swą przysięgę i zgładził wiele olbrzymów.

Towarzyszący mu wojownicy, którzy zwali się Degad, byli równie sławni jak ich przywódca. Mówiono, że w boju są równie dzicy i zaciekli jak olbrzymy, które tępili.

Rhin uniosła głowę, gdy zbliżyła się do bram twierdzy. Na jej ustach błąkał się ledwo widoczny uśmiech.

Rozdział czterdziesty czwarty

EVNIS

Dobrze jest spędzić chwilę na osobności, pomyślał Ewnis. Udawanie sympatii do brata naprawdę sporo mnie kosztuje.

Stał z dłońmi splecionymi z tyłu i wpatrywał się w kurhan, w którym spoczywali jego rodzice. Zmarli dawno temu. Pozostały po nich jedynie kości. Ewnis skrzywił się i splunął.

Żałował, że matka już nie żyje. Chciał, by była świadkiem jego tryumfu, by ujrzała jego zwycięstwo. Najpierw przyćmi Gethina, swego żalosego brata, który umizgiwał się do króla Owaina, chcąc wydać swą córkę za jego syna. Kiedyś wzbudziłoby to w nim gniew, ale te czasy już minęły. Niech Gethin nacieszy się swoimi drobnymi sukcesami. Jemu, Ewnisowi, pisana była o wiele wspanialsza przyszłość, co do tego nie miał wątpliwości. Wiele lat temu dobił targu i złożył przysięgę na wierność wśród drzew Ciemnego Boru, a teraz był doradcą króla i posiadał sekrety mocy ziemi. Ale to nie wszystko...

Ów naszyjnik z czarnym kamieniem. Przerazał go, ale też wabił, przyzywał. Ewnis obejrzał go dokładnie, przeczytał stare manuskrypty, nawet rozmawiał z tym głupcem Hebem, aż wreszcie zyskał pewność. Już wiedział, że znalazł się w posiadaniu jednego z siedmiu Skarbów, naszyjnika Nemain. Kryła się w nim wielka moc, ale jak ją okiełznać? Jak z niej skorzystać?

Zacisnął mocno powieki. Był zmęczony. Od jakiegoś czasu

prześladowała go bezsenność, a kiedy już udawało mu się zasnąć, osaczały go ciężkie, męczące koszmary, z których budził się zły zimnym potem. Musiał zachować przytomność umysłu. Miał przecież tyle do zrobienia.

Cieszył się, że zobaczył Rhin. Chwila, w której przejeżdżała przez bramy Badun, nagle uświadomiła mu realność wszystkich ich planów i intryg. Uśmiechnęła się do niego, ale nie tak, jak miała to w zwyczaju. Takie uśmiechy były zarezerwowane dla wojownika, który jechał u jej boku.

I całe szczęście, pomyślał Ewnis. Rhin słynie ze swego apetytu. Nie wiem, czy udałoby mi się jeszcze sprostać jej oczekiwaniom.

Poza tym, miałby wówczas wrażenie, że zdradza Fain, choć ta już nie żyła.

Znów poczuł ból na myśl o jej odejściu. Wystarczyło ją wspomnieć, by ogarniała go rozpacz. Czy to się kiedyś skończy?

Naraz usłyszał czyjeś głosy i cofnął się w cień rzucany przez kurhan. Zbliżało się dwóch wojowników, w których rozpoznał Haliona i Conalla. Dużo by dał, by byli na jego usługi, ale starszy z braci, Halion, wydawał się nieprzystępny. Ewnis spotykał już takich ludzi i wiedział, że są nieprzekupni i nieprzejednani. Z drugiej strony, jego brat, Conall... Tak, nad nim warto było popracować. Cechowała go duma, a to zwodniczy żywioł.

– Nie będę uciekał i chował się jak baba! – mówił Conall.

– Ruszże głową, Con – powiedział jego brat. – On nie może nas zobaczyć. Nikt nie wie, gdzie jesteśmy i komu służymy, i niech tak zostanie.

Wojownicy minęli Ewnisa, nadal prowadząc rozmowę przyciszonymi głosami.

Intrygujące, pomyślał.

Przez moment stał jeszcze w cieniu, a potem ruszył szybkim krokiem.

Rhin musi się dowiedzieć o ostatnim akcie życzliwości Brenina. Na pewno zaciekawili ją informacje o dwójce ludzi, którym udzielił

Schronienia. Schronienia przed nią samą.

Rozdział czterdziesty piąty

CORBAN

Brina otrzymała pustą chatynkę na czas pobytu w Badun, a Corban, ujrawszy, w jakim ścisku przychodzi spać reszcie ich grupy, po raz pierwszy ucieszył się z tego, że służy starej uzdrowicielce. Poczucie wdzięczności szybko jednak minęło, gdy ta kazała mu zamieść wszystkie kąty.

Następnie poleciała – bo prosić nie miała w zwyczaju – Cywen i Garowi, by wprowadzili się do ich chatki, a ci skwapliwie skorzystali z okazji.

Corban wszedł w noc w ślad za Garem i swą siostrą. Brina szła tuż za nimi. Chłopak był pewien, iż usłyszał szelest piór nad głową, a nim zamknął drzwi, wśród belek sufitu mignęło mu czarne, paciorkowate ślepię.

Wkrótce z ciemności wyłoniły się grube, drewniane ściany sali biesiadnej. Wokół szerokich wrót płonęły jasno nasycone smołą pochodnie. Byli jednymi z pierwszych przybyłych, bo Brina chciała przysłuchiwać się rozmowom przy królewskim stole.

Ludzie napływali powoli, potem coraz gęściej, aż wreszcie cała sala rozbrzmiewała gwarem rozmów i śmiechów. Pojawił się Dath, który wcisnął się na ławę przy Corbanie, nieopodal usiadł też Tull w asyście kilku wojowników z Dun Carreg. Potem przy stole królewskim zasiedli Brenin i Owain wraz ze swymi przybocznymi.

Rhin pojawiła się na samym końcu, strojna w futro z soboli

obszyte białym lisem. Usiadła na swym krześle, a potem zaczęła się głośno domagać, by zrobiono miejsce również dla jej wytwornego czempiona. Postawiła na swoim, a młodzieniec pośpiesznie usiadł obok niej. Po sali poniosł się pomruk niezadowolenia, a wielu wojowników zmarszczyło brwi i pokręciło głowami. Królewski stół był przeznaczony dla władców i ich najbliższych, a nie dla czempionów.

Ronan przepchnął się przez świętujący tłum, robiąc miejsce dla Edany. Gdy księżniczka usiadła, młody wojownik rozejrzał się, a potem zasiadł naprzeciwko Corbana, mrugnawszy przy tym do Cywen. Uśmiechnął się szeroko, gdy dziewczyna oblała się rumieńcem.

Uwagę Corbana przyciągnęło poruszenie na tyłach sali. Do środka wszedł przybysz w kapturze, który skrył się wśród cieni. Czempion Rhin powstał i podszedł do niego, po czym obaj wyszli. Naraz rozległ się głośny stukot, który przyciągnął uwagę wszystkich do królewskiego stołu. Lord Gethin podniósł się i zaczął uderzać chochlą o drewnianą misę.

– Witajcie przy moim stole! – oznajmił gromko. – Zebraliśmy się w najświetniejszym gronie na całym zachodzie w przededniu jakże wielkiej chwili! – Zerknął przy tych słowach na Brenina. – Chciałbym też ogłosić nowinę, która, mam nadzieję, da nam kolejny powód do radości! – rzekł i spojrzał na młodą kobietę, która siedziała u jego boku. – Powstań, Kyla!

Wywołana podniosła się nieśmiało ze spuszczonej oczami. Rozległo się szurnięcie krzesła i po drugiej stronie stołu powstał Uthan.

– Dziś moja córka związała się węzłem narzeczeństwa z Uthanen ben Owain – rzekł Gethin z uśmiechem.

Po sali poniosły się wiwaty i słychać było stukot kubków o blaty ław, jedynie król Brenin zmarszczył lekko brwi. Czempion Rhin powrócił cicho na miejsce, po czym pochylił się i wyszeptał coś do ucha królowej. Ta spochmurniała.

– Zrękowiny odbędą się wiosną. Mam nadzieję, że ich związek zbliży nas do naszych krewnych w Narvonie – dodał Gethin i spojrział na króla Owaina, który pokiwał głową.

Siedzący za Corbanem Heb, znawca obyczajów, mruknął coś do Briny, a ta odpowiedziała:

– Kręgi wewnątrz kręgów.

Rhin poderwała się niespodziewanie, przewracając swe krzesło.

– Gdzie oni są? – syknęła i wycelowała zakończonym szponem palcem w Brenina. Ten wytrzymał jej wściekły, jadowity wzrok, ale nie odpowiedział. – Masz mnie za idiotkę? – Rhin niemal parsknęła ze złości. – Znam cię od czasów, gdy co noc moczyłeś się w łóżku!

Tu i ówdzie rozległy się chichoty.

– Nawet nie próbuj mi się sprzeciwiać. Wiem, że oni tu są i chcę, byś mi ich wydał. I to zaraz!

Brenin zamknął oczy i powoli odetchnął. Gdy otworzył je ponownie, na jego twarzy malowała się stanowczość i zdecydowanie.

– Oni nie są twoją własnością, Rhin, a teraz poprosili mnie o Schronienie.

Chłodna twarz była niemalże przerażająca.

– I zgodziłeś się? – szepnęła królowa, ale usłyszeli ją wszyscy zebrani.

– Tak. – Król Ardanu skinął głową.

Przez moment nikt nic nie mówił. Rhin siedziała absolutnie nieruchomo, aż oznajmiła:

– Dobrze. Rozstrzygnie to Sąd Mieczy. Morcant?

Zerknęła na swego czempiona, który podniósł się płynnym ruchem i uśmiechnął. Tull poderwał się i stanął między królewskim stołem oraz resztą zebranych.

– Co takiego? Nie, nie, Rhin. Nie wolno ci! – Brenin również się podniósł.

– Nie wolno mi? Zapominasz się.

– Ale jutro... Nasz pakt...

– Trzeba było zawczasu o tym pomyśleć – warknęła Rhin, przerywając mu. – Dostanę to, co prawnie do mnie należy. I nie mam zamiaru cię o nic prosić ani też z tobą negocjować, Breninie.

Król Ardanu otworzył usta, ale nie był w stanie powstrzymać tyrady Rhin.

– Wzywasz nas wszystkich jak wasali na swe zebranie. Cóż, przybyłam, ale widzę, że nie znasz umiaru i usilnie próbujesz podważyć mą pozycję. Kto sieje wiatr, zbiera burzę, Breninie. Nie wątpię, że ojciec ci o tym mówił. – Wbiła wzrok w swego czempiona. Młody wojownik skinął głową i zwrócił się ku Tullowi. – Sąd Mieczy rozstrzygnie nasz spór. I to teraz – oznajmiła.

– Dobrze. – Brenin skrzywił się i złapał się ławy. – Niech więc tak będzie.

Tull podszedł do Morcanta, wyciągnął miecz i dotknął nim ostrza przeciwnika, przyjmując wyzwanie. Ten parsknął śmiechem. Tull wzruszył ramionami i cofnął się, nadal wpatrzony w przybocznego królowej Rhin.

Zaświstało rozcinane powietrze, gdy czempion Brenina wykonał kilka próbnych cięć, rozprostowując potężne ramiona.

Zaszurały odsuwane ławy, gdy zebrani przygotowywali miejsce pod pojedynki. Tu i ówdzie brzęczały już pierwsze monety hazardzistów. Corban stał w pierwszym szeregu widzów, ale nikt nawet nie próbował go odsunąć ze względu na Burzę, która przyglądała się obu wojownikom z podejrzliwością. Chłopak nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Serce biło mu jak szalone, nigdy dotąd nie był świadkiem pojedynku. Cóż, widział mnóstwo treningów i ćwiczebnych walk, w których obaj wojownicy posługiwali się drewnianymi mieczami, ale nigdy dotąd nie miał okazji patrzeć na starcie przy użyciu ostrych, śmiercionośnych mieczy z żelaza. Czuł w sobie zarówno strach, jak i podniecenie. Tull cieszył się niezwykłą reputacją i nikt, kto go widział, nie mógł uwierzyć w to, że ktokolwiek mógłby go pokonać, ale w czempionie Rhin było coś niepokojącego. Jego pewność siebie wyprowadzała

z równowagi.

Zapadła cisza, gdy obaj wojownicy zbliżyli się do królewskiego stołu. Tull pochylił się, nabrał garść popiołu z rogu paleniska i wtarł go w rękojeść miecza. Obaj czempioni ukłonili się przed Rhin i Breninem, po czym zwrócili się ku sobie.

Corban spodziewał się, że ruszą na siebie z furją, ale tak się nie stało. Morcant obchodził powoli Tulla, a ten obracał się, by nie stracić go z oczu. Czubek miecza trzymał nisko. Naraz Morcant rzucił się do ataku i poderwał miecz tak szybko, że Corban ledwie nadążył za nim wzrokiem. Tull odbił ten cios bez większego wysiłku i natychmiast przeszedł do kontrataku. Jego ostrze opadło ze świstem, ale Morcant zręcznie odskoczył w tył. Znow zaczął chodzić wokół potężnego przeciwnika, raz po raz atakując szybko jak wąż.

– Testują swoje możliwości – szepnął Gar do Corbana.

Chłopak pokiwał głową. Nie mógł wykrztusić słowa ani oderwać oczu od walczących. Niespodziewanie Morcant znow zaatakował, ale nie ograniczył się do pojedynczego ciosu. Zasypał Tulla oszalamiającą kombinacją cięć i pchnięć, a ten, choć odbił każde z nich, cofał się krok za krokiem, aż dotarł do skraju wytyczonego kręgu. Corban widział już pot lśniący na nagich ramionach olbrzymiego mężczyzny i plamy na skórzanej kamizeli.

Tull stał na szeroko rozstawionych nogach i sapiąc, odbijał każdy cios, aż nieoczekiwanie zrobił krok w bok. Ostrze Morcanta przecięło powietrze. Czempion Rhin zatoczył się, zrobił pół kroku naprzód i niespodziewanie sam został zepchnięty do defensywy. Umykał przed potężnymi ciosami Tulla lub blokował je własnym ostrzem. Corban z trudem powstrzymał ochotę, by zasłonić uszy i uchronić je przed brzęczącą, zgrzytającą stalą.

Czempion Brenina był niemalże o głowę wyższy o Morcanta i miał siłę wołu, ale jak na człowieka tych rozmiarów poruszał się szybko. Atakował bez pardonu, nieugięcie i szyderczy uśmieszek Morcanta naraz znikł. W skupieniu blokował uderzenia Tulla, tak

potężne, że każde z nich mogłoby wypatroszyć dzika. Czempion Rhin był jednak szybkim wojownikiem, a w szczupłym ciele kryły się żelazne mięśnie. Sparował uderzenie wyprowadzone znad głowy, odepchnął miecz przeciwnika w bok, a potem w dół, po czym zawirował i chlasnął ostrzem od tyłu. Koniec klingi rozorał skórę w talii Tulla. Pojawiła się pierwsza krew. Corban jęknął.

– Krwawisz jak my wszyscy – rzekł Morcant i znów się uśmiechnął.

Tull dotknął rany i spojrzał na czerwone od krwi palce, po czym warknął i zaatakował. Morcant cofnął się przed gradem niszczycielskich ciosów, jakimś cudem unikając oburęcznego miecza Ardańczyka, aż ten zwolnił. Wówczas Morcant rzucił się do natarcia i zmusił Tulla do obrony.

Obaj wojownicy zmagali się ze zmiennym szczęściem, a Corban tracił poczucie czasu. W blasku płomieni z paleniska czempioni przypominali demony, samych Kadoshim Asrotha, aż nagle odskoczyli od siebie niczym w myśl niepisanej umowy. Obaj oddychali już ciężko. Tull miał zakrwawiony bok, a na ręce trzymającej tarczę pojawiło się drugie skaleczenie, biegnące od ramienia po łokieć. Morcant jak dotąd nie został nawet draśnięty.

Tull parsknął i zebrał swe siły. Znów zmusił przeciwnika do cofnięcia się, po czym opuścił miecz z góry, ale niespodziewanie przejął go lewą ręką i zmienił kierunek uderzenia. Ostrze, miast opadać w dół, cięło na ukos.

Morcant w jakiś sposób zdołał zmienić kąt bloku, ale ostrze Tulla przeorało jego skórę od ramienia po pępek. Rana szybko wezbrała krwią.

– Ach, staruszkę – powiedział Morcant i cofnął się poza zasięg jego ciosu. – Na twoje nieszczęście jesteś zbyt sławny, bo słyszałem o wszystkich twoich sztuczkach.

Po raz pierwszy Tull wydawał się zbity z tropu. Corban oderwał wzrok od walczących i zerknął na Brenina, który w napięciu przyglądał się starciu. Brzęk stali znów przyciągnął jego uwagę.

Tym razem to Morcant atakował, a jego ostrze uderzało w takim tempie, że nie można było nadążyć za nim wzrokiem. Tull cofał się, ale blokował szybkie ciosy przeciwnika z dzikością i narastającą determinacją. Ostrze Morcanta nacięło jego przedramię, potem pierś i udo. Wojownik grzmotnął plecami o dębową kolumnę. Czempion Rhin natarł ponownie i Tull przyjął uderzenie na swój miecz. Zmagali się przez moment, stal zgrzytała, padały iskry.

– Jeszcze chwila, staruszkule – sapnął Morcant.

Wtedy zatoczył się w tył, odepchnięty przez Tulla. Czempion Brenina jednakże zrezygnował z natarcia. Oparł dłoń na udzie, wbił czubek miecza w podłogę i oddychał z trudem.

– Muszę przyznać... – wychrypiał. – Że jesteś... całkiem... dobry.

Morcant uśmiechnął się i wyprostował. Sam również był zmęczony, ale nie tak bardzo jak Tull.

– Jesteś gotów na śmierć, staruszkule?

– Jeszcze nie! – wycedził Tull przez zaciśnięte zęby.

Gwałtownie wychylił dłoń trzymającą miecz, a ostrze posłało garść brudu i piachu z podłogi prosto w twarz Morcanta. Ten odruchowo zakrył dłonią oczy, cofnął się o krok i uniósł broń, by zasłonić głowę i pierś, ale Tull ani myślał tam uderzyć. Zrobił krok naprzód i rąbnął z całej siły w obutą stopę Morcanta. Rozległ się głośny trzask. Czempion Rhin zachwiał się i runął na ziemię, a wtedy Tull przydepnął mu nadgarstek i wycelował miecz prosto w pierś.

– Mój panie? – spytał, nie odrywając wzroku od Morcanta.

Panowała absolutna cisza, przerywana jedynie chrapliwymi oddechami obu czempionów i trzaskiem płomieni. Dłonie Corbana były wilgotne od potu. Wstrzymał oddech. Wszyscy zwrócili oczy ku Breninowi, wiedząc, że Tull pyta swego władcę o wyrok.

Ten pochylił głowę i spojrzał na Rhin.

– Ma żyć.

Tull stał nieruchomo przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i splunął krwią obok głowy Morcanta.

– Jak sobie życzysz, panie – rzekł i uniósł miecz znad piersi przeciwnika. Powiódł ostrzem po jego szyi i podbródku, oparł je na kości policzkowej, a potem ostrym ruchem wyciął głęboką linię pod okiem Morcanta. – Tak oto kończy się twa lekcja – rzekł i utykając, wyszedł z sali. Tarben i kilku wojowników z Dun Carreg pośpieszyło za nim.

Rhin popatrzyła z furią na Brenina i naciągnęła płaszcz na ramiona.

– Chyba straciłam apetyt – rzekła i wyszła, nie obdarzywszy pokonanego czempiona ani jednym spojrzeniem.

Rozdział czterdziesty szósty

VERADIS

Veradis musnął koński bok. Powolny, rytmiczny ruch wierzchowca koił nieco jego napięcie.

Nastała wigilia Dnia Zimowego Przesilenia. Minęły cztery dni od konfrontacji między Nathairem a Fidele. Nie wydarzyło się nic w związku z jej ostrzeżeniami, ale Veradis wyczuwał nadciągające zagrożenie. To przeczucie ciążyło mu jak zły sen, nie opuszczając go ani na moment. Fidele mówiła prawdę i młody wojownik wiedział, że prędzej czy później Aquilus również usłyszy te plotki i wezwie do siebie Nathaira.

Prawda wyjdzie na jaw.

Veradis nie miał ochoty być świadkiem tej konfrontacji. Nathair powiedział, że nosi się z zamiarem opowiedzenia ojcu o wszystkim, w tym również o Vin Thalun i pożytku, jaki płynie ze współpracy z nimi. Czekał ponoć jedynie na dobry moment. Veradis miał nadzieję, że księżę porozmawia z ojcem, zanim ten pozna prawdę z innego źródła.

Jutro wypadał Dzień Zimowego Przesilenia. Czy słońce naprawdę stanie się czarne?

Veradis nigdy nie wątpił w to, co słyszał od Nathaira, więc wierzył również w przepowiednię dotyczącą kolejnego dnia. Widział też transformację Calidusa, choć wspomnienie tej chwili wydawało mu się teraz odległe i rozmyte, niczym rozplywający się sen.

Nadchodzący dzień miał stać się zwieńczeniem tego, co wydarzyło się od czasu rady u Aquilusa, zupełnie jakby wszystkie sprawy miały jutro doczekać się punktu kulminacyjnego. Jutrzejszy dzień miał być początkiem... Ale czego? Nathair nazywał to nową erą. Jeśli wierzyć docierającym zewsząd wieściom, królowie i królowe Ziem Wygnanych zbierali się, by razem doczekać tej chwili. Ale co będzie, jeśli słońce nie stanie się czarne?

Słyszał wiele opowieści o podobnych, złowieszczych znakach. Gwiazda czerwona niczym krew, która spadła na ziemię, rzekomo zwiastowała nadejście Plagi Elyona, ale była to przecież tylko opowieść z dawnych czasów. Wygnańcy mieszkali w swej nowej ojczyźnie od ponad tysiąca lat i nigdy nie było mowy o wojnie między Elyonem a Asrothem, nigdy też nie było nienaturalnych znaków na niebie.

Westchnął i oparł czoło na szarym karku konia.

– Co przyniesie jutro? – szepnął, ale zaraz otrząsnął się i zabrał za rozplątywanie kosmyków w końskiej grzywie.

Co ma być, to będzie, pomyślał. Jedno jest pewne. Bez względu na to, co się wydarzy, jestem człowiekiem księcia i będę wypełniał jego rozkazy.

* * *

Niebo w Dniu Zimowego Przesilenia było bezchmurne. Słońce wznosiło się powoli, z gór wiał ostry wiatr, a ziemia zamarzła na kamień. Wczesnym rankiem Veradis stanął przed drzwiami do komnaty Nathaira, odczekał chwilę, po czym wyprostował się i zapukał.

Księżę natychmiast otworzył. Z jego ramion zwisało futro z soboli, a na czarnym, wypolerowanym napierśniku migotał biały orzeł Tenebralu. Z pasa zwisał krótki miecz.

– Gotów – spytał, uśmiechając się do Veradisa.

– Tak.

– Wielu już się zebrało?

– Tak, ale twój ojciec jeszcze nie wyszedł.

– Dobrze. Chodźmy więc – rzekł Nathair i ruszył korytarzem.

W sali biesiadnej natrafili na Aquilusa i Fidele, których otaczała niewielka grupa osób z Peritusem i Armatusem na czele. Siwowłosy wojownik, choć ostatnio pokonany przez Veradisa, nadal był pierwszym mieczem władcy Tenebrału.

Mandros z Carnutanu stał pogrążony w rozmowie z Aquilusem, a na jego twarzy malował się kwaśny grymas. Przybył wczoraj późną porą i nie wypoczął jeszcze po podróży. Pod jego oczami widniały ciemne plamy. Po fortecy rozeszły się już plotki o ich pierwszej rozmowie – Mandros wprost oskarżył Aquilusa o to, że ten nasłał Vin Thalun na jego królestwo. Veradis przyjrzał się mężczyźnie podejrzliwie. Nie podobało mu się, że potencjalni wrogowie znajdują się tak blisko Nathaira i Aquilusa. Jego spojrzenie opadło na miecz Mandrosa.

Niespodziewanie przed Fidele stanęła wysoka postać.

Meical powrócił.

Królewski doradca opuścił Jerolin długo przed ich wyjazdem do Tarbeshu. Rzadko się zdarzało, by jakiś doradca tak długo przebywał z dala od stolicy, ale to Aquilus wysyłał Meicala na tak długie misje. Veradis zwrócił Nathairowi uwagę na ten fakt, ale książę odparł jedynie, że ojciec jest upartym, niezależnym człowiekiem i rzadko radzi się kogokolwiek. Trudno się jednak było dziwić, że Meical dotarł dziś do Jerolin. Wszak to on odnalazł prastarą księgę i rozpętał burzę, która właśnie weszła w decydującą fazę.

Doradca pochylił się i szepnął coś Aquilusowi do ucha. Chwilę później Nathair i Veradis podeszli bliżej. Król obrócił się i wbił wzrok w syna.

– Ojczy – rzekł Nathair i pochylił głowę. – Nadszedł dzień, którego długo oczekiwaliśmy.

– Tak – odparł oschle Aquilus. – Chodźmy i poszukajmy jakiegoś miejsca na murach, skąd będziemy mieli lepszy widok.

Wyszli z twierdzy, a wtedy dołączyła do nich eskorta i wspólnie udali się na mury otaczające fortecę. Wspięli się po szerokich, wykutych przez olbrzymy stopniach, by móc spojrzeć na równinę i jezioro. Na jego brzegach zgromadziło się wielu ludzi, podobnie jak na murach i ulicach miasta, a wszyscy zadzierali głowy i patrzyli w górę.

Słońce było już wysoko i mieniło się na jasnoblękitnym niebie. Wydawało się, że wszystko jest jak zazwyczaj. Veradis przełknął ślinę, gdyż poczuł suchość w ustach. Rozejrzał się i dostrzegł stajennego Valyna, który stał nieco dalej od niego na murach i również wpatrywał się w niebo. Młodzieniec podrapał się po głowie i spróbował stłumić ziewnięcie, nie przestając rozglądać się dookoła, aż jego spojrzenie padło na Meicala. Doradca królewski był niemalże o głowę wyższy od pozostałych, a blizny na jego twarzy w blasku dnia wydawały się srebrne. W przeciwieństwie do reszty, nie patrzył na słońce. Spoglądał na ludzi wokół siebie, oceniał, taksował, aż wreszcie dostrzegł Veradisa. Zorientował się, że jest przez niego obserwowany i odwzajemnił spojrzenie. Jego wzrok był nieprzenikniony. Młodzieniec znów przypomniał sobie słowa Nathaira i zadał sobie w sercu pytanie, jaką rolę Meical odgrywał w planach Aquilusa.

Ciemnowłosy doradca odwrócił wzrok i spojrzał w górę.

Nagle zewsząd dobiegł niemalże jednoczesny jęk. Veradis uniósł głowę i spojrzał na słońce, osłaniając oczy. Pośród jego oślepiającego blasku dostrzegł coś obcego, szczerbę na zachodniej krawędzi tarczy. Zamrugął i przetarł oczy. Gdy spojrzał raz jeszcze, ciemny kształt bynajmniej nie zniknął. Przypominał zakrzywiony palec pieszczący skraj słońca.

Ludzie krzyczeli i pokazywali sobie obce zjawisko. Powoli czarna smuga zaczęła się rozlewać po tarczy słonecznej. Veradis zadrzał, odetchnął głęboko i ujrzał, że jego oddech zamienia się w mgiełkę.

Było zimno, o wiele zimniej niż wówczas, gdy wszedł na mury.

Nagle usłyszał jakiś hałas. Nagłe poruszenie przyciągnęło jego uwagę. Meical zachwiał się i pochwycił blanki z czarnego kamienia. Stojący obok Veradisa Nathair wymamrotał coś i wsparł się o niego.

– Nic ci nie jest? – spytał młodzieniec, zdjęty nagłym niepokojem.

Książę osunął się na ziemię.

Rozdział czterdziesty siódmy

CORBAN

Corban spoglądał na niebo i zastanawiał się, co się wydarzy.

O ile w ogóle cokolwiek, pomyślał.

Śnieżne chmury już znikły, a niebo było oślepiająco błękitne. Słońce zaś wydawało się blade i słabe. Chłopak stał niedaleko kamiennego kręgu w tłumie obserwujących. Między wysokimi kamieniami znajdowali się Brenin, Owain, Rhin i Rath, choć lodowato obojętna Rhin trzymała się z daleka od króla Ardanu.

Corban nadal czuł podniecenie na wspomnienie pojedynku Tulla z Morcantem. Obaj wojownicy stali blisko kamiennego kręgu, choć czempion Rhin pochylał głowę. Zszyta ranka na jego policzku była mocno zaczerwieniona.

Nagle coś się zaczęło zmieniać. Zrobiło się chłodniej, a chłopak poczuł gęsią skórkę. Ludzie krzyczeli i wskazywali coś palcami. Corban zmarszczył brwi i zmrużył oczy. W obręb tarczy słońca wkradł się jakiś cień, jakby ktoś zarzucił na nią woalkę. Zakreśliło mu się w głowie i zachwiało się. Stojąca obok niego Cywen złapała go za rękę i parsknęła z irytacją. Niespodziewanie uświadomił sobie, że słabną mu kolana, aż nogi nie były już w stanie utrzymać jego ciężaru i osunął się na ziemię. Ogarnęła go ciemność.

* * *

Stał niedaleko kamiennego kręgu, ale był sam. Rozglądając się uważnie, wszedł między wysokie menhiry. Wszystko wydawało się takie jak wcześniej, a jednocześnie inne. Pod nogami kłębiła mu się mgła, niebo zasnuło się szarością, a słońce wydawało się bezbarwną, wyssaną z wszelkich kolorów plamą pośród rzadkich chmur. Kamienie były wyższe, bardziej złowieszcze, a Ciemny Bór przeistoczył się w mur nieprzeniknionej ciemności.

Spomiędzy cieni wyszła samotna postać, ten sam mężczyzna, którego Corban już kiedyś widział. Szedł ku niemu, szybko, energicznie, jakby się śpieszył. Płaszcz falował za nim.

– Nadeszła pora – rzekł i uśmiechnął się ciepło, gdy znalazł się bliżej. – Nie mogę dać ci już więcej czasu. Pomożesz mi?

– Gdzie ja jestem? – spytał oszołomiony Corban.

– W Zaświecie. W krainie ducha.

– A kim ty jesteś?

– Przyjacielem – odparł tamten. Wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki, gdy uśmiechnął się ponownie.

Wtedy Corban poczuł lepki, duszący zapach rozkładu.

– Pomóż mi.

– Ale... ale ja nie wiem jak! – bąknął.

Nieznajomy skrzywił się i zacisnął usta.

– Byłem cierpliwy, ale nie mogę już dłużej czekać. Jesteś moją jedyną nadzieją, wiesz? – rzekł i wskazał coś za sobą.

Corban ujrzał jakąś postać, przeźroczystą, ale wyraźną. Był to przystojny mężczyzna o kręconych włosach i olśniewająco błękitnych oczach. Szedł samotnie po murach obronnych i wpatrywał się w pustą przestrzeń. Idąc, włókł za sobą łańcuchy i sznury, które zwisały z jego nadgarstków i kostek. Chłopak poczuł ukłucie współczucia.

On jest więźniem, choć chyba nie zdaje sobie z tego sprawy, pomyślał.

Powiał wiatr i postać rozmyła się.

– Są inni, którzy mogą mi pomóc, ale ja chcę ciebie! – Ostatnie

słowo zabrzmiało jak dzikie warknięcie. – Musisz zająć stanowisko! Musisz podjąć walkę o to, co słuszne. Walcz dla mnie! Stań po mej stronie, bo jeśli tego nie uczynisz, ktoś inny zmusi cię, byś walczył dla niego. Na to zaś nie pozwolę.

Niespodziewanie Corban poczuł przyływ lęku.

– Nie potrzebuję tchórzy – ciągnął nieznajomy. – Potrzeba mi odwagi. Widzę w tobie strach, czuję jego zapach! – Powoli, ociężale nabrał tchu i wysunął język, jakby smakował powietrze. – Musisz rzucić lękom wyzwanie! Musisz je pokonać! Nie obawiaj się zadania, które ci wyznaczam!

– To nie zadania się boję! – Corban spojrzał w prastare, bursztynowe oczy obcego. – Boję się ciebie.

– Szkoda. – Mężczyzna zmarszczył brwi. Wydawał się szczerze zasmucony. Wsunął dłoń pod płaszcz i oparł ją na rękojeści miecza, a chłopak dostrzegł, że miał na sobie kolczugę. Wydawała się ciemna i przybrudzona, ale nagle zalśniła niczym łuski. – Byłem wystarczająco cierpliwy. Podejmij decyzję. Teraz! Pomożesz mi?

– Nie – odparł Corban. Nie miał pojęcia, dlaczego się sprzeciwił. Wiedział tylko tyle, że bliskość nieznajomego wywoływała w nim skrajne przerażenie, a jego instynkt wrzeszczał ze wszystkich sił: „Nie!”.

Obcy westchnął, pokręcił głową i wyciągnął miecz. Ostrze spowiły pasma ciemnej mgły.

Chłopak odwrócił się i rzucił do ucieczki. Za swymi plecami usłyszał wściekły wrzask. Coś zaszumiało w powietrzu, załopotwały skrzydła, wszędzie wokół niego opadały na ziemię obce istoty. Skórzaste skrzydła wzbijały podmuchy wiatru, które o mało nie przewróciły go na ziemię. Istot było sześć, a wszystkie miały na sobie ciemne kolczugi. Ich broń – miecze, włócznie i topory – spowijały opary. Twarze przypominały ludzkie, choć miały ostre rysy, a pionowe źrenice przywodziły na myśl gadzie oczy. Otoczyły go ze wszystkich stron i uniemożliwiły ucieczkę.

– Proszę – szepnął Corban.

– Na to już za późno – rzekł człowiek o żółtych oczach, który stanął za nim.

Wtedy gdzieś w górze rozległ się nowy, obcy dźwięk. Ryk rogu? Chłopak uniósł głowę i ujrzał nowe postacie, które przebijały się przez chmury i gnały ku niemu niczym strzały wyrzucone z łuku. W okamgnieniu z niewielkich punkcików urosły do rozmiarów człowieka.

– Ben-Elim – warknął jeden z otaczających Corbana wojowników.

Przybysze wylądowali, błyskawicznie składając szerokie skrzydła z białymi piórami, i bez słowa rzucili się na istoty otaczające chłopaka.

Corban nigdy nie widział takiej zaciekłości. W starciu nie było miejsca na zbędne pozy czy rozmowy – dominowała dzika, pierwotna furia. Wstrząśnięty patrzył, jak jeden z białoskrzydłych wojowników roztrzaskał przeciwnikowi ramię i rozciął skórzaste skrzydło. Istota zwała się na ziemię, a z jej rany buchnął ciemny dym. Pod stopy chłopaka potoczyła się czyjaś głowa, zewsząd dobiegał ogłuszający szcęk oręża, posapywanie i dzikie wrzaski. Dwóch walczących wzbiło się w powietrze, szarpiąc się i tnąc.

Naraz chłopak poczuł na sobie czyjeś dłonie. Uderzenie serca później znalazł się w powietrzu. Załopotały wielkie, białe skrzydła. Próbował się wyszarpnąć, ale trzymano go mocno.

– Nie wierć się! – warknął mu ktoś do ucha.

Odwrócił się i ujrzał surową, pociętą bliznami twarz. Wpatrywały się w niego ciemne oczy z akcentami fioletu. Ręka istoty dotknęła jego czaszki i usłyszał szept. Potem nastąpiła cisza.

* * *

Zamrugnął oczami.

Otoczał go mrok, ale skądś sączyło się łagodne światło.

Gdzie ja jestem?, pomyślał.

Zamrugał parokrotnie i ujrzał, że drewniane belki nad jego głową zaczynają nabierać ostrości w półmroku. Uświadomił sobie, że leży na plecach. Powoli podniósł głowę i oparł się na łokciach. Chciał poruszyć stopami, ale odkrył, że nie jest w stanie.

Gdzieś wśród belek nad jego głową coś zatrzepotało skrzydłami i wychrypiało:

– Obudził się! Obudził!

Otworzyły się drzwi, rozległy się kroki, czyjaś twarz przesłoniła resztę świata.

Brina.

Uzdrowicielka przyłożyła chłodną, szorstką dłoń do jego czoła. Jej ręce obadały jego skronie i szyję.

– Przeżyjesz – rzuciła i uśmiechnęła się, co przestraszyło Corbana bardziej niż cokolwiek innego. Do tej pory na jej twarzy widział tylko grymas niezadowolenia.

Naraz coś poruszyło się na wysokości jego stóp i wspięło się na łóżko. Jego twarz zniknęła w miękkim futrze. Poczul gorący oddech, a potem wilgotny język.

Burza.

Uśmiechnął się, odepchnął wilkunicę i usiadł. Obok Briny po chacie kręcili się jeszcze Cywen, Gar i Dath, przy czym ten ostatni nie przestawać zerkać na belki, na których podskakiwał Craf. Kruk drapał drewno i pomrukiwał do siebie niezrozumiale. Na twarzy Gara malowała się ogromna troska, a Cywen bezceremonialnie rzuciła się na brata i przytuliła go ze wszystkich sił. Corban aż stęknął, ale odwzajemnił uścisk.

– Tak się martwiłam! – wyszeptała dziewczyna, wtulona w jego szyję.

– Co takiego... – wykrztusił Corban. – Co się stało? Jak ja się tu dostałem?

– Przewróciłeś się i tyle, Ban. – Dath podszedł bliżej i dotknął jego ramienia. – Prosto w śnieg. Słońce stało się czarne, a ty padłeś

na śnieg.

– Och! – jęknął chłopak.

Cywen puściła go i cofnęła się, ocierając oczy. Brina wypadła na zewnątrz.

– Nie mieliśmy pojęcia, co zrobić – rzekła dziewczyna.

– Cy darła się wniebogłosy! – rzekł Dath nad jej ramieniem.

– Nie mieliśmy pojęcia, co zrobić – powtórzyła jego siostra. – Gar przerzucił cię przez siodło i przywiózł tu galopem.

– Tu, czyli gdzie?

– Do chaty, w której mieszkacie – rzekł Dath i usiadł w nogach łóżka.

Wróciła Brina z tacą, na której stały kubek i miska.

– Proszę. Wypij to – powiedziała. Złapała go pod ramię i posadziła wyżej, bynajmniej nie siląc się na delikatność, a potem wręczyła mu kubek. Gar pośpieszył z pomocą.

– Co to takiego? – spytał Corban i podejrzliwie obwąchał parę, unoszącą się znad kubka. Zmarszczył nos.

– A jak myślisz? – warknęła uzdrowicielka.

Chłopak zmarszczył brwi i raz jeszcze pociągnął nosem.

– Cykuta i coś jeszcze...

– Ha – burknęła Brina. – Cykuta i piołun, jeśli musisz wiedzieć. A teraz wypij wszystko, to ci pomoże.

Corban zacisnął powieki i zrobił łyk, krzywiąc się, gdy poczuł gorzki smak wywaru Briny, a potem zacisnął palce na nosie i wziął większy łyk. Chciał w ten sposób opróżnić kubek, ale uzdrowicielka niecierpliwie złapała go za nos i wlała mu resztę wywaru do ust. Corban nie raz widywał, jak postępuje w ten sposób z pacjentami.

– No, grzeczny chłopiec – rzekła Brina i uśmiechnęła się słodko. – A teraz zjedz to.

Podawała mu miskę z drewnianą łyżką.

– To tylko owsianka, uprzedzając twoje pytania. Pomoże ci pokonać zmęczenie.

Corban pokiwał głową i zaczął zajadać łapczywie, a Cywen

parsknęła śmiechem.

– Cóż, Brino, musisz zdradzić mi swój sekret! Nigdy dotąd nie widziałam, aby Ban tak potulnie robił coś, na co nie ma większej ochoty!

– Dopiero co się obudziłem – wymamrotał Corban z pełnymi ustami. – Ona wykorzystuje chwilę mojej słabości.

Dath również parsknął śmiechem, ale urwał, gdy Craf sfrunął z ciemności sufitu i wylądował na słupku łóżka tuż obok niego. Skonsternowany chłopak nie spuszczał go z oczu.

Burza trąciła pyskiem dłoń Corbana, próbując wepchnąć nos do miski.

– Ani o krok cię nie odstąpiła, Ban – rzekła Cywen.

Corban podrapał wilkunicę za uchem i pozwolił, by wylizała miskę do czysta.

– Obcy! – Craf niespodziewanie wydarł się Dathowi do ucha. Chłopak odskoczył od łóżka, jakby usiadł na szalejącym ogniu.

– Cicho bądź! – Brina machnęła ręką.

Dath poczerwieniał, a w jego oczach błysnęła dzika panika.

– Jak długo tu jestem? – spytał Corban.

– Niedługo – odparła uzdrowicielka. – Tyle, ile potrzeba czasu, by zagotować wodę i przyrządzić owsiankę.

– Ale co mi się stało?

– Zemdlałeś. – Brina wzruszyła ramionami.

Corban niespodziewanie stwierdził, że coś sobie przypomina, choć wspomnienie było słabe niczym ćma objająca się o drewniane okiennice. Przez moment słyszał trzepot skrzydeł, poczuł zgniły zapach, dojrzał fioletowe akcenty w oczach, a potem wszystko znikło. Przesunął dłonią po twarzy i przycisnął ją do czoła.

– Czujecie jakiś zapach? – spytał niepewnie.

– Co? – burknęła Brina. – Nie. I nie zmieniaj tematu.

– Nic mu nie jest? – spytał Gar, na którego czole widniała głęboka zmarszczka.

– Cóż, z tego, co widzę, tak naprawdę nic poważnego mu nie

dolega, nie licząc jego wrodzonych, nieuleczalnych dolegliwości, takich jak upór, głupota, zadawanie idiotycznych pytań i umiejętność denerwowania samego Elyona. – Założyła ramiona na piersi i znów się uśmiechnęła.

Cywen parsknęła, całkowicie zgadzając się z uzdrowicielką, a Corban przewrócił oczami.

Im mniej czasu moja siostra spędzi w towarzystwie tej kobiety, tym lepiej, pomyślał.

– A skąd się wzięło to omdlenie? – spytał Gar, nadal marszcząc brwi.

Brina wzruszyła ramionami.

– Wielu ludzi mdleje – odparła, spoglądając na Corbana. – I to z wielu powodów. Może nim być wstrząs, głód, pragnienie, brak powietrza i tak dalej.

– Widzisz, Cy? – odezwał się chłopak. – Nic mi nie jest. A ty nie musisz o niczym mówić mamie i tacie. Nie ma przecież powodu do zmartwień, prawda?

– Sama nie wiem, Ban.

– Proszę, Cy. Jeśli sytuacja się powtórzy, w porządku, powiesz im wszystko. Ale na pewno do tego nie dojdzie.

– Ta rozmowa nie ma sensu – rzekł Gar. – Bo to ja powiem o wszystkim twoim rodzicom, gdy tylko dotrzemy do domu. A skoro już o tym mowa, lepiej się szykujcie. Król Brenin zakończył rozmowy z pozostałym władcami i wyrusza zaraz w drogę powrotną.

Rozdział czterdziesty ósmy

VERADIS

– Naprawdę czujesz się już lepiej? – Veradis po raz kolejny spytał Nathaira.

Gdy książę osunął się na ziemię, jego przyboczny uznał w pierwszej chwili, że padł ofiarą czyjejś napaści. Może podano mu truciznę, może skierowano ku niemu magię żywiołów... Gdyby nie zawładnął nim bezgraniczny strach o życie Nathaira, zapewne bez wahania pchnąłby ostrzem Mandrosa. Był bowiem przekonany, że za każdym ciosem, który mógłby spaść na młodego księcia, będzie stał król Carnutanu.

Nathair został odniesiony do komnat Aquilusa, po czym wezwano uzdrowicieli, ale książę ocknął się tuż przed ich przybyciem. Zapewnił, że nic mu nie jest, i powtarzał te słowa za każdym razem, gdy ktoś pytał o jego zdrowie, ale Veradis widział, że jego przyjaciel zachowuje się inaczej. Wydawał się nieobecny, wyprowadzony z równowagi.

– Nie mogę uwierzyć, że to przegapiłem – rzekł Nathair z uśmiechem. – Tyle czekania i wszystko na nic! Słońce zaczyna ciemnieć, a ja tracę przytomność. – Pokręcił głową. – Opowiedz mi raz jeszcze, Veradisie. To naprawdę się wydarzyło, czyż nie?

– Tak. Dokładnie tak, jak zostało opisane w księdze Halvora. Dzień stał się nocą. W życiu nie widziałem czegoś równie dziwnego. Nie była to atramentowa, nieprzenikniona ciemność, ale mrok był

gęsty, intensywny, a do tego jeszcze na moment zrobiło się naprawdę lodowato.

Nathair podszedł do okna i rozchylił okiennice. Wdychał głęboko zimne powietrze, które wpadało do komnaty, z szelestem trącąc pergaminy na stole i ustawionych wzdłuż ścian półkach. Veradis stał w milczeniu i przyglądał się swemu księciu, który w końcu odwrócił się ku niemu.

– A więc proroctwo się wypełniło.

– Tak. – Teraz, gdy Veradis spoglądał na czyste, jasne niebo, zdarzenie wydawało mu się jaskrawym, wciąż świeżym wspomnieniem snu. – I co teraz?

Nathair przeszedł przez komnatę, usiadł na krześle przy biurku, obok kałamarza i rozrzuconych piór.

– Po pierwsze, muszę porozmawiać z ojcem o tym, kim naprawdę jestem. Nadszedł już czas.

W głosie księcia pojawiło się coś, co zaalarmowało słuchającego go Veradisa. Zdecydowanie.

– Jesteś pewien? – spytał. – Właśnie teraz nadszedł czas?

– Tak. Z pewnością. I nie wolno mi zwlekać. – Nathair pokiwał głową do siebie. – A potem przejmemy kontrolę nad działaniami wojennymi. Nie będziemy już czekać, aż coś się wydarzy. Nie będziemy siedzieć beczynnym i czekać, aż Czarne Słońce Asrotha nabierze mocy. Będziemy działać, Veradisie! Rzucimy mu wyzwanie!

Veradis potarł z chrzęstem policzek porośnięty gęstą, czarną brodą, którą zapuszczał od pewnego czasu.

– A jak chcesz tego dokonać?

– Najpierw skończymy to, co już zaczęliśmy. Stworzymy hufiec, jakiego Ziemia Wygnanych nigdy dotąd nie widziały. Zbierzemy armię oraz flotę! Narzucimy posłuszeństwo słabym i potulnym. Jeśli mam wypełnić zadanie, które wyznaczył mi Elyon, muszę sprawować niepodzielną władzę.

Umilkli, gdy na korytarzu rozległy się kroki. Do komnaty wszedł

Aquilus, a za nim Meical. Nathair powitał ojca uśmiechem, ale nie podniósł się. Król zaś stał i przyglądał się synowi przez chwilę. Nigdy dotąd nie wydawał się tak zmęczony. Zapadła cisza.

– Meical powrócił do nas – oznajmił w końcu Aquilus.

– Jak widać – rzekł Nathair. – W samą porę. – Spojrzał na królewskiego doradcę, a wysoki, ciemnowłosy mężczyzna odwzajemnił jego spojrzenie w milczeniu. – Skąd przybywasz? – zapytał.

– Z Tarbeshu.

Veradis poczuł, że serce zaczyna mu bić szybko, bardzo szybko.

– Rahim nie przestawał cię chwalić – rzekł Aquilus. – Choć najbardziej zaskoczyły go twoje metody. Wykorzystałeś ponoć olbrzymy i czarowników, by wytropić Shekam, oraz flotę okrętów, by przyspieszyć podróż. Flotę Vin Thalun, dodam.

Nathair odwrócił głowę. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po rzędach zwojów na ścianach.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – zapytał Aquilus.

– To było konieczne.

– Konieczne.

– Tak. Liczyło się dla mnie tylko zwycięstwo. Wypełniłem zadanie, z którym mnie wysłałeś, ojcze. Czy ważne jest, w jaki sposób tego dokonałem?

Aquilus przypadł do stołu, za którym siedział Nathair i grzmotnął pięścią w blat. Kałamarz przewrócił się, na blacie rozlała się czarna plama, krople atramentu zaczęły ściekać na kamienną podłogę.

– Okłamałeś mnie!

– Nie okłamałem. Zataiłem niektóre szczegóły, to fakt, ale tylko na jakiś czas. Chciałem ci o wszystkim powiedzieć! – W głosie Nathaira pojawiło się drzenie. – Ojcze, weź pod uwagę to, co osiągnęliśmy. Rozważ możliwości!

– Nie! – odparł Aquilus już spokojniejszym głosem. – Oszukałeś mnie. Okazałeś mi nieposłuszeństwo. Zakazałem ci dalszych

układów z Vin Thalun. – Król zachwiał się i wsparł ręką o blat.

– Ojczy, ja... przepraszam! Nie chciałem! Zależało mi tylko i wyłącznie na tym, byś był ze mnie dumny. Zrobiłem to wszystko, by pozyskać twoje względy! – Głos Nathaira zadrżał, a w jego oczach pojawiły się łzy. Spuścił wzrok, by je ukryć.

– Względy? – Aquilus potrząsnął głową. – Wiesz, z czym przyjdzie nam się mierzyć, Nathairze. Wiesz, co próbuję osiągnąć. Musimy być gotowi na nadejście Jasnej Gwiazdy.

Nathair wyprostował się i nabrał tchu, by się odezwać, ale Aquilus ciągnął dalej:

– Jak mam ci wierzyć? Jak mam cię teraz dopuścić do grona moich zaufanych ludzi? – Westchnął. – Chcę, byś powiedział mi prawdę o tym, co wydarzyło się w Tarbeshu. Muszę wiedzieć wszystko, zanim zadecydujemy o tym, co ma nastąpić wkrótce.

– Co masz przez to na myśli? – spytał Nathair.

– Rób, co ci mówię! – warknął niebezpiecznie Aquilus.

Księżę przez chwilę wpatrywał się w ojca nieprzyjaźnie, a potem zaczął mówić. Opowiedział mu o ich podróży do Tarbeshu, o Lykosie i jego flocie, o informacjach dostarczonych przez Alcyona i Calidusa, przy czym nie wspomniał imienia starca. Opowiedział o problemach, jakie Rahim miał z odnalezieniem olbrzymów Shekam, i o pomocy, jakiej udzielili mu Calidus i Alcyon, zarówno w zlokalizowaniu najeźdźców, jak i w stłumieniu ich czarodziejskiej mgły. Opowiedział ojcu o wszystkim, tylko o podróży do Telassar nie zająknął się nawet słowem.

– A więc widzisz, ojczy, że zawsze przyświecał mi tylko jeden cel, ten sam co i tobie! Chcę pokonać Asrotha i jego Czarne Słońce, a całe zamieszanie wynika z tego, że sięgnąłem po niecodzienne metody. Tradycja zbyt często wiąże nam ręce. Zbyt często mówi nam, że coś musi być zrobione tak, a nie inaczej. Ja zaś twierdzą, że istotne są nie metody, a wyniki. Należy ponieść niejedną ofiarę dla większego dobra.

– Słyszałem już gdzieś te słowa – rzekł Meical cicho, niemalże do

siebie. – Dawno, dawno temu. Nie zwiastowały niczego dobrego.

– To nie pora, byś zabierał głos – odezwał się chłodnym głosem Nathair. – Jesteś doradcą. Odzywaj się wtedy, gdy potrzeba nam rady.

Mężczyzna wbił wzrok w księcia. Jedyne lekkie rozchylenie nozdrzy zdradzało tłumiony gniew.

– Meical to dla mnie o wiele, wiele więcej niż tylko doradca – rzekł Aquilus.

– Co takiego?

– Miałem nadzieję, że kiedyś będę mógł ci to wyjaśnić. Ale nie teraz. Nie po tym, co usłyszałem. Prawdopodobność oraz odwaga, Nathairze. Wagi tych dwóch cnót próbowałem cię nauczyć, czyż nie?

Księżę wpatrywał się w ojca bez słowa.

– Zaufanie, Nathairze – ciągnął król, na twarzy którego malowało się osobliwe połączenie surowości i smutku. – Zaufanie między nami to niezwykle ważna sprawa. To wysoki mur, który chroni nas przed intrygami i oszustwami Asrotha. To zaprawa, która nas spaja. Tymczasem ja już ci nie ufam. Jesteś moim jedynym synem, a nie mam już do ciebie zaufania.

– Przecież to śmieszne, ojcze...

– Kim był ów Vin Thalun? – przerwał mu Meical.

Nathair urwał i zmarszczył brwi.

– Ten, który przeprowadził was przez terytorium Tarbeshu, towarzysz owego olbrzyma. Jak on się nazywa?

Księżę pokręcił głową.

– To bez znaczenia – burknął.

– Jak on się nazywa? – powtórzył pytanie Aquilus.

– Calidus – wyszeptał Nathair.

Król zamarł, a słowa uwięzły mu w gardle. Spojrzał na Meicala, który po raz pierwszy wyglądał na poruszonego, a nawet przestraszonego. Niespodziewanie Aquilus rzucił się na syna, chwycił go za ramiona i potrząsnął.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co właśnie zrobiłeś? – wycharczał mu prosto w twarz.

Veradis odruchowo zrobił krok naprzód i wyciągnął miecz z pochwy do połowy, gdy na jego nadgarstku zacisnęła się mocna dłoń, twarda niczym żelazo.

– Stój, człowieku księcia – szepnął Meical.

Aquilus wypuścił Nathaira, który zatoczył się i padł na stół. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Król zaś odwrócił się ku Veradisowi.

– Wyciągnąłbyś miecz na mnie? – warknął.

– Ja... Nie, mój panie. – Młodzieniec opuścił wzrok, zdjęty wstydem.

Meical puścił jego rękę, a Veradis wsunął miecz z powrotem do pochwy. Aquilus westchnął, przetarł oczy i podszedł do otwartego okna.

– Veradisie – szepnął.

– Tak, panie?

– Muszę pomówić z Mandrosem, i to szybko. Idź, sprowadź go do mnie.

– Czy to mądre? – wypalił Veradis.

Przecież to wróg, co do tego nie ma dwóch zdań, przeszło mu przez głowę.

– Widział, jak dzień zamienia się w noc. Zrozumiał, że słowa Halvora okazały się prawdą. Z pokorą przyzna mi rację i stanie po mojej stronie.

Nie, jeśli służy Asrothowi, pomyślał Veradis. Nie, jeśli szuka sposobu, by utorować drogę Czarnemu Słońcu.

Zerknął na księcia i ujrzał, jak ten kiwa głową.

– Tak, mój panie.

– Meicalu. – Aquilus zwrócił się do doradcy. – Ja zaś chcę pomówić z synem. Na osobności.

Mężczyzna spoglądał to na króla, to na księcia, aż wreszcie odwrócił się ku Veradisowi.

– Chodźmy – rzekł i razem wyszli z komnaty, w której ojciec i syn, milcząc, wpatrywali się w siebie.

* * *

– Twoja lojalność jest godna podziwu – rzekł Meical do milczącego Veradisa po drodze. – Choć przemyśl dobrze, czy ten ktoś na nią zasługuje.

– Czy ty właśnie wyraziłeś się źle o Nathairze? – Veradis przystanął gwałtownie.

– Powiedziałem ci prawdę taką, jaką ją widzę – odparł królewski doradca.

– To księżę Tenebralu! Ze świecą szukać lepszego człowieka!
Meical wzruszył ramionami.

– Jego decyzje są co najmniej wątpliwe, a towarzysze, jakich sobie dobiera...

– Calidus jest ponad wszelkimi podejrzeniami. Natomiast zastanawiasz mnie ty.

– Ja? – prychnął pogardliwie Meical. – Ja żyję po to, by służyć Elyonowi i jego Jasnej Gwieździe.

– Twoja Jasna Gwiazda jest tu, głupcze! Na najwyższym piętrze tej wieży!

Meical zmrużył oczy.

– Nie sądzisz chyba, że Nathair...

– Ha! – parsknął Veradis. – Prawda kryła się tu przez wiele lat, a mimo to nie udało ci się jej odkryć. Wybacz, mam sprawę do załatwienia.

Z tymi słowami ruszył w stronę komnat Mandrosa i nie odwracał się, póki nie dotarł do drzwi. Gdy to w końcu uczynił, Meicala już nie było.

Król Carnutanu był masywnie zbudowaną mężczyzną, swego czasu barczystym i muskularnym, ale z upływem lat zaczął

przybierać na wadze. Jego tuszę opinał gruby pas ze srebrnymi ozdobami.

Veradis przekazał mu prośbę króla Aquilusa, a ten natychmiast skinął głową i wyszedł z komnaty w asyście dwóch zbrojnych. Nadal był blady i wydawał się wstrząśnięty, choć słońce wyglądało już zwyczajnie.

I gdzie się podział twój szyderczy ton?, pomyślał Veradis.

Zaprowadził Mandrosa w górę schodów do osobistej komnaty Aquilusa, mijając po drodze Orcusa, jego osobistego strażnika.

– Poproszę o twą broń, panie – rzekł do króla Carnutanu.

Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić na to, by ten człowiek stanął przed obliczem Aquilusa czy Nathaira z mieczem przy pasie. Nadal nie wyzbył się podejrzeń, że to on stoi za omdleniem Nathaira na murze. Król spojrzał krzywo, ale odpiął miecz i oddał go Veradisowi. Ten zapukał do drzwi.

Otworzył Nathair, który wpuścił Mandrosa, poprosił przybocznego, by na niego zaczekał, a potem zamknął drzwi.

Veradis został na korytarzu w towarzystwie dwóch strażników Mandrosa. Oparł się o gobeliny wiszące na ścianie i uświadomił sobie, że ma za sobą szalony dzień. Nadal pamiętał twarz Nathaira podczas konfrontacji z ojcem. Księżę był wstrząśnięty, zrozpaczony, w jego oczach pojawiły się nawet łzy. Dobrze, że Aquilus nie przypominał w niczym ojca Veradisa. Lamar pewnie uderzyłby go w twarz za tak niemęskie zachowanie. W głębi serca młodzieniec współczuł księciu, którym bez wątpienia powodowało pragnienie zdobycia ojcowskiej aprobaty. Dobrze znał to uczucie, ale odepchnął je od siebie już dawno. Zbudował w sercu mur, by odgrodzić się od bólu, ale nigdy tak naprawdę nie przestał go odczuwać. Ból towarzyszył mu stale niczym cierń w boku.

Zacisnął dłonie na skroniach. Wszystko tak bardzo się skomplikowało.

Drzwi stanęły otworem, a ze środka wypadł Mandros, nadal blady i chyba jeszcze bardziej wstrząśnięty niż wcześniej. Drżącymi

dłońmi odebrał pas z mieczem z rąk Veradisa, zatrzaskał za sobą drzwi i pognął w dół korytarza, a jego ludzie za nim.

Gdy znikli za rogiem, Orcus spojrział na Veradisa bacznie i zmarszczył brwi. Tak, wydarzyło się coś niedobrego.

Veradis podszedł do drzwi i wyteńczył słuch. W środku panowała całkowita cisza, którą po chwili przerwał czyjś kaszel. Niespodziewanie w sercu młodzieńca wezbrała panika. Pchnął drzwi ramieniem i wpadł do komnaty.

Nathair leżał przy grubej nodze od stołu, wsparty na łokciu. Jego nadgarstek był poplamiony krwią, która utworzyła już kałużę na podłodze.

– Ve-Veradis... – wymamrotał.

– Orcus! – krzyknął młodzieniec, po czym przypadł do Nathaira i uklęknął.

Z boku księcia sterczała rękojeść noża, wbitego tuż pod zebra. Nathair usiłował pochwycić ją osłabłą dłonią. Jego twarz powlekła śmiertelna bladość.

– Nie ruszaj się! – krzyknął Veradis.

Orcus wpadł do środka i znieruchomiał.

– A gdzie król?! – zawołał.

Veradis wpatrywał się w niego bezrozumnie.

– Gdzie Aquilus?! – wrzasnął Orcus.

– Tam – rzekł cicho Nathair i machnął dłonią.

Pośród cieni pod otwartym oknem leżała skulona postać.

– Nie... – szepnął Veradis.

Spoglądały na niego puste oczy bez życia.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

CORBAN

– O co ci chodziło? – spytał Corban.

– Kiedy? Z czym znowu? – Brina wywróciła oczami.

– No, na uczcie, gdy powiedziałaś: „Kręgi wewnątrz kręgów”.

O zaręczynach Uthana i Kyli.

Uzdrowicielka smagnęła go ostrym spojrzeniem.

– Talent do zadawania tysięcy pytań nie jest jak widać twoim jedynym – stwierdziła. – Do tego dochodzi jeszcze czuły słuch.

– Och, dziękuję. – Corban się uśmiechnął.

– To nie był komplement. Chodziło mi o to, że – zaczęła Brina powoli, ostrożnie dobierając słowa – nic nie jest tak proste, jak się wydaje.

– A co to ma niby oz...

– Ach! – warknęła uzdrowicielka, unosząc palec. – Chciałam ci to wszystko wyjaśnić, ale jeśli masz zamiar zadawać kolejne pytanie za każdym razem, gdy zrobię sobie przerwę na nabranie tchu, uznam rozmowę za zakończoną już w tym momencie.

Corban przywołał siłę woli i z niemałym trudem zacisnął zęby.

– Chodziło mi o to – podjęła Brina – że Gethin tworzy własne więzi z królestwem Narvonu. Uthan to dziedzic króla Owaina i kiedyś sam zasiądzie na tronie, o ile wcześniej się nie zabije. Kyla zaś zostanie jego królową. Nie sądzę, by król Brenin był z tego zbytnio zadowolony. Bracia Gethin i Evnis są ambitni. Robią

wszystko, by zdobyć dla swego rodu jak najwyższy status w królestwie i poza nim, jak widać. Evnis od lat robi wszystko, by doprowadzić do zrękowin Vonna z księżniczką Edaną.

Corban burknął pod nosem. Z jakiegoś powodu wcale mu się ta myśl nie spodobała. Brina uniosła brew.

– Wyobraź sobie teraz, że syn Evnisa bierze za żonę królową, a córka Gethina wychodzi za króla. Jeszcze chwila, a ich ród obejmie dwa trony!

Corban pokiwał powoli głową.

– Ludzie to samolubne małe dranie – westchnęła Brina. – Zawsze ze wszystkich sił próbują podnieść swój status, bez względu na to, kim są.

– Nie wszyscy ludzie są tacy – oznajmił chłopak, który nagle poczuł się urażony.

– Nie? No cóż, pewnie masz rację, ale rozejrzyj się dookoła siebie, Corbanie. Gdy już nauczysz się, jak wygląda i czym śmierdzi ludzka chciwość, naoglądasz się jej w życiu aż za wiele. To przygnębiające doświadczenie.

– Ludzie widzą to, co chcą zobaczyć – oznajmił chłopak, któremu nagle wydało się, że sam również jest całkiem mądry.

Brina spojrzała na niego ostro.

– A gdzieś ty usłyszał taką mądrość, co? Od Heba?

– Tak – przyznał z niechęcią Corban.

Uzdrowicielka zachnęła się i spojrzała przed siebie.

Opuścili Badun już trzy dni temu, a teraz znajdowali się na trakcie do Dun Carreg. Zimny wiatr z północy, który nadleciał w Dniu Zimowego Przesilenia, nie ustępował, smagając całą krainę lodowatymi podmuchami. Krysztalki lodu migotały wokół nich. Było tak zimno, że Corbana rozbolały uszy. Nadal nie przestawał myśleć o niezwykłych rzeczach, których był świadkiem w Badun. Pojedynek między Tullem a Morcantem zaparł mu dech w piersiach i na samo wspomnienie chłopak czuł jednocześnie mdłości i uniesienie. A potem, jakby tego było mało, nadszedł Dzień

Zimowego Przesilenia. Żałował, że nie udało mu się ujrzeć nic więcej, bo z opowieści Cywen wynikało, iż była to niezwykła chwila. Czuł również wstyd z powodu tego, że zemdłał. Nie chciał oczywiście, by Rafe się o tym dowiedział, ale z drugiej strony był teraz innym człowiekiem, twardszym i silniejszym. Nadal miał przebłycki wspomnień i czuł się, jakby przydarzyło mu się coś szczególnego, choć nie wydawało się to bardzo prawdopodobne.

Nie miał pojęcia, co zaszło między królem Breninem i pozostałymi władcami, choć Rhin wyjechała wkrótce po tym, jak słońce wróciło do normy. Następnego dnia orszak władcy Ardanu również wyruszył do domu, a wśród członków królewskiej świty jechała tajemnicza para, która wcześniej poprosiła Brenina o Schronienie.

Podróż powrotna do Dun Carreg przebiegła bez szczególnych zdarzeń i wkrótce rodzeństwo poczuło już smakowite zapachy dolatujące z rodzinnej kuchni. Na progu wpadli w objęcia Gwenith, która ścisnęła ich długo i serdecznie, aż pojawił się Thannon, który otoczył ich potężnymi ramionami. Następnie matka zażyczyła sobie, by opowiedzieli jej o wszystkim, co się wydarzyło.

– Witajcie więc w domu – powiedziała, gdy wreszcie skończyli. – Mam nadzieję, że macie dość podróżowania na jakiś czas.

Potem uścisnęła ich raz jeszcze.

* * *

Zesztywniała od mrozu trawa ugięła się z chrzęstem pod stopami Corbana, który szedł w ślad za Halionem na skraj areny do walk.

– Praca tarczą, Corbanie, nie sprowadza się do obrony – mówił wojownik. – Przyjrzyj się przez moment, a dowiesz się więcej, niż jestem w stanie ci powiedzieć.

Na skale czekał już Conall, który ściągnął mocno włosy z tyłu głowy. Trzymał drewniany miecz i tarczę w pogotowiu, a z jego ust

nie schodził krzywy uśmiech. Jego przeciwnikiem był Marrock, mężczyzna wyższy i szczuplejszy od Conalla. Czerwona blizna na jego twarzy odcinała się ostro od bladej karnacji. Łowczy również trzymał tarczę i miecz ćwiczebny. Pozdrowili się skinieniem, po czym Conall błyskawicznie rzucił się na przeciwnika, a ten cofnął się pośpiesznie.

– Widzisz, jak mój brat korzysta z tarczy? – spytał cicho Halion.
– Służy mu nie tylko do blokowania uderzeń Marrocka. Conall próbuje doprowadzić do tego, by przeciwnik stracił równowagę i wystawił się na cios.

Corban pokiwał głową. Na jego oczach Conall przyjął na tarczę cios z dołu, po czym napał nią ku górze, próbując wepchnąć umbo w twarz Marrocka. Ten odskoczył i wycelował własną tarczą w bok Conalla, ale brat Haliona nadal napierał, ugruntowując swą przewagę.

Nauczyciel Corbana mruknął z aprobatą.

– Tarcza również może być bronią – rzekł. – Ta, z którą idziesz do bitwy, ma brzegi obite żelazem i żelazne umbo. Uderz nią przeciwnika, a niewykluczone, że już wygrasz. Tarcza jednakże ograniczy ci wybór miecza. Niektórzy wolą dłuższe, cięższe ostrza, które trzeba trzymać oburącz. Taki miecz zwiększy twój zasięg i siłę uderzenia. Jeśli chcesz korzystać w walce z tarczy, musisz wybrać dla siebie lżejszą broń, chyba że masz siłę wołu jak twój ojciec czy Tull. Tacy jak oni są w stanie władać jednocześnie tarczą oraz ciężkim mieczem. – Halion przyjrzał się uważnie Corbanowi i poklepał go po ramieniu. – Praca w kuźni Thannona dobrze ci służy. Masz mocne barki i ramiona. Mam wrażenie, że nie dorównasz rozmiarami ojcu, ale przewyższysz siłą wielu ludzi. – Urwał. Rzadko się zdarzało, by mówił tak wiele, chyba że tematem była sztuka władania mieczem.

– Dlaczego nie przyszliście na ucztę do Badun? – spytał Corban, przypomniawszy sobie, że nie widział żadnego z braci w sali biesiadnej.

– Co? Przecież to było całe księżycy temu!

– No i? – Corban wzruszył ramionami. – Wszyscy tam byli z wyjątkiem was. Nie widzieliście pojedynku, a ja chciałem z tobą o nim porozmawiać.

– Miałem swoje powody – wycedził Halion. – Teraz lepiej skup się na walce.

Odwrócił się ku starciu między Marrockiem i jego bratem. Obaj wymieniali ciosy, zarówno te potężne, z zamachu, jak i szybkie wypady. Blokowali uderzenia przeciwnika, po czym uderzali sami.

– Marrock to dobry przeciwnik dla mego brata – rzekł Halion. – To strateg, podczas gdy mój brat uosabia siłę natury. Gdyby nie był tak dobry w walce mieczem, już dawno zabiłby go jego własny gniew. Są tacy ludzie, Corbanie. Widać to w ich oczach. Gniew twego przeciwnika również może okazać się skuteczną bronią, bo ludzie owładnięci furją popełniają błędy.

– Wiem. Gniew jest wrogiem, jak mówi G... – Corban w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Halion spojrzał na niego, ale nie powiedział ani słowa.

– Czy Conall chętnie sięga po tarczę? – spytał chłopak.

– Czasem z niej korzysta, jeśli sytuacja tego wymaga. Na ogół walczy dwoma mieczami albo mieczem i sztyletem. – Halion uśmiechnął się. – Jak już ci mówiłem, nie należy do szczególnie cierpliwych ludzi. Jest natomiast szybki. Nigdy nie widziałem kogoś tak szybkiego jak on.

Wówczas Conall, jakby chciał potwierdzić słowa brata, zwiększył tempo natarcia. Uderzał tak prędko, że Corban nie mógł nadążyć wzrokiem za jego mieczem. Rzucił się na Marrocka, zasłaniając tarczą własne ostrze, by przeciwnik nie widział, skąd padnie cios. Zamierzył się, by trafić go w zębra, ale widząc, że przeciwnik zasłania się tarczą, zmienił tor uderzenia. Jego miecz zatoczył łuk, przemknął pod krawędzią tarczy i znów się poderwał, by utknąć w brzuchu łowczego. Marrock znieruchomiał, nieco zaskoczony, aż uświadomił sobie, że starcie właśnie dobiegło końca. Pochylił głowę

i uśmiechnął się do Conalla, który również odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Wielu ludzi uważa, że w walce na miecze wygrywa silniejszy – rzekł Halion. – I zapewne często mają rację. Niemniej mistrzowie, czyli ci, którzy planują żyć najdłużej, wiedzą, że walka mieczem sprowadza się do sztuki zmylenia przeciwnika. Człowiek, z którym walczysz, ma myśleć, że tniesz go z lewej, podczas gdy ty uderzasz z prawej. Ma sądzić, że go tniesz, a ty wyprowadzasz pchnięcie. Zwód i fortel, Corbanie. To w ten sposób Conall właśnie pokonał Marrocka. Jego miecz znalazł się tam, gdzie Marrock nigdy by się go nie spodziewał. Był na to całkowicie nieprzygotowany. Co więcej, mój brat zrobił dobry użytek zarówno z tarczy, jak i z fortelu. Już rozumiesz?

– Ja... Tak, rozumiem.

– Ów pojedynek między Tullem a Morcantem w Badun. Cóż, nie widziałem go, ale opowiedziano mi jego przebieg ze szczegółami.

Corban pokiwał głową z entuzjazmem. Jak mógłby o nim zapomnieć?

– Pamiętaj, że Tull wygrał dzięki fortelowi. W odpowiedniej chwili wyrzucił garść paprochów w twarz Morcanta. Tull to naprawdę wspaniały wojownik, a myśli równie szybko, jak uderza. Ludziom zdaje się, że jego przeciwnicy czują respekt na widok potężnych barów i dlatego mu ulegają, ale to nie o to chodzi. Tull myśli i analizuje, a to ważna umiejętność, jeśli walczysz o życie. Dobrze, chłopcze. Widziałeś już, jak należy korzystać z tarczy. Sprawdźmy teraz, jak ty sobie radzisz.

Corban podszedł w ślad za Halionem do stojaków z bronią. Wielokrotnie już próbował nauczyć się posługiwania tarczą, ale nie czuł się z nią w pełni swobodnie. Gar uczył go bowiem głównie posługiwania się mieczem dwuręcznym, który był ulubioną bronią stajennego i z nią czuł się najlepiej.

Idąc po zamarzniętej, chrzęszczącej trawie, Corban zaczął rozglądać się po Łące, aż dostrzegł Tulla stojącego przed grupką

wojowników, z którymi ćwiczył.

Od jego powrotu z Badun jego mama nie była sobą. Chłopak często zauważał, że wpatruje się w niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Częściej też go dotykała – nie, żeby wcześniej, przed wyprawą traktowała go oziębło, ale teraz podchodziła do niego za każdym razem, gdy przebywali w tym samym pomieszczeniu, choćby po to, by musnąć palcami wierzch jego dłoni. Nie znał przyczyny. Być może powodem było jego omdlenie?

Nie tylko ona poświęcała mu więcej uwagi. Wszędzie, gdzie się pojawił, widział ojca lub Gara. Gdy odwiedzał Brinę, by pomóc jej w pracy, co wkrótce stało się elementem jego codziennej rutyny, Gar zawsze pracował w pobliżu z końmi. Przez resztę czasu towarzyszył mu ojciec – nawet gdy Corban opuszczał już kuźnię, by spędzić choć chwilę z Dathem w okolicy wioski, wyczuwał obecność Thannona. Zaczynało go to denerwować.

– Trzymaj ją w odpowiedni sposób – rzekł Halion, podając chłopakowi starą, wysłużoną tarczę. – Złamane ramię to kiepska sprawa, uwierz mi.

I przystąpili do ćwiczeń. Halion zmuszał Corbana, by myślał o każdym ruchu i karał go siniakami za każde nieprzemyślane posunięcie. Po chwili ramię chłopaka całkiem zdrętwiało, a bark pulsował bólem od impetu uderzeń przyjmowanych na tarczę. Wojownik obdarzył go wilczym uśmiechem.

– Na dzisiaj koniec, chłopcze – rzekł.

– Całe szczęście – odparł Corban. Pot spływający z czoła szczypał go w oczy.

– Dobrze sobie radzisz. We władaniu mieczem jesteś lepszy od przeciętnego adepta, tarcza również leży ci nie najgorzej. Pora więc skupić się na walce włócznią i strzelaniu z łuku.

– Co? – burknął Corban. – Wystarczy mi miecz. Wojownicy nie strzelają z łuków. Po co mam się tego uczyć?

– Bo nawet wojownicy muszą jeść – odparł Halion. – Nie chcesz chyba do końca życia wsuwać mięsa zwierząt schwytych przez

innych ludzi, co? Będziesz musiał przyłożyć się do wspólnego posiłku. Poza tym, któż może wiedzieć, co przyniesie przyszłość? Może któregoś dnia będziesz musiał sam zatroszczyć się o jedzenie? Będziesz mi wówczas wdzięczny za czas spędzony na nauce posługiwania się łukiem i włócznią.

Corban nie odpowiedział. Wiedział, że Halion ma rację, ale pragnął rozwijać umiejętności szermiercze. Miał wrażenie, że strzelanie z łuku nie przynosi nikomu chwały, chyba że jest się łowczym jak Marrock. Pod czujnym okiem Haliona próbował już strzelać z łuku, ale nie szło mu to najlepiej. Po kilku źle posłanych strzałach cięciwa poraniła mu skórę na przedramieniu.

Spojrzał na tarcze, ustawione po przeciwnej stronie Łąki, i dostrzegł wysoką, szczupłą postać Tarbena. Obok niego stał drobny, acz wyprostowany Dath i bez wysiłku słał strzałę za strzałą w słomiane cele. Syn rybaka bardzo upodobał sobie tę broń i czynił zadziwiające postępy, choć nie był z siebie szczególnie zadowolony – wolałby zostać szermierzem. Wiedział, że bez tej umiejętności nigdy nie zostanie przyjęty do hufca któregoś z baronów, o czym marzył w głębi duszy. Chciał bowiem uciec od swego ojca, od łodzi i morza, pragnął wziąć los we własne ręce i samemu odnaleźć dla siebie miejsce w życiu.

– Ale nie weźmiemy się za to dziś, chłopcze – rzekł Halion, widząc kwaśną minę Corbana. – Dziś już się wystarczająco napracowaliśmy. Do zobaczenia jutro rano.

Corban, człapiąc, ruszył w stronę ścieżki prowadzącej do wsi i fortecy. Burza, która leżała wśród cieni rzucanych przez jarzębiny, podniosła się i podbiegła do niego.

Inni adepci również opuszczali już Łąkę – w pojedynkę bądź w niewielkich grupkach. Corban nie zwracał na nich większej uwagi, aż usłyszał ciche warknięcie Burzy. Uniósł głowę i ujrzał Rafe'a, któremu jak zwykle towarzyszył Crain. Obaj pochyłali się, podnosili garście kamyków i rzucali w kogoś przed sobą. Corban przyśpieszył, chcąc się przekonać, co się dzieje.

Kamyki odbijały się od pleców wysokiego, barczystego chłopaka, który oddalał się od nich. Rafe parsknął śmiechem.

– Zupełnie jak ojciec! – zawołał. – Na Łące nie ma miejsca dla tchórzy ani dla synów tchórzy, wiesz?

Odchodzący chłopak zatrzymał się nagle i odwrócił. Był to Farrell, syn Anwartha, wojownika, który rzekomo udawał ciężko rannego w potyczce w Ciemnym Borze. W tej samej potyczce zginął Rhagor. Farrell zacisnął pięści, a jego twarz nabrzmiała czerwienią. Po policzkach płynęły łzy.

– Co? – Rafe podszedł bliżej.

Farrell dygotał na całym ciele.

– Przestańcie! – wyrzucił z siebie drżącym głosem. Był młodszy od Corbana, ale równie wysoki jak Rafe i lepiej od niego zbudowany. Crain stał obok syna łowczego.

– Nie – rzekł Rafe. – Nie przestanę, bo Jarzębinowa Łąka służy do szkolenia wojowników. A ty? Może byś został we wsi, co? Mógłbyś pomóc innym kobietom w myciu i patroszeniu ryb!

– D-d-dlaczego... Dlaczego wy... – wyjąkał Farrell.

Corban podszedł do nich. Czuł, jak w jego brzuchu rozlewa się ogień.

– Zostawcie go w spokoju – usłyszał własny głos.

– Och, nie! – Crain odwrócił się. – Skąd się biorą wszyscy ci tchórze?

Rafe obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem. Burza zrobiła krok naprzód i warknęła głucho, obnażając kły. Z jej paszczy ściekła strużka śliny. Obaj prześladowcy odruchowo zrobili krok do tyłu.

– Chyba nie podoba jej się twój ton – rzekł Corban i poklepał wilkunicę po boku.

– Myślisz sobie, że jesteś bohaterem, co? Bo ruszasz innemu tchórzowi na ratunek? – spytał Rafe. – Moglibyście we dwójkę utworzyć własny hufiec, do którego przyjmowano by tylko tchórzy. Spływaj stąd, synu kowala. Dostaniesz za swoje, ale jeszcze nie teraz. Za dwa księżyce przystąpię do Długiej Nocy, a po tym, jak ty

przejdiesz swoją, nawet Tull cię przede mną nie obroni. Będę na ciebie czekał.

Corban wzruszył ramionami.

– Zostaw go w spokoju – powtórzył i spojrzał na Farrella, który wpatrywał się w niego intensywnie. Corban uśmiechnął się, by dodać mu otuchy i zbliżył się do niego o krok. Niespodziewanie Farrell złapał go za ramiona, obrócił, pochwycił za ubranie i pociągnął do góry.

– Trzymaj się od tego z daleka! – wysyczał mściwie.

Corban odruchowo kopnął go w goleń i zatoczył się, gdy Farrell go wypuścił.

– Ja tylko próbuję ci pomóc! – wyjąkał.

Farrell nadal wpatrywał się w niego złowrogo, aż nagle odwrócił się i rzucił do ucieczki, potykając się o własne nogi. Rafe i Crain parsknęli śmiechem i ruszyli przed siebie.

– Musisz się bardziej postarać, gdy dobierasz sobie przyjaciół! – rzucił Rafe przez ramię, chichocząc.

Corban stał w miejscu przez chwilę, równie zaskoczony jak wściekły. Pragnął jedynie przyjść Farrelowi z pomocą, bo dobrze wiedział, jak czuje się ktoś, kogo Rafe wybiera sobie na ofiarę. W końcu westchnął i ruszył przed siebie, kopiąc kamyki.

Wtedy przypomniał sobie, jak sam się czuł, gdy chłopak uderzył go podczas Wiosennego Festiwalu. Przypomniał sobie swój strach, złość i wstyd z powodu tego, że stał jak kołek i nic nie zrobił, podczas gdy Cywen wstawiła się za nim. Cóż, nie czuł wówczas wielkiej wdzięczności za to, co uczyniła.

Rozmyślał o tym przez moment. Może powinien odnaleźć Farrella i przeprosić go za to, że się wmieszał? Ależ on nie znosił tego Rafe'a.

„Będę na ciebie czekał” – powiedział.

Cóż, dobrze. Niech czeka.

Corban uniósł głowę i uświadomił sobie, że doszedł do stajni. Na środku wybiegu stała jego siostra. Przednią nogę konia postawiła

na swym kolanie i skrobała kopyto małym nożykiem. Chłopak oparł się o słupek kilka kroków za nią i czekał w milczeniu, nie chcąc jej przerywać.

Niespodziewanie owładnęło nim nowe, obce uczucie, które spłynęło po jego karku, plecach i ramionach, pozostawiając gęsią skórkę. Odwrócił wzrok i ujrzał Gara, który stał przy wrotach do stodoły i rozmawiał z wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, trzymającym wodze wielkiego srokacza. Przybysz miał na twarzy głębokie blizny przypominające ślady po pazurach. Obaj odwrócili głowy i spojrzeli na niego.

– Co to za człowiek? – zapytał Corban siostrę.

– Co? – burknęła Cywen, skupiona na kopycie. – A, ten. Przyjechał tu jakiś czas temu. Zaraz, jak go nazwał Gar? Wydaje mi się, że Meical.

Rozdział pięćdziesiąty

VERADIS

Veradis stał na kamienistym uskoku z ramionami skrzyżowanymi na piersi krytej skórzanym pancerzem i wpatrywał się we flotyllę, zakotwiczoną w odnalezionej przez nich zatoce. Na pokładach czterdziestu okrętów roilo się od ludzi, których do niedawna uważałby za wrogów. Teraz jednakże byli jego sojusznikami, gotowymi wypełnić każdy jego rozkaz.

Mandros.

Wołanie Orcusa, by zatrzymać króla Carnutanu, rozległo się zbyt późno. Mandros zdołał zbiec z Jerolin, w pośpiechu nie zebrawszy nawet wszystkich swoich wojowników. Orła straż Aquilusa rzuciła się do pościgu, ale Mandros miał zbyt wielką przewagę i umykał w panice, zaniechując jakichkolwiek środków ostrożności. Strome zbocza i zasypane śniegiem szczeliny w górach Agullas kosztowały go życie wielu ludzi, ale zdołał jeszcze powiększyć dystans dzielący go od ścigających.

Niecały księżyc później ludzie wysłani w ślad za Mandrosem wrócili do Jerolin z nisko opuszczonymi głowami i pustymi rękami. Uroczystości pogrzebowe dobiegły już końca, a nad grobem Aquilusa wzniesiono wysoki kurhan. Baronowie królestwa, którzy zjechali się do stolicy, by po raz ostatni oddać cześć zamordowanemu władcy, złożyli przysięgę na wierność wciąż słabemu, pobladłemu Nathairowi. Ostrze noża minęło vitalne

organy, ale książę o mało nie wykrwawił się na śmierć, czekając na przybycie uzdrowicieli. Palce, które zaciskał na dłoni swego przybocznego, słabły z każdą chwilą.

Nie po raz pierwszy Veradis poczuł ogień w sercu. Przez pierwszych kilka dni po Zimowym Przesileniu nosiła go nieujarzmiona furia. Czuł ogromny wstyd na myśl o tym, że stał bezczynnie na korytarzu, podczas gdy ktoś zamordował jego władcę i ugodził nożem przyjaciela, a potem porzucił obu na śmierć. Z upływem czasu emocje wystygły i przeistoczyły się w zimną, nigdy niegasnącą furię, której dotąd nie doświadczył.

Mandros zapłaci za to, pomyślał.

Korciło go, by wyruszyć w drogę, gdy tylko ludzie wysłani w ślad za Mandrosem powrócili z pustymi rękami, ale Nathair nadal nie odzyskał pełni sił, a przełęcze gór Agullas były póki co nieprzejezdne dla większych oddziałów. Tymczasem, by pokonać Mandrosa, należało zebrać spore siły. Veradis wiedział, że hufce króla Carnutanu już obsadziły przełęcze. Lykos, którego Nathair wezwał wkrótce po próbie zabójstwa, zgodził się przewieźć większą liczbę wojska na terytorium Carnutanu, ale odradzał żeglugę w trakcie Księżyca Burz i Księżyca Śniegu. Czekali więc, planowali, organizowali zaopatrzenie, wyznaczali cele i układali strategię. Książę, ku zaskoczeniu Veradisa, powierzył dowództwo kampanii Peritusowi.

– Prowadził ich już wiele – wyjaśnił mu Nathair. – Nie zgadzamy się we wszystkim, ale Peritus zna się na rzeczy, a jego wściekłość płonie równie mocno jak twoja. Przyglądaj mu się i ucz się od niego.

Veradis zgodził się, acz niechętnie, lecz wkrótce ujrzał sens rozumowania Nathaira. Peritus był doskonałym strategiem, a jego umiejętności organizacyjne nie miały sobie równych. Tym oto sposobem Veradis wkrótce znalazł się na południowym wybrzeżu Carnutanu i patrzył na setki żołnierzy spod znaku orła Tenebralu, opuszczających okręty Vin Thalun.

Wojownicy zeszli ze statków o świcie. Najpierw wysadzono na brzeg niewielkie grupki konnych zwiadowców, którzy szybko rozjechali się po okolicy. Teraz zbliżało się południe.

Niespodziewanie rozległy się okrzyki. Wóz, sprowadzany na brzeg po szerokiej rampie, nagle wyrwał się i zawisł jednym kołem nad falą przyboju. Ładunek zsuwał się i wpadał z rozbryzgiem do wody. Veradis zaklął wściekle, odruchowo obliczając, ile czasu będą potrzebować, by wyciągnąć go z wody.

– Cierpliwości – odezwał się ktoś za nim.

Veradis odwrócił się i ujrzał Peritusa, stojącego kilka kroków dalej. Pokiwał głową i znów zaczął się przyglądać wojownikom, schodzącym w grupach na brzeg i tworzącym dwie luźne gromady. Mniejsza z nich liczyła około sześciuset ludzi, co do jednego weteranów kampanii w Tarbeshu, odznaczonych kłębem draiga. Wraz z większą grupą, podległą rozkazom Peritusa, mieli do dyspozycji trzy tysiące mieczy. Nie była to siła, z którą można się było zapuścić w głąb wrogiego terytorium, ale liczyli na atut zaskoczenia. Mandros przypuszczalnie będzie oczekiwał, że podejmą działania wojenne dopiero po wiosennych odwilżach i pošlą wielką armię przełęczami gór Agullas, ale wiosna miała nadejść dopiero za pół księżyca. Zwiadowcy donieśli, że Mandros gromadzi swe wojska w Tarbie, fortecy granicznej strzegącej przełęczy prowadzących do samego Carnutanu. Peritus i Veradis mogli liczyć na jeszcze jeden hufiec, który póki co przebywał w Jerolin, ale miał ruszyć przez góry po nadejściu odwilży. Oczekiwali jednak, że uda im się pokonać Mandrosa wcześniej.

Wedle planu mieli teraz ruszać na północ, ku stolicy Mandrosa. Lykos zapewnił ich, że tam właśnie schronił się król Carnutanu, uciekając niczym lis przed sforą ogarów.

Z grupy wojowników Veradisa wyłonił się jeden człowiek, który zwrócił się ku niemu i uniósł ramię w pozdrowieniu. Był to Rauca, który ruszył w górę po kamienistym zboczu, mijając rosnące tu i ówdzie mizerne kępy traw, aż dotarł do przybocznego księcia.

– Będą o nas śpiewać pieśni, i to już niedługo! – oznajmił z szerokim uśmiechem. – Młodzi mężczyźni będą marzyć o tym, by być tacy jak my, a dziewczęta będą o nas śnić!

Veradis parsknął, na co Rauca uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Uważaj tylko, by nie zaśpiewali ci pieśni pogrzebowych – rzekł Peritus.

– Nie ma mowy. Przez całą kampanię nie mam zamiaru ani na moment oddalać się od Veradisa.

Ten pokręcił głową. Trzech mężczyzn przyglądało się w milczeniu ostatnim wojownikom, którzy schodzili na brzeg z okrętów Vin Thalun, sprowadzając na plażę kilkanaście wozów. Potem okręty zaczęły odbijać i zawracać. Veradis skinął z aprobatą głową, gdy ujrzał, jak dzielią się na dwie grupy. Jedna z nich skierowała się na wschód, a druga na zachód.

– Dlaczego się dzielią? – spytał Rauca.

– Ich zadaniem jest nękanie nabrzeżnych fortec Mandrosa – odparł Peritus. – Dzięki temu, jeśli zostaną dostrzeżeni, miejscowi wezmą ich za piratów szukających okazji do rabunku. – Następnie zwrócił się ku Veradisowi. – Wciąż nie mogę się pogodzić z tym, że Vin Thalun stoją po naszej stronie, ale muszę przyznać, że bardzo nam pomagają. Nathair ma głowę na karku.

– Zgadza się – rzekł Veradis.

Nie chciał teraz o tym myśleć, gdyż ostatnie wspomnienia dotyczące króla Aquilusa, besztającego syna o układy z Vin Thalun, nadal były zbyt świeże. Nathair nie opowiedział mu jeszcze o ostatniej rozmowie, którą odbył z ojcem, i Veradisowi pozostawało mieć nadzieję, że pogodzili się przed śmiercią króla.

Śmierć.

Jego myśli skreśliły ku Meicalowi i rozmowie, którą odbyli po wyjściu z komnaty królewskiej. Postanowił wypytać doradcę o to, co chciał mu przekazać, ale odkrył, że ten opuścił Jerolin krótko po tym, jak rozniosły się wieści o śmierci Aquilusa. Valyn doniósł mu, że królewski doradca osiodłał konia wraz z wojownikami, którzy

ruszyli w pościg za Mandrosem. Stajenny uznał, że pewnie pojechał z nimi, ale okazało się, że postąpił inaczej. Zaintrygowało to Veradisa. Dokąd udał się Meical? I dlaczego wyjechał tak pośpiesznie? Przecież Nathair go potrzebował.

Westchnął i przetarł oczy.

– Ruszajmy więc – powiedział. – Do Dun Bagul mamy niezły kawał drogi.

Nie mogli wziąć wielu koni, gdyż Lykos zdołał naprędce zebrać jedynie czterdzieści okrętów, a wierzchowce zajmowały o wiele więcej miejsca niż ludzie. Zrezygnowali więc z atutu szybkości na rzecz zaskoczenia. Poza tym tempo poruszania się wyznaczały wozy, a większość wojowników i tak wolała walczyć pieszo, zwłaszcza hufiec Veradisa. Nie mógł się doczekać, aż utworzą mur tarcz przed nacierającymi ludźmi. O walce z olbrzymami i draigami wolał na razie zapomnieć.

– Słusznie – mruknął Peritus. – A więc ruszajmy do Dun Bagul! Po zemstę!

* * *

– Zostaliśmy odkryci – rzekł ponuro Peritus, gdy Veradis wszedł do jego namiotu.

Rauca wślizgnął się za nim, a skórzana poła opadła i zasłoniła carnutańską noc. Veradis wzruszył ramionami.

– I tak udało się niespostrzeżenie pokonać spory kawał drogi – powiedział do wojewody, wciąż pochylonego nad pergaminem. Nie widzieli jeszcze starej fortecy Dun Bagul, ale budowla znajdowała się blisko, w odległości niecałego dnia marszu.

– Zgadza się, ale utraciliśmy przewagę. Mandros będzie miał czas, by ściągnąć więcej wojska. Przypuszczalnie zgromadzi tylu ludzi co my, może nawet więcej.

– To dobrze. Może nabierze odwagi i wyściubi nos z tej swojej

lisiej nory, by stawić nam czoła.

– Pośle po pomoc. – Peritus wbił palec w pergamin przed sobą. – Jego najbliższe fortece to Raen na wschodzie i Iska na zachodzie. Nie mamy tylu ludzi, by powstrzymać posiłki, ale jeśli wierzyć naszym sojusznikom z Vin Thalun, zostały tam niewielkie garnizony. Większość wojowników została wysłana na wschód, by bronić przełęczy przed naszymi głównymi siłami. – Znużony wojewoda przeciągnął się. – Musimy wygonić go z legowiska i zmusić do bitwy, nim dotrze do niego pomoc.

– Zgadza się – burknął Veradis. – Jeśli zaś nie wyruszy, by spotkać się z nami w polu, pohańbię jego imię przed jego ludźmi. Wykrzyczę prawdę o tym, co zrobił!

Urwał na moment, gdy przeszył go dreszcz.

Morderca, wyszeptał głos w jego głowie.

– Wyzwę go na Sąd Mieczy! Zrobię wszystko, by wywabić go spoza murów.

– Moglibyśmy przypuścić szturm na Dun Bagul – rzekł Peritus. – Twierdzą da się zdobyć, ale oblężenie będzie nas sporo kosztowało. Stracimy zarówno ludzi, jak i czas. Mandros nie jest głupi, a jak do tej pory nigdy nie był tchórzem. Nasza najlepsza szansa kryje się tu.

Znów postukał palcem w pergamin. Veradis i Rauca podeszli bliżej i przyjrzeni się mapie.

– Spójrzcie na rzekę, która ciągnie się między nami a Dun Bagul. W promieniu pięciu dni marszu nie ma na niej żadnych mostów, ale w pobliżu znajduje się bród, który z jednej strony jest otoczony lasem, a z drugiej wzgórzami. Idealne miejsce, by złapać nas w zasadzkę. Mandros z pewnością wie o tym i jeśli uważa, że nasze siły są mniej więcej równe, przypuszczalnie będzie chciał wykorzystać sytuację.

Veradis uśmiechnął się ponuro.

– Poprowadzę straż przednią przez rzekę – oznajmił.

Peritus zmarszczył brwi.

– Nawet jeśli spodziewasz się zasadzki i jesteś na nią przygotowany, znajdziesz się w bardzo trudnej sytuacji.

Rauca parsknął śmiechem, w którym nie było wesołości.

– Przyzwyczailiśmy się do bardzo trudnych sytuacji. Tym razem nie będziemy mieli przed sobą śmiertelnie groźnych draigów i olbrzymy gotowe rozszarpać nas na kawałki.

– Sam nie wiem – rzekł Peritus. – Nie chcę wracać do Tenebralu bez pierwszego miecza naszego nowego króla.

– Widziałeś nasz trening – przekonywał go gorąco Veradis. – Wiesz, że nikt nie wykona tego zadania lepiej od nas! Zniesiemy impet każdego uderzenia, każdej szarży. Nasz mur tarcz idealnie się do tego nadaje.

– Może i tak. – Peritus uśmiechnął się nagle. – Wygląda na to, że masz w sobie coś z brata.

Veradis burknął pod nosem, nie wiedząc, co ma powiedzieć. Krelis zaprzyjaźnił się z Peritusem podczas swego pobytu w Jerolin i często opowiadał o przebiegłym wojewodzie Aquilusa.

– Dobrze więc – zdecydował Peritus. – Ruszycie jako nasza straż przednia. Wyjedziemy o świcie i nieśpiesznie skierujemy się ku rzece. Miejmy nadzieję, że Mandros wykorzysta informacje, które szpiedzy przyniosą mu jeszcze tej nocy.

Ktoś zapukał w skórę, przesłaniającą wejście do namiotu, a potem rozległ się głos strażnika Peritusa.

– Wejść! – nakazał wojewoda.

Do środka wkroczyło dwóch wojowników, prowadząc człowieka w znoszonej, skórzanej odzieży, owiniętego w czarny płaszcz. Mężczyzna odrzucił kaptur i pokazał zebrany szeroką, niczym niewyróżniającą się twarz o zaczerwienionych policzkach i nerwowym spojrzeniu.

Peritus krzyknął cicho, a Veradis westchnął. Widział tego człowieka na radzie u króla Aquilusa. Mieli przed sobą Gundula, syna Mandrosa.

* * *

Veradis wkroczył do rzeki i zatrzymał się na płyciźnie. Lodowato zimna woda natychmiast wlała mu się do butów i przeszła chłodem stopy, które zaczęły drętwieć. Po obu stronach miał po kilkunastu wojowników, rozstawionych w luźnym szeregu. Tarcza, przytroczona do pleców, sprawiła, że na moment stracił równowagę. Otoczaki zachrzęściły pod jego stopami.

Przed sobą miał przeciwny brzeg rzeki, daleko, o wiele za daleko. Tuż za nim wyrastało łagodne zbocze, które nikło między drzewami. Próbował nie patrzeć na drzewa, wśród których mogło lada moment błysnąć słońce odbite od czyjejś broni. Miast tego wbijał wzrok w wodę. Zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię i przekonał się, że większość jego drużyny już weszła do brodu. Wojownicy Peritusa, wśród których panował większy chaos, kłębili się za nimi.

– Już nie ma odwrotu, co? – mruknął stojący obok niego Rauca. – Co za głupek wpadł na pomysł, by posłać nas przodem przez rzekę?

– Hm – mruknął Veradis i uśmiechnął się lekko, choć w żołądku czuł ssanie strachu. Jego wzrok znów nieubłaganie przyciągnęła linia drzew, widniejąca się jakieś pięćdziesiąt kroków od brzegu. Jeśli Mandros w istocie szykował zasadzkę, zaczeka, aż większość drużyny wyłoni się z wody, by móc zaszarżować zarówno z flanki, jak i od czoła. Gdyby zaatakowali tylko od czoła, wepchnęliby ich jedynie z powrotem do rzeki, podczas gdy atak z flanki powodował na ogół większe straty i mógł nawet zdecydować o wyniku starcia.

Mandros.

Na samą myśl o władcy Carnutanu znikwały wszelkie wątpliwości.

Mandros bez wątpienia był sługą Czarnego Słońca. Zdrajca porwał sztylet Nathaira, wbił go w szyję króla Aquilusa, a potem w bok jego syna. Nie powinien był go wpuścić do tej komnaty.

Sprawiedliwość, wyszeptał obcy głos w jego głowie.

Tak, tego dnia miała zwyciężyć sprawiedliwość – mroczna, bezlitosna i krwawa.

Od przeciwległego brzegu dzieliło ich jeszcze trzydzieści kroków. Dwadzieścia...

Niespodziewanie między drzewami dało się słyszeć ostry, ogłuszający okrzyk bojowy, a potem zaroilo się od zbrojnych. Błyskały dobywane miecze, a ziemia dudniła pod stopami wojowników biegnących w dół zbocza ku ludziom Veradisa.

Ten zrzucił tarczę z pleców i ryknął:

– Mur tarcz!

Dobyl krótki miecz i uniósł osłonę. Poczul przyplyw otuchy, gdy ta z loskotem zwarła się z tarczą Rauki po lewej i Bosa po prawej stronie. Miał zaledwie chwile, by lepiej rozstawić stopy na niestabilnych kamieniach dna rzeki i zerknąć znad tarczy na nadciągający rój wojowników. Ci wydawali się zaskoczeni ich taktyką. Przecież nie tak toczono bitwy – ich drużyna powinna była zerwać się do biegu i zewrzeć się z nadciągającym hufcem przeciwnika. Bitwa powinna była rozbić się na dziesiątki, setki pojedynczych starć. Gdyby nie to, że drżały mu kolana, Veradis parsknąłby śmiechem.

Potem wrzeszcząca chmara przeciwników uderzyła w ich mur. Setki tarcz zderzyły się ze sobą z oszałamiającym, ogłuszającym hukiem. Mur zachwiał się, ale wytrzymał, a pierwsze szeregi nacierających zostały w okamgnieniu zgniecione przez kolejne. Veradis ugiął kolana, napał ramieniem na tarczę i stęknął z wysiłku, powstrzymując ogromny napór. Raz za razem kłuł mieczem pod brzegiem tarczy, a ostrze przebijało mięśnie, ścięgna, dosięgało kości. Czyjaś krew bryzgnęła na jego rękę, potem na ramię. Ludzie wrzeszczeli, trupy osuwały się pod nogi walczących lub nadal trwały w pionie, przygniatane do muru tarcz przez napór atakujących. Wojownicy walczący w szyku po obu stronach zadawali śmierć z zimną skutecznością.

Veradis wykrzyknął rozkaz i usłyszał, jak wojownik stojący za nim przekazuje go dalej. Chwilę później zaryczał róg. Zbrojni tworzący mur tarcz zrobili krok naprzód, spychając nacierających wrogów, a potem kolejny i jeszcze jeden. Po chwili deptali już nie po kamieniach i piasku, ale po ciałach zabitych i porzuconym orężu. Wody rzeki spływały czerwienią, trupy piętrzyły się w miejscach, gdzie mur tarcz wytrzymał napór wroga. Ludzie Veradisa powoli, nieubłaganie parli naprzód. Tu i ówdzie pojawiały się wyrwy, gdy niektórzy pośród nich przewracali się o ciała pokonanych lub zostali wyszarpanięci z szyku przez nacierających, ale kolejni wojownicy szybko uzupełniali szczyby.

Veradis czuł, że grunt pod jego stopami staje się coraz bardziej stabilny. Wychodzili na brzeg, po którym również płynęły już strumienie krwi. Ludzie padali coraz gęściej pod naporem nierozzerwalnego, postępującego muru drewna i żelaza, aż nagle napór osłabł.

Veradis ujrzał, jak pierwsi nacierający rzucają się do ucieczki z lękiem w oczach. Bitwy często rozstrzygała furia pierwszej szarży i napastnicy byli przekonani, że ich atak zakończy się rzezią. Wszak natarli w chwili, gdy wróg brnął po kolana przez nurt bystrej rzeki, nie mówiąc już o tym, że mieli przewagę liczebną. Tymczasem to oni padali jak muchy i tracili inicjatywę.

Veradis poczuł, jak wstępują w niego nowe siły. Nacierał ze świeżym entuzjazmem, a jego ludzie nie ustępowali. Teraz, gdy grunt był stabilniejszy, a napór wroga słabł, ich natarcie stawało się coraz łatwiejsze. Ludzie Mandrosa atakowali teraz na jego szyk od flanki i zwarli się z wojownikami Peritusa, którzy również wyłonili się już z rzeki, z ulgą powracając do klasycznego sposobu rozgrywania starć.

Drużyna Veradisa, nie zwracając na nic uwagi, parła naprzód, gdy niespodziewanie przez zgiełk bitewny przebił się dziki okrzyk. Młodzieniec uniósł głowę i dostrzegł jeźdźca na skraju lasu. Zamrugnął zaskoczony tym, jak bardzo zbliżyli się do drzew.

Jeźdźcem okazał się sam Mandros, a w jego głosie furia mieszała się z paniką, gdy zachęcał swych wojowników do zdwojenia wysiłków.

Zabij go!, warknął głos w głowie Veradisa.

Wokół króla pojawili się inni jeźdźcy, ponurzy i skupieni. Młodzieniec napierał, dźgając jak szalony naokoło, wyprzedzając swych towarzyszy. Skrzywił się z bólu, gdy czyjeś ostrze przemknęło pod tarczą i ugodziło go w bok. Mocna kolczuga zatrzymała cios, ale ostrze zsunęło się i wbiło w jego udo. Zachwiał się, nagle tracąc siły, a potem pochwyciły go czyjeś ręce i odciągnęły do tyłu. Dostrzegł Mandrosa, przeklął wściekle i splunął krwią na ziemię. Był tak blisko...

Gdzieś z prawej strony odezwały się rogi. Na moment impet starcia osłabł, gdy wszyscy odwrócili się w stronę źródła dźwięku.

Na szczycie wzgórza, które zamykało pole bitwy, pojawiły się szeregi wojowników, w większości pieszych, choć na tyłach majaczyła już grupka jeźdźców. Na oczach Veradisa jeden z nich wznosił miecz ku niebu.

Gundul, syn Mandrosa, wydał okrzyk wojenny, a jego ludzie runęli za nim w dół zbocza.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

CORBAN

Corban zamrugał, wpatrzony w człowieka, który stał obok Gara.

– Meical, tak?

– Tak – burknęła Cywen, przyglądając się wierzchowcowi przybysza. – Przyjechał niedawno. Rety, spójrz tylko na jego rumaka. Jestem nim zafascynowana! Założę się, że to najszybszy koń, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Corban spojrzał na wierzchowca, trzymanego przez ciemnowłosego mężczyznę. Był to zgrabny, wysoki srokacz o delikatnej budowie, w istocie wspaniałe zwierzę, ale jego uwagę niemalże natychmiast ponownie przyciągnął sam Meical. Nim uświadomił sobie, co czyni, szedł już ku stajennemu i jego rozmówcy, a Burza dreptała tuż za nim.

Gar właśnie coś mówił, ale przerwał na widok zbliżającego się chłopaka.

– Ban? – odezwał się.

Corban zatrzymał się, nie wiedząc, co ma teraz począć bądź powiedzieć. Nie wiedział nawet, dlaczego w ogóle zbliżył się do rozmawiających mężczyzn.

– Ban, potrzeba ci czegoś?

– Ja... Eee... Ma pan wspaniałego konia – wymamrotał Corban, wpatrzony w towarzysza Gara.

– Dzięki – odpowiedział tamten. Był wysokim, naprawdę

wysokim człowiekiem, a padające nań promienie słońca odbierały jego sylwetce wszelkie kolory. Corban miał wrażenie, że kryje się w nim coś znajomego, ale za nic w świecie nie mógł sobie uświadomić, co to było. Świadomość ta drażniła go niczym pająk chodzący mu po szyi.

Stali nieruchomo i wpatrywali się w siebie.

– To Meical – rzucił w końcu Gar.

Corban nigdy dotąd nie widział, by jego przyjaciel zachowywał się tak nieswojo.

– Miło mi cię poznać – rzekł mężczyzna i uśmiechnął się ledwie zauważalnie.

Chłopak w odpowiedzi pokiwał jedynie głową.

Znow patrzyli na siebie w milczeniu. Ciemne oczy Meicala zdawały się przygważdżać go do miejsca, w którym stał. Corban miał wrażenie, że przybysz nie patrzy na niego, ale w głąb niego, taksując go i oceniając, ale naraz uśmiechnął się.

– Masz niecodziennych przyjaciół. – Mężczyzna spojrzał na Burzę, która stała przy swym panu, wtulając bok w jego biodro, co czyniła zawsze, gdy była przestraszona bądź zdezorientowana. Miała najeżoną sierść. Zastrzygła uszami i wyciągnęła łeb naprzód, węsząc. Meical ukucnął, spojrzał wilkunicy w ślepia i wysunął rękę, by mogła ją obwąchać. Długie kły zwierzęcia, wystające przynajmniej na szerokość dłoni spod warg, dotknęły palców przybysza, ale ten nie cofnął dłoni.

Po chwili Burza parsknęła i drapnęła ziemię, po czym ułożyła się u stóp Corbana.

– Zwie się Burza – rzekł chłopak.

– Dobre imię. – Meical podniósł się szybko, ale zachwiał się. – Wybaczcie – oznajmił. – Jechałem długo i nie szczeniłem konia.

– Chodźmy więc – rzekł Gar. – Zajmiemy się twoim rumakiem, bo wygląda na równie strudzonego jak ty. – Zerknął na Corbana. – Idziesz do Briny?

– Tak.

– No to lepiej się pośpiesz, bo zaraz będzie dla ciebie robota w stajni.

– Jeszcze czego – burknął chłopak. Minęła dłuższa chwila, nim się poruszył. Nie przestawało mu dokuczać osobliwe, niejasne wspomnienie.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

CYWEN

Cywen otarła pot z czoła. Powietrze było chłodne i krystaliczne, a od morza wiał stale ostry wiatr, ale dziewczyna nie oszczędzała się. Przez cały poranek i sporą część popołudnia usiłowała złamać opór żrebaka przed nałożeniem siodła.

Gar jedynie burknął, gdy opowiedziała mu o tym, czym zajmowała się w ciągu dnia. Wydawał się zamyślony i rozkojarzony.

– Chciałbym jeszcze, abysь przyprowadziła Młota z zagrody – rzekł. – Jeśli nie będziesz się ociągać, zdążysz na kolację.

Cywen zmarszczyła brwi. Od zagrody dzielił ich niezły kawał drogi. Gdyby wiedziała o tym wcześniej, poprosiłaby Bana, żeby na nią zaczekał, ale jej brat już dawno znikł.

– No, ruszaj, dziewczyno. Nie wiem, co się tak ociągasz! – rzucił Gar na odchodnym.

Cywen, nie mając wyboru, skierowała się ku Kamiennej Bramie, ale w połowie drogi do mostu przypomniała sobie, że zapomniała zebrać warzywa na kolację.

– Mama nie będzie zadowolona – mruknęła i zawróciła biegiem do domu.

Nie zastała tam nikogo, nie było nawet Buddaia, który lubił wygrzewać się przy ogniu. Pośpiesznie zaczęła zbierać warzywa, a jej myśli wróciły do Ronana i jego uśmiechu, który stawał się

coraz trudniejszy do zignorowania. Młody wojownik nie spuszczał z niej wzroku, choć starał się to przed nią ukryć. Dziewczyna uświadomiła sobie, że sama zaczyna się uśmiechać.

Z kuchni dobiegł jakiś odgłos i drzwi prowadzące do ogrodu niespodziewanie stanęły otworem. Cywen odruchowo schroniła się za drzewem. Gwenith zajrzała do ogrodu, a potem znów rozległo się stuknięcie zamykanych drzwi.

Co ja właściwie robię?, pomyślała dziewczyna. Marszcząc brwi, ruszyła w stronę kuchni, lecz wtedy usłyszała kroki kilku kolejnych osób, wchodzących do pomieszczenia. O dziwo, usiłowali zachować ciszę. Nikt się z nikim nie witał, słychać było tylko chrobot przesuwanych po podłodze krzesel i plusk nalewanych napojów.

Cywen zerknęła przez szczelinę między okiennicą i ścianą. Minęła chwila, nim jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku panującego w kuchni. Jej mama stała przy stole i wydawała się niemalże wystraszona. Przy stole siedzieli: Thannon, Gar i Meical, człowiek, którego dziewczyna widziała wcześniej.

Gwenith upiła łyk z trzymanego w rękę kubka. Jej dłoń drżała. Napięcie rosło.

– Gdzie jest chłopak? – rozległo się pytanie. Głos był niski i melodyjny. Cywen domyśliła się, że należy do przybysza, owego Meicala.

– U Briny. To nasza uzdrowicielka – odparł Gar. – Mieszka za wsią.

– A wasza córka?

– Nie ma jej tu. Sprawdziłam. Jesteśmy sami – odparła Gwenith.

– To dobrze – burknął Meical.

– Dlaczego? Dlaczego tu przybyłeś? – spytała w końcu Gwenith, przerywając ciszę.

– Król Aquilus nie żyje.

Cywen nie widziała twarzy ojca, ale dostrzegła, że jej matka otworzyła szeroko usta. Gar wpatrywał się w przybysza w milczeniu.

– Co się stało? – szepnęła Gwenith.

– Został zamordowany we własnej komnacie. – Meical pochylił głowę. – To wielka, nieodżałowana strata.

– Kto ponosi za to winę? – spytał Gar.

– Mówiono mi, że to Mandros, król Carnutanu. Otwarcie przeciwstawił się Aquilusowi, zachowywał się z pychą i arogancją, a potem zbiegł. Przypuszczam jednak, że to nie jest cała prawda. Wyczuwam w tym rękę Asrotha.

– To niecała prawda? Co przez to rozumiesz? – spytała Gwenith.

– Nie mogę na razie niczego powiedzieć. Trzeba było zostać dłużej w Jerolin, ale gdy doszło do morderstwa, ogarnęło mnie przerażenie. Powinienem był to przewidzieć. Musiałem zobaczyć chłopaka.

– Ale przecież powiedziałaś, że nie ujrzymy cię już więcej przed wiadomą chwilą. A co, jeśli ktoś cię śledził? – spytała Gwenith. W jej głosie narastała panika.

– Spokojnie – mruknął Meical i uniośł dłoń. – Wiem, co cię dręczy. Sam odczuwam lęk i niepokój, ale musiałem zobaczyć chłopaka. Musiałem mieć pewność, że nic mu nie grozi. Zachowałem ostrożność. Przełęcz w górach Agullas zostały zasypane niedługo po tym, jak je przebyłem, a nie znam konia, który dorównałby Miugrze. Nigdy dotąd nie popędzałem go tak jak teraz, a ponadto miałem się na baczności. Nikt mnie nie wytropi. – Rozparł się na krześle. Z jego twarzy znikło na moment napięcie. – Chłopak nieźle się prezentuje.

– Och, tak. – Gwenith uśmiechnęła się. – Dobry z niego dzieciak.

Cywen nie mogła uwierzyć w to, co właśnie słyszy. Nogi zaczynały jej sztywnieć, ale trwała cierpliwie przy oknie, próbując nawet cicho oddychać. Nie rozumiała wiele z tego, co mówiono w kuchni. Aquilus, Jerolin, Carnutan... Czy mieli na myśli tego samego Aquilusa, który wezwał króla Brenina na radę?

Nagle jeden fakt stał się jasny i wyraźny. Z jakiegoś powodu rodzice rozmawiali z Garem i owym Meicałem o Banie. O jej Banie.

– Jaką ma naturę? – spytał Meical.

Gwenith pokiwała głową i uśmiechnęła się, zerkając to na Gara, to na męża.

– Jest niezwykłym chłopakiem, to oczywiste. Przecież to mój syn. Ale odkąd przybyłeś do nas i powiedziałeś nam... – Urwała na moment i skrzywiła się. – Od tej chwili przyglądam mu się, a przynajmniej próbuję mu się przyglądać obiektywnie. Na ogół jest bystry, silny i uczciwy. Życzliwy. I chyba jest szczęśliwy, mam przynajmniej taką nadzieję. Nie przybyłeś tu chyba, by go zabrać? – spytała nagle. – Bo na to nie pozwolę! – W jej głosie pojawiła się zaciekleść.

– Nikt go nigdzie nie zabierze – zadudnił Thannon i nakrył dłonią rękę Gwenith.

– Nie po to tu przyjechałem – rzekł Meical. – Choć wspominałem wam, że nadejdzie taki dzień, kiedy będzie musiał stąd odejść i udać się do Drassil. Ale nie sam. Z waszą dwójką oraz Garem, rzecz jasna.

– Skoro tak mówisz – odezwał się Thannon. – Tyle czasu minęło, odkąd odwiedziłeś nas po raz ostatni... – Westchnął i przetarł dłonią oczy. – Jestem tylko zwykłym kowalem i mało wiem o tym, o czym opowiadasz. Poza tym to wszystko wydarzyło się tak dawno temu, że do niedawna uważałem to za zły sen. Niemniej doszło do kilku niepokojących zdarzeń. Dziwnych zdarzeń...

– Wiem. Niebawem nadejdzie ciemność.

– Cóż. Corban to dobry dzieciak. Jestem z niego dumny i trudno mi sobie wyobrazić lepszego syna. Boję się o niego.

Gwenith zaszlochała cicho i odwróciła wzrok.

– Przygotowaliśmy go najlepiej, jak się dało – ciągnął Thannon. – Umie czytać i pisać. Zna historię, rozumie wartość ciężkiej pracy, wie, czym jest prawda i odwaga i mam nadzieję, że odróżnia dobro od zła. Gar również miał na niego oko i szkolił go w walce, za co jestem mu wdzięczny.

– Dziękuję wam za to – rzekł Meical. – Spadła na was ogromna

odpowiedzialność, która wciąż nie ma końca.

– To mój syn. Moja krew, moje serce, moja radość, mój oddech. Nikt nie nakładał na nas żadnej odpowiedzialności. Zrobię dla niego wszystko, co będę mógł. Będę go chronił, będę o niego walczyć, zginę za niego, jeśli będzie trzeba.

Meical odchrząknął i pokiwał głową, a potem przeniósł spojrzenie na Gara.

– A ty? Często o tobie myślałem przez ostatnie lata. Nie przypadło ci łatwe zadanie.

– Mnie przypadł największy zaszczyt. – Gar wzruszył ramionami. – Już dawno pojąłem, że chwałę nie zawsze zdobywa się na polu bitwy. Poza tym potwierdzam to, co powiedzieli rodzice Corbana. Chłopak jest bystry, zdolny i sprawiedliwy. Nauczył się nieźle walczyć. Ba, nieźle... On jest prawdziwym mistrzem!

– Jestem ci wdzięczny – rzekł Meical.

– Nawiedzały go sny – wtrąciła Gwenith. – Złe sny.

– Rozmawiał o nich z tobą?

– Nie. Nigdy. Bywało, że krzyczał przez sen, że budził się zlany potem, drżący ze strachu, ale to minęło. Nie krzyczał we śnie od kilku księżyców.

– To dobrze. – Meical uśmiechnął się. – Asroth szukał go nie tylko w świecie materialnym, ale plany upadłego zostały pokrzyżowane, przynajmniej na jakiś czas. A ta wilkunica? Powiedzcie mi, jak do tego doszło.

Gwenith uniosła dłonie.

– Ban ocalił ją, gdy była szczenięciem i wychował samodzielnie, choć dosłownie wszyscy się temu sprzeciwiali.

– Dokładnie – burknął Thannon.

– I słusznie. Zawsze przyda się dodatkowy strażnik, a coś mi mówi, że nikt nie spełni się w tej roli równie dobrze jak wilkunica. Porozmawiam z królem Breninem przed wyjazdem. Nie sądzę, byśmy mieli okazję naradzić się ponownie, zanim... – Krzesło zachrobotało, gdy wstał. – Żałuję, że nie mogę z wami zostać i ulżyć

waszej doli, ale przyciągam uwagę, a musimy dać chłopakowi tyle czasu, ile to możliwe. – Urwał, naraz zakłopotany. – Dobrze by było, gdyby odbył Długą Noc tutaj, w Ardanie. Potem chyba trzeba mu będzie opowiedzieć o wszystkim. Bądźcie jednak czujni, bo wydarzenia rozwijają się szybciej, niż sądziłem. Muszę udać się do Drassil i zadbać, by wszystko zostało należycie przygotowane. – Spojrzał na Gara. – Twój ojciec dowie się o twojej ofiarności.

Stajenny wyprostował się, a w jego oczach pojawił się blask. Meical podszedł do drzwi i zatrzymał się.

– Nie ufajcie nikomu – powiedział. – Nawet jeśli przez Kamienną Bramę przejedzie ktoś z rodu samego Aquilusa. Ufajcie jedynie Breninowi.

Z tymi słowami pchnął drzwi i wyszedł na ulice Dun Carreg.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

CORBAN

Corban człapał ze zwieszoną głową po trakcie olbrzymów, wracając od Briny, gdy na drodze pojawił się ogromny wóz wyładowany skórami. Biegł przy nim wysoki ogar. Chłopak wbił w niego wzrok, ale nagle coś go tknęło i przyśpieszył kroku. Czy to możliwe, by...

Burza zrobiła krok naprzód. Na widok obcego ogara kłapnęła szczękami, a w jej gardzieli zaczął narastać głuchy pomruk.

To się nie skończy dobrze, pomyślał Corban.

– Czy to Ventos?! – zawołał, próbując uspokoić Burzę.

– Co takiego? – odparł człowiek siedzący na wozie. – Tak, nazywam się Ventos. Znamy się?

– Tak, spotkaliśmy się rok temu, na Wiosennym Festiwalu. Jestem Corban.

– A niech mnie! – Ventos przetarł dłonią twarz. – Na kły Asrotha, chłopcze, ale żeś mi napędził stracha! O mały włos nie trafiłem do Zaświata! – Odetchnął, zeskokczył z wozu i niepewnie przeszedł kilka kroków. – Zaprosiłbym cię na wóz, ale boję się, że jeśli twoja wilkunica zrobi choć krok, konie mi poniosą i rozrzucają towary aż po brzegi Morza Zachodniego!

Corban pokiwał głową.

– Odstap! – rzucił ostro do Burzy i machnął dłonią. Wilkunica spojrzała na niego – jej miedziane oczy błysnęły w blasku zachodzącego słońca, po czym odwróciła się, odbiegła o jakieś sto

kroków i przystanąła.

Ventos uniósł brew, nie spuszczać oczu z Burzy.

– To ci dopiero zmyślny zwierzak – mruknął. – A więc to prawda. Słyszałem o tobie nawet w Dun Cadlas i wszędzie po drodze. Oczywiście nie uwierzyłem w to. Nie miałem też pojęcia, że to ty jesteś bohaterem tej opowieści. Młody wojownik, który oswoił wilkunicę... Nieźle! – Gwizdnął z podziwem.

– Nie powiedziałbym, że ją oswoiłem – odparł z uśmiechem Corban. – Cieszę się, że cię widzę.

Wyciągnął rękę, co kupiec uznał za powitanie wojowników.

– Zmieniłeś się, chłopcze. Gdyby nie rozczochrana fryzura i brudne ubranie, pewnie bym cię nie poznał.

W drodze do wsi Ventos próbował zaspokoić ciekawość Corbana co do wydarzeń w szerokim świecie. Zatrzymali się przed zabudowaniami, a wówczas kupiec naciągnął grubą rękawicę ze skóry i wy dobył strzęp mięsa z torby przy płaszczu.

Nad ich głowami rozległ się głośny skrzek. Chłopak zadarł głowę i dojrzał ptaka, który opadłszy ku nim, wyrównał lot, zatoczył krąg i wylądował na wyciągniętym ramieniu Ventosa. Ogromny jastrząb przechylił łebek w bok, przyglądając się uważnie Corbanowi. Złote piórka odbiły blask ostatnich promieni zachodzącego słońca.

– Miło mi, że mogę cię przedstawić Kartali. – Rozpromieniony Ventos uklonił się lekko.

– Wspaniała! – szepnął Corban, wpatrzony w ogromnego ptaka. Jego uwagę przyciągnęły przede wszystkim zakrzywione szpony wbite w grubą rękawicę Ventosa.

– Wygrałem ją od Siraków.

– Od Siraków?

– Tak. Od wielu wieków wykorzystują jastrzębie do polowań na swoim Morzu Traw i osiągnęli w tym niebywałą biegłość. Na moje szczęście gra w kości idzie im nieco gorzej – rzekł Ventos z uśmiechem i mrugnął do chłopaka. – Dobra z niej towarzyszka podróży. Bardzo pomocna. Mój Talar bez trudu łapie zające, ale kto

miałby ochotę jeść codziennie zająca? – Kupiec aż zadygotał. – Nie, zając z czasem zdecydowanie traci jako danie główne. Chętnie przyjmuję opłatę w postaci żywności, ale wsie nie zawsze znajdują się tam, gdzie tego oczekuję. Kartala łapie więc dla mnie najrozmaitsze zwierzęta i ptaki.

– Czy je też kruki? – spytał Corban, któremu przypomniał się Craf.

– Kruki? A czemu?

– Mniejsza o to – westchnął chłopak.

To zbyt niebezpieczne, pomyślał. Brina by mnie otruła.

– Cóż, muszę zajechać do barona, który rządzi tą wsią. Torin, tak? Ciekawe, czy znajdzie się u niego kąć, w którym mógłbym ułożyć głowę. Spotkamy się jutro, co?

– Tak – rzekł Corban.

Na drodze załomotały kopyta, zbliżające się od strony wsi. Corban uniósł głowę i ujrzał wysokiego srokacza, zmierzającego w jego kierunku. Na końskim grzbiecie siedział Meical. Chłopak znów poczuł coś w rodzaju osobliwego łaskotania na karku.

Meical zwolnił i raz jeszcze omiół Corbana spojrzeniem, w którym czaiło się coś niebezpiecznego. Potem zerknął na Ventosa, przyjrzał się uważnie jego ptakowi myśliwskiemu, a następnie kopnął boki końskie i ruszył galopem przed siebie.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

VENTOS

Powietrze w chacie było duszne i nieprzyjemne. Dym znad paleniska obracał się powoli, leniwie, wokół dziury w dachu. Przez szczelinę pod drzwiami przenikało już szare światło, co oznaczało, że lada moment wstanie świt.

Ventos podniósł się nieśpiesznie, nie chcąc nikogo obudzić. Palenisko nadal żarzyło się czerwienią, dzięki czemu wiedział, gdzie postawić stopę. Rozpoznawał też twarze innych, zarówno wędrowców, jak i domowników Torina, nadal pogrążonych we śnie. Sięgnął po buty i ostrożnie skierował się ku wyjściu, po czym bezszelestnie wyślizgnął się na dwór.

Prędko pokonał dystans dzielący go od wozu. Spod spodu wyłonił się Talar, rozciągnął długie łapy i musnął nosem udo swego pana. Ventos odruchowo pogładził go po głowie, po czym uchylił wieko skrzyni pod siedziskiem dla woźnicy. Wyciągnął z niej małą szkatułkę, a z niej drobny zwój pergaminu, pióro i zapieczętowany kałamarz z rogu. Ostrożnie zerwał pieczęć, zanurzył pióro w inkauscie i zaczął pisać.

Gdy skończył, wsunął pergamin do niewielkiego, skórzanego pokrowca, spojrzął na niebo i cmoknął. Jastrząb pojawił się chwilę później i przyjrzał mu się uważnie swymi inteligentnymi ślepkami. Ventos zręcznie przywiązał pokrowiec do jego nogi.

– Leć bezpiecznie – szepnął, patrząc, jak ptak wznosi się i znika

we mgle z cichym szelestem skrzydeł.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

VERADIS

Gdy Veradis ujrzał ludzi szarżujących w dół wzniesienia, a do jego uszu dotarł ich wrzask, na moment sparaliżował go strach. Nowo przybyli niczym lawina ciał i żelaza wbili się w kłębowisko wojowników u stóp wzgórza. Rozgorzał chaos, ryki rannych i zabijanych ogłuszały. Po chwili nie było już wątpliwości, że przybysze przypuścili atak na ludzi Mandrosa, a nie wojska z Tenebralu. Veradis wypuścił oddech z płuc, nieświadom tego, że go wstrzymywał.

Gundul dotrzymał słowa.

Zaskoczeni i wzięci między dwa ognie ludzie Mandrosa zaczęli się cofać i przepychać, próbując uciec przed ostrzami wrogów, pozostawiając za sobą wielu zabitych i rannych. Ludzie Peritusa przystąpili do ataku ze zdwojonymi siłami. Sam Gundul gnał w dół zbocza na czarnym rumaku, prąc ku ojcu.

– Mandrosie! – ryknął Veradis i znów zaczął się przebijać w stronę czoła szyku, tym razem wolniej, gdyż chciał jedynie zająć swe miejsce w szeregu. Przeciwnicy stawiali opór jeszcze przez moment, po czym znów zaczęła się rzeź.

Na odcinku do linii drzew, od których dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt kroków, roilo się od uciekinierów. Veradis odnalazł wzrokiem króla Carnutanu, który nadal siedział w siodle i spuszczał właśnie miecz na głowę innego jeźdźca.

Niespodziewanie pochwyciła go ślepa furia. Mandros królobójca...

Rzucił się do dzikiego ataku, roztrącając ludzi tarczą, powalając każdego, kto stał między nim a władcą, aż ten nagle wyrósł przed nim. Ryczał dziko i próbował powstrzymać strumień uciekających wojowników.

Veradis wzniósł miecz, ale niespodziewanie na jego drodze pojawił się jeden z konnych przybocznych króla. Mężczyzna wymierzył mu kopniaka i posłał na zboczoną krwią ziemię, a potem złapał za wodze rumaka Mandrosa i odciągnął go w stronę lasu. Inni wnet dołączyli do niego i rozwścieczony Veradis mógł tylko patrzeć, jak władca w asyście najdzielniejszych wojowników znika w półmroku lasu. Pozostali blokowali ścieżkę, zatrzymując napór ludzi Gundula.

Veradis odwrócił się i omiótł wzrokiem pole bitwy, która z wolna dobiegała końca. Tu i ówdzie grupki wojowników Mandrosa stawiały jeszcze opór, ale większość z nich padła już trupem bądź rzuciła się do ucieczki. Młodzieniec dostrzegł Peritusa, który stał przy brzegu rzeki, i ruszył biegiem ku niemu.

– Mandros uciekł – wysapał. – Konie! Potrzeba nam koni, jeśli mamy go dopaść! Nie możemy pozwolić, by dotarł do Dun Bagul!

Peritus skinął głową i otarł krew, która ściekała z płytkiego skaleczenia na czole. Chwilę później zebrał wokół siebie grupę konnych wojowników oraz zwiadowców. Sam również wskoczył na siodło. Veradis poszedł w jego ślady i cały oddział ruszył w górę zbocza, by ponownie dołączyć do walczących.

Tylna straż Mandrosa stawiała im czoła z zaciekłością i furią ludzi, którzy już pogodzili się z własną śmiercią. Młodzieniec stęknął, odbijając czyjś cios, po czym sam ciął ze wszystkich sił, otwierając ranę na nodze swego przeciwnika. Wtedy Peritus wbił mężczyźnie miecz pod żebra i wojownik z Carnutanu osunął się na zrytą kopytami ziemię.

Veradis uderzył piętami w końskie boki i skoczył naprzód, ale

starciu dobiegło końca z chwilą, gdy Gundul wbił miecz w pierś ostatniego z obrońców. Veradis podjechał do niego i wsunął miecz do pochwy.

– Przyjmij me podziękowania – wysapał.

Gundul, który nie otrząsnął się jeszcze z szału bitewnego, miał otwarte szeroko oczy. Minęła dłuższa chwila, nim rozpoznał Veradisa, a wtedy uśmiechnął się drapieźnie.

– Nathair dowie się o tym, do czego tu doszło – ciągnął młodzieniec. – Dziś stałeś się przyjacielem Tenebralu.

Gundul pokiwał głową.

– Mój ojciec...

– Wiem. Widziałem, jak ucieka. Musimy go dopaść, zanim schroni się w Dun Bagul. W przeciwnym razie...

– Nigdy tam nie dotrze. Rozstawiłem ludzi wzdłuż traktu po przeciwnej stronie lasu. Pamiętaj jednak, że mój ojciec to szczwany lis. Już wie o tym, że postanowiłem połączyć z wami siły, więc może porzuci trakt i będzie chciał przebić się lasem.

– A więc ruszamy – rzekł Peritus. – Spróbujemy go dopaść. Masz ludzi, którzy znają te okolice?

– Mam.

– No to prowadź! Nie ma czasu do stracenia!

Wkrótce gnali już wśród drzew traktem opromienionym plamkami światła przenikającego przez gałęzie, aż zatrzymali się, by tropiciel mógł zbadać ślady na drodze. Szczupły mężczyzna o ostrych rysach twarzy podniósł głowę znad tropów i rzekł:

– W tym miejscu kilku ludzi opuściło trakt. Nie wszyscy, może z tuzin. Reszta pognąła naprzód.

– My też musimy się rozdzielić – stwierdził Gundul.

– Którędy udałby się Mandros? – warknął Peritus.

– Postawiłbym na las. Domyśli się, że droga będzie zablokowana.

– A więc na co czekamy? – wycedził Veradis i skierował wierzchowca między drzewa. Gundul pognął za nim.

Puszcza była gęsta i szybsza jazda między drzewami wkrótce

stała się niemożliwa. Zsiedli więc z koni i złapali je za wodze. Veradis uświadomił sobie, że podążają za nim Rauca, Peritus oraz około tuzina wojowników. Powolne tempo oraz obawa, że Mandros im się wymknie, tylko podsyciły jego furię. Właściwie ucieszył się, kiedy porzucili rumaki i ruszyli dalej w las pieszo za tropicielem Gundula.

Ten poruszał się pewnym krokiem i uważnie przyglądał się terenowi wokół. Od czasu do czasu dotykał złamanej łądygi paproci lub kawałka mchu zdartego z kamienia czy pnia drzewa. W ich grupie panowało milczenie. Słysząc było jedynie pośpieszne kroki i chrapliwe oddechy, napięcie narastało. Udo Veradisa płonęło w miejscu, gdzie odniósł ranę, ale zacisnął zęby, ignorując ból.

Gdy weszli w obręb niewielkiej polany, niespodziewanie coś w nich uderzyło. Minęła sekunda, nim Veradis uświadomił sobie, że był to ich tropiciel, w którego piersi tkwiła włócznia. Młodzieniec uskoczył w bok, przetoczył się po ziemi, ściągnął z pleców tarczę, wyciągnął długi miecz i podniósł się.

Przed sobą zobaczył kilku ludzi, zwróconych plecami do wielkiego głazu. Wśród nich stał Mandros.

Veradis, owładnięty lodowatą furią, rzucił się do szarży.

Któryś z przeciwników pchnął go włócznią, ale przyjął cios na tarczę, odepchnął atakującego z wielką siłą, a potem chlasnął mieczem. Kątem oka zauważył, że włócznik padł na ziemię, tryskając krwią z rany gardła.

Rozpędzony, wpadł na kolejnego wojownika. Przewrócili się i zwarci, przetoczyli się po ziemi. Gdzieś w oddali Veradis słyszał odgłosy walki, kątem oka widział obute stopy walczących, aż znalazł dogodną sposobność, by uderzyć przeciwnika osłoniętą hełmem głową w nos. Krew bryzgnęła mu na twarz, ale był już wolny. Zerwał się na równe nogi i sięgnął po miecz. Jego przeciwnik, zalany krwią ze złamanego nosa, podnosił się o wiele wolniej, a Veradis wykorzystał ten fakt z pełną bezwzględnością. Pchnął go mieczem, nim mężczyzna zdołał wstać.

Walka trwała wszędzie dookoła, miecze uderzały o miecze, a wojownicy krzyczeli, posapywali i wyli z bólu. Kątem oka Veradis dostrzegł Raucę, który zwarł się z jakimś olbrzymim wojem, ale zdołał go zmylić i ciąć w kolano. Potem dojrzał samego Mandrosa walczącego z drobniejszym przeciwnikiem, Peritusem. Królewski wojewoda był szybszy – jego błyskawiczne cięcia i wypady zmusiły władcę Carnutanu do cofnięcia się, aż uderzył plecami o głaz. Miecz Peritusa świsnął, zmierzając ku głowie Mandrosa, ale ten zdołał przechwycić cios na własne ostrze. Przez moment siłowali się, ale król Carnutanu wykorzystał impas i uderzył przeciwnika kolaniem w krocze, a potem rąbnął go w głowę rękojeścią miecza. Peritus osunął się na ziemię, a Mandros stanął nad nim i wznosił broń do ostatniego ciosu.

Veradis skoczył naprzód i zatopił ostrze w ramieniu króla. Ten krzyknął i padł plecami na głaz, upuszczając broń. Młodzieniec wyszarpnął swój miecz i przytknął zakrwawione ostrze do gardła przeciwnika.

Bitwa zakończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Spośród przybocznych władcy Carnutanu przy życiu zostało jedynie dwóch, ale opuścili broń na widok poddającego się króla. Na polanie zapadła cisza. Wszyscy, jeden po drugim, odwracali głowy ku Veradisowi i czekali. Ten zaś wpatrywał się w Mandrosa i widział tylko jego. Wspominał sobie jego twarz, gdy wyłonił się z komnat Aquilusa i umknął z wieży. Wspominał Nathaira w kałuży krwi i Aquilusa z oczami pozbawionymi życia.

– Dopilnuj, by sprawiedliwości stało się zadość – powiedział do niego Nathair na smaganym wiatrem nabrzeżu, nim postawiono żagle.

– Sprawiedliwości? – odparł wówczas Veradis. – A jaką sprawiedliwość masz na myśli?

– Peritus odnajdzie Mandrosa, a ty pomóż mu go pokonać. Nie zapomnij jednak o tym, że Peritus to urodzony polityk. Ujrzy rozmaite korzyści i zastosowania.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Życie za życie – rzekł Nathair głosem lodowatym jak zimowe morze dookoła nich. – To właśnie sprawiedliwość. Żadnych negocjacji, żadnych kompromisów.

– Możesz mi zaufać – poprzysiągł Veradis.

Mimo to teraz, gdy stał i trzymał miecz przy gardle Mandrosa, coś powstrzymywało go przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

Zrób to!, ponaglał go głos w jego głowie. Zabij go! Na nic innego sobie nie zasłużył. To zdrajca, któremu trzeba wymierzyć sprawiedliwość!

Peritus podniósł się powoli, korzystając z pomocy Rauki.

– Veradisie – rzekł. – Mamy go. Zwyciężyliśmy. Odstąp, chłopcze. Nie chcesz chyba, by szła za tobą reputacja królobójcy?

– Nie! – krzyknął Gundul, który odruchowo zrobił krok do przodu. – Zabij go! On zasłużył na śmierć!

Veradis miał wrażenie, że cały świat zastygł, a każde uderzenie serca rozciągało się w nieskończoność. Nagle cofnął się i opuścił miecz.

– Nie zabiję cię – rzekł. W oczach Mandrosa błysnęła ulga. – Zostaniesz zakuty w łańcuchy, zabrany do Jerolin i postawiony przed obliczem Nathaira. Wtedy odpowiesz za swoje zbrodnie.

Nie!, syczał obcy głos w jego głowie. On jest przebiegłym człowiekiem! Intrygantem! Z pewnością znajdzie sposób, by umknąć karze! Co więcej, by dotrzeć do Jerolin, trzeba będzie pokonać cały Carnutan. Ucieknie! On ucieknie!

Veradis zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza, bijąc się z myślami. Mandros odniósł kilka drobnych ran, jego płaszcz zwisał w strzępach, a twarz została zbryzgana krwią, ale nie odebrało mu to królewskiego majestatu. Nadal stał prosto, z dumą, a jego oczy skrzyły.

– Zbrodnie? – parsknął. – Jedyнным przestępstwem, jakie popełniłem, była głupota. Okazałem zaufanie w chwili, gdy potrzeba było rozwagi i ostrożności.

– Milcz, królobójco, bo się rozmyślę. Opowiesz swe kłamstwa Nathairowi.

– Jego winy trzeba osądzić tu i teraz – rzekł Gundul, oblizując wargi. – Dopóki ten człowiek żyje, istnieje zbyt wielkie ryzyko! – Patrzył to na Veradisa, to na Peritusa, a w jego oczach tańczył dziki blask. – Nathair złożył mi obietnicę, a ja dotrzymałem danego słowa. Wygrałem dla was tę bitwę. Pamiętajcie jednak, że dopóki mój ojciec żyje, ludzie nadal będą chcieli walczyć za niego! Na kły bogów, jesteśmy w samym sercu Carnutanu! – Odwrócił wzrok. – Jeśli przewiezicie go przez całe królestwo, wszystko się skomplikuje. Znajdę się w trudnej sytuacji. Gdyby zginął w bitwie, ludzie okrzyknęliby mnie tym, który doprowadził do zawarcia pokoju. Jeśli przeżyje, wyjdę na... – Urwał i potarł dłonią oko.

– Na zdrajcę? – zadrwił Mandros. – Na tchórza? Słabeusza?

Gundul przypadł do ojca i uderzył go pięścią w twarz.

– Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać twoich zniewag! – wrzasnął.

Peritus złapał go za ramię i odciągnął. Mandros otarł strużkę krwi, ściekającą z rozbitej wargi, i splunął na ziemię.

– A więc dogadałeś się ze szczeniakiem Aquilusa, co? – rzekł. – Dobrze, bo przynajmniej wiem, że nie nacieszysz się owocami swej zdrady.

– Zamknij się! – wycedził Veradis przez zaciśnięte zęby. Nie miał ochoty wysłuchiwać zniewag pod adresem Nathaira.

– Daj już spokój, Mandrosie – rzekł Peritus. – Trafiłeś do niewoli, a twoja walka dobiegła końca. Elyon okazał nam łaskę i pozwolił nam wkroczyć w samo serce twych ziem, byśmy przynieśli ci klęskę. Teraz wyjdziemy stąd tą samą drogą, którą przybyliśmy. Wyrzuciłeś nam krzywdę. Zadałeś zdradziecki cios Tenebralowi i pohańbiłeś mnie samego! Będziesz miał szansę, by przemówić w swej obronie, gdy dotrzemy do Jerolin. Zachowaj te słowa dla mego króla. On osądzi zarówno to, co masz do powiedzenia, jak i ciebie samego.

– Twego króla? Masz na myśli syna swego króla. On cię zgubi, Peritusie! Ściągnie zagładę na cały Tenebral! – zawołał Mandros, który zerkał to na Peritusa, to znów na Veradisa. – Przysięgam na honor, że to nie ja zgładziłem Aquilusa. Zabójcą jest Nathair!

Peritus zamrugnął i wbił spojrzenie w Mandrosa.

– Kazałem ci się zamknąć! – warknął Veradis, czując, jak znów wzbiera w nim wściekłość.

Jego słowa sączą truciznę, napomniał go głos w głowie. A Nathair nie zasłużył sobie na zniewagi! Przecież o mały włos sam nie zginął!

Kłykcie Veradisa znów pobiegały na rękojeści miecza.

– To rozpacz podpowiada ci te słowa, Mandrosie – rzekł Peritus. – Przynoszą ci ujmę na honorze.

– Czyżby? Naprawdę sądzisz, iż zabiłbym waszego króla? W jego własnych komnatach? Nie jestem głupcem, Peritusie, i dobrze o tym wiesz! Gdy wszedłem do komnaty Aquilusa, on leżał już martwy, choć w pierwszej chwili tego nie zauważyłem. Dopiero wasz wspaniały Nathair wskazał mi trupa swego ojca, po czym wyrwał własny nóż i wbił go sobie w bok!

– Kłamiesz. Przecież uciekłeś! – oznajmił Peritus, ale jego słowa zabrzmiały niemalże jak pytanie.

– A co niby miałem zrobić? – spytał Mandros. – Powiedzieć, że to Nathair zabił własnego ojca, a potem zranił siebie i liczyć na sprawiedliwość? W samym sercu waszej stolicy, nad trupem waszego monarchy, w obliczu oskarżeń rzucanych przez jego rannego syna?

Nie możesz pozwolić, by rozpowiadał te kłamstwa!, wołał głos w głowie Veradisa. Ten człowiek jest tylko narzędziem w rękach Asrotha! Trzeba go uciszyć!

– Może spanikowałem jak ostatni idiota – parsknął Mandros. – Ale ucieczka wydała mi się najlepszym rozwiązaniem. – Wytrzymał przez moment wzrok Peritusa i dodał: – To Nathair zabił waszego króla, a nie ja.

Zabij go!, wrzeszczał głos.

Niespodziewanie Veradis rzucił się naprzód i ciał mieczem po szyi Mandrosa. Ten zachwiał się, po czym osunął się na kolana i padł na ziemię. Ciemna krew rozlała się po trawie. Cios był tak szybki i nieoczekiwany, że nikt nawet nie drgnął.

Veradis stał zaś nad umierającym królem i oddychał głęboko.

– To koniec – rzekł, mierząc spojrzeniem niewielką grupkę swych towarzyszy. Jego wzrok wytrzymał jedynie Peritus. – Zabierzcie jego głowę – mruknął do Rauki i ruszył w drogę powrotną przez las, wsunąwszy miecz do pochwy.

* * *

Sylwetka Tarby, ponurej, solidnej fortecy wzniesionej z ciemnego kamienia, odcinała się wyraźnie na tle tarczy wschodzącego słońca, gdy Veradis wyjechał z gęstej puszczy na równinę pokrytą łagodnymi pagórkami. Peritus i Gundul, pogrążeni w cichej rozmowie, jechali przy nim.

Młodzieniec przyjrzał się twierdzy uważnie. Tarba, której zadaniem było pilnowanie górskich przełęczy prowadzących do Tenebralu, wznosiła się na szczycie niskiego wzgórza, z którego rozciągał się doskonały widok. Nieopodal wyrastały już pierwsze zbocza ośnieżonych gór. Veradis odetchnął głęboko. Wiedział, że to ten poranek zadecyduje o tym, czy zapanuje pokój czy też wojna będzie toczyć się dalej. Władcą fortecy był bowiem Belo, kuzyn Mandrosa, człowiek bystry i rozważny, jeśli wierzyć słowom Gundula.

Droga z miejsca, w którym rozegrała się ostatnia bitwa, zabrała im całą dziesięcionoc i jeśli Peritus się nie mylił, hufiec z Tenebralu zajął już pozycje na przełęczy i czekał na ich przybycie. Peritus jednakże liczył na to, że uda się uniknąć starcia. Miał nadzieję, że konieczność walki na dwa fronty z przeciwnikiem, którego

dodatkowo wspierał Gundul, oraz widok głowy Mandrosa zatkniętej na włócznie, przekona władcę Tarby, by odłożył broń.

Gdy słońce wzniosło się wyżej, jeźdźcy ujrzeli błysk stali i pierwsze sylwetki zbrojnych, a po chwili przekonali się, że na zboczach wokół fortecy roi się od ludzi. Byli to wojownicy z hufca Bela. Veradis zerknął przez ramię na własnych wojowników, którzy wychodzili z lasu na łąki. Jego drużyna poniosła niewielkie straty podczas bitwy w brodzie – zginęło niespełna trzydziestu ludzi. Peritusowi nie poszczęściło się już tak bardzo i stracił około pięciuset wojowników. Oczywiście nijak się to miało do strat samego Mandrosa – brzeg rzeki stał się grobem dla około dwóch tysięcy spośród jego ludzi, na których zwłokach nadal pożywiały się wrony. Szeregi wojsk Tenebralu zasilił Gundul ze swymi wojownikami, ale mimo to ich połączone siły liczyły nie więcej niż trzy i pół tysiąca mieczy. Wojsko stojące pod twierdzą miało nad nimi znaczną przewagę liczebną.

Veradis odetchnął głęboko, szykując się na nadciągającą walkę.

Jeśli opuści nas szczęście, moi wojownicy wyrąbią sobie drogę do górskiej przełęczy lub zginą tu co do jednego, pomyślał.

Wiedział, że nawet jego niepokonany mur tarcz nie jest w stanie długo opierać się tak wielkiej przewadze. Zaatakowany z flanki szyk musiał prędzej czy później ulec rozerwaniu. Wymienił ponure spojrzenie z Raucą. Chwilę później ukazał się niewielki orszak, który zmierzał ku nim.

– Belo! – mruknął Gundul.

– Wyjedźmy im naprzeciw – rzekł Peritus. – I przekonajmy się, jaki los przewidział dla nas Elyon. A ty jedź z nami – rzucił do Veradisa i zerknął na głowę Mandrosa, zatkniętą na jego włócznie. – I... i zabierz swoje trofeum. Belo będzie chciał wiedzieć, kto zabił jego króla.

– Czy to rozsądne? – spytał Veradis.

– Taki widok może wzmocnić ich morale albo całkiem je zmiażdżyć. A w kategoriach rozsądku rozpatrywać tego nie będę, bo

utraciliśmy ten przywilej na pewnej leśnej polanie.

Peritus wahał się przez chwilę, a potem pognął za Gundulem. Veradis skrzywił się. Żałował tego, co się stało, bywało nawet, że odczuwał wielki wstyd, ale z drugiej strony cieszył się, że sprawiedliwości stało się zadość, Aquilus został pomszczony, a potężny sługa Asrotha – wyeliminowany z nadciągającej wojny.

Belo był wysokim mężczyzną, który wkraczał już w dostojne lata życia, ale nadal trzymał się prosto i patrzył przenikliwie. Towarzyszyło mu pół tuzina jeźdźców z kitami z końskiego włosia na hełmach. Pan na Tarbie uważniej przyjrzał się ich grupie, a następnie spojrzął na głowę, zatkniętą na włócznie Veradisa.

– Wygląda na to, że nie jestem na bieżąco z rozwojem wypadków – oznajmił, odrywając spojrzenie od gnijącego oblicza Mandrosa. – Witaj, Peritusie. Nie sądziłem, że przyjdzie nam się spotkać w takich okolicznościach. Zapewne zdajesz sobie sprawę z tego, że nie wpuszczę cię na przełęcz, nawet jeśli zatrzymałeś królewskiego syna jako zakładnika.

– Nie jestem zakładnikiem! – parsknął Gundul i trącił wierzchowca, by ten podjechał bliżej.

– A więc jak to wytłumaczysz? – spytał władca Tarby, marszcząc brwi.

Gundul wstrzymał konia.

– Jak widzisz – odruchowo spojrzął na głowę ojca – nie jestem już synem króla. Zostałem królem Carnutanu i zawarłem pakt z Tenebralem.

– Pakt? – warknął Belo. – Z mordercami twego ojca?

– Mandros padł w bitwie. – Veradis podjechał bliżej. – To piękna śmierć, w przeciwieństwie do tej, która przypadła memu królowi, zamordowanemu bez broni w ręku we własnej komnacie.

Belo przeniósł na niego chłodne spojrzenie.

– A kim niby ty jesteś?

– Zwę się Veradis ben Lamar – odparł młody wojownik i spojrzął ponuro na starego barona.

– To pierwszy miecz Nathaira – dodał Peritus. – Dajże spokój, Belo. Mówią o tobie, że jesteś rozsądnym człowiekiem. Twój król poległ w bitwie, czym zapłacił już za swą zdradę, a Gundul okazał mądrość i wolał zawrzeć z nami pokój, niż decydować się na krwawą, kosztowną wojnę. Ty zaś stajesz nam na drodze do Tenebralu. Zdajesz sobie sprawę z tego, że masz jeden hufiec przed sobą, a drugi za plecami?

– Wszystko na to wskazuje – rzekł Belo, nie spuszczać wzroku z Veradisa.

A więc Peritusa nie zawiodły rachuby, pomyślał młodzieniec. Na przełęczu w istocie czeka drugi oddział.

– Ale to nie wszystko – ciągnął Peritus. – Twój król każe ci złożyć broń. Jak teraz postąpisz, Belo? Czy twoją pierwszą decyzją pod rządami nowego króla będzie zdrada?

Belo milczał przez długą chwilę, zastanawiając się nad słowami wojewody.

– Skoro Gundul nie jest zakładnikiem, nic się zapewne nie stanie, jeśli uda się do mej twierdzy, gdzie będziemy mogli nieco bardziej szczegółowo omówić te niecodzienne okoliczności.

Znów zapadła cisza. Gundul wpatrywał się w Peritusa.

– Oczywiście. – Wojewoda skinął głową.

– Dobrze. Zapraszam więc, mój królu! – Belo machnął ramieniem.

Veradis skrzywił się, podejrzewając podstęp.

– Tylko nie naradzajcie się zbyt długo! – zawołał, gdy carnutańscy arystokraci pognali w górę zbocza. – Nasza cierpliwość ma swoje granice!

Peritus spojrział na niego i zmarszczył brwi.

– Musisz się jeszcze dużo nauczyć – mruknął.

– Może. Ale to nie my tu wyrządzamy komuś krzywdę! Nie my jesteśmy agresorami. Nie będę siedział i czekał w nieskończoność, bo tak się podoba Belo!

– Nie my jesteśmy agresorami? – Peritus zerknął na głowę

Mandrosa. – Obawiam się, że naszej sytuacji nie da się tak po prostu rozpatrzeć w kategoriach dobra i zła. Co więcej, wolałbym też zachować więcej taktu, a dzięki temu być może dłużej żyć. Chodźmy, to jeszcze nie czas na bitwę.

Veradis wrócił więc z Peritusem, choć z ciężkim sercem. Nie ufał Gundulowi – czuł, że człowiek, który zdradził własnego ojca, nie okaże im bezinteresownej lojalności. Niedługo zaś mieli się przekonać, czy Gundul uzna, iż warto utrzymać pokój z Tenebralem. Veradis nie miał pojęcia, czy po wyeliminowaniu Mandrosa jego synowi w istocie będzie na tym zależeć.

Wzruszył ramionami, pogrążony w rozmyślaniach. Nie miałby właściwie nic przeciwko rychłej bitwie. Ze zdziwieniem stwierdził, że mimo śmierci Mandrosa przez cały czas roznosi go gniew, tłący się gdzieś z tyłu głowy. Sądził, że wściekłość wygaśnie w chwili, gdy wymierzy zdrajcy sprawiedliwość, ale tak się nie stało. Co więcej, złapał się na tym, że nie potrafi się na niczym skupić, a jego umysł spowija mgła. Może chodziło o to, w jaki sposób zginął Mandros? O to, że próbował oczernić Nathaira? Veradis nie chciał, by król Carnutanu zginął w ten sposób. Nie chciał, by jego śmierć ciążyła mu na sumieniu, ale trzeba było go zabić. Sprawiedliwość była potrzebna dla większego dobra. Na samo wspomnienie kłamstw Mandrosa znów rozgorzał w nim gniew. Zacisnął zęby, zsunął się z siodła i usiadł na ziemi obok Rauki i Bosa.

Niedługo później nadciągnęła niewielka grupa jeźdźców z Gundulem na czarnym rumaku na czele.

– No i? – burknął Veradis, wpatrując się w Belo.

Starzejący się wojownik spoglądał mu przez moment w oczy, a potem opuścił głowę i zerknął na Gundula.

– Będzie pokój – oznajmił Gundul, stając w strzemionach. – Nie przejmujcie się niczym. Jesteście mile widzianymi gośćmi i dopóki przebywacie na moich ziemiach, dopóty włos wam z głów nie spadnie. Droga do górskich przełęczy stoi dla was otworem.

Zewsząd poniosły się wiwaty, choć Veradis poczuł się przez

moment niemalże rozczarowany.

– Dziękuję – rzekł Peritus do Gundula, choć nie spuszczał wzroku z Belo.

– Jestem jedynie sługą Korony – odparł ten. – Wyruszymy, gdy będziecie gotowi. Zapewnię wam eskortę do waszej granicy.

Peritus odwrócił się, by zorganizować przemarsz, a Belo pochylił się w siodle i cichym głosem zawołał Veradisa:

– Na twoim miejscu przestałbym wymachiwać tym trofeum nad głową. Gundul jest teraz naszym królem, ale wcześniej służyliśmy Mandrosowi przez ponad dwadzieścia lat. Wielu ludzi nie będzie miało ochoty zapomnieć o tym tak szybko. Nie spodoba im się to, że paraduje między nimi królobójca.

Następnie odwrócił się i odjechał, nim Veradis zdołał ułożyć odpowiedź.

Peritus sprawnie i szybko uformował ich hufce, po czym armia Tenebralu wyruszyła w drogę. Nim wyjechali, Gundul obiecał, że dołoży wszelkich starań, by ich królestwa zbliżyły się do siebie, i wcisnął w rękę Peritusa zwinięty pergamin.

Na wysokiej przełęczy przed nimi pojawiła się grupa jeźdźców z orłami Tenebralu na tarczach. Było to czoło hufca, który Peritus zawczasu wysłał im na odsiecz. Odłączył się od nich ogromny mężczyzna, który ruszył im na spotkanie. Był to Krelis.

– Miło cię widzieć, braciszku – rzekł, gdy znalazł się blisko.

Veradis nie mógł powstrzymać uśmiechu, choć ich ostatnie spotkanie nie skończyło się dobrze. Niespodziewanie uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za bratem. Pochylił się i mocno uściskał jego ramię.

– Nathair uznał za stosowne postawić mnie na czele kilku tysięcy mieczy. Przydam się?

– Nie, już nie – rzekł Peritus, uśmiechając się do ogromnego mężczyzny.

– Peritusie! – Krelis rozpromienił się. – Nadal siejesz zamęt i bałagan, dokądkolwiek się udasz, co? – zawołał i z humorem

klepnął mężczyznę w plecy, o mały włos nie strącając go z siodła.

– Tym razem nie – odparł wojewoda. – Teraz to trzeba było mieć oko na twego brata. Ubłagał mnie, bym pozwolił mu wejść pierwszemu w zasadzkę! W rzece!

– Nigdy nie był najbystrzejszym wśród nas. – Krelis znów uśmiechnął się szeroko.

Veradis zalał się rumieńcem. Od śmierci Aquilusa ani razu nie czuł się tak dobrze jak teraz.

– A Mandros, jak widać, zapłacił za swe zbrodnie – rzekł Krelis, spoglądając na głowę zatkniętą na włóczni Veradisa.

– Cóż – burknął Peritus.

– Zginął dobrą śmiercią?

– Ujdzie – mruknął wojewoda. Veradis odwrócił na moment wzrok. – Padł z ręki twego brata.

– No i dobrze – warknął Krelis. – Aquilus był wielkim człowiekiem i wspaniałym królem. – Westchnął i przetarł wielką dłonią oczy. – Cóż, a więc już po wszystkim. Przypuszczam, że pora na powrót do Jerolin.

– Tak – zgodził się Peritus.

– Znakomicie – zagrzemiał Krelis. – Mam już tych gór po dziurki w nosie.

Wspólnie wyruszyli w drogę powrotną do Tenebralu.

* * *

Veradis wjechał na dziedziniec Jerolin z Krelisem i Peritusem u boku i dostrzegł czekającego na nich Nathaira. Obok niego stała Fidele, a za nimi ciągnęły się szeregi orlej straży, lśniące stałą i zbrojami z utwardzanej skóry. Trzej mężczyźni zsunęli się z siodła i opadli przed Nathairem na jedno kolano.

– Powstańcie – rzekł nowy król Tenebralu. Nadal był blady i miał ciemne plamy pod oczami, ale jego stan poprawił się

znacznie od chwili rozstania. – Witajcie w domu – powiedział i uścisnął ramię Krelisa oraz Peritusa, po czym przygarnął do piersi Veradisa, cofnął się i przyjrzał się całej trójce. – Elyon wysłuchał mych modłów. Wszyscy trzej dowódcy powrócili cało i zdrowo pomimo rozlicznych niebezpieczeństw po drodze.

– Ja siedziałem sobie tylko na zielonej łączce przez dziesięć noc – wtrącił Krelis. – To oni ryzykowali życiem i zdrowiem. Największym niebezpieczeństwem, które mi groziło, był przemoczony tyłek.

– W razie potrzeby bez wahania stanąłbyś do boju wraz z nimi – oznajmił Nathair. – Jestem tego pewien. Poza tym twa obecność miała wpływ na postawę Belo, który w innej sytuacji z pewnością nie zgodziłby się na wasz bezpieczny przejazd. – Urwał na moment, ujął rękę matki i ścisnął ją mocno. – Czy mój ojciec został pomszczony? – spytał.

– Tak – odparł Peritus. W jego głosie pojawiło się lekkie drżenie.

– Gdzie Mandros? – chciał wiedzieć Nathair.

Veradis cofnął się do konia, odczepił jutowy worek od siodła i wyrzucił jego zawartość na ziemię. Głowa Mandrosa, nadgniła i cuchnąca, pozbawiona większości włosów, ale nadal rozpoznawalna, potoczyła się pod nogi Nathaira i Fidele.

Królowa zmarszczyła nos, ale nie cofnęła się. Nathair, wpatrzony w trofeum, pokiwał powoli głową, a w jego oczach błysnął tryumf. Po chwili westchnął.

– Chodźcie. Macie mi dużo do opowiedzenia, a w mej komnacie czeka na was posiłek oraz wino.

Niespodziewanie strażnicy nad bramą zadęli w róg i świta Nathaira podeszła bliżej, by przekonać się, co się dzieje.

Przez rozłożone na błoniach obozowiska drużyn Peritusa i Krelisa kroczyła samotna, potężna postać. Wojownicy wstawali i rozstępowali się przed przybyszem. Był nim Alcyon.

– Kolejny mile widziany gość – szepnął Nathair. – Co za dzień!

Olbrzym skinął Veradisowi, podchodząc bliżej, a potem zwrócił

się ku władcy. Uklęknął na jedno kolano, wsunął rękę pod płaszcz i wyciągnął spod poły jajo większe od ludzkiej głowy, mieniające się połyskliwymi odcieniami błękitu i zieleni. Ujął je w obie dłonie i wręczył Nathairowi.

– Mój panie! – zagrzemiał. – Zrobiłem to, co ci obiecałem. Oto mój dar dla ciebie: jajo draiga!

Rozdział pięćdziesiąty szósty

CORBAN

Rok 1141 Ery Wygnańców, Księżyc Ogara

– Wspaniale! – krzyknął Corban. – Świetna robota, Dath. Pora na kontratak! Przyduś ją!

Corban stał w ogrodzie z założonymi ramionami i przyglądał się przyjacielowi i siostrze, którzy okładali się drewnianymi kijami. Dath utykał już lekko, a na jego policzku mienił się czerwony ślad po uderzeniu. Cywen, jak dotąd, nie oberwała ani razu.

Chłopak rzucił się do ataku i pchnął Cywen w klatkę piersiową. Cios był nieco chaotyczny i dziewczyna zręcznie uskoczyła, zablokowała go i rąbnęła Datha w kolano. Rozległ się świst przecinanego powietrza, a potem głośny trzask. Sekundę później chłopak zwijał się na trawie, a Cywen przyglądała się z niedowierzaniem resztkom swej zaimprovizowanej broni.

Corban stanął między nimi, maskując uśmiech.

Biedny Dath, pomyślał.

Trochę dziwnie się czuł, ucząc przyjaciela oraz siostrę władania mieczem, ale odkrył w tym coś, co sprawiało mu przyjemność. Przypuszczalnie najbardziej cieszyło go to, że może wydawać polecenia siostrze, a ta stara się go słuchać. Dath nie miał zaś wyboru i desperacko próbował poprawić swe umiejętności.

Hufiec królewski, prowadzony przez Pendathrana, opuścił Dun

Carreg księżyc temu i skierował się do Badun, a później do Ciemnego Boru. Było to pierwsze posunięcie Brenina przeciwko Braithowi i banitom z puszczy. Drużyna składała się z dwustu wojowników, wśród których znaleźli się Halion i Tarben, przez co Corban i Dath nie mieli z kim ćwiczyć na Jarzębinowej Łące. Został natomiast Tull, który zebrał wszystkich chłopaków pozbawionych nauczycieli i szkolił ich w grupie. Dath, tocząc próbne walki ze swymi rówieśnikami, czuł coraz większy wstyd, gdyż potyczki obnażały jego powolne postępy. Upokorzony i wściekły na siebie, poprosił Corbana, by go szkolił do powrotu Tarbena, a ten zaprosił go na treningi z Cywen.

– Czyż nie jestem najgorszym szermierzem, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi? – wymamrotał Dath, gdy przyjaciel pomógł mu się podnieść.

– Uczę Cy od jakiegoś czasu – wyjaśnił mu Corban. – Zaczęliśmy na długo, nim dotarłeś na Łąkę, a jest lepsza od większości naszych rówieśników.

– Akurat – burknął Dath, rozmasowując kolano.

Słowa Corbana przypuszczalnie nie uleczyły urażonego ego przyjaciela, ale nie było w nich ani cienia przesady. Cywen uczyła się szybko, miała dobry zmysł równowagi i błyskawicznie reagowała, co, jak Gar powtarzał wielokrotnie swemu uczniowi, należało do absolutnie najważniejszych cech każdego szermierza.

– Nie dąsaj się, Dath. – Cywen uśmiechnęła się szeroko. – Następnym razem dam ci wygrać.

Chłopak skrzywił się i podniósł kij.

– Nie nabijaj się. – Corban zwrócił się do siostry. – Tak nie wolno!

Cywen wywróciła oczami i pokazała mu język.

– Bądź grzeczna albo niczego cię już nie nauczę! Choć ty akurat zawsze możesz poprosić o lekcje Ronana.

Chłopak zwrócił uwagę na spojrzenia, które siostra wymieniała z Ronanem, i widział wzrok, jakim odprowadziła rudowłosego

wojownika, gdy wyjeżdżał z hufcem Pendathrana przez Kamienną Bramę. Uśmiechnął się szeroko na widok jej rumieńca, a dziewczyna skrzywiła się dziko, wybrała nowy kij z ich kolekcji i stanęła w odpowiedniej pozycji do kolejnego starcia.

– O ile wróci cały i zdrow z Ciemnego Boru – rzekł Dath.

Cywen zrobiła wypad i zdzieliła go w głowę.

– Aua! Za co to?

– Stop – odezwał się Corban. – Przygotujcie się. I żadnego oszukiwania.

Cofnął się i stanął przy Burzy, która leżała na trawie i nie spuszczała wzroku z kurcząt grzebiących w ziemi po drugiej stronie ogrodu. Usiadł, oparł się o wilkunicę i wciągnął głęboko w płuca powietrze, w którym mieszały się wszystkie zapachy z otoczenia: kwiaty, ziemia, trawa i sierść.

– No dalej, Cy! – odezwał się Dath. – Boisz się?

Corban uniósł wzrok i uświadomił sobie, że siostra wpatruje się w niego z nieodgadnioną miną. Ostatnio często ją na tym przyłapywał. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego zmarszczyła jedynie brwi.

– Pewnie, że nie – prychnęła i przeszła do ataku.

* * *

Corban przyglądał się, jak Rafe wychyla ramię do tyłu, nabiera tchu, celuje ostrzem włóczni, a potem wyrzuca ją z całej siły. Włócznia pomknęła ku błękitnemu niebu, zatoczyła łuk w powietrzu i z łupnięciem wbiła się w wyściełaną słomą tarczę.

– Sześć! – oznajmił Tull potężnym, dudniącym głosem.

Byli świadkiem sprawdzianu umiejętności wojownika, któremu był właśnie poddawany Rafe. Wielu spośród ćwiczących nie zwracało na to uwagi i nie przerywało własnego treningu, ale mimo to wokół syna Helfacha zebrał się tłumek. Wśród gapiów znaleźli

się Corban i Dath.

Wystarczyło jeszcze jedno trafienie, by Rafe ukończył tę część sprawdzianu i zasłużył sobie na własną włócznię. Podszedł do tarczy, wyrwał z niej broń i obrócił się na pięcie ze ściągniętą twarzą. Odliczył czterdzieści kroków, znów się odwrócił, wycelował i rzucił.

– Siedem! – zagrzemiał Tull.

– Cholera – burknął cicho Dath. – Miałem nadzieję, że nie trafi.

– Ja też – mruknął Corban.

Stali w niewielkiej grupce chłopaków, których nauczyciele wyruszyli wraz z Pendathranem do Ciemnego Boru. Wszyscy z zazdrością przyglądali się Rafe'owi, który z uśmiechem wyrwał włócznię i odwrócił się ku Tullowi idącemu ku niemu wielkimi krokami, trzymając sfatygowaną tarczę. Uśmiech na twarzy chłopaka przygasł.

– Pora na gonienie wierzchowca – szepnął Dath.

Rafe ujął mocno tarczę, a Tull skinął na Gara, który trzymał wodze wysokiej, ciemnobrązowej klaczy. Rafe zamknął oczy, nabrał tchu i pokiwał głową.

Stajenny cmoknął, rozpędził konia i wypuścił wodze. Zawołał coś, a klacz puściła się biegiem w stronę chłopaka. On również rzucił się do biegu. Przez chwilę pędził równoległe z koniem, aż nagle przyśpieszył, zbliżył się do zwierzęcia i złapał wolną dłoń za ciemną grzywę. W drugiej nadal ścisnął włócznię i tarczę. Trzymając się włosia, wyskoczył i wylądował na miękkim siodle ze skóry. Zachwiał się i Corbanowi wydawało się przez moment, że zaraz spadnie, ale w porę wyprostował się i odnalazł wodze. Tryumfalnie uniósł tarczę i włócznię ku niebu, rozglądając się w poszukiwaniu ojca.

Helfach w istocie stał nieopodal, a na jego twarzy malowała się bezbrzeżna duma. Uniósł rękę i zacisnął dłoń w pięść, wpatrując się w syna.

W Dun Carreg nie pozostało już wielu spośród jego przyjaciół,

gdyż ludzie Evnisa dołączyli do drużyny Pendathrana zagłębiającej się w gąszcz Ciemnego Boru. Podróżowanie przez las wiązało się z wieloma niebezpieczeństwami, więc Brenin odłożył zrękowiny bratanicy Evnisa z Uthanem. Królewski doradca miał nadzieję, że wraz ze swymi wojownikami będzie w stanie przyśpieszyć ten moment. Zdaniem Edany obaj bracia, Gethin i Evnis, byli bardzo niezadowoleni z opóźnienia, przez co zmobilizowali wszystkie swe siły.

Helfach stał więc samotnie na Jarzębinowej Łące i przyglądał się sprawdzianowi syna. Sądząc po wyrazie twarzy, nie zorientowałby się, nawet gdyby pod jego stopami nagle otworzyła się przepaść. Rozanielony, nie odrywał oczu od Rafe'a, który uśmiechnął się zuchwale i zatrzymał gniadą klacz. Spod końskich kopyt strzeliło błoto.

Wszyscy zaczęli wiwatować bądź tłuc bronią o tarcze, a Corban uświadomił sobie, że dał się porwać ogólnemu entuzjazmowi. Nie cierpiał Rafe'a, ale był to szczególny moment, niemalże święty dla każdego młodego mężczyzny.

Rozejrzał się i dostrzegł ogromną sylwetkę Farrella, który stał na skraju ich grupy. Od incydentu z Rafe'em Corban widział parokrotnie czeladnika kowalskiego, ale za każdym razem robiło mu się głupio i odwracał głowę, udawał wręcz, że go nie dostrzega. Tym razem jednak zdobył się na odwagę, nabrał tchu i podszedł do niego.

– Któregoś dnia i nas to czeka – rzekł, zerkając na wyższego o głowę kolegę.

Chłopak przyglądał mu się przez moment.

– Uhm – burknął, a potem przeniósł uwagę na Rafe'a.

Stali w milczeniu i patrzyli, jak Rafe zeskakuje z konia, a potem bierze do ręki miecz, by Tull osobiście mógł sprawdzić jego umiejętności.

Corban odkaszlnął.

– Chciałem cię przeprosić – bąknął niezręcznie.

Farrell znów na niego spojrzał, ale nic nie powiedział. Corban poczuł, jak na jego szyi rozlewa się rumieniec.

– Nie chciałem cię urazić – dodał. – Wiesz, chodzi mi o tamtą sprawę z Rafe’em. Nade mną też się znęcał. Wkurzyłem się, gdy zobaczyłem, że dręczy kogoś innego.

Urwał. Farrell wciąż na niego spoglądał, aż wreszcie kiwnął głową na znak, że przyjmuje przeprosiny.

Wtedy ich uwagę na nowo przyciągnął trzask zderzających się drewnianych mieczy. Rafe atakował z furją Tulla, ale ten stał na szeroko rozstawionych nogach i odbijał nieco chaotyczne ciosy chłopaka. Sprawdzał po kolei, czy syn łowczego zna wszystkie postawy i uderzenia obowiązujące początkujących wojowników. Walka przeciągała się – Rafe okrążał królewskiego czempiona, ciął, robił zwody i wypady, aż mężczyzna przerwał starcie i wręczył chłopakowi tarczę.

Rafe przyjął ją, a wtedy do natarcia przeszedł Tull, by przetestować obronę chłopaka. Po chwili uniósł dłoń i oznajmił:

– Koniec! – Skinął na Helfacha, który podszedł bliżej, trzymając miecz w pochwie.

– Rafe ben Helfach! – oznajmił głośno królewski czempion. – Przybyłeś na Łakę jako dziecko, ale opuszczasz ją jako mężczyzna i wojownik. Teraz powstań i ujmij swój miecz, a trzymając go, nigdy nie zapominaj o odwadze i honorze. Niech odwaga, honor oraz twe nowe ostrze pomogą ci przetrwać Długą Noc.

Rafe zwrócił się ku ojcu, a ten ujął miecz za pochwę i podał go rękojeścią synowi. Chłopak zacisnął dłoń na rękojeści, wysunął ostrze i uniósł je ku niebu. W niewielkiej grupce znów rozległy się wiwaty, najgłośniejsze wśród przyjaciół Corbana i Farrella, stojących nieopodal.

– Teraz pora na przysięgę – rzekł Tull.

Rafe poprzysiągł wierność Elyonowi, Ardanowi i królowi Breninowi, a na koniec rozciął nożem dłoń i zacisnął pięść, by krwią wyciśniętą na trawę przypieczętować wagę swych słów.

Wtedy Helfach założył mu na szyję nowy torkwes, a potem objął syna i poklepał go po plecach.

Tłum zaczął się powoli rozchodzić, a Rafe wyzwolił się z objęć ojca i podszedł do przyjaciół.

– To już nie będzie mi potrzebne! – zawołał i rzucił swój miecz ćwiczebny Crainowi.

Corban zaś, który był świadkiem tej sceny, przypomniał sobie nagle wyraźnie dzień, w którym Rafe mu go odebrał. Syn Helfacha spojrział na niego i mrugnął. Corban odwrócił się.

Jakiś czas później Corban i Dath szli szeroką, kamienną drogą w stronę domu Corbana, gdzie czekała na nich Cywen. Burza człapała kilka kroków za nimi.

– Myślisz, że przetrwa Długą Noc? – spytał Dath.

– Kto?

– Rafe. Dziś w nocy wypada jego kolej.

– Cóż, tak. Dlaczego nie?

Długa Noc była rytuałem przypieczętowującym sprawdzian wojownika, który naprawdę zamieniał chłopaka w mężczyznę. Wedle zasad Rafe miał opuścić fortecę przed zmierzchem, uzbrojony w nowy miecz oraz włócznię, i przetrwać noc w dziczy, z dala od Dun Carreg i Havan, mając jedynie mały tobolek z zapasami. Chłopak pretendujący do miana wojownika miał spędzić Długą Noc na samotnym czuwaniu i kontemplowaniu tych, którzy wychowywali go, opiekowali się nim i strzegli go w dzieciństwie.

– Sam nie wiem – mruknął Dath. – Chciałbym, by nie dał rady i tyle.

Corban wzruszył ramionami.

Wkrótce dotarli do jego domu i bez wahania skierowali się do ogrodu. Gdy przechodzili przez kuchnię, Corban rzucił przyjacielowi ciepły placek miodowy, który wyjął z pieca. Przez okno dostrzegał już Cywen stojącą po drugiej stronie ogrodu przy murze obrośniętym różami.

– Idź już do niej – rzekł. – Ja skoczę po nasze kije.

Wspólnie zgromadzili niezłą kolekcję kijów, które najbardziej przypominały miecze. Corban trzymał je u siebie, zawinięte w płótno, by nie ucierpiały od deszczów i mrozu. Wszedł do swego pokoju, porwał zawiniątko i wrócił na korytarz, a wtedy zauważył, że drzwi do sypialni rodziców są otwarte. Przez okno wpadało słońce, którego blask wylewał się aż na korytarz.

Chłopak wyhamował i zajrzał do środka. Gwenith siedziała na skraju łóżka, zwrócona do niego plecami. Corban bez zastanowienia wszedł do sypialni.

Kobieta aż podskoczyła, zaskoczona, i odwróciła się.

– Och, to ty, Ban – szepnęła i otarła policzek.

– Mamo, co robisz? – spytał, zerkając przez jej ramię.

Na kolanach matki leżał skrawek starego płótna, a obok niego kawałek drewna. Chłopak uśmiechnął się – rozpoznał bowiem rzeźbę, którą usiłował skończyć, gdy był jeszcze dzieckiem. O ile dobrze pamiętał, miała wyjść z tego gwiazda, ale szło mu niesporo i szybko się zniechęcił. Nie miał pojęcia, że mama ją zatrzymała.

– Wspominam dawne czasy, nic ponadto – odpowiedziała Gwenith. Objęła go ramieniem w talii i przytuliła mocno.

– A to co? – Corban wskazał płótno.

– Pierwsze kroki twej siostry w trudnej sztuce szycia.

– Kiepsko jej to wyszło.

– Kiepsko – zgodziła się mama.

– Ale... Dlaczego płaczesz, gdy patrzysz na te rzeczy?

Mama przytuliła go jeszcze mocniej.

– Czas płynie za szybko – powiedziała i oparła głowę o jego biodro, a chłopak pogładził ją po włosach. – Kocham cię – szepnęła.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

VERADIS

– Jeszcze chwila – rzekł Calidus.

Veradis pochylił się i zerknął nad ramieniem Nathaira. Nowy król klęczał na ziemi i wpatrywał się intensywnie w wielkie jajo umieszczone na stercie siana. Na ich oczach na zielono-błękitnej skorupie pojawiło się cieniutkie pęknięcie, nie szersze od włosa. Chwilę później odbiegły od niego kolejne, a potem odpadł pierwszy fragment skorupy. Z dziurki, która szybko się powiększała, wypłynęło nieco gęstego, przejrzystego płynu, po czym coś zaczęło wypychać kolejne kawałki skorupy od środka. Rozległo się kilka wyraźnych trzasków, aż zgromadzeni wokół jaja ludzie dostrzegli płaski pyszczek draiga.

– Pomóż mu, Nathairze – rzucił ostro Calidus. – Tylko jeden człowiek może tego dokonać.

Znajdowali się wraz z Valynem w boksie stajni, a przy wrotach zgromadził się tłum. Zachęcony król zaczął odrywać kolejne kawałki skorupy i poszerzać otwór. Jego palce już po chwili były śliskie od galaretowatego płynu wyciekającego z jaja.

Mały draig przepchnął przez dziurę pyszczek, a potem głowę, ale jego ramiona utknęły w otworze. Obrócił się gwałtownie i kłapał szczękami, próbując się uwolnić. Nathair wsunął palce w skorupę przy ramionach stworzenia i szarpnął mocniej. Rozległ się trzask i jajo ostatecznie pękło. Oczom wszystkich ukazała się pokryta

śluzem, przypominająca jaszczurkę istotka stojąca pośród skorup. Od końca ogona aż po pyszczek mierzyła pół łokcia.

Veradis zadrzał, przypominając sobie, jak wyrośnięci przedstawiciele tego gatunku szarżowali w górę zbocza i rozbijali jego szyk. Mały draig miał taką samą szeroką czaszkę, płaski pysk i gruby ogon co tamte potwory. Patrząc na ludzi, rozchylił szczęki, spomiędzy których błysnęły zęby przypominające igły, i wydał z siebie osobliwe szczeknięcie przywodzące na myśl psie.

– Nakarm go, szybko! – oznajmił Calidus.

Nathair sięgnął do przygotowanego zawczasu drewnianego wiadra i wyciągnął ochłap surowego mięsa. Ułożył go sobie na dłoni, którą podsunął pod paszczę bestii. Mały draig zacisnął powieki i węszył chciwie, obracając łeb to w jedną, to w drugą stronę, aż pochwycił zapach podsuwanego kęska. Jego głowa wystrzeliła naprzód. Z paszczy wysunął się długi język, który musnął dłoń Nathaira oraz mięso, po czym stworzenie zaczęło się głośno posilać.

– Teraz podaj mu resztki skorupy – rzekł cicho Calidus, gdy draig dojadł swój pierwszy posiłek.

Król Tenebralu skwapliwie wypełnił polecenie. Podsuwał kawałki skorupy, które draig rozgryzał pracowicie. Z jego pyska ściekały grube strugi śliny.

– Co za paskudztwo – szepnął Valyn do ucha Veradisowi, na co ten odpowiedział uśmiechem.

Po chwili draig zjadł wszystko, co było do zjedzenia. Wówczas zwinął się w kłębek i zasnął błyskawicznie.

– Dobra robota – rzekł Calidus, gdy wszyscy wyszli z boksu. – Draig jest już z tobą związany, choć nadal musisz go karmić. Nie może być to nikt inny poza tobą.

– Jasne. Słyszałeś, Valynie? Nikomu poza mną nie wolno wchodzić do tego boksu! Chcę, by strzeżono go w dzień i w nocy. Mam być powiadamiany za każdym razem, gdy draig będzie głodny.

– Tak, panie! – Valyn ukłonił się nisko. – Ale, jeśli wolno mi zapytać – bąknął – jak często to coś wymaga karmienia?

Nathair spojrział na Calidusa, który zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia – oznajmił. – Przypuszczam, że sam draig da ci znać – dodał z uśmiechem.

– Rusz więc głową, Valynie – rzekł król. – A teraz niech mi ktoś przyniesie wiadro. Muszę umyć ręce.

Tłum zgromadzony przy wrotach stajni rozproszył się pośpiesznie, zostawiając Veradisa samego z Nathairem, Valynem, Calidusem oraz olbrzymem.

– Jeździec Draigów. – Nathair wyszczerzył zęby. – Alcyonie, jestem twoim dłużnikiem.

Zamiast odpowiedzieć, olbrzym pochylił głowę.

– Musisz mnie nauczyć wszystkiego, co wiesz o tych stworzeniach. – Król zwrócił się do Calidusa, gdy ruszyli przez dziedziniec, zostawiając za plecami Valyna, który zerkał do środka stajni na śpiącego draiga.

– Oczywiście – odparł starzec.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Muszę teraz zrobić coś dla mojej matki, która wciąż słabuje. Poślę po was później, bo mam z wami do omówienia wiele spraw. Pora bowiem zwołać Radę Wojenną.

* * *

Strumień światła wdzierał się przez otwarte okno w półmrok pokoju. Veradis skrzywił się, patrząc na jezioro i ciągnące się za nim równiny. Niedawno minęło południe, ale rzadkie chmury rozpraszały ostre promienie słoneczne. W oddali widać było łańcuch poszarpanych, zwieńczonych śnieżnymi czapami gór.

Młodzieniec westchnął i odwrócił się od okna. Gdy ostatni raz przekroczył próg tego pokoju, ujrzał Nathaira w kałuży krwi, a dalej ciało nieżyjącego już Aquilusa. Zacisnął powieki.

– Dobrze się czujesz? – spytał go król.

– Ja? Tak, jasne – odparł Veradis i nalał sobie kielich wina z dzbana na stole. Wskazał trunek Lykosowi, który rozparł się wygodnie na jednym z kilku krzeseł, a ten ochoczo podstawił własny kielich.

Rozległo się pukanie i do komnaty, nie czekając na zaproszenie, wszedł Peritus, a po nim Calidus z nieodłącznym Alcyonem.

– Siadajcie, proszę. – Nathair wskazał wszystkim miejsca.

Veradis usiadł obok Peritusa, któremu na jego widok drgnęły kąciki ust.

– Otwieram Radę Wojenną – zwrócił się król do wszystkich zebranych. – Jak wiecie, życie mnie nie rozpieszcza od Dnia Zimowego Przesilenia, gdyż moja rana goiła się znacznie wolniej, niż sądziłem. Na szczęście śmierć mego ojca została pomszczona, a ja wróciłem do pełni sił. Dość już siedzenia i czekania, pora na czyny.

– Co masz przez to na myśli? – spytał Peritus. – Jakie czyny?

– Chcę dokończyć to, co zaczął mój ojciec. Chcę zrealizować jego plany i marzenia. Aquilus, jak wiecie, planował przyjść z pomocą tym, którzy zgodzili się zawrzeć z nim sojusz: Rahimowi z Tarbeshu, Romarowi z Isiltiru, Brasterowi z Helvethu i Breninowi z Ardanu.

– Zgadza się – burknął Peritus. – Rahim już pomoc otrzymał. Pozostali jeszcze nie.

– Kiedy ruszamy? – spytał Veradis, czując rosnący entuzjizm.

– Cierpliwości, mój pierwszy mieczu. – Nathair uśmiechnął się. – Czekają nas wiele przygotowań. – Przeniósł wzrok na Peritusa. – Nie chcę, by mój osobisty hufiec został rozdzielony podczas wykonywania tych zadań.

– Jesteś teraz królem Tenebralu – rzekł Peritus. – Armia czeka na twe rozkazy.

– Oczywiście. A wojownicy królestwa będą walczyć tak, jak im każe.

Peritus zmarszczył lekko brwi, co nie uszło uwadze Nathaira.

– Widziałeś mój mur tarcz w bitwie, prawda? – spytał, skupiając uwagę na wojewodzie.

– Tak. Skuteczna formacja.

– Skuteczna? – parsknął Nathair. – Veradis walczył w straży przedniej i stracił czterdziestu ludzi, a ty ponad pięć setek!

– Dobrze o tym wiem. Odważny z niego chłopak – rzekł Peritus.

– Odważny. Tak, Veradis jest dzielnym wojownikiem, ale nie o tym mówię. Peritusie, nie mam nieskończonej ilości wojowników. Tenebral nie dysponuje niewyczerpanymi zasobami ludzkimi i nie mogę sobie pozwolić na niepotrzebne straty. Gdybyś wyszkolił swoich ludzi do walki w murze tarcz, ilu z nich by poległo? Ilu z nich mogłoby wrócić tu wraz z tobą, ale zostało na brzegu zimnej rzeki, by gnić i marnieć?

Peritus mruknął coś pod nosem i odwrócił wzrok.

– Podjąłem więc decyzję. – Nathair powstał. – Wszyscy moi poddani, którzy mogą unieść miecz i chcą się zwać wojownikami Tenebralu, muszą nauczyć się nowej techniki toczenia bitew! Muszą się nauczyć walki w murze tarcz. – Wbił wzrok w Peritusa. – I nie mam zamiaru tolerować jakichkolwiek sprzeciwów w tej kwestii.

– Tak, panie – rzekł Peritus. Na jego twarzy nie było żadnych emocji.

– Dobrze. – Nathair uśmiechnął się niespodziewanie. – Niedługo sam się przekonasz, że taktyka walki murem tarcz pomoże nam wygrać wojnę z Asrothem i jego Czarnym Słońcem.

– Tak, panie. A jak planujesz przeprowadzić ten zamysł?

– Veradis wybierze kilka tuzinów ludzi, którzy towarzyszyli mu w kampanii w Carnutanie, ludzi, którzy potrafią zarówno dowodzić, jak i szkolić innych. Zostaną wysłani do moich baronów i wyszkolą ich drużyny. Stworzymy w ten sposób nowy rodzaj wojownika i hufce, jakich nikt dotąd nie widział na Ziemiach Wagnanych! Szykujemy się do wojny!

Słowa Nathaira sprawiły, że serce Veradisa zaczęło szybciej bić. Oczyma wyobraźni widział już wojowników, którzy stają w szyku i zwierają tarcze, już nie setki wojowników, ale tysiące.

– Kiedy? – zapytał.

– Natychmiast. Dobrze przemyśl, kogo wyznaczysz do tego zadania, bo gdy podejmiesz decyzję, wybrani przez ciebie ludzie bezzwłocznie wyruszą w drogę.

Veradis pokiwał głową, zamyślony.

– Skoro chcesz wydzielić ze swego hufca spory zastęp, który będzie szkolił inne oddziały, w jaki sposób mamy pomóc Brasterowi, Romarowi czy Breninowi?

– Potrafisz dostrzec sedno problemu, przyjacielu. Będziemy musieli z tym poczekać, aż nowe hufce będą już gotowe.

– Jak długo? – Veradis zmarszczył brwi.

– Dwa księżyce, jeśli się uda. Przypuszczalnie dłużej.

– Czyli będą gotowe pod koniec lata, a czeka nas długa podróż! Dotrzemy więc na miejsce na początku zimy.

– Być może. W tej sytuacji będziemy pewnie musieli poczekać do wiosny. – Nathair wzruszył ramionami. – I tak mamy wiele do zrobienia, Veradisie. Nie martw się. Nie będę siedzieć bezczynnie wśród tych zimnych ścian. Niemniej jeśli szkolenie przebiegnie bez przeszkód, być może uda się jeszcze stoczyć kolejne bitwy przed końcem roku.

W spojrzeniu Veradisa pojawiło się z wątpienie.

– Do Helvethu uda nam się dotrzeć, ale Ardan leży bardzo daleko.

– To prawda – rzekł Nathair. – O ile podróżujesz lądem.

Spojrzał na Lykosa, który siedział wygodnie z nogami wyciągniętymi daleko przed siebie.

– Bez trudu przerzucę zbrojny hufiec do Ardanu – rzekł pirat. – Choć im dalej na północ, tym trudniej się żegluje. Wody tam są naprawdę zdradliwe. Lepiej byłoby wyruszyć wcześniej, najpóźniej zaś w Księżycu Łowcy.

Nathair pokiwał głową.

– Oddajesz mi jak dotąd wielkie przysługi, Lykosie – stwierdził.

Władca Vin Thalun pochylił głowę.

– Ty i twa flota odgrywacie niezwykle ważną rolę w moich planach, a szybkość działania, która dzięki tobie stała się moim atutem, już się bardzo przydała.

– Przewożenie zbrojnych to nie wszystko, co możemy dla ciebie zrobić. Z chęcią wesprzemy was w walce. Nie boimy się rozlać dla ciebie krwi. Wierzymy w to, o co walczysz. Wierzymy w ciebie.

Peritus spojrzał na władcę Vin Thalun, mrużąc oczy.

– Wiem. I będziesz miał wiele sposobności, by to okazać, przyjacielu. – Nathair zmierzył wszystkich obecnych baczym wzrokiem. – Nie zapominajcie, że Vin Thalun są naszym cennym sojusznikiem i że powinniśmy robić wszystko, co w naszej mocy, by im pomóc. Bez ścisłej współpracy nigdy nie uda nam się zrealizować naszych celów. – Znów się wyprostował i zwrócił się do Lykosa: – Ilu ludzi jesteście w stanie przewieźć?

– W tej chwili? Nie więcej niż trzy tysiące.

– Zbudujemy wam nowe okręty. Tenebral dysponuje ogromnymi lasami, a my będziemy musieli przewieźć o wiele więcej niż trzy tysiące ludzi przed zakończeniem tej wojny. Sprowadź tu swoich szkutników, by mogli nadzorować prace. Wspólnie stworzymy wielką flotę!

– Stanie się tak, jak mówisz! – Lykos ukłonił się. Złote pierścienie w jego włosach brzęknęły lekko, zderzając się ze sobą.

Nathair zaś wstał i podszedł do okna. Przez moment przyglądał się jezioru i równinie, po czym rzekł:

– Mój ojciec oczekiwał, że po Dniu Zimowego Przesilenia wielu innych władców przyłączy się do jego sojuszu, ale tak się nie stało. Po ostatnich wydarzeniach nie musimy się już martwić o poparcie Carnutanu, gdyż na Gundulu można polegać.

Dopóki widzi z tego jakieś korzyści, pomyślał Veradis.

– Reszta jednakże milczy. Wysłałem jeźdźców z listami do

pozostałych władców, gdyż muszę poznać ich stanowiska. Jeśli nie staną po mojej stronie, będę musiał przyjąć, że opowiadają się przeciwko mnie.

– Być może są poruszeni śmiercią Aquilusa – podsunął Peritus.

– Dlaczego miałyby to cokolwiek zmieniać? – Nathair zmarszczył brwi. – Mój ojciec nie żyje, ale sojusz powinien trwać nadal. Przecież słońce pociemniało w Dniu Zimowego Przesilenia, nieprawdaż?

– Tak, panie – mruknął Peritus.

Nathair z trudem tłumził frustrację.

– Niemniej przypuszczalnie masz rację. Królowie Ziemi Wgnanych są przekorni. Nawet Romar, który poparł ojca na radzie, przyjął wyczekujące stanowisko. Otrzymałem od niego list, w którym domaga się dokładnych wyjaśnień, w jakich okolicznościach zginął mój ojciec. Wyraził nawet... Zaraz, jak on to ujął? – Przez moment szperał wśród papierów na stole, aż odnalazł zwinięty w rulon pergamin. – O, mam. Wyraził rozczarowanie faktem, że Mandros zginął bez procesu – rzekł, po czym zmiął pergamin, cisnął go na podłogę i powrócił do okna. – Zrobimy, ile będziemy w stanie, by przygotować się do wojny, a potem postąpimy tak, jak będzie należało.

W komnacie zapadła cisza, która trwała przez dłuższą chwilę, aż zebrani odnieśli wrażenie, że Nathair zapomniał o ich obecności. Peritus rozsiadł się wygodniej, a jego krzesło zachrobotало o podłogę. Król naraz zamrugnął, gdy jego uwagę przyciągnął jakiś ruch za oknem.

– Przez bramę przejechał jeździec. Myślę, że to jeden z posłańców, o których właśnie mówiłem. Peritusie, idź i dowiedz się, z czym przybywa.

Wojewoda powstał i wyszedł bez słowa, a Nathair powrócił do miejsca przy stole.

– Przyjaciele – rzekł. – Wasza czwórka będzie stanowić mą tajną radę, wewnętrzny krąg, któremu będę ufać bez żadnych zastrzeżeń.

Inni również będą użyteczni – zerknął przy tych słowach na drzwi, za którymi zniknął Peritus – ale nikomu nie będę ufał tak jak wam. – Pochylił głowę, a na jego twarzy pojawiła się troska. – Elyon przemawia do mnie. Niemalże co noc nawiedza mnie ten sam sen i nie mam już wątpliwości, że muszę odnaleźć kocioł. Dowiedziałem się, że to broń, która okaże się niezwykle istotna w naszej wojnie. Czy mogę liczyć na waszą pomoc?

– Każdą możliwą pomoc, panie – rzekł Lykos. – Powiedz tylko, czego sobie życzysz, a spróbuję spełnić twą prośbę.

– Wiem, wiem. – Nathair pokiwał głową. – Tyle jeszcze muszę osiągnąć, tyle dokonać. Zaczyna mi dokuczać ciężar mego przeznaczenia.

– Jeśli chodzi o ów kocioł, o którym mówisz, wydaje mi się, że będę mógł ci pomóc. Dysponuję pewnymi informacjami na ten temat – rzekł Calidus.

Veradis spojrział na starego doradcę. Wciąż nie mógł uwierzyć, iż ten człowiek był jednym z Ben-Elim, synów potężnych wojowników aniołów służących Elyonowi. Dobrze rozumiał, dlaczego Calidus woli utrzymać swą tożsamość w tajemnicy, ale nie mógł się doczekać dnia, w którym stary wojownik oznajmi światu, kim naprawdę jest. A te skrzydła...

Nathair rozpromienił się i wyprostował.

– Opowiadaj!

– Z informacji, które zebrałem, wynika, iż wiele, wiele pokoleń temu, jeszcze przed Plagą, z nieba spadła gwiazda. Olbrzymy miały wówczas inne natury, a ich klany nie były tak wojownicze. Wspólnie wykonały wiele przedmiotów z gwiazdnego kamienia. Zapewne znacie opowieści o siedmiu Skarbach?

– Tak, oczywiście – odparł Nathair, a Veradis pokiwał głową.

– Wygląda na to, że w tych opowieściach kryje się sporo prawdy, co nie, Alcyonie?

– Nim powstały klany, byliśmy jednym narodem. Moi przodkowie mieszkali na północnym wschodzie, za lasem Forn.

Nasi znawcy obyczajów pamiętają siedem Skarbów, które rzekomo zostały wówczas wykute z gwiazdnego kamienia, a były to: włócznia, topór, sztylet, torkwes, kielich, naszyjnik i kocioł.

Veradis obrócił się na krześle, by spojrzeć na olbrzyma.

– Gdzie one są? – syknął Nathair.

– Skarby trafiły do różnych miejsc. – Alcyon wzruszył potężnymi ramionami. – Gdy doszło do Rozdzielenia i nasz naród rozpadł się na klany, nastąpiło masowe odejście z północy. Wydzieraliśmy sobie Skarby z rąk i toczyliśmy o nie wojny. Część Skarbów zgubiła się i nie wiemy, co się z nimi stało. Tak przynajmniej głoszą opowieści.

– Dowiedziałem się, że kocioł znajduje się w Murias, fortecy należącej do klanu Benothi – podjął Calidus. – I jestem skłonny w to uwierzyć.

– Murias – mruknął Nathair. – To bardzo, bardzo daleko, nawet gdybyśmy żeglowali, zamiast iść lądem. Wiele królestw musiałoby udzielić nam zgody na przejście. – Spojrzał na rozwiniętą na stole mapę, przygniecioną na rogach ciężarkami. – Na trasie do Murias leżą Helveth, Carnutan, Isiltir, Ardan, Narvon i Cambren!

– Carnutan, jak sam twierdzisz, nie stanowi już problemu – rzekł Veradis. – A większości pozostałych obiecaliśmy pomoc. Z pewnością da się to wykorzystać.

– Tak. Doskonały pomysł, Veradisie. Pomożemy tym królestwom. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by nasz głos został usłyszany przez tych, którzy sprawują władzę – oznajmił Nathair, ale zmarszczył brwi. – Niemniej nie lubię opierać się na czyjeś dobrej woli. Jak już mówiłem ojcu, sojusze są delikatne. Cesarstwo byłoby rozwiązaniem o wiele bardziej praktycznym, nieprawdaż?

– Jeśli tego sobie życzysz – szepnęli jednocześnie Lykos i Calidus.

– Dlaczego nie obwołasz się cesarzem już teraz? – zapytał Veradis.

Nathair już wcześniej wspominał o utworzeniu cesarstwa, ale z jakiegoś powodu wówczas ta myśl budziła w Veradisie niepokój. Jednakże podczas kampanii przeciwko Mandrosowi na własne oczy zobaczył, jak spiskują królowie Ziem Wagnanych, i idea utworzenia cesarstwa zaczęła mu się wydawać sensowna.

– Zwiń porzecz, a ujrzysz, kto stoi przy tobie. – Nathair uśmiechnął się. – A ja myślałem, że z nas dwóch to ty jesteś tym rozważnym.

– Może kiedyś – parsknął Veradis.

– Za wcześnie – rzekł Calidus. – Jeśli zdradzisz się z takimi zamiarami, ściągniesz na siebie uwagę wielu wrogów, którzy z pewnością skwapliwie wykorzystają fakt, że wybierasz się w długą podróż przez niejedno królestwo. Nie, to zbyt ryzykowne. O wiele lepiej zrobisz, jeśli ukryjesz swe zamiary, odnajdziesz kocioł i wrócisz z nim do Tenebralu. Wtedy możesz obwołać się cesarzem.

Nathair rozparł się na krześle, bębniąc palcami po oparciu.

– Dobrze. Postąpię zgodnie z twoją radą. Droga, którą muszę obrać, wydaje mi się coraz wyraźniejsza. Dręczą mnie jeszcze dwa trudne tematy. – Uniósł palec w powietrze. – Co z mistrzami miecza, którzy opuścili Telassar lata temu? Gdzie oni są? – spytał, patrząc na Calidusa.

– Nie wiem – odparł starzec i pochylił głowę. – Moi informatorzy jak dotąd nie natrafili na ich ślady.

– To kwestia niezwykle dla mnie istotna, Calidusie. Muszę się dowiedzieć, dokąd się udali i dlaczego.

– Oczywiście. Nie zawiodę twoich oczekiwań.

– Wiem o tym, przyjacielu. – Nathair poklepał Calidusa po ramieniu. – Druga dręcząca mnie sprawa dotyczy doradcy mego ojca, Meicala. Umknął niedługo po śmierci ojca. Życzę sobie, by został odnaleziony.

– Ach, i tu mogę się podzielić kilkoma informacjami – rzekł Calidus z uśmiechem.

– Doprawdy? – Nathair uniósł brew.

– Dotarły do mnie dziś wieści z wiarygodnego źródła. Meicala widziano w Dun Carreg w Ardanie.

– Dun Carreg. Wszak to twierdza króla Brenina, nieprawdaż?

– Tak.

– Hm... – mruknął Nathair. – Bardzo ciekawe. Co więcej, do Ardanu jest o wiele bliżej niż do Murias.

– Co ci przyszło do głowy? – spytał Veradis.

– Być może powinienem sam stanąć na czele ludzi, których planowałem wysłać na pomoc Breninowi, i dowiedzieć się, dlaczego doradca mego ojca poczuł, że musi go odwiedzić. Dzięki temu znajdę się blisko Murias z drużyną gotową do ataku.

Niespodziewanie na zewnątrz rozległ się ryk rogów. Nathair przypadł do otwartego okna, a Veradis i pozostali ruszyli za nim.

Daleko na horyzoncie, na skraju widoczności, pojawiła się ciemna, otoczona chmurą pyłu plama, która zbliżała się powoli do Jerolin. Słysząc też było cichy pomruk wielu setek kopyt.

– Co to? – spytał Veradis.

– Chodźcie na mury! – zawołał Nathair.

Wspięli się po schodach na mury obronne w pobliżu jednej z ogromnych bram Jerolin. Veradis przeskakiwał po dwa stopnie naraz i zadyszał się, nim dotarł na górę. Zgromadzeni tam wojownicy z ponurymi minami przyglądali się nadciągającym przybyszom.

Oddział na równinie zbliżał się już do leżącej nad jeziorem wsi. Na szczycie obwodzącej ją palisady było już tłoczno od gapiów. Ostrza włóczy dzierzonych przez jeźdźców migotały w blasku słońca, chmura pyłu stawała się coraz gęstsza, a łomot kopyt przywodził na myśl grzmot burzy. Nie sposób było ich zliczyć, ale Veradis był przekonany, że jest ich przynajmniej tysiąc. Wytężał wzrok, ale nie widział żadnych flag ani proporców, które zdradzałyby tożsamość przybyszów.

Nagle, gdy oddział zaczął się wspinać po łagodnym zboczku ku

bramom twierdzy, Veradis uświadomił sobie, że wie, na kogo patrzy.

Przybyli wojownicy Jehar.

– Veradisie, Alcyonie, za mną! – rozkazał Nathair i ruszył na dziedziniec, gdzie nakazał otworzyć bramy. Wyszedł na zewnątrz z Veradisem po jednej i Alcyonem po drugiej stronie.

Jeźdźcom Jehar przewodził mąż o czarnych włosach, związanych na karku, tak jak to Veradis zapamiętał. Tym razem jednak przywdział pancerz kolczy, a na to nałożył ciemny napierśnik z utwardzanej skóry. Sumur, pan na Telassar, przybył na wezwanie.

Veradis przyjrzał się uważnie szeregom wojowników za plecami wodza. Dostrzegł zarówno kobiety, jak i mężczyzn, co do jednego uzbrojonych w długie, zakrzywione miecze, przytroczone do pleców. Po chwili ze zdziwieniem skonstatował, że nikt z nich nie miał tarczy.

Sumur uniósł dłoń i wstrzymał konia. Szeregi nadciągających za nim wojowników powoli nieruchomiały. Zaległa cisza. Gdzieś wysoko krzyknął jastrząb.

Sumur z gracją zsunął się z siodła i przeszedł kilka kroków. Przyprowadzeni przez niego jeźdźcy jak jeden mąż zeskoczyli na ziemię.

– Nathairze z Tenebralu! – Pan na Telassar zatrzymał się kilka kroków przed królem. – Przybyłem zgodnie z daną ci obietnicą, przyprowadzając całą potęgę Jehar. – Spojrzał na mury Jerolin, na których roilo się od wojowników, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na króla. – Nathairze! – zawołał głośno. – Tyś jest Seren Disglair, przeto ślubujemy ci posłuszeństwo. My, wojownicy Jehar, będziemy twym mszczącym ramieniem!

Z tymi słowami opadł na jedno kolano i pochylił głowę. Zastęp za jego plecami huknął na wiwat i uczynił to samo.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

CORBAN

Rok 1141 Ery Wygnańców, Księżyc Żniwiarza

Corban nachylił się i prześlizgnął pod barierką otaczającą wybieg dla koni, po czym nabrał głęboko tchu. Powietrze było świeże, czyste i chłodne. Po plecach spłynął mu dreszcz, choć niebo nad nim było błękitne, a słońce świeciło mocno. Lato powoli miało się ku końcowi i ustępowało miejsca jesieni.

– Dalej, Ban! – zawołała Cywen.

Stała na łączce niedaleko samotnego dębu. Towarzyszący jej Gar trzymał wodze swego ogromnego srokacza, Młota, do którego przytroczył drugie siodło. Tarcza galopował dookoła wybiegu i popisывał się przed ojcem, aż ziemia strzelała mu spod kopyt.

– Gotowy jesteś, chłopcze? – spytał Gar.

– Jasne!

– Dobrze.

Corban odpiął dodatkowe siodło z grzbietu Młota i przywołał swego żrebaka. Osiodłał go powoli, nie wykonując gwałtownych ruchów, a potem szybko nałożył mu uprzęż. Tarcza przez cały czas stał spokojnie, gdyż chłopak zdążył już go przyzwyczaić zarówno do siodła, jak i uprzęży. Ten dzień był jednak wyjątkowy. Tego dnia Corban chciał po raz pierwszy dosiąść żrebaka.

– No, wskakuj, Ban! – oznajmił Gar, podciągając popręg.

Chłopak wsunął stopę w strzemię i powoli przerzucił nogę nad grzbietem Tarczy, po czym wyprostował się i przejął wodze od Cywen. Cmoknął głośno.

– Ruszaj powoli naprzód – rzekł Gar i mocno pociągnął za uzdę.

Żrebak opierał się przez moment, po czym zrobił sztywny krok naprzód, a potem kolejny i jeszcze jeden, aż odzyskał swobodę chodzenia. Chłopak miarowo unosił się i opadał, czując, jak mięśnie konia przesuwają się pod skórą. Nie minęła dłuższa chwila, a rytm chodu całkiem go pochłonał.

Szli teraz równolegle do wielkiego traktu olbrzymów. Z komina chatki Briny, znajdującej się za drzewami, unosiła się strużka dymu.

Idący obok konia Gar cmoknął i rozpędził się. Biegł teraz, utykając i zmuszając konia do kłusu.

– Gotów? – zapytał, zerkając na chłopaka.

– Jasne!

Gar puścił uzdę Tarczy. Koń, prowadzony przez Corbana, biegł z początku niechętnie, ale szybko odzyskiwał pewność siebie. Okrążyli zagrodę i powrócili do stajennego.

– Słyszysz? – spytał nieoczekiwanie Gar, przechyliwszy głowę.

– Co takiego? – odparł chłopak, ale w tej samej chwili również pochwycił nowy dźwięk. Z oddali dobiegał narastający grzmot wielu, wielu kopyt.

Obaj spojrzeli na trakt olbrzymów, na którym po chwili pojawiła długa kolumna jeźdźców. Na czele jechało dwóch potężnych, barczystych wojowników o ciemnych brodach i równie ciemnych włosach. Jednym z nich był Pendathran, którego prawe ramię spoczywało na zakrwawionym temblaku, a u boku wojewody Ardanu jechał jego syn Dalgar, uderzająco podobny do ojca, ale bez siwych akcentów w brodzie. Drużyna króla Brenina wracała z wyprawy wojennej.

Pendathran, surowy i poważny, skinął Garowi głową. Wielu spośród powracających wojowników prowadziło konie bez jeźdźców.

Było ich wiele, zbyt wiele.

Wtedy Corban dostrzegł Haliona i uniósł rękę, by go pozdrowić. Wojownik odpowiedział uśmiechem, choć był blady i znużony, a na jego policzku goiło się skaleczenie.

Gar i Corban w milczeniu odprowadzili wzrokiem hufiec, który zmierzał krętym traktem ku twierdzy.

* * *

Słońce chowało się powoli za zachodnim horyzontem, a cienie w Dun Carreg stawały się coraz dłuższe, gdy Corban wyszedł z kuźni ojca i skierował się ku stajniom. Burza pognąła za nim. Chłopak umierał wprost z ciekawości – bardzo chciał się dowiedzieć, co spotkało drużynę Pendathrana. Poprzedniego wieczoru po powrocie do domu usłyszał tylko tyle, że hufiec poniósł spore straty. Co gorsza, przez cały następny dzień ojciec zatrzymał go w kuźni i chłopak z trudem krył rozdrażnienie.

Cywen na pewno się czegoś dowiedziała, pomyślał. Przecież pracuje w stajni i wszystkie plotki słyszy jako pierwsza.

Przeciągnął się, bo po całym dniu walenia młotem w kowadło bolały go wszystkie mięśnie. Jego ciało, wciąż rozgrzane od pracy, przeszył podmuch chłodnego wiatru. Zadrżał i szczerzej otulił się płaszczem. Wkrótce jego oczom ukazał się budynek stajni.

Cywen stała przy beczce z wodą. Pochylała się, pogrążona w cichej rozmowie z Edaną i Ronanem.

Wspaniale, pomyślał Corban. Nie ma to jak szpieg w wieży królewskiej.

– O, cześć, Ban! – zawołała jego siostra.

Chłopak powitał ją skinieniem głowy i uśmiechnął się szeroko do Edany i Ronana. Młody wojownik był wychudzony, a pod jego oczami rozlewały się ciemne plamy.

– Edana i Ronan opowiadali mi o tym, co się wydarzyło

w Ciemnym Borze – powiedziała cicho Cywen i rozejrzała się czujnie. Gar nie byłby zadowolony, gdyby zobaczył, że gada z kimś, zamiast wypełniać obowiązki. – Zginęło wielu ludzi – dodała.

– Widziałem puste siodła – rzekł Corban. – Co tam się właściwie stało?

– Wpadliśmy w pułapkę – rzekł pobladły, wymizerowany Ronan. – Podzieleni na trzy grupy, przez kilka nocy przedzieraliśmy się przez las. Plan był bardzo prosty. Mieliśmy kierować się w stronę serca puszczy, by osaczyć Braitha. – Urwał na moment, by odpędzić złe wspomnienia. – Ten jednakże jakimś cudem zdołał zejść nas z flanki. Oberwalibyśmy o wiele mocniej, gdyby nie Marrock i Halion. Zorientowali się, że wróg nadchodzi, i ostrzegli nas, ale ledwie zdołaliśmy sięgnąć po tarcze i dobyć mieczy, gdy poleciał na nas rój strzał. Wielu naszych padło raptem w ciągu kilku sekund. Znaleźliśmy się w potrzasku i pewnie zginęliby kolejni ludzie, gdyby nie ten wariat... – Parsknął i pokręcił głową. – Ten szaleniec Conall rzucił się do szarży. Zeskoczył z konia i popędził ku banitom z mieczem w garści, a ci skupili ostrzał na nim! – Ronan zaśmiał się. – Dokładnie tego potrzebowaliśmy. Pendathran skoczył za nim, potem Dalgar i inni. Miałem wrażenie, że rozrywamy tamę! Banici są odważni, dopóki stoją za drzewem z łukiem w ręku. Gdy przyjdzie do walki na miecze, nagle tracą rezon.

– A więc walczyliście? – spytała Cywen. – Wiesz, twarzą w twarz?

– Och, tak, choć przeciwnik aż tak bardzo do bitwy się nie kwapił. Większość banitów zna się głównie na rabowaniu gospodarstw i napadaniu na małe grupki podróżnych. Gdy doszło do starcia, okazało się, że jest ich znacznie więcej od nas. Na szczęście w porę dołączyli do bitwy Gethin oraz Ewnis, a po nich Uthan.

– A więc oni również odegrali ważną rolę? – spytał Corban.

– Niewątpliwie – burknął Ronan. – Choć wszystko zależy od tego, kogo spytasz. Każdy wojownik z drużyny Ewnisa powie ci, że

to oni wygrali bitwę, a moim zdaniem dotarli na miejsce, gdy właściwie było po wszystkim. Bez nich walczylibyśmy może dłużej, niewykluczone, że stracilibyśmy jeszcze kilku ludzi, ale rezultat byłby ten sam.

– A co z Braithem? – spytał Corban, myśląc o człowieku, który złożył mu obietnicę i dotrzymał jej.

– Z Braithem? Był wśród banitów, a jakże. Wielu naszych chciało jego głowy, ale jako pierwszy przypadł do niego Pendathran. – Młody wojownik rozejrzał się i dodał szeptem: – Tylko łasce Elyona zawdzięczamy to, że nadal stąpa po tym świecie. Nigdy dotąd nie widziałem człowieka, który tak dobrze włada mieczem.

– A co się wydarzyło później? – spytała Edana. – Nawet ojciec nic mi nie powiedział.

– Braith rozciął Pendathranowi prawe ramię i już miał go wykończyć, gdy opadli go bracia Halion i Conall. Byście widzieli, z jaką furią natarli na Braitha! Jak Kadoshim Asrotha!

– Nie mów takich rzeczy – szepnęła Edana i wykonała znak chroniący przed złem.

– Ale to prawda – rzekł Ronan. – Wspaniale walczyli. Gdyby nie oni, przywieźlibyśmy do domu ciało Pendathrana.

– Ale zabili go? Wiesz, Braitha! – naciskał Corban.

– Nie. Kilku innych banitów skoczyło mu na pomoc i odparło braci. Halion powiedział mi później, że rozpoznał jednego z nich. To był ten, którego pochwycili w Baglunie.

Corban zerknął na Cywen i przełknął ślinę. Nie rozumiał dlaczego, ale z jakiegoś powodu poczuł ulgę, że Braith zdołał ująć z życiem.

– Chwilę później przybyli Gethin i Ewnis. Banici bronili się jeszcze tu i tam, ale bitwa właściwie dobiegła już końca. Braith uciekł z kilkoma ludźmi, ale nie ocalało ich wielu. Myślę, że miną lata, nim znów zaczną nas niepokoić, o ile w ogóle się na to poważą.

– Dobrze! – rzekł Corban z przekonaniem.

– Nic ci się nie stało? – spytała Cywen.

– Mnie? Nie, raczej niej. Parę draśnięć, drobnostka. Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem, ale udało mi się uniknąć ran. Wielu innych niestety nie miało tego szczęścia.

Cywen niepewnie wyciągnęła rękę i musnęła palcami ramię Ronana. Ten ujął jej dłoń i ścisnął ją mocno.

– A więc Ciemny Bór jest już oczyszczony? – rzekł Corban i spojrzał na siostrę, marszcząc brwi.

– Tak. Zrobiliśmy, co do nas należało.

– Ewnis prawie tańczył z radości – dodała ponuro Edana.

– Czemu? – spytał Corban.

– Ponieważ teraz nie ma żadnych przeszkód, by jego bratanica wyszła za Uthana. Biedna Kyla.

– A co jest nie tak z Uthanem? – zdziwił się Corban.

– Tu chodzi nie tyle o niego, co o jego ojca, Owaina. Fúj. – Dziewczyna zatrzęsała się. – Co więcej, Ewnis zyskał tym samym kolejną motywację, by wyswatać mnie z Vonnem. – Skrzywiła się z niechęcią.

– Kiedy dojdzie do zrękowin? – spytała Cywen.

– Myślę, że na wiosnę – odparła Edana. – Niebawem nadejdzie zima i nie ma już na to czasu.

– O ile Braith do wiosny na powrót nie zawładnie Ciemnym Borem – stwierdził Corban.

Ronan pokręcił głową.

– Zima jest wystarczająco trudna dla nas wszystkich w zamku, a co dopiero dla tych, którzy mieszkają w puszczy. Nie, nie ma szans. Zabiliśmy mu tylu ludzi, że upłynie wiele lat, nim odbuduje swe siły. Zapamiętajcie me słowa. Jego potęga została złamana.

* * *

Zimne krople deszczu kąsały twarz Corbana, który, pochyliwszy głowę, otulił się szczelniej płaszczem i brnął naprzód, narzekając

pod nosem. Księżyc Kruka nigdy nie był łaskawym czasem dla mieszkańców wybrzeży Zachodniego Morza.

Chłopak wypełnił wszystkie obowiązki, które przydzieliła mu Brina, i śpieszył do domu, myśląc tylko o gorącym chlebie i potrawce z mięsa. Przyśpieszył kroku.

Brina ostatnio zachowywała się inaczej. Przestała być tak oschła i apodyktyczna, a czasami okazywała mu niemalże życzliwość. Co więcej, przydzielała mu ciekawsze zadania. Przygotowywał teraz okłady i mieszał zioła oraz inne leki, a uzdrowicielka pokazywała mu, jak korzystać z wiedzy, którą wtłaczała mu do głowy przez ostatni rok.

Burza człapała po trawie w tym samym tempie co on, jakieś pięćdziesiąt kroków za nim.

Chłopak uniósł głowę i zobaczył, że zbliża się do Havan. Kontury twierdzy wznoszącej się nad wsią były zamazane przez deszcz i chmury. Ulice były opuszczone, a nieliczni przechodnie śpieszyli do domów.

Corban przyśpieszył. Gdy znalazł się na krętej drodze, wiodącej ku fortecy, usłyszał za sobą znajomy głos:

– Cześć, Ban!

Odwrócił się i ujrzał Bethan, siostrę Datha.

– O, cześć! Dokąd zmierzasz?

– Wracam do twierdzy! – Dziewczyna wskazała ruchem głowy fortecę spowitą chmurami. – Muszę się z kimś spotkać. Pomagałam właśnie w wędzarni. Przejdziesz się ze mną?

Corban wciągnął powietrze i zmarszczył nos.

– Chyba za długo siedziałaś w tej wędzarni – oznajmił z uśmiechem i demonstracyjnie zacisnął palce na nosie. – Jasne, pójdę z tobą, ale w pewnej odległości.

Bethan zrobiła kwaśną minę.

– A z kim chcesz się spotkać?

– Nie mogę ci powiedzieć! – odparła dziewczyna, rumieniąc się.

– No, teraz zrobiło się ciekawie! – zawołał Corban. – Widujesz się

z kimś?

– Może. – Jego towarzyszka uśmiechnęła się. – Niedługo wszyscy się dowiedzie, ale on musi najpierw porozmawiać z ojcem.

– Dajże spokój, Bethan. Kto to taki? Przecież nikomu nie wypaplam.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła, ale nie odpowiedziała.

Pokonali już jedną trzecią drogi do fortecy i zbliżali się do zakrętu, kiedy Burza nagle zatrzymała się i zastrzygła uszami. Patrzyła w lewo na odległy zagajnik, w którym rósł gęsty, targany wiatrem głóg. Corban stanął. Miał wrażenie, że przez szum deszczu i świst wichru przebiły się jakieś głosy. Wytężył wzrok i wydało mu się, że dostrzega jakiś ruch wśród drzew.

Bethan również coś usłyszała. Oboje zeszli z drogi i ruszyli w stronę zagajnika, a gdy zagłębili się pomiędzy krzewy, napór wiatru zelżał. Wtedy ich uszu znów dobiegły ludzkie głosy, tym razem wyraźniejsze. Corban schronił się za drzewem, uniósł rękę, by zatrzymać Burzę i wyjrzał zza pnia.

Spoglądał na niewielką polankę, na której stały trzy osoby: Rafe, Crain z mieczem ćwiczebnym w ręku – tym należącym do Corbana! – oraz Farrell.

Rafe krzyczał coś, wymachując rękami, a potem splunął Farrellowi w twarz. Ten natarł na przeciwnika, chcąc złapać go za gardło, ale Rafe odskoczył. Farrell zamachnął się pięścią i trafił chłopaka w twarz. Rafe zatoczył się. Farrell złapał go, ale wówczas Crain grzmotnął go drewnianym mieczem przez plecy. Chłopak potknął się o korzeń i przewrócił na ziemię. Rafe i Crain przypadli do niego bez chwili wahania, kopiąc i bijąc. Miecz ćwiczebny wznosił się i opadał.

Corban uświadomił sobie, że zaciska pięści i zęby, ale nie mógł nawet drgnąć.

Uciekaj stąd, szepnął jakiś głos w jego głowie. Nic tu nie działasz. Tylko znów cię skrzywdzą, znów cię upokorzą.

Zerknął na Bethan, która przyglądała się scenie z ustami

szeroko otwartymi z przerażenia. Zrobiła krok naprzód, ale Corban złapał ją za ramię. Spojrzała na niego z oczami pełnymi współczucia i żalu, a chłopak naraz odzyskał władzę w nogach.

– Zostań tu! – powiedział. – Trzymaj Burzę. Nie pozwól, by za mną pobieгла.

Pokazał wilkuncy otwartą dłoń i ruszył. Wypadł na polanę i uderzył barkiem w plecy Craina, a ten, straciwszy równowagę, z głośnym hukiem wyrznął głową w pień najbliższego drzewa. Potem osunął się na ziemię i zmarł.

Wstrząśnięty Rafe wbił w Corbana wzrok, a ten zacisnął pięści i rzucił się do ataku. Jego ciosy trafiały to w szczękę, to w zębra, aż jego przeciwnik zachwiał się i padł na kolano.

– Teraz mi za wszystko zapłacisz! – warknął i zerwał się.

Wyprowadził potężny sierpowy. Corban, skupiony na walce, nie miał zamiaru wdawać się w żadne pyskówki. Zrobił sprawnie unik, doskoczył do chłopaka i wbił pięść w jego żołądek, a gdy Rafe zgiął się wpół, rąbnął go pięścią w skroń.

Rafe padł na ziemię, odtoczył się na bok i podniósł z trudem, potrząsając głową.

– To raczej ty zapłacisz! – ryknął Corban, uwalniając furję, która gromadziła się w nim od ponad roku. – Jesteś przecież wojownikiem! Nie wolno ci znęcać się nad młodszymi! Tull odbierze ci za to miecz!

– A co jeśli się nie dowie? – warknął Rafe i wyciągnął miecz z pochwy.

Corban cofnął się i otworzył szeroko oczy. Jego przeciwnik ruszył do ataku, ale wciąż nie otrząsnął się po otrzymanych właśnie ciosach, przez co jego pierwsze cięcie okazało się wyjątkowo niecelne. Corban odskoczył do tyłu. Rafe ciął po raz drugi i tym razem pozostawił krwawą rysę na przedramieniu młodszego kolegi. Nagle plecy Corbana eksplodowały bólem i runął jak długi, nurkując twarzą w usłanej liśćmi ziemi. Odwrócił się i ujrzał stojącego nad sobą Craina. Chłopak zamierzył się mieczem

ćwiczebnym, ale Corban jakimś cudem zdołał go pochwycić i wyrwać mu go z ręki.

Wtedy Rafe oparł stopę na piersi Corbana, pchnął go na ziemię i uniósł miecz.

Zaraz zginę!, pomyślał chłopak. Otworzył usta, ale nie był już w stanie krzyknąć.

Wówczas w pierś Rafe'a uderzyła błyskawica szarego futra i kłapiących szczęk.

– Nie! – wrzasnął Corban. – Burza, nie!

Zerwał się na równe nogi z mieczem ćwiczebnym w ręce. Jego plecy pulsowały bólem. Burza i Rafe przetaczali się po ziemi, a Farrell próbował się podnieść. Z rany na czole ściekała mu krew. Na polanę wpadła Bethan, ze wzrokiem utkwionym w wilkunicy.

– Próbowałam ją powstrzymać, ale... – zaszlochała.

– Burza, do nogi! – huknął Corban, ale bez rezultatu. – Biegnij, Beth, ściągnij pomoc! – krzyknął i popchnął ją ku ścieżce.

Dziewczyna obejrzała się raz za siebie i znikła.

Rafe wrzeszczał, gdy pazury Burzy rozdzierały mu nogę, a potem kły wilkunicy zacisnęły się na jego ramieniu. Wrzask przeszedł w pisk, gdy Burza potrząsnęła łbem. Rozległ się odgłos rozdzierania i Rafe odtoczył się w bok.

– Nie... – szepnął Corban.

Burza stała przed nim, a z jej pyska zwisał strzęp mięsa. Rafe z trudem dźwignął się na równe nogi. Jego ramię zostało zmasakrowane, Corban miał wrażenie, że wśród pozrywanych mięśni dostrzega kość. Rafe nabrał tchu i wrzasnął przeraźliwie.

Corban rzucił się na Burzę, złapał ją za futro na karku i szarpnął.

– Za mną! – rozkazał, po czym odwrócił się i ruszył biegiem przez zagajnik, byle dalej od polany.

Gałęzie chlastały go po twarzy, kolce szarpały mu ubranie, a w głowie narastała panika. Wypadł spomiędzy drzew, gdzie znów uderzyły w niego podmuchy wiatru i krople deszczu. Zakrwawiony

pysk Burzy stał się różowy.

– Coś ty narobiła? – szepnął. – Teraz to już na pewno cię zabiją!

Zacisnął oczy i przez chwilę oddychał głęboko, tak jak nauczył go Gar, a potem ruszył biegiem w dół wzgórza, w kierunku przeciwnym do Dun Carreg. Burza sadziła susami za nim. Wrzaski Rafe'a cichły w oddali.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

KASTELL

Kastell dmuchnął na swe złączone dłonie. Jego oddech zamienił się w parę. Zatarł ręce i naciągnął rękawice.

– Na koń! – rozkazał Orgull za jego plecami.

Niewielki oddział bez słowa dosiadł wierzchowców, a Maquin zdążył jeszcze kopnięciem roztrącić dopalające się ognisko. Kastell spojrział na szeroką rzekę, która w szarym blasku świtu wydawała się wciąż czarna. Kupiecka barka, której strzegli, była zaledwie ciemniejszą plamą na wodzie.

Poczuł mrowienie na policzku, gdy osiadł na nim śnieżny płatek. Zerknął ku blademu niebu, które ciągnęło się daleko i przypominało mu o odległym świecie, istniejącym gdzieś za lasem.

Orgull przytknął róg do ust i zadał raz. Jeźdźcy zamarli w oczekiwaniu.

Ich dowódca był łysym mężczyzną o grubym, byczym karku. Słyszał z nieprawdopodobnej siły, a swój warkocz wojownika miał w zwyczaju splatać z krótką brodą.

Z burt barki wysunęły się wiosła, które zanurzyły się w wodzie. Jednostka zaczęła powoli, ociężale przesuwać się z nurtem rzeki. Uprząż rumaka Orgulla brzęknęła, gdy ten ruszył przed siebie, starając się utrzymać to samo tempo co barka. Jego wojownicy podążyli za nim. Cienka warstwa śniegu skrzypiała pod kopytami.

Maquin popędził konia i zrównał się z Kastellem.

– A myśleliśmy, że będziemy zabijać olbrzymy, pić i śpiewać pieśni o chwale przy ognisku, co? – odezwał się, ścierając szron z siwiejącej brody.

– Ha! – burknął Kastell i pokiwał głową.

Eskortowali barcę kupiecką płynącą po rzece Rhenus, wyładowaną po brzegi solą i żelazem z kopalni Halstat. Sprawowanie pieczy nad handlem rzeczonym było jednym z najważniejszych zadań wojowników Gadrai, gdyż Rhenus była głównym traktem między Helvethem a Isiltirem i przez jakieś dziesięć mil wiła się wzdłuż południowo-zachodniego skraju lasu Forn. Każdy, kto decydował się pokonać ten odcinek w cieniu drzew, narażał się na wielkie niebezpieczeństwo.

Kastell jechał wzdłuż wschodniego brzegu, uznawanego za bardziej niebezpieczny, w towarzystwie dwudziestu wojowników Gadrai. Każdy z członków ich oddziału zabił przynajmniej jednego olbrzyma, a większość kilku. Dodatkowych dziesięciu wojowników znajdowało się na barce na wypadek, gdyby rabusie zdołali jakoś przebić się przez nabrzeżny patrol.

W trakcie czterech miesięcy służby w lesie Kastell był świadkiem dwóch ataków olbrzymów, z których każdy przejął go skrajnym przerażeniem. Wielkoludy położyły trupem dwunastu spośród ich towarzyszy, ale Kastell ubił dwa z nich, co upamiętnił kolejnymi nacięciami na pochwie miecza.

Spojrzał na Maquina, przypominając sobie dzień, w którym zdobył prawo do pierwszego nacięcia. Wydawało się, że od tamtej chwili upłynęło już tyle czasu.

– Wolę zimno od walki z Hunen – powiedział do przyjaciela.

– Trudno ci odmówić racji – burknął Maquin i uważnie rozejrzał się wzdłuż linii drzew.

Drugim zadaniem, które zabierało większość czasu wojownikom Gadrai, było oczyszczanie wschodniego brzegu Rhenus z wszelkiej roślinności, dzięki czemu wzdłuż rzeki ciągnął się pas szerokości ponad trzydziestu kroków całkowicie wolny od drzew i krzewów.

Był to niezwykły wyczyn, wymagający ogromnego nakładu pracy. Drużyny wojowników Gadrai harowały w pocie czoła przez większość roku, wyrywając pędy i małe roślinki, ale dzięki ich żmudnej pracy patrole nie były zmuszane do walki wśród drzew. Olbrzymy nie stanowiły przecież jedynego zagrożenia czającego się w lesie Forn. Zdarzały się również ataki wilkunów, choć te nauczyły się już trzymać z dala od terytorium Gadrai. Pojawiały się też draigi, które włóczyły się, gdzie im się żywnie podobało, nietoperze rozmiarów tarczy Kastella, skore do wysysania ludzkiej krwi, oraz wielkie armie mrówek, podobne do tych, które młodzieniec widział w Tenebralu, mogące w ciągu kilku sekund ogryźć człowieka do kości. O innych, trudniejszych do zdefiniowania niebezpieczeństwach, Kastell wolał nie myśleć.

Niespodziewanie poczuł mrowienie na karku. Odwrócił głowę ku Maquinowi i uświadomił sobie, że ten wpatruje się w niego intensywnie.

– Spędziliśmy tu sporo czasu, chłopcze. Nie masz aby ochoty, by się stąd wynieść? A może żałujesz, że tu przybyliśmy?

– Co? – wykrztusił Kastell. – Nie. I nie. – Uśmiechnął się wesoło do przyjaciela, co teraz, gdy przebywał z dala od Mikil, zdarzało mu się coraz częściej. – Żałuję tylko, że nie posłuchałem cię wcześniej. Od razu trzeba było to zrobić.

Maquin uśmiechnął się szeroko.

– Poza tym podoba mi się tu – dodał Kastell, patrząc to na rzekę, to znów na wielkie, masywne drzewa w oddali.

Gadrai, wojownicy, którzy patrolowali brzegi Rhenus, przyjęli go z ochotą i nie zadawali żadnych pytań o przeszłość. Chcieli jedynie poznać okoliczności, w których zgładził swego olbrzyma. Z czasem oddział stał się jego drugą rodziną. Od śmierci ojca i matki nie czuł z nikim tak bliskiej więzi. Czuł, że należy do tego miejsca, i był szczęśliwy.

– Dobrze – mruknął Maquin i pokiwał głową, ale nagle wstrzymał konia i wbił wzrok w skraj lasu. Przechylił głowę,

nasłuchując.

– Co się dzieje? – szepnął Kastell, próbując przeniknąć wzrokiem cienie wśród drzew, ale niczego nie dostrzegł. Nadstawił uszu.

– Nie mam pewności – burknął Maquin. – Ale wydawało mi się, że coś słyszę. – Wzruszył ramionami i kopnął piętami końskie boki.

Naraz Kastell usłyszał cichy plusk i obrócił głowę. Jego uwagę natychmiast przyciągnął jakiś ruch na rzece. Coś przecinało ciemne wody, pozostawiając za sobą ślad w kształcie litery V. Młodzieniec zmrużył oczy i po chwili nie miał wątpliwości, że nieznana istot zmierzała prosto w stronę barki. I to szybko.

Inni wojownicy również to zauważyli. Orgull zadał w róg, wzdłuż burty rozstawili się ludzie.

Istota z rzeki dogoniła barkę, a Kastell przekonał się, że niemalże dorównywała jej rozmiarami. Któryś z wojowników cisnął włócznią, ale chybił, a broń zniknęła w rzece. Istota natarła na burtę barki, łamiąc i miażdżąc wiosła. Jednostka zakołysała się dziko, nad nurtem rzeki poniosły się krzyki.

Wtedy coś wynurzyło się z wody. Błysnęły białe łuski, ogromny łeb, przywodzący na myśl węża, wzniósł się ponad reling, błyskawicznie pochwycił jakiegoś człowieka i wciągnął go pod wodę, urywając jego przeraźliwe wrzaski.

– Co to było? – syknął Kastell.

– Żmij! – oznajmił Maquin i chwycił za włócznię.

Wody rzeki znów zakotłowały się, tym razem niedaleko rufy barki, aż wystrzelił z nich szarobiały żmij i uderzył o pokład. Jego długie ciało skurczyło się i znów rozciągnęło, gdy bestia wciągała je do wnętrza barki, a potem popęzła naprzód. Kastell widział, jak opadli ją krzyczący, wznoszący broń wojownicy, jego bracia i towarzysze.

Jeden z nich doskoczył do potwora i rąbnął go mieczem, ale żmij pochwycił go szczękami, uniósł wysoko i zaczął przełykać. Kastellowi zrobiło się niedobrze.

Wówczas przed dziobem barki wystrzeliła kolejna bestia,

zalewając pokład strugami ciemnej wody. Chwilę później również wpełzła na pokład.

– Niech Elyon ma ich w opiece! – szepnął Maquin.

Prowadzący ich kolumnę Orgull wykrzykiwał coś, ale przerwał mu inny wrzask, donośniejszy, dobiegający z lasu. Kastell odwrócił się i ujrzał olbrzymy, które wypadły spomiędzy drzew. Część z nich w biegu ciskało włóczyniami. Jeden z koni padł, tryskając krwią z rany, a jeździec stoczył się do rzeki.

– Do ataku! – huknął Orgull i puścił się do szarży, wyciągając długi miecz z pochwy na plecach.

Kastell zatoczył łuk na swym wierzchowcu, dobył miecza i skoczył w ślad za Orgullem. Za jego plecami rozległo się przekleństwo Maquina.

Rozejrzał się i przekonał, że pozostali wojownicy również gnają do walki w ślad za Orgullem. Tymczasem z lasu wypadały coraz to nowe olbrzymy i z rykiem szarżowały ku nim, wznosząc topory i młoty. Kastell w okamgnieniu zrozumiał, że wróg ma nad nimi przewagę liczebną. Bitwa była z góry skazana na przegraną, a w oczy zajrzała im śmierć.

Teraz liczyło się tylko to, w jaki sposób zginą i ilu wrogów uda się zabrać ze sobą.

Pędził na niego jakiś olbrzym, mężczyzna z długimi wąsiskami. Wydał z siebie okrzyk bojowy, aż ślina trysnęła mu z ust, ale wtedy uderzył w niego rumak Kastella. Młodzieniec na ułamek sekundy nawiązał kontakt wzrokowy z olbrzymem, ale impet zderzenia odrzucił ich od siebie. Kastell zdołał machnąć mieczem i poczuł, że jego ostrze ze zgrzytem zjeżdża po kolczudze przeciwnika. Ten w międzyczasie pochwycił konia za grzywę i szarpnął mocno, aż zwierzę zarżało przeraźliwie, a potem wznosił topór wojenny.

Kastell ciął ponownie, ale zdołał jedynie wgnieść hełm przeciwnika. Cios był tak potężny, że ramię zdrętwiało mu od nadgarstka aż po łokieć.

Wtedy w gardzieli olbrzyma utknęła włócznia. Buchnęła ciemna

krw. Wielkolud próbował jeszcze oddychać, ale zakrztusił się i padł na ziemię. Maquin wrzasnął mu coś do ucha, ale Kastell nie słuchał. Krótkie starcie wyniosło go na tyły oddziału, więc sapnął i zawrócił konia ku pozostałym walczącym. Skądś dobiegły krzyki Orgulla. Młodzieniec dostrzegł, że dowódca stoi w strzemionach i tnie bez litości długim mieczem. Trysnęła krew, głowa olbrzyma spadła na ziemię, a potem ogromny mężczyzna znikł, zasłonięty innymi walczącymi.

Rumak Kastella poślizgnął się na wnętrznościach innego konia, ale młody wojownik w porę szarpnął za wodze i zdołał uniknąć upadku. Jakiś olbrzym przed nim zamachnął się młotem i z chrzęstem łamanych kości zmiotł człowieka z siodła. Kastell przypadł do niego i pchnął ze wszystkich sił. Zdołał wepchnąć miecz w szyję przeciwnika między hełmem a kolczugą. Znów trysnęła krew. Olbrzym odwrócił się i rąbnął konia Kastella pięścią w pysk. Zwierzę zarżało, stanęło dęba i zamachało kopytami, przez co wielkolud runął na plecy.

Maquin ukłął swego konia ostrogami, wyhamował przed rumakiem Kastella i pochwycił go za uzdę.

– Wszystko stracone! – zawołał, usiłując przekrzyczeć wrzawę. – Za dużo ich! Trzeba ostrzec Vandila i resztę w Brikan!

Racja stała po stronie starego wojownika, ale Kastell miał już dość uciekania, zarówno przed Hunen, jak i Jaelem.

Z walki wychynął potężny wierzchowiec z bujną grzywą. Dosiadał go ich dowódca.

– Wiejemy! – ryknął i wbił pięty w końskie boki.

Na jego drodze wyrósł zataczający się wojownik. Orgull zwolnił nieco, wyciągnął ramię, złapał towarzysza i w pędzie wciągnął go na siodło. Maquin zaś ponownie szarpnął za wodze Kastella i zawrócił jego konia. We dwójkę wyrwali się z zasadzki i z tętentem kopyt pognali traktem wzdłuż rzeki.

Kastell rzucił okiem za siebie i ujrzał kilka olbrzymów, które usadowiły się w czymś na kształt łodzi i ruszyły w kierunku barki,

na której leżały dwa zwinięte żmije. Na pokładzie nie było żywego ducha. Na brzegu olbrzymy sprawdzały, czy wszyscy pokonani na pewno są martwi. Kilka z nich zauważyło uciekinierów i rzuciło się w pościg.

– Och, nie, znów to samo! – mruknął Kastell i pochylił się nad końskim karkiem.

* * *

Uciekali przez resztę dnia i całą noc, robiąc jedynie krótkie postoje. Olbrzymy nie poddawały się. Bywało, że zostawiali je z tyłu i majaczyły gdzieś daleko, ale czasem udawało im się nadgonić. Kastell naliczył ich przynajmniej pięciu.

– Niedługo się poddadzą! – powiedział Alaric do ucha Kastellowi. Jego cuchnący oddech wywołał grymas na twarzy młodzieńca. – Jesteśmy już blisko Brikan!

– Mam nadzieję! – burknął Kastell. Był wykończony, a ból nóg i siedzenia przekraczał wszelkie pojęcie.

Brikan, zrujnowana, opuszczona forteca Hunen, była główną bazą Gadrai w lesie Forn. Kastell nigdy za tym miejscem nie przepadał, ale teraz nic by go nie ucieszyło bardziej od widoku jej murów, nawet wieści o śmierci Jaela.

– Wciąż został nam przynajmniej dzień drogi do Brikan – rzekł Orgull, który zrównał się z nimi. – Mam jednak nadzieję, że Vandil wysłał ku nam patrol.

– Czemu im zależało na tej barce? – zapytał Maquin.

Łysy kapitan wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Przewożono na niej przecież tylko cynę i żelazo. Dziesiątki takich barek spłynęło już rzeką, a ci postanowili zaatakować akurat tę i to tak wielką siłą. Nigdy nie widziałem tylu Hunen naraz! Musiało być ich z czterdzieści, pięćdziesiąt.

– A do tego żmije.

– Próbuje o tym nie myśleć. – Orgull skrzywił się.

Jechali w milczeniu. Kastell wyteżał wzrok i wpatrywał się w drogę przed nimi, ze wszystkich sił próbując odpędzić znużenie. Gdzieś zaryczał draig, aż drzewa zadygotały, ale na szczęście był daleko.

Niespodziewanie Kastell usłyszał odgłos ciężkich kroków. Obrócił się w siodle i ujrzał olbrzymy, które przyśpieszyły i zaczęły zmniejszać dystans.

– Wiedzą, że jesteśmy blisko Brikan! – krzyknął Orgull. – Kończy im się czas. Pora dać z siebie wszystko! Zgubimy ich.

Zadał w róg. Z gałęzi sędziwego dębu zerwała się chmara kruków, które z wrzaskiem pomknęły ku niebu. Kastell uderzył piętami końskie boki. Czuł, że jego wierzchowiec próbuje zwiększać prędkość, ale bezskutecznie. Jego ciało przeszył dreszcz.

– Szybciej! – ryknął Maquin, jadący obok niego.

Orgull oddalał się.

Niespodziewanie Kastell uświadomił sobie, że leci ku ziemi. Uderzył o zmarznięty śnieg i przetoczył się. Jego ramię eksplodowało bólem. Poderwał się chwiejnie, wyciągając miecz. Jego koń próbował się podnieść, rżąc przeraźliwie. Z boku sterczała mu włócznia.

Olbrzymy, ciężko tupiąc, zbliżały się do nich. Było ich trzech, w tym kobieta, sądząc po braku wąsów. Maquin zawrócił i zatrzymał się między Kastellem a nadciągającymi przeciwnikami, po czym wyszarpnął miecz. Orgull, już w pewnej odległości od nich, ryknął ponownie.

Wtedy olbrzymy rzuciły się do natarcia. Czaszka konia Maquina rozbryzgnęła się, gdy trafił w nią topór. Kastell nie dojrzał, co się stało z jego towarzyszem, gdyż nachylił się pod opadającym młotem i rąbnął mieczem w nadgarstek olbrzyma. Ostrze odbiło się od utwardzonej skóry. Przeciwnik wykorzystał sposobność i uderzył młodzieńca kolaniem w pierś. Ten, wyrzucony w powietrze, runął na ziemię, przetoczył się i zatrzymał tuż przy brzegu rzeki.

Z najwyższym trudem podniósł się i uświadomił sobie, że zgubił gdzieś miecz.

Olbrzym rzucił się na Kastella, ale naraz pojawił się pędzący traktem Orgull. Pchnął wielkoluda mieczem w pierś, a ten zachwiał się i runął prosto na Kastella, zalewając krwią jego twarz. Krztuszący się młodzieniec poczuł narastającą panikę. Nie mógł oddychać! Sapał, szarpał się, napierał ze wszystkich sił, aż wreszcie udało mu się wydostać spod martwego olbrzyma.

Olbrzymki, poprawił się w myślach, plując i kaszląc. Jakoś zdołał się podnieść.

Maquin i Orgull stali ramię w ramię naprzeciwko dwóch olbrzymów.

Niespodziewanie powietrzem wstrząsnął ryk rogów. Na trakcie pojawili się jeźdźcy, spomiędzy drzew wychynęli piesi wojownicy. Jeden z nich, zbrojny w dwa miecze, poruszał się jak błyskawica. Był to sam Vandil, przywódca Gadrai. Przemknął pod ciosem olbrzyma i w okamgnieniu ciął go dwukrotnie, otwierając mu brzuch. Z rany buchnęły wnętrzności, a wielkolud padł na ziemię. W międzyczasie reszta wojowników rozprawiła się z drugim przeciwnikiem. Starcie skończyło się równie szybko, jak się rozpoczęło.

– Gdzie reszta twoich ludzi? – spytał Vandil.

Orgull skrzywił się i pokręcił głową.

– Co się stało?

– Zasadzka. Co najmniej czterdziestu Hunen. Barka została zaatakowana przez zmije.

Ludzie zamarli, zaskoczeni informacją o olbrzymich, białych wężach.

– Dowódco, ten tu żyje! – zawołał jeden z wojowników, trącając olbrzyma butem.

– Zwiążcie go. Zabierzemy go do Brikan.

* * *

Brikan był masywną, szarą wieżą, otoczoną porośniętym pnączami, kruszącym się kamiennym murem. W czasach, gdy królestwo Hunen rozciągało się daleko na północ, południe i wschód, twierdza pełniła funkcję posterunku granicznego. Wznosiła się na przeciwnym brzegu rzeki, a z lasem łączył ją jedynie szeroki, kamienny most.

W szeregach Gadrai służyło około czterystu wojowników, choć w twierdzy rzadko można było spotkać więcej niż połowę, gdyż przez większość czasu pełnili służbę patrolową.

Kastell znów jechał obok Maquina, obaj dosiadali koni przekazanych im przez towarzyszy. Przed nimi, na zaimprovizowanych noszach ciągniętych przez dwa wierzchowce, leżał związany olbrzym, zbyt ciężki, by mógł go udźwignąć jeden koń. Na oko nadal był nieprzytomny.

Wkrótce znaleźli się na moście. Kastell pozdrowił skinieniem głowy wojowników w niedźwiedzich skórach, którzy strzegli wejścia, i przejechał przez bramę na wyłożony brukiem dziedziniec, gdzie zgromadzili się pierwsi gapie. Nigdy dotąd Gadrai nie pochwycili olbrzymia żywcem.

Valyn kazał przywiązać nieprzytomnego jeńca do słupa na dziedzińcu.

– Obudzić go! – rozkazał.

Któryś z wojowników chlusnął w twarz olbrzymia wiadrem wody. Ten jęknął i potrząsnął głową. Skaleczenie na jego głowie pokrywał już czarny strup.

Kastell przyglądał mu się z fascynacją. Nigdy dotąd nie miał okazji przyjrzeć się olbrzymowi z bliska. Jego skóra była biała, poszarzała, tu i ówdzie niemalże przezroczyta na tyle, że widać było przez nią ciemne żyły. Nad małymi, ciemnymi oczkami wznosiły się grube, masywne brwi, a nos i policzki były ostrzej

zarysowane od ludzkich. Cienkie, sine usta okalał czarny, opadający wąs.

W oczach olbrzyma powoli pojawiała się życie. Drgnął, rozejrzał się i szarpnął z furią więzy. Tatuż na przedramieniu, przedstawiający kolczastą winorośl, zafalował, gdy olbrzym napiął mięśnie, i Kastell przez moment był przekonany, że łańcuchy popękają. Wtedy jeniec opadł z sił i wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Czego szukaliście na barce? – spytał Vandil.

Nie wyróżniał się imponującą posturą. Był człowiekiem średniego wzrostu, raczej szczupłym, z rzadziejącymi włosami i brakującym kawałkiem prawego ucha. Orgull był od niego o wiele wyższy, ale Kastell widział już przywódcę Gadrai w akcji i był świadkiem, jak zabił dwa olbrzymy w czasie, którego on sam potrzebowałby, by wyciągnąć miecz. Nigdy dotąd nie spotkał człowieka poruszającego się tak szybko.

– *Mise toil abair tusa faic* – wymamrotał olbrzym.

– Mów po naszymu – rzekł Vandil. – Wiem, że znasz naszą mowę.

Olbrzym wbił w niego posępne spojrzenie. Dowódca Gadrai podszedł do kowala, który założył wielkoludowi łańcuchy, i wziął od niego młot.

– Zapytam cię jeszcze raz – powiedział do olbrzyma. – Barka przewoziła cynę i żelazo. Po co wam to?

Jeniec skrzywił się, zacisnął zęby i splunął. Vandil wznosił młot i spuścił go na kostkę olbrzyma. Chrupnęło głośno. Wielkolud odrzucił głowę i zawył z bólu. Żyły nabrzmiały mu na karku. Vandil uniósł młot ponownie. Więzień szarpał się i ciskał klątwami.

– Odpowiedz mi – rzekł Vandil i zamachnął się ponownie, tym razem celując w kolano. Rozległ się obrzydliwy chrzęst.

Kastell zamknął oczy. Olbrzymy były ich wrogami, ale przyglądanie się kaźni nie należało do przyjemności.

Więzień ryczał i wrzeszczał, aż zachrypnął i zamilkł. Wpatrywał

się w Vandila z nienawiścią, oddychając łapczywie, z trudem. Mężczyzna ponownie wznosił młot.

– *Muid ga an iarann go cearta airm, ar an cogadh!* – wyrzucił z siebie olbrzym.

– Mów po naszymu! – Vandil nie opuszczał młota.

– Potrzeba nam żelaza, by kuć broń! – odezwał się jeniec. Mówił cicho, niepewnie, z trudem dobierając słowa we wspólnej mowie. –

Na wojnę.

– Jaką znowu wojnę?

– *An dia cogadh.* Wojnę Bogów.

Rozdział sześćdziesiąty

CAMLIN

Camlin z trudem powłóczył nogami. Liście i mech lepiły mu się do butów. Było mu zimno, zimno jak nigdy wcześniej.

A co gorsza, nie ma nadziei, by miało się to niebawem zmienić, pomyślał kwaśno i spojrzał na płatki śniegu, które przemykały między nagimi, bezlistnymi konarami nad jego głową.

Minął już ponad księżyc od dnia, kiedy przestali się bawić w kotka i myszkę z hucem z Ardanu i wydali przybyszom bitwę. Przez ponad księżyc włożył się po Ciemnym Borze wraz z Braithem i innymi niedobitkami z ich bandy. Z początku było ich więcej, ale niektórzy zmarli z ran, a inni wymknęli się pod osłoną nocy. Camlin wzruszył ramionami. Właściwie to ich nie winił, ale sam nie mógł pójść w ich ślady. Zbyt wiele czasu spędził w lesie. Nie sądził, aby był w stanie opuścić Ciemny Bór i Braitha.

Z gąszczu nieopodal ścieżki dobiegł jakiś odgłos. Camlin błyskawicznie wyrwał z pochwy miecz, wbił go w miękką ziemię u swych stóp, a potem chwycił za łuk i nałożył strzałę. Czekał w skupieniu. Odgłos rozległ się ponownie, gałązki bluszczu zadrżały. Młodzieniec nabrał tchu i naciągnął cięciwę aż do ucha.

– Nie strzelaj, Cam. To tylko ja – rozległ się znajomy głos i z zagajnika wyszedł Braith. Uśmiechnął się lekko i uniósł ramiona.

– Ciebie nie da się podejść, co? – spytał.

– Nie rób tego więcej – mruknął Camlin. Wytarł miecz i wsunął go do pochwy. – Mogłem cię naszpikować jak jeża. I kogo bym później winił o cały ten bajzel?

Braith uśmiechnął się szerzej, choć Camlin zauważył, że ich przywódca wydaje się bardziej zmęczony i wynędzniały niż kiedykolwiek wcześniej, a zdarzało się przecież, że cierpieli głód lub nie zaznali snu przez wiele dni.

– Jest zimno, nie da się ukryć – rzekł Braith i starł płatek śniegu z nosa. – Jutro ruszymy ku wzgórzom, Cam. Pożegnamy się na chwilę z drzewami. Jeszcze jedna zimna noc, a potem czekają nas ciepłe łóżeczka, dach i ogień. Pójdziemy wszyscy. Zostało nas zbyt niewiele, by odpoczywać na zmianę.

– Ach! – zawołał Camlin z zadowoleniem.

Każdej zimy członkowie bandy Braitha na zmianę odwiedzali pewną wieś położoną wysoko na wzgórzach. By dotrzeć do stóp wzniesienia, należało wyjść z Ciemnego Boru na jego północno-zachodnim skraju i wędrować przez pół dnia, a wieś leżała jeszcze kilka godzin marszu dalej.

– Szkoda, że wybieramy się tam dopiero teraz – burknął Camlin, choć nie przestał się uśmiechać.

– Za duże ryzyko, Cam. Musiałem mieć pewność, że nie podąża za nami jakiś nieproszony gość.

– Cóż, tym bym się akurat nie przejmował. Każdy człowiek, który chciałby nas śledzić, zamarzyłby dawno na śmierć albo się na śmierć zanudził. Przecież włóczymy się tu od... – Urwał. Nikt z nich nie lubił wspominać tamtego dnia.

– Zgadza się – wymamrotał Braith i bezwiednie dotknął gojącego się skaleczenia na czole.

Camlin dobrze pamiętał chwilę, w której przywódca dorobił się tej blizny. Pamiętał dwóch wrogich wojowników, którzy skoczyli na odsiecz Pendathranowi, blademu, opartemu o drzewo, krwawiącemu z rany na ramieniu. Pamiętał okrzyki i własną szarżę na wojowników z Dun Carreg, innych banitów, który

dołączyli do niego. Zamrugął i otarł oczy, przeganiając wspomnienie.

– Czyli ruszamy na wzgórze. Dobry pomysł, Braith – rzekł i zacisnął dłoń na ramieniu przywódcy.

– Idź odpocząć, Cam. Ogrzej stopy przy ogniu. – Na twarzy herszta znów pojawił się jego słynny uśmiech. – Ja przejmę wartę.

Młodzieniec odwrócił się i ruszył ścieżką w stronę ich obozowiska, zdejmując po drodze cięciwę z łuku.

* * *

Wyruszyli przed wschodem słońca z zapalem, którego brakowało im od wielu dni. Nawet zimne stopy i przemoczone buty nie osłabiły entuzjazmu Camlina. Zazwyczaj należał do tych nielicznych, którzy woleli zimować w Ciemnym Borze, ale nawet on cieszył się na myśl o dachu nad głową i ciepłym łóżku. Co więcej, tam wreszcie poczuje się bezpiecznie. Ciemny Bór był jego domem od wielu, wielu lat i zawsze wydawał mu się bezpieczniejszy od fortecy, ale od powrotu z Dun Carreg przez cały czas prześladował go niepokój, jakby ktoś za nim podążał. Wielokrotnie ganił się za to w myślach i wyzywał od głupców, ale mimo to nie był w stanie pozbyć się poczucia zagrożenia. Przeczynał, że czeka ich coś złego, aż przyszedł ów pamiętny, brzemienny w skutkach dzień.

Mogli przecież wodzić hufiec Pendathrana za nos po lesie. Mogli zniknąć i zaszyć się w bezpiecznej kryjówce. Braith jednakże miał już dość uciekania, no i z jakiegoś powodu nie zauważyli Gethina i jego drużyny, która zachodziła ich od tyłu.

* * *

Przez kilka godzin szli przez las, aż Braith wysforował się na czoło. Szedł naprzód, ostrożnie, z łukiem w garści i strzałą na cięciwie.

Camlin i pozostali, których było zaledwie dwudziestu, podążali za nim, aż wszyscy wyszli z lasu na równinę i skierowali się nad brzeg rzeki. Tam zagłębili się w morze trzciny i paproci, gdzie odnaleźli kilkanaście łódek, przycumowanych w równym rzędzie. Przetrzęsnęli okolice i przynieśli wiosła.

Po chwili Braith wypchnął na taflę rzeki łódkę z dwoma pierwszymi banitami. Popłynęła z prądem, a pasażerowie złapali za wiosła.

– Następni! – rozkazał przywódca.

Po chwili cała drużyna płynęła już naprzód, wiosłując w kierunku północnego brzegu. Gdy dotarli do celu, ukryli łódki i ruszyli ku nieodległym wzgórzom. Niebawem teren zaczął się wznosić – banicy pięli się po stromych zboczach i przekraczali zalesione, przecinane potokami dolinki, aż wreszcie ujrzeli cel swej podróży. Wioska leżała w kotlinie między dwoma szybko płynącymi strumieniami. Wśród gromady rozrzuconych tu i tam drobnych chatynek o dachach krytych darnią wyróżniała się okrągła karczma, znad której unosił się dym.

* * *

Fale ciepła, nadciągające nieprzerwanie od paleniska, zalewały ciało Camlina i powoli przepędzały chłód, który niepodzielnie zawładnął jego ciałem. Popijany *usque* jeszcze przyspieszył ten proces, rozgrzewając go od środka.

Reszta ludzi Braitha siedziała dookoła paleniska, pijąc i zjadając z wieśniakami, którzy nadal czuli się wśród nich nieswojo. Z twarzy banitów powoli znikwały lęk i zaszczucie, które nie ustępowały przez tak wiele dni.

– I co teraz, Braith? – spytał w końcu Camlin.

Zapadła cisza. Młodzieniec naraz pożałował, że się w ogóle odezwał, ale przywódca odwrócił głowę i rzekł:

– Spędzimy tu zimę. Dojdziemy do siebie i odzyskamy morale.

Camlin nabrał tchu i zdecydował, że doprowadzi temat do końca.

– Chodziło mi o to, co będzie później. Co nas teraz czeka, Braith? Czy w Ciemnym Borze będzie jeszcze... – Urwał, nie wiedząc, jak ująć emocje w słowa.

– Tak jak kiedyś? – spytał Braith, mierząc go wzrokiem, ale po chwili wzruszył ramionami. – Wszystko się zmienia, ale my przetrwamy. Tak to już bywa z ludźmi podobnymi do nas. – Umilkł na moment. – Wkrótce do Ciemnego Boru przybędą kolejni ludzie, by do nas dołączyć – rzekł. – Przecież zawsze tak było. A potem? Któż może wiedzieć, co będzie potem? – Na jego twarzy zagościła sroga mina. Zaciśnął usta, skryte w jasnej brodzie. – Chcesz wiedzieć, co płonie w moim sercu? Pragnienie zemsty, Cam. Wszystkich nas łączy jedno. Zostaliśmy skrzywdzeni przez świat. Przez krewnych, władców, ludzi lepszych od nas. Każdy człowiek jednakże po pewnym czasie ma już dość ucieczki i chowania się. Pora odpłacić pięknym za nadobne. – Uśmiechnął się niespodziewanie, a surowa mina znikła bez śladu z jego twarzy. – Poza tym dla takich jak my nie ma już na świecie miejsca lepszego od Ciemnego Boru.

Camlin pokiwał głową. Braith miał rację. Bitwa w Ciemnym Borze była błędem i otworzyła im wszystkim oczy, ale wciąż nie było na świecie miejsca, w którym byliby bezpieczniejsi niż w głębi puszczy.

Pociągnął łyk *usque* i przypomniał sobie króla Brenina. Władca Ardanu zaskoczył go. Wydawał mu się wręcz dobry i uczciwy. Szkoda, że inni lordowie Ardanu w niczym go nie przypominali. Splunął do ognia.

– Dobrze się czujesz, Cam? – spytał Braith.

– Czy dobrze? Tak, chyba tak. Jak sam mówisz, przeżyłem. – Uśmiechnął się bez wesołości. – Myślałem sporo o Evnisie – wycedził. – Powiedziałaś, że nam pomoże, ale w Baglunie nas zdradził. Zabił Gorana, a potem chciał zabić mnie. Później, podczas

bitwy w Ciemnym Borze, wraz z bratem zaatakował nas od tyłu. Gdyby tego nie zrobił, bitwa mogłaby się zakończyć zupełnie inaczej, Braith.

– Tak, Cam, Wiem o tym – parsknął wódz banitów. – Ewnis się doigrał i pożałuje tego, bez dwóch zdań. Bez względu na to, komu nadepnę przy tym na odcisk.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic. – Braith pociągnął tęgiego łyka. – Czasami to, czym się zajmujemy, i powody, dla których to robimy, stają się niejasne. – Znow upił z dzbana. – Ale zemsta na szczęście nie jest niczym skomplikowanym, co? A sam Asroth wie, że istnieje wiele, wiele spraw, które chcemy pomścić. Tak, Cam, zemsta. Zemsta powiedzie nas teraz naprzód.

Wyciągnął rękę do Camlina, a ten uściśnął ją mocno.

– Tak – zgodził się, patrząc mu w oczy, a potem nieoczekiwanie zapytał:

– A jak brzmi twoja opowieść, Braith? Co sprowadziło ciebie do Ciemnego Boru?

Znał historie wszystkich swoich towarzyszy, ale nikt nie wiedział, jakie powody kierowały Braithem. Wiadomo było tylko tyle, że po prostu się pojawił i od razu dał wszystkim do zrozumienia, że nie chce rozmawiać o swej przeszłości.

Przywódca banitów patrzył przez chwilę na niego, a potem uśmiechnął się.

– To akurat skomplikowana sprawa. Historia do krótkich nie należy, a mnie się chce spać, Cam. Kiedy indziej, co? – Niespodziewanie spowaźniał. – Opuszczę was jutro przed świtem i wrócę po dwóch, może trzech dniach. Zastąpisz mnie przez ten czas.

– Co? Wyruszasz gdzieś? Dokąd to?

– Ciszej, Cam, nie gadaj za dużo. I przestań mnie wypytywać. Dowiesz się o wszystkim, gdy wrócę, ale do tego czasu masz być tu dowódcą, jasne?

- Tak, Braith, nie ma problemu. Jeśli tego sobie życzysz.
- Dokładnie. Tego sobie życzę. – Mężczyzna wstał, uśmiechnął się ponownie i znikł w mroku.

* * *

Camlin nie myślał zbyt wiele o powierzonym mu dowództwie. Inaczej byłoby, gdyby dowodził grupą wypadową, ale w wiosce na ogół nic się nie działo. Pierwszy dzień minął spokojnie, ale drugiego dnia zaczęły go dręczyć nuda i niepokój. Wśród jego towarzyszy pojawiły się podobne nastroje, przez co trzeciego dnia nie zajmował się już niczym innym poza rozstrzygnięciem konfliktów między swymi rozdrażnionymi kamratami. Czwartego dnia wstał o świcie i udał się na skraj wsi.

Tam jego uwagę przyciągnął jakiś odgłos. Instynktownie sięgnął po miecz, gdy ujrzał ludzi na szczycie wzgórza: najpierw dziesięciu, potem dwunastu i kolejnych. Już chciał się odwrócić i pobiec w stronę karczmy, gdy wypatrzył wśród nich Braitha.

Nowo przybyli zeszli do wsi. Prowadził ich sam wódz banitów, pogrążony w rozmowie z kilkoma spośród nich. Camlin naliczył około dwudziestu, co do jednego posępnych, hardych, dobrze uzbrojonych wojowników. U jednego z nich błysnęła kolczuga, gdy z pluskiem przeprawiali się przez strumień i mijali go.

Braith się zatrzymał. Człowiek, z którym rozmawiał – ciemnowłosa mężczyzna, przystojny pomimo blizny pod okiem – ruszył ku gospodarce.

- Co tu się dzieje? – spytał Camlin.
- To rekruci – rzekł Braith, wodząc za nimi wzrokiem.
- Rekruci? Na ludzi lasu mi nie wyglądają. O co tu chodzi?
- To skomplikowane, zapomniałeś? Mniejsza z tym. Jest jedna sprawa, najważniejsza, o której musimy pamiętać. – Przywódca banitów uśmiechnął się krzywo i rzekł: – Zemsta.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

CORBAN

Corban pędził co tchu wśród niskich traw, aż dotarł do nasypu, po którym biegł trakt olbrzymów. Pośpiesznie wspiał się na górę, podpierając się mieczem ćwiczebnym. Tam zatrzymał się na moment, oddychając łapczywie. Spojrzał za siebie, by mieć pewność, że nikt za nim nie podąża.

Wciąż padał rzęsimy deszcz, a fortecę spowijały mgły, ale Corbanowi wydawało się, że mimo to dostrzega zagajnik, w którym walczył z Rafe'em. Z tej odległości przypominał zaledwie ciemną smugę na zboczu wzgórza. W jego myślach nadal rozbrzmiewał wrzask chłopaka. Miał nadzieję, że Bethan nic się nie stało. Widział, jak biegła do Dun Carreg.

Dun Carreg.

Corban wiedział, że plotki rozniosą się błyskawicznie, a wtedy los Burzy będzie przesądzony. Wilkunica siedziała u jego stóp, spokojna i obojętna. Na jej pysku nadal widać było różowe kropelki krwi.

– Chodź! – zawołał i znów rzucił się do biegu, tym razem na zachód, ku lasowi Baglun. Burza sadziła susami u jego boku.

Płuca mu płonęły, a stopy za każdym krokiem przeszywał ból, ale wkrótce jego oczom ukazał się kurhan na szczycie wzgórza, na którym kiedyś znajdowało się gospodarstwo Darola. Zwolnił, ale nie zatrzymał się i wkrótce wniknął między drzewa.

Po pewnym czasie trakt dotarł do polany, gdzie kamienne płyty ustąpiły miejsca ziemi i trawie. Pośrodku wznosił się majestatycznie kamień przysiąg. Usiadł i oparł się o niego plecami, oddychając ciężko. Burza przez moment drapała ziemię, po czym zatoczyła krąg i ułożyła się u jego stóp. Trąciła go pyskiem i potarła o niego łbem.

I co ja teraz zrobię?, pomyślał Corban, wpatrując się w wilkunicę.

Zamknął oczy i skrył twarz w futrze na jej karku.

Musimy uciekać, przyszło mu do głowy.

Przez chwilę wyobrażał sobie życie w dziczy we dwójkę, być może nawet ucieczkę poza granice Ardanu. Może udałoby mu się odnaleźć kupca Ventosa – przecież był jego przyjacielem i wędrował daleko po traktach Ziem Wgnanych. Z Burzą nawet on czułby się bezpieczniej. Ale jak go znaleźć?

Co więcej, na samą myśl o tym, że miałyby już nigdy nie ujrzeć mamy, taty, Cywen czy nawet Gara, poczuł ból w sercu, który niemalże odebrał mu dech. Ułożył się na mokrej trawie i wtulił się w Burzę, która obwachała jego twarz i polizała ranę. Otoczył zwierzę ramieniem i zamknął oczy, obojętny na deszcz.

* * *

Gdy się obudził, przeszywany dreszczami, nadal padało, ale ulewa straciła już na intensywności. Niebo ciemniało, a chmury nabrały koloru zimnego żelaza. Burza siedziała wtulona w niego grzbietem i wpatrywała się w pogrążający się w mroku trakt olbrzymów.

I wtedy Corban uświadomił sobie, że wie, co należy zrobić. Nie mógł uciec z wilkunicą. Nie przeżyłby samotnie w dziczy. Nie mógł opuścić swej rodziny i nie wolno mu już było zabrać Burzy z powrotem do Dun Carreg, gdzie czekała ją pewna śmierć.

– Muszę cię tu zostawić – powiedział drżącym głosem.

Wtulił się w nią, głaskał, wodził palcami po ciemnych znakach na tułowiu, odcinających się od białego futra. W lesie Baglun przynajmniej miała szansę na przeżycie, jeśli będzie trzymać się z dala od ludzkich sadyb, a jedzenia było tam w bród. Odetchnął, drżąc, a jego oczy naraz zalały łzy.

Podniósł się powoli, opierając się na mieczu ćwiczebnym. Był przemarznięty i zdrętwiały. Zrobił kilka sztywnych kroków w kierunku wyjścia z polany, ale zawrócił. Wilkunica stała, gotowa ruszyć za nim.

– Zostań – rzekł i pokazał jej dłoń, po czym ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na nią po raz ostatni. Burza nadal stała w tym samym miejscu i strzygła uszami, wbijając w niego spojrzenie miedzianych oczu. Potem droga skręciła i chłopak stracił ją z oczu.

Chwilę później usłyszał znajomy szelest łap. Wilkunica doścignęła go w okamgnieniu.

– Proszę – powiedział, gdy zwierzę zrównało się z nim. – Nie utrudniaj mi tego. Nie! – oznajmił głośniejszym głosem i znów pokazał jej dłoń.
– Zostań!

Burza posłusznie zatrzymała się, a chłopak zaczął oddalać się od niej tyłem, wciąż trzymając wyciągniętą dłoń. Po kilkudziesięciu krokach, gdy stała się już tylko ciemną plamką na drodze, naraz drgnęła i ruszyła za nim.

– Nie! – krzyknął Corban i zamachnął się mieczem ćwiczebnym.
– Nie!

Wilkunica zatrzymała się i przechyliła łeb, zaskoczona.

– Nie! – powtórzył chłopak i ruszył ku niej, wymachując rękami, ale ledwie się odwrócił, Burza podążyła za nim. – Zabiją cię! – wrzeszczał na nią, kłując ją mieczem, ale ta nawet nie drgnęła. – Uciekaj! Zostaw mnie! Oni cię zabiją! – krzyczał ze łzami w oczach, a potem uderzył ją mieczem. Burza zaskomlała, pisnęła, skuliła się i położyła po sobie uszy, a chłopak odwrócił się i pobiegł. Spojrzał

za siebie. Wilkunica zrobiła niepewny krok w ślad za nim, na co zatrzymał się, rzucił w nią mieczem, odwrócił się i znów puścił się biegiem naprzód. Łzy oślepiały go i rozmazywały mu cały świat.

Przez chwilę słyszał jedynie bicie własnego serca i swój szloch, aż nagle, gdzieś za jego plecami, rozległo się wycie Burzy, długie i przepojone smutkiem. Jej pieśń niosła się przez las i rozrywała mu serce na strzępy. Mimo to biegł przed siebie, szlochając i potykając się, aż wreszcie opuścił Baglun i z pluskiem wkroczył w wody brodu.

Gdy mijał wzgórze Darola, na drodze pojawiła się postać. Był to jeździec, któremu towarzyszył wielki pies. Na widok chłopca mężczyzna zeskoczył z konia.

– Ban? To ty, synu? – rozległ się znajomy głos.

Corban wpadł ojcu w ramiona, a ten uścisnął go. Stali objęci przez dłuższą chwilę – Buddai obwąchiwał go czujnie, a Thannon tulił go i gładził po włosach wielką dłonią.

– Gdzie ona jest? – odezwał się po chwili.

– Odeszła – zaszlochał Corban.

Z oddali dobiegło kolejne wycie, przeciągłe i żałosne.

– Chodź, chłopcze – rzekł Thannon. – Musimy udać się przed oblicze króla Brenina.

Podniósł syna i posadził go delikatnie na grzbiecie swego ogromnego konia, a potem usiadł za nim i ruszyli w drogę powrotną do domu.

* * *

Sala biesiadna była już właściwie opustoszała, gdy Corban z ojcem weszli do środka. Służba zdejmowała właśnie resztki upolowanego jelenia znad wypalonego paleniska. Thannon poprowadził syna przez serię korytarzy i zatrzymał się przed szerokimi drzwiami, których strzegł samotny wojownik.

– Jesteś na to gotów, Ban? – spytał.

Corban nabrał tchu.

Pierwszymi ludźmi, których ujrzał w środku, byli Brenin i Alona, siedzący na krzesłach z wysokimi oparciami. Za nimi stali Tull i Pendathran, a obok kilka innych osób. Dostrzegł Cywen, która próbowała się do niego uśmiechać, oraz swą mamę, o bladej, napiętej twarzy. Z wielką ulgą wypatrzył też Bethan i ucieszył się, że nic się jej nie stało.

Evnis, Helfach i Crain wpatrywali się w niego z gniewem i chłopak szybko odwrócił od nich wzrok, by spojrzeć na króla i królową.

W chwili, gdy wszedł do komnaty, w środku zapadła cisza. Król Brenin zmarszczył brwi i gestem przywołał chłopaka bliżej.

– Co... co z Rafe'em? – spytał cicho Corban, stojąc z pochyloną głową.

– Znalazł się pod opieką Briny, która mówi, że przeżyje – odparła Alona.

Chłopak odetchnął z ulgą.

– To dobrze – mruknął.

– To przez ciebie znalazł się w takim stanie! – powiedział ktoś za nim.

Crain, pomyślał Corban, choć nie odwrócił się, by spojrzeć.

– Cisza! – rzekł król Brenin. – Każdy z was będzie miał sposobność, by się wypowiedzieć, ale po kolei. W przeciwnym razie wyrzucę was stąd wszystkich i będę wzywał pojedynczo. – Zmierzył surowym spojrzeniem grupkę ludzi zebranych za plecami Corbana, a potem zwrócił się do chłopaka: – Mamy do czynienia z bardzo trudną sprawą. Rafe został poważnie ranny i mógł stracić życie. Mógł zostać zabity przez stworzenie, które zostało oddane pod twoją opiekę. Stworzenie, za który ty byłeś odpowiedzialny, jak ogłosiła to moja żona w tej oto komnacie. Chciałbym poznać szczegóły tego zajścia, nim ogłoszę wyrok, i z tego właśnie względu zebraliśmy się tu wszyscy. Mówże więc. Do czego tam doszło?

Corban zaczął mówić, z początku nieśmiało i nieskładnie, ale z każdym kolejnym zdaniem coraz sensowniej. Miał wrażenie, że wszyscy ludzie słuchający jego słów są gdzieś daleko. Płakał przez całą drogę do fortecy, choć próbował ukryć to przed ojcem, a teraz czuł się niemalże pusty, odrętwiały. Skupiał się na kolejnych zdaniach, nie chcąc, by jego myśli umknęły ku Burzy, błakającej się samotnie po Baglunie.

Gdy zakończył, Brenin wezwał Craina, od którego usłyszał całkowicie inną wersję opowieści. Według chłopaka to Farrell napadł na niego i na Rafe'a, a Corban napuścił na nich Burzę. Po Crainie przyszła kolej na Bethan, Farrella, a w końcu Helfacha, który jako pierwszy dotarł do zagajnika z Bethan. Królowa Alona przerywała zeznającym licznymi pytaniami, a gdy powiedziane zostało wszystko, zapadła długa cisza. Brenin zamilkł, pogrążony w myślach.

– Mamy do czynienia z dwoma sprawami – rzekł w końcu, przerywając milczenie. – Po pierwsze, muszę zdecydować w kwestii Corbana i jego wilkunicy. – Urwał na moment i zmarszczył brwi. – Z tego, co słyszę, Burza zareagowała mniej więcej tak jak każdy ogar, choć konsekwencje jej ataku są oczywiście poważniejsze niż w przypadku psów. Mylę się, Helfachu?

Łowczy przestąpił z nogi na nogę.

– Cóż, raczej tak – wymamrotał.

– Gdyby zwierzę nadal tu było – ciągnął król – należałoby je zabić, gdyż okazało się, że nie nadaje się do życia wśród ludzi. Tymczasem już go nie ma. Baglun to dla wilkunicy dobre miejsce i nie będę podejmować żadnych kroków przeciwko niej, chyba że postanowi do nas wrócić.

– Co? – wyrzucił z siebie łowczy.

– Twój syn uczestniczył w nikczemnym postępku, co nie przystoi młodemu wojownikowi, Helfachu, i ściągnął hańbę na twój ród. Zgadza się, nie zasłużył sobie na taką ranę. Doszło do tragedii

i współczuję tobie oraz twemu synowi z całego serca. Niemniej nikt ze zgromadzonych tu ludzi nie ponosi winy.

– Nikczemnym? Tylko jeśli uwierzysz jemu – Helfach wycelował palcem w Corbana – i odrzucisz wszystko, co powiedział Crain!

– Nie wierzę Crainowi – powiedział zimno Brenin. – Zeznania Corbana poparło dwóch świadków, Bethan i Farrell. Skaleczenie na ramieniu Corbana z pewnością pozostawiło ostrze, a Farrell nosi ślady wielu ciosów. Jeden człowiek nie zdołałby go tak pobić.

Helfach parsknął, ale zamilkł.

– Panie – odezwał się Ewnis. – Chciałem o coś zapytać.

– Mów. – Brenin machnął ręką.

– Czy mam przez to rozumieć, że owa wilkunica nie jest już pod twoją ochroną?

– Ochroną? Wilkunica? Nie, skądże znowu – odparł Brenin.

– A więc nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym postanowił ją upolować? Jako rekompensatę cierpienia Helfacha i Rafe'a?

Brenin zmarszczył brwi, ale kiwnął głową.

– Rób, co uważasz za stosowne. W Baglunie możesz polować na wszystko, na co będziesz chciał, pod warunkiem że chodzi na czterech nogach, a nie na dwóch.

Ewnis skinął krótko. Corban miał wrażenie, że lodowata dłoń zacisnęła się na jego sercu. Ewnis chciał upolować Burzę...

– Druga kwestia to sam Rafe – ciągnął Brenin. – Podniósł broń na młodych chłopaków, którzy nie podeszli do sprawdzianu wojownika ani nie przebyli Długiej Nocy. Wszyscy wiedzą, że to wbrew prawu, bo umiejętności, które wpajane są na Jarzębinowej Łące, służą innym celom. Ci, których tam szkolimy, mają chronić bezbronnych: kobiety, dzieci i starszych. – Umilkł na moment. – Odbieram Rafe'owi miecz i włócznię. Oddam mu je, gdy uznam to za stosowne. O ile w ogóle to nastąpi.

– Tak – burknął Helfach. – Panie – dodał.

– Dobrze. – Brenin uderzył dłonią w poręcz krzesła. – Na tym zakończymy. Możecie odejść.

Komnata szybko opustoszała, ale król zawołał Corbana, gdy ten szykował się do odejścia za innymi.

– Przez jakiś czas nie oddalaj się od fortecy – poradził mu. – I trzymaj się z daleka od Baglunu. Nie chcę, byś padł ofiarą jakiegoś wypadku podczas polowania.

– Tak. – Corban przełknął ślinę.

– To wszystko, chłopcze.

– Dzięk... dziękuję – wymamrotał Corban i wyszedł z komnaty.

Rodzina czekała na niego na korytarzu. Cywen chwyciła go za rękę i ścisnęła ją mocno. W milczeniu wyszli z wieży na padający deszcz i udali się do domu.

Chłopak usiadł w kuchni i pozwolił, by mama naląła mu miskę rosółu. Zjadł trochę, choć miał problemy z przełykaniem. Po chwili wymówił się zmęczeniem i poszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi i rzucił się na łóżko, a wtedy łzy ponownie napłynęły mu do oczu. Wtulił twarz w poduszkę i szlochał rozpaczliwie, a jedynym, co słyszał, było wycie Burzy, gdy ją porzucał.

* * *

W oddali widać już było twierdzę Badun, wyraźną na tle wzgórz, a na horyzoncie za nią rozlewał się Ciemny Bór. Od chwili, gdy Corban pozostawił Burzę w Baglunie, minęły trzy księżyce i do Księżyca Narodzin pozostało zaledwie sześć nocy. Chłopak nadal odczuwał stratę, miał wręcz wrażenie, że utracił część siebie. Czasami jeszcze wydawało mu się, że dostrzega Burzę kątem oka, ale straszliwy ból, odczuwany na początku, z wolna słabł. Potrzebował sporo czasu, by ten ból się zmniejszył. Przez całą dziesięcionoc wybuchał płaczem, jak tylko zamykał za sobą drzwi sypialni, i szlochał, póki nie zasnął. Z całego serca pragnął wybrać się do lasu Baglun, ale tłumził w sobie pokusę, bo wiedział, że jeśli ujrzy Burzę ponownie, ból natychmiast powróci i długo go nie

opuści. Co gorsza, czasem po zmroku słyszał jej wycie gdzieś daleko za murami Dun Carreg. Dath mówił mu, że wilkunicę widywano w środku nocy za Havan, jak wyła w kierunku fortecy.

Każdego dnia Ewnis wyjeżdżał na polowanie ze swymi wojownikami, Helfachem i ogarami, ale wracali z pustymi rękami. W miarę upływu czasu wyprawiali się coraz rzadziej, a przed nastaniem Dnia Zimowego Przesilenia całkiem sobie odpuścili.

Rafe doszedł do siebie. Jego ramię się zagoiło, choć kły Burzy pozostawiły okropne blizny. Corban widywał go rzadko i zawsze czuł się wówczas niezręcznie. Przed oczyma natychmiast stawała mu scena z zagajnika. Rafe znęcał się nad Farrellem i próbował dokuczać również jemu, a mimo to Corban czuł głównie smutek.

Zmienił pozycję w siodle i w zadumie poklepał kark Tarczy. Była to jak dotąd najdłuższa wyprawa jego wierzchowca. Chłopak czuł energię, zgromadzoną w końskim ciele, wiedział, że Tarcza ma ochotę puścić się galopem, ale poskramiał jego zapędy i dostosowywał tempo do reszty. Towarzyszył bowiem orszakowi króla Brenina, który zmierzał do Narvonu, by być świadkiem zrękowin Uthana ben Owain oraz Kyli ap Gethin.

„To coś więcej, będziemy świadkami zrękowin dwóch królestw!” – nadmieniał Ewnis przy każdej okazji każdemu, kto miał ochotę słuchać.

Długa kolumna jeźdźców w szarych płaszczach ciągnęła się wzdłuż traktu. Gar usiłował wyperswadować Corbanowi jazdę na Tarczy. Tłumaczył mu, że jego źrebak ma nazbyt ognisty temperament, ale chłopak się uparł i powiedział, że pojedzie na Tarczy albo zostanie w domu. Po stracie Burzy nie miał ochoty na kolejne rozstanie. Gar w końcu ustąpił, choć być może pochmurne spojrzenia mamy również miały w tym jakiś udział.

Ktoś zadał w róg. Corban wyciągnął szyję i przekonał się, że był to Marrock, jadący na czele kolumny wraz z Pendathranem. Dźwięk był długi i czysty, a po chwili odpowiedział mu róg z murów Badun.

Miasto było coraz bliżej. Corban widział już ludzi na drewnianych murach i otwarte bramy, z których wyjechał szereg jeźdźców: Gethin wraz z córką i przybocznymi.

Obie grupy spotkały się na trakcie. Kolumna zatrzymała się na moment i znów ruszyła. Przybysze minęli ogromny, górujący nad nimi kamienny krąg, a potem podążyli traktem olbrzymów pod konarami pierwszych drzew Ciemnego Boru.

* * *

Podobnie jak wcześniej Corban jechał w towarzystwie Briny, gdyż oficjalnie był jej uczniem, do czego nie zdołał się jeszcze przyzwyczaić. Inni jednakże nie potrzebowali szczególnych powodów, by dołączyć do orszaku. Nawet jego rodzice postanowili wziąć udział w wyprawie i jechali teraz gdzieś z tyłu.

Spędzili już jedną noc w Ciemnym Borze, a drugi zachód słońca zbliżał się szybko. Wystarczyło, by Corban pomyślał o niebezpieczeństwach puszczy, a przed oczami natychmiast stawała mu Burza. Westchnął ciężko.

– Czujesz się tu bezpieczna? – spytał uzdrowicielkę.

– Bezpieczna? – Brina spojrzała na niego zmrużonymi oczami. – Oczywiście. Przynajmniej tak jak wszędzie indziej. Pendathran, choć to niezdarny, pozbawiony taktu wół, bywa użyteczny. To najwierniejszy ogar króla Brenina i gdy otrzyma od niego zadanie, zwłaszcza takie, które wiąże się z chlastaniem innych ludzi, wywiązuje się z niego wzorowo. – Rozejrzała się po lesie. – To miejsce jest bezpieczne – powiedziała. – A przynajmniej tak twierdzi Pendathran. W przeciwnym razie nie wpuściłby tu Brenina.

– Bezpieczne! Bezpieczne! – wymamrotał Craf, który siedział na łąku siodła Briny.

– Myślałem właśnie... – zaczął Corban.

– Och, tylko nie to! – westchnęła uzdrowicielka.

– ...o tym, co powiedziałaś wcześniej – dokończył chłopak nieco ciszej, rozejrzawszy się dookoła. – O chciwości. O Ewnisie i jego bracie, o ich intrygach...

– No i?

– Czy nie można by czegoś z tym zrobić?

– To nie ma sensu – parsknęła Brina. – Nawet gdyby udało nam się powstrzymać ich ambicje, gdzieś indziej znienacka pojawiłoby się dwudziestu innych. Nie – westchnęła. – To tylko napawający smutkiem znak czasów, świadectwo naszego nieuchronnego staczania się ku...

– Nie – przerwał jej Corban. – A co z odwagą i prawdomównością, o których opowiadał mi ojciec? Jeśli człowiek nie skala się kłamstwem ani tchórzostwem, spłynie nań łaska Elyona.

– Doprawdy? Zgodziłabym się z tobą, chłopcze, bodaj po raz pierwszy w życiu, ale widziałam już zbyt wiele odważnych czynów, których nie spotkała wdzięczność. Słyszałam też mnóstwo prawdy, która wywołała jedynie nienawiść i nieczne intrygi. Och, gdybym raz jeszcze mogła być młoda...

Craf zatrzepotał skrzydłami.

– Prawda! – zakrakał. – Odwaga!

– Czyli nie chcesz działać? – spytał chłopak.

– A co sugerujesz?

– Nie wiem.

– Nie wiem – powtórzyła uzdrowicielka i przewróciła oczami. – Oto słowa, za którymi kryją się młodzi. Zdajesz sobie sprawę z tego, że ignorancja nie jest pożądaną cechą? – spytała, grożąc mu palcem.

– Nie rób nic! – burknął Craf, po czym wzbił się do lotu i zaczął krążyć nad nimi. – Nie rób nic! Nie rób nic!

– Widzisz? Craf się ze mną zgadza! – oznajmiła Brina, choć zmierzyła kruka gniewnym spojrzeniem.

– Cóż – bąknął Corban. – Chyba lepiej podjąć próbę i zawieść, niż siedzieć z założonymi rękami.

Niespodziewanie coś rozbryzgnęło się na ramieniu chłopaka. Spojrzał na białawą wydzielinę i otworzył szeroko oczy, uświadomiwszy sobie, co właśnie zrobił kruk jego towarzyszki.

Brina parsknęła śmiechem.

– Widzisz? Oto, co Craff sądzi o twojej odwadze i prawdomówności!

– Nie cierpię tego kruka! – bąknął chłopak.

– Nie jest taki zły – stwierdziła uzdrowicielka. – Znajomość ze zwierzęciem, które ma dar, może ci przynieść wiele korzyści. – Pochyliła się ku niemu i szepnęła: – Craff mówi mi wiele rzeczy. Głównie gada o pogodzie, ślimakach i żabach – zadrżała i zrobiła kwaśną minę – ale zdarza mi się usłyszeć od niego coś ciekawszego. Dziś na przykład powiedział mi coś intrygującego. – Uzdrowicielka spojrzała na Corbana uważnie, a potem przeniosła wzrok na trakt. – Opowiedział mi o wilkunie, który podąża za nami, poza zasięgiem wzroku. Ponoć ma białe futro w ciemne pręgi.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

CORBAN

– Ile jeszcze? – zapytał Corban. – Kiedy dotrzemy do Uthandun?
– Ujrzymy jego mury przed zachodem słońca.

– Och – odparł chłopak. W głębi serca poczuł ukłucie niepokoju na myśl o końcu podróży. Wieść o tym, że Burza podąża za orszakiem, uradowała go, ale też zmartwiła. Troska wkrótce przygasła, gdy w trakcie podróży przez las nikt nie zobaczył ani nawet nie usłyszał wilkuncy. Świadomość, że jest blisko, dodawała mu otuchy, tym bardziej że nabierał pewności, iż zwierzę umie zachować odpowiednią odległość i nie zdradzi swej obecności.

Nie miał natomiast pojęcia, co zrobi, gdy dotrą na miejsce, i czuł, jak narasta w nim niepokój.

Długa kolumna pokonała most, skąd było już widać Uthandun wznoszące się na wzgórzu. Corban co rusz obracał się w siodle i spoglądał za siebie na las.

– Na wszystko, co święte! – syknęła Brina. – Wysil się na chociaż odrobinę dyskrecji, bo zaraz reszta orszaku Brenina zacznie robić dokładnie to co ty!

Corban skrzywił się, ale wyprostował się w siodle.

– Craf – szepnęła uzdrowicielka. Nachyliła się do ptaka i szepnęła mu coś do ucha, a ten zakrakał, zatrzepotał skrzydłami i pomknął z powrotem ku drzewom Ciemnego Boru. – No – powiedziała. – Zaraz się wszystkiego dowiesz, a teraz przestań się

wiercić.

– Dziękuję – szepnął chłopak, na co Brina zareagowała parsknięciem.

* * *

Uthandun było starannie zaprojektowanym miastem, w którym wszystko miało dokładnie wyznaczone miejsce, a mury obejmowały istotne budynki oraz wybiegi dla koni. W północnym zboczu wzgórza, na którym je wzniesiono, znajdowała się kotlina o płaskim dnie, i tam właśnie orszak króla Brenina rozłożył obóz, gdyż w mieście nie było dla wszystkich miejsca. Sam władca nie chciał się rozstawać z poddanymi i również obozował poza murami.

Tej nocy Corban siedział wraz z rodziną wokół ognia. Dołączyli do nich Gar i Brina, a dookoła latał Craff, który hałaśliwie pożywiał się rzucanymi mu od czasu do czasu kawałkami baraniny. Dath nie wziął udziału w wyprawie, gdyż ojciec zatrzymał go w domu, ale dołączył do nich Farrell.

Chłopak odwiedził Corbana dzień po tym, jak Burza okaleczyła Rafe'a. Zastał go w ogrodzie, gdzie siedział nieruchomo, pogrążony w apatii, nie mając ochoty na nic.

– Ja... ja chciałem z tobą porozmawiać – rzekł Farrell.

Corban spojrzał na jego posiniaczoną twarz i opatrzone skaleczenia.

– No i? – spytał.

– Chciałem ci podziękować – odparł chłopak. – Za to, co zrobiłeś.

Corban wzruszył ramionami.

– Gdybyś się nie wtrącił, to wszystko źle by się skończyło.

Corban nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Farrell stał więc tam przez chwilę, po czym odwrócił się i odszedł, ale od tego dnia spotykali się często. Nie rozmawiali co prawda, ale chłopak co chwila widział w pobliżu barczystą sylwetkę Farrella.

Z ciemności wyłoniła się postać owinięta ciasno szarym płaszczem. Był to Heb, znawca obyczajów.

– Mogę dołączyć? – spytał i spojrzał na miejsce między Gwenith i Briną.

– Oczywiście – powiedziała Gwenith. – Posuńcie się wszyscy!

– I jeszcze czego – burknęła Brina, ale posunęła się, by mężczyzna miał gdzie usiąść. – Skąd ta nagła łaska, Hebie? – spytała. – Jak to się stało, że rezygnujesz z towarzystwa króla i jego świty, a siadasz wraz z nami?

Znawca obyczajów skrzywił się, patrząc na nią.

– Twej postawy na pewno nie nazwałbym życzliwą – rzekł, uśmiechając się sztucznie – a mimo to twoje towarzystwo jest mi o stokroć bliższe od towarzystwa tych, którzy próbują teraz wejść w łaski Brenina.

– Och! – odezwała się zaintrygowana Brina. – Czyżby Uthan nie przypadł ci do gustu?

– Nie mówię o Uthanie – burknął Heb. – Chłopak jest nudny do bólu, ale nie jest niczemu winien. Czego można się spodziewać po kimś, kto ma takiego ojca? Nie, ja mam już dość Gethina i Evnisa, którzy łaszą się i nadskakują królowi przy każdej okazji. Ewnis uważa nas wszystkich za półgłówków i myśli, że nie widzimy jego niezdarnych prób wyswatania Vonna z Edaną. To akurat raczej mi nie przeszkadza. Brenin może ją wydać za kogokolwiek będzie chciał, choć jestem przekonany, że nie będzie to syn Evnisa. Denerwuje mnie tylko to, że traktuje się mnie jak idiotę.

– A więc może jednak trafiłeś do niewłaściwego ogniska – oznajmiła Brina, wywołując salwy śmiechu.

– Wolę, jak ktoś mnie nazywa idiotą, niż jak traktuje mnie jak idiotę, moja droga – rzekł Heb i uśmiechnął się lekko. – Rozmowa z wami da mi tyle, że przynajmniej nie zasnę.

Corban uśmiechnął się szeroko.

Trafiła kosa na kamień, pomyślał. W pojedynku na ostre riposty są godnymi przeciwnikami. Czeka nas wesoły wieczór.

Thannon pochylił się ku Corbanowi i poklepał go po kolanie wielką, spracowaną dłonią.

– Niebawem nadejdzie dzień twego imienia, Ban – powiedział cicho.

Chłopak poczuł dreszcz podniecenia.

– Chodzi za mną nowa myśl – ciągnął ojciec. – Po powrocie zabierzemy się do pracy nad twoim mieczem.

– Byłoby świetnie – odparł chłopak.

Miecz! Prawdziwy miecz, twarde żelazo zamiast drewnianego kija!

– Nie, byłoby fantastycznie! – rzucił.

Thannon uśmiechnął się szeroko.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

CYWEN

Większość koni, na których przybył orszak z Dun Carreg, zostało rozlokowanych w stajniach poza murami Uthandun z wyjątkiem wierzchowców rodziny królewskiej. Te trafiły do stajni wewnątrz miasta.

Cywen nie podobało się to miejsce – wydawało jej się zbyt nowe. Zmarszczyła brwi i powstrzymała nieoczekiwany dreszcz. Wydawało jej się, że coś jest nie w porządku, i nagle zapragnęła wrócić do domu.

Nie zachowuj się jak dziecko, zganiła samą siebie.

Miała wyjechać na przejażdżkę z księżniczką i jej rodzicami. Osiodłała pośpiesznie swego wierzchowca i wyprowadziła go na dziedziniec, gdzie czekała już Edana w siodle.

Nie miała żadnych powodów, by odczuwać niepokój. Wręcz przeciwnie, przecież zeszłego wieczoru Ronan zaprosił ją na spacer, podczas którego nie przestawała się na przemian śmiać i rumienić. Mówił o nich jak o parze, nawet chciał prosić jej ojca, by pozwolił im widywać się częściej. Cywen nadal czuła motylki w żołądku na samo wspomnienie tego wieczoru, nadal czuła smak ust Ronana.

Pokręciła głową i rozejrzała się nieśmiało, jakby wystarczyło na nią spojrzeć, aby odkryć jej myśli. Na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi.

Z wyjątkiem Ronana, rzecz jasna. Uśmiechnęli się do siebie.

Wybierali się na przejażdżkę do Ciemnego Boru. Król Brenin powiedział Owainowi, że chciałby zobaczyć coś w puszczy. Ten natychmiast przydzielił mu zaufanego przewodnika. Królowa Alona zdecydowała się towarzyszyć mężowi, co oznaczało, że dołączyło też do nich dwudziestu srogich wojowników z Tullem na czele.

Cywen bez słowa wskoczyła w siodło, gdy rozległ się tętent kopyt i na dziedziniec wjechał Vonn. Pochylił głowę przed Aloną.

– Król Brenin pragnie przeprosić – oznajmił oficjalnie – ale wraz z moim ojcem nie będzie w stanie wziąć udziału w wyprawie. Zatrzymały ich sprawy, których nie dało się uniknąć.

– Och – rzekła Alona i westchnęła. – Ależ to miejsce jest nudne. Posłuchajcie, ale skoro i tak już jesteśmy gotowi, to może jedźmy bez nich? Co ty na to, Tull?

– Jak sobie życzysz, pani.

– Dołączysz do nas, Vonn? – spytała królowa.

– Obawiam się, że nie – odparł młodzieniec. – Ojciec prosił, bym wrócił zaraz po przekazaniu wiadomości.

– Nie będziemy cię więc zatrzymywać – rzekła Alona.

– Moja pani! – Vonn pochylił głowę i zawrócił konia.

– Czemu spuściłeś nos na kwintę? – spytała Edana, gdy przejeżdżał obok nich.

– Co? Nie, nic się nie dzieje. – Vonn wzruszył ramionami. – Ojciec... – zaczął, ale pokręcił głową. – Nic, nieważne. I tak byś nie zrozumiała.

Księżniczka zmarszczyła brwi. Cywen spojrzała na chłopaka ostro, niespodziewanie przypominając sobie ów dzień w zagrodzie, kiedy doszło do starcia między Corbanem a Vonnem, a Tarcza zabił psa.

– Być może złamałaś mu serce, Edano – powiedziała. – Przecież już wie, że nigdy nie dojdzie do waszych zręków.

Powszechnie wiadomo było, że doradca królewski robił wszystko, by doprowadzić do ślubu swego syna z Edaną. Zdaniem księżniczki

zeszłej nocy król Brenin czarno na białym przedstawił Ewnisowi, że nigdy do tego nie dojdzie.

Vonn uśmiechnął się bez humoru i pochylił się w siodle.

– Chcesz poznać pewien sekret? – powiedział cicho, a potem dodał, nie czekając na odpowiedź: – Cieszę się, że nie zostaniemy parą. Bardzo się cieszę. Bo ja kocham inną.

– Kogo? – spytały obie dziewczyny jednocześnie.

Vonn uśmiechnął się szeroko, przez co nagle wydał się przystojny, i dotknął palcem nosa. Popędził konia i po chwili opuścił dziedziniec.

Wkrótce zebrali się wszyscy uczestnicy wycieczki, otoczeni grupą wojowników w szarych płaszczach. Na czele kolumny znalazł się Tull oraz ich przewodnik w czerwonym płaszczu, łowczy z Uthandun. Przejechali przez zatłoczone ulice miasta i wjechali na zielone wzgórze, a wówczas Cywen odczuła, że wraca jej energia. Na moście przerzuconym przez rzekę dostrzegła Corbana, ale jechali zbyt szybko, by mogła zamienić z nim choć słowo. Zdażyła się jedynie do niego uśmiechnąć, a potem cały orszak skręcił na zachód i pomknął wzdłuż brzegu rzeki. Stamtąd przewodnik poprowadził ich w głąb lasu.

– Jak myślisz, kim ona jest? – spytała Edana. Razem z Cywen jechały leśnym traktem zalany płamkami słonecznego blasku, tańczącymi, w miarę jak wiatr trącał gałęzie nad ich głowami.

– Kto taki? – spytała Cywen.

– No wiesz! Tajemnicza wybranka Vonna.

– Nigdy nie miałam go za kogoś, kto mógłby się zakochać. Wydaje się na to zbyt arogancki.

– Ale dziewczyny latają wokół niego.

– Jak muchy – mruknęła Cywen.

– Może źle pachnie – stwierdziła Edana, na co jej towarzyszka parsknęła śmiechem. – Ja jakoś nigdy dotąd nie widziałam, by on sam oglądał się za dziewczynami – ciągnęła księżniczka.

– Myślałam, że nie widzi świata poza tobą – oznajmiła Cywen. –

Mam nadzieję, że nie czujesz się urażona?

– Nie wygłupiaj się – powiedziała ostro Edana. – Po prostu denerwuje mnie, jak czegoś nie wiem. Trzeba będzie mieć na niego oko, gdy wrócimy do domu.

– Na kogo? – spytał Ronan, podjechawszy bliżej.

– Na Vonna.

– Na Vonna? A czemu?

– Bo coś ukrywa – rzekła tajemniczo Edana.

– Cywen! – zawołała królowa Alona z czoła kolumny. – Podjedź do mnie, proszę.

Zaskoczona księżniczka uniosła brwi, ale jej towarzyszka bez wahania popędziła konia i zrównała się z królową.

– Zauważyłam twego brata na moście – oznajmiła Alona.

– Ja również.

– Jak się trzyma? Od tej awantury z wilkunicą?

– Cóż, smutek go nie opuszcza – powiedziała Cywen, nie mając pojęcia, na ile szczerości może się zdobyć. – Czasami słyszę, jak płacze w nocy w swojej komnacie. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Sporo go łączyło z tym zwierzęciem.

– Szkoda, że tak wyszło – rzekła Alona. – Ale nie było innego wyboru po tym, co ta wilkunica zrobiła.

– Ależ oni sobie na to zasłużyli! – parsknęła Cywen. – Rafe wyciągnął miecz! Myślę, że zabiliby Corbana, Farrella, a może nawet Bethan. Tymczasem Burza ich uratowała. Postąpiła dokładnie tak, jak postąpiłby ogar mego ojca, a mimo to ona została ukarana, a nie Rafe czy Crain. Ban rzucił się komuś na pomoc, a mimo to też poniósł karę. To niesprawiedliwe!

Naraz zarumieniła się i zamknęła usta. Te myśli przemykały jej przez głowę tysiące razy, ale nigdy nie planowała, że wypowie je przed obliczem królowej Ardanu. Jadący nieopodal Tull burknął coś pod nosem, ale w jego oczach błysnęła aprobata. Królowa Alona spojrzała na niego z przyganą.

– A gdyby to Corban o mały włos nie stracił ramienia? Albo

Farrell? – spytała. – Twój osąd jest subiektywny, Cywen. Nie, nie było innej możliwości. Wilkunicę należało zgładzić. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Czy poza tym zauważyłaś u niego jakieś zmiany?

– Nie – bąknęła Cywen, choć po prawdzie Corban zmieniał się przez cały czas.

Po odjeździe owego przybysza, Meicala, jej brat wydawał się o wiele cichszy i bardziej zamknięty w sobie. Chciała mu o tym powiedzieć i podzielić się z nim tym, co podsłuchiwała, ale za każdym razem coś jej przeszkadzało, czasem okoliczności, a czasem świadomość, że to nie w porządku. Bywało też, że Corban ni z tego, ni z owego wydawał się taki sam, jaki był kiedyś, tyle że bardziej pewny siebie, przynajmniej w chwilach, gdy uczył ją i Datha walki na miecze. Ban, nie zdając sobie z tego sprawy, stał się ich przywódcą i człowiekiem, który spajał ich niewielką grupkę.

– Nie sądzę – poprawiła się Cywen. – Brakuje mu Burzy, tylko tyle. A do tego niebawem czeka go sprawdzian wojownika i Długa Noc. Dorasta, i nic ponadto.

Zamyślona Alona pokiwała głową.

– Tull, a jak radzi sobie Corban na Jarzębinowej Łące?

– Corban? Dobrze, moja pani. Bardzo dobrze. Mógłby w przyszłości stać się mistrzem w walce na miecze, choć... – Zmarszczył brwi i urwał.

– Choć co? – ponagliła go królowa.

– Nie, to nic takiego – rzekł Tull. – Chodzi o jego styl walki, który różni się od naszego. Może przyczyną jest to, że szkoli go Halion? – Potężny wojownik wzruszył ramionami. – Z włócznią radzi sobie nieźle. Nie jest najlepszy, ale też nie odstaje od pozostałych, a jeśli chodzi o łuk, cóż, powiedzmy, że to po prostu nie jest dla niego.

– Dziękuję – rzekła Alona.

Tull milczał przez moment, po czym odezwał się ponownie:

– On ma w sobie odwagę. Niezwykłą odwagę, która płynie prosto

z serca. Nigdy dotąd nie widziałem tego tak wyraźnie u młodego człowieka.

Pokiwał głową do siebie i znów zamilkł. Przez dłuższą chwilę jedynym odgłosem był stukot kopyt i pobrzękiwanie oręza, aż odezwał się przewodnik:

– Przed nami polana, moja pani. Dobre miejsce, by dać koniom chwilę wytchnienia.

Wyjechali na polanę, gdzie natychmiast oślepił ich blask słońca. Cywen nadal jechała na czele kolumny u boku Alony. Wraz z Tullem i ich przewodnikiem wnet znaleźli się w samym sercu prześwitu, a reszta, w ich liczbie Ronan i Edana, rozproszyli się dookoła królowej. Niektórzy zsiadli już z koni.

Cywen uniosła głowę, zamrugła i osłoniła oczy przed ostrym blaskiem słońca. Nad polaną unosiły się ptasie trele, a pszczoły brzęczały leniwie nad kępkami śnieżyczki i bieńca.

Wtedy śmignęła pierwsza strzała.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

CORBAN

Corban stał na moście i wpatrywał się ponad falami rzeki w Ciemny Bór.

Tęsknił za Burzą.

Minęły już dwa dni pobytu w Uthandun i dręczyła go świadomość, że wciąż nie ma pojęcia o losie wilkunicy. Zeszłej nocy zapytał Brinę, czy Craf dowiedział się czegoś o Burzy, ale usłyszał tylko to, że ta nadal czai się na skraju lasu.

Tętent kopyt wyrwał go na moment z zadumy. Oderwał wzrok od Ciemnego Boru i spojrzał na miasto. Po zboczu wzgórza zjeżdżała grupa jeźdźców w szarych płaszczach Ardanu, wśród których wyróżniał się jeden człowiek w czerwonej pelerynie. Wygląd sugerował łowczego, co potwierdzały łuk i kołczan ze strzałami przy siodle. Obok niego jechała królowa, a nad nimi górował Tull z wielką tarczą przytroczoną do pleców. Dalej Corban dostrzegł Edanę, Cywen i około dwudziestu wojowników ardańskich wraz z Ronanem.

Królowa omiotła go spojrzeniem, przejeżdżając przez most. Corban odszukał siostrę i uśmiechnął się do niej. Zauważył jeszcze Ronana, który skinął do niego, a potem cały orszak zjechał z mostu na drugi brzeg rzeki. Następnie, prowadzeni przez jeźdźca w czerwonym płaszczu, odbili z traktu olbrzymów w las.

Corban nabrał tchu, poprawił niewielką sakwę na ramieniu

i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę lasu, nie oglądając się za siebie. Nie minęła jednak dłuższa chwila, gdy zatrzymał się, odwrócił i spojrzał z powrotem na most, na osobę, która właśnie go przemierzała. Stał, nie robiąc ani kroku. Wypatrzony przez niego człowiek zbliżał się ku niemu, utykając w rozpoznawalny sposób.

– Dlaczego mnie śledzisz? – spytał go.

Stajenny zamrugał. Miał poczerwieniałe policzki.

– Co ty wyprawiasz? Dlaczego zapuszczasz się do Ciemnego Boru?

– Nie potrzebuję opieki! Nie jestem dzieckiem! – parsknął Corban.

– Fakt, nie jesteś. Dzieci na ogół nie pakują się w tak wielkie tarapaty! – wymamrotał Gar.

– A więc? Dlaczego mnie śledzisz?

– Bo twoja mama mnie o to prosiła. By mieć pewność, że nic ci nie jest.

Corban odburknął pod nosem.

– A tak w ogóle to co ty wyrabiasz?

Chłopak milczał przez moment, rozważając swoje możliwości. Mógł okłamać Gara i wrócić do miasta, ale przecież podjął decyzję, uwierzył w jej sens i nie był już w stanie zawrócić.

– Próbuję odnaleźć Burzę – rzekł.

– Co? Przecież ona jest w Baglunie!

– Nie, jest tutaj. Brina mi powiedziała.

Gar trawił usłyszane słowa w milczeniu.

– Powinniśmy zawrócić. I to szybko – rzekł w końcu i uniósł rękę, widząc, że Corban ma zamiar protestować. – Wiem, że za nią tęsknisz, mnie również jej brakuje, ale co jest dla niej lepsze? Jeśli ją teraz zobaczysz, wszystko, co dla niej zrobiłeś, pójdzie na marne. Przecież oni ją zabiją!

– Tak, ale ja... ja po prostu mam dla niej coś do jedzenia... – wymamrotał Corban. Zgarbił się, jakby chciał się poddać, ale nagle pokręcił głową i wyprostował plecy. – Nie, Garze. Burza przybyła

w ślad za mną do innego królestwa, pokonując po drodze ponad sto mil. Nie wiem, co pocznę ze sobą później, ale teraz muszę ją zobaczyć.

Stali nieruchomo. Drzewa kołysały się nad ich głowami, a przez szelest liści przenikały odległe odgłosy z twierdzy, mieszając się z równomiernym pluskiem wody w rzece. Gar pokiwał głową.

– Skoro się uparłeś...

– Tak, uparłem się.

– W porządku.

Corban zamrugał. Stał z szeroko otwartymi ustami, gotów do kłótni.

– W porządku – powtórzył stajenny. – Gdzie ona jest?

– Nie mam pewności. – Corban wzruszył ramionami. – Brina powiedziała, że na skraju lasu.

– To spory las, chłopcze.

– Wydaje mi się, że pewnie gdzieś na zachodzie. Blisko twierdzy, skoro dotarła tu w ślad za nami.

– Dobrze. Masz jakiś plan?

– Mam. – Corban uśmiechnął się. – Chcę iść w głąb Ciemnego Boru, tak daleko, by nie usłyszano mnie w mieście, a potem zacząć ją wołać.

Gar parsknął.

– To się nie może nie udać.

Zapuscili się więc między drzewa. Corban szedł jako pierwszy, usiłując trzymać się ścieżki wydeptanej przez lisy, co rusz nikięcej w gęstych zaroślach. Po chwili dotarli do strumienia, którego brzegi porastały skupiska grzybów.

– Miejsce równie dobre jak każde inne – oznajmił chłopak, który niespodziewanie poczuł napięcie. Uniósł dłonie do ust i nabrał tchu. – Burza! – zawołał.

Powtórzył okrzyk kilkanaście razy, po czym usiadł na pniaku przy strumieniu i czekał. Nie trwało to długo, nim usłyszał szelest liści niedaleko i wśród drzew mignął mu biały cień. Sekundę

później ujrzał wilkunicę, która gnała susami w jego stronę. Przeskoczyła strumień i wpadła na niego. Oboje przewrócili się i przetoczyli po mokrych liściach i wilgotnej ziemi. Corban nie mógł powstrzymać śmiechu, choć po jego policzkach płynęły łzy. Burza trącała go łbem, skamlała i pocierała pyskiem jego policzki, ogrzewając go swoim oddechem.

– Spokojnie! – wykrztusił chłopak, usiłując powstać i odepchnąć od siebie zwierzę.

Wilkunica odskoczyła, obiegła Corbana i ponownie się na niego rzuciła. Chłopak poślizgnął się, znów upadł, ale po chwili zdołał wreszcie się podnieść. Burza wpatrywała się w niego.

Corban zerknął na Gara, który uśmiechał się do niego szeroko. Od śmiechu bolały go szczęki.

Burza schudła nieco, a jej futro było skołtunione i brudne od błota. Chłopak sięgnął do torby, wyciągnął kawał baraniny, który potajemnie skradł z kolacji poprzedniego dnia i położył go przed zwierzęciem. Wilkunica bez wahania zatopiła w ochłapie kły i zaczęła rozrywać go na strzępy. Corban znów uśmiechnął się do stajennego, padł na kolana i zanurzył twarz w futrze zwierzęcia.

Trwali tak przez moment. Burza zajadała łapczywie, miażdżąc kości potężnymi zębami, a Corban i Gar przyglądali się jej.

Niespodziewanie wilkunica zamarła i uniosła łeb, patrząc gdzieś ponad wodą. Spomiędzy drzew dobiegły jakieś stłumione odgłosy. Czyżby krzyki? Wrzaski?

Potem usłyszeli szczęk oręza.

– Za mną, Ban! – krzyknął Gar i z pluskiem przebiegł przez strumień.

Przedzierali się przez gęste zarośla, które kolcami chwytaly ich za ubrania, a potem, potykając się, wypadli na szeroki trakt. Tam ujrzeni samotnego jeźdźca, który pochylił się w siodle i znikł za zakrętem. Corban miał wrażenie, że nosił szary płaszcz.

Hałas, który zwrócił ich uwagę, wyraźny już, dobiegał z innego kierunku. Nie było żadnej wątpliwości, że to odgłosy walki. Ludzie

wrzeszczeli, stal uderzała o stal.

– Zejdźmy z traktu! – rzucił Gar i schował się za drzewem.

Corban zrobił to samo, a za nim przycupnęła Burza ze zjeżoną sierścią.

Stajenny ostrożnie przemykał między drzewami wzdłuż traktu, a Corban i Burza podążali za nim. Wrzawa ustała, a jej miejsce zajęła ciężka, złowroga cisza. Mimo to nadal przekradali się naprzód. Gar usiłował stąpać najciszej jak umiał i krzywił się za każdym razem, gdy pod jego stopą trzasnęła gałązka.

Nagle znaleźli się na skraju polany. Oślepiło ich ostre słońce. Ziemia zasłana była ciałami ludzi i koni, a trawa zbryzgana krwią. Stado kruków wystrzeliło ku niebu, kracząc gniewnie. Jeden z nich nadal siedział na końskim boku i odwrócił ku nim łeb ze zboczonym krwią dziobem. Znikąd pojawiły się roje głośno bzyczących much. Tu i ówdzie wśród poległych widać było mężczyzn w czerwonych płaszczach, ale większość nosiła szare.

Kolor Ardanu.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

VERADIS

– Wreszcie! – rzekł Veradis i ściągnął wodze, po czym osłonił dłonią oczy. Znajdował się na czele długiej, szerokiej kolumny jeźdźców, za towarzyszy mając Calidusa i Alcyona.

– Tak ci się pali, by znów utoczyć olbrzymom krwi? – Starzec uśmiechnął się lekko.

– Nie – mruknął Veradis i spojrzał na Alcyona. – Po prostu cieszę się, że podróż mamy za sobą i tyle. – Zmarszczył brwi i dodał: – No, przynajmniej pierwszy etap.

Śnieg, który blokował przełęcz w górach Agullas, stopniał wcześniej tego roku i Veradis poprowadził drużynę ku granicy z Helvethem, gdy tylko dotarły do nich wieści o odwilży. Szykował swoich wojowników przez całą zimę i byli teraz gotowi na wszystko.

Miał pod swoimi rozkazami pięć setek ludzi z północy Tenebralu i dwustu pięćdziesięciu jeźdźców Jehar, którym przewodził Akar, pierwszy wojownik napotkany przez nich w ukrytej dolinie. Veradis z dumą przyglądał się swemu oddziałowi, świadom, że na Ziemiach Wygnanych nie było jak dotąd takiej formacji.

Ich podróż trwała niemalże cały księżyc i pokonali blisko dwieście mil, ale cel mieli już w zasięgu wzroku. Było nim miasto Halstat, gdzie mieli przyłączyć się do armii królów Helvethu i Isiltiru, którzy chcieli złamać potęgę klanu Hunen raz na zawsze i wysłali prośbę o pomoc. Południe Helvethu okazało się krainą

jezior, które później ustąpiły miejsca lasom i dolinom, aż wreszcie hufiec wyjechał na równiny, które ciągnęły się bez końca we wszystkich kierunkach z wyjątkiem północy, gdzie majaczyły wysokie, poszarpane Góry Bairg. Halstat, które czekało ich u kresu podróży, było górniczym miastem, zbijającym fortunę na kopalniach soli i żelaza.

Veradis cmoknął, dotknął piętami boków konia i ruszył w kierunku wciąż odległych bram miejskich, wiodąc za sobą hufiec.

– Nie dotarliśmy tu jako pierwsi – oznajmił Alcyon, gdy znaleźli się bliżej.

W istocie, po obu stronach szerokiego traktu przed murami miejskimi wyrastał labirynt namiotów. Nad tymi, które rozbito na lewo od traktu, wznosiły się proporce Isiltiru, łopoczące gniewnie na ostrym wietrze, na prawo zaś powiewały czarno-złote sztandary Helvethu.

– Rzekłbym, że dotarliśmy jako ostatni – dodał Calidus.

– Mieliśmy do pokonania najdłuższą drogę! – rzekł Veradis, w obronie własnej.

Cieszył się, że mógł wyjechać z Jerolin i wreszcie wziąć się do działania, ale jednocześnie czuł ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności. W Tarbeshu dowodził Nathair, a w Isiltirze Peritus. Tym razem Veradis stanął na czele własnego hufca, a życie jego wojowników zależało od jego decyzji. Przeszkadzała mu również nieobecność Calidusa. Miał wrażenie, że starzec patrzy mu na rękę, choć wiedział, że Nathair przydzielił go bynajmniej nie w tym celu. Przecież znów czekała ich walka z olbrzymami, którzy przypuszczalnie sięgną po magię żywiołów – pomoc Calidusa i Alcyona mogła się okazać nieodzowna.

Z murów miejskich dobiegła pieśń rogów, a z bramy wyjechał na powitanie niewielki oddział.

* * *

Natychmiast po przybyciu Veradis został wezwany do namiotu króla Helvethu na naradę wojenną.

– Napijże się wina, młodzieńcze! – oznajmił Braster i podał Veradisowi dzban. – Masz za sobą długą drogę. Usiądź, proszę, usiądź, choć uważaj, bo to stare krzesła, twarde niczym kości, a twe dupsko pewnie długo jeszcze będzie się goić po tylu dniach w siodle.

Veradis uśmiechnął się wbrew sobie i wziął dzban z rąk rudowłosego króla Helvethu. Oprócz niego w namiocie siedział jeszcze Romar, władca Isiltiru, którego pamiętał z rady u króla Aquilusa.

– Miło mi was ujrzyć, panie – rzekł z uśmiechem, ale twarz Romara nawet nie drgnęła.

– Sporo się zmieniło od naszego ostatniego spotkania – powiedział. – Podobno jesteś teraz pierwszym mieczem swego władcy.

– To prawda, choć wydarzyło się również wiele złego. Wiele łez rozlano w Tenebralu – odparł Veradis i urwał na moment, gdy przed jego oczami znów pojawiło się ciało Nathaira w kałuży krwi. – Ten temat jednakże zostawmy na inną okazję. – Uśmiechnął się. – Co słyhać u twego bratanka Kastella, panie? Czy wszystko u niego w porządku? A może wciąż musicie rozstrzygać jego niemądre kłótnie z Jaelem?

Romar odwrócił wzrok, a wtedy Veradis zwrócił uwagę na człowieka siedzącego obok króla, który zmarszczył lekko brwi, słysząc te słowa. Nad jego ramionami wyrastały rękojeści dwóch mieczy przytroczonych do pleców. Braster przedstawił go jako Vandila, przywódcę Gadrai, grupy wojowników patrolujących granice Isiltiru z lasem Forn.

– Dobrze znacie więc zwyczaje Hunen? – spytał Veradis.

– Tak. A oni dobrze poznali nas.

– Siadajcie i nie marnujmy już dłużej czasu – oznajmił Braster i wcisnął swą ogromną sylwetkę między poręczce skrzypiącego krzesła.

W wejściu do namiotu pojawił się cień i Veradis zerknął przez ramię. W ślad za nim do środka weszli Calidus oraz Alcyon. Na widok olbrzymia poniosły się okrzyki zaskoczenia, a Vandil zerwał się na równe nogi i złapał za rękojeści.

– Zachowajcie spokój – rzekł Veradis. – Oni są ze mną. Calidus doradza memu królowi, a Alcyon jest jego strażnikiem.

Z tymi słowami wraz z Calidusem zajęli miejsce przy stole, a Alcyon stanął za nimi.

– To ci dopiero zaskoczenie – rzekł Vandil i usiadł powoli, nie spuszczać wzroku z Alcyona. – Czy mam wam przypomnieć, przybysze z Tenebralu, po co się tu zgromadziliśmy?

– Pamiętam – odparł ze spokojem Veradis. – Mamy skruszyć potęgę Hunen.

– Otóż to. A Hunen to olbrzymy.

Calidus zachichotał.

– Nie zapominaj, że walki między olbrzymami toczą się o wiele dłużej niż ich wojna z nami. Nie musicie przejmować się tym, że Alcyon znalazł się na naszej radzie. Nie musicie martwić się o jego lojalność.

– Walczyliśmy już razem i Alcyon ocalił mi życie – dodał Veradis. – W służbie Nathaira zabijał olbrzymy Shekam z Tarbeshu.

– Z jakiego klanu pochodzisz? – spytał Vandil, nadal wpatrzony w nieoczekiwanego przybysza.

– Z klanu Kurgan – odpowiedział Alcyon.

– Mój król pragnie was wszystkich pozdrowić – podjął Veradis. – Dziękuję wam za to, że nadal pozostajecie wierni postanowieniom sojuszu, który ustanowił król Aquilus, i ma nadzieję, że uznacie moją obecność za znak, iż pozostaje wierny zarówno wam, jak i ideałom swego ojca.

Romar znów odwrócił wzrok.

– Oczywiście, oczywiście! – wypalił Braster. – Co słyhać u Nathaira? Jak się trzyma?

– Doszedł do pełni sił, choć trwało to wiele księżyców. Mandros

celnie go ugodził.

– Szkoda tylko, że nie został postawiony przed sąd za zbrodnię, o które go oskarżono – mruknął Romar.

Veradis zarumienił się, gdyż słowa króla Isiltiru trąciły czułą strunę. Żałował tego, że musiał zabić Mandrosa, i czuł się upokorzony tym, że chodziło za nim miano królobójcy.

Nie miałeś wyboru, wyszeptał głos w jego głowie. A Romara tam nie było. Za kogo on się ma? Co daje mu prawo, by osądzać innych?

– Walczył i przegrał, a wyrok wydałem ja sam – rzekł Veradis. – Okazałem mu więcej sprawiedliwości, niż on okazał Aquilusowi. Będziesz to kwestionował, panie?

– Tak, będę. Bo król powinien być sądzony przez królów – rzekł Romar, patrząc Veradisowi w oczy.

– W idealnym świecie – wtrącił się Calidus – byłoby zapewne tak, jak mówisz. W bitwie nie ma jednak żadnych gwarancji. Pomnij, proszę, że Mandros uciekł z Tenebralu. Zaatakował armię Peritusa i Veradisa! Napadł na nią z zasadzki, gdy przeprawiali się przez rzekę...

– Innymi słowy, zaatakował drużynę, która wdarła się do jego ojczyzny – przerwał mu Romar.

– Mandros był winny! – Veradis czuł, że przestaje nad sobą panować. – Stałem przed drzwiami, za którymi... za którymi popełniał swą zbrodnię. Widziałem, jak ucieka. Widziałem Nathaira z nożem w boku, widziałem Aquilusa...

Niespodziewanie wspomniał słowa, które Mandros wygłosił na leśnej polanie, głośne i wyraźne: „To Nathair zabił waszego króla!”. Potarł skronie i zacisnął na moment powieki.

Nie słuchaj tych kłamstw, szepnął głos w jego głowie.

– Nic ci nie jest? – Calidus dotknął jego łokcia.

– Nie, nic. – Veradis wyprostował się. – Mandros był mordercą, kłamcą i tchórzem.

– Co nie zmienia faktu – Romar machnął dłonią – że wciąż obowiązuje nas starożytnie prawo, które przywieźliśmy z Wyspy

Lata. Tylko król może osądzić winę króla! Nie jestem jedynym, któremu nie spodobało się to, do czego wtedy doszło. Tak samo myśli Brenin, władca Ardanu.

Braster rąbnął pięścią w stół.

– To, co się stało, Romarze, już się nie odstanie – warknął. – Śmierć Mandrosa to przeszłość, a my nie zebraliśmy się tu po to, by o tym debatować. Stanęliśmy przed szansą przegrania Hunen z naszych granic. Chcesz ją zaprzepaścić?

– Nie potrzebujemy... – zaczął Romar i zerknął na Veradisa, Calidusa oraz górującego nad nimi Alcyona.

– A moim zdaniem potrzebujemy. Poza tym, złożyłem Aquilusowi przysięgę, a ja nie rzucam słów na wiatr.

Obaj królowie wpatrywali się w siebie przez moment, aż Romar opuścił wzrok i skinął głową.

– Dobrze. Zajmijmy się więc tym, jak najlepiej pozbyć się Hunen.

– Pamiętajcie o jednym – rzekł Romar. – Gdy walki dobiegną końca, będę domagał się śledztwa w sprawie tego, co zdarzyło się w Carnutanie. Nie można pozwolić na to, by król został zabity jak zwykły rzeźmieszek. Moje poparcie dla sojuszu zostanie wówczas wycofane do chwili, gdy otrzymam odpowiedzi na wszystkie pytania. O ile ją otrzymam.

Calidus zmarszczył brwi.

– Co wiemy o naszym wrogu? Znamy jego liczebność? – zapytał Veradis, który skwapliwie skorzystał z okazji, by zmienić temat. Nie podobały mu się pytania Romara ani jego oskarżenia. Przypomniał sobie słowa Nathaira: „Wszyscy wezmą udział w wojnie, po stronie Jasnej Gwiazdy bądź Czarnego Słońca. Pytanie brzmi tylko, kto będzie walczył u mego boku, a kto przeciwko mnie? Nie ufaj nikomu!”. Wbił w Romara podejrzliwe spojrzenie.

– Pewności nie mamy – odpowiedział Braster.

– Liczebność olbrzymów, które biorą udział w najazdach, rośnie stopniowo – rzekł Vandil. – Podczas ostatniego wypadu za granicę

Isiltiru było ich czterdzieści, może pięćdziesiąt. I mieli zmije.

– Żmije? – spytał Veradis.

Najpierw draigi, potem zmije, pomyślał. Cudownie.

– Tak, zmije. One przygotowują się na coś. Na Wojnę Bogów.

Veradis miał wrażenie, że siedzący obok niego Calidus drgnął i zeszywniał. Patrzył teraz na Vandila ze skupieniem.

– Skąd ta pewność?

– Podczas ostatniego starcia wzięliśmy jeńca. Poddaliśmy go przesłuchaniu i okazało się, że celem napadu było zdobycie żelaza. Chcą wykuć broń na Wojnę Bogów.

– Mogę porozmawiać z tym więźniem? – spytał Calidus.

– Niestety nie. Zerwał więzy i odebrał sobie życie. – Vandil wzruszył ramionami.

– Nasz atak musi się więc zakończyć powodzeniem – oznajmił Calidus. – Trzeba przetrzebić ich szeregi, nim będą w pełni gotowi, by na was ruszyć.

– Otóż to – warknął Braster.

– Dowiedzieliśmy się, że rzekomo mieszkają gdzieś na północny wschód stąd, w miejscu o nazwie Haldis – ciągnął Vandil. – Choć to może być plotka.

– Nasz problem polega na tym – podjął Braster – że nie wiemy, jak ich zmusić do walki. Jakoś nie wierzę w to, że wyjdą z lasu Forn, by wydać nam bitwę. Zgromadziliśmy jednak znaczne siły. Chcieliśmy po prostu wdrzeć się do puszczy, ale nie ma pewności, czy stawiają nam czoła. Ponadto, cóż, Forn do małych lasów nie należy.

– Mogę zaprowadzić was do nich – odezwał się nagle Alcyon ku zaskoczeniu wszystkich obecnych. Jego głos przywodził na myśl tarcie kamienia o kamień.

– Co takiego? – spytał Romar. – Poprowadzisz nasze siły prosto na nich? A co sprawi, że podejmą walkę? Co sprawi, że nie umkną w głąb lasu?

– Pogłoski, które słyszeliście, są prawdziwe. Hunen mieszkają

w Haldis i mogę was tam zaprowadzić.

– Nie ukryją się przed tak wielką armią? – Vandil pochylił się na krześle.

– Nie. Haldis nie jest jedną z ich fortec, jak Taur czy Burna. To ich miejsce pochówku, święta ziemia. Nie pozwolą wam się tam wdrzeć. Będą jej bronić do ostatniego wojownika.

Zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w Alcyona, aż Braster rąbnął pięścią w stół.

– Ha! – krzyknął. – Masz użytecznych przyjaciół, chłopcze. – Uśmiechnął się szeroko do Veradisa. – Nietypowych, ale użytecznych.

* * *

Promienie słońca padały na twarz Veradisa, a od słodkiego zapachu sosen aż kręciło mu się w głowie. Połączona armia wędrowała szerokim traktem, który wił się i skręcał ku góróm. Hufiec Veradisa szedł w straży tylnej, a przed nimi maszerowali wojownicy z Helvethu i Isiltiru, tak liczni, że nie było widać czoła kolumny.

Wraz z jego drużyną armia musiała liczyć około czterech tysięcy ludzi. Calidus jak zwykle jechał u jego boku, a olbrzym kroczył nieopodal.

– Alcyonie, jesteś pewien, że będziesz w stanie doprowadzić nas do Haldis? – spytał Veradis.

– Tak.

– Ale Kurgan żyli na południu i na wschodzie, prawda? Czy byłeś kiedyś w tych stronach?

– Nie mylisz się. Mój klan mieszkał daleko stąd. Ale dotarłem tu kiedyś. Widziałem Haldis, a nawet gdyby było inaczej, moc ziemi pomogłaby mi je odnaleźć.

– Aha – stwierdził Veradis i zamilkł. Zawsze czuł się nieswojo,

gdy któryś z towarzyszy wspominał o swych niezwykłych umiejętnościach. Trzeba było jednak przyznać, że ich talenty nie raz przyszły im z pomocą i przypuszczalnie przydadzą się ponownie. Nathair zaś nalegał, by Alcyon pojechał z nim.

– Przyda ci się bardziej niż mnie tutaj – rzekł przed jego wyjazdem. – W Ardanie nie ma olbrzymów.

Zapewne postawił już żagle i wyruszył w drogę, pomyślał Veradis. Gdy opuszczał Jerolin, Lykos oznajmił, że niedługo będzie można przepłynąć między Tenebralem i Ardanem, a było to księżyc temu. Niewykluczone, że Nathair dotarł już do Dun Carreg. W żołądku skręciło mu się z niepokoju. Cieszył się z godności wojewody i czuł się zaszczycony przydzielonym mu dowództwem, ale zawsze odczuwał niepokój, gdy nie mógł osobiście strzec króla.

Tymczasem byli z nim Rauca, Sumur, władca Jehar, oraz kilkudziesięciu innych wojowników, którzy bez trudu będą w stanie zapewnić władcy bezpieczeństwo.

Nagle jego uwagę przyciągnął tętent kopyt. Zbliżało się doń dwóch jeźdźców – starszy mężczyzna o ciemnych, posiwiałych włosach oraz jego o wiele młodszy towarzysz, któremu spod stalowego hełmu wypływały niesforne, rude kędziory. Veradis rozpoznał ich obu i uśmiechnął się szeroko.

– Maquin! Kastell! – zawołał. – Cieszę się, że was widzę!

– Słyszeliśmy plotki, że na czele hufca z Tenebralu jedzie jakiś młody brzydal ze złamanym nosem – rzekł Maquin. – Kastell uznał, że to na pewno ty.

Veradis uśmiechnął się szeroko.

– A więc postanowiłeś zostać zabójcą olbrzymów. – Maquin zerknął na Alcyona.

– Słyszałem, że potrzebujecie pomocy – rzekł Veradis i pomyślał o kle draiga, wprawionym w rękojeść miecza.

– Dobrałeś sobie intrygującego towarzysza wyprawy – mruknął Maquin. – Można mu ufać?

Veradis westchnął i opowiedział raz jeszcze o tym, jak Alcyon

walczył u jego boku przeciwko Shekam. Uświadomił sobie jednocześnie, że tak bardzo przyzwyczaił się do towarzystwa olbrzyma, iż nie wydawało mu się ono niczym dziwnym. Stał się on dla niego kimś więcej niż tylko towarzyszem podróży i był gotów bronić go przed innymi. Zaczynał uważać go za swego przyjaciela.

– Jak życie w Mikil? Udało wam się uniknąć kolejnych nieprzyjemnych niespodzianek ze strony twego kuzyna Jaela, Kastellu? – spytał, chcąc zmienić temat.

Maquin i Kastell wymienili się spojrzeniami.

– Wynieśliśmy się z Mikil – wyjaśnił Maquin. – Należymy teraz do Gadrai.

– Dlaczego? – zdziwił się Veradis. Dobrze pamiętał reakcję Romara owego dnia w namiocie, gdy przemówił w obronie Kastella.

– Pokłóciliśmy się – burknął Kastell. – Wywiązała się bójka. Zrobiło się poważnie i uznałem, że lepiej będzie zmienić miejsce pobytu. Poza tym Gadrai dobrze nas traktują. Każdy wojownik marzy o tym, by do nich wstąpić, przynajmniej w Isiltirze.

Veradis przyjrzał się uważniej Kastellowi. Wyglądał na szczuplejszego niż kiedyś, warstewka tłuszczu, z którą się obnosił, znikła bez śladu, a na twarzy pojawiła się stanowczość. Veradis jednakże miał wrażenie, że dostrzega w nim jeszcze coś. Choć dosiadał konia ze swobodą i wydawał się wojownikiem w każdym calu, w jego oczach wciąż widać było smutek i niepewność. Tak spoglądał młodzieniec, a nie mężczyzna.

– Poznałem już waszego przywódcę, Vandila – rzekł. – A więc mieszkacie teraz w Fornie i chronicie granic Isiltiru przed mieszkańcami lasu?

– Tak, dokładnie – rzekł Maquin.

– A mimo to teraz podążacie z Romarem i Jaelem? Widziałem ich obu.

– Poniekąd. Choć należymy do bractwa Gadrai, Romar nadal jest naszym królem – odparł Maquin.

– Czyli między wami, Romarem a Jaelem wciąż układa się nie

najlepiej?

– Można tak to ująć. – Kastell zrobił ponurą minę. – Przynajmniej jeśli chodzi o Jaela. Romar jest gotów sprzymierzyć się z każdym, kto pomoże mu odzyskać jego niezwykły topór.

Calidus wyprostował się w siodle i podjechał bliżej.

– Topór? – spytał.

– Tak. Nazywa go swoim toporem, ale to relikwiera sprzed Plagi. Skarb olbrzymów, jeśli wierzyć opowieściom. Nie wiem, co to tak naprawdę jest, ale Romar chce go odzyskać. Pielgrzymi z całych Ziem Wygnanych przybywali, by go ujrzeć, a złoto płynęło do Isiltiru szeroką rzeką. Aż porwali go Hunen.

– I nie macie wątpliwości, że nadal go posiadają? – spytał Calidus. – Skąd ta pewność?

– Widziałem, jak go porywają – rzekł Kastell i skrzywił się, jakby naszło go bolesne wspomnienie.

Calidus i Alcyon spojrzeli po sobie.

– A więc naprawdę się przygotowują. – Starzec zwrócił się do olbrzymia.

– To dobrze – odparł tamten. – Bo wykonają całą pracę za nas. My teraz po prostu wszystko odbierzemy.

Calidus uśmiechnął się szeroko, skinął Maquinowi i Kastellowi, po czym podjechał do olbrzymia, by naradzić się z nim szeptem.

– Przebywasz w niezwykłym towarzystwie, Veradisie – stwierdził Maquin.

– Nie ty pierwszy zwróciłeś na to uwagę – odparł młodzieniec.

– Nie dość, że olbrzym, to jeszcze on! – Stary wojownik wskazał na Calidusa. – Nie wydaje mi się, by pochodził z Tenebralu. Co więcej, w obozie pojawiły się plotki o innych cudzoziemcach pod twoimi rozkazami, ponurych, odzianych na czarno wojownikach z zakrzywionymi mieczami. Czy to prawda, że kobiety walczą u nich wraz z mężczyznami?

– Prawda. – Veradis uśmiechnął się lekko. Nie dziwiło go ich zaskoczenie, bo sam z początku reagował podobnie.

– Kim oni są? – spytał Kastell.

– Nazywają się wojownikami Jehar, a odnaleźliśmy ich w Tarbeshu, gdzie toczyliśmy kampanię przeciwko innemu klanowi olbrzymów. Macie rację, mogą budzić zdziwienie, ale są znakomitymi, lojalnymi wojownikami.

– Ale dlaczego walczą dla ciebie? – naciskał Maquin.

– Jest tak, jak przewidział to król Aquilus podczas rady. – Veradis wzruszył ramionami. – Armie się zbierają, a wojownicy Jehar postanowili, że staną u boku Nathaira.

Nagle przypomniał sobie Calidusa w Telassar w chwili, gdy ujawniał swą prawdziwą tożsamość i rozwijał skrzydła. Miał wielką ochotę opowiedzieć przyjaciołom o tym, kim naprawdę był jego stary towarzysz, ale Calidus wymógł na nim, że zachowa to w tajemnicy. Martwiło go również coś innego – lubił Maquina oraz Kastella i miał ich za dobrych ludzi, ale obawiał się, że jeśli jego podejrzenia co do Romara okażą się prawdą, znajdą się po dwóch stronach konfliktu.

– Zachowajcie czujność, przyjaciele – powiedział z naciskiem. – Dobrze się zastanówcie, zanim zdecydujecie, pod którym sztandarem wyruszyacie na wojnę. Nie przekonuje mnie władca, którym powoduje chciwość i walczy tylko dla złota, zwłaszcza w takich czasach. Nathair mówi, że niebawem wszyscy pochwycą za broń, nie wiadomo tylko po czyjej stronie. Musicie mieć pewność co do tego, komu służyście.

– Cóż, ja służyć Kastellowi, a on zazwyczaj pozostaje sługą własnego żołądka. – Maquin klepnął młodzieńca po brzuchu.

– Co? To ty bez przerwy kradniesz mi jedzenie! – poskarżył się Kastell, ale uśmiechnął się przy tym wesoło.

Jechali razem przez chwilę, śmiejąc się i rozmawiając, a gdy teren zaczął się obniżać, Maquin i Kastell pognali na czoło kolumny. Niedługo później Veradis dostrzegł w oddali rozlewającą się na północy plamę lasu Forn.

Słońce już zachodziło, a cienie drzew ciągnęły się daleko po

łąkach, gdy Veradis sprowadził swoich ludzi ze wzgórz. Niedaleko skraju lasu zbudowano już obwarowane obozowisko, z którego miało wyjść natarcie. Kolumna znużonych wojowników weszła przez bramy do środka.

* * *

– Gdy będziemy blisko Haldis, musimy się rozdzielić i zaatakować zarówno od czoła, jak i z obu flank – oznajmił Alcyon, stanąwszy przed dowódcami armii o pierwszym brzasku. – Do tej chwili jednakże musimy podróżować w kolumnie, co samo w sobie może okazać się trudne.

– Otóż to – rzekł Braster. – Taki jest plan.

– Ile nocy dzieli nas od Haldis? – spytał Vandil.

– Pięć, może sześć – zastanowił się Alcyon. – Sam pokonałbym ten dystans w dwie doby, ale przy takiej ilości wojska... – Rozejrzał się po łące, na której zbierały się już szeregi wojowników, i wrzucił ramionami. – Zobaczymy – dodał.

– Zgoda, ale nie chcę, by naszym ludziom skończyło się jedzenie i musieli zawracać, zanim dotrą na miejsce – rzekł Romar.

– A więc powiedz im, by się nie ociągali – burknął Alcyon.

– Może powinniśmy zabrać wozy z prowiantem? Spowolnią nasz marsz, ale nie będziemy szli w pośpiechu i ludzie będą w lepszych nastrojach. Zawsze tak wojowaliśmy.

– Nie – rzekł Alcyon. – Szybkość to podstawa. Nie możemy dać Hunen szansy, by zebrali wszystkie siły, a czym dłużej będziemy czekać, tym więcej pułapek zastawią na nas ich elementaliści. Poprowadzę was najszybciej, jak będziecie w stanie iść.

Romar skrzywił się. Grzmiały rogi, a kolumna powoli nabierała kształtu. Na czele znaleźli się wojownicy Vandila, co do jednego zahartowani i posępni. Alcyon dołączył do nich, obojętny na nieufne spojrzenia Gadrai.

Veradis stanął na czele własnej drużyny.

– Nadszedł czas – oznajmił.

Założył żelazny hełm, zarzucił na ramiona plecak z prowiantem, a na niego tarczę, którą przypiął mocno rzemykami. Serce zabiło mu mocniej z podniecenia, gdy pomyślał o nadciągającej bitwie, i odruchowo pogładził kiel wprawiony w rękojeść miecza.

Calidus stał z wojownikami Jehar i czekał na niego. Znów zagrzmiały rogi i oddziały ruszyły naprzód ku ciemnej puszczy, która górowała przed nimi.

– Wszystko poszło dobrze? – spytał Calidus.

– Tak. Romar zrzędził, ale wydaje się, że Braster mocno trzyma smycz. Alcyon prowadzi.

– Dobrze. Martwi mnie trochę Romar – rzekł Calidus. – Jego lojalność...

– Mam ten sam problem – zgodził się Veradis.

Calidus pogrążył się w myślach.

– On jest cierniem w naszym boku, Veradisie. Sprzeciwia się woli Nathaira i nie w smak mu nasza obecność tutaj. I, jak to już bywa z cierniami w boku, poprawy się nie spodziewam. Będzie nadal siał niezgodę i zamęt.

– Jeśli sprzeciwia się Seren Disglairowi – odezwał się Akar ze swoim charakterystycznym akcentem – może powinniśmy mu odrąbać głowę?

Veradis parsknął i uśmiechnął się do Akara, przeświadczony, że jego słowa, choć sugerowały kuszące rozwiązanie, były tylko żartem. Oczy mężczyzny pozostały jednak zimne, a wyraz jego twarzy był nieodgadniony. Uśmiech Veradisa przygasł.

Calidus zachichotał.

– Najpierw przemówię mu do rozumu – rzekł. – Potem sięgniemy po drastyczne rozwiązania. Poza tym chronią go Gadrai.

Akar parsknął z pogardą. Veradis spoglądał to na jednego, to na drugiego, przypominając sobie to, co na odchodnym powiedział mu o nich Nathair:

Obaj mają prawo postępować tak, jak uznają za stosowne, będąc na moich usługach. Ty dowodzisz moją drużyną, ale Jehar przekazałem Calidusowi. Jesteś wojownikiem, Veradisie, ty masz walczyć z Hunen. Niech Calidus zajmie się polityką.

Romar stanowił problem, co do tego Veradis nie miał już wątpliwości, ale czy był zdrajcą? Nie był tego pewien. Maquin i Kastell służyli mu bez wahania. Młodzieniec zmarszczył brwi, zatroskany. Przecież Calidus był jednym z Ben-Elim, sługą samego Elyona, więc podejmował właściwe decyzje, czyż nie?

Wkraczając w cień lasu, uświadomił sobie, że ma złe przeczucia.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

CYWEN

Cywen usłyszała świst, a potem łupnięcie podobne temu, z jakim topór rozcina mokre drewno. Sekundę później ich przewodnik zsunął się z siodła z czarnopiórą strzałą sterczącą z klatki piersiowej.

– Tarcze! – huknął Tull i zerwał własną, a potem ryknął z bólu, gdy wroga strzała utknęła w jego nodze. Kolejna wbiła się w pierś konia.

Wokół rozpętał się chaos. Rozgorączkowana Cywen rozglądała się dookoła. Wojownicy krzyczeli i wrzeszczeli z bólu, a konie rżały dziko, nabijane nadlatującymi zewsząd strzałami. Połowa przybocznych Alony leżała już bez życia na trawie bądź zsuwała się z siodeł, a pozostali przypadli do królowej, księżniczki oraz Cywen, zasłaniając je własnymi tarczami i wycofując się tam, skąd przyjechali.

Znów zaświstały strzały, znów poniosło się rzenie ranionych koni. Wtedy na polanę ze wszystkich stron wypadła chmara ludzi w czerwonych płaszczach. Niektórzy z nich zatarasowali drogę, którą przybył orszak królowej, inni zablokowali przejazd znajdujący się po przeciwnej stronie polany, a pozostali rzucili się na Ardańczyków.

Dwóch spośród nich, którzy nadal siedzieli na koniach, rzuciło się bez namysłu na ludzi zamykających drogę z polany. Pierwszy

Ardańczyk padł natychmiast, gdy któryś z napastników ciał jego wierzchowca po nogach, ale drugi zdołał się przebić. Pomknęły za nim strzały, ale Cywen nie widziała, czy któraś trafiła.

Wyrwa została natychmiast zamknięta.

– To bez sensu! – krzyknął Tull, który stał przy rumaku królowej i zasłaniał ją tarczą. – Tędy!

Poprowadził konia Alony prosto ku linii lasu między dwiema drogami. Reszta wojowników nie odstępowała ich ani na krok.

Wtedy opadła ich grupka napastników, z których część zbrojna była we włócznie. Jedna z nich przemknęła między tarczami. Tull z rykiem rąbnął w drzewce, ale spóźnił się – ostrze zdążyło utkwic w podbrzuszu wierzchowca królowej. Zwierzę kwiknęło i stanęło dęba, ale Tull zdołał złapać Alonę w talii i postawić ją na ziemi, a potem sam rzucił się do szarży. Dwóch z atakujących padło błyskawicznie – jeden z twarzą zmiażdżoną żelaznym umbem tarczy, a drugi z rękami zaciśniętymi na ranie brzucha.

Ardańczycy, choć przetrzebieni i pozbawieni koni, nadal chronili kobiety i wycofywali się poza zasięg wroga. Cywen rozejrzała się wśród ocalałych wojów i z bezbrzeżną ulgą zauważyła Ronana, który zasłaniał tarczą Edanę. Powstrzymała pokusę, by go dotknąć.

Zewsząd nacierali warczący wojownicy o zaciętych, wrogich twarzach i bez litości napierali na ich obrońców. Stał zgrzytała o stal, z młaśnięciem wgryzała się w ciała, pękały kości, wrzaski ludzi były pod niebiosa. Ich mur tarcz mimo wszystko wytrzymał. Cofał się, ale pozostawiał za sobą liczne ciała napastników na zdeptanej trawie.

Wtedy ktoś krzyknął:

– Brać kobiety żywcem!

Cywen wyjrzała zza czyjejś tarczy i uświadomiła sobie, że przeciwników w czerwonych płaszczach jest co najmniej dwudziestu. Cofnęli się na chwilę, po czym z dzikim rykiem znów ruszyli do natarcia. Obie grupy zwały się z furją, Tull, zagrzewający innych okrzykiem bojowym, szalał w samym środku.

Wtedy dziewczyna przypomniała sobie o swych nożach. Namacała jeden, wyszarpnęła go i cisnęła nim któregoś z napastników w twarz. Zauważyła, jak złapał za rękojeść sterzczącą z gardła i zwałił się na ziemię.

Byli już na skraju polany, za plecami mając wielkie drzewo. Wojowników pozostało zaledwie pięciu, w tym Ronan i Tull, a Alona, Edana i Cywen kulili się za ich plecami.

Cywen przeliczyła swoje noże. Wciąż miała trzy ostrza.

Napastnicy znów się cofnęli. Mieli przewagę liczebną nad wojownikami z Ardanu, ale żaden z nich nie kwapił się, by uderzyć jako pierwszy. Pozostali wciąż blokowali oba wyjścia z polany.

– Nie możemy odwrócić się i uciec – mruknął Tull, oglądając się za siebie. – Natychmiast nas opadną i powalą strzałami w plecy. – Zastanowił się przez chwilę i syknął: – Słuchajcie, nie mamy dużo czasu. Tamci za moment złapią oddech i odzyskają odwagę. Plan wygląda następująco. – Spojrzał na królową i rzekł: – Ronan i Ised. Na mój znak uciekniecie z kobietami do lasu. Ised prowadzi, a Ronan zamyka.

Obaj skinęli.

– Ja, Alwyn i Taren zyskamy dla was trochę czasu.

– Nie, Tull – zaczęła Alona, ale wojownik przerwał jej:

– Nie ma innego sposobu. W przeciwnym razie pojmagą was, a my i tak zginiemy. – Wyciągnął rękę i położył dłoń na dłoni królowej. – Jeśli uda ci się uciec, śmierć tych ludzi będzie miała sens.

Spoglądali na siebie przez moment, aż Alona skinęła głową.

– W porządku – rzekł trzeźwo Tull, a potem zerknął na Cywen. – Nie zaszkodziłoby, gdybyś rzuciła jeszcze którymś z tych twoich noży skrytych za pasem, dziewczę. A wy, chłopaki, za mną.

I ruszył do ataku.

Pędził w milczeniu, tym razem powstrzymując się od okrzyków bojowych, na przeciwnika, który wydawał się niemalże zaskoczony. Wyglądało na to, że nikt spośród napastników nie spodziewał się

tak desperackich posunięć ze strony otoczonego wroga.

Taren i Alwyn, zahartowani wojownicy w wieku Tulla, bez wahania skoczyli za pierwszym mieczem Ardanu. Wdarli się między przeciwników, wymachując mieczami i tarczami, siejąc spustoszenie.

– Szybko! – syknął Ronan i pociągnął Cywen za płaszcz.

Dziewczyna pośpiesznie uwolniła jeden ze swoich noży i cisnęła nim w mężczyznę, który chciał ciąć Tulla w wewnętrzną stronę kolana. Trafiony zawył i zatoczył się, próbując wyrwać ostrze wbite w plecy. Potem Ronan złapał ją za rękę.

– Chodź, proszę! – wykrztusił, wciąż nie odrywając spojrzenia od Tulla. W jego oczach błysnęły łzy.

Cywen skinęła głową i sekundę później gnali już między drzewami. Gałęzie chłostały ich po twarzach, ale dziewczyna wciąż widziała płaszcz biegnącej przed nią Edany. Obróciła się za siebie, usłyszała ryk walczącego Tulla, dostrzegła błysk czerwonych płaszczy gdzieś pośrodku polany, a potem drzewa zasłoniły wszystko.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

CAMLIN

Camlin nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ten szaleniec ze strzałą w nodze rzucił się prosto na nich.

Przegapił ten moment, bo jego uwagę przyciągnęły kobiece twarze za tarczami. Wydawało mu się, że rozpoznaje którąś z nich, a gdy dziewczyna rzuciła nożem, nie miał już wątpliwości. Miał przed sobą jedno z dzieciaków, które były świadkami jego ucieczki z Dun Carreg.

Potem powietrze przeciął ciśnięty nóż, a szaleniec w asyście dwóch innych wojowników natarł na ich linię. Camlin, który stał na końcu szeregu, ujrzał, jak Digased zatacza się, tryskając krwią z rozciętego gardła. Sekundę później ktoś inny, jeden z nowych chłopaków, padł z twarzą zmiażdżoną żelaznym umbem. Powstało zamieszanie, rozległy się krzyki, a ich szereg wygiął się, by otoczyć niedobitki ardańskiego orszaku.

Camlin zbliżał się ostrożnie z wysoko wzniesioną tarczą. Znał możliwości ogromnego wojownika króla Brenina, który bez trudu położył trupem przynajmniej pół tuzina jego kamratów.

Wtedy pojawił się Braith, biegnąc z przeciwnego krańca polany z mieczem w rękę. Towarzyszył mu przywódca ludzi, którzy przyłączyli się do ich oddziału. Krzyczał coś do niego, wręcz wrzeszczał, otwierając szeroko oczy, ale zgiełk bitwy zagłuszał jego słowa.

Jeden z szarych płaszców Ardanu osunął się na ziemię. Jego dłoń zacisnęła się konwulsyjnie na kępie trawy, a czerwona plama na plecach rozlewała się coraz szerzej. Potem padł drugi z mieczem Cromhana w brzuchu.

Olbrzymi wojownik zaryczał, zawirował i odrzucił swą strzaskaną tarczę. Ujął miecz w obie dłonie i ciął, aż wyrąbał sobie przestrzeń wokół siebie. Wyszczrzył zęby, zbryzgany krwią przeciwników.

– No? Kto następny? – ryknął.

W tym momencie dobiegł Braith i jego towarzysze.

– ...uciekają! – krzyczał człowiek biegnący obok wodza.

Camlin odwrócił głowę i ujrzał kobiety, zagłębiające się w lesie. Coś mignęło mu między drzewami, przez ułamek sekundy widział czyjąś bladą twarz, a potem wszystko znikło.

– Boicie się starca, co? – dyszał wojownik króla Brenina. – Uciekajcie lepiej pod mamine kiecki!

Jeden z nowych kamratów, młody wojownik o zaciętej twarzy i zimnych oczach, wystąpił z szeregu. Pod czerwonym płaszczem miał kolczugę i wyglądał na takiego, który wie, jak się posługiwać mieczem. Ardańczyk skinął na niego i uderzenie serca później zwarli się w dzikim starciu. Stary wojownik poruszał się oszałamiająco szybko i gdy odskoczyli od siebie, jego przeciwnik broczył krwią z rany na udzie.

Wtedy ogromny Ardańczyk zaatakował ponownie. Ciął wysoko, potem nisko, przebił się przez gardę przeciwnika i grzmotnął go czołem w nos. Wojownik w czerwonym płaszczu stracił równowagę, a sekundę później jego głowa zatoczyła łuk w powietrzu.

Ardańczyk uśmiechnął się do trupa, oparł dłoń na nodze i oddychał łapczywie. Nosił wiele drobnych ran, z jego uda sterczała złamana strzała, miecz wyszczerbił się w walce, ale najwyraźniej nie osłabiło to w nim ducha. Wyprostował się, rozrzucił szeroko ramiona i obrócił się powoli wokół własnej osi.

– Kto następny? – warknął i splunął krwią na stratowaną trawę.

Nie doczekasz się już przeciwnika, pomyślał Camlin.

Wtedy wzrok wielkiego wojownika padł na człowieka, który przybiegł wraz z Braithem. W oddziale nazywano go Blizna, gdyż nosił szramę na policzku.

– To ty! – szepnął wielki wojownik i otworzył szerzej oczy.

– Witaj, Tull – powiedział Blizna i skinął lekko głową, jakby spotkał starego przyjaciela.

– A więc to sprawka Rhin. – Tull pokiwał głową, spoglądając na czerwone płaszcze. – I wszystko jasne. Nie sądziłem, by Uthan i Owain byli w stanie zdobyć się na coś takiego. – Parsknął. – I co? Gotów na drugą lekcję?

Blizna, szczupły człowiek niezdolny do okazywania radości, uśmiechnął się chłodno.

– Mam ogromną ochotę, ale obawiam się, że muszę odmówić – rzekł. – Masz mnie za idiotę? Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Kobiety uciekają, a ty rozpaczliwie próbujesz zdobyć dla nich jak najwięcej czasu, nieprawdaż?

Tull wzruszył ramionami i rzucił się na Bliznę.

– Braith! – krzyknął tamten.

Przywódca banitów ściągnął łuk z pleców, nałożył strzałę na cięciwę i wycelował. Biegący Tull stęknął, gdy pocisk wbił mu się w brzuch, zacharczał, zatoczył się, a mimo to uniósł miecz.

Kolejna strzała utkwiała mu w ramieniu z taką siłą, że wojownik obrócił się wokół własnej osi. Zdołał się odwrócić, wyprostować, a nawet zrobić jeszcze jeden krok, ale wtedy osunął się na kolano. Blizna podszedł i własnym mieczem wybił oręż z jego słabnących rąk. Stał nad klęczącym wojownikiem przez moment, celując ostrzem w jego serce, a potem wepchnął w nie miecz aż po jelec. Tull zakaszłał, krew napłynęła mu do ust.

Blizna wyszarpnął broń.

– I tak oto kończy się lekcja – oznajmił, patrząc na trupa, a potem ruszył za Braithem.

Camlin odwrócił wzrok.

Nie spotkałem nigdy człowieka, który miałby tyle odwagi, pomyślał. Nie zasłużył sobie na te ostatnie strzały. Ale życie nie jest sprawiedliwe. Już o tym zapomniałeś, durniu? Myślałem, że kiedyś wreszcie to pojmiesz!

Banda banitów wślizgnęła się między drzewa, by rzucić się w pogoń za uciekającymi kobietami. Na ogarniętej ciszą polanie leżały ciała ich towarzyszy.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

EVNIS

Evnis spoglądał z murów Uthandun na ostatnich członków orszaku królowej Alony, który właśnie zniknął w lesie.

Ich chwile są policzone, pomyślał.

Poczuł ukłucie lęku. Doskonale wiedział, że na tym etapie planu położył na szali wszystko, ale mimo to dobrze się z tym czuł.

Stał tam jeszcze przez chwilę, a potem zszedł na dół i ruszył przed siebie ulicami, aż dotarł do ciemnego zaułka, gdzie odnalazł drzwi do opuszczonego domu. Wszedł do środka, nabrał tchu, zamknął oczy i zebrał myśli.

– *Athru mise, folaigh mise, cloca mise, talamh bri* – wymamrotał.

Poczuł drżenie, jakby ziemia poruszyła się pod jego stopami. Zachwiał się lekko, ale zaraz wyciągnął wypolerowane na błysk zwierciadło z brązu, by sprawdzić efekt inkantacji. Z lustra spoglądała na niego inna twarz, młodsza, pozbawiona zmarszczek, o pełnych ustach. Miał ochotę parsknąć śmiechem, zaskoczony własną urodą, ale opanował się i sięgnął po zawiniątko, które pozostawił tu zeszłej nocy.

Chwilę później wyszedł z domu w żelaznym hełmie i czerwonym płaszczu, uzbrojony w krótką włócznię. Uśmiechnął się do strażnika przy wejściu do głównej wieży, a ten pozdrowił go burknięciem i bez wahania wpuścił do środka. Uthandun było teraz

pełne wojowników w czerwonych płaszczach, gdyż Owain przyprowadził z Dun Cadlas mocną drużynę, a więc kolejny zbrojny nie zwracał niczyjej uwagi.

Bez wahania przeszedł korytarzami wieży, wspiał się po schodach do komnat Uthana, aż stanął przed strzegącym ich wojownikiem. Nie przestając się uśmiechać, wbił mu włócznię w gardło. Złapał jego osuwające się ciało i pośpiesznie wciągnął je do ciemnej alkowy.

Wiedział, że Uthan jest poważnym młodym człowiekiem, który przedwcześnie dojrzał i w pełni odczuwał ciężar władzy, spoczywający mu na barkach. Często przesiadywał samotnie w swoich komnatach i tam też zastał go Ewnis.

Wciąż spoglądał przez okno, gdy mężczyzna wślizgnął się do środka.

– Nadszedł już czas? – spytał dziedzic Narvonu, słysząc otwierane i zamykane drzwi, nadal pogrążony we własnych myślach. Nie usłyszawszy odpowiedzi, odwrócił się i rozejrzał, ale było już za późno. Ewnis złapał go za włosy i bez litości przeciągnął mu nożem po gardle. Ujrzał samotnego jeźdźca, który pędził od Ciemnego Boru.

Jeśli to jeden ze strażników Alony, Braith spisał się na medal. Pora się stąd ulotnić, pomyślał.

Wsunął nóż do pochwy, ściągnął czerwony płaszcz i zastąpił go szarym. Skupił się, odepchnął wszelkie myśli i zaczął śpiewać cichym, łagodnym głosem. Zachwiał się, gdy powietrze zafalowało wokół niego. Gdy znów spojrział w lustro z brązu, ujrzał oblicze Marrocka.

Ze spokojem, nieśpiesznie przeszedł korytarzami wieży i minął dwóch strażników, którzy pilnowali wejścia.

– Można ci w czymś pomóc, przyjacielu? – spytał jeden z nich.

Ewnis pokręcił głową, wykorzystując sposobność, by dobrze mu się przyjrzeć, po czym obrócił się z furkotem płaszcza i odszedł pośpiesznie. Podtrzymał iluzję do chwili, gdy znalazł się w ciemnej

alei, a tam ponownie zebrał swą moc i odwrócił transformację.

Vonn siedział już w siodle i trzymał wodze konia przygotowanego dla ojca. Wciąż miał pochmurną minę. Ewnis nie miał pojęcia, czy syn wreszcie zaczął się czegoś domyślać czy też nadal boczy się o ostatnią kłótnię o córkę rybaka. Wiedział natomiast, że niebawem będzie musiał wtajemniczyć go w swe sekrety i pokazać mu świat, po którym sam kroczył.

Niebawem. Jeszcze nie teraz. Wciąż nie był przekonany, czy młodzińczy idealizm Vonna ustąpił już miejsca praktycznemu rozumowaniu i nadal nie wiedział, jakim ideałem jego syn naprawdę hołduje.

Naraz dostrzegł odległego jeźdźca, który przybliżał się z każdą chwilą. Chwiał się w siodle i... i miał na sobie szary płaszcz. Bez wątpienia jeden z ludzi Alony.

– Pędź do obozu i odszukaj Pendathrana. Powiedz mu, że królowa Alona została napadnięta w lesie. Ma zebrać ludzi i wyruszyć jej na odsiecz, szybko, ale bez wzbudzania uwagi. Ja zabiorę rannego jeźdźca do Brenina i pomogę mu zorganizować ewakuację. Owain szykuje na nas zamach!

Vonn przez moment spoglądał na ojca z niepewnością, po czym spiął konia i ruszył galopem przed siebie.

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

CORBAN

Corban szedł przez polanę zasłaną trupami. Patrzył na wojowników, z którymi wyjechała królowa Alona, a wraz z nią Edana i Cywen. Rozglądał się gorączkowo, czując, jak narasta w nim panika, grożąc mu udławieniem się.

Wyprzedzał go Gar, który klękał, przyglądał się poległym, szukał śladów życia, aż zatrzymał się w samym środku polany. Leżało tam znajome ciało, otoczone kręgiem usieczonych wrogów w czerwonych płaszczach.

Corban z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia, gdy zrównał się z Garem i rozpoznał poległego.

Był nim Tull.

Pozbawione życia oczy wojownika spoglądały ku błękitnemu niebu.

Burza trąciła pyskiem jego dłoń.

– Cywen – wykrztusił Corban. – Cywen była z nimi. I królowa Alona, i Edana... – Poczul gwałtowny skurcz żołądka i przełknął ślinę, desperacko powstrzymując wymioty.

– Szukaj dalej! – polecił mu stajenny, który nadal rozglądał się wśród poległych.

Corban wielkim wysiłkiem woli odepchnął od siebie lęk przed tym, kogo i co może odnaleźć, i zaczął przetrząsać pobojowisko, aż dotarł do Gara, stojącego przy wielkim dębie na skraju polany.

Mężczyzna wpatrywał się w ślady, które wiodły w głąb puszczy.

– Nie ma ich tu! – zawołał chłopak.

– Nie ma – zgodził się Gar.

– Co tu się stało? – szepnął Corban.

– Nasza królowa została napadnięta przez ludzi króla Owaina, choć nie ma to najmniejszego sensu – mruknął Gar. – Przecież jesteśmy ich gośćmi w Uthandun. Mogliby nas zgładzić w każdej chwili. – Potarł się po zarośniętym policzku i dodał: – Królowej w każdym razie tu nie ma. Uciekła wraz z kilkoma innymi osobami. Chyba tędy. Choć niewykluczone, że trafiła już do niewoli.

– Musimy ruszyć za nimi! Musimy im pomóc! – rzucił Corban.

Gar przyjrzał mu się w zadumie.

– Ja podążę za nimi po śladach, Ban, ale ty musisz wracać. Ktoś musi powiedzieć o wszystkim Breninowi! Potrzebna nam pomoc!

– Co? Nie, nie ma mowy! Tam gdzieś jest Cywen!

– Nie, Ban. To nazbyt niebezpieczne! Poza tym będę potrzebował wsparcia. Napastników było zbyt wielu, we dwóch nie damy im rady! Musisz wracać!

Corban wpatrywał się z niechęcią w stajennego, a ten odwzajemnił spojrzenie z opanowaniem. Stali tak przez chwilę, aż usłyszeli przybliżający się tętent kopyt i szczęk oręża. Na polanę wypadło kilkudziesięciu jeźdźców w szarych płaszczach Ardanu. Na ich czele pędził Pendathran.

Burza wtuliła się w biodro Corbana, warcząc cicho. Pendathran zeskoczył z konia i krzyknął głośno na widok trupa Tulla. Wpatrywał się w niego przez moment, po czym przeniósł spojrzenie na Gara i Corbana, zauważając również Burzę.

– A co wy tu robicie? – spytał ostro. – W dodatku z tą wilkunicą?

Jego wojownicy pośpiesznie sprawdzali, czy ktoś przeżył walkę. Corban zauważył, jak Marrock klęka obok Tulla, a pozostali wojownicy, z Halionem na czele, zbierają się wokół swego poległego przywódcy.

– Byliśmy w lesie, gdy dotarły do nas odgłosy bitwy – odparł Gar.

– A gdzie Alona i Edana? Co ujrzeliście?

– Rozejrzyj się. – Gar zatoczył łuk ręką. – Oto, co ujrzeliśmy.

– No to gdzie one są? – spytał ostro Pendathran.

– Myślę, że uciekły tędy. – Gar wskazał drzewa. – Uciekły albo zostały pojmane.

Marrock wbiegł między drzewa i odwrócił się w stronę Pendathrana.

– Jakie są twoje rozkazy, wuju? – zawołał.

– Musimy się rozdzielić – odparł tamten. – Być może mamy jeszcze szansę odbić Alonę i nie wolno nam jej zaprzepaścić. Ale to... – Pendathran obrzucił pobjowisko ponurym spojrzeniem. – To wszystko świadczy o tym, że padliśmy ofiarą złożonej intrygi. Jeśli król Owain rzeczywiście usiłuje zniszczyć Brenina, nasz król znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie. – Błyskawicznie przeszedł do wydawania rozkazów: – Marrock, weź kilku ludzi, którzy potrafią się szybko przemieszczać i nie boją się walki. Ja wracam do Uthandun. Jeśli Owain nie wykonał jeszcze kolejnego ruchu, zabieram Brenina do Ardanu. Ruszaj! – Ścisnął Marrocka za ramię. – Uważaj na siebie i zrób wszystko, co w twojej mocy, by sprowadzić mą siostrę do domu – dodał ochryple. – Jeśli ci się uda, wracaj na trakt olbrzymów, ale kieruj się na Ardan, a nie Narvon. Spróbuję wyjechać ci naprzeciw, a Owain zapłaci za to.

Marrock nie marnował czasu. Zaczął wymieniać imiona i wkrótce zgromadziło się wokół niego dwunastu ludzi, w ich liczbie Halion i Conall.

– Idę z wami! – odezwał się niespodziewanie Corban.

– Nie! – warknął Gar, a Marrock pokręcił głową.

– Ale tam jest Cywen! Moja siostra! Idę i koniec!

Na samą myśl o tym, że miałby teraz uciekać, narastał w nim strach. Musiał coś zrobić! Cywen uciekała przez las, przerażona i zrozpaczona!

– Nie, chłopcze – rzekł Marrock, niemalże łagodnie. – Nie jesteś jeszcze wojownikiem. To nie miejsce dla ciebie.

– Ale... – Corban rozejrzał się, nie mogąc skupić się na niczym poza lękiem o Cywen. – Ale zaraz! Przecież Burza może ich wytropić! Może was zaprowadzić do Cywen! Nie będziecie musieli szukać śladów, wilkunica zaciągnie was sama na miejsce. Nie straciecie tyle czasu.

Marrock patrzył to na Corbana, to znów na zwierzę i marszczył brwi.

– Jeśli dzięki temu możecie znaleźć Alonę szybciej, lepiej skorzystajcie z tej szansy – rzekł Pendathran, już w siodle.

Marrock skinął głową.

– Ale lepiej pilnuj tego zwierza, chłopcze – rzucił Pendathran. – Jeśli ugryzie mego człowieka, osobiście cię wychłostam.

– W porządku – rzekł Corban.

– Bywajcie więc! – zawołał wojownik i wypadł z polany, a jego jeźdźcy pognali za nim z hukiem.

– Weź to, Ban – powiedział cicho Gar i podał chłopcu miecz odebrany któremuś z poległych.

Corban wbił wzrok w broń, a potem powoli, niezgrabnie, przytroczył sobie pochwę do pasa. Gar wrócił zaś do zabitych wojów rozrzuconych wokół Tulla, podniósł inną broń i przypasał ją.

– Ty nigdzie nie idziesz, kaleko! – zawołał Conall.

Gar zerknął na niego bez słowa, nie przerywając wiązania rzemieni. Poluźnił miecz w pochwie.

– Do ciebie mówię, kaleko! – Conall krzyknął głośnie, ale Gar bez słowa stanął między Burzą a Corbanem. Wówczas wojownik stracił cierpliwość, podszedł i bezceremonialnie złapał go za ramię. – Odpowiadaj, gdy do ciebie mówię! Nigdzie z nami nie idziesz!

– Mylisz się. Idę – odparł Gar.

– Będziesz nas spowalniać. Bierz ten miecz i kusztykaj z powrotem do Uthandun, do reszty bab! – Conall był już zauważalnie wściekły.

– Nie opuszczę dzieciaka – rzekł spokojnie Gar, po czym rozciągnął mięśnie ramion i przechylił głowę w obie strony, aż

chrupnęło.

– Będziesz nas spowalniał! – Conall podszedł jeszcze bliżej i stał teraz niemalże nos w nos z Garem.

– Nie będziecie musieli zwalniać ze względu na mnie – odparł stajenny. – Jeśli zostanę z tyłu, to moja sprawa.

– Daj spokój, Conall – burknął Marrock. – Gar ma rację. Jeśli nie będzie w stanie za nami nadążyć, to odpadnie i tyle. Nic na tym nie stracimy.

Wojownik mierzył Gara wzrokiem jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową.

– No dobra, chłopcze – rzekł Marrock. – Przekonajmy się, na co stać wilkunicę tropicielkę! Prowadź.

Corban nachylił się nad zwierzęciem.

– Znajdź Cywen, Burzo. Cywen. No, szukaj!

Wilkunica błyskawicznie zerwała się i wskoczyła między drzewa. Corban pognął jej śladem, a za nimi ruszyli Marrock i dwunastu wojowników. Gar opuścił polanę jako ostatni.

Rozdział siedemdziesiąty

CYWEN

Cywen zamrugała, gdy kropla potu dostała jej się do oczu, i potknęła się o korzeń drzewa. Ronan wyciągnął rękę i uchronił ją przed upadkiem.

– Nie zatrzymuj się! – rzucił i zerknął przez ramię.

Las za ich plecami był pusty, a przynajmniej taki się wydawał. Cywen miała wrażenie, że biegli całą wieczność. Całkowicie straciła rachubę czasu, ale była przekonana, że las stał się bardziej mroczny, a cienie ciemniejsze. Czyżby zbliżał się zachód słońca?

Po zapadnięciu zmroku będą chyba bezpieczniejsi.

Trudniej będzie nas wytropić, prawda?, zapytała samą siebie w myślach i spojrzała na Ronana. Jego rude, mokre od potu kędziory kleiły się do głowy, a na twarzy zastygł niepokój. Pokiwała głową i zmusiła nogi do kolejnych kroków, choć płuca jej płonęły.

Edana była tuż przed nią. Widziała, jak przemyka wśród gęstych zarośli, więc spróbowała przyśpieszyć. Cały jej świat ograniczył się do dystansu, który dzielił ją od księżniczki. Skupiała się na każdym kroku, omijała każdy porośnięty mchem głaz, robiła wszystko, by nie pozostać w tyle za towarzyszami.

Nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. Co strzeliło Owainowi do głowy? Czy on właśnie próbował podbić Ardan? A co się stanie z tymi wszystkimi, którzy nadal przebywają

w Uthandun? Z królem Breninem, mamą i tatą, Garem, Corbanem... Naraz z całą mocą uderzyła w nią świadomość, że jej bliscy mogliby zginąć, a ona już nigdy by ich nie ujrzała. Zrobiło jej się niedobrze, zachwiała się.

Postacie, za którymi biegła, zwolniły i zatrzymały się. Podobnie jak Cywen, wszyscy byli tak wyczerpani, że nikt nie mógł wykrztusić ani słowa. Ronan oraz drugi z wojowników – miał na imię Ised, jak przypomniała sobie po chwili – naradzali się szeptem, zdyszani. Ised pokazywał coś przed nimi.

– Myślicie, że... że... będą... nas... ścigać? – spytała Edana, sapiąc.

Ronan zdusił odpowiedź.

– Oczywiście – rzuciła królowa Alona. – Owain spalił za sobą wszystkie mosty. Nie podda się teraz. Naszą nadzieją jest mrok. Jeśli uda nam się utrzymać dystans i dotrzeć do drogi...

W puszczy, gdzieś za ich plecami, zaskrzeczały ptaki.

– Ruszajmy dalej! – rzekł Ronan. – Ised to łowczy. Niech on prowadzi. Ze mną tylko byście zabłądzili. – Uśmiechnął się lekko i dodał: – Będę strzegł tyłów.

Ised ruszył przodem, Alona i Edana podążyli za nim. Cywen zbierała jeszcze siły, gdy Ronan złapał ją za nadgarstek i powiedział:

– Jeśli dojdzie do walki, trzymaj się blisko mnie. Poprzysiągłem, że będę bronić Edany, ale... – Opuścił wzrok. – Zaufaj mi, nie stanie ci się nic złego. Trzymaj się blisko mnie.

Cywen uśmiechnęła się. Choć przebywali w samym sercu Ciemnego Boru, a na plecach czuli oddech śmierci, poczuła, jak w jej sercu wzbiera radość. Pochyliła się i musnęła ustami piegowaty policzek Ronana.

– Będę pamiętać – szepnęła i oboje pognali za resztą.

Brnęli naprzód. Cywen kątem oka dostrzegła jakiś ruch, potem usłyszała liczne, pośpieszne kroki.

– Szybciej! – syknął Ronan.

Serce Cywen zalała panika. Ścigający ich ludzie zblizali się! Przyśpieszyli, ale mimo to kroki za nimi stawały się coraz głośniejsze. Dziewczyna namacała rękojeści pozostałych dwóch noży.

– To na nic – powiedział Ronan. – Dopadną nas lada moment!

Ised usłyszał go i zatrzymał się przy potężnym wiązcie.

– Tu stawimy im czoła! – burknął, oddychając ciężko.

– Są blisko – rzekł Ronan.

Wraz z Isedem dobyli mieczy i odwrócili się ku cieniom. Cywen wyciągnęła nóż i spojrzała na królową oraz jej córkę.

Znów dostrzegła jakiś ruch. Ktoś pędził ku nim. Wycelowała i cisnęła nożem. Usłyszała stukot ostrza wbijającego się w drewno. Zaklęła szeptem i porwała ostatni nóż, a wtedy dookoła niej wybuchł chaos.

Z ciemności wypadła chmara wojowników i rzuciła się na Ronana oraz Iseda. Któryś z napastników wrzasnął i osunął się u stóp Ronana. Jego głowa uderzyła miękko o ziemię tuż przed Cywen. Ta spojrzała na pozbawione życia oczy, a potem usłyszała stęknienie Iseda. Wojownik opadł na jedno kolano, a potem wrogi miecz wbił się w jego szyję. Osunął się na ziemię.

Edana wrzasnęła.

Jakiś wojownik w czerwonym płaszczu skoczył na Ronana, z mroku wyłaniali się kolejni, z dobytym orężem.

Dziesięciu, dwunastu, liczyła odruchowo Cywen. I kolejni za nimi. Jesteśmy martwi!

– Stać! – rozległ się czyjś głos.

Wojownik, który miał skoczyć na Ronana, zatrzymał się, choć nie opuścił miecza. Tuż obok niego stanęło dwóch innych. Cywen zachłysnęła się, rozpoznając obu. Młodszy z nich, z blizną pod okiem, był przecież czempionem królowej Rhin. To on stoczył pojedynek z Tullem w Dniu Zimowego Przesilenia.

Morcant, przypomniała sobie. Co on tu robi?

Drugim z mężczyzn był Braith. Wiedziała, że po tej pamiętnej

nocy w Dun Carreg nigdy już nie zapomni jego twarzy.

– Ten może się nam przydać. – Wódz banitów zwrócił się do Morcanta. – Lepiej, żeby Brenin otrzymał wiadomość od jednego ze swoich ludzi niż od naszych.

Morcant nie chował miecza. Zawahał się.

Wiadomość, myślała z rozpaczą Cywen. Błagam cię, Elyonie, niech oszczędzą Ronana! Niech jego wyślą do Brenina...

Morcant spoglądał to na Ronana, to znów na Braitha, a ramię trzymające miecz drżało. Niespodziewanie zerwał się, jakby uderzył w niego piorun, i ciął tak szybko, że Cywen nie była w stanie nadążyć wzrokiem za jego mieczem. Brzęknęła stal, Ronan zdołał odbić uderzenie, krzyknął coś, wił się, parował, aż nagle osunął się na ziemię.

Minęła chwila, nim Cywen spostrzegła, że z jego gardła bucha krew. Wrzasnęła i rzuciła się ku niemu, przycisnęła dłonie do szyi, próbowała zatamować krwotok, ale krew przepływała między jej palcami.

Nie! Nie! Nie! – krzyczała w duchu.

Ciało Ronana było ciężkie i nie mogła już go utrzymać. Uklękła i ułożyła jego głowę na swych kolanach. Spojrzał na nią, zamrugął, a potem z jego oczu umknęło życie.

W sercu Cywen wściekłość mieszała się z rozpaczą. Zerwała się, rzuciła na Morcanta i pchnęła nożem, który nadal ścisnęła w dłoni. Wojownik odskoczył i zaklął wściekle. Ostrze ześlizgnęło się po kolczudze. Uderzył ją pięścią, a dziewczyna padła na ziemię. W ustach poczuła metaliczny smak krwi.

– Związać ich – nakazał Morcant.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

CAMLIN

– Tu się zatrzymamy! – zawołał Braith, stanąwszy na skraju niewielkiego prześwitu.

Aż do zachodu słońca szli forsownym marszem przez las. Camlin podążał za trzema kobietami i nie spuszczał z nich wzroku, choć te nie sprawiały żadnych kłopotów. Szły z opuszczonymi głowami i milczały przez większość czasu. Wyjątkiem była dziewczyna, którą uderzył Blizna. Ani na moment nie spuszczała wzroku z pleców wojownika, a jej tłumiona furia była niemalże wyczuwalna.

Braith kazał kobietom usiąść pod pniem szerokiego kasztana i oprzeć się o niego plecami, a następnie polecił związać je ze sobą oraz z drzewem. Camlin przyglądał się banitom rozkładającym obozowisko i bezskutecznie próbował opanować narastające przygnębienie. Z dwudziestu ludzi, którzy zeszli z Braithem ze wzgórz, pozostało zaledwie ośmiu, w tej liczbie on sam. Nowym członkom ich grupy wcale nie powiodło się lepiej, gdyż walkę przeżyło dwunastu. Ośmiu ich kamratów leżało bez życia na zbryzganej krwią polanie.

Camlin siedział oparty o pień, poza kręgiem światła rzucanego przez ogień, i odruchowo pocierał osełką o ostrze miecza. Miał złe przeczucie, a gdzieś w głębi jego serca budził się lęk. Wedle słów Braitha miało to być porwanie dla okupu. Zadaniem ich bandy było

wybicie eskorty i przechwycenie kobiet, za które później mieli wyciągnąć od króla Brenina pokaźny worek ze złotem. Dla niepoznaki zaś mieli założyć czerwone płaszcze Narvonu.

Pomysł mu się spodobał, wszak złoto najlepiej łagodziło pragnienie zemsty. Niemniej kilka kwestii obudziło jego niepokój. Po pierwsze, Braith ani słowem nie zdradził, skąd przybyły posiłki dla ich bandy, a po drugie w miarę upływu czasu coraz chętniej przychyłał się do woli Blizny, jakby to on dowodził ich grupą. Teraz okazało się, że Blizna znał owego wielkiego wojownika i nazywał go po imieniu – Tull. Co więcej, miał z nim rachunki do uregulowania. Na domiar złego pojawiło się też imię Rhin. Camlin nie miał z nią na pieńku – przejmował się raczej Breninem i Owainem – ale nie podobał mu się fakt, że mieliby słuchać rozkazów jakiegokolwiek króla czy królowej.

Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że stał się czyjąś marionetką, co też nie przypadło mu do gustu.

No i pozostawała jeszcze kwestia dziecka, tej młodej dziewczyny z Dun Carreg, która potrafiła rzucać nożami. Siedziała przywiązana do drzewa i wypalała wzrokiem dziury w plecach Blizny.

Nie miał najmniejszego zamiaru zabijać kobiet ani dzieci. Braith zaś doskonale o tym wiedział.

Chwilę później ujrzał, jak wódz zapuszcza się między drzewa. Po cichu udał się w ślad za nim. Podchodził powoli, ostrożnie, unosząc ramiona. Nie chciał, by zaskoczony Braith wpakował mu strzałę w pierś.

Przywódca powitał go zdawkowym skinieniem, ale nie odezwał się ani słowem. Przez moment stali naprzeciwko siebie w milczeniu.

– Co się tu właściwie wyrabia? – odezwał się w końcu Camlin. – Słyszałem, co powiedział ten ogromny wojownik na polanie, Braith. On się znał z Blizną, a ich rozmowa... Ta wzmianka o Rhin... – Przechesał dłonią włosy. – Kim jest ten Blizna? I dlaczego

traktujesz go jak swego zwierchnika? Znamy się od wielu, wielu lat i przez cały ten czas nigdy nie pozwoliłeś, by ktokolwiek tobą pomiatał!

Wódz wpatrywał się w niego bez emocji.

– Podążamy za tobą nie od dziś, Braith. Popieram cię wiernie od dawna. Myślę, że jesteś mi winien jakieś wyjaśnienia.

– Może i prawda – przyznał mężczyzna. – Blizna to pierwszy miecz Rhin. Ma na imię Morcant.

Camlin założył ramiona na piersi i czekał na ciąg dalszy.

– Pytałeś mnie we wsi o to, co się wydarzyło w moim życiu, nim zostałem banitą, Cam.

– Tak, pamiętam.

– Jestem człowiekiem królowej Rhin, zawsze jej służyłem. Król Owain wymordował mi rodzinę w trakcie walk o ziemię. Uciekłem do wsi poddanych Rhin, gdzie się wychowałem, a potem, na jej rozkaz, przyłączyłem się do banitów.

Camlin rozważał najróżniejsze scenariusze, ale to nigdy nie przyszło mu do głowy.

– Dlaczego? – spytał wstrząśnięty.

– By doprowadzić do konfliktu między Breninem i Owainem. Rhin chce zawładnąć ich ziemiami, Cam, i wkrótce dopnie swego. Już wkrótce.

– A więc w tym wszystkim – Camlin machnął ręką w kierunku obozowiska – chodziło o coś więcej niż tylko zemstę i złoto?

– Tak. Doprowadzamy do wybuchu wojny. Wkrótce Ardan i Narvon skoczą sobie do gardeł, a pod koniec ich zmagania do boju wkroczy Rhin i posprząta cały bałagan.

Camlin miał wrażenie, że po wielu latach rabunków, pożogi i mordów powinien się tego spodziewać lub przynajmniej nie czuć się zaskoczonym, ale zamiast tego poczuł się jak idiota. Poczuł się zdradzony. Przecież ufał Braithowi.

Gdzieś w lesie szczeknął lis. Odgłos przywodził na myśl płacz dziecka.

– Możesz przecież na tym skorzystać, Cam. Mógłbyś wrócić wraz ze mną do Rhin. Niebawem zresztą się tam wybieram. Masz głowę na karku, a w takich czasach zawsze będzie potrzeba ludzi takich jak ty.

Zamilkł i czekał na odpowiedź kamrata.

– A jeśli uznam, że mnie to nie interesuje? – spytał Camlin.

– Możesz przejąć dowodzenie bandą. Na jakiś czas przynajmniej. Niebawem Owain i Brenin zajmą się sobą, a wówczas grabież nie powinna nastęrczać ci szczególnych trudności. Oczywiście po interwencji Rhin będziesz musiał znaleźć dla siebie nowy fach. Królowej nie spodoba się to, że po jej ziemiach włóczy się zbrojna banda, która bierze, co jej się żywnie podoba. – Zakaszłał, jakby chciał parsknąć śmiechem. – Nasz świat się zmienia, Cam. Stoisz więc przed wyborem: albo popłyniesz z nurtem, albo dasz się pochłonać. Wiele razem przeszliśmy i byłbym dumny, gdybyś zechciał dalej mi towarzyszyć. – Wyciągnął rękę i ścisnął ramię Camlina.

– Hm – mruknął banita.

Jego myśli uwijały się jak szalone, z trudem powstrzymywał ochotę, by strząsnąć dłoń herszta. Nie podobała mu się jego propozycja. Życie w Ciemnym Borze odpowiadało mu w zupełności. Zawsze miał nad sobą przywódcę, jasne, ale nie miał ochoty stać się marionetką w rękach jakiegoś władcy.

Nie miał więc wyboru. Musiał zostać w Ciemnym Borze i samemu objąć dowództwo bandy, ale ta myśl również nie przypadła mu do gustu, tym bardziej, że jeśli wódz mówił prawdę o planach Rhin, była to raczej krótkoterminowa decyzja.

– A jak wygląda reszta naszego planu, Braith? – spytał, siląc się na obojętność.

– Przewieziemy te kobiety przez rzekę, dotrzemy z nimi do wioski na wzgórzach, a potem zawieziemy je do Rhin i otrzymamy zapłatę. – Wzruszył ramionami. – Dalszy krok zależy już od ciebie.

– A dlaczego ich po prostu nie zabiłeś na tej polanie? Przecież na

widok trupów córki i żony Brenin bez wahania zaatakowały Owaina. To najszybszy sposób na rozpoczęcie wojny!

– To prawda, ale Rhin zależy na jakimś atucie, jakiejś formie nacisku na Brenina, który przyda się jej, gdy sprawy nie ułożą się po jej myśli. Tymczasem, bez względu na to, czy kobiety żyją czy też nie, Brenin i tak będzie o wszystko obwiniał Owaina. Czerwone płaszcze to wystarczający dowód.

– To dobrze! – oznajmił zapalczywie Camlin. – Bo ja nie mam najmniejszego zamiaru brać udziału w zabijaniu kobiet czy dzieci, Braith. Mówiłem ci o tym w Dun Carreg.

– Tak, pamiętam.

– Czyli nic złego im się nie stanie?

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię, Cam. – W głosie Braitha pojawiła się nowa, ostra nuta. – Staliśmy się elementem większego planu. Czempion Rhin... Posłuchaj, nie zawaham się stanąć do walki z żadnym człowiekiem, ale starcia z nim wolałbym uniknąć. Widziałem, jak po prostu niszczy swoich przeciwników. – Herszt umilkł na moment, by Cam dobrze zrozumiał to, co właśnie usłyszał, a potem podjął wątek: – Z tego, co wiem, tym kobietom nie grozi żadne niebezpieczeństwo, chyba że któraś postanowi uciec bądź zacznie wrzeszczeć jak obłąkana. Ale nie o to mi chodzi, Cam. Nie to ci chciałem przekazać. Otóż wbij sobie do głowy, że na tym etapie planu nie masz możliwości wydawania nikomu żadnych poleceń. Jeszcze nie. Jeśli postanowisz samemu stanąć na czele bandy, proszę bardzo. Wtedy rób, co chcesz, ale póki co to Morcant decyduje o tym, co tu się dzieje, a w drugiej kolejności ja. Ani przez chwilę o tym nie zapominaj.

Camlin zmarszczył brwi w ciemnościach. Nie padło już ani jedno słowo i zaraz potem banita odwrócił się i wrócił do obozu. Po drodze odpiął swój czerwony płaszcz i pozwolił, by ten opadł na ziemię.

* * *

Camlin przebudził się o świcie, gdy przez korony drzew przenikało już szare światło. Znad strumienia napływały grube kłęby mgły, przykrywając co rusz ciała śpiących ludzi. Banita zerknął nad ogniskiem na drzewo, do którego przywiązano ich więźniów. Dziewczyna, z którą spotkał się przy studni, wpatrywała się w niego. Wstał więc i podszedł bliżej.

– Wiem, kim jesteś – szepnęła. Nie odpowiedział, a zamiast tego wręczył jej bukłak z wodą. – Moje ręce – rzekła dziewczyna, unosząc brew.

Oczywiście, jak mógł o tym zapomnieć? Przecież więźniom mocno skrupowano ręce, a potem przywiązano je do siebie i do drzewa. Przytknął jej wylot bukłaka do ust, ale dziewczyna zacisnęła mocno wargi i spojrzała na niego wrogo. Na jej brudnych, zakrwawionych policzkach widać było ślady po łzach.

– Pij, dziewczę. Nikogo jakoś nie porusza twoje nieszczęście.

Przez krótką chwilę spoglądała na niego z nienawiścią, ale w końcu rozchyliła usta i wypila chciwie kilka łyków.

– Znam cię – powtórzyła, zaspokoiwszy pragnienie. – Nie należysz do ludzi Owaina ani Uthana.

– Zachowaj te spostrzeżenia dla siebie – rzekł Camlin i przesunął się do drugiej dziewczyny, która również się przebudziła. Ją także napoił, a potem podał wodę najstarszej. Była to Alona, królowa Ardanu.

– Dziękuję – powiedziała, napiwszy się.

Camlin burknął coś w odpowiedzi, ale nadal kucał przy niej.

– Musisz wiedzieć, że nie ujdzie wam to na sucho – szepnęła. – Mój mąż wpadnie w szal, jestem tego pewna. Ale będzie wdzięczny wobec każdego, kto mi pomoże. Nam! – poprawiła się, zerkając na dziewczęta. – Okaże wielką wdzięczność!

– Nie mogę zrobić dla was nic poza podaniem wam wody – odparł Camlin.

– Dziękuję ci za twą uprzejmość. – Królowa uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Hej, ty! – rozległ się jakiś głos za jego plecami. – Zostaw je w spokoju.

Camlin podniósł się i ujrzał podchodzącego Morcanta. Towarzyszyło mu dwóch ludzi z włóczniami oraz Braith.

– Co ty tu robisz? – parsknął wojownik.

– Poję je. – Camlin pokazał mu bukłak.

– Po co? – Morcant zmarszczył brwi.

– Bo wydawało mi się, że mogą być spragnione. – Camlin wzruszył ramionami. – Czeka nas dziś długi marsz.

Reszta ich bandy również się już obudziła. Camlin dostrzegł podchodzącego Cromhana, który przysłuchiwał się rozmowie. Gochel poszedł zmienić wartownika.

– Dobra, zrobiłeś, co do ciebie należało, a teraz stąd zmiataj.

Camlin spojrzał na Morcanta i poczuł ukłucie gniewu.

– O ile się nie mylę – odezwał się, pocierając podbródek – moim hersztem jest Braith i jeśli już, będę przyjmował rozkazy od niego.

Po wszystkim, czego dowiedział się w nocy od swojego wodza, nadal dokuczała mu świadomość, że został zdradzony. Ten nadęty młokos, który kroczył po obozie i zachowywał się jak wielki pan, stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

Dłoń Morcanta drgnęła i znalazła się niebezpiecznie blisko rękojeści miecza.

– Zbieraj się stąd, Cam – rzekł Braith i podszedł bliżej.

Przez moment patrzyli na siebie, aż Camlin pokiwał głową i odszedł.

Morcant ukucnął przed kobietami i przyjrzał się każdej z osobna.

– Czeka nas długa wędrówka – powiedział. – Jeśli nie będziecie sprawiać kłopotów, nie macie powodu do obaw, ale jeden głupi pomysł...

A więc zaczyna grozić kobietom i dzieciom, pomyślał Camlin i stanął obok Braitha z założonymi ramionami. Wiedział, że postępuje głupio. Jeśli sam Braith bał się Morcanta, każdy inny człowiek również powinien się go obawiać, ale banita po prostu nie

ufał przybyszowi,

Niespodziewanie przed oczami stanęło mu wspomnienie mamy oraz Cola, leżących bez życia na ich starej farmie. Przystąpił z nogi na nogę, próbując odepchnąć tę myśl, i zmarszczył brwi. Gochel powinien już być z powrotem.

– Rhin nigdy nie ujdzie to na sucho – oznajmiła Alona.

– Cóż. – Morcant uśmiechnął się krzywo. – Już uszło. A teraz proszę zachowywać się grzecznie, Wasza Wysokość, i podarować sobie te nadęte gadki godne koronowanych głów. Pamiętaj, że jesteś w mojej niewoli i że masz dotrzeć cała i zdrowa do Cambrenu. Ty oraz twoja smarkula. – Uśmiechnął się przy tych słowach do Edany.

– Taki odważny z ciebie mężczyzna? – odezwała się Cywen. – Drażnisz się ze skępowanymi kobietami. To ci odwaga.

Morcant przeniósł spojrzenie na dziewczynę.

– A ty kim właściwie jesteś?

– Rozwiąż mnie, a zobaczymy, na jak długo wystarczy ci odwagi!
– parsknęła Cywen z furją.

Kilku banitów zachichotało.

– Głucha jesteś? Pytam, jak się nazywasz? Z jakiego jesteś rodu?

– Mój ojciec jest kowalem w Dun Carreg i zabije cię, gdy cię już znajdzie.

– Cóż. – Morcant uśmiechnął się. – I tu właśnie pojawia się problem. Nie sądzę, by kiedykolwiek był w stanie mnie odnaleźć, a ty na nic mi się nie przydasz. Jesteś tylko ciężarem, kolejną gębą do wyżywienia, kolejną osobą do pilnowania. A jakby tego było mało, zaczynasz mnie denerwować. – Spojrzał na jednego z towarzyszących mu wojowników i polecił: – Zabij ją.

Mężczyzna błyskawicznie podniósł włócznię, ale na to Camlin nie mógł już biernie patrzeć. Zerwał się, wyciągnął miecz i rozłupał drzewce na pół. Potem zasłonił dziewczynę.

– Zostaw ją – usłyszał własny głos.

Morcant uśmiechnął się i dobył broni.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

CORBAN

Gałęzie smagały Corbana po twarzy, pozostawiając czerwone, piekące ślady. Zaklął pod nosem i otarł pot z czoła. Nadal przedzierał się nieustępliwie przez las. U jego boku szedł Marrock, a wyprzedzała ich Burza, która dreptała kilkanaście kroków przed nimi z nosem przy ziemi.

Chłopak nie wiedział, jak długo trwał ich pościg, gdyż korony drzew przesłoniły słońce, ale bolały go wszystkie mięśnie nóg, plecy spływały potem, a gardło powlekła suchość. Modlił się do Elyona, by jak najszybciej odnaleźli królową i jej towarzyszkę, ale mimo to towarzyszył mu lęk. Bo co się wówczas wydarzy? Czy dojdzie do walki?

Oni porwali Cywen, pomyślał, zaciskając zęby. Nie pozwolę, by strach mną zawładnął.

Marrock spojrzał na niego i uśmiechnął się, dodając otuchy.

– Dobrze sobie radzisz, chłopcze – rzekł.

– Hm – mruknął Corban.

– Jak to się stało, że twoja wilkunica tu dotarła?

– Podążała za nami od Dun Carreg – wysapał chłopak i otarł twarz. – Dowiedziałem się tego i... i nie mogłem jej zostawić samej w Ciemnym Borze... – Urwał, nie potrafiąc ująć swych emocji w słowa.

Marrock pokiwał głową.

– Przeczuwałem to. Wszak stanowisz jej watahę. Nic dziwnego, że cię szukała.

– Ja tylko chciałem ją nakarmić – rzekł Corban.

– Przeżyła wystarczająco długo bez twojego karmienia – rzekł Marrock. – Kiedy ją zostawiłeś w Baglunie? Trzy księżyce temu?

– Tak.

– A więc nauczyła się już polować i to skutecznie. W przeciwnym razie zdechłaby z głodu. Poza tym – dodał, zerkając na Corbana – od czasu do czasu mogła liczyć na pomoc.

– Co takiego? Jaką pomoc?

– Widziałem, jak twoi przyjaciele karmią ją mięsem.

– Co? Kto taki?

– Farrell, między innymi. I ten drugi chłopak ze wsi, taki drobny...

Dath! – pomyślał Corban.

– Rety, nie miałem pojęcia – wymamrotał.

– Masz dobrych przyjaciół wokół siebie – rzekł Marrock. – Lojalnych.

Chłopak spojrział przez ramię na Gara, który zamykał kolumnę.

– Tak, dobrze o tym wiem.

– By dowiedzieć się czegoś o człowieku, czasami wystarczy spojrzeć na przyjaciół, jakimi się otacza, i na jego wrogów – dodał Marrock.

Burza niespodziewanie zwolniła i przywarła do ziemi. Jej ogon tłuł nerwowo o boki, skierowane do tyłu uszy przylegały do łba. Marrock uniósł rękę i kolumna ardańskich wojowników zatrzymała się.

– Trzymaj się z tyłu, chłopcze – szepnął. – Jeśli dojdzie do walki, nie oddalaj się od Gara.

Corban pokiwał głową, ale mimo to zrobił jeszcze kilka kroków, by zrównać się z Burzą. Położył jej dłoń na karku i natychmiast wyczuł głuchy warkot, narastający w jej gardzieli.

Wojownicy ruszyli za Marrockiem. Mijali go jeden po drugim,

spięci i skupieni, aż stanął przy nim Gar i uścisnął jego ramię, by dodać mu otuchy.

Marrock znalazł się już kilkanaście kroków przed nimi. Skradał się ostrożnie, zaciskając dłoń na rękojeści miecza i rozglądając się uważnie dookoła. Nagle zamarł na moment, a potem rzucił się do biegu. Pozostali popędzili za nim, Corban i Gar również.

Dotarli na skraj niewielkiej polanki. Na zdeptanej trawie leżały cztery ciała, dwa w czerwonych płaszczach, dwa w szarych. Marrock uklęknął przy jednym z nich. Corban podszedł bliżej i niespodziewanie kolana się pod nim ugięły. Patrzył na trupa Ronana, zgłodzonego straszliwym cięciem w szyję.

Pozostali wojownicy zaczęli się rozglądać. Conall pochylił się i podniósł coś, a potem pokazał znalezisko Marrockowi.

– To nóż Cywen! – odezwał się Corban.

– Jesteś pewien, chłopcze? – spytał Halion.

– Tak, nie mam wątpliwości. To jeden z jej noży do rzucania.

– Przeszukajcie dokładnie okolicę! – rozkazał Marrock.

Wojownicy rozeszli się błyskawicznie, a Corban uklęknął przy ciele Ronana. Przypomniał sobie jego śmiech, gdy żartował wraz z nimi i drażnił się z Cywen. Przypomniał sobie, jak ani na moment nie spuszczał wzroku z Edany. Świat zadrżał, gdy w oczach chłopaka pojawiły się łzy.

Wtedy zauważył miecz Ronana. Podniósł go, włożył rękojeść do dłoni młodego wojownika i z niemałym trudem zacisnął na niej sztywniejące palce. Gar znów oparł dłoń na jego ramieniu.

Po chwili chłopak otarł oczy i wstał.

– Wciąż żyją – oznajmił Marrock, gdy wojownicy na powrót zgromadzili się wokół niego. – Tego jestem pewien. Co więcej, wpadły do niewoli właśnie tu. Dalej trop ostro skręca na wschód. Nie ma chwili do stracenia.

Spojrzał na Corbana, który szepnął coś do Burzy, a wilkunica ruszyła naprzód z nosem przy ziemi. Narzuciła wojownikom ostre tempo, ale ci podążali naprzód z zaciętymi minami. Napięcie rosło.

Wiedzieli, że są blisko.

* * *

Corban miał wrażenie, że upłynęła cała wieczność, ale wciąż nie dogonili porywaczy. Co gorsza, zaczynało się zmierzchać. Marrock ogłosił krótką przerwę i chłopak z ulgą sięgnął po bukłak z wodą.

– Niebawem zapadnie zmrok – oznajmił Marrock. – Ścigani przez nas ludzie rozłożą się obozem na noc. My możemy uczynić to samo albo skorzystać z niezwyklej szansy, jaką daje nam węch wilkunicy i kontynuować pościg. Jestem za tym, by iść dalej, pod warunkiem że zdołamy zachować ciszę. W ten sposób zmniejszymy przewagę porywaczy.

Słuchający go wojownicy pokiwali głowami. Na twarzy Marrocka pojawił się ponury uśmiech, zniekształcony blizną.

– A więc dobrze. Corban, prowadzisz.

Z tymi słowami Ardańczycy ruszyli w gęstniejący mrok. Szli teraz wolniej, ostrożniej, prowadzeni przez przemykającą bezszelestnie Burzę. Corban potknął się, nie po raz pierwszy tego dnia, gdy jego but uwiązał wśród pnących wijących się po ziemi. Marrock w porę złapał go za rękę.

Szli przez dłuższą chwilę w całkowitych ciemnościach, podążając za wilkunicą, która była teraz tylko białym zygzakiem w mroku. Niespodziewanie znieruchomiała, a Corban prawie na nią wpadł. Kolumna wojowników zafalowała, zmuszona do gwałtownego zatrzymania się.

– Co się dzieje? – szepnął Marrock.

Burza stała całkowicie nieruchomo, przyczajona, wpatrzona w mrok. Ostro zakończone uszy celowały do przodu. Z jej pyska dobiegało ciche warczenie, sierść unosiła się na grzbiecie.

– Ktoś stoi przed nami! – szepnął cicho Corban.

Marrock przekradł się wzdłuż szeregu i powrócił z Conallem

i Halionem, po czym wskazał im kierunek. Obaj wojownicy bez słowa zniknęli w ciemnościach. Chłopak ukucnął przy Burzy i wyteżył słuch, próbując wychwycić jakiegokolwiek odgłosy, ale słyszał jedynie bicie własnego serca, szelest gałęzi trącanych wiatrem i cichy, powolny oddech przyczajonego obok niego Marrocka. Czas rozciągnął się w nieskończoność, aż nagle Corban usłyszał ledwie słyszalny łoskot, tak cichy, że nie miał pewności, czy mu się nie przesłyszało. Znow wyteżył słuch, ale noc nie zdradzała żadnych sekretów.

W końcu wyłonił się jakiś cień ciemniejszy od samej nocy. Był to Conall, który podkraść się do nich bezszelestnie.

– Przydaje się ta wilkunica jak diabli – szepnął do Marrocka.

– Natknęliście się na kogoś?

– Tak. Na wartownika w czerwonym płaszczu. Wykroiliśmy mu na szyi uśmiech pod kolor płaszczyka. Halion ukrywa ciało.

Marrock przywołał resztę ludzi i szepnął:

– Obóz porywaczy nie może być daleko stąd. Zabiliśmy ich wartownika.

Z mroku wyłonił się Halion i skinął Marrockowi.

– Zaczekamy tu do świtu. Nie zostało już wiele czasu, a ja nie mam ochoty atakować w ciemności i potykać się przy tym o własne nogi.

Każdy z wojowników zajął pozycję i rozpoczęło się oczekiwanie. Corban oparł się o Burzę, która wcisnęła pysk w jego dłoń.

– Dobra dziewczynka – szepnął i pociągnął ją za ucho.

Gar usiadł obok niego.

– Gdy rozpocznie się walka, nie oddalaj się ode mnie – przykazał mu.

– Ale oni mają Cywen!

– Zgadza się, ale nie będą walczyć kijami. Z nastaniem świtu ci ludzie zaczną się zabijać. Trzymaj się mnie.

Corban nie odpowiedział. Jego myśli powróciły do trupów, które widział w lesie, do ciał Tulla i Ronana. Opanował dreszcz, zamknął

oczy i wtulił się w bok Burzy.

* * *

Zerwał się, gdy Gar delikatnie potrząsnął go za ramię. Burza polizała go po twarzy, poczuł jej długie kły napierające na jego policzek. Po lesie rozlewała się lepka szarość, między gałęziami przenikało blade światło świtu.

– Już czas! – Gar wskazał Marrocka, który zbierał swoich ludzi.

Corban wstał, rozprostowując zeszywniałe ciało, i podszedł do wojowników, czując, jak nachodzi go strach. Ci ludzie zaczęli się zabijać, powtórzył sobie w głowie słowa Gara. Przełknął ślinę i pożałował, że musi brać w tym wszystkim udział, po czym nagle zalał go wstyd.

Przecież oni mają moją siostrę!

Wrócił Conall z zakrwawionym nożem.

– Kolejny wartownik też już im się na wiele nie przyda – powiedział do Marrocka.

– Podzielimy się na dwie grupy. – Marrock zwrócił się do Corbana. – Ja poprowadzę jedną, a na czele drugiej stanie Halion. Myślę, że powinieneś tu zostać i poczekać na nas.

– Co? Przecież tam jest Cywen! – szepnął Corban.

– Nie dotarliśmy tutaj, gdyby nie on – rzekł Halion. – Nie zasłużył sobie na to, by traktować go jak małe dziecko.

– Prawda – zgodził się niechętnie Marrock.

– A ta jego wilkunica może nam jeszcze pomóc – dodał Halion.

Marrock ocenił chłopaka wzrokiem i skinął głową.

– Dobrze, Corban, idziesz ze mną.

Ruszyli bezzwłocznie.

– Czekaaj na mój sygnał – rzucił Marrock na odchodnym do Haliona, po czym obie grupy się rozstały.

Corban trzymał się ostatniego wojownika. Burza biegła tuż przy

nim, a Gar szedł z tyłu. Do szelestu budzącego się lasu wnet dołączył plusk płynącej wody i po chwili Ardańczycy znaleźli się na brzegu szerokiego, ciemnego strumienia. Prowadzeni przez Marrocka, skręcili i przez moment podążali wzdłuż jego brzegu. Powoli, niemalże bezgłośnie przedzierali się przez gęstą, kolczastą turzycę i wysoką trzcinę. Coś plusnęło do wody, przypuszczalnie szczur czy nornica wystraszona ich obecnością, i cały oddział zamarł na moment. Przerażony Corban wstrzymał oddech. Dłonie miał spocone jak nigdy.

Ci ludzie zaczną się zabijać.

Drżąc na całym ciele, powoli nabrał tchu i wyszeptał modlitwę do Elyona.

Potem ruszyli naprzód. Widział już postacie kręcące się wokół niewielkiego ognia, słyszał szcęk broni i stłumione głosy budzących się powoli banitów. Odruchowo sięgnął po miecz, ale Gar złapał go za nadgarstek i pokręcił głową.

Skądś dobiegała głośniejsza rozmowa. Chłopak wyteńczył wzrok i po chwili dostrzegł grupę mężczyzn w czerwonych płaszczach, zgromadzonych wokół wielkiego drzewa za ogniskiem. Między jego korzeniami siedziały Alona i Edana, a obok księżniczki chłopak wypatrzył Cywen. Burza napięła mięśnie i Corban zacisnął dłoń na jej futrze.

Robiło się coraz jaśniej i widać było kolejne szczegóły. Kobiety były skrępowane, a przed nimi stało pół tuzina mężczyzn, z których jeden właśnie z nimi rozmawiał. Nagle rozległ się głośny i wyraźny głos Cywen, w którym pobrzmiwał gniew. Tak, Corban zbyt dobrze znał humory swej siostry, by się pomylić. Serce podskoczyło mu z radości.

Wydarzenia niespodziewanie nabrały tempa. Jeden z wojowników w czerwonym płaszczu wznosił włócznię, by pchnąć Cywen, a drugi ciął mieczem, rozrąbał ostrze na pół i zasłonił kobiety. Czyżby je chronił?

Skąd ja go znam? – przeszło Corbanowi przez myśl.

Wtedy ktoś inny dobył broni i chłopak wreszcie rozpoznał ich obu. Morcant, czempion Rhin, stawał przeciwko banicie Camlinowi, co jednakże nie miało zupełnie sensu!

– Gotuj się! – syknął Marrock.

Naraz rozległ się głośny wrzask i spomiędzy drzew wypadł Conall z mieczem w jednej ręce i sztyletem w drugiej. Wpakował ostrze aż po jelec w pierś najbliższego wojownika w czerwonym płaszczu. Halion wraz z resztą swej grupy wyskoczyli w ślad za nim i wpadli na zaskoczonych banitów.

Marrock zaklął wściekle i ruszył biegiem przez strumień, podrywając pozostałych.

Wtedy cały świat oszalał bez reszty.

Corban poderwał się i zamarł na widok starcia, jedną dłoń zaciskając na rękojeści miecza, a drugą na futrze Burzy. Gar uwolnił miecz z pochwy i stanął krok przed chłopcem.

W obozie banitów szalała walka. Mężczyźni wrzeszczeli, krzyczeli, umierali. Sylwetki zakrwawionych, wymachujących orężem wojowników całkowicie przesłoniły postacie kobiet. Chłopak dostrzegł, że kilku wojów w czerwonych płaszczach padło, zaskoczonych nieoczekiwanym natarciem, ale banici szybko zwierali szeregi i walczyli z zaciekłością ludzi zapędzonych w ślepy zaułek. Próbujący się rozeznać w zamieszaniu Corban odniósł wrażenie, że czerwone płaszcze nadal przeważają liczebnie. Na jego oczach jeden z ludzi Marrocka – nie znał jego imienia – padł z wrogą włócznią w brzuchu. Marrock zdzielił napastnika głowicą miecza w twarz, ale wtedy jego opadło dwóch innych i Corban stracił go z oczu.

Wówczas sam uniósł miecz, który wydał mu się ciężki, wręcz obcy i nieporęczny. Stał przez moment nieruchomo, po czym zrobił krok w kierunku walczących.

– Nie – warknął Gar.

– Ale Cywen... – szepnął chłopak. Pragnął coś zrobić, ale w duchu czuł ulgę, że może tylko stać i patrzeć. Jego odwaga

balansowała na ostrzu noża. Wciąż się wahał, aż nagle los podjął decyzję za niego.

Spostrzegło ich kilku banitów – czterech, może pięciu – po czym bez wahania rzucili się ku nim. Gar zrobił parę kroków, ujął miecz w obie dłonie i wznosił go wysoko. Mężczyźni opadli go sekundę później.

Uniknął pchnięcia włócznią, wycelowaną prosto w jego pierś, i odbił ostrze ku ziemi. Ułamek sekundy później napastnik charknął, gdy czubek miecza Gara rozorał mu gardło. Stajenny zrobił płynny unik, przemknął pod inną klingą i przejechał dwuręcznym mieczem po piersi kolejnego napastnika. Corban niespodziewanie zrozumiał że wszystko to, co Gar pokazywał mu na ćwiczeniach, było jedynie namiastką jego prawdziwych możliwości. Walka w jego wykonaniu była niemalże pięknym spektaklem.

Burza napięła mięśnie i wyrwała się Corbanowi. Skoczyła na trzeciego z wojowników z takim impetem, iż ten nie zdołał nawet zareagować. Pazury drapieżnika rozorały mu pierś, a szczęki zacisnęły się na twarzy. Gar zwarł się zaś z czwartym banitą, tym razem kimś, kto wiedział, na czym polega szermierka, ale umiejętności wystarczyło mu zaledwie na to, by w panice odbijać kolejne uderzenia przeciwnika. Ten zaś napierał bez litości, a każdy odbity cios błyskawicznie przekształcał w kontrę.

Wtedy ktoś przebiegł obok Burzy i Gara. Wojownik z wzniesionym mieczem gnał prosto na Corbana, który zrobił krok w tył i odruchowo zablokował opadające uderzenie, tak silne, że natychmiast zdrętwiało mu ramię. Mimo to błyskawicznie uskoczył w bok i wykonał obrót na pięcie. Wciąż rozpędzony napastnik przemknął obok niego.

Corban wiedział, że powinien ciąć go w przelocie, ale zagapił się. Mężczyzna odwrócił się i znów zaatakował. Chłopak zablokował pierwszy cios, potem drugi i trzeci, cofając się przy każdym z nich. Zderzające się ostrza tryskały iskrami, a serce Corbana zalała

panika. Za jego plecami warknęła Burza. Napastnik zerknął na nią, a chłopak zrozumiał, że drugiej takiej szansy już nie otrzyma. Zrobił wypad i sekundę później poczuł, jak jego ostrze przebija utwardzany pancerz ze skóry i wgryza się w ciało mężczyzny. Wyszarpnął miecz, krew trysnęła na jego dłoń i ramię.

Napastnik padł na kolana, zaciskając obie dłonie na ranie. Skądś dobiegał wrzask i dopiero po chwili Corban zrozumiał, że to on sam krzyczy. Burza przypadła do niego i warczała na martwego banitę. Jej kły ociekały krwią.

– Nic ci nie jest? – Czyjś głos przebił się przez zasłonę ciszy, ale Corban nie mógł oderwać wzroku od zwłok przed sobą.

On się nie rusza, pomyślał.

– Ban, nic ci nie jest? – Głos był potężniejszy, bardziej natarczywy. Czyjaś dłoń pochwyliła go za ramię, obróciła. Spoglądał na Gara, w którego spojrzeniu skrzyło coś dzikiego.

– N-n-nie – wyjąkał Corban i pokręcił głową.

– To dobrze – burknął stajenny.

Chłopak rozejrzał się i uświadomił sobie, że reszta napastników poległa – jeden z gardłem rozszarpanym przez Burzę, a trzech innych przebitych mieczem Gara. Za nimi dalej trwała walka, choć wielu z walczących już padło. Chłopak dostrzegł sylwetki kobiet, nadal przywiązanych do drzewa. Wokół nich toczyły się najbardziej zaciekle potyczki.

– Cywen! – rzucił Corban i nim Gar zdołał zareagować, pognął ku brankom. Biegł między drzewami, wymijając najcięższe walki.

Związanych kobiet bronili Halion i Conall, u stóp których leżało już kilka trupów. Dołączył do nich banita Camlin, który najpierw odepchnął ostrzem miecza czyjaś włócznię, a potem wznosił oręż i rozciął sznury, którymi przywiązano królową i jej towarzyszki do pnia. Kobiety przez chwilę siedziały nieruchomo, wstrząśnięte rozwojem wypadków, po czym zerwały się na równe nogi.

Halion zwarł się w zaciętej walce z wysokim wojownikiem o szerokich barach. Corban z zaskoczeniem skonstatował, że jest

nim Braith.

Człowiek puszczycy cofnął się, by znaleźć się poza zasięgiem miecza Haliona. Rozejrzał się po obozie, zerknął na swe krwawiące ramię i krzyknął coś, ale jego słowa pochłoneła wrzawa bitewna.

Corban wraz z Garem i Burzą przekradli się do Cywen i Edany. Chłopak złapał za nóż i zaczął ciąć ich więzy. Dziewczęta przyglądały się rzezi szeroko otwartymi oczami. Kilka sekund później uwolniona Cywen rzuciła mu się na szyję.

Rozległy się krzyki. Corban odwrócił głowę i ujrzał garstkę banitów, którzy uciekali z pola walki. Wśród nich byli Braith i Morcant. Marrock, Halion i Conall otoczyli uwolnione kobiety. Marrock objął Alonę i uśmiechnął się do niej, a ta przytuliła się do niego i ucałowała go.

Z dwunastu wojowników, którzy zostali wybrani, przeżyło jedynie czterech. Halion skinął na Conalla i obaj ruszyli na skraj obozowiska, uważnie przyglądając się drzewom, a Corban nagle uświadomił sobie, że nieopodal stoi zdeorientowany Camlin.

Marrock uniósł miecz.

– Nie! – zawołała Alona. – Ten człowiek nas ocalił! Oni chcieli zabić Cywen, ale on stanął w jej obronie! Ochroniał nas wszystkie!

Marrock zmarszczył brwi, nie opuszczając oręża.

– Dlaczego?

– Sam też zadaję sobie to pytanie – odparł Camlin. – Po prostu stało się i już.

– Jestem jego dłużniczką – powiedziała stanowczo Alona.

– To co z nim poczniemy? – spytał Marrock.

– Wracają! – krzyknął Halion.

Rozległ się świst. Alona zachwiała się i padła na drzewo ze strzałą sterczącą z pleców. Edana wrzasnęła.

– W nogi! – krzyknął Marrock.

Złapał Alonę, zarzucił ją sobie na ramię i pobiegł w las. Edana i Cywen podążyły za nim, potykając się. Camlin zawahał się, ale skoczył za Conallem, który pędził już ku bratu.

Corban przez chwilę nie wiedział, co począć. Patrzył ku drzewom, gdzie przez moment widział Haliona, ale odwrócił się i ruszył za dziewczętami w głąb lasu. Gar i Burza nie odstępowali go ani na krok.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

CORBAN

Między drzewami zamajaczyły biegnące postacie. Corban przyśpieszył kroku i wkrótce biegł już przy Cywen. Przez dłuższą chwilę milczeli, odgłosy walki dawno ucichły.

Marrock narzucił ostre tempo, dźwigając Alonę i nie pozwalając, by ktokolwiek inny przejął ciężar. Szedł długo, aż wreszcie potknął się i niemalże upuścił królową. Niewielka grupka zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu. Corban padł na ziemię obok Cywen. Złapał siostrę za rękę, a ta spojrzała na niego. Miała brudną twarz i zaczerwienione, podkrążone oczy.

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek cię ujrzę – powiedziała, uśmiechając się słabo.

– Burza was odnalazła – odparł Corban, a wilkunica trąciła dziewczynę pyskiem.

– Co ona tu robi? – spytała Cywen. Pociągnęła zwierzę za ucho.

– Szła za nami aż od Baglunu. Nic ci się nie stało?

– Mnie? Nie, ale... – Oczy dziewczyny znów wezbrały łzami, które potoczyły się po jej policzkach. – Ronan – szepnęła.

– Wiem. Znaleźliśmy go – rzekł Corban, ale głos uwiązał mu w gardle. Nie miał pojęcia, co mógłby powiedzieć siostrze.

– Ruszamy dalej – rzucił Marrock, który trzymał głowę Alony na kolanach.

Miała bladą twarz i już dawno straciła przytomność. Edana,

niemalże równie blada jak matka, siedziała tuż obok i gładziła ją po głowie, odgarniając klejące się do czoła włosy.

– Nie dasz rady zanieść jej do Ardanu! – sprzeciwił się Gar.

– A właśnie, że dam!

– Nie. Będziesz nas spowalniać. Jeśli jesteśmy śledzeni, nie zdołamy nikomu umknąć.

Marrock zmierzył stajennego wściekłym spojrzeniem, ale nie odezwał się ani słowem.

– Zróbmy nosze z płaszczy – rzekł Gar. – Dwóch z nas poniesie ją łatwiej niż ty sam, a Alonie będzie wygodniej.

Marrock milczał przez moment, po czym skinął głową. Pośpiesznie sporządzili prowizoryczne nosze, a Marrock ułamał strzałę, sterczącą z pleców królowej i ułożył ją jak najwygodniej. Bezwłocznie wyruszyli w dalszą drogę – na czele szedł Corban z Burzą, a Marrock i Gar nieśli nieprzytomną Alonę. Brnęli naprzód przez dłuższą chwilę, aż zamykający grupę Gar zawołał:

– Ktoś nadchodzi! Za nami!

Przyśpieszyli, a Corban poczuł, jak znów zalewa go strach.

– Doganiają nas! – sapnął Gar.

Marrock zaklął wściekle.

– Dalsza ucieczka nie ma sensu – oznajmił.

Odwrócili się i stanęli w szeregu, zasłaniając królową i obie dziewczyny. Corban wyciągnął miecz i przełknął ślinę.

Kroki stawały się coraz głośniejsze. Między drzewami zamigotały zbliżające się postacie, aż niespodziewanie spomiędzy pni wypadł Conall, zdyszany, ale uśmiechnięty, po nim przybiegł Camlin, a na końcu Halion. Nie było z nimi dwóch ostatnich ocalałych wojowników ardańskich.

– Jak na... bandę... kobiet, dzieci i... i kalek... potraficie narzucić... niezłe tempo – oznajmił Conall, opierając dłonie na kolanach.

Corban uśmiechnął się wbrew sobie.

– Ktoś was goni? – warknął Marrock.

– Chyba nie. – Halion pokręcił głową. – Porządnie oberwali. Dwóch naszych padło, ale z tamtych mało który dał radę uciec. Nie sądzę, by kiedykolwiek wrócili.

– Świetnie – rzekł Marrock i poklepał Haliona po ramieniu.

Odoczywali jeszcze przez chwilę, podając sobie bukłaki i posilając się suszonym mięsem. Corban czuł, jak strach opuszcza go, a w jego miejscu pojawia się wyczerpanie.

– Rhin zapłaci za to! – odezwała się Edana, która siedziała przy matce i trzymała jej rękę.

Oddech królowej zrobił się chrapliwy, a w kąciku jej ust pojawiła się krew.

– Rhin? – spytał Corban. – Co chcesz przez to powiedzieć? Przecież to Owain za tym stoi! – Urwał, patrząc na Alonę. – Ale widziałem tam Morcanta, czempiona Rhin.

– Otóż to – rzekła Edana. – To Rhin za tym stoi. Czerwone płaszcze miały zrzucić winę na Owaina. Nie wiem, co nią kieruje, ale to wszystko jest sprawką Rhin.

– Dziewczyna mówi prawdę – rzekł Camlin, który jak dotąd siedział w milczeniu na uboczu i powoli popijał wodę z bukłaka.

– Dlaczego? – spytał Marrock.

– Chce zawładnąć ziemiami Narvonu i Ardanu – odparł banita. – Sądzi, że jeśli Brenin i Owain najpierw rzucą się sobie do gardeł, łatwiej jej będzie zagarnąć ich terytoria.

– A więc dlatego przyłączyłeś się do nas? – Marrock spoglądał z podejrzliwością na banitę.

Camlin wzruszył ramionami.

– Nie tak bym to ujął. – Podrapał się po podbródku. – Ja też, podobnie jak wy, dopiero co się dowiedziałem, że to Rhin pociąga tu za sznurki. Nie spodobało mi się to. – Urwał na moment. – A poza tym ten Morcant, czempion Rhin... Nie, nie miałem ochoty przyjmować od niego rozkazów.

Conall zachichotał.

– To dlatego przeszedłeś na naszą stronę? – naciskał Marrock,

nadal marszcząc czoło.

– Nie stoję po niczyjej stronie – rzekł banita. – Z wyjątkiem mojej własnej. Ale tak, to on był powodem, dla którego postąpiłem tak, jak widzieliście. A także ona. – Wskazał Cywen. – Morcant chciał ją zabić – wyjaśnił, wytrzymując spojrzenie Marrocka. – Ja zaś nie będę przyzwalał na to, by ktoś mordował kobiety i dzieci. A ty, dziewczyno – zwrócił się do Cywen – masz naprawdę niewyparzoną gębę. W przyszłości lepiej się zastanów, zanim się odezwiesz.

– Mam wrażenie, że gdzieś już to słyszałem – mruknął Corban do Gara.

Alona jęknęła.

– Musimy zawieźć ją do Ardanu, i to najszybciej, jak się da – rzekł Halion.

– A czemu nie do Uthandun? – spytał Conall. – To nie tak daleko, a poza tym wiemy już, że to nie Owain nas zdradził.

– Nie wiemy, co się wydarzyło po tym, jak wrócił tam Pendathran – rzekł Marrock. – Mój wuj do dyplomatów nie należy. Owain być może ma już powód, by żywić do nas urazę.

– Uthandun to kiepski pomysł – mruknął Camlin.

– Dlaczego? – warknął Marrock.

– Nie wiem dokładnie, ale Braith mówił coś, co mnie zaniepokoiło. Wydaje mi się, że Rhin ma jeszcze kilka asów w rękawie.

– A więc musimy kierować się do Ardanu – rzekł Gar.

– To niezły kawał drogi – powiedział ponuro Camlin. – Ale zaprowadzę was tam, jeśli mi zaufacie.

– Ile to potrwa? – spytał Marrock.

– To zależy. Gdybyśmy skorzystali z traktu olbrzymów, nie potrwałoby to aż tak długo, ale Owain czy Rhin mogą tam rozstawić swoich ludzi. Od Badun w linii prostej dzieli nas jakieś pięć, sześć nocy.

– To za długo! – rzekł Marrock.

– Traktem zabrałoby to trzy dni, ale to ryzyko, pamiętaj.

Naraz Burza uniosła łeb i zaskomlała. Corban dostrzegł jakiś ruch między drzewami, a potem zatrzepotały skrzydła i wszyscy ujrzeli starego, wynędzniałego kruka, który wylądował tuż obok nogi chłopca.

– Craf? – szepnął chłopak.

– Cor-ban! – zakrakał ptak. – Cor-ban!

– Na zęby Asrotha! – syknął poblady Camlin. – Czy ten wyliniały ptaszor właśnie coś powiedział?

– Tak! – Corban uśmiechnął się szeroko. – To Craf, kruk Briny.

– Brina, Brina, Brina! – wybełkotał kruk i zaczął przeskakiwać z nogi na nogę.

– Zapewne wysłała go, by nas znalazł!

– Za mną! Za mną! – wyrzucił z siebie ptak. Zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze, po czym wylądował na gałęzi kilkanaście kroków dalej. – Za mną! – wrzasnął.

– Ma tyle cierpliwości co sama Brina – rzekł Corban.

Niewielka grupka zorganizowała się i wkrótce ruszyła w ślad za ptakiem.

I tak upłynął cały dzień. Ardańcy podążali za krukiem, który łopotał skrzydłami przed czołem ich grupy, a potem przysiadł na gałęzi, by pozwolić im nadgonić. Corban stracił poczucie czasu i przestrzeni, ale gdy słońce zaczęło się chylić ku horyzontowi, Camlin oświadczył, że pokonali niezły kawałek drogi i zbliżali się już do traktu olbrzymów.

– A stare ptaszysko chyba się nami znudziło – rzekł Marrock, śledząc wzrokiem kruka, który znikł w mroku.

Szli więc dalej, tym razem pod wodzą Camlina, który doprowadził ich do drogi. Na niebie migotały już wieczorne gwiazdy, ale grupa ani myślała zwolnić. Szli przez ciemność, zwiększwszy tempo, aż z oddali dobiegł tętent kopyt. Zeskoczyli z traktu, ale Edana rzuciła się biegiem naprzód. Nie pomyliła się – na czele nadciągających jeźdźców zmierzał bowiem Brenin, a obok

niego górował potężny Pendathran.

Corban oraz pozostali wyszli z za drzew, a Marrock i Halion wynieśli Alonę. Kilkunastu konnych wojowników przejechało kawałek dalej i utworzyło szereg na drodze, inni zeskakiwali z wierzchowców i podbiegali bliżej, krzycząc z niepokojem.

Corban niespodziewanie uzmysłowił sobie, jak bardzo jest zmęczony. Zakręciło mu się w głowie, gdy nagle wyrósł przed nim Thannon. Ogromny kowal przygarnął oboje dzieci i wyściskał je serdecznie. Gdy zapłakany chłopak uniósł głowę, ujrzał na twarzy ojca strumyki łez. Mężczyzna tulił ich oboje i ściskał, niemalże łamiąc im kości, całował po głowach i mierzwił im włosy, a gdy wreszcie ich puścił, dostrzegł Gara. Doskoczył do niego i objął jak wojownik wojownika, poklepując go potężnie po plecach.

Corban rozejrzał się wówczas i dostrzegł Brinę, która kuciała przy Alonie. Craf siedział na łuku jej siodła. Część wojowników kleciła mocniejsze nosze, które mościli między końmi, inni już wskakiwali w siodła. Grupa ratunkowa miała ze sobą zapasowe wierzchowce, dzięki czemu wszyscy niebawem ruszyli do domu.

Brina zwolniła nieco i zrównała się z Corbanem i Cywen. Uśmiechnęła się na widok Burzy, która biegła obok Tarczy.

– Co z Aloną? – spytał Corban.

Uśmiech znikł z twarzy uzdrowicielki.

– Nie wygląda to dobrze – odparła i wzruszyła ramionami. – Choć nie wiem. Gdybym była w mej chacie, miałabym pewnie więcej nadziei. Zobaczymy. Cieszę się natomiast, że tobie nic się nie stało. Zaczynasz rozwijać w sobie zauważalny talent do trafiania w niewłaściwe miejsca o niewłaściwej porze.

Corban skrzywił się, ale opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło.

– Rhin, co? – zamyśliła się Brina, gdy skończył. – Cóż, wydaje mi się, że ktoś rzucił nie jedną kością, a wieloma.

– Co masz na myśli?

– Coś się działo w Uthandun, gdy wyjeżdżaliśmy. Opuściliśmy

miasto w pośpiechu, a więc nie było jak tego sprawdzić, ale długo dęto w rogi, a potem posłano za nami pościg. Pendathran oczywiście skoczył im naprzeciw i rozbił ich w pył, ale przypuszczam, że wrócą, gdy król Owain zbierze więcej ludzi.

– Craf nam pomógł – odezwał się nieoczekiwanie Corban.

Brina uśmiechnęła się i podrapała ptaka po szyi.

– Zdarza mu się przyjść z pomocą – oznajmiła.

Zapadła cisza. Oddział gnał w mrok.

Upłynęło wiele, wiele czasu, nim w oddali pojawiły się drobne ogniki, które z bliska okazały się pochodniami reszty królewskiego orszaku. Gwenith zalała się łzami na widok Corbana i Cywen, a potem wyściskała ich prawie tak mocno jak wcześniej Thannon.

Wtem noc przeszył straszliwy krzyk. Corban spojrzął za siebie i ujrzał Brinę kucającą przy noszach Alony. Król Brenin tulił swą żonę, a zrozpaczona, szlochająca Edana trzymała matkę za rękę.

Alona umarła.

* * *

Przez całą drogę powrotną do Ardanu towarzyszyły im lęk oraz napięcie. Na szczęście oddziały Owaina już ich nie niepokoiły, a po kilkunastu godzinach ostrej jazdy opuścili granice Ciemnego Boru. Oczom znużonych jeźdźców ukazał się kamienny krąg z czasów olbrzymów, a za nim mury Badun.

Brenin urządził tam naradę. Gethin naciskał na zawarcie pokoju z królem Owainem, gdyż wciąż się łudził, iż zdoła doprowadzić do zrękowin Uthana i Kyli. Brenin i Pendathran, którzy pragnęli rozprawić się z Rhin, zgodzili się, że Owain przyda się bardziej jako sojusznik niż wróg. Król kazał więc spisać list do władcy Narvonu, a w nim szczegółowo przedstawić śmierć królowej Alony oraz rolę, jaką odegrała w tym Rhin. Posłaniec z listem pomknął natychmiast przez Ciemny Bór.

– Rozpocznijcie przygotowania do wojny – przykazał Brenin Gethinowi na odjeźdźnym. – Bez względu na to, czy dogadam się z Owainem czy też nie, ruszam na Rhin. I to wkrótce.

Następnie udali się w drogę powrotną do Dun Carreg.

* * *

Z nastaniem Księżyca Narodzin do Ardanu zawitała wiosna i wszędzie widać było oznaki rodzącego się życia, co tworzyło ostry kontrast z ponurymi nastrojami, jakie panowały w ich orszaku. Corban poczuł znużenie i smutek, gdy ujrzał Dun Carreg, wzniesione wysoko na wzgórzu, oraz Havan u jego stóp. Radosne okrzyki pierwszych napotkanych ludzi prędko przerodziły się w lamenty, gdy rozniosła się wieść o śmierci Alony. Corban dostrzegł w tłumie Datha i skinął mu ponuro.

Zauważył też, że ludzie wiodą wzrokiem za Burzą. Nikt nie powiedział ani słowa, bo mieszkańców Dun Carreg zaprzątneły inne, o wiele ważniejsze sprawy, ale Corban spodziewał się jakiejś reakcji. Przeczuwał, że Rafe i Helfach nie pogodzą się z tym tak łatwo, ale miał nadzieję, że pomoc Burzy w odnalezieniu wziętych w niewolę kobiet zostanie doceniona i będzie mogła wrócić do fortecy. Król Brenin był jednak w fatalnym nastroju i trudno było mieć jakąkolwiek pewność.

Drugi raz jej nie porzucę, pomyślał Corban, gdy z ciężkim sercem przejeżdżał przez bramy Dun Carreg.

* * *

Corban nachylił się pod rozpędzonym mieczem ćwiczebnym Gara, obrócił się na pięcie i sam ciął w odpowiedzi. Stajenny bez trudu odbił uderzenie i kontynuował natarcie. Chłopak sparował pierwszy cios, potem drugi, trzeci, czwarty. Każdy z nich był tak

potężny, że drętwiało mu ramię, ale pokonała go dopiero odrobina słomy w błocie. Poślizgnął się, a uderzenie serca później czubek broni Gara dotknął jego gardła.

Chciał coś powiedzieć. Chciał zapytać, dlaczego mężczyzna wyciska z niego siódme poty, ale zabrakło mu tchu, by wydusić choć słowo. Starł pot z czoła, podszedł do beczki na wodę i wsadził do niej głowę. Wynurzył ją po chwili, rozbryzgując krople naokoło.

Stajenny chował ich miecze w starej skrzyni za stosem uprząży. Od chwili powrotu z Ciemnego Boru nie był tym samym człowiekiem co wcześniej. Nie panował nad sobą tak dobrze jak kiedyś, częściej zdradzał emocje, zupełnie jakby coś się w nim zbudziło.

Corban zamrugał i wrócił myślami do tamtych wydarzeń. Trudno mu było uwierzyć, że zaledwie dwie dziesięcioce temu czaił się w szuwarach na brzegu strumienia. Spojrzał na swoją dłoń i przypomniał sobie, co poczuł, gdy trysnęła na nią gorąca krew przeciwnika. Zadrzał.

– Wszystko gra? – spytał Gar. Podszedł do beczki i nabrał chochlą nieco wody, by zaspokoić pragnienie.

– Tak – rzekł chłopak. – Wspominam tylko. Ciemny Bór.

Gar powoli pokiwał głową.

– Takich rzeczy się nie zapomina. Chwilę, kiedy odbierzesz komuś życie, pamięta się już zawsze.

– Nadal widzę jego twarz – przyznał Corban. – Ba, czasem przypomina mi się nawet jego zapach.

– Wspomnienie z czasem zblednie – rzekł Gar. – Ale nigdy nie zniknie całkiem. Ba, nie powinno. Zabicie drugiego człowieka to nie błahostka. – Westchnął ciężko. – Dobrze sobie poradziłeś, Ban. Byłem z ciebie dumny.

Corban zarumienił się i zamrugał. Nigdy dotąd nie słyszał, by Gar powiedział coś takiego. Stajenny zmierzył go długim, taksującym spojrzeniem.

– Nie jesteś już tym samym dzieciakiem, który stracił swój

drewniany miecz na Wiosennym Festiwalu.

Corban nie był już w stanie dłużej wytrzymać jego wzroku.

– Ale tu czuję to samo co wtedy. – Poklepał się po piersi. – Bardzo się bałem w Ciemnym Borze. Byłem przerażony! Wszystko działo się tak szybko... Nie, wcale nie byłem odważny. Ten człowiek próbował mnie zabić. Co mogłem zrobić?

– Co mogłeś zrobić? Cóż, wiele rzeczy. Wierz mi, że każdy w tym obozie czuł się dokładnie tak jak ty. Ja, dla przykładu, bałem się jak diabli. Zarówno człowiek odważny, jak i tchórz czuje to samo, a jedyna różnica polega na tym, że człowiek odważny tłumi swój lęk i nie ucieka. – Wpatrywał się teraz w Corbana tak intensywnie jak nigdy wcześniej. – Mogłeś uciec, ale tego nie zrobiłeś. Mogłeś ukryć się w szuwarach po drugiej stronie strumienia, ale postąpiłeś inaczej. Rzuciłeś się do walki i zrobiłeś to, co należało. To na tym polega odwaga. Żadnego człowieka nie poprosiłbym o więcej. Nie spodziewałbym się więcej po nikim. – Przez jego usta przemknął cień uśmiechu. – Dobrze sobie poradziłeś, Ban. Wręcz znakomicie. A co najważniejsze, przeżyłeś.

– Z tego to jestem najbardziej zadowolony – oznajmił kwaśno Corban. – Powiedz mi jedno. Wówczas nad strumieniem chciałem dobyć miecza, ale powstrzymałeś mnie. Dlaczego?

– Ach. Zgrzyt ostrza wysuwającego się z pochwy to najbardziej rozpoznawalny odgłos w świecie wojowników. Zdradziłby nas bez wątpienia.

Cóż, miało to sens. Corban pożegnał się ze stajennym i ruszył do domu, by coś zjeść przed porannym treningiem na Jarzębinowej Łące.

– Mam wrażenie, że twoja noga jest w lepszym stanie! – zawołał przez ramię. – Biegłeś tyle mil przez las, by na końcu walczyć z czerwonymi płaszczami.

Gar wpatrywał się w niego przez chwilę.

– Różnie z tą moją nogą bywa – rzekł z kamienną twarzą. Po czym mrugnął do chłopaka.

* * *

Na Jarzębinowej Łące jeszcze nigdy nie było takich tłumów – ćwiczyli tu teraz wojownicy z całego Ardanu. Wieści o tym, co się wydarzyło w Narvonie, rozchodziły się szybko i wnet do Dun Carreg zaczęli nadciągać pierwsi zbrojni, czasem pojedynczo bądź we dwójkę, ale zdarzały się też grupy po trzydziestu, czterdziestu mężczyzn. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że król Brenin zbiera siły na wojnę, choć nikt nie znał szczegółów. Wiedziano tylko tyle, że gdy z Dun Maen przybędzie Dalgar, wiodąc trzecią największą drużynę Ardanu, większość sił zbrojnych królestwa znajdzie się pod rozkazami władcy. Powszechnie sądzono, że wówczas udadzą się do Cambrenu, by pokonać Rhin i pomścić śmierć Alony.

Jak dotąd nie było żadnych wieści z Narvonu, posłaniec Brenina nie powrócił. Krążyły plotki, że Owain został zamordowany przez Rhin, że zginął Uthan, a królowa Cambrenu naruszyła granice Narvonu. Corban potrząsnął głową.

Niech się Brenin tym martwi, pomyślał, kierując się do stojaków z bronią.

Burza człapała u jego boku, przyciągając wiele spojrzeń. Jak dotąd nikt głośno nie skomentował jej powrotu, gdyż władca miał ważniejsze sprawy na głowie, ale chłopak wiedział, że prędzej czy później coś usłyszy. Rafe i Helfach już szeptali po kątach.

Wybrał dla siebie wysłużony miecz oraz tarczę i rozejrzał się w poszukiwaniu Haliona. Uniósł drewniany oręż.

Jeszcze trochę, pomyślał.

Dzień jego imienia wypadał za dziesięcionoc i na samą myśl o tym serce zaczynało mu żywiej bić. Jego sprawdzian wojownika. Jego Długa Noc.

Thannon zapędził go do kuźni do pracy nad mieczem. Najpierw ustalili szczegóły, takie jak długość, ciężar i kształt rękojeści,

a potem rozpoczęła się trudniejsza część zadania: wytapianie, kucie i studzenie. Teraz miecz był już niemalże gotów, ale ojciec wygonił Corbana z kuźni i nie wpuszczał go tam przez ostatnie dwa dni. Tłumaczył, że wykończeniem broni chce się zająć sam.

W międzyczasie przydzielił synowi inne zadanie. Sam również zapragnął nowej broni i kazał chłopakowi rozpocząć pracę nad mniejszą wersją ogromnego młota wojennego, który wisiał u nich w kuchni. Zadanie wkrótce miało zostać zakończone.

– Tu jestem, chłopcze! – zawołał Halion i podniósł rękę, by Corban mógł go wypatrzeć wśród tłumów.

Przeszli przez Łąkę, szukając przestrzeni, gdzie mogliby poćwiczyć. Kątem oka Corban ujrzał Datha, który ćwiczył strzelanie z łuku pod baczynym okiem Tarbena. Marrock i Camlin stali nieopodal i przyglądali się z uwagą. Banita postanowił zostać w Dun Carreg i powoli nawiązywał nic porozumienia z Marrockiem.

Burza ułożyła się na ziemi. Jej ogon drgał lekko, a miedziane ślepie lśniły, gdy śledziła Haliona, wznoszącego miecz ćwiczebny przeciwko Corbanowi.

– No, zaczynamy – rzekł wojownik i zerknął na wilkunicę. – Cieszę się, że Burza odróżnia już prawdziwą walkę od ćwiczeń – dodał, po czym rozpoczął trening.

Przećwiczył z Corbanem wszystkie układy i pozycje, a fechtował się z siłą i energią, jakiej na próżno byłoby szukać u niego przed wyprawą do Ciemnego Boru.

Parę godzin przed południem odłożyli miecze i chwycili za włócznie. Halion burknął z aprobatą na widok mocnych pchnięć i udanych bloków chłopaka.

– To już wkrótce – rzekł Corban, gdy zrobili sobie przerwę.

– Co takiego?

– Mój sprawdzian wojownika. I Długa Noc.

– Prawda. – Halion skinął głową. – Czujesz się gotowy?

– Nie wiem – odparł chłopak. – Chyba tak. Mam nadzieję, że

jestem gotów. – Skrzywił się lekko i spytał: – A co ty sądzisz?

– Uważam, że jesteś gotów. Z tego właśnie względu poprosiłem, by twa Długa Noc odbyła się wcześniej.

– Co? – Corban był wstrząśnięty. – Dlaczego?

Halion rozejrzał się po Łące, na której ćwiczyły niezliczone tłumy wojowników.

– Bo niebawem wyruszymy na wyprawę. Corbanie, widziałem cię w Ciemnym Borze. Warto cię mieć przy sobie. – Podrapał się po krótkiej brodzie i dodał: – I chyba byłbyś rozgoryczony, gdybyś nie wziął w tej wyprawie udziału. Nie wiem, kiedy wyruszymy, ale czuję, że nastąpi to niebawem. Być może przed dniem twego imienia. – Spojrzał na Corbana badawczo. – Decyzja należy do ciebie, ale Brenin przystał na mą prośbę. Jeśli zechcesz, możesz przystąpić do sprawdzianu wojownika i Długiej Nocy wcześniej.

– Kiedy?

– Jutro.

– Co?

Halion wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Będziesz miał mniej czasu na denerwowanie się – rzekł, a potem spoważniał. – Wyprawa wojenna to nie zabawa, ale szkoleń cię nie od dziś i widzę, jak dorastasz, a to, co ujrzałem w Ciemnym Borze, przekonało mnie ostatecznie. Moim zdaniem przeszedłeś swój sprawdzian wojownika tam, nad strumieniem. Stawiłeś czoła dorosłemu, doświadczonemu szermierzowi i pokonałeś go. – Znów się uśmiechnął. – Rozmawiałem z Garem, a on opowiedział mi o wszystkim. Mało kto jest tak gotów do Długiej Nocy jak ty, Corbanie. Co więcej, w pełni sobie na to zasłużyłeś. Czy kilka dni naprawdę robi ci różnicę? – zakończył, wzruszając ramionami.

Corban rozejrzał się po Łące, wszędzie widząc wojowników. Od tak dawna marzył, by stać się jednym z nich, a ów moment wreszcie nadszedł.

– No i co? – spytał mężczyzna. – Jaka decyzja?

– Zgadzam się – rzekł Corban stanowczo. – Jestem ci wdzięczny,

Halionie. To dla mnie wielki zaszczyt.

– Świetnie – oznajmił wojownik z zadowoleniem. – Dołożmy więc starań, byś naprawdę był gotowy.

Niespodziewanie nad Jarzębinową Łąką poniósł się ryk rogów, a Corban ujrzał szereg ludzi, wyłaniający się z zagajnika. Przewodził im Brenin, u boku którego szli Pendathran, Edana, Ewnis oraz Heb. Towarzyszyło im dziesięciu przybocznych królewskich.

Chłopak wbił wzrok w Edaną. Od chwili ucieczki z Ciemnego Boru widział księżniczkę tylko raz, podczas pogrzebu jej matki. Kopiec królowej wzniesiono na wzgórzu za murami fortecy, a podczas ceremonii pochówku Brenin odczytywał imiona poległych, których ciał nie zdołali zabrać do domu. Cywen wybuchła cichym płaczem, gdy usłyszała imię Ronana.

Edana nie otrząsnęła się jeszcze po śmierci matki, wyglądała dokładnie tak samo jak podczas jej pogrzebu. Miała ciemne plamy pod oczami i pobladłą cerę, a czerwone pręgi na rozdrapanych z rozpaczy policzkach przypominały ślady po krwawych łzach.

Ludzie rozstępowali się przed Breninem, który szedł w kierunku skalnej areny.

– Witajcie, ardańscy wojownicy! – zawołał. – Przybywam, by podzielić się z wami wieściami, ale najpierw zajmę się czymś, co już dawno powinno zostać zrobione.

Wojownicy gromadzili się przed królem, by wysłuchać jego słów. Wszędzie panował ścisk, jedynie Corban miał dla siebie trochę swobody – większość ludzi wiedziała już bowiem, co Burza zrobiła Rafe’owi i wołała trzymać się od niej z daleka. Chłopak skinął na Datha i Farrella, którzy wykorzystali okazję i stanęli obok niego.

– Tull, mój pierwszy miecz, poległ na służbie. Oddał życie w obronie mej ukochanej żony niecały księżyc temu. – W głosie króla pojawiło się drzenie. – Nigdy dotąd ta kraina nie widziała lepszego człowieka, bardziej lojalnego, uczciwego i odważnego i boję się, że już nigdy nie ujrzymy nikogo takiego jak on. – Pochylił

głowę. Zapadła głęboka cisza. – Niemniej – rzekł Brenin i rozejrzał się – nie wypada, by król Ardanu nie miał pierwszego miecza, zwłaszcza w takich czasach.

Poniósł się szmer, gdy ludzie uzmysłowili sobie, co zamierza władca.

– Jeden z was zabłysnął w moich oczach. Służył mi dzielnie, ryzykował życiem, by bronić mego honoru i odznaczył się w walce.

Cisza, która teraz zapadła, wydawała się być niemalże żywą istotą. Corban miał wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć napięcia unoszącego się nad Łąką.

– Halionie, podejdź.

Wojownicy rozsunęli się, tworząc szpaler. Osłupiały Halion stanął przed obliczem króla.

– Czy zgodzisz się przyjąć ten obowiązek? – spytał Brenin. – Czy zgodzisz się zostać mym czempionem, obrońcą mego ciała, krwi i honoru?

Halion padł na jedno kolano.

– Zgadzam się, panie! – oznajmił czystym, donośnym głosem.

– A więc podaj mi swój miecz.

Wojownik wstał, dobył miecza i wbił go w szczelinę między dwoma kamiennymi płytami. Brenin podszedł bliżej, wyciągnął nóż zza pasa, rozciął sobie dłoń i zacisnął w pięść nad rozkołysanym mieczem. Krew ściekała na rękojeść, jelec i spływała po ostrzu.

Następnie władca skinął na Edanę, która również ujęła nóż i powtórzyła rytuał. Jej krew zmieszała się z krwią ojca. Jako trzeci rozciął dłoń sam Halion.

– Powitajcie tego, który będzie pierwszym mieczem Ardanu! – rzekł król.

Nad Jarzębinową Łąką przetoczył się ryk setek wojowników. Corban wymachiwał pięścią i krzyczał wraz z innymi, choć nie mógł uwierzyć w to, że Brenin obdarzył tak wielkim zaszczytem Haliona, który dla wielu Ardańczyków wciąż był cudzoziemcem. Na oczach chłopaka Ewnis zrobił kilka kroków i wyszeptał coś do ucha

Conallowi.

– To nie wszystko – rzekł król i wznosił zakrwawioną dłoń. Rozentuzjasmowany tłum powoli cichł, a Brenin odwrócił się do Heba, który podał mu niewielki kosz utkany z wierzbowych gałęzi. – Wysłałem posłańca do króla Owaina, by zawiadomić go o zdradzie Rhin i śmierci mej żony. Oto jego odpowiedź! – Wsunął rękę do kosza i wyciągnął odrąbaną głowę, a potem podniósł ją wysoko, by wszyscy ją ujrzeli. – Oto, jak Owain traktuje moich posłańców. Gotujcie się na wojnę! Za dziesięć nocy wyruszamy! Najpierw na Narvon, a potem na Cambren!

Wrzawie nie było końca. Wojownicy skandowali imię króla Brenina i wznosili okrzyki bojowe, a nad zgiełkiem unosił się ryk rogów, coraz głośniejszy i potężniejszy. W pierwszej chwili Corban sądził, że to królewscy heroldzi budują w ten sposób atmosferę, ale ludzie obecni na Łące powoli cichli, a rogi wciąż grały. Zew dobiegał z północnego odcinka murów.

Zgromadzeni mężczyźni powoli, a potem coraz szybciej ruszyli ku murom. Corban, Dath i Farrell podążali wśród nich. Wspięli się po szerokich stopniach, a na górze odszukali miejsce, z którego widać było zatokę.

Na jej wody wpływał osobliwie wyglądający okręt, długi i smukły. Rzędy wiosel wzdłuż jego burt opadały i wynurzały się jednocześnie niczym odnóża wielonogiego owada. Na jednym z masztów łopotał proporzec, a na nim widniał biały orzeł na czarnym tle.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

KASTELL

Kastell sapnął, wdrapując się na częściowo wrośnięty w ziemię pień dawno przewróconego wiązu, po czym zeskoczył po drugiej stronie. Spojrzał na Maquina, który pokonał przeszkodę w ślad za nim.

Od ośmiu nocy przedzierali się przez ten przeklęty las i przebywali w różnych odcieniach mroku. Kastell służył w Gadrai od dawna i powinien właściwie się do tego przyzwyczaić, ale ich patrole przemieszczały się głównie wzdłuż rzeki Rhenus, gdzie las był o wiele rzadszy i przez większość czasu widać było niebo. Teraz szansa na to, że przez gęste korony drzew przebije się choć promyk słońca, była bliska zeru. Drzewa rosły gęsto przy sobie, a ich gałęzie splatały się, tworząc ścisłą, nieprzeniknioną warstwę.

Maquin poślizgnął się na pniu, ale wsparł się na włóczni i zaklął cicho.

– Spokojnie, staruszkule – rzucił Kastell, ale w odpowiedzi ujrzał jedynie pochmurne spojrzenie.

W innej sytuacji Maquin zapewne uśmiechnąłby się do młodego towarzysza, ale osiem dni w lesie Forn odcisnęło się na jego samopoczuciu. Ludzie stawali się coraz bardziej nerwowi, gdyż pojawiły się pogłoski, że zbliżają się do Haldis, miejsca pochówku olbrzymów Hunen.

Za Maquinem ukazała się łyssa, lśniąca od potu czaszka Orgulla.

– Dalej! – warknął kapitan.

Brnęli przed siebie luźnym szeregiem, wyprzedzając główne siły, gdyż Gadrai przypadła rola zarówno zwiadu, jak i straży przedniej.

Kastell wniknął w gęste zarośla, rozejrzał się i po chwili dostrzegł szerokie plecy prowadzącego ich Alcyona. Obok niego szedł Vandil, którego nie dało się pomylić z nikim innym ze względu na charakterystyczne dwa miecze skrzyżowane na plecach. Olbrzym, choć jego obecność z początku wydawała się nie do pomyślenia, okazał się bardzo pomocny. Nie dość, że wiódł ich prosto do celu, ani razu nie myląc drogi, to jeszcze pomagał w odpieraniu ataków Hunen.

Przez pierwsze dwa dni wędrówki nikt nie niepokoił wielkiej armii, a jedynymi ofiarami jak dotąd byli samotni wartownicy na wysuniętych pozycjach, z których ogromne nietoperze wyssały krew do ostatniej kropli. Żaden z zabitych nie należał do Gadrai – pogromcy olbrzymów doskonale znali las i wiedzieli, że podczas nocnej służby nie można zamykać oczu, gdy jedynym ostrzeżeniem przed nadciągającą śmiercią jest szelest skrzydeł.

Trzeciej nocy zwiadowców Gadrai otoczyła jednakże gęsta, wysoka mgła. Alcyon natychmiast kazał im się zatrzymać, a potem zaczekał na Calidusa. Obaj zaczęli śpiewać. Z początku nic się nie działo, ale po chwili między drzewami przeleciał podmuch wiatru, który przybierał na sile, aż przerodził się w wichurę. Mgła rozwiała się, a wojownicy ujrzeli dwudziestu Hunen przyczajonych w lesie.

Olbrzymy, uświadomiwszy sobie, że ich fortel wyszedł na jaw, cisnęły włóczniami i rzuciły się do ucieczki. Od tej pory jednakże niepokoiły rozciągniętą kolumnę przez cały czas. Alcyon i Calidus osłabiali moc ich czarów i ostrzegali przed kolejnymi atakami, ale mimo to wielu wojowników zginęło, a pochód armii zwolnił.

Tego dnia jednakże Hunen nie dali znaku życia. Nie było zasadzek, zamaskowanych dołów, pułapek i mgieł, a około południa Alcyon oznajmił, że od Haldis dzieli ich zaledwie dzień marszu.

– Dziś już nas nie zaatakują – zapewnił Vandila. – Wykorzystają ten dzień na przygotowanie obrony Haldis.

Vandil ogłosił przerwę. Kastell usiadł z innymi Gadrai, by odetchnąć, gdy dostrzegł Romara, który przypuszczalnie chciał się naradzić z Calidusem, Alcyonem i Vandilem. Towarzyszył mu Jael. Wuj zerknął na niego, ale młodzieniec skrzywił się i odwrócił głowę.

Spotkali się już wcześniej, gdyż Romar wezwał go do siebie po tym, jak Gadrai przybyli do Halstat. Kastell udał się do jego namiotu, podekscytowany, ale też pełen niepokoju, a wuj uściskał go niezgrabnie.

– Słyszałem, że dobrze sobie radzisz – rzekł z uśmiechem.

– Ja? Cóż, żyję. – Kastell wzruszył ramionami. – Wśród wojowników Gadrai to już nie lada osiągnięcie. – Wtedy coś go tknęło i zapytał: – Śledzisz moje poczynania?

– Skądże znowu. Ale byłbym kiepskim wujem, gdybym całkiem o tobie zapomniał – odparł Romar i wskazał Kastellowi krzesło, po czym nalał mu wina. – Mam kontakt z Vandilem, to wszystko. Przeżyłeś ataki Hunen i sam zabiłeś kilku z nich. Spełniasz wizję swego ojca. Zawsze mówił, że zostaniesz dokładnie takim mężczyzną.

Kastell bawił się pucharkiem, nieco zażenowany.

– A co u ciebie, wuju? – spytał, by zmienić temat. – Jak układają się twoje plany?

Romar pokręcił głową, wyraźnie wzburzony.

– Od twego wyjazdu wszystko się komplikuje. Słyszałeś, co się stało w Tenebralu?

– Co nieco, choć nie zwracałem na to szczególnej uwagi.

– Aquilus nie żyje – wyjaśnił Romar. – Tron objął jego syn Nathair.

Kastell nagle przypomniał sobie o Veradisie, człowieku księcia, który stanął po jego stronie, gdy zaatakowali go poplecznicy Jaela.

– Jak zginął?

– Został zamordowany we własnej komnacie, rzekomo przez Mandrosa z Carnutanu, choć prawdy nie poznamy już nigdy. Uciekł z Tenebralu, a potem zginął w bitwie z oddziałami

tenebralskimi. – Romar upił długi łyk wina i nalał sobie więcej. – Zginął z ręki twego przyjaciela Veradisa.

– Och – mruknął Kastell, naraz bardziej zainteresowany historią.

– Otóż to. Twój przyjaciel szybko awansuje. Niedawno otrzymał godność pierwszego miecza Tenebralu. Niebawem zresztą się zobaczycie, bo dowodzi tenebralskim oddziałem.

Kastell uśmiechnął się szeroko. Veradis okazał mu przyjaźń w chwili, gdy bardzo tego potrzebował. Jego uśmiech przygasł jednak, gdy ujrzał minę Romara.

– Co cię dręczy? – zapytał. – Przecież Veradis to dobry człowiek.

– Pewnie tak. – Romar wzruszył ramionami. – Też mi się tak zdawało, ale nie mogę pozbyć się uczucia niepokoju. Nagła śmierć Aquilusa i wydarzenia, które po niej nastąpiły, budzą moje podejrzenia. Nie podoba mi się to, że Mandros nie został postawiony przed sądem. Rozważam możliwość zerwania sojuszu z Tenebralem.

Kastell też wzruszył ramionami. Kwestia sojuszu zaintrygowała go, gdy wuj poruszył ją po raz pierwszy, ale te czasy już minęły. Miał teraz nową rodzinę. Liczyli się dla niego jedynie Gadrai, a Tenebral wydawał się leżeć bardzo daleko.

Wtedy Romar powiedział to, co leżało mu na sercu:

– Wróć do mnie, Kastellu.

– Co? Nie, nie sądzę, by był to mądry pomysł.

– To niespokojne, burzliwe czasy – argumentował wuj. – Potrzebuję przy sobie ludzi, którym mogę zaufać. Jesteś moim krewnym, synem mego brata.

– Masz Jaela – odparł Kastell, usiłując zamaskować gorycz.

– Tak, mam Jaela – zgodził się Romar. – Rwał się do wzięcia udziału w tej kampanii, gorąco się opowiada po stronie sojuszu. Czasem wydaje mi się, że zbyt gorąco.

– Co masz na myśli?

– Nic. – Król machnął niecierpliwie dłonią. – Dajmy już temu

spokój. Chciałbym, żebyś znów stał się jednym z moich przybocznych. Znasz się dobrze z tym Veradisem, co? Bardzo by mi się to przydało. Potrzeba mi kogoś z kręgu najbliższych współpracowników Nathaira. Nie wszystko układa się tak jak za czasów Aquilusa. Niepokoi mnie zwłaszcza śmierć Mandrosa. Będę się domagał procesu w tej sprawie. Nathair musi ponieść odpowiedzialność za swe czyny, bo jego polityka budzi we mnie nieufność.

– Czyli mam dla ciebie szpiegować? – spytał Kastell.

Romar wzruszył ramionami.

– Niejako. Wszyscy mamy interesy, o które trzeba się zatroszczyć. Po pierwsze, muszę odzyskać mój topór i wynagrodzę sowicie każdego, kto mi w tym pomoże. – Wyciągnął rękę i złapał Kastella za nadgarstek. – Wsławiłeś się wielkim męstwem wśród Gadrai, ale oni nie są twą rodziną. Więzy krwi łączą cię ze mną. Wróc do mnie.

Kastell nie mógł zapomnieć wzroku wuja, w którym pojawiło się niemalże błaganie. Zupełnie mu to do niego nie pasowało – wszak Romar zawsze był człowiekiem bardzo zdecydowanym, był prawdziwym przywódcą. Już chciał się zgodzić, ale znów naszło go wspomnienie kuzyna.

– Jael powiedział kilka rzeczy o moim ojcu – oznajmił. – O jego przestępstwach.

Wuj milczał, choć było widać, że narasta w nim gniew.

– O co mu chodziło? – naciskał Kastell.

– Nie chcę o tym rozmawiać – rzekł Romar.

– To zapomnij o moim powrocie! – rzucił ze złością młodzieniec i wypadł z namiotu, ignorując pochmurne spojrzenie wuja.

Sprzeczka nieopodal wyrwała go z zadumy. Uniósł głowę i ujrzał potężną sylwetkę Alcyona, przed którym stał jakiś człowiek z trudem panujący nad wściekłością, co chwila wskazując palcem Calidusa.

Kastell zmarszczył brwi i przechylił lekko głowę, by lepiej

widzieć.

Rozgniewany mężczyzna odwrócił się i odszedł, wiodąc za sobą kilku innych. Był to Romar, aż czerwony ze złości.

Calidus odprowadził go wzrokiem i odwrócił się do innego człowieka, z którym zamienił kilka słów. Kastell zmrużył oczy i przekonał się, że był nim Jael.

* * *

Zapadł zmierzch i wszędzie, jak okiem sięgnąć, zapłonęły ogniska. Kastell siedział i wpatrywał się w płomienie. Wielkie ćmy łopotały skrzydełkami, a ich cienie migotały wśród postaci siedzących przy ogniu wojowników.

W ciemnościach trzasnęła gałązka. W kręgu światła rzuconym przez płomienie pojawił się Vandil, który skinął zebrany i ukucnął. Orgull podał mu bukłak z winem.

– Jesteśmy gotowi – rzekł, ocierając usta. – Jutrzejszy świt będzie dla Hunen ostatnim.

– To będzie wielki dzień dla Gadrai – stwierdził Maquin.

– W istocie – przytaknął Vandil, wpatrzony w płomienie. – Nie sądziłem, że go kiedykolwiek doczekam. – Uśmiechnął się, a jego zęby błysnęły czerwienią w blasku ognia. – Cieszę się, że dożyłem tej chwili – dodał.

– A co potem? – spytał Kastell, przestając na moment ostrzyć miecz.

– Potem?

– No, po rozbiciu Hunen.

– Najpierw zrobimy wszystko, by przeżyć jutrzejszy dzień. – Vandil wzruszył ramionami. – Potem pogadamy o przyszłości.

– A co sądzisz o Drassil?

Niespodziewanie wszyscy odwrócili się ku Kastellowi.

– To miejsce przypuszczalnie nie istnieje. Wielu ludzi próbowało

je znaleźć i szukało skarbu, którzy rzekomo jest tam ukryty. Nie wrócił spośród nich nikt. Przestań się mamić opowieściami o złocie głupców! – ostrzegł go Vandil. – Tym bardziej że powinieneś skupić się na tym, by jutro olbrzymy nie urznęły ci łba! – Wstał, pociągnął łyk wina i oddał bukłak Orgullovi. – Ostry miecz i przytomny umysł, chłopaki! – zawołał.

– Pamiętamy! Pamiętamy! – odkrzyknęli wojownicy siedzący wokół ognia, a Vandil zniknął w mroku.

Niedługo po jego wizycie przy ognisku zjawił się Veradis.

– Siadaj! – zaprosił go Maquin. – Napij się z nami wina.

– Nie, nie mogę – rzekł młody wojownik. – Ale chciałem z wami zamienić parę słów na osobności.

Kastell wsunął miecz do pochwy, a oselkę do kieszeni. Veradis odwrócił się i poprowadził ich w mrok. Stanęli wśród ciemnych drzew. Na twarz młodzieńca padał srebrzysty blask księżyca.

– Wszystko w porządku? – spytał Maquin.

– Ze mną? Tak – mruknął Veradis, nie patrząc im w oczy. Wyglądał na człowieka, którego trawi wielki niepokój i minęła dłuższa chwila, nim na nich spojrział.

– Jesteśmy przyjaciółmi, nieprawdaż?

– Tak, jesteśmy – odparł powoli Maquin, a Kastell pokiwał głową.

– To wielka rzadkość – wymamrotał Veradis niemalże do siebie.
– Cenna rzecz.

– Co cię dręczy? – odezwał się cichym, lecz stanowczym głosem Maquin.

– Najpierw chcę, byście poprzysięgli, że nikomu nie zdradzicie tego, o czym chcę z wami porozmawiać.

– Masz nasze słowo – rzekli Kastell i Maquin, choć na czole starego wojownika pojawiła się bruzda.

– W ciągu najbliższych dni uważajcie na to, komu ufacie – powiedział Veradis cicho, niemalże szeptem. – Miejcie się na baczności i pamiętajcie, że olbrzymy to nie jedyne

niebezpieczeństwo.

– Co ty chcesz nam właściwie powiedzieć? – spytał Kastell.

Veradis spojrział na ich obu.

– Chodzi o Romara, który zaczął deklarować się wrogiem Nathaira. Rozsądniej byłoby znaleźć sobie nowego króla.

– To przecież mój wuj! – sprzeciwił się Kastell. – Przyjął mnie po śmierci rodziców! Czy jest coś, co przed nami ukrywasz, Veradisie?

– Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte – rzekł Veradis. – Nic więcej nie mogę wam powiedzieć.

Z tymi słowami odwrócił się i wślizgnął w mrok nocy, nim Maquin czy Kastell zdolali powiedzieć choć słowo.

– Co o tym sądzisz? – spytał Kastell.

– Nie wiem – mruknął Maquin. – Ale nie zabrzmiało to dobrze. Wyczuwam nadchodzące kłopoty.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

CYWEN

Cywen leżała na skraju klifu i spoglądała na zatokę, po której płynął nowo przybyły okręt. Trawa łaskotała ją w szyję. Powinna pomagać Garowi w stajni, wiedziała, że czeka ją ostra reprimenda, gdy wróci, ale było jej to obojętne.

Od chwili, gdy Ronan wydał ostatnie tchnienie w mroku Ciemnego Boru, nic nie było dla niej ważne, a serce zaczynało jej bić żywiej tylko wówczas, gdy myślała o wbiciu któregoś ze swych noży w serce czempiona Rhin. Nienawidziła go i wciąż myślała o zemście, a gdy uświadamiała sobie, że to przypuszczalnie nigdy nie nastąpi, wybuchała gorzkim płaczem. Rozpacz i frustracja całkiem pochłonęły jej myśli.

Z okrętu, nad którym nadal powiewała bandera z orłem, schodzili wojownicy. Cywen nagle zapragnęła poderwać się i pobiec ku coraz większemu tłumowi, który zebrał się, by powitać przybyszów, ale wtedy dostrzegła Burzę. Wilkunica przypadła do niej, a za nią Corban. Z tyłu gnali zasapani Dath i Farrell, którzy ledwie mogli nadążyć.

– Cywen! Cywen! Nie uwierzysz, co się stało! – Jej brat wyrzucał z siebie słowa w takim tempie, że ledwie można go było zrozumieć.

– Co? – spytała. Chłopak wydawał się czymś mocno podekscytowany, a więc udała zainteresowanie.

– Jutro będzie moja Długa Noc!

– Co takiego? – To, co usłyszała, w istocie ją zaintrygowało. – A jesteś gotów?

Ekscytacja znikła z twarzy Corbana, a jej miejsce zajęło zwątpienie.

– Nie wiem – odparł szczerze.

– Nie chodziło mi o to – przerwała mu siostra. – Chciałam spytać, czy czujesz się na siłach! Bo o tym, że jesteś gotów, wiem doskonale. Mamy siniaki na dowód, co nie, Dath? – Trąciła syna rybaka łokciem.

– O, tak! – Ten entuzjastycznie pokiwał głową.

Szli w stronę tłumu zbierającego się na brzegu. Cywen niespodziewanie dostrzegła Gara. Usiłowała schować się za plecami Farrella, ale się spóźniła. Główny stajenny dostrzegł ją i z bruzdą na czole ruszył ku nim, utykając.

– Gdzie się podziewałaś? – spytał. – Zapomniałaś już o swoich obowiązkach?

Cywen spojrzała na niego, próbując zdobyć się na jakąś odpowiedź, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Bruzda na czole Gara pogłębiła się. Otworzył usta, ani chybi po to, by ją zbesztać, gdy w tłumie podniosły się krzyki. Przybysze wjeżdżali już na dziedziniec, a ich konie stukały kopytami o kamienie. Cywen wbiła w nich wzrok i szybko zapomniała o Garze.

Nowo przybyłych wojowników było dwunastu. Wszyscy robili imponujące wrażenie w kolczugach i pancerzach z czarnej skóry ze srebrnymi orłami na piersiach, ale uwagę dziewczyny przyciągnęło dwóch jeźdźców, którzy siedzieli w wysokich siodłach i jechali na czele kolumny.

Jeden z nich nie wyróżniał się strojem na tle pozostałych, ale dosiadał wspaniałego, białego ogiera, a u boku miał dwa miecze. Był młodym człowiekiem z ciemnymi, kręconymi włosami i przystojną, ogorzałą twarzą. Jego jasnoniebieskie oczy uważnie taksowały tłum. Z jego oblicza nie schodził uśmiech, ale nie

kierował go do nikogo w szczególności, choć Cywen miała wrażenie, że spogląda tylko na nią.

Z trudem oderwała od niego wzrok, by spojrzeć na jego towarzysza. Niemalże westchnęła z zachwytem na widok jego konia. Nigdy dotąd nie widziała rumaka tak cudownej urody. Koń przybysza, wspaniałe zwierzę maści izabelowatej, był zgrabniejszej budowy od pozostałych i miał dłuższe nogi, które stawiał z niewysłowionym wdziękiem, jakby tańczył. Dosiadający go mężczyzna był starszy i również nosił się jak wojownik, ale różnił się od innych. Miał długie, czarne niczym atrament włosy, związane rzemieniem na karku, i długi, zakrzywiony miecz przytroczony do pleców. Było w nim coś, co przywodziło na myśl Burzę. Dosiadał konia z gracją i emanował siłą, dzikością i tłumioną z trudem agresją.

Cywen przybliżyła się do Corbana, by coś mu powiedzieć, gdy zauważyła, że Gar znika w tłumie. Jej brat tymczasem pobladł jak ściana i wbił wzrok w wojownika z kręconymi włosami.

– Corban! – odezwała się dziewczyna i uścisnęła jego ramię. – Corban, nic ci nie jest?

Chłopak drgnął i pokiwał głową. Na jego policzki wróciły blade rumieńce.

– Wszystko w porządku – odparł.

Tłum rozstąpił się, by przepuścić króla Brenina, Pendathrana oraz idącego za nimi Haliona, który wciąż czuł się niepewnie w swej nowej roli.

– Witaj, Nathairze – rzekł władca Ardanu.

Wojownik z kręconymi włosami wychylił się z siodła, a Brenin uścisnął mu przedramię. Zgiełk tłumy zagłuszył wymienione przez nich słowa, a potem orszak skierował się ku wieży królewskiej.

* * *

Jakiś czas później Cywen zakradła się do sali, w której odbyła się uczta. Corban został zabrany do domu przez ojca, który bardzo chciał omówić z nim szczegółowo to, co miało nastąpić kolejnego dnia. Dziewczyna natknęła się na Edanę, która siedziała na krześle. Za jej plecami majaczył jakiś wojownik. Cywen w pierwszej chwili spodziewała się ujrzeć Ronana, ale za księżniczką stał Conall.

– Cześć – powiedziała Edana, wciąż blada i wychudzona po ostatnich przejściach.

– Dawno cię nie widziałam – rzekła Cywen.

– Fakt. – Edana pokręciła głową. – Od śmierci mamy... – Odwróciła na moment spojrzenie. – Ojciec martwi się o mnie. Zwłaszcza po tym, co się stało z Uthanem. Obawia się odwetu – westchnęła.

Dziesięć noc temu do Dun Carreg dotarła wieść o śmierci syna Owaina, a wraz z nią rozliczne plotki. Ludzie zgadzali się tylko co do tego, że Uthan nie żyje, a Owain obarczył za wszystko winą Brenina.

– Teraz Conall cię strzeże? – spytała Cywen, chcąc przerwać coraz cięższą ciszę.

– Tak.

– A jak się trzyma twój ojciec?

– Wciąż nie otrząsnął się z rozpacz. Jest zły, wręcz wściekły i pochłania go pragnienie zemsty.

– A ty?

– Ja? – spytała Edana. – Ja nie mogę uwierzyć w to, że mojej mamy już nie ma. – Zacisnęła powieki. – Tęsknię za nią. Chcę, by wróciła, wciąż ubolewam, że nie powiedziałam jej wszystkiego, co należało. Próbuję być silna, by jakoś podnieść ojca na duchu, ale on chyba tego nie widzi.

– A rozmawiałaś z nim? Powiedziałaś mu o tym, jak się czujesz?

– Nie. On jest taki rozchwiany, raz pogrąża się w smutku, by po chwili znów wybuchnąć gniewem. Zaczynam się go bać.

– Ale nadal cię kocha. Gdyby wiedział, przez co przechodzisz, byłoby mu bardzo przykro.

Na twarzy Edany widać było tylko znużenie, ale pokiwała głową.

– Masz rację. Muszę z nim porozmawiać, ale czułabym się rażniej, gdybyś była wówczas blisko mnie.

Cywen siedziała nieruchomo. W pierwszej chwili chciała się jakoś wymigać, ale w oczach Edany ujrzała tak gorącą prośbę, że wstała i udała się w ślad za nią w głąb twierdzy.

Edana zapukała do znajomych drzwi i nie czekając na zaproszenie ojca, weszła do środka. Król Brenin siedział na swym wysokim krześle i omawiał jakieś kwestie z Hebem i Evnisem. Za królem stał Halion z dłonią na rękojeści miecza. Cywen zerknęła na puste krzesło obok władcy, to, na którym zawsze zasiadała Alona.

– Ojcze, ja... – zaczęła Edana, ale zawahała się. Widok surowych twarzy odebrał jej śmiałość.

– O co chodzi? – spytał Brenin, który wydawał się podirytowany najściem.

– Chciałam z tobą porozmawiać, ojcze. O...

– Tak? – Brenin machnął niecierpliwie ręką. – Szybko, bo jestem zajęty.

Rozległo się pukanie do drzwi i do komnaty weszło trzech przybyszów z Tenebralu. Pierwszym był król Nathair, a drugim jego towarzysz z czoła kolumny. Cywen dowiedziała się już, że zwano go lordem Sumurem. Trzecim z nich był królewski przyboczny, młody wojownik o beztroskim uśmiechu i z hełmem pod pachą.

– Witaj, Nathairze – rzekł Brenin. – Heba już znasz, a oto mój doradca Evnis.

– Cieszę się, że mogę was poznać – oznajmił życzliwie król i uśmiechnął się do Evnisa. – Dziękuję wam bardzo za waszą gościnność. Odpoczęliśmy i posililiśmy się, a więc pora porozmawiać o tym, z czym do was przybyliśmy.

Cywen i Edana, nie chcąc, by wygoniono je z komnaty, skryły się w kącie.

– Jak już zapewne słyszeliście, mój ojciec padł ofiarą morderstwa.

– Tak, słyszeliśmy. – Brenin pochylił głowę. – Moje kondolencje. Aquilus był dobrym człowiekiem i wspaniałym królem.

– Dziękuję ci za twe serdeczne słowa. Na szczęście zabójcę spotkała zasłużona kara.

– O tym też słyszałem. – Brenin zmarszczył brwi.

– Chciałbym móc o tym z tobą szerzej porozmawiać, ale to niewłaściwy moment – ciągnął Nathair. – Skoro przejąłem koronę, muszę teraz sprostać wielu oczekiwaniom. Jestem świadom ambicji oraz zobowiązań ojca, co jest pierwszym powodem, dla którego tu przybyłem. Wiem, że mój ojciec obiecał pomóc wam w walce z banitami, którzy nękają wasze granice. Mam przy sobie niewielką drużynę, która wciąż pozostaje na pokładzie okrętu. Chcę ci pomóc w oczyszczeniu granic, by uczcić w ten sposób pragnienia mego ojca oraz wzmocnić nasz sojusz, o którym, mam nadzieję, nadal pamiętasz.

– Ach – odparł Brenin ponuro. – Obawiam się, że trochę się z tym spóźniłeś. Już uporaliśmy się z banitami z Ciemnego Boru.

– Tak? – Nathair wydawał się zdruzgotany. – A więc okryliśmy się hańbą. Inne zobowiązania mego ojca, wobec Rahima, Brastera i Romara, zostały wszak wypełnione!

– Mniejsza o to – odparł Brenin. – Pokonałeś długą drogę, a to najlepiej świadczy o tym, jak bardzo zależy ci na kontynuowaniu polityki ojca. Poza tym nie poinformowałem Aquilusa, kiedy mam zamiar rozpocząć kampanię. Zadałeś sobie wiele trudu, by tu dotrzeć. Nie zapomnę tego.

– Skoro udało ci się uporać z tym problemem – ciągnął Nathair – to być może będziemy w stanie przyjść ci z pomocą w innej kwestii?

– Banici z Ciemnego Boru zostali już wygubieni, choć ponieśliśmy wielkie straty w walce – odparł Brenin. – Niestety,

niedawno na moje ziemie padł o wiele mroczniejszy cień. Przyjdzie mi toczyć wojnę z królową Rhin. Zastałeś mnie w trakcie gromadzenia sił.

– Co takiego? Jak do tego doszło?

– Pamiętasz królową Rhin?

– Oczywiście. Ostry język, bystry umysł – odparł Nathair.

– Okazało się, że Cambren nie zaspokaja jej apetytów. Zapragnęła zawładnąć zarówno Ardanem, jak i Narvonem.

– Jak chce pokonać oba królestwa naraz? Nie wydaje mi się to najmądrzejszym zamysłem.

– Cóż, stara pajęczycza utkała przebiegły plan i postanowiła skłócić mnie z Owainem. W wyniku jej intrygi zginęła moja żona...

– Brenin urwał i spojrzał na torkwes leżący na pustym krześle obok niego. – A także syn Owaina, Uthan. Rhin starała się doprowadzić do tego, byśmy z Owainem oskarżyli się nawzajem o te zbrodnie i rzucili się sobie do gardeł. Dzięki Elyonowi udało mi się przejrzeć jej intrygę, choć Owain nadal twierdzi, że to ja jestem odpowiedzialny za śmierć jego chłopaka. Nie będę cię prosił, Nathairze, byś włączył się w ten konflikt, choć nie mam wątpliwości, że przewaga jest po stronie moich przeciwników. – Mówiąc, starał się zamaskować emocje, ale z jego głosu przebijało cierpienie.

– Przykro mi z powodu twojej straty – rzekł Nathair.

– Bardzo nam jej brakuje. Nie tylko jej zresztą.

Wówczas wojownik, który przybył z Nathairem i Sumurem, zrobił krok do przodu.

– Wybaczcie, ale miałem nadzieję ujrzeć tu pewnego wojownika, z którym zaprzyjaźniłem się podczas rady u króla Aquilusa. Miał na imię Tull i był twoim pierwszym mieczem, panie.

– W istocie, był – odparł Brenin. – Niestety, oddał życie, broniąc mej żony, choć ta wielka ofiara poszła na marne.

– Cóż za niefortunna strata – odparł wojownik. – Krzyżowałem z nim ostrza na dziedzińcu treningowym i nauczył mnie wówczas

kilku sztuczek.

Halion zaśmiał się krótko.

– Oto cały Tull – rzekł Brenin, a przez jego twarz przemknął cień uśmiechu. – Miło mi słyszeć to, co mówisz. Jak cię zwa?

– Rauca – odparł wojownik. – Mam na imię Rauca.

– Zastanowię się, jaką rolę mogę odegrać w tej sytuacji – powiedział Nathair. – Mało który z uczestników rady bez wahania poparł plan mego ojca. Uczyniłeś mu wielki zaszczyt, ale szczerze przyznam, że liczyłem również na poparcie Owaina i Rhin.

– Nie mam najmniejszego zamiaru zawierać pokoju z Rhin – ostrzegł go Brenin. – Nawet nie próbuj niczego w tym kierunku, bo sprawy zabrnęły za daleko. Jeśli zaś chodzi o Owaina... Tak, z nim mógłbym się ułożyć, ale jeśli stanie między mną a Rhin, szybko tego pożałuje.

Nathair pokiwał głową, pogrążony w zadumie. Przyglądająca się rozmowie Cywen odniosła wrażenie, że jego towarzysz, Sumur, zeszywniał lekko, słysząc słowa Brenina.

Ci ludzie niechętnie słuchają czyichś poleceń czy zakazów, pomyślała.

– Jak już powiedziałem, zastanowię się, co mogę tu zrobić. Czuję się wobec ciebie zobowiązany i chcę wypełnić obietnice mego ojca.

– Cieszę się – rzekł Brenin i machnął dłonią.

– Niemniej istnieje jeszcze jeden powód, dla którego odbyłem tę podróż.

– Mów.

– Poszukuję bowiem informacji w dwóch sprawach.

– Z chęcią pomogę, jeśli będę w stanie. – Brenin skinął głową.

– Pierwsza nurtująca mnie kwestia dotyczy zaginionej wiedzy olbrzymów, a w szczególności klanu Benothi. Twoja twierdza kiedyś należała do nich, jak sądzę. Próbuję rozgryźć kilka szczegółów przepowiedni, ogłoszonej na radzie mego ojca.

– Oczywiście. Oto Heb, mój znawca obyczajów, a mój doradca Ewnis również zebrał wielką wiedzę o dawnych mieszkańcach Dun

Carreg.

– Wspaniale – rzekł Nathair. – Będę wdzięczny za pomoc.

– A druga sprawa?

– Właśnie. Ze śmiercią mego ojca związanych jest wiele niejasności. Jedna z nich dotyczy jego najwierniejszego, służącego mu od lat doradcy, który zniknął tuż po morderstwie. Chwilę później widziano go, jak opuszczał Jerolin.

Na twarzy Brenina pojawiły się emocje, ale znikły, nim Cywen zdołała je rozpoznać.

– Dziwne – mruknął.

– Otóż to. Znasz człowieka, o którym jest mowa? Zwie się Meical i to on odczytał słowa przepowiedni na radzie.

– Tak, wiem, o kim mówisz.

– Wiesz może, gdzie przebywa?

W komnacie zapadła cisza. Brenin jako pierwszy odwrócił spojrzenie.

– Był tu przez moment – przyznał. – Choć nie mogę ci powiedzieć wiele ponad to. Nie zatrzymał się nawet na noc. Nie mam pojęcia, po co tu przybył ani dokąd się udał.

Król uniósł wzrok i spojrzał Nathairowi w oczy. Młodzieniec milczał, a jego oblicze nie zdradzało żadnych emocji. Po chwili westchnął i rzekł:

– Będę ci niebywale wdzięczny, jeśli przeprowadzisz małe śledztwo. Chciałbym wiedzieć, co tu porabiał i z kim rozmawiał.

– Tak, oczywiście.

Myśli Cywen śmigały jak szalone. Oczami wyobraźni ujrzała człowieka, o którym była mowa, tak jakby widziała go wczoraj. Siedział przecież w ich kuchni! A teraz szukał go jakiś król. Czy to wszystko też miało związek z Corbanem? Ów Meical bez wątpienia przybył właśnie w jego sprawie.

Nathair podziękował Breninowi i wyszedł, tłumacząc się zmęczeniem po podróży. Po zamknięciu drzwi w komnacie zapadła głucha cisza.

– Co o tym sądzicie? – odezwał się Heb, którego głos wręcz zadudnił w cichym pomieszczeniu.

Król wydawał się znużony.

– Zmiany – rzekł cicho, jakby mówił do siebie.

– Ten sojusz to ważna sprawa – oznajmił Ewnis. – Powinniśmy go uszanować.

– Przynajmniej na razie – szepnął król, a głośniejszym głosem dodał: – Zrobię to, co uznaję za stosowne, Ewnisie.

– Zachowaj ostrożność, panie – stwierdził doradca. – Ów Nathair jest młodym człowiekiem, ale płonie w nim ogień, a ów sojusz również nie jest mrzonką. Królestwa łączą się ze sobą i któregoś dnia mogą stworzyć ogromną siłę. Dobrze będzie trzymać się blisko Nathaira albo przynajmniej bacznie go śledzić. W przeciwnym razie kiedyś wszystkie owe królestwa mogą się skrzyknąć, by uporać się z krnąbrnym Ardanem.

– Nathair bez wątpienia jest ambitnym człowiekiem – rzekł Brenin. – Ale nie ufam mu. Nie jest Aquilusem, to pewne.

– A ów Sumur? Co my o nim wiemy? – naciskał Ewnis.

– Dużo nie mówi – burknął Heb kwaśno.

Brenin wzruszył ramionami.

– Pamiętam, jak przedstawił go Nathair. Włada jakąś odległą fortecą, a teraz jest jednym z najbliższych przybocznych króla.

– I z pewnością wie, jak posługiwać się tym mieczem na plecach – wtrącił Halion.

– A skąd ty to wiesz? – spytał Ewnis. – Nie sądzę, by ten człowiek kiedykolwiek zawitał na dziedzińcu treningowym.

– Zgadza się, nigdy go tam nie było. Ale wyczuwam w nim zagrożenie.

Ewnis popatrzył na niego sceptycznie, a Brenin odezwał się niecierpliwym głosem:

– Dajcie spokój, mamy przecież ważniejsze sprawy na głowie. Nie spuszczaście jednakże tych dwóch z oczu. I jeszcze jedno. – Król wycelował palcem w Ewnisa i Heba. – Dobrze uważajcie na to, co

mówicie Nathairowi. Czego on się chce dowiedzieć o Benothi? Meldujcie mi wszystko, co do słowa. – Niespodziewanie król zauważył swą córkę. – Edano, już ci mówiłem, jestem teraz zajęty. To nie miejsce dla ciebie.

– Tak, ojczy – odparła księżniczka, spuściwszy wzrok.

Cywen i Conall ruszyli za nią w stronę wyjścia, a wojownik zamknął za nimi drzwi.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

CORBAN

Corban przełknął ostatni łyk miodu pitnego mamy, uśmiechnął się do Thannona i wstał. Ojciec mrugnął do niego, a potem spytał:

– Dokąd się wybierasz?

– Chcę się zobaczyć z Dathem.

– Zaczekaj chwilę. – Ojciec rozsiadł się na krześle. – Jutro czeka cię wielki dzień!

– Wiem – rzekł Corban. – Choćby stąd, że kilka razy już mi to dzisiaj powiedziałaś.

Thannon znów zmienił pozycję.

– Proszę, zostań jeszcze chwilę – rzekł.

Corban usiadł.

– Pamiętam dzień, w którym przyszedłeś na świat. – Ojciec uśmiechnął się. – Byłeś taki mały, że mieściłeś mi się na jednej dłoni. A teraz? Spójrz tylko na siebie! – Pociągnął nosem. – Mam nadzieję, że sam zdajesz sobie z tego sprawę, ale chyba nadeszła odpowiednia chwila, by powiedzieć to na głos. Jesteś moją największą nadzieją i radością mego życia. – Wyciągnął rękę i zacisnął ją na dłoni Corbana. – Nikt i nic nie jest w stanie napełnić mnie większą dumą – dodał i na dowód tych słów grzmotnął się w pierś. – Czuję, jak mi serce puchnie!

Corban przełknął ślinę i chciał coś powiedzieć, ale w przełyku utknęła mu włochata kula, której nie mógł się pozbyć. Thannon

nagle powstał.

– Idź już, przyjaciele czekają. Ale nie wracaj zbyt późno. Pamiętaj, że jutro będziesz potrzebował mnóstwa sił. – Uśmiechnął się nagle i rzekł: – Czy ty to słyszysz? Zaczynam gadać jak twoja matka!

Zachichotał. Corban uśmiechnął się do niego, zaczekał, aż ojciec wyjdzie z kuchni, po czym sam wypadł na zewnątrz.

Szerokie, kamienne ulice były niemalże puste, a zmrok powoli otulał fortecę niczym ciemny koc. Ojciec nigdy dotąd nie zwracał się do niego takimi słowy. Chłopak uśmiechnął się, czując w duchu przypływ miłości do ogromnego mężczyzny, który troszczył się o niego od najwcześniejszych lat. W większości wspomnień z dzieciństwa – ba, prawie we wszystkich – pojawiała się jednak jeszcze jedna twarz.

Twarz Gara.

Rubaszny, dobroduszny stajenny był dla niego niczym drugi ojciec. Pomagał mu, szkolił go, ocalił go w Baglunie i zapuścił się w ślad za nim do Ciemnego Boru. Gdy przyszło co do czego, bronił go z narażeniem własnego życia.

Nie zastanawiając się wcale nad tym, co czyni, Corban skrzywił i skierował się ku stajniom. Nie widział Gara od chwili przybycia gości z Tenebralu. Stajenny stał z nimi na dziedzińcu, po czym nagle znikł. Było to nietypowe zachowanie, równie dziwne jak emocje, które ogarnęły Corbana na widok Nathaira, króla Tenebralu. Z jakichś powodów Nathair wydał mu się znajomy, a jego widok przywołał nieokreślone, niewyraźne wspomnienie, które nie przestawało go dręczyć.

Najbardziej jednak pamiętał wrażenie, że twarz młodego króla szpeci mroczny cień. Zrobiło mu się wówczas niedobrze i wystarczyło, by na powrót pomyślał o nim, a jego serce przeszywał chłód.

Uniósł głowę i ujrzał budynek stajni. W otwartym okienku na strychu migotało światelko. Tam właśnie, w niewielkim pokoiku na

poddaszu, mieszkał Gar. Zajmował to pomieszczenie od zawsze, tłumacząc, że w razie jakichkolwiek kłopotów z końmi powinien być na miejscu.

W stajniach nie było już o tej porze nikogo, ale gdy Corban podszedł bliżej, przywitał go znajomy zapach koni i siana. Wspiął się po schodkach prowadzących na strych z sianem, a także do pokoiku Gara. Burza, cicha niczym upiór, podążała za nim wzdłuż ustawionych w rzędach snopów.

Drzwi były uchylone. Chłopak zatrzymał się i zerknął do środka. Stajenny siedział na łóżku w migotliwym świetle pochodni, całkowicie zajęty długim, lekko zakrzywionym ostrzem. Smarował je szmatką nasączoną olejem, a potem z wprawą przesuwiał osełkę wzdłuż klingi. Corban wybałuszył oczy. Nie miał pojęcia, że Gar w ogóle posiada miecz, a co dopiero tak wspaniały jak ten!

Niespodziewanie usłyszał czyjeś kroki na schodach. Bez namysłu schronił się wśród cieni rzucanych przez snopki, pociągając za sobą Burzę. Postać idąca po schodach znalazła się w zasięgu światła i Corban oniemiał ze zdziwienia. Patrzył na swą matkę, która zastukała do drzwi i weszła do środka bez zaproszenia.

– Dostałam wiadomość od ciebie. – Chłopak wyraźnie słyszał głos matki, który przenikał przez cienkie ścianki działowe. – Co się dzieje?

Gar nie odpowiedział od razu. Przez chwilę słychać było jedynie zgrzyt osełki przesuwającej się wzdłuż ostrza, aż wreszcie odgłos ustał. Łóżko skrzypnęło cicho, gdy Gar się podniósł.

– Musimy uciekać. Jak najdalej od Dun Carreg – rzekł.

– Co? – wyjąkała matka. – To niemożliwe. Dlaczego?

– Widziałaś, kto tu dziś przybył?

– Tak, ale to przecież nie ma aż takiego znaczenia!

– Ty niczego nie rozumiesz, Gwenith. Widziałaś tego człowieka, który jechał obok Nathaira? Ja go znam.

– Człowiek, który jechał obok... Kto to jest?

– Ma na imię Sumur i jest jednym z Jehar.

– Gar, ja dalej niczego nie rozumiem. Jak to możliwe?

– Nie wiem – rzekł Gar.

– Skoro go znasz, czy nie mógłbyś z nim porozmawiać? Nie mógłbyś się dowiedzieć, co to wszystko oznacza? Może...

– Nie – warknął Gar. – Pamiętasz chyba, co powiedział Meical. Nie wolno nam ufać nikomu, nawet jeśli przez Kamienną Bramę przejdzie potomek Aquilusa. Przez ostatnie szesnaście lat byłem wierny naszej sprawie. Miałbym przestać teraz, gdy jesteśmy tak blisko? Poza tym, coś jest nie tak. Bardzo nie tak. – Gar zamilkł, cisza stawała się coraz cięższa. – Sumur nie zauważył mnie, tego jestem pewien. Ale kiedyś mnie wypatrzy. Ile nam zostało czasu, co? Nie możemy tu zostać. Ba, Corban nie może tu zostać. Nie mam cienia wątpliwości, Gwenith. Musimy uciekać.

– Ale dokąd? Jest jeszcze za wcześnie! Corban nie jest gotów, my zresztą też nie.

W pokoiku rozległy się kroki Gara.

– Życie rzadko kiedy zwraca uwagę na plany, Gwenith. A co do kierunku ucieczki... Cóż, udamy się do Drassil. Istnieje inne rozwiązanie?

Minuty wlekły się.

– Dobrze. Ale jeszcze nie jutro. Jutro Corban podchodzi do sprawdzianu wojownika. Meical powiedział, że musi go przejść, zanim... – Głos kobiety zadrżał i urwał się.

– Dobra, w porządku – zgodził się niechętnie Gar. – Poświęćmy jutro na przygotowania, a wyjedziemy pojutrze.

Rozległy się kroki. Gwenith opuściła pokój, a Corban tulił Burzę jeszcze długo po tym, jak kroki ucichły. Ośmielił się drgnąć dopiero wtedy, gdy znów dało się słyszeć zgrzyt oselki Gara. Wyczołgał się wówczas zza snopu siana i wstrzymując oddech, pomknął w dół po schodach. Burza runęła w mrok w ślad za nim.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

VERADIS

Veradis poprawił kolczugę na ramionach i uniósł głowę. Między bezlistnymi gałęziami prześwitywało jasne, błękitne niebo. Było jeszcze wcześniej i nad ziemią unosiła się warstewka rzadkiej mgły, a leśna ściółka była śliska od rosy. Młodzieniec mijał grupy milczących wojowników, zmierzając w stronę Alcyona, otoczonego przywódcami ich niewielkiego sojuszu. Co prawda spotkali się już minionej nocy, by omówić plan działania, ale Braster nalegał, by o świcie ponownie przeanalizować szczegóły.

Rudobrody król powitał Veradisa skinieniem.

– Wszyscy doskonale wiemy, co nas dziś czeka, a nie dotarlibyśmy tu, gdyby nie pomoc tych, którzy wcale nie musieli nam pomagać. – Ukłonił się lekko Veradisowi i Alcyonowi, po czym dodał: – Jestem wam winien podziękowania.

Romar odwrócił wzrok.

– Dobra, dość tego! – warknął Braster. – Spotkamy się wieczorem i opijemy zwycięstwo, a póki co niech kierują nami prawda i odwaga! Niech was Elyon prowadzi!

– Prawda i odwaga! – powtórzył Veradis, po czym przywódcy rozeszli się do swoich hufców.

Do młodego dowódcy kontyngentu tenebralskiego dołączyli Calidus i Alcyon.

Mieli uformować szyki za o wiele większymi oddziałami Brastera

i Romara, którzy łącznie dowodzili około trzema tysiącami ludzi. Zadaniem Tenebralczyków było osłanianie Alcyona oraz Calidusa, którzy jako jedyni byli w stanie powstrzymać ataki elementalistów. W chwili, gdy obu magom nie będzie już zagrażać niebezpieczeństwo, Veradis miał im pozostawić dla ochrony wojowników Jehar, a samemu zaatakować olbrzymy z flanki.

Calidus zwrócił mu już uwagę na to, że sami wojownicy Jehar stanowili wystarczającą gwarancję, ale Romar uparł się, by wszystkie siły Veradisa pozostały w tylnej straży.

– Jeszcze pół mili, a ujrysz Haldis, człowieka króla – rzekł Alcyon. Jego zęby błysnęły.

– Martwię się tymi olbrzymami – odparł Veradis. – Ilu ich tam będzie? Mają wielu elementalistów?

– Wielu. Ale nie martw się, mały wojowniku. Będziemy się tobą opiekować – oznajmił wielkolud. Kąciki jego ust drgnęły, jakby się uśmiechał.

– Nie o to mi chodziło. Martwię się tym, że mamy tylko ciebie i Calidusa. Jak wy sobie dacie radę z taką przewagą?

– Widziałeś go – rzekł Alcyon. – Wiesz, kim jest. My, olbrzymy, doskonalimy naszą sztukę od bardzo dawna, to prawda, ale on jest o wiele starszy od nas. – Wzruszył ramionami i dodał: – Jest naprawdę potężny.

Potem odwrócił się i ruszył ku ciemnym szeregom wojowników Jehar. Szeroki miecz podskakiwał mu na plecach.

Veradis rozstawił swój oddział przed olbrzymem. Żołnierze uformowali dziesięć luźnych szeregów, a Bos uśmiechnął się do niego szeroko i zajął miejsce w pierwszej linii.

Gdzieś z przodu rozległa się pieśń rogu i armia ruszyła naprzód przez coraz rzadszy las. Niebawem wojownicy wspięli się na wzniesienie, z którego ujrzeni ciągnące się daleko pola uprawne, doprawdy osobliwy widok w głębi lasu. Veradis westchnął ze zdumieniem, gdy po raz pierwszy ujrzał Haldis.

Najpierw dostrzegł ogromny mur, kruszący się, porośnięty

pnąciami, zawalony w tylu miejscach, że przypominał szczerbaty uśmiech starej wiedźmy. Między prześwitami widać było ogromne kurhany, dziesiątki, jeśli nie setki kopców, obrośniętych mchem i żółtymi porostami. Za nimi wznosił się klif z ciemnego granitu. Znad jego krawędzi wyrastały drzewa, a sama ściana pokryta była rozmaitymi rytami, przedstawiającymi wykrzywione twarze, walczących wojowników i różne stworzenia: wilki, orły, niedźwiedzie, draigi i węże. Każdy ryt otaczały wstęgi pisma runicznego.

Na samym dole klifu widniała zaś zwieńczona łukiem brama, tak szeroka, że tuzin olbrzymów mogłoby przejść przez nią ramie w ramie, i ciemna niczym sama noc.

Veradis zadrzał. Nigdzie nie było ani śladu Hunen. Ani śladu ruchu.

Za jego plecami nagle zaryczał róg. Alcyon, któremu najwyższy z żołnierzy sięgał zaledwie do piersi, machnął ręką, nakazując im się zatrzymać. Formacja tenebralska powoli wyhamowała na skraju zbocza.

W dole widać było mrowie wojowników obu królów, którzy przywodzili na myśl kolumnę mrówek, widzianą w lesie w okolicach Jerolin. Wydawać by się mogło, że miało to miejsce tysiąc lat temu. Pierwsze szeregi ludzi z pluskiem przedzierały się przez strumień. Veradis wypatrzył zwalistą sylwetkę króla Brastera i szeregi poprzedzających go Gadrai. Chwilę później pierwsi Gadrai dotarli do zrujnowanego muru i zaczęli piąć się po gruzowisku.

Pełną napięcia ciszę przerwał ostry dźwięk rogu, dobiegający gdzieś spoza muru, nieziemski i eteryczny. Z czarnej bramy w klifie buchnęły kłęby czegoś, co przypominało dym bądź mgłę. Zawiesina szybko rozlała się po okolicy i ruszyła wśród kurhanów ku zrujnowanemu murowi i pnącym się po nim wojownikom. Ci zamarli, widząc nadciągające zjawisko. Mgła szybko otoczyła nieruchomych mężczyzn, rozmazała ich sylwetki i spłynęła w dół,

wypełniając przestrzeń między murem a zboczem.

Przez kilka długich chwil cała dolina pogrążona była w nieziemskiej, upiornej ciszy, po czym nagle eksplodowały wrzaski. Veradis zrobił krok naprzód i się zatrzymał. Za plecami słyszał niski, potężniejszy z każdą chwilą głos Alcyona, który złął się z głosem Calidusa. Obaj śpiewali słowa, których nie rozumiał, tajemnicze, coraz głośniejsze. Jego twarz owiał niespodziewany podmuch wiatru, który też nagle przybrał na sile. Gwałtowne porywy tańczyły wokół i wyszarpywały mu kosmyki włosów spod hełmu. Veradis miał wrażenie, że żywioł skupia się wokół jego hufca, podrywając liście i wicherząc okoliczne paprocie, ale po chwili runął z wyciem w dół zbocza. Przemknął nad wodami strumienia, wzbijając pianę na falach, i niczym taran uderzył w mur oraz spowijającą go mgłę.

Opary u stóp muru natychmiast się rozpierzchły, ale napór wiatru po chwili osłabł, jakby ten natrafił na solidną przeszkodę. Głosy Alcyona i Calidusa stały się jeszcze potężniejsze i powoli, z mozołem stworzony przez nich podmuch znów ruszył naprzód, spychając kłęby mgły za mur. Te zaczęły drzeć się na strzępy, znikać i odsłaniać ludzkich wojowników, którzy z niejasnych powodów tkwili w miejscu, choć machali rękami. Veradis wyteżył wzrok, usłyszał krzyki przerażenia i po chwili odkrył straszną prawdę.

Ci ludzie zapadali się w głąb ziemi. Jedynym śladem po całych oddziałach były żelazne hełmy, kosmyki włosów, tarcze czy wystające ręce, wciąż zaciśnięte na broni. Ziemia pod ich stopami zamieniła się w cuchnące, duszące bagno.

– Niech Elyon ma nas w swej opiece – szepnął Bos.

Veradis przepchnął się ku Alcyonowi i Calidusowi, którzy stali z rękami wzniesionymi ku górze. Ich głosy łączyły się w pieśni, twarze były mokre od potu, mięśnie drżały.

– Mgła to nie wszystko! – zawołał głośno, by przekrzyczeć śpiew i krzyki. – Spójrzcie! Ci wojownicy są wciągani w bagno!

Głos Calidusa zadrżał, a on sam zachwiał się i zrobił krok naprzód. Veradis złapał go.

– Blżej! – wychrypiał starzec. – Musimy podejść blżej!

Veradis skinął głową i wrócił na czoło formacji. Dał znak i wojownicy ruszyli w ślad za nim w dół zbocza. Zatrzymał się niemalże na samym dole, raptem kilka kroków przed miejscem, gdzie teren wyrównał się, a wtedy usłyszał w głosie Calidusa osobliwą tonację. Obce słowa płynęły z nowym rytmem. Z tego miejsca młodzieniec nie obejmował już wzrokiem całego Haldis, ale nadal widział obszar u stóp muru, gdzie wrzaski były najgłośniejsze. Ludzie nadal się zapadali, wymachując rozpaczliwie ramionami. Niektórzy ugrzęźli po kolana, inni po biodra bądź klatki piersiowe. Wielu już nie żyło – ich usta pełne były czarnego błota – ale pozostali wciąż usiłowali wydostać się za pomocą mieczy czy włóczni bądź odpychali się tarczami od wsysającej ich ziemi.

Śpiew Alcyona i Calidusa przybrał na sile. Po mgłę pozostały zaledwie strzępy.

Wówczas coś nowego przyciągnęło uwagę Veradisa. Coś przemknęło nad brzegiem strumienia, a potem pojawiło się w wodzie, roztrącając fale. Nie miał pojęcia co to, ale widział, że się zbliża Wywołana przez zjawisko fala omywała brzegi strumienia, trzciny i turzyce rozstępowały się na boki.

– Widzisz to? – Młodzieniec wskazał kierunek Bosowi.

Nim wojownik odpowiedział, z wody wynurzył się srebrzystoszary łeb, wyrastający z grubego, gadziego torsu.

– Żmij! – wrzasnął Veradis.

Istota, wijąc się szeroko na boki, wypęzła z wody i z przerażającą prędkością pomknęła ku górze. Ku nim.

Chce zaatakować Calidusa i Alcyona!, uświadomił sobie młodzieniec.

Wykrzyknął rozkaz, a jego podwładni błyskawicznie uformowali mur tarcz. Wojownicy Jehar za jego plecami jednocześnie dobyli mieczy, co zabrzmiało niczym uderzenie metalowego pioruna.

– Nie podoba mi się to coś – burknął Bos.

Mnie też nie, pomyślał Veradis, chociaż nie odezwał się ani słowem.

Żmij zatrzymał się przed murem tarcz, zagaścił sploty i wystrzelił ku górze, chcąc go przesadzić. Istota była potężna – sam łeb był większy od człowieka, a zakrzywione kły dłuższe od miecza. Potwór opadł z impetem na ludzki szereg, miażdżąc zarówno tarcze, jak i ciała. Tryskała krew, pękały kości. Mur tarcz rozpadł się, wojownicy rozpierzchli się na wszystkie strony, a żmij pomknął naprzód.

Veradis, mając Bosa za plecami, skoczył za bestią i ciął ją po skórze. Ostrze wgryzło się w cielsko, choć niebyt głęboko, a z rany wyciekła półprzeźroczysta, lepka maź. Cios jednakże nawet nie spowolnił żmija, który przedarł się przez resztki muru tarcz i mknął teraz po zboczu porośniętym trawą i paprociami. Jedyłą przeszkodą na drodze ku Calidusowi i Alcyonowi, którzy nadal śpiewali, niepomni na wszystko, był luźny szereg wojowników Jehar.

Tym razem bestia nawet nie zwolniła. Rozpędzona, wdarła się między odzianych na czarno wojowników, a ci, miast próbować ją powstrzymać, uskoczyli na boki i opadli ją ze wszystkich stron. Przypominali czarną, wzburzoną falę, z której nagle wystrzelił rząd opadających mieczy.

Z tysiąca ran pociekła czarna krew. Raniony ciężko żmij zaryczał z wściekłością i szarpnął się z furją. Pochwycił któregoś z przeciwników w szczęki, trysnęła krew, ale ostre miecze wojowników Jehar dalej opadały, aż w końcu potwór z łoskotem zwałił się na ziemię. Jego ogromne cielsko przeszył spazm, a potem znieruchomiał.

Wówczas Veradis na powrót usłyszał wrzaski dochodzące od Haldis. W świętej ziemi plemienia Hunen, zamienionej w bagnisko, wciąż tonęli wojownicy, ale w pieśni Alcyona i Calidusa pojawiła się teraz nowa nuta. Młodzieniec wyczuł pod nogami drżenie,

ziemia za murem zmieniała się. Stawała się coraz suchsza i twardsza, a uwięzieni w niej ludzie wreszcie przestali się zapadać. Niektórzy, dobywając resztek sił, byli w stanie wyczołgać się bądź odkopać, ale wielu nie przeżyło i utknęło na zawsze w miażdżącym uścisku.

Calidus i Alcyon osunęli się na kolana, łapczywie wciągając wielkie hausty powietrza.

– Udało wam się – sapnął Veradis.

– Póki co – wyrzeźił starzec i przewrócił się na bok.

Niespodziewanie zza muru dobiegł ogłuszający ryk. Młodzieniec odwrócił się i ujrzał, że kurhany ożyły. Kryjąca olbrzymy iluzja znikła, a te ze wszystkich stron nacierały na ludzi, którzy jeszcze nie doszli do siebie po walce z bezlitosnym trzęsawiskiem. Tym razem mieli się zmierzyć z ogromnymi wojownikami w pancerzach z czarnej skóry bądź metalu, którzy wymachiwali wielkimi młotami wojennymi i toporami o podwójnych ostrzach.

Na nowo eksplodował chaos.

Mimo że w duszącej ziemi zginęły setki ludzi, Brasterowi i Romarowi nadal pozostało wielu wojowników. Jednakże Veradis nigdy dotąd nie widział tak przytłaczającej hordy olbrzymów. Trudno było rozeznaczyć się w tym, co się dzieje na polu bitwy. Ludzie nadal byli oszołomieni bezlitosną magią olbrzymów, przez co ci zdobyli całkowitą przewagę. Siali śmierć i zniszczenie z okrucieństwem i bezwzględnością. Gdziekolwiek Veradis nie spojrzał, widział bladych Hunen, wymachujących ciężką bronią i wojowników sojuszu, desperacko próbujących zewrzeć szyki.

Alcyon nadal klęczał, choć oddychał już nieco swobodniej.

– Co mamy począć? – spytał go Veradis.

– Zbierz ludzi i ruszaj do bitwy – rozkazał mu olbrzym. – Nim spojrzymy klęsce w oczy.

– Ale... dacie sobie radę?

– Tak – burknął Alcyon i spojrzał na Calidusa, który wciąż leżał na boku. – Elementaliści nie zaatakują ponownie, gdyż raziliby

własnych wojowników.

– A jeśli zaatakują was? Zapomniałeś już o żmiju?

– Jeśli tak się stanie, wojownicy Jehar dadzą sobie radę. – Przez twarz olbrzyma przemknął uśmiech przypominający bardziej grymas. – Nic nam nie będzie, człowieku króla. Nie bój się o nas.

Veradis myślał jeszcze przez krótką chwilę, po czym odwrócił się i odszedł.

– Zmierzaj do bramy w ścianie klifu! – zawołał za nim olbrzym. – Tam się spotkamy!

Chwilę później młodzieniec biegł już wraz z Bosem, wiodąc swój oddział w dół zbocza. Z pluskiem przedarli się przez strumień i pobiegli wzdłuż muru do miejsca, w którym konstrukcja całkiem się rozsypała. Veradis poprowadził ludzi przez obrośnięte mchem i porostami rumowisko, a po chwili byli już na terenie Haldis.

Veradis potrząsnął głową, zaskoczony. Zgiełk bitwy rozlewał się we wszystkich kierunkach, napływał i cofał się niczym fala przyboju, raz był ogłuszający, a po chwili nienaturalnie cichy. Ogromne kurhany przesłaniały widoczność. Veradis uniósł tarczę, a po nim to samo zrobił Bos i kolejni wojownicy. Tarcze zwierały się ze sobą z głuchym stukotem. Pięciuset ludzi, uformowawszy nieprzerwany szyk, ruszyło naprzód w głąb świętej ziemi Hunen.

Z początku nie natrafili na silny opór, ale w chwilę później zetknęli się z kilkudziesięcioma Hunen, którzy z dziką furją rąbali ludzkich wojowników, wciąż częściowo zagrzebanych w ziemi i desperacko próbujących się uwolnić. Pierwsze z olbrzymów, zaskoczone atakiem muru tarcz, zginęły błyskawicznie, zakłute dziesiątkami krótkich mieczy, aż przedśmiertny ryk któregoś z nich zaalarmował pozostałe. Na tarcze niespodziewanie posypały się potężne ciosy. Veradis sam przyjął kilka tak mocnych, że aż ugięły się pod nim kolana. Z oddali nadbiegały kolejne olbrzymy, które, widząc zagrożenie dla swej flanki, odłączały się od głównej bitwy i z dzikim wyciem, z wzniesionymi młotami i toporami, przyłączały się do starcia.

Wpadały w szyki Tenebralczyków, waląc naokoło. Wojownik po prawicy Veradisa osunął się na ziemię, gdy wrogi młot zgruchotał mu ramię, a potem czaszkę. Bos zachwiał się, ale wytrzymał. Inni ludzie byli wrywani z szeregu toporami, którymi olbrzymy zahaczały o tarcze, a potem rozrąbywani na kawałki. Szyk chwiało się, grożąc pójściem w rozsypkę.

– Równo! Trzymać równo! – krzyczał Veradis, nie mając pojęcia, czy ktokolwiek go słyszy, gdyż zgiełk bitewny był niemalże ogłuszający. Pchał i dźgał, stękał, gdy ramię trzymające tarczę drętwiało od ciosów wroga. Całkiem stracił rachubę czasu. Liczyła się dla niego tylko każda kolejna chwila, kolejny zaczerpnięty z trudem oddech, kolejne wściekłe pchnięcie.

Niespodziewanie napór na jego tarczę osłabł. Wyjrzał i uświadomił sobie, że przed nim nie ma już nikogo z atakujących, choć, sądząc po zgiełku, bitwa nadal trwała wśród kurhanów. Bos stał obok niego z twarzą zalaną krwią, ściekającą z rany ucha. Uśmiechnął się, a Veradis odpowiedział tym samym, czując, jak do jego ciała powraca energia.

Mur tarcz wnikał coraz dalej na teren Haldis, powoli, lecz nieubłaganie niszcząc napotkanych Hunen i pozostawiając za sobą trupy, aż dotarli do koliska wojowników, najeżonego ostrzami włóczni i mieczy, napastowanego przez kilkadziesiąt olbrzymów. Wzięte w dwa ognie wielkoludy po krótkiej walce padły co do jednego.

W centrum koliska leżał Braster, pobladły i półprzytomny, powalony ciosem młota, który zmiażdżył mu ramię. Strzegł go wojewoda Lothar. Szybko zmontowano nosze, by wynieść ранego króla poza mur, po czym Veradis na powrót uformował szyki i ruszył naprzód między kurhany.

Byli już blisko klifu, gdy odgłosy bitwy na nowo przybrały na sile. Młody Tenebralczyk odniósł wrażenie, że widzi setki Hunen, którzy desperacko bronią czarnej bramy. Wśród Gadrai walczył sam Romar, a Kastell stał plecami do pleców z Maquinem.

– Mur! – ryknął Veradis i uniósł tarczę.

Znów rozległ się głuchy stukot, a po nim rozbrzmiały powolne, bezlitosne kroki idących do boju wojów. Szli naprzód, kłuli i pchali, napierali, krok po kroku spychając ostatnich Hunen ku bramie, aż nieliczni, którzy ocalili życie, wyrwali się nagle spod ludzkich ostrzy i umknęli w mrok.

Po chwili rozległy się ochryple okrzyki tryumfu ocalałych wojowników.

– Cieszę się, że was widzę! – Veradis uśmiechnął się i ścisnął ramię Maquina.

– Przybyliście w samą porę! – Stary wojownik rozpromienił się, a potem przypadł do nich rozradowany Kastell, choć spoważniał na widok twarzy Veradisa.

Sterczały z niej drewniane drzazgi, pamiątka po toporze olbrzyma, który niemalże rozrąbał mu tarczę.

– Za mną! – ryknął Romar.

Szedł już w stronę bramy ze wzniesioną pochodnią i po chwili zniknął w mroku. Za nim skoczył Vandil i inni wojownicy. Maquin westchnął, skinął na Veradisa i podążył za królem.

– Idziesz z nami? – spytał Kastell, ruszając w ślad za przyjacielem. Obok niego szedł potężny starzec o łysej czaszce, który mógłby być ojcem Bosa.

– Jeszcze nie – odparł młodzieniec. – Muszę tu poczekać.

– Boisz się ciemności? – zakpił Kastell, po czym machnął mieczem i zagłębił się w mrok z niedobitkami Gadrai. Ich również prędko pochłonęły ciemności.

Veradis odwrócił się i przyjrzał swej formacji. Wielu wojowników padło i pod jego rozkazami pozostała zaledwie połowa ludzi, ale pierwszy miecz Tenebralu poczuł, jak rozpiera go duma. Bez niego i jego oddziału bitwa bez wątpienia zakończyłaby się przegraną.

Utworzyli ochronny krąg wokół bramy, ale nie musieli czekać długo. Wkrótce spomiędzy kurhanów wyłonił się Alcyon z mieczem zboczonym krwią. Za nim szli Calidus i wojownicy Jehar.

– I jak? – spytał olbrzym.

– Nie najgorzej, jak sędzę – odparł Veradis. – Okolica jest oczyszczona z Hunen, choć nie przyszło to łatwo. To miejsce to istny labirynt.

– A Romar? – Calidus rozglądał się.

– W środku – odparł Veradis i spojrział na ogromną bramę wykutą w skalnej ścianie.

Starzec uniósł brew.

– A z kim?

– Z pozostałymi Gadrai, których ocalało może stu, a do tego z około setką wojowników z Isiltiru. – Veradis wzruszył ramionami.

– Reszta zapewne jest rozproszona wśród tych kurhanów, o ile nadal żyją.

– Wszystkie szczury w jednej pułapce – mruknął Calidus do siebie.

– Co? – spytał młodzieniec.

– Ruszajmy! – rzucił starzec do Alcyona i Akara, kierując się ku wejściu. – Szybko, Romar będzie potrzebował naszej pomocy.

– A ja? – zawołał Veradis w ślad za Calidusem. – Nie przydam się wam?

– Ty? Nie, Veradisie, czeka nas zadanie, do którego się nie nadajesz. Pilnuj wejścia i odpocznij, jeśli będziesz mógł. Zasłużyłeś sobie na to.

Z tymi słowami starzec zniknął w mroku, a Alcyon i wojownicy Jehar udali się w ślad za nim. Veradis pomyślał o Maquinie oraz Kastellu i poczuł ucisk w żołądku. Zrobił kilka kroków ku bramie, lecz zatrzymał się. W głowie usłyszał słowa Nathaira: „Niech Calidus zajmie się polityką”.

Ostrzegłeś ich, odezwał się głos w jego umyśle.

– Tak, ostrzegłem ich – szepnął do siebie i odwrócił się od klifu.

Calidus to Ben-Elim, pomyślał. Postąpi tak, jak należy.

Ocalił życie i przyczynił się do zwycięstwa, ale pomimo swych rozkazów i stanowczości, z jaką oddalał od siebie zwątpienie, jego

bierność nagle obudziła w nim wstyd.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

CORBAN

Corban wyszedł na Jarzębinową Łąkę. Słońce nadal wisiało nisko na bezchmurnym niebie, a chłopak w duchu szykował się na to, co ma nadejść.

– Zapowiada się dobry dzień – zagrzemiał idący obok niego Thannon i ścisnął mu ramię.

– Tak – odparł Corban, czując lekkie mdłości.

Uśmiechnięty Halion stał oparty o stojak z bronią. Na widok chłopaka uniósł dłoń.

– Zaczekam tutaj – rzekł kowal. – Popilnuję Burzy.

Halion w tradycyjny sposób uściskał przedramię swego ucznia.

– Witaj na Jarzębinowej Łące, Corbanie ben Thannon – odezwał się uroczyście.

– To Łąka czyni mi zaszczyt – odparł chłopak zgodnie z tradycją. Wpatrywał się w Haliona i usiłował nie odwrócić wzroku, choć słyszał, jak napływają inni wojownicy.

– Mam tu coś dla ciebie – rzekł Halion i wyciągnął włócznię ze stojaka. – Myślę, że jej waga będzie ci odpowiadać.

Corban złapał włócznię obiema rękami i przytrzymał ją w poziomie. Drzewce wycięto z jasnego jesionu, poprzecinanego ciemnymi żyłkami, a koniec okuto żelazem dla lepszej równowagi. Ostrze, uformowane na podobieństwo liścia, było długie i wiło się harmonijnie. W niczym nie przypominało tradycyjnych ostrzy

w kształcie klina, do których chłopak był przyzwyczajony. Uniósł broń na wysokość barków, by sprawdzić ciężar i niemalże natychmiast odnalazł punkt równowagi. Miał wrażenie, że włócznia jest lekka niczym piórko.

Halion chrząknął z aprobatą.

– Wielkie dzięki – rzekł Corban.

– Trafia prosto do celu – odparł wojownik i zerknął na stojak. – Uznałem, że będzie ci służyć lepiej niż te stare dzidy. Ja jestem z niej bardzo zadowolony.

– To zwyczaj w twoich stronach? – spytał Corban, który zmarszczył brwi, bo nagle uświadomił sobie, że nie ma się czym odwdzińczyć za podarunek.

– Zwyczaj? Nie, skądże. Po prostu dobrze się bawiłem, ucząc cię, a to nasz ostatni dzień. Dobrze jest podkreślić taką chwilę stosownym darem.

Corban uśmiechnął się.

– Raz jeszcze dziękuję.

– Dobrze. Poszukajmy lepiej jakiejś tarczy. Powinieneś przyzwyczaic się nieco do włóczni, zanim rozpoczniemy sprawdzian.

Chłopak zgodził się skwapliwie. Nie miał zamiaru rozpocząć swego sprawdzianu od niecelnego rzutu na oczach tłumu wojowników. Ruszyli ku słomianym tarczom i wkrótce znaleźli wolną, ale nim Corban zdołał nabyć choć odrobinę wprawy, pojawił się Conall. Szedł ku nim szybko, a jego twarz wykrzywiał gniew.

– Dostałem wiadomość od ciebie – warknął. – Czy raczej wezwanie!

– Musiałem się z tobą zobaczyć, Con – rzekł Halion.

– A po co? Kolejne rozkazy, czy tak?

Halion zmarszczył brwi.

– Tak, nie mylisz się.

Conall skrzyżował ramiona w oczekiwaniu.

– Będiesz jak zwykle pilnował Edany, ale pozwolono jej opuścić fortecę, więc bądź czujny.

– Jestem wojownikiem, Hal, a nie piastunką!

Halion westchnął.

– Nie rozumiesz, że to wielki zaszczyt? – powiedział powoli, a Corban zrozumiał, że nie mówił bratu tych słów po raz pierwszy.

– A ty musisz na nowo zdobyć zaufanie Brenina.

– Zaufanie! Zaszczyt! – parsknął Conall. – Niańczenie jakiegoś dzieciaka? Dlaczego ty mnie tak traktujesz?

– Ja tylko próbuję ci pomóc – rzekł ostro Halion.

– To mój ostatni dzień! – odciął się Conall. – Ewnis zaproponował mi miejsce w swojej drużynie – rzucił, odwracając się. – Nie mam zamiaru stać dłużej w twoim cieniu.

Halion chciał go zatrzymać, ale jego brat odszedł, nim udało mu się znaleźć odpowiednie słowa.

– Ach... – Westchnął w końcu, a gniew na jego twarzy przeszedł w smutek. Zerknął na Corbana. – Wygląda na to, że próbuję mu pomóc przez całe życie.

– Niewdzięcznik! – oznajmił chłopak pod wpływem emocji.

– Nie, Corbanie, jego zdaniem to żadna pomoc. Mój brat to człowiek zaślepiony dumą. Może to ja popełniam błąd? – Pokręcił głową i dodał: – Mniejsza o to. Są o wiele ważniejsze sprawy od humorów mego brata. Łap za włócznię, chłopcze, i rzucaj!

Corban zrobił to, o co go poproszono. Za pierwszym razem włócznia wbiła się nieco za wysoko, ale wkrótce chłopak wyczuł właściwości daru Haliona i uświadomił sobie, że to naprawdę niezwykła broń. Na Łące panował już spory ruch i Corban widział wiele znajomych twarzy. Nie dostrzegł z początku jedynie Gara, który dopiero po jakimś czasie wjechał na Łąkę na grzbiecie Tarczy. Białobrązowa sierść ogiera lśniła od potu.

– Dobrze – rzekł Halion. – A więc możemy zaczynać.

Wojownik odmierzył odległość czterdziestu kroków od tarczy i zaznaczył miejsce piętą buta.

– Corbanie ben Thannon! Rozpocznij próbę włóczni! – oznajmił głośno, a ciszej dodał: – Nie przejmuj się publicznością. Nie zwracaj

na nikogo uwagi. Przycełuj powoli i rzuć dopiero, gdy będziesz miał pewność.

Corban pokiwał głową, ale w ustach niespodziewanie poczuł suchość. Rozstawił odpowiednio nogi, uniósł włócznię i zmrużył oczy, wpatrując się w cel. Skupił się na nim tak, jak go uczono, i niebawem przekonał się, że wrzawa dookoła ucichła, a jedynym słyszalnym odgłosem pozostało bicie serca. Liczył się tylko ciężar włóczni i cel w oddali.

Zamachnął się i cisnął.

Włócznia zakreśliła łuk w powietrzu i z łupnięciem wbiła się w tarczę o wysokość dłoni nad jej środkiem.

– Pierwszy rzut! – zawołał Halion.

Corban powtórzył rzut sześciokrotnie i dopiero po całej serii pozwolił sobie na uśmiech skierowany do Thannona i reszty widzów. Następnie wojownik podszedł do niego z mieczem ćwiczebnym.

– Przećwiczymy wszystkie podstawowe pozycje – rzekł. – Tak jak podczas naszych treningów.

– W porządku – odparł Corban, który czuł się już nieco pewniej. Machnął kilkakrotnie ostrzem, żeby rozciągnąć mięśnie ramion i pleców.

Halion stanął naprzeciwko niego i uniósł kij, a wtedy Corban rzucił się do natarcia. Trzymając miecz oburącz, metodycznie prezentował wszystkie pozycje, których nauczył go wojownik. Najpierw, pamiętając o właściwym ustawieniu stóp i odpowiednim kącie uderzenia, celował w szczególnie wrażliwe miejsca, takie jak gardło, serce i krocze, a potem wykonał serię ataków w strefy, które mogły okaleczyć lub wyłączyć z walki przeciwnika, ale niekoniecznie go zabić. Próbował nie korzystać z lekcji, które wpoił mu Gar, ale nie był w stanie wyzbyć się wszystkich odruchów. Niektóre elementy wkradły się niespostrzeżenie do jego techniki, przez co ruchy chłopaka stały się płynniejsze. Jedno uderzenie błyskawicznie przechodziło w drugie, odbierając przeciwnikowi

czas na reakcję.

Sytuacja w niczym nie przypominała tego, przez co przeszedł w Ciemnym Borze, gdzie przez cały czas ryzykował własnym życiem. Instynkt pokonał strach i Corban uświadomił sobie, że zaczyna się dobrze bawić. Dał się porwać dzikiemu zapałowi i z uśmiechem na ustach przypuszczał coraz szybsze i zacieklejsze ataki na Haliona, zmuszając pierwszy miecz Ardanu do ciężkiej pracy. Wojownik jednakże sam również poruszał się z gracją i choć Corban nacierał bez wytchnienia, skutecznie odpierał wszystkie jego ciosy.

Niespodziewanie Halion cofnął się i Corban uświadomił sobie, że zaprezentował już wszystkie pozycje ataku. Jego nauczyciel uniósł rękę i się uśmiechnął.

– Dobra robota – rzekł i podszedł do stojaków z bronią, skąd wziął sfatygowaną tarczę i podał ją chłopakowi.

Ten w międzyczasie zauważył, że zgromadziła się wokół nich spora grupa widzów. Rozpoznał twarze Evnisa, Vonna, Helfacha i Rafe'a, którzy wpatrywali się w niego z zaskoczeniem. Nawet Thannon i Dath mieli zdumione miny. Corban zmarszczył lekko brwi, nie wiedząc, co je wywołało. Przechwycił spojrzenie przyjaciela, ale nie umiał nazwać emocji, które w nim wychwycił. Nabozny podziw? Pokręcił głową, wsunął ramię pod rzemienie tarczy i przygotował się na drugą połowę sprawdzianu walki mieczem.

Tym razem atakował Halion, którego zadaniem było przetestowanie obrony chłopaka i Corban musiał uwijać się jak w ukropie. Gar nigdy nie korzystał z tarczy i to Halion nauczył go wszystkiego, co umiał. Mimo to dawał sobie dzielnie radę – sparował wszystkie ataki swego nauczyciela, choć niektóre z nich w ostatniej chwili. Jego lewe ramię szybko zdrętwiało od nawałnicy ciosów. Kilkakrotnie mało brakowało, a sam rzuciłby się do natarcia. Z trudem opierał się instynktowi, który nakazywał mu działać i wykorzystać zarówno miecz, jak i tarczę jako broń, ale

zdusił go w sobie, pamiętając, że to przecież jedynie test defensywny.

Halion znów się cofnął.

– Nie mam uwag – oświadczył.

Corban wyciągnął włócznie i spostrzegł, że Gar podprowadza Tarczę.

I proszę, pomyślał. Jeszcze tylko pogoń za wierzchowcem i sprawdzian dobiegnie końca. Potem Długa Noc i wkroczę w dorosłość.

Nagle zabrakło mu tchu. Sprawdzian pochłonał go całkowicie – zatracił się w świetle włócznie, miecza i tarczy, ataku i bloku, ale doniosłość wyzwania znów go przytłoczyła.

Skup się! – przykazał sam sobie. Wystarczy jeden fałszywy krok, a będzie po tobie. Nie wiadomo, co gorsze, połamane kości czy upokorzenie po błędzie popełnionym na oczach najwybitniejszych wojowników Ardanu.

Otarł spocone dłonie i mocniej ujął włócznie. Gar nie spuszczał go z oczu i czekał na sygnał. Corban skinął do niego.

Wówczas stajenny cmoknął i rozpędził Tarczę do łagodnego kłusu. Biegł z nim kawałek, po czym przystanął, a ogier pognał galopem na Corbana. Ten uniósł tarczę oraz włócznie i rozstawił odpowiednio nogi. Koń był coraz bliżej, a kopyta wprawiały ziemię w drżenie.

Chłopak ruszył z miejsca. Tarcza przemknęła obok niego, a wtedy przyśpieszył. Krew tętniła mu w skroniach, dobywał wszystkich sił, by dogonić swego wierzchowca, aż wyczuł rytm jego biegu, wyciągnął rękę trzymającą tarczę i złapał go za grzywę. Wykorzystał pęd konia, by odbić się i wyskoczyć. Ułamek sekundy, w którym znajdował się w powietrzu, rozciągnął się w nieskończoność. Czuł, że mknie w górę niczym pozbawiony wagi. Wygiął się, zamachał nogami, aż wreszcie z ulgą wylądował w siodle. Tarcza nawet nie zwolnił.

Siedział nieruchomo, czując, jak jego wierzchowiec z każdym

krokiem napina mięśnie. Przez kilka długich sekund wsłuchiwał się jedynie w łomot własnego serca, po czym uniósł tarczę i włócznię ku niebu. Zimne powietrze wyrwało mu łzy z oczu. Uświadomił sobie, że skądś dobiega wrzawa. Odwrócił się i ujrzał ludzi, którzy krzyczeli do niego, wiwatowali i tłukli włóczniami o tarcze. Odruchowo przeszukał tłum, aż odnalazł wzrokiem ojca. Nigdy dotąd nie widział, by ojciec uśmiechał się tak szeroko. Corban uniósł zaciśniętą pięść, wrzasnął z radości i przywołał do siebie Burzę. Czekająca obok kowala wilkunica zerwała się i pognąła za ogierem, który, popędzony przez swego pana, pędził teraz galopem, aż ziemia strzelała mu spod kopyt. Chłopak ze swobodą prowadził konia i rozglądał się za Garem. Stajenny stał z pochyloną głową.

Na Łące pojawił się Brenin, któremu towarzyszył jego własny orszak oraz goście z Tenebralu, którzy powiedli wzrokiem za galopującym chłopakiem. Ten zaś ujrzał, jak Nathair z zaskoczeniem spogląda na wilkunicę, a potem ich spojrzenia się zetknęły. Świat niespodziewanie się skurczył, a chłopak ujrzał cień, wręcz ciemność, która gromadziła się nad królem Tenebralu. Nagle poczuł ukłucie strachu, ale Tarcza już minęła gości, a Corban odruchowo ściągnął wodze, by podjechać do Haliona. Znow się rozejrzał w poszukiwaniu Gara, ale nigdzie nie mógł go dostrzec. Do jego umysłu, nieproszone, napłynęły słowa, które usłyszał poprzedniego dnia, ale nie chciał o nich rozmyślać.

Ześlizgnął się z siodła i rozpromieniony stanął przed swoim nauczycielem, który skinął głową z aprobatą. Chwilę później przywołano Thannona, który podszedł bliżej, górując wzrostem i budową ciała nad oboma. Odwinął z płótna miecz i wyciągnął go w stronę syna, a ten uklęknął, by dopełnić w ten sposób ceremonii.

– Corbanie ben Thannon! – zawołał Halion. – Przybyłeś na Łacę jako dziecko, a opuszczasz ją jako mężczyzna i wojownik. Teraz powstań i ujmij swój miecz.

Corban wstał i pochwycił podawaną mu broń. Aż westchnął

z zachwytu, gdy przyjrzał jej się uważniej. Wykonana z ciemnego żelaza głowica była uformowana na podobieństwo warczącego wilkuna. Zerknął na twarz ojca i ujrzał na niej wielką radość. W oczach kowala błyszczały łzy.

– Dziękuję – szepnął.

Ostrze świsnęło, wyciągane ze skórzanej pochwy. Chłopak uniósł oręż ku słońcu, którego jasność natychmiast zamieniła miecz w biały płomień, tak jak w starych opowieściach.

– Pilnuj go dobrze – rzekł Halion. – Nie zapominaj też o prawdzie i odwadze. A teraz pora, byś złożył przysięgę.

– Oddaję me ramię, mój umysł, mą duszę i mą siłę, by służyły królowi oraz rodzinie – rzekł uroczyście Corban i przeciągnął mieczem po dłoni. Zacisnął pięść, by krople ściekły na ziemię. – Przysięgam z głębi serca, a przypieczętowuję swe słowa krwią.

Thannon uśmiechnął się do syna, a słuchający przysięgi ludzie zaczęli wiwatować. Wokół Corbana zebrał się już spory tłum, a wszyscy wpatrywali się w chłopaka, jakby na ich oczach działo się coś szczególnego. Wtedy ojciec przypadł do niego i zmiażdżył go w uścisku przypominającym niedźwiedzi.

* * *

Chłód zastąpił słoneczny blask, gdy Corban przejeżdżał pod Kamienną Bramą. Niemalże bezszelestna Burza dreptała za nim. Kiedy kopyta zadudniły na moście Dun Carreg, chłopak znów ujrzał słońce, chylące się już ku zachodowi. Cienie stawały się coraz dłuższe. Wkrótce znalazł się na trakcie olbrzymów, a wtedy skierował się ku lasowi Baglun. Szukał odpowiedniego miejsca na Długą Noc, a teren między fortecą i Baglunem wydawał się zbyt znajomy. Chciał, by Długa Noc była nowym doświadczeniem, by zapadła mu w pamięć na zawsze, tak jak wszystko, co się wydarzyło tego dnia.

Jechał, aż zaczęło się zmierzchać i świat spowity odcienie szarości, coraz ciemniejsze, w miarę jak czerwona kula słońca nurzała się coraz dalej za horyzontem. Ściągnął wodze Tarczy na skraju leśnej dolinki, u stóp ciemnego, granitowego głazu, dającego osłonę przed ostrym wiatrem dmącym od strony wybrzeża. Zeskoczył z siodła i znów poczuł na udzie ciężar miecza, do którego jeszcze się nie przyzwyczył. Ujął broń i przez dłuższą chwilę przyglądał się jej z zachwytem. Potem zajął się Tarczą i wreszcie rozpalil niewielkie ognisko. Zasiadł przy nim i wpatrzył się w księżyc, którego blada poświata rozlewała się dookoła. Czuł ogromne znużenie. Ekscytacja wywołana wydarzeniami dnia powoli opadała i Corban wreszcie miał okazję, by przemyśleć złowieszcze słowa Gara.

Sama myśl o tym, że miałby opuścić Dun Carreg, wzbudziła w nim wielki strach i uświadomiła mu, jak bardzo kocha to miejsce i mieszkających tu ludzi. Miał tu przecież wszystkich przyjaciół. Jego serce należało do Dun Carreg.

Nie. Nie miał zamiaru nigdzie wyjeżdżać. Bez względu na to, co usłyszy od mamy i Gara, bez względu na to, co łączyło Gara z Sumurem. Był teraz wojownikiem i mężczyzną. Mógł sam za siebie decydować. Uniósł dłoń i dotknął warkoczyka – jego warkoczyka wojownika, który mama wraz z Cywen zaplotły mu po południu i związały cienkim rzemieniem.

Halion uczynił mu wielki zaszczyt, prosząc o to, by jego sprawdzian oraz Długa Noc odbyły się wcześniej, ale tę decyzję dyktowały również względy praktyczne. Wszak zanosilo się na wojnę z Rhin. Wojownicy Ardanu mieli wkrótce wyruszyć w kierunku Cambrenu. Wówczas przyda się każdy człowiek zdolny do noszenia broni.

Myśl ta obudziła w nim lęk.

Zanosil się na wojnę, powtórzył, ale zdusił opanowujący go strach. Lepsza wojna niż wyjazd.

Odruchowo wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

Był on spory, dłuższy od typowego, z półtoraręczną rękojęcią, na co zdecydował się po rozmowie z ojcem. Ze względu na swe treningi z Garem preferował broń dwuręczną, ale to wykluczałoby tarczę, a z tego rezygnować nie chciał. Wykonana przez Thannona broń miała niemalże zasięg miecza dwuręcznego, ale Corban, dzięki niekończącej się harówce w kuźni oraz ostremu treningowi, któremu przez dwa lata poddawał go kowal, był wystarczająco silny, by władać nim tak zręcznie jak krótszym i lżejszym mieczem. I dzięki temu mógł nadal korzystać z tarczy.

Po chwili ogarnęła go senność, a powieki same zaczęły się zamykać. Potrząsnął głową – wszak Długa Noc powinna upłynąć na bezsennym czuwaniu. Myślami powrócił do pewnego nieprzyjemnego wspomnienia.

Nathair.

Wszyscy ludzie w twierdzy plotkowali na temat króla Tenebralu, który był człowiekiem przystojnym i miłym w obejściu, przez co szybko zdobył sobie wielką popularność.

Corban dostrzegał w nim jednak coś, co nie dawało mu spokoju. Za każdym razem, gdy go widział, wyczuwał cień, obecność jakiejś innej istoty...

Czy ty aby nie popadasz w obłęd? – zadrwił sam z siebie. Oto widzisz rzeczy, które nie istnieją, a to pierwsze objawy szaleństwa. Nie pamiętasz, co mówiła Brina?

Mimo to wspomnienie cienia otaczającego Nathaira sprawiło, że zadrzał. Wiatr przynosił dziwne, niepokojące dźwięki, ale Burza nadal spała spokojnie. Chłopak dmuchnął w złożone dłonie. Było zimno, a podmuchy znad morza sprawiały, że robiło się jeszcze chłodniej. Sięgnął po koc.

Posiedzę tu jeszcze chwilę, pomyślał. Niech no tylko ogrzeję się nieco pod kocem.

* * *

Przebudził się gwałtownie, zziębnięty i zeszywniały. Jego niewielkie ognisko dawno wygasło. Nadal było ciemno, choć niebo zaczęło już szarzeć, a gwiazdy blakły. Widział Burzę i Tarczę, więc doszedł do wniosku, że zbliża się świt.

Uznawszy, że nie ma sensu siedzieć nieruchomo, zerwał się, szybko pozbierał swoje rzeczy i zaczął siodłać Tarczę. Czuł w sercu winę. Wiedział, że nie powinien był spać podczas Długiej Nocy, i zastanawiał się, czy nie powiedzieć o wszystkim Halionowi.

Po chwili był już gotów. Wsuwał włócznię w skórzaną tuleję przy siodle, gdy Burza nagle uniosła łeb i warknęła. Corban spojrzał w tym samym kierunku.

Spomiędzy drzew wypadł jeździec, który z pluskiem pokonał potok i pognął ku traktowi olbrzymów. Na widok Corbana ściągnął wodze i zawrócił ku niemu spienionego rumaka.

– Ktoś się jeszcze przedostał?! – zawołał, ale jego ochryply głos był nieledwie głośniejszy od szeptu.

– Że co? – spytał chłopak, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

– Posłańcy z Badun! – wyrzucił z siebie przybysz.

– Nie. Nikt.

Mężczyzna zaklął, splunął na ziemię i zerknął przez ramię.

– Pędź! Oni są tuż-tuż! – popędził go. – Badun padła!

– Co, ale...

– Jedź! Nie ma czasu na żadne „ale”! – parsknął nieznajomy i wbił pięty w końskie boki.

Corban patrzył, jak obcy znika w oddali, po czym jego uwagę przyciągnęły odgłosy dochodzące z dna doliny. Spomiędzy drzew wyłoniło się kilkunastu jeźdźców dzierzących włócznie. Chłopak zmarszczył brwi. Nie podobał mu się ten widok – miał wrażenie, że obcy wojownicy poruszają się z ostrożnością i rozglądają się czujnie.

Potem dostrzegł ruch przy przeciwległej krawędzi doliny. Na trakcie olbrzymów, w odległości może mili, pojawili się inni jeźdźcy, tym razem w większej liczbie. Blask nadciągającego dnia wydobył z półmroku całą kolumnę, która szybko zmierzała ku niemu. Po

obu stronach szlaku rozlewała się z kolei szeroką strugą piechota, zbrojna we włócznie i proporce łopoczące pod jaśniejącym niebem. Corban patrzył urzeczony, aż znad horyzontu wyłoniło się wreszcie słońce. Jego promienie zaślniły na ostrzach włóczni niczym tysiące świec.

Pełznął ku niemu ogromny hufiec wojowników w czerwonych płaszczach, nad którymi łopotały niezliczone proporce z bykiem Narvonu.

Przybył Owain.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

CORBAN

Corban wskoczył w siodło i ruszył w górę zbocza ku traktowi olbrzymów. Raz jeszcze spojrzął przez ramię na wielki hufiec oraz poprzedzających go zwiadowców, którzy zbliżali się już do przecinającego dolinę strumienia. Na jego oczach jeden z nich wskazał go pozostałym.

Serce mu podskoczyło. Bez wahania kopnął w boki Tarczy i pogalopował przed siebie, ścigany okrzykami i pluskiem rozbryzgiwanej kopytami wody. Popędzał konia bez litości. Serce było mu jak szalone, a panika przybierała na sile.

W końcu ujrzał chatkę Briny. W oddali wznosił się ku niebu masyw Dun Carreg, wciąż rozmazany w mglistym blasku świtu. Chłopak ściągnął wodze Tarczy, który sapał głośno w zimnym powietrzu poranka, i stanął w strzemionach. Daleko przed sobą widział chmurę kurzu uciekającą spod kopyt poprzedzającego go posłańca, który właśnie wjeżdżał do wsi.

Corban popędził Tarczę i po chwili wyhamował przed chatką uzdrowicielki. Ta właśnie nachylała się nad grządką z jastrzębcem, wrywając ziolo.

– Brino, musisz uciekać! – zawołał chłopak.

– Co takiego? – parsknęła uzdrowicielka, szarpiąc za łodygę, która najwyraźniej postanowiła mocno trzymać się ziemi. – Wystarczyła jedna noc poza domem, by ci kompletnie odbiło?

– Nadciąga armia Owaina! – wysapał Corban. – Tysiące ludzi! Są jeszcze w odległości mili, ale gonią mnie ich zwiadowcy!

Brina wpatrywała się w niego przez chwilę, ale podniosła się w końcu i wtargnęła do chaty, wołając Crafa.

– Szybciej! – wrzasnął chłopak.

Chwilę później uzdrowicielka wybiegła z workiem na plecach. Kruk łopotał skrzydłami w ślad za nią, kracząc z niechęcią. Kobieta z zaskakującą zręcznością wspięła się na Tarczę, usiadła za Corbanem i otoczyła go ramionami. Wierzchowiec ruszył między olchy.

Chłopak spojrział na wschód i ujrzał szereg jeźdźców, rozciągnięty wzdłuż drogi i poruszający się szybko naprzód. Było ich więcej niż tuzin zwiadowców, których widział przed momentem. Wbił pięty w końskie boki i skoczył naprzód. Craf śmigał po niebie nad nimi, Burza sadziła susami obok. Przecięli łąkę w drodze na trakt, po czym chłopak skierował się ku Havan, pochylony nisko w siodle, nakłaniając Tarczę do większego wysiłku.

Gdy wpadli między zabudowania, zaczął wykrzykiwać ostrzeżenia, ale wyprzedający go jeździec już to uczynił i ludzie roili się między domami, a większość z nich kierowała się traktem ku fortecy. Chłopak podjechał do domu Datha, zeskoczył z siodła i załomotał do drzwi. Otworzyła mu Bethan. Grymas niechęci natychmiast zniknął z jej twarzy na widok miny Corbana.

– Co się dzieje? – spytała.

– Owain nadciąga. Nie zostało wam wiele czasu. Gdzie Dath?

– Tutaj, Ban! – Jego przyjaciel pojawił się za plecami siostry.

– Musicie stąd uchodzić! – Corban złapał Bethan za ramiona, ale ta wyrwała mu się.

– Ale ojciec... – bąknęła.

– Gdzie on jest?

– Tam! – Dath wskazał wewnątrz domu.

– Zaprowadź mnie do niego!

Mordwyr leżał na łóżku z dzbanem *usque* w ramionach

i pochrapywał. Wszelkie próby dobudzenia go spełzły na niczym, aż wszystkich rozepchnęła Brina, która wylała mężczyźnie dzban zimnej wody na głowę. To oraz jej wściekła mina ocuciły Mordwyrę na tyle, że zdołał wytoczyć się z domu. Prowadził go Corban, a Dath podpierał od tyłu.

Na dworze Corban kazał Brinie i Bethan dosiąść Tarczy i pognać do fortecy, a on wraz z Dathem poprowadził chwiejącego się rybaka przez wieś, gdzie dołączyli do gęstniejącego tłumu, zmierzającego stromą drogą do Dun Carreg. Po chwili zatrzymali się i spojrzeli za siebie. Znad chaty Briny bił już czarny, kłębisty dym, a dalej na horyzoncie rozlewała się ciemna masa wrogiego wojska. Między chatą a wsią kłębili się zwiadowcy Owaina.

– Dalej! – popędził ich ostro Corban i odwrócił się ku Dun Carreg.

Gdy znaleźli się w połowie stromego zbocza, wciąż prowadząc protestującego przez cały czas Mordwyrę, usłyszeli dobiegający z góry łomot kopyt. Po chwili obok nich przemknął Pendathran prowadzący zastęp wojowników. Zjechali do wsi, a tam rozwinęli szyki, osłaniając chłopów przed nadciągającymi zwiadowcami Owaina.

Naraz ujrzeni Gara, który jechał ku nim na swym wielkim srokaczu.

– To prawda?! – zawołał, podjeżdżając bliżej.

W odpowiedzi Corban wskazał dłonią za siebie, na chmurę wojowników zalewających łąki. Gar wpatrywał się w nich przez moment, co wystarczyło, by chłopak dostrzegł pełne sakwy i bukłaki przytroczone do siodła Młota. Zauważył też wśród nich długi przedmiot owinięty w skórę.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał.

– Taki miałem zamiar, ale pora go zmienić. Chodźcie, musicie dostać się do fortecy!

Nie bez trudu wciągnęli Mordwyrę na siodło wierzchowca Gara. Potem ruszyli ku bramie, co teraz poszło znacznie szybciej. Mama

oraz siostra Corbana czekały na nich na dziedzińcu, ale uwadze chłopaka nie umknęło to, że obie miały na sobie stroje podróżne i płaszcze. Obok stał pochmurny Thannon z nowym młotem w garści.

– Tarcza jest w stajni! – powiedziała Bethan, przejmując od Corbana wodze Młota i wwożąc swego ojca do twierdzy. – Zajęłam się nim!

Przekazawszy Mordwyrę córce, Corban i pozostali wspięli się po schodach na mury. Wieś została już zajęta, a na zboczach wzgórza roiło się od maruderów, gnających ku bezpiecznej fortecy. Ostatni spośród nich przekraczali już most, a w ich liczbie Torin, jadący wozem wyładowanym workami i beczkami. Osłaniali ich jeźdźcy Pendathrana.

Gdy wszyscy pokonali most, okute żelazem skrzydła Kamiennej Bramy zostały zatrzaśnięte, a zasuwki opadły na miejsce. Zewsząd dobiegały pokrzykiwania zaskoczonych, przestraszonych Ardańczyków.

Na dziedzińcu pojawił się król Brenin z Halionem i kilkoma wojownikami. Za nimi podążali Heb, Ewnis i goście z Tenebralu. Król naradził się z Pendathranem, a potem wszedł po schodach nad Kamienną Bramę, by spojrzeć na wzniesiony nad przepaścią most, łączący Dun Carreg z lądem. W międzyczasie wroga straż przednia zatrzymała się kilkadziesiąt kroków przed mostem, a z cizby wojów w czerwonych płaszczach wyszedł sam Owain.

– Kuzynie! – zawołał, lustrując wzrokiem blanki. Jego potężny głos odbił się echem od kamiennych murów.

– Jestem tu! – odkrzyknął Brenin.

– Mój syn okazał ci większą gościnność, gdy odwiedziłeś moje ziemie! – Owain wskazał zamknięte bramy.

– To prawda! – zawołał władca Ardanu. – Ale ja zostałem zaproszony! Ty zaś nie!

– Podarujmy sobie te przepychanki słowne! – parsknął Owain. – Jesteś uwięziony i nie masz szans na ucieczkę. Poddaj się wraz ze

swą córką i Pendathranem, a oszczędzisz sobie w ten sposób rozlew krwi.

– Jesteś głupcem, Owain. Stałeś się narzędziem Rhin w tej zabawie! Jej kukiełką!

– Przestań kłamać! – ryknął król Narvonu. – To Marrock zabił Uthana! Widziało go wielu ludzi, gdy wychodził z komnat mego syna! To ty wydałeś na niego wyrok! To ty zabiłeś Uthana! – Owładnięty furia, nie mógł dojść do siebie przez dłuższą chwilę, ale w końcu zacisnął zęby i wbił nienawistny wzrok w Brenina. – W ramach rekompensaty wymażę twoją linię z kart historii! – dodał.

– Jesteś zaślepiiony! – odparł Brenin. – Pragniesz mnie pokonać, tak? Jakim sposobem? Spójrz na te mury! Twe groźby są bezpodstawne. Możesz tłuc w mą bramę aż po Dzień Zimowego Przesilenia, a my nawet tego nie zauważymy.

– Może! – odkrzyknął Owain. – Ale czy masz wystarczająco dużo żywności? Bo mnie się jakoś nie śpieszy do domu. Chętnie zostanę i przekonam się, czy twoi ludzie nadal będą cię kochać, gdy przyciśnie ich głód i zaczną za ciebie umierać. Dobrze się zastanów. Zjawię się tu znów jutro o tej samej porze. – Już zaczął zawracać konia, ale zatrzymał się. – Byłbym zapomniał! Mam coś, co powinno ci pomóc w przemyśleniach!

Jeden z jego ludzi odwiązał niewielki worek od siodła i podał go władcy, a ten wysypał jego zawartość.

Po kamiennych płytach potoczyła się ludzka głowa. Oblicze zniekształcił grymas strachu lub bólu, ale nadal można było rozpoznać rysy.

Patrzyli na twarz Gethina, władcy Badun.

Rozdział osiemdziesiąty

CYWEN

Cywen mruzczała do siebie ze złością, skrobiąc nożem kopyta Młota. Pracowała szybko i sprawnie, na ziemię spadały drobinki ziemi i źdźbła stratowanego siana. W stajniach nie było prawie nikogo. Wszyscy gromadzili się na murach, skąd przyglądali się armii Owaina lub ćwiczyli na Jarzębinowej Łące. Na samą myśl o tym dziewczyna zakłęła i jeszcze szybciej zaczęła skrobać końskie kopyta.

Minęły dwie noce od przybycia władcy Narvonu, a Brenin oznajmił, że każdy, kto miał przystąpić do Długiej Nocy przed Dniem Zimowego Przesilenia może przystąpić do sprawdzianu wojownika szybciej i dołączyć do walczących. Wymagania te spełniali niemalże wszyscy chłopcy, których znała Cywen, a w ich liczbie Dath.

Ten sam Dath, z którym walczyła niemalże codziennie, i którego zawsze pokonywała! I ten wielki niezguła Farrell, powolny jak wół! Skrzywiła się, wyobrażając sobie ich wszystkich, jak udają dorosłych mężczyzn i wojowników.

Przed jej oczami na powrót stanęła twarz Ronana i pęcherzyki jasnej krwi na jego ustach.

Przecież to nie zabawa! – pomyślała. Nikt z nich tego nie rozumie! Nikt z wyjątkiem Bana. Przecież on też tam był, widział zabitego Ronana, nawet wziął udział w walce.

Poczuła nagły przypływ miłości i dumy z brata, gdy przypomniała sobie jego sprawdzian wojownika. Z bezgranicznym zaskoczeniem patrzyła, z jaką zajadłością naciera na Haliona i z każdą upływającą sekundą czuła coraz mocniej, że jest świadkiem czegoś niezwykłego. Miny innych widzów sugerowały, że nie ona jedna odnosi takie wrażenie.

Wrota do stodoły stanęły otworem i dziewczyna zamrugła, oślepiąca nagłym zalewem światła. Kilka uderzeń serca później zjawił się przy niej sam Brenin, któremu towarzyszyli Ewnis wraz z synem oraz Edana i Halion.

– Szukam Gara – oznajmił król. – Czy jest gdzieś tutaj?

– Nie, mój panie – odparła Cywen. – Myślałam, że jest w zagrodzie.

– To się pomyliłaś – warknął władca.

– A więc przykro mi, ale nie mam pojęcia, gdzie jest. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Przez ostatnie dwa dni znalezienie Gara w istocie graniczyło z cudem. Pojawiał się na moment, wydawał serię poleceń i znów znikał. Od sprawdzianu wojownika Corbana zachowywał się dziwnie, podobnie zresztą jak jej matka. Oboje nalegali, aby przygotowała się do długiej podróży, ale żadne nie zdradziło jej, dokąd ma się udać. Oczywiście oblężenie położyło kres ich planom, ale nadal nie usłyszała ani słowa wyjaśnień, a do tego Gar ciągle znikał.

– Czy jest coś, w czym mogę pomóc, panie? – spytała Cywen.

– Być może – rzekł Brenin, nieco rozkojarzony, najwyraźniej wyprowadzony z równowagi widokiem ulubionej klaczy Alony. – Chcę wiedzieć, iloma końmi dysponujemy. Mam na myśli rumaki bojowe, a nie kuce.

– Nie więcej niż dwustoma, panie. Może jest ich mniej. Nie znam dokładnej liczby, ale mogę policzyć...

– Tylko dwieście? – rzekł cicho Brenin. – To za mało. – Pokręcił głową i dodał: – Tak, policz. Policz je wszystkie.

Od początku oblężenia doszło jak dotąd tylko do jednego dłuższego starcia. Owain przypuścił szturm na Dun Carreg dzień po przybyciu. Jego wojownicy, dźwigający pnie drzew zwieńczone żelaznymi kapturami, natarli na główną bramę, ale było ich zbyt wielu, a obrońcy zrzucili im na głowy istną lawinę głazów. Musiało zginąć sporo ludzi, nim Owain wreszcie odwołał atak, a jedynym owocem ich starań było kilka zadraśnień na wrotach. Forteca Dun Carreg wydawała się nie do zdobycia, ale obrońcy odczuwali narastające napięcie. Po śmierci Gethina i rozbiciu jego drużyny jedyną nadzieją dla Dun Carreg był Dalgar i jego hufiec z Dun Maen.

Do króla podszedł Nathair, jak zwykle w towarzystwie odzianego w czerń Sumura z długim, zakrzywionym mieczem na plecach oraz orlego gwardzisty Rauki.

Cywen podkradła się do Edany, która uśmiechnęła się do niej pomimo widocznego na twarzy napięcia.

– Masz nowego strażnika? – szepnęła, wskazując Haliona.

– Conallowi nowe obowiązki nie przypadły do gustu – odparła Edana, na co Cywen wykrzywiła się.

– Po co mam liczyć konie?

– Ojciec chce być gotów na przybycie Dalgara. Owain ma przewagę i będziemy musieli szukać pomocy.

– Ach, rozumiem.

– Szukałem cię – oznajmił w międzyczasie uśmiechnięty szeroko Nathair.

– Tak? – Brenin, który stał przy klaczy żony i gładził ją po pysku, ocknął się z zadumy.

– Tak – odparł król Tenebralu. Uśmiech na jego twarzy zbladł. – Już od jakiegoś czasu.

– Cóż, a więc właśnie mnie znalazłeś. – Brenin odwrócił się ku gościowi. – Wybacz, że nie jestem przez cały czas do twojej dyspozycji, ale muszę się uporać z pewnymi niefortunnymi okolicznościami.

Nathair machnął lekceważąco ręką.

– O mnie się nie martw. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, co do tego nie mam wątpliwości. Owain, podobnie jak my wszyscy, musi przestrzegać Starych Praw.

Stare Prawa były zbiorem przepisów i reguł, które Wygnańcy przywieźli ze sobą na Ziemię Wygnanych. Były wśród nich i takie, które dotyczyły gości – każdy człowiek miał prawo czuć się bezpiecznym przy ognisku gospodarza, a ten miał obowiązek zatroszczyć się o jego spokój.

– W rzeczy samej – rzekł Brenin.

– Miałem nadzieję pomówić z Owainem i uświadomić go co do mojej obecności w Dun Carreg, a przy okazji być może wyperswadować mu tę bezsensowną wojnę.

– Oczywiście – rzekł Brenin. – Owain staje pod murami co dzień. Porozmawiaj z nim wówczas, choć raczej wątpię, by zmienił zdanie.

– Tak zrobię. Dziękuję – rzekł Nathair. – Przykro mi z powodu sytuacji, w jakiej się znalazłeś, ale nie mogę przedłużyć mego pobytu w nieskończoność. Muszę wkrótce wracać na mój okręt.

– Jak sobie życzysz. – Władca Ardanu wzruszył ramionami. – Jestem przekonany, że Owain nie będzie cię napastował po drodze. Czy to o tym chciałeś ze mną pomówić?

– Częściowo – odparł Nathair. – Chciałem też poruszyć kwestię Meicala. Rozmawiałem z twoimi doradcami o innej sprawie, która mnie tu ściągnęła, a mianowicie o Benothi. Bardzo mi pomogli. – Spojrzał na Evnisa, który pochylił głowę. – Niemniej nadal chciałbym się dowiedzieć, dlaczego Meical tu przybył i dokąd mógł się udać. Muszę to wiedzieć.

– Tak, tak – rzekł Brenin. – Niestety, mam ostatnio urwanie głowy, jak zresztą widzisz. Przykro mi, ale nie odkryłem nowych tropów. Nadal nie wiem, po co Meical tu przybył ani dokąd się udał.

Nathair zmarszczył brwi. Nie miał zamiaru pozwolić się tak łatwo zbyć.

– Na pewno ktoś coś zauważył – ciągnął. – Przybył tu konno, a ma ogromnego, szarego ogiera. Imponujące zwierzę. Tu go trzymano?

Tak, pomyślała Cywen. Doskonale pamiętała owego rumaka.

– Nie pracuję w stajni – warknął Brenin.

– Ale może pamięta go jakiś stajenny. – Nathair rozejrzał się i zauważył Cywen. – Hej, ty! Pamiętasz konia, o którym mówię? Jabłkowitego rumaka?

Spojrzenia wszystkich obecnych skupiły się na dziewczynie.

– Ja... Tak, pamiętam go. Był piękny.

Nathair podszedł krok bliżej.

– Zajmowałaś się ogierem? A może rozmawiałaś z jego jeźdźcem, Meicałem?

– Nie, Gar z nim rozmawiał.

– Gar?

– Główny stajenny.

– Muszę z nim porozmawiać. Gdzie on jest?

– Nie wiem. – Cywen wzruszyła ramionami.

– Jestem przekonany, że on o niczym nie wie – przerwał Brenin.

– Ale dopilnuję, by go przesłuchano i poinformuję cię, jeśli będzie miał coś ciekawego do przekazania.

Nathair odwrócił się ku Breninowi.

– Wolałbym porozmawiać z nim osobiście, tym bardziej że masz tyle spraw na głowie.

– Nie – rzekł Brenin.

Władca Tenebralu stał przez moment w milczeniu, zmrużywszy oczy.

– Przywykłem do tego, że jeśli chcę z kimś porozmawiać, to po prostu to robię.

– Nie mam nic przeciwko – rzekł Brenin. – Pod warunkiem, że jesteś u siebie, we własnym królestwie, a tu, przypomnę ci, jesteś gościem, a nie królem. Tu wszystko się odbywa tak, jak ja sobie tego życzę, a nie mam zamiaru pozwolić na to, by ktoś obcy

przesłuchiwał moich poddanych. To zadanie, które rezerwuję dla siebie lub dla ludzi, których uznaję za odpowiednich.

Sumur drgnął. Był to ledwie zauważalny ruch, ale niespodziewanie jego sylwetka naprężyła się, a w powietrzu zawisło wyczuwalne napięcie.

– Zachowujesz się nieuprzejmie – przemówił cicho z gardłowym akcentem, ale Nathair uniósł dłoń, jakby chciał go uspokoić.

– Przebyłem tysiąc mil, by dowiedzieć się czegoś o Meicalu – odezwał się, a w jego głosie zgrzytnęła groźba. – Nie pozwolę, by ktoś stanął mi na drodze.

Brenin spoglądał na niego z obojętnością.

– Może nie do końca wszystko rozumiesz – ciągnął Nathair. – Nadeszły dramatyczne czasy, które zadecydują o naszej przyszłości, czasy wielkich zmian i ważnych wyborów. Nadciąga nowy porządek. Zapamiętam sobie zarówno tych, którzy mi pomogli, jak i tych, którzy stanęli mi na drodze, gdy rozszerzałem mój sojusz.

– Twój sojusz? A to nie Aquilus go stworzył? – Brenin uniósł brew. – Myślę, że jesteś ulepiony z zupełnie innej gliny niż twój ojciec. A co do twego pytania, tak, dobrze rozumiem czasy, w których przyszło nam żyć. Byłem na radzie u Aquilusa i poparłem go. Pamiętaj o tym. Dopiero co zasiadłeś na swym tronie, a więc pozwól, bym dał ci pewną istotną radę. W przyszłości lepiej dobieraj słowa, gdy przemawiasz do innego króla, zwłaszcza gdy gościsz pod jego dachem.

– Mandros powiedział coś podobnego – mruknął Nathair.

Brenin skrzywił się, patrząc na młodzieńca.

– Ach, Mandros. Pamiętaj, Nathairze, że gdy rozwiążę moje obecne problemy, będę domagał się śledztwa w sprawie śmierci Mandrosa. Zabicie innego króla to poważna sprawa, a mnie nie podoba się to, co usłyszałem na ten temat.

Władca Ardanu wyszedł ze stajni, a z nim cała jego świta. Jedynie Ewnis ociągał się przez moment i przez chwilę wymieniał spojrzenia z Nathairem, po czym znikł i on. Król Tenebrału

odwrócił się ku Cywen.

– Przekaż temu Garowi, że chcę z nim porozmawiać – rzekł.

Dziewczyna nie odpowiedziała i wbiła wzrok w palce u nóg.

Niespodziewanie rozległa się niepokojąca pieśń rogów. Nathair i jego towarzysze wyszli, jedynie orli gwardzista odwrócił się i obdarzył Cywen płomiennym uśmiechem.

Wielkie tłumy zmierzały ku Kamiennej Bramie, gdzie rogi rozbrzmiewały najgłośniej. Dziewczyna wysforowała naprzód, wbiegła po schodach na górę i wcisnęła się między wojowników, by spojrzeć przez blanki.

Za mostem obozował wrogi hufiec, liczący przynajmniej pięciuset, sześciuset wojowników, którego zadaniem było reagowanie na wypadki ze strony Ardańczyków. Reszta wojsk Owaina była rozlokowana u stóp wzgórza i z tej odległości przypominała ciemną masę, która zalewała Havan i ciągnące się dalej łąki. Na południowym horyzoncie, daleko za wojskami Owaina, czerniła się inna formacja.

Przybył Dalgar.

Na murach rozbrzmiewały entuzjastyczne okrzyki i Cywen poczuła, że jej też udziela się nadzieja. Niespodziewanie przypomniała sobie jednak słowa Edany. Brenin potrzebował jeźdźców, by przyjść z pomocą synowi Pendathrana!

Zawróciła i pognąła do stajni, gdzie Gar opanowywał właśnie chaos przygotowań do bitwy, a Pendathran obrzucał stekiem obelg każdego, kto jego zdaniem poruszał się wolniej, niż mógł. Wbiegła w tłum i zaczęła pomagać przy zakładaniu siodeł, zapinaniu popręgów, mocowaniu włóczni do uprzęży i tysiącu innych rzeczach, aż w końcu jeźdźcy pomknęli ku Kamiennej Bramie. Dudniły kopyta, a tumany pyłu buchały ku niebu. Cywen, nie robiąc nawet przerwy dla nabrania oddechu, pognąła na mury i wcisnęła się między gapiów.

Hufiec Dalgara znajdował się znacznie bliżej, widać już było pojedynczych jeźdźców i nieprzebrany las włóczni. Po chwili Cywen

nabrała jednak przekonania, że w porównaniu z wojskami narwońskimi była ich wręcz garstka. Owain zapewne opróżnił całe swoje królestwo z ludzi zdolnych do walki, by wystawić tak wielką armię. Hufiec Dalgara stanowił być może jedną czwartą ich siły.

W zamku przebywały nadal tysiące mężczyzn zdolnych do walki, ale musieliby najpierw przebyć most, na którym mieściło się zaledwie dwunastu ludzi obok siebie. Kolejnym problemem był brak koni. Większość z nich pasła się na łąkach wokół Havan, gdyż w twierdzy nie było wystarczająco dużo miejsca.

Dalgar na czele swych wojowników pędził na wojska Narvonu, pośpiesznie zwierające szeregi. Trudno było z tak wielkiej odległości ustalić, co się tak naprawdę działo, ale Cywen widziała, jak oddziały Owaina niczym pięść zamykają się wokół atakującej formacji.

Corban stanął przy siostrze i z niepokojem przyglądał się rozwojowi wypadków.

– Nie dołączyłeś do jeźdźców? – spytała.

– Co? Nie! – Chłopak pokręcił głową. – Pendathran wybrał jedynie sprawdzonych ludzi.

– Ale ty jesteś sprawdzony! – oznajmiła zadziornie Cywen, ale wielka ulga w mig przegnała rozdrażnienie z jej serca. Nie chciała, by jej brat brał w tym udział.

Głos wykrzykującego rozkazy Pendathrana rozbrzmiewał na dziedzińcu, aż zaskrzypiały otwierające się bramy i na most wypadła fala konnicy. Wojownicy Owaina, uzbrojeni w długie włócznie, czekali już w gotowości. Rozległ się ogłuszający trzask, gdy hufiec z twierdzy uderzył w Narwończyków. Drewno pękało, konie rżały przeraźliwie, ciała wyfruwały w powietrze. Miejsce, w którym most spotykał się z lądem, zamieniło się w krwawą kotłowanąinę ciał, drewna i żelaza. Jeden szereg piechurów padał za drugim, a na moście roilo się od wojowników Pendathrana. On sam, na ogromnym rumaku wojennym, który kopał i wierzgał, czynił naokoło straszną kośbę swym długim mieczem. Rozrąbywał

włócznie na pół, odcinał głowy i urzywał dłonie piechurów próbujących ściągnąć go z siodła.

Wróg powoli ustępował przed wściekłą szarżą, a Pendathran parł naprzód, tworząc szczyt ardańskiego klina. Nagle wroga włócznia utkwiała w piersi jego rumaka. Dzikie rzenie ranionego zwierzęcia przebiło się na moment przez zgiełk bitwy, po czym wierzchowiec runął na otaczających go ludzi. Wojownicy w czerwonych płaszczach rzucili się naprzód, a Pendathran zniknął wśród nich niczym topielec wśród fal.

Hufiec ardański zakrzyknął, a walczący naporli z furją, by przerąbać się do swego wojewody. Most zamienił się we wściekłą kipieli ciał, żelaza i krwi. Corban wskazał coś palcem. Pendathran znów walczył! Zawrócił i stanął w linii ze swymi ludźmi. Był w samym środku zamieszania, szerząc naokoło śmierć. Oba hufce toczyły zacięty bój, ludzie padali po obu stronach, ale żadna z nich nie odnosiła przewagi.

W końcu, krok po kroku, Ardańczycy zaczęli się cofać, spychani przez przeciwnika, aż znaleźli się w cieniu Kamiennej Bramy. Ich towarzysze z góry obrzucili kamieniami i włóczniami wrogów, gdy ci znaleźli się w zasięgu, a wówczas Pendathran i jego ocaleli ludzie wycofali się do fortecy. Bramy ponownie zatrzasnęły się z hukiem.

Cywen przebiegła na drugą stronę muru i spojrzała na dziedziniec. Poblądły Pendathran siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Bitwa na równinie nadal się toczyła, a Dalgar desperacko usiłował się przebić do Dun Carreg. Jego drużyna była jednak niemal całkowicie otoczona i przyglądająca się bitwie dziewczyna miała wrażenie, że patrzy na osaczone zwierzę świadome zbliżającej się śmierci. Chwilę później pierwsi wojownicy rzucili się do ucieczki przez zasłane trupami łąki. Z początku były to niewielkie grupki po dwóch, trzech, potem coraz większe, aż w końcu cały hufiec poszedł w rozsypkę. Za uciekinierami skoczyli jeźdźcy narwońscy. Cywen nie udało się dostrzec, czy którykolwiek z ludzi Dalgara przeżył.

Po jakimś czasie pod fortecę nadjechała grupa wrogich jeźdźców, których prowadził sam Owain. Król Narvonu przyjrzał się murom obronnym, wypatrzył na nich Pendathrana i obrzucił go szyderstwami. Ściągnął wodze na skraju pobojowiska przy końcu mostu, a jego wojownicy podprowadzili konia, przez grzbiet którego było przewieszane jakieś ciało. Owain osobiście zrzucił je na ziemię i odjechał.

Pendathran nakazał otwarcie bram i wyszedł na most. Zatrzymał się tam, ale zgromadzeni po drugiej stronie wojownicy Narvonu trwali nieruchomo. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Wojewoda króla Brenina pochylił się i podniósł ciało swego syna z ziemi, po czym zaniósł je do fortecy.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

CORBAN

Corban leżał oparty o mur biegnący wokół Jarzębinowej Łąki i przyglądał się zachodzącemu słońcu, które nadawało niebu kolor roztopionej miedzi.

– Idzie burza – powiedział siedzący obok niego Dath.

Zjedli kolację w sali biesiadnej, ale po wczorajszych wydarzeniach nadal panowały tam minorowe nastroje. Ludzie wciąż rozpamiętywali śmierć Dalgara i rozbicie jego hufca.

– A więc – odezwał się Corban, by oderwać się od ponurych rozmyślań – teraz obaj jesteśmy wojownikami.

– Tak. – Przyjaciel dotknął swego warkoczyka. – Mniej więcej – dodał. – Nie poczuję się nim w pełni, dopóki nie odbędzie Długiej Nocy.

Bądź jej nie prześpisz, tak jak ja, pomyślał Corban, a głośno dodał:

– Nie sędzę, by dla wojowników Owaina stanowiło to jakąś różnicę.

– Chyba nie.

– Ale ulga po przejściu sprawdzianu nie ma sobie równych, co?

– Oj, zgadza się.

Prawdę powiedziawszy, Dath ledwie ukończył sprawdzian pomyślnie. Włócznią rzucał celnie, ale mieczem władał niepewnie, a Corban do tej pory nie mógł zrozumieć, w jaki sposób wylądował

na tyłku w błocie podczas próby dogonienia konia. Gdyby częścią sprawdzianu było strzelanie z łuku, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Marrock już dawno uznał, że z Datha będzie świetny łowczy i wraz z Camlinem zabierali go na długie wyprawy do Baglunu. Nawet teraz chłopak nie rozstawał się z łukiem, podarowanym mu przez obu wojów.

– Jak sądzisz, co się teraz wydarzy? – spytał Dath.

– Nie mam pojęcia. Cywen rozmawiała z Edaną i sprawy nie wyglądają najlepiej. Wiązano duże nadzieje z odsieczą Dalgara, a teraz, po jego porażce... – Corban wzruszył ramionami, przypominając sobie bladą, zrozpaczoną twarz Pendathrana, niosącego ciało syna. – Owain będzie kontynuował oblężenie do czasu, gdy nam się skończy jedzenie, co wedle wszelkich rachub nastąpi już niebawem. Jest nas zbyt wielu, a Owain całkiem nas zaskoczył i nie dał nam czasu na przygotowania.

– Jest nas tylu, że dalibyśmy radę go pokonać! – warknął Dath. – Gdybyśmy tylko zdołali jakoś się przedostać przez most! Więżą nas tu jak szczury w dzbanku po *usque*. Gdyby tylko istniało jakieś inne wyjście!

Corban milczał, myśląc o tunelach pod fortecą. Mogliby wyprawiać się tamtędy po jedzenie lub przeprowadzać ataki z zaskoczenia na wroga. Ale co z owym straszliwym trupem, którego tam znaleźli? Z tym zmijem? Co będzie, jeśli tych bestii jest tam więcej? Postanowił, że rozmówi się w tej sprawie z Halionem i nagle poczuł przyływ nadziei.

– A co z królem? – Pytanie Datha wyrwało go z zadumy.

– Którym?

– No, z tym Nathairem z Tenebralu. Słyszałem, że ma drużynę na okręcie.

– Nawet jeśli, to nie ma ich tam dużo – parsknął Corban. – Może osiemdziesięciu ludzi, góra stu. Co nam to da?

– Hm – mruknął Dath. – Na tym okręcie jest więcej ludzi, niż myślisz. I są tam nie tylko wojownicy.

– Co takiego?

Dath spojrział na okręt stojący na wodach zatoki. Załoga właśnie rozpalala światła.

– Zajmowałem się łodzią ojca na plaży – powiedział. – Wiesz, tego samego dnia, kiedy wyruszyłeś na Długą Noc.

– No i?

– I słyszałem jakieś hałasy, które dobiegały z okrętu. Dziwne, naprawdę dziwne hałasy.

– Co znowu za hałasy? O czym ty mówisz?

– Jakby tam był jakiś potwór! Nigdy wcześniej nie słyszałem czegoś takiego! – ciągnął Dath. – A słyszałem przecież, jak Burza warczy i wyje! – Spojrział na wilkunicę, która siedziała na jednym z ogromnych, kamiennych stopni. – Wystarczy, by otworzyła paszczę, a mnie już oblatuje dreszcz. To jednak było gorsze, o wiele gorsze od całego repertuaru Burzy.

Corban zachichotał.

– Dath, to ty mówiłeś, że Brina ukradnie mi duszę, pamiętasz? I zrobiłeś się blady jak ściana, gdy Crafa na ciebie wrzasnęła.

– Na tym okręcie coś siedzi! – upierał się chłopak z ponurą miną. – Coś, co nie jest człowiekiem. Ten Nathair mógłby to wykorzystać, by nam pomóc!

– Nawet jeśli król Tenebralu ma do swojej dyspozycji bestię z Zaświata, niby dlaczego miałby chcieć poprzeć nas w walce z Owainem? Przecież to nie jego sprawa. On jest bezpieczny. Strzegą go Stare Prawa.

Od morza nadciągały podmuchy ostrego wiatru, niosąc posmak soli i deszczu. Sunęły ku nim nieprzeniknione ciemności nocy, a na niebie próżno było szukać gwiazd czy księżyca. Wszystko przesłoniły ciężkie, nabrzmiące chmury, które bez litości gromadziły się nad fortecą.

– Lepiej uciekajmy z tego muru – mruknął Dath i uniósł głowę ku niebu. Na nosie Corbana wylądowała pierwsza kropla deszczu. – Szykuje się naprawdę niezła burza.

– W porządku – rzekł Corban. – Zmywamy się.

Jego przyjaciel miał doprawdy wybujałą wyobraźnię, lecz w kwestiach pogody można mu było wierzyć bez zastrzeżeń. Corban złapał tarczę i włócznię, z którymi nie rozstawał się od ataku Owaina, i wraz z Dathem zbiegł po schodach. Przemierzyli pustą już Jarzębinową Łąkę i pognali z Burzą do sali biesiadnej.

* * *

W sali było znacznie mniej tłoczno niż wcześniej, ale wciąż znajdowało się tam wielu ludzi. Corban szybko wypatrzył swoich rodziców siedzących w ciemnym kącie w towarzystwie Farrella i jego ojca Anwartha. Obaj z Dathem podeszli do nich.

– Cześć, chłopaki! – zawołał Farrell.

Corban skinął mu na powitanie. Zauważył świeżo zapleciony warkoczek we włosach młodego czeladnika kowalskiego.

Patrzcie tylko na nas, zachichotał w myślach. Wszyscy jesteśmy wojownikami!

Usiadł i przez moment słuchał rozmowy przyjaciół, ale zamyślił się, gdy Dath zaczął opowiadać jakąś historię. Rozparł się na krześle i wodził spojrzeniem po sali, aż jego wzrok padł na Evnisa i Vonna, którzy, sądząc po zmarszczce na czole chłopaka, toczyli właśnie poważną rozmowę. Corban często się zastanawiał, czy Vonn dotrzyma słowa i spełni swą groźbę. Tyle przecież się wydarzyło od owego dnia w zagrodzie, kiedy Tarcza zabił ogara Helfacha.

Do sali weszli Tarben i Camlin w ociekających wodą płaszczach. Minęli stół, przy którym siedział Corban z przyjaciółmi, skinęli im wszystkim i skierowali się do okupującej dalszą ławę grupy wojowników.

Jakie to dziwne, pomyślał chłopak. Jeden czyn może pociągnąć za sobą tyle zmian.

Cywen opowiedziała mu, jak ów banita ocalił ją od pewnej śmierci w Ciemnym Borze.

– Prawda i odwaga – szepnął do siebie.

Tak, jego ojciec się nie mylił. Prawda i odwaga miały wielkie znaczenie i mogły spowodować ogromne zmiany.

Niespodziewanie Corban usłyszał za sobą kroki. Padł na niego czyjś cień. Burza warknęła głucho, a chłopak odwrócił się, by ujrzeć stojącego nad nim Rafe'a. Towarzyszył mu ojciec i kilku innych wojowników z drużyny Evnisa.

– Wyzywam cię, Corbanie ben Thannon. – Rafe głośno wypowiedział słowa formalnego wyzwania na pojedynek.

Rozmowy w sali zamierały, krąg ciszy stawał się coraz szerszy. Halion zmarszczył brwi i powiedział coś do Edany, a ta przysunęła się do ojca i szepnęła mu kilka słów do ucha.

Corban spojrzał na Rafe'a i wstał powoli, odsuwając się od krzesła.

– Daj sobie spokój, chłopcze – warknął Thannon.

– Nie jestem chłopcem – odparł Rafe. – Jestem dorosłym mężczyzną, a to moje prawo.

Król Brenin oficjalnie zwrócił mu miecz na Jarzębinowej Łące tego samego dnia, kiedy Dath i Farrell przystąpili do sprawdzianu wojownika. Każdy mężczyzna, który potrafił władać bronią, był teraz na wagę złota, jak stwierdził sam monarcha.

– Z jakich względów? – spytał Corban.

– Kierują mną dwa powody – rzekł głośno Rafe i rozejrzał się po sali. – Pierwszym z nich jest osobisty uraz, a drugim złamanie nakazu króla.

– Co? – parsknął Corban.

Rafe spojrzał znacząco na Burzę.

– To zwierzę wygnano z fortecy i zabroniono mu powrotu pod karą śmierci. Wiem, że to prawda, bo mój ojciec słyszał wyrok z ust króla, podobnie jak wielu innych ludzi. – Uśmiechnął się i spytał: – Zaprzeczysz temu?

– Wiele się zmieniło od tego czasu.

– Czy zaprzeczysz? – powtórzył głośniejszym głosem Rafe. – Zaprzeczysz, że król wygłosił te słowa?

– Nie. – Corban wbił złowrogi spojrzenie w Rafe'a.

– A więc niech Sąd Mieczy rozstrzygnie nasz spór.

– Stać! – huknął Pendathran, podnosząc się. – Nie chcesz chyba na to pozwolić, co? – odezwał się do króla, który spoglądał w głąb swego pucharu i obracał go w dłoniach.

Brenin uniósł powoli głowę i nie bez trudu skupił spojrzenie na dwóch młodzieńcach.

– A co to ma za znaczenie? – mruknął. – Walczcie – rzucił i machnął dłonią bez zaangażowania. – Ale tylko do pierwszej krwi. Potrzeba mi każdego wojownika. – Zaśmiał się ponuro.

Rafe uśmiechnął się szyderczo i złapał za miecz, wyciągając go do połowy z pochwy, na co Burza warknęła głucho, obnażyła kły i skoczyła przed Corbana.

– Widzicie?! – wrzasnął Rafe, cofając się. – To zwierzę jest niebezpieczne dla nas wszystkich! Nie powinno go tu być! – Zerknął na króla. – Wasz osąd był słuszny, panie!

– Może i był – mruknął Brenin. – Niech wasze miecze o tym zadecydują.

Corban wbił wzrok w króla i poczuł nagły ucisk w piersi, gdy w pełni zrozumiał implikację jego słów. To już nie był tylko zatarg z dzieciństwa. Gdyby przegrał starcie, wyrok króla zwróciłby się przeciwko niemu. Burza zostałaby skazana na śmierć, a Rafe z pewnością by jej nie odpuścił.

Próbował uspokoić zarówno swój oddech, jak i szalejące serce.

Pendathran spoglądał to na Brenina, to na Corbana.

– Ten chłopak i jego zwierzę – odezwał się cichym, lecz wyraźnym głosem – byli dla nas wielką pomocą w Ciemnym Borze, podczas odsieczy.

– Odsieczy! – parsknął Brenin. – Fakt, może się na coś przydali, ale Alony to raczej nie ocaliło, prawda?

– Prawda. – Pendathran pokiwał głową. – Ale twa córka jest wciąż wśród nas. Żyje w znacznym stopniu dzięki ich pomocy.

Obaj mężczyźni mierzyli się przez moment twardymi spojrzeniami, po czym Brenin spuścił wzrok i upił kolejny łyk wina.

– Nie żyje. Ona nie żyje – rzekł. – Walczcie.

– A co z wilkunicą? – odezwał się Rafe. – Zobaczcie, co to bydlę mi zrobiło!

Podciągnął rękaw płóciennej koszuli i pokazał grube, srebrzyste blizny, biegnące od łokcia po nadgarstek.

– Zabiorę ją stąd – wycedził Corban przez zaciśnięte zęby.

– Nie, ja to zrobię – rzekła jego matka.

– Tak, bierz Burzę i zawołaj Gara – szepnął Thannon, wpatrzony w wojowników za plecami Rafe’a. – Przyda nam się.

Gwenith pokiwała głową i cmoknęła na Burzę, ale wilkunica ani drgnęła. Nadal stała wyprężona jak struna, wpatrzona w Rafe’a, a jej ogon drgał.

– Idź stąd – rzekł chłopak, a Burza niechętnie wyszła w ślad za Gwenith z sali biesiadnej.

– Skup się, Corbanie – powiedział cicho Thannon, ale syn nie usłyszał go.

W jego sercu toczyła się bitwa. Gniew, z wolna przeradzający się w furję, groził, iż lada moment pochłonie resztki jego opanowania. Wszystkie zniewagi i drwiny, którymi Rafe obrzucał go przez lata, zlały się w jeden wielki uraz.

– Dziwię się, że w ogóle zdobyłeś się na to, by wejść na arenę – odezwał się Helfach, gdy chłopak wkroczył do zaimprovizowanego kręgu.

– Zamknij pysk – warknął Corban – albo poproszę ojca, by cię uciszył.

Thannon wyszczerzył zęby i poklepał swój młot wojenny, a Buddai warknął głucho.

– Ty... – parsknął Helfach i zrobił krok w kierunku Corbana, zaciskając pięści.

Rafe i Crain również ruszyli ku niemu, ale po obu stronach chłopaka niespodziewanie wyrosli Dath i Farrell. Za nimi górował ogromny Thannon, a z końców sali szli ku nim inni: Marrock i Camlin, Ewnis oraz Conall.

– Dość tego! – ryknął Pendathran.

Corban wbił wzrok w łowczego, który stanął tak blisko, że ich nosy niemalże się stykały. Serce waliło mu jak szalone. Cały świat wydawał się balansować na ostrzu noża.

Drzwi zaskrzypiały i stanęły otworem, a do środka weszli Nathair, Sumur, Rauca i reszta orlej straży. Corban przeniósł spojrzenie na młodego króla. Spowijający go cień wydawał się teraz o wiele wyraźniejszy. Chłopak zadrżał i przez moment miał wrażenie, że dostrzega czyjeś szpony, wpijające się w królewskie ciało, oraz czerwone ślepia, żarzące się pośród cieni. Coś wydawało się szeptać mu do ucha.

Król Tenebralu przystanął, spojrzał na niego i uśmiechnął się, a potem Ewnis przywołał go do swego stołu.

– Nie chcę psuć synowi zabawy – syknął Helfach do Corbana i wyszedł z kręgu, a Crain poszedł w ślad za nim.

– Dalej, załatwcie to wreszcie – warknął Pendathran.

Corban i Rafe zajęli odpowiednie pozycje. Syn Helfacha był o pół głowy wyższy od Corbana i miał długie ramiona, ale jego przeciwnik miał szersze barki i przypuszczalnie dysponował większą siłą.

Taką mam przynajmniej nadzieję, pomyślał Corban i zerknął w stronę królewskiego stołu. Natknął się na wzrok Haliona, który postukał się palcem po skroni.

Myśl, podpowiadał mu.

Gniew to mój wróg, powiedział sobie chłopak, a jego serce, bijące dotąd jak szalone, zaczęło się uspokajać. Pamiętaj, tu chodzi o życie Burzy.

Zacisnął powieki i nabrał głęboko tchu, a otworzył oczy dopiero, gdy usłyszał zgrzyt, z jakim miecz Rafe'a wysunął się z pochwy.

Ujął rękojeść własnego oręża i wysunął go powoli. Stał na szeroko rozstawionych nogach i wznosił wysoko trzymany oburącz miecz. Czekał.

– Zaczynajcie! – rozkazał im Pendathran.

Corban rzucił się naprzód jak błyskawica i w okamgnieniu zadał trzy ciosy. Rafe zatoczył się do tyłu, desperacko blokując uderzenia, ale chłopak obrócił się na pięcie, przebił się przez gardę przeciwnika i grzmotnął go łokciem w policzek, posyłając go na pobliski stół. Syn łowczego uniósł miecz, drugą ręką próbując się odepchnąć od ławy, ale Corban rąbnął w jego ostrze i wytrącił mu je z dłoni. Czubek klingi znalazł się przy gardle Rafe'a.

W sali zapanowała całkowita cisza, którą zakłócił jedynie trzask płomieni w palenisku. Zdyszany Corban spoglądał w oczy Rafe'a i widział w nich lęk, oszołomienie i wstyd. Poruszył lekko dłonią i na szyi chłopaka pojawiło się cieniutkie skaleczenie.

– Pierwsza krew – oznajmił i cofnął się o krok, chowając miecz do pochwy.

Rafe ani drgnął. Oddychał ciężko, po jego szyi spływała czerwona strużka.

Corban rozejrzał się dookoła. Na twarzach przyjaciół ujrzał satysfakcję, podziw oraz... oraz coś jeszcze. Wszyscy mu się przyglądali. Przechwycił spojrzenie strażnika Nathaira, Sumura, który zmarszczył brwi, ewidentnie zaintrygowany, a potem odwrócił się w stronę królewskiego stołu. Halion uśmiechał się z dumą, a Pendathran pochylił głowę.

– Czy to zamyka sprawę? – Corban zwrócił się do Brenina. Dopiero teraz uświadomił sobie, że brakuje mu tchu, a jego klatka piersiowa unosi się i opada. Patrząc na króla, który z jakiegoś względu nadal okazywał brak zainteresowania, poczuł, jak jego gniew znów narasta.

– Tak, kwestia twego zwierzęcia jest niniejszym zamknięta – wybełkotał Brenin, trzymając puchar w dłoni.

– Ogarnia mnie wielki żal – rzekł bez zastanowienia Corban,

nieświadom, że gniew odebrał mu zdrowy rozsądek – gdy patrzę, jak ojciec ma za nic życie własnej córki. Burza i ja zasłużyliśmy sobie na coś więcej.

Brenin skrzywił się, chciał powstać, ale zatoczył się i padł na ławę. Chłopak otworzył szerzej oczy, uświadomiwszy sobie, że król jest pijany. Odwrócił się i usiadł wśród przyjaciół i rodziny, czując, że gniew nadal w nim kipi.

Rozdział osiemdziesiąty drugi

KASTELL

Kastell zadrżał, czując, jak jego spocona po walce skóra stygnie w wilgotnym, dusznym tunelu. Zrównał się z Maquinem i obaj niemalże biegli, by dogonić podskakującą pochodnię, niesioną przez Romara.

Ulga na widok Veradisa, który odwrócił losy bitwy z Hunen, szybko zniknęła, a w jej miejsce pojawiło się złe przeczucie.

Podążali tunelem przez dłuższą chwilę, zostawiwszy światło dnia daleko za sobą. Z przodu biegło kilkudziesięciu wojowników, w tym straż przyboczna Romara oraz Gadrai. W blasku pochodni błysnęła łysa czaszka Orgulla, który biegł zaledwie kilka kroków przed nimi. Drugie tyle wojowników, w ich liczbie Jael, zmierzało z tyłu.

Tunel okazał się szeroki i wysoki, a jego strop niął w ciemnościach. Wzdłuż ścian płonęły pochodnie, wokół których rozlewały się migotliwe kręgi światła. Plamy mroku między nimi wydawały się niemalże materialne.

Niespodziewanie wojownicy biegnący z przodu zaczęli zwalniać, aż się zatrzymali. Kastell i Maquin przepchnęli się na czoło. Młodzieniec w pierwszej chwili odniósł wrażenie, że zabrnęli w ślepy zaułek, ale po chwili uświadomił sobie, że to jedynie wielkie, zatrzaśnięte na głucho drzwi. Przed nimi połyskiwało cielsko zwiniętej w stożek szaro-białej istoty.

Nagle poruszyła się.

Drgnęła, a pomiędzy rozsuwających się splotów wyłonił się olbrzymi, gadzi łeb. Błysnęły długie kły, wyrastające z szerokiej, potężnej szczęki. Łeb runął naprzód i odgryzł głowę wojownikowi stojącemu najbliżej Romara. Ludzie krzyknęli, niektórzy cofnęli się, inni skoczyli, by okrążyć potwora.

Wtedy Kastella ogłuszyło potężne wycie, które dobiegło z bocznych tuneli. Niespodziewanie wypadły na nich rozjuszony olbrzymi. Znow żelazo zderzyło się z żelazem, znow rozległy się wrzaski bólu, znow poniósł się głuchy ryk wroga. Kastell kątem oka ujrzał topory, które zakreślały łuki w powietrzu i opadały. Ciała zderzały się ze sobą, zmij wił się gdzieś w największej ciżbie i uderzał łbem, a wojownicy zewsząd rąbali jego cielsko. Trudno było jednakże wypatrzeć jakiegokolwiek szczegóły.

Ktoś przeleciał w powietrzu i uderzył w Kastella, przewracając go. But z żelazną podeszwą zachręścił o ziemię tuż obok jego głowy. Młodzieniec zerwał się i ujrzał człowieka, powalonego właśnie przez olbrzymia, który o mały włos go nie zmiażdżył. Zamachnął się mieczem, ale cios był niecelny i nieszkodliwie ześlizgnął się po skórzanym pancerzu wielkoluda.

Hunen w odpowiedzi zamachnął się toporem. Kastell zdołał odbić cios tarczą i ciął olbrzymia po odsłoniętym ramieniu, ale zamiast niego rąbnął we wzmocnione żelazem drzewce topora. Ramię zdrętwiało mu od bólu. Skrzywił się i strząsnął tarczę, nim przeciwnik zdołał za nią pochwycić i powalić go na ziemię. Złapał miecz oburącz i rąbnął olbrzymia w rękę.

Ten zaryczał, zatoczył się w tył i znikł w tłumie walczących z krwią tryskającą z przerąbanego nadgarstka. Kastell odetchnął kilka razy z trudem, rozglądając się dookoła. Ziemia była zasłana trupami, ale bitwa nadal trwała, a zmij szerzył spustoszenie pod wielkimi drzwiami. Za plecami młodzieńca Maquin odpierał ataki jakiegoś olbrzymia, który spychał go bez litości. Kastell starł pot z czoła i w ciszy ruszył na wielkoluda. Współ z Maquinem uporali się z zagrożeniem, a potem ruszyli w górę tunelu, odpierając

kolejne ataki, aż dotarli do drgającego ciała dogorywającego żmija.

Olbrzymy nadal jednak walczyły. Orgull, stojący na szeroko rozstawionych stopach, ścinał się z Hunen uzbrojonym w topór. Był jednym z nielicznych ludzi, którym siła i budowa ciała pozwalała na walkę z olbrzymem niemalże jak równy z równym. Mniejszy i szczuplejszy Vandil stanowił jego przeciwieństwo, ale poruszał się z oszałamiającą prędkością, a jego miecze ani na moment nie przestawały migotać. Na oczach Kastella przywódca Gadrai przemknął pod opadającym młotem, ciął olbrzymia ruchem szybszym od myśli, wykonał piruet i odskoczył. Oszołomiony przeciwnik powiódł za nim spojrzeniem i dopiero wtedy uświadomił sobie, że właściwie jest już martwy – z rozprutego brzucha wylewały się wnętrzności.

Wtedy Maquin, uderzony w bok, stęknął i padł. Nim Kastell zdołał sprawdzić, co mu się stało, pojawił się Hunen ze wzniesionym toporem, który wyrzwał rudego młodzieńca końcem drzewca w głowę. Kastell zachwiał się i zatoczył, całkiem oszołomiony, ale naraz uświadomił sobie, że ktoś wdarł się między niego i Hunen. Świsnęła stal. Na szyi olbrzymia pojawiła się buchająca krwią rana, a młodzieniec dostrzegł jeszcze uśmiechniętego krzywo Vandila, który uskakiwał na bok. Sekundę później już go nie było.

Kastell spojrzał na Maquina i przekonał się, że olbrzym, z którym walczył, leży już martwy u jego stóp. Na twarzy przyjaciela zastygło zdumienie. Ramię trzymające tarczę zwisło bezwładnie.

– Vandil? – spytał Kastell.

Maquin pokiwał głową. Bitwa dookoła nich straciła na moment impet i obaj przyjaciele wsparli się o siebie. Twarz starego wojownika była blada i pokryta warstewką potu.

– Jak twoje ramię? Oberwałeś! – zawołał Kastell.

Maquin uśmiechnął się słabo.

– Jeszcze mnie nie zabili.

Już mieli na powrót rzucić się do bitwy, kiedy w głębi tunelu coś się zaczęło dziać. Walczących, zarówno ludzi, jak i olbrzymów, przeszła na moment osobliwa emanacja, a gdy Kastell odwrócił głowę, ujrzał jakieś sylwetki zbliżające się w blasku pochodni, ciemne postacie dzierżące dwuręczne miecze.

Byli to ci, których Veradis nazywał wojownikami Jehar.

Metodycznie, bez litości przebijali się przez Hunen, kładąc jednego za drugim. Kastell zauważył wśród nich olbrzyma Alcyona i samego Calidusa, który walczył z zaskakującą zaciekłością. Szybko zrównali się z nimi i ruszyli ku Romarowi oraz niedobitkom jego gwardii przybocznej, nadal stawiającym opór olbrzymom.

I nagle bitwa dobiegła końca. Ostatnie olbrzymy padły pod ciosami dziesiątków mieczy.

Wszędzie zalegało tyle trupów, że zgoła nie było widać ziemi. Trudno było zliczyć poległych, ale Kastell doszedł do wniosku, że bitwę przetrwało nie więcej niż sześćdziesięciu Gadrai. Nie mógł w to uwierzyć – wszak do Haldis przybyło ich trzy setki! Romar rozmawiał z Calidusem, Alcyon stał przy nich, a dalej ciągnęły się szeregi odzianych w czerń wojowników Jehar. Stali w ciszy, absolutnie nieruchomo, jakby wcale nie stoczyli przed chwilą zaciętej bitwy. Kastell z wielkim zaskoczeniem skonstatował, że są wśród nich kobiety. Odkrycie to postawiło cały jego świat na głowie, choć zdecydowanie najbardziej wstrząsnęło nim to, że przebijały się przez szeregi Hunen z morderczą wprost skutecznością. Nie spodobała mu się myśl, że istnieją kobiety, które walczą lepiej od niego i większości obecnych w korytarzu mężczyzn.

Romar podniósł głos i przepchnął się obok Calidusa do szerokich drzwi. Wykrzyknął rozkaz i tuzin spośród jego ludzi podeszło, by zdjąć zasuwę.

– A więc nadal żyjesz! – Kastell usłyszał szept przy uchu, a potem minął go Jael z kilkoma wojownikami z Mikil.

Romar i jego ludzie pchnęli wrota, które grzmotnęły o ściany tunelu, aż poszło echo. Vandil skrzyknął Gadrai, którzy utworzyli

kordon wokół Romara. Calidus wezwał wojowników Jehar i ruszył w ślad za nimi.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

EVNIS

Evnis rozejrzył się uważnie po sali biesiadnej. Nie mógł już dłużej czekać. Nadszedł czas, by działać. Dziś.

Tymczasem nadal czuł złość tak wielką, że miał problem z racjonalnym myśleniem. Musiał być w stanie chłodno ocenić sytuację, a wciąż nie mógł zapomnieć odciętej głowy Gethina. Poprzysiągł w duchu, że Owain zapłaci mu za to. Nie za zabicie brata, ale za odebranie Evnisowi chwili chwały. Przecież marzył o tym, aby brat był świadkiem jego zwycięstwa! Nagle odebrano mu to marzenie i królewski doradca nieoczekiwanie poczuł w sobie pustkę, która na nowo roznieciła jego gniew.

Z trudem narzucił sobie spokój.

Skup się albo twoja głowa też poleci, pomyślał.

Jego wzrok padł na chłopaka z wilkunicą, Corbana. W tym aroganckim smarkaczu było coś godnego uwagi. Bez najmniejszego trudu poradził sobie z Rafe'em, choć z syna Helfacha był niezły rębajło, a do tego był kilka lat starszy.

Uśmiechnął się lekko, patrząc, jak chłopak siada obok Thannona oraz reszty i wspólnie śmieją się z czegoś. Wkrótce nie będzie im już do śmiechu.

Nathair poprosił go, aby zorganizował mu spotkanie z tym Corbanem. Powiedział, że chce porozmawiać z chłopakiem, który obłąskawił wilkuna. Evnis parsknął, gdy usłyszał prośbę.

O wilkunicy można było powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że była obłaskawiona.

Przeniósł spojrzenie na Nathaira, który rozparł się na krześle i obserwował otoczenie. Od razu go rozgryzł. Od chwili, gdy młody król Tenebralu zwrócił się do niego z prośbą o informacje, Ewnis wiedział, że jest on kimś szczególnym i ma wielką rolę do odegrania. Instynkt i przeczucia nigdy go nie myliły, ale przecież domyśliłby się prawdy nawet bez nich. Przecież w jego głowie znów odezwał się głos.

Nie słyszał go po raz pierwszy. Głos prowadził go przez lata, ale nigdy dotąd nie zabrzmiał tak wyraźnie. Służ mu, nakazywał stanowczo. Nie miał pojęcia, jak się do tego odniesie Rhin, ale królowa Cambrenu nie była jego władczynią, cokolwiek sama na ten temat sądziła. Jego władcą był Asroth.

Powiedział więc Nathairowi, że Meical spotkał się z Breninem i że obaj odbyli długą naradę na osobności. Nathair okazał mu wdzięczność, ale z trudem tłumił wściekłość. Nie krzyczał, nie eksplodował furją, ale trudno było nie zauważyć chłodu, jaki go wówczas zmroził.

Nie, Nathair nie był człowiekiem, którego Ewnis chciałby rozdrażnić.

Nadszedł czas, zasyczał głos w jego głowie.

Mężczyzna poczuł ukłucie strachu, gdy uzmysłowił sobie, że za moment przekroczy granicę, zza której nie ma już powrotu.

Na co czekasz?, syczał głos.

– Za mną – oznajmił Ewnis.

Conall i Glyn powstali wraz z nim.

Będąc już przy drzwiach, spojrzął jeszcze raz za siebie. Brenin wciąż pił, a jego głowa zaczynała chwiać się na boki. Dobrze. Był przekonany, że waleriana, którą ukradkiem dodał do królewskiego miodu, bardzo go spowolni, ale czekanie, aż zacznie działać, wiele go kosztowało. Szkoda tylko, że Pendathran się nie upił.

Jak widać, nie można mieć wszystkiego, pomyślał.

Wyszedł prosto w szalejącą burzę i skierował się do swego domostwa. Ostatnim człowiekiem, jakiego ujrzał w sali biesiadnej, był jego syn, który wbił w niego gniewne spojrzenie. Ewnis westchnął.

Rodzicielstwo to katorga, pomyślał.

Znów pokłócili się o tę córkę rybaka, Bethan. Vonn twierdził, że ją kocha i chce zostać jej mężem. Fakt, była ładna i Ewnis nie miał nic przeciwko, by syn trochę się z nią zabawił i poznał podstawowy mechanizm rządzący światem, ale żeby zaraz urządzać zrękowiny? Vonn zasługiwał na kogoś lepszego, a przynajmniej lepiej urodzonego.

Syn nie pogodził się z tym łatwo, ale mężczyzna wiedział, że będzie jeszcze czas, by załagodzić ich spór. Później.

Przebili się przez nawałnicę i doszli do domostwa Ewnisa. Conall otworzył przed nim drzwi do jego wieży. Doradca obdarzył wojownika uśmiechem pozbawionym wesołości.

Podporządkowanie sobie Conalla okazało się łatwiejsze, niż sądził. Jego największą – a być może jedną z wielu – słabością była duma. Ewnis musiał jedynie zasadzić nasionko i podszeptać młodzieńcowi, że Halion porzuca go dla łask króla Brenina. W intrydze wspomógł go sam król, który ani myślał okazać Conallowi jakiegokolwiek szacunku. Wkrótce uwagi i docinki obudziły w młodzieńcu ogromną wrogość do monarchy, a gdy Ewnis zaproponował mu miejsce w swej drużynie, ten natychmiast poczuł pokusę. Później wystarczyła odrobina mocy ziemi, by rozniecić jego zazdrość i paranoję.

Ewnis udał się prosto ku podziemiom. Po spotkaniu ze zmijem korytarze zostały zapieczętowane, ale mężczyzna dobrze poznał ich system i przy którejś okazji odnalazł tajne przejście do jaskini.

Czekali przy wejściu do tunelu. Ewnis ujrzał błysk pochodni, a potem usłyszał szelest stóp. Wielu stóp. Pojawił się posłaniec, którego wysłał przed zachodem słońca, ale nie był sam. Wraz z nim do piwnicy przesączyl się szereg ciemnych wojowników, których

było czterdziestu, pięćdziesięciu albo jeszcze więcej. Wszyscy odziani byli w czerń, a zza ich barków sterczały rękojeści mieczy.

Jeden z nich stał przed nim i czekał.

Miej oczy i uszy szeroko otwarte, Ewnis napomniał sam siebie i ruszył ku schodom.

– Do kamiennej bramy! – rozkazał.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

CYWEN

Cywen oparła się o mur i wbiła wzrok w ciemność otaczającą fortecę. Smagał ją deszcz, wiatr szarpał za jej mokre szaty, ale nie zwracała na to uwagi. Przynajmniej była sama, z dala od innych, którzy niczego nie rozumieli.

Stała na blankach nad Kamienną Bramą. Noc zasłoniła oblegające ich hufce. Na dziedzińcu płonęło wielkie ognisko, przy którym kuliło się kilkudziesięciu wojów, próbujących odegnać w ten sposób chłód. Inni, niewyraźni niczym cienie, stali przy bramach. Cywen westchnęła ciężko, z głębokim żalem, i otarła wilgotne oczy.

– Przestań się mazać, dziewczę – usłyszała za sobą czyjś głos. – Mogło być o wiele gorzej.

Spojrzała na wojownika, który wychynął z ciemności i stanął przy niej. Był nim Marrock.

– Przynajmniej nie zostałam na wieki w Ciemnym Borze – dodał. – I jesteś po właściwej stronie muru.

Spojrzał przy tych słowach w ciemność. Cywen wiedziała, że ma rację, ale milczała. Kotłujące się w niej emocje były tak silne, że nie była w stanie zdobyć się na żadną neutralną odpowiedź. Pokiwała więc jedynie głową i odwróciła wzrok, a wojownik spoglądał na nią przez chwilę i odszedł.

Dziewczyna bezwiednie pogładziła zimną rękojeść noża, jednego z siedmiu, które nosiła teraz za pasem. Przeżycia w Ciemnym

Borze pokazały jej prawdziwą wartość jej broni i od tej chwili nie rozstawała się z ostrzami nawet na chwilę. Banita Camlin zwrócił jej jeden z nich, twierdząc, że jakimś cudem znalazł się w jego tarczy.

Trenowała rzucanie co wieczór, wyobrażając sobie, że jej celem jest Morcant. W przeciwieństwie do Corbana czy Brenina nie była w stanie znaleźć ujścia dla swej żądzы zemsty, bo kobietom nie pozwalano na walkę. Było to niesprawiedliwe i dziewczyna czuła się bezużyteczna.

Wpatrywała się ze złością w mrok i ukryty za nim hufiec wrogiego króla. Już miała się odwrócić i odejść, gdy dostrzegła coś niepokojącego, jakiś ruch na skraju zasięgu wzroku. Wychyliła się przez mur, spojrzała uważniej, starła deszcz z oczu. Co to było? Walenie w bębny? Tupot stóp?

Na dziedzińcu również rozległy się głosy. Marrock stał kilkanaście kroków dalej i patrzył w tym samym kierunku.

Grupa wojowników wkroczyła na dziedziniec i skierowała się do ognia, witając się głośno z siedzącymi tam ludźmi. Na ich czele Cywen dostrzegła Evnisa oraz kilku zbrojnych z jego drużyny, w tym Conalla, brata Haliona, który jak zwykle chodził z zauważalną butą i pewnością siebie. Być może wyczuł jej wzrok, gdyż spojrzał na mury, niemalże prosto na nią. Na jego twarzy nie było ani cienia uśmiechu, którym zwykle próbował zawrócić w głowie większości kobiet w twierdzy oraz poza nią. Cywen nigdy nie zwracała na niego większej uwagi. Wojownik zmrużył oczy i ruszył prosto ku niej.

Dziewczyna dostrzegła innych, odzianych na czarno ludzi, którzy pojawili się za plecami Evnisa i bez słowa rozstawili się na skraju dziedzińca, kryjąc się wśród cieni poza zasięgiem światła rzucanego przez ognisko. Cywen otworzyła usta, by wykrzyknąć ostrzeżenie, ale wtedy usłyszała okrzyk Marrocka. Ludzie przy ogniu odwrócili się ku łowczemu, a potem spojrzeli za siebie, nagle uświadomiwszy sobie obecność skradających się wrogów.

W ręku Evnisa niespodziewanie pojawił się nóż, który wbił się w pierś najbliższego człowieka. Cienie eksplodowały życiem. Ukryci wojownicy wyskakiwali i rzucali się na zaskoczonych przeciwników. Zgrzytnęła stal, rozpętał się chaos. Wielu ludzi padło na bruk, nie zdążywszy nawet wyciągnąć broni, a ci, którym się to udało, nie zdołali stawić oporu. Napastnicy mordowali ich z przerażającą skutecznością. W ciągu kilku uderzeń serca wszyscy leżeli martwi, a ich towarzysze przy bramie przyglądali się rzezi z zaskoczeniem, nie wiedząc, czy rzucić się na pomoc czy też może nadal pilnować przejścia.

Ktoś zadał w róg, ale jego ryk utonął w huku burzy. Odgłos dotarł jednak do najbliższych zabudowań, z których natychmiast wybiegli Ardańczycy, trzymający miecze i włócznie, przeświadczeni, że to Owain przypuścił kolejny szturm. Wielu z nich padło na miejscu, ale na dziedzińcu znów rozgorzała bitwa. Marrock zgromadził wokół siebie kilku wojowników z murów i skoczył na pomoc tym, którzy strzegli bramy. Strażnicy walczyli z desperacją ludzi zapędzonych w ślepy zaułek, ale ubrani na czarno napastnicy przewyższali ich umiejętnościami i po chwili nie było już wątpliwości, że jeśli rychło nie nadejdzie pomoc, brama zostanie stracona.

Nagle Cywen przypomniała sobie o swych nożach. Cisnęła jednym w któregoś z napastników, a ten osunął się na ziemię z ostrzem w piersi. Potem cisnęła kolejnym, również celnie. Następny był przeznaczony dla jednego z wojowników blokujących drogę Marrockowi. Znów trafiła, a mężczyzna stoczył się po schodach. Wyrwała czwarty nóż i zakłęła pod nosem, szukając celu.

Niespodziewanie usłyszała za sobą jakiś odgłos. Odwróciła się i ujrzała początek końca.

Po moście pędziły setki uzbrojonych wojowników, a za nimi podążali kolejni, niezliczeni, ukryci wśród strug deszczu.

Armia Owaina jakimś cudem podkradła się do twierdzy pod osłoną ciemności i czekała tylko na odpowiedni moment.

Dziewczyna wrzasnęła, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi, gdyż ludzie byli pochłonięci walką o własne życie. Spojrzał na nią jedynie Marrock, spychany w górę schodów przez tuzin napastników w czerni.

Cywen z przerażeniem uświadomiła sobie, że brama znalazła się pod kontrolą wroga. Na jej oczach wojownicy w czerni unieśli wielką, żelazną kłodę, która przytrzymała oba skrzydła. Cisnęła w któregoś nożem, trafiła, ale nie powstrzymało to nikogo. Sekundę później kłoda zwała się na ziemię, a skrzydła bramy rozwarły się z łoskotem.

Walczący na dziedzińcu zamarli na ułamek sekundy, wpatrzeni w rozwarte wrota, a potem do środka wdarli się wojownicy Owaina z ogłuszającym rykiem.

– Biegnij po murze i ostrzeż Brenina! – krzyknął do niej Marrock.

Oszołomiona dziewczyna nadal stała i wpatrywała się w straszliwe widowisko. Marrock spojrzał nad jej ramieniem.

– Uważaj! – wrzasnął.

Odwróciła się i ujrzała Conalla, który szedł ku niej z mieczem w dłoni. Na jego pochmurnym obliczu malowała się zawziętość.

Bez namysłu cisnęła w niego nożem, ale wojownik odbił go mieczem i posłał w mrok. Cywen, potykając się, cofnęła się o krok.

– Z drogi! – ryknął ktoś za jej plecami, chcąc rzucić się na Conalla.

Dziewczyna zrobiła jeszcze krok, ale nagle zamarła. Uświadomiła sobie, że nie chce już uciekać i pozwalać na to, by inni walczyli za nią. Skoczyła na Conalla, próbując uniknąć jego miecza.

Wojownik był tak zaskoczony, że opuściła go owiana złą sławą szybkość, a Cywen wykorzystała ten moment, by przebić się przez jego gardę. Kopała, gryzła, tłukła go pięściami, drapała. Conall zatoczył się do tyłu, usiłował ją złapać, ale dziewczyna nachyliła się i uderzyła go głową w brzuch. Mężczyzna stęknął głucho, lecz zdołał złapać Cywen jedną ręką za włosy i przytrzymać. Ta, miast

wyrywać się, pchnęła go z całej siły, a wojownik, który już miał problemy z utrzymaniem równowagi, runął w tył. Jego noga ześlizgnęła się z krawędzi pomostu.

Chwiał się przez moment, nie puszczając Cywen, po czym zamachał rozpaczliwie ręką i spadł, pociągając dziewczynę za sobą. Pomknęli ku brukowanemu dziedzińcowi i setkom zwartym w boju wojowników. Cywen usłyszała jeszcze, jak Marrock krzyczy jej imię, a potem ogarnęła ją całkowita ciemność.

Rozdział osiemdziesiąty piąty

CAMLIN

Camlin przełknął ostatni łyk miodu i pokręcił głową, gdy Tarben zaproponował mu dolewkę. W sali biesiadnej panowała już względna cisza, gdyż wielu ludzi udało się do własnych domostw. Pozostało jeszcze kilkadziesiąt osób, siedzących tu i tam w niewielkich grupkach, głównie wojowników. Ogień w palenisku powoli przygasał, ale nadal rzucał roztańczone cienie na ściany.

Camlin miał wrażenie, że dostrzega kruka uzdrowicielki, który wyprowadził ich z Ciemnego Boru, siedzącego na belce w przeciwległym kącie. Czuł niemalże spojrzenie jego dziwnych, paciorkowatych ślepi na sobie. Zerknął na Brinę, która siedziała pochylona i rozmawiała ze starym Hebem. Choć łajała znawcę obyczajów przy każdej okazji i bezceremonialnie z niego drwiła, nie było wątpliwości, że dobrze się rozumieją.

W sali był również Torin i wielu uciekinierów z Havan, a jeszcze dalej, w ciemnym kącie Corban śmiał się z czegoś ze swymi przyjaciółmi. Camlin dobrze pamiętał, że stanęli za nim bez wahania, gdy Rafe rzucił mu wyzwanie. Poruszyła go ta scena. Rzadko się spotykało przyjaciół, gotowych wesprzeć cię w walce.

Atmosfera napięcia i ekscytacji po krótkim Sądzie Mieczy nadal wisiała w powietrzu. W tym Corbanie bez wątpienia kryło się coś szczególnego. Camlin zachichotał do siebie, spoglądając na własnych towarzyszy. Był obecnie wojownikiem, a przecież jeszcze

niedawno przebywał tu w niewoli, strzeżony przez tych, którzy pili z nim teraz miód. W ich liczbie znajdował się również Marrock, który objął wartę na murach, dobry człowiek, dobry przyjaciel, zajadły wróg.

Przyjaciel.

Wciąż nie mógł się nadziwić zmianom w swoim życiu. Nadal wolał drzewa i niebo od kamiennych murów, ale cieszył się, że się tu znalazł. Dobrze się tu czuł i miał wrażenie, że wreszcie robi to, co należy robić, a nie to, co jest dobre tylko i wyłącznie dla niego. Nie przejmował się nawet tym, że oblężenie przypuszczalnie nie skończy się dla nich dobrze.

Niespodziewanie drzwi do sali stanęły otworem, a do środka wdarł się deszcz i zimny powiew wiatru. Na progu stał ciężko oddychający Ewnis, a jego twarz lśniła od potu bądź deszczu. Otaczały go niknące wśród cieni postacie.

– Atakują! – oznajmił. – Kamienna Brama została rozbita!

Przez sekundę nad salą wisiała cisza, a potem eksplodował hałas. Ludzie krzyczeli, domagali się wyjaśnień, inni zrywali się na równe nogi, przewracając z łoskotem ławy i krzesła. Zdezorientowany Brenin zamrugał i wbił rozmyte spojrzenie w Ewnisa. Camlin sięgnął po cięciwę, schowaną w skórzanej sakwie i ze spokojem zaczął ją zakładać na łuk.

Ewnis biegł przez salę ku Breninowi, otoczony przez grupkę wojowników. Po drodze wymienił szybkie spojrzenie z Nathairem.

Do sali wpadł ryk rogu, a po nim kolejny chłodny podmuch. Władca Ardanu podniósł się, zachwiał i wyszedł z za swego stołu.

– Co ty gadasz? – wybełkotał.

Ludzie dookoła nagle zamarli, chcąc usłyszeć odpowiedź Ewnisa.

– To Owain! W jakiś sposób zdołał otworzyć bramę! – odparł doradca, zbliżając się do króla.

Ten przetarł oczy i próbował się wyprostować. Pendathran przypadł do niego, by go podtrzymać.

– Zabierz stąd Edanę – powiedział król do Haliona.

Wojownik złapał księżniczkę i ruszył z nią ku tylnym drzwiom, ale dziewczyna wyrwała mu się i stanęła, żeby posłuchać Evnisa.

Camlin zaś uświadomił sobie, że Nathair w jakiś sposób znalazł się tuż obok królewskiego doradcy. Ich ludzie, a wśród nich odziani na czarno wojownicy z zakrzywionymi mieczami, utworzyli półkrąg wokół Nathaira i Evnisa, skryci w otaczającym ich tłumie mieszkańców wsi i fortecy. Camlin trącił Tarbena. Nie podobało mu się to, na co patrzył.

– Jak... – wybełkotał król, który zaczynał trzeźwieć. – Jak do tego doszło?

Wtedy do środka wpadła kolejna grupa. Camlin ujrzał Marrocka z kilkoma przybocznymi. Ostrze broni łowczego ociekało krwią.

– Evnis to zdrajca! – ryknął. – Otworzył bramę Owainowi!

Zazgrzytały wyciągane miecze. Camlin spojrział na Brenina i ujrzał jednego z orlich strażników Nathaira, jak przytyka ostrze do królewskiej piersi. Powoli, nie chcąc przyciągnąć niczyjej uwagi, były banita sięgnął po kołczan i wydobył czarnopiórą strzałę.

Rozdział osiemdziesiąty szósty

CORBAN

Corban, który stał u boku ojca, sięgnął po broń, nie mogąc uwierzyć w szaleństwo, które rozgrywało się przed jego oczami.

Orli gwardzista przytykał miecz do piersi króla. W sali zapadła absolutna cisza.

Niespodziewanie rozległ się znajomy zgrzyt miecza, wysuwanego z pochwy. Wszyscy odwrócili się w kierunku źródła dźwięku i ujrzeli Haliona, który spokojnie, nieśpiesznie zbliżał się do Brenina. Nie spuszczał wzroku z orlego gwardzisty, trzymającego miecz przy królewskiej piersi.

Sumur zrobił kilka kroków i stanął między Halionem a królem Ardanu. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza, wystającej znad ramienia, ale nie uwolnił go z pochwy. Zamiast tego uniósł ostrzegawczo palec, jakby strofował nieposłuszne dziecko.

– Dość tego, Halionie! – warknął Brenin. – Ty masz się zająć Edaną!

Wojownik zatrzymał się, targany wątpliwościami. Patrzył to na króla, to na jego córkę. Pendathran przysunął się bliżej Brenina, ale Sumur smagnął go ostrzegawczym spojrzeniem.

– Co ty wyczyniasz? – Władca Ardanu spojrzał na Nathaira. Nagle znów wydawał się być tym mężczyzną, którego wszyscy znali, królem i przywódcą. Wyprostował się, a w jego głosie pojawiło się zdecydowanie. – Odebrało ci rozum?

– Nie pozostawiłeś mi wyboru – odparł Nathair. – Po pierwsze, okłamałeś mnie. – Podszedł bliżej, przybrawszy groźną pozę. – Kilkakrotnie dałem ci szansę, abys powiedział mi prawdę, ale wygląda na to, że kiepsko dobierasz sobie przyjaciół. Wiem, że rozmawiałeś z Meicałem. Gdzie on teraz przebywa, co? Uciekł po śmierci mego ojca i znikł bez śladu! – Uniósł brew badawczo. – Po drugie, nie wygrasz tej wojny. Owain cię pokonał, choć ty nadal tego nie dostrzegasz. Szukam silnych władców do mego sojuszu, przez co na nic mi się nie przydasz. Zostałeś przechytrzony przez Rhin i Owaina. Po co miałbym wesprzeć kogoś, kto jest skazany na porażkę?

– Jednocześnie się mylisz i masz rację – rzekł Brenin, nieporuszony.

– A po trzecie – ciągnął Nathair – zacząłeś mnie wypytywać o Mandrosa. Ośmieliłeś się podważyć to, co mówię, i domagać dochodzenia. To ja jestem władcą Tenebralu, Najwyższym Królem Ziem Wagnanych. Co więcej, jestem wybranym Elyona. Jestem Jasną Gwiazdą! Nie wolno ci kwestionować moich słów ani moich decyzji!

– Wygląda na to, że dokonałem właściwego wyboru – rzekł Brenin. – Widać, zdrada leży w twojej naturze.

Sumur rzucił się naprzód i spoliczkował go.

– Nie będziesz odzywał się w ten sposób do Seren Disglaira.

Po sali poniosły się gniewne pomruki, ale nikt nawet nie drgnął, gdyż orli gwardzista nadal przytykał ostrze miecza do piersi króla.

– Zdrada? – syknął Nathair. – Jaka znowu zdrada? Co ci powiedział Meical? – Z trudem narzucił sobie spokój. – Jak ci już mówiłem, moi przyjaciele zostaną wynagrodzeni, a wrogowie ukarani. Utrudniając mi zadanie i odmawiając mi informacji, zadeklarowałeś się jako mój wróg. To – wskazał miecz celujący w jego pierś – konsekwencja twego wyboru.

– Cóż za logika – parsknął Brenin.

Z oddali dobiegły zbliżające się odgłosy walki.

– Oczywiście – ciągnął Nathair – nie osiągnąłbym tego bez pomocy. Obecny tu Ewnis jest jedynym, który potrafi właściwie dobierać przyjaciół.

– Ewnis – powtórzył Brenin, wstrząśnięty zdradą swego doradcy.
– Dlaczego to zrobiłeś?

– Chciałem pomścić Fain – odezwał się mężczyzna drżącym głosem. – Pamiętasz, gdy zakazałeś mi wyjeżdżać z fortecy? Tym samym wydałeś na nią wyrok śmierci. Zginęła przez twoje decyzje!

Splunął Breninowi w twarz. Wstrząśnięci ludzie milczeli.

Brenin starł plwocinę z policzka.

– Fain, tak? Udajesz, że mścisz żonę, Ewnisie, a tak naprawdę pożądasz jedynie władzy i robisz wszystko, by ją przejąć. Niech Elyon przeklnie was obu!

– Nie życzę ci źle – odezwał się Nathair, na powrót ściągając uwagę na siebie. – Ale stanąłeś mi na drodze. – Wzruszył ramionami. – Jeśli twoi poddani zachowają spokój i zdrowy rozsądek, nie dojdzie do rozlewu krwi. Ścisłej mówiąc, nie ujrzą rozlewu twojej krwi. Zaczekamy, aż przybędzie Owain. – Odwrócił się ku otwartym drzwiom, zza których dobiegał zgiełk. – Na co nie trzeba będzie długo czekać. Wówczas oddam cię w jego ręce, a my możemy ruszać w drogę.

– Mówisz i mówisz, a chodzi ci tylko o to, by zamaskować prawdę – rzekł Brenin. – Owainowi zależy na zniszczeniu mego rodu i sam dobrze o tym wiesz. Ja zginę, obojętnie z twojej ręki czy też Owaina, ale jeśli moi poddani stawią ci czoła, tu i teraz, wówczas przynajmniej moja córka, a z nią mój ród, ma szansę przeżyć.

Nathair uniósł dłoń, ale Brenin niespodziewanie rzucił się naprzód, odtrącając miecz, który tkwił przy jego piersi. W tej samej chwili świsnęło rozcinane powietrze i czarnopióra strzała wbiła się z młaśnięciem w szyję orlego gwardzisty.

W sali znów zapadła cisza, ale sekundę później eksplodowało piekło.

Ewnis skoczył na króla, wyciągając coś spod płaszcza, po czym

obaj zwalili się z łoskotem na podłogę. Pendathran rzucił się swemu władcy na pomoc, dobywając miecza, ale zderzył się z Nathairem. Wówczas Sumur wyciągnął ostrze i machnął nim, a Pendathran runął na ziemię. Z jego gardła buchnęła czarna krew. Orli strażnicy błyskawicznie rozprawili się z przybocznymi Brenina i uformowali ciaśniejszy półkrąg wokół obu królów. Na okrzyk Rauki wzniesli tarcze i uformowali mur przeciwko nadbiegającym ludziom Brenina, a zbrojni Evnisa skoczyli na swoich sąsiadów.

Świsnęła kolejna strzała. W murze tarcz powstała wyrwa, gdy któryś z orlich gwardzistów padł na ziemię. Corban rozejrzał się i dostrzegł Camlina, wyciągającego następną strzałę z kołczanu. Ludzie Evnisa również zauważyli banitę i z rykiem rzucili się na niego.

Chłopak chciał włączyć się do walki, ale nie miał pojęcia, komu pomóc. Brenin walczył o życie, ale broniący Edany Halion też miał przeciwko sobie przewagę. Jego przyjaciołom, Dathowi i Farrelłowi, również groziło niebezpieczeństwo. Naraz rozległ się okrzyk bojowy Thannona, który rzucił się ku królowi, nadal walczącemu z Evnisem u stóp Nathaira. Ogromny kowal zakręcił młotem nad głową i zaczął torować sobie drogę ku władcy. Precyzyjne ciosy rozbijały czaszki i miażdżyły ciała popleczników Evnisa, a warczący Buddai gryzł ich po nogach. Corban bez namysłu rzucił się za ojcem, który parł naprzód, pozostawiając po sobie pasmo trupów. Chłopak, trzymając wysoko tarczę, pchał włócznią w każdego, kto zbliżył się do Thannona. Buddai strzegł drugiego boku ojca i wspólnie, niczym ostrze tarana, zbliżali się do króla.

Niespodziewanie zgiełk bitewny przeszył ostry, przeraźliwy wrzask. Edana wpatrywała się w ciało ojca, nagle widoczne między walczącymi, zalane krwią i nieruchome. Unosił się nad nim Ewnis, trzymając zakrwawiony nóż.

Thannon ryknął i zdwoił wysiłki. Grzmotnął młotem w pierś człowieka próbującego stanąć mu na drodze, a Buddai skoczył i zacisnął szczęki na udzie innego. Corban odbił tarczą cios

wycelowany w szyję ojca, po czym pchnął włócznią, która wbiła się głęboko w czyjeś ciało. Próbował ją wyszarpnąć, ale ostrze utknęło na dobre. Corban zaklął – wiedział, że powinien dobić rannego, ale nie potrafił się do tego zmusić. Zamiast tego wyrwał miecz i znów brnął przed siebie.

Niespodziewanie wypadli na otwartą przestrzeń. Przed sobą mieli półkrąg orlej straży oraz Nathaira i Sumura. Na podłodze wokół nich leżały trupy kilkunastu wojowników z Dun Carreg, którzy usiłowali osłonić Brenina. Wszyscy inni walczyli z ludźmi Evnisa. Corban zdołał dostrzec jedynie Haliona, który skrzyknął wokół siebie pozostałych wojowników i stawiał zacięty opór. Datha i Farrella nigdzie nie widział.

Thannon ruszył w stronę orlej straży, ale jeden z przybyszów zastąpił mu drogę. Był to Rauca, dowódca przybocznej gwardii Nathaira.

– Ani kroku dalej, wielgusie – oznajmił. – Nie ma sensu walczyć o zabitego króla.

– Nie pozwolę, byście zatrzymali jego ciało – warknął Thannon. – Chcę je wam odebrać!

Rauca przyjrzał się kowalowi i obrzucił spojrzeniem zakrwawiony młot w jego rękach. Wzruszył ramionami.

– Wiemy, jak się walczy z olbrzymami – oznajmił i cofnął się, by stanąć między swymi ludźmi.

– Mur tarcz! – rozkazał.

Tarcze zwały się z głośnym trzaskiem.

Thannon rąbnął młotem w jedną z nich, ale wytrzymała, a impet uderzenia rozszedł się po sąsiednich. Skrzywił się i rąbnął ponownie, a Buddai wystrzelił i zatopił kły w łydce jednego z gwardzistów. Rozległ się wrzask, tarcza opadła nieco, a Thannon wykorzystał moment i walnął żołnierza w hełm, posyłając go na posadzkę. Mur zachwiał się. Kowal chciał się przedrzeć na drugą stronę, ale gwardziści błyskawicznie zwarli tarcze, a któryś z nich pchnął ogara. Pies zaskomlał przeraźliwie, co wyzwoliło

w Thannonie prawdziwą furję. Tłukł po tarczach, usiłując dotrzeć do swego psa, a Corban krzyknął z przerażenia, gdy spod osłon wystrzelił rząd krótkich mieczy. Ojciec stęknął głucho, przeszyty kilkoma ostrzami.

Chłopak otworzył usta i nabrał tchu, by wrzasnąć, a jednocześnie wyciągnął rękę, by złapać ojca. Wtedy coś uderzyło go w bok i posłało na ziemię. Padając, zdołał zachować miecz i tarczę, a gdy uniósł głowę, ujrzał Helfacha i Rafe'a, biegnących ku niemu z dobytymi ostrzami.

– Teraz już nikt ci nie pomoże, chłopcze! – warknął łowczy.

Corban zerwał się i rozejrzał w panice, szukając ojca. Dostrzegł go, jak zatacza się przed murem tarcz i opada na jedno kolano. Zrobił krok ku niemu, ale Rafe zastąpił mu drogę. W sercu Corbana gniew walczył o lepsze z paniką. Zamachnął się dziko, ale syn łowczego bez trudu odbił cios. Oszołomiony chłopak na moment zapomniał o samym Helfachu, a przypomniał sobie o nim dopiero, gdy dostrzegł jego ostrze, zmierzające, by ciąć go przez zębra. Odbił je, zablokował kolejne uderzenie Rafe'a i cofnął się, by obaj napastnicy znaleźli się przed nim. Wiedział, że jeśli się nie skupi, sam padnie martwy, a wówczas nikt nie pomoże jego ojcu.

Helfach i Rafe zaatakowali niemalże jednocześnie, jeden z prawej, drugi z lewej. Corban zablokował uderzenie Helfacha tarczą, cios Rafe'a odbił mieczem i znów się cofnął. Obaj ponownie natarli, a wówczas chłopak, zamiast zrobić kolejny krok do tyłu, nieoczekiwanie uderzył Helfacha tarczą w twarz, a Rafe'a zdzielił rękojęścią miecza. Łowczy zachwiał się i cofnął niepewnie, ale Rafe zdołał uniknąć uderzenia i ciął przeciwnika w bok. Corban, mając nadzieję, że zdołał choć na chwilę wyłączyć Helfacha z walki, zawirował i odbił jego cios, po czym runął naprzód z wzniesioną tarczą i pchnął mieczem pod jej krawędzią. Poczuł, jak ostrze wgryza się w ciało. Rafe wrzasnął.

Corban ujrzał przerażenie w oczach przeciwnika, a potem jego ramię eksplodowało oślepiającym bólem. Obrócił się i runął na

podłogę, a gdy uniósł głowę, ujrzał uśmiechniętego dziko Helfacha. Z jego rozbitego nosa i czubka miecza ściekała krew.

– I to by było na tyle, chłopcze! – wrzasnął mężczyzna i uniósł ostrze, ale niespodziewanie rozległ się niski warkot i łowczy potoczył się po ziemi, szczepiony z rozszalałą, kłapiącą szczękami wilkunicą.

Gdy znieruchomieli, Burza stała nad łowczym i zaciskała kły na jego gardle, nie zwracając uwagi na Helfacha, który tłukł ją rękami i nogami, na próżno próbując się uwolnić. Sekundę później targnęła łbem i z głośnym trzaskiem złamała łowczemu kark. Trysnęła krew, kończyny mężczyzny drgnęły i znieruchomiały.

Corban podniósł się z trudem. Zranione przez Helfacha ramię pulsowało bólem, Rafe znikł gdzieś w zamieszaniu bitewnym, ale chłopak myślał teraz tylko o ojcu, który, choć wielokrotnie ranny, zdołał się dźwignąć na nogi.

Nathair wyszedł spośród gwardzistów. Towarzyszył mu Rauca ze śmiertelnie groźnym, krótkim mieczem w dłoni. Thannon zamachnął się młotem, ale jego cios był słaby i powolny. Rauca uniknął go bez trudu i kopnął Buddaia w zębra. Nathair zaś podszedł bliżej i wbił miecz w serce mężczyzny.

Stali tak przez chwilę, aż Thannon drgnął i padł do tyłu.

Corban wrzasnął przeraźliwie, bez słów. Rzucił się naprzód, ku umierającemu ojcu, ale niespodziewanie wyprzedził go ktoś inny.

Gar z zakrzywionym mieczem na plecach pędził prosto na Nathaira i Raucę.

Orli gwardzista dostrzegł zagrożenie. Pchnął Najwyższego Króla za mur tarcz, a sam z dobytym mieczem stanął Garowi na drodze. Ten nachylił się pod jego ciosem, przetoczył po ziemi i zerwał za jego plecami. Złapany oburącz miecz z sykiem przeciął powietrze, wznosząc się ku górze, po czym rozrąbał gwardzistę od ramienia po biodro, przecinając skórzany pancerz, kolczugę, ciało i kości.

Przez długą chwilę pozostali gwardziści, a wraz z nimi Sumur i Nathair, wpatrywali się ze zdumieniem w Gara. Wtedy Sumur

zrobił krok naprzód.

– To niemożliwe! – szepnął.

Czyjaś dłoń dotknęła zdrowego ramienia Corbana. Odwrócił się i ujrzał mamę. Stała za nim z włócznią, którą pozostawił w czyichś zebrach. Na sekundę wezbrała w nim panika – przecież jej nie powinno tu być! – a potem oboje przypadli do ciała Thannona. Buddai ułożył się przy panu i trącał pyskiem jego policzek. Zaskomlał, gdy Corban i Gwenith ukucnęli obok niego.

Twarz Thannona była popielatoszara, co kontrastowało z jaskrawą czerwienią krwi buchającej z jego ran. Chłopak ścisnął dłoń ojca i wpatrywał się w niego bezsilnie, a Gwenith ułożyła sobie jego głowę na kolanie.

– Wytrzymaj – szepnął Corban, choć wiedział, że to puste słowo.

Thannon chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się jedynie charkotliwy bulgot.

– Proszę. – Chłopak gładził dłoń ojca.

Każdy kolejny oddech przychodził Thannonowi z coraz większym trudem, a przerwy między nimi się wydłużały. Wreszcie ogromny kowal spojrzał na syna po raz ostatni i odszedł do lepszego świata.

Ciało Gwenith przeszły rozpaczliwy szloch. Ścisnęła mocno dłoń męża, a Corban naraz poczuł się skrajnie zagubiony. Uświadomił sobie, że nie jest w stanie zaczerpnąć tchu. Rozejrzał się i zobaczył przyglądającego się im Nathaira. W jego sercu przebudziło się nowe uczucie – furia, jakiej nie doświadczył nigdy dotąd.

Najwyższy Król odwzajemnił jego spojrzenie.

– Zabiję cię – powiedział Corban.

– Przeprowadźcie go do mnie! – rozkazał Nathair.

Orli gwardziści drgnęli, mur tarcz pękł, ale na ich drodze stanął Gar.

– Zabierz go stąd – warknął do Gwenith, wpatrując się w wojowników, okrążających go powoli, niepewnie.

– Ale dokąd? – załkała kobieta, wciąż pogrążona w szoku.

– Tam! – Gar skinął w stronę tylnej ściany fortecy, gdzie ostatni

wojownicy Brenina, skupieni wokół Haliona i Edany, wciąż walczyli z ludźmi Evnisa.

Gwenith spojrzała w tamtym kierunku, ale nie była w stanie zrobić kroku ani powstrzymać łez.

– Corban jest teraz najważniejszy! – syknął Gar. – Ruszaj!

Przesunął się nieco, by móc stanąć na drodze każdego, kto zechciałby się zbliżyć do Corbana i jego matki.

Gwenith dotknęła twarzy męża raz jeszcze, chcąc się z nim pożegnać, po czym poderwała się i pociągnęła Corbana za sobą. Chłopak wyrwał młot wojenny z ogromnych dłoni ojca i zawołał Buddaia, ale pies nawet nie drgnął. Corban spojrzał na Gara, nie chcąc porzucać ani jego, ani ciała ojca.

– Uciekaj, Ban! – zawołał stajenny. – Niedługo do was dołączę, zaufaj mi!

Chłopak skrzywił się, ale popędził za matką oraz Burzą przez pobojuwisko. Jedynymi ludźmi pozostałymi przy życiu byli teraz gwardziści Nathaira, powoli otaczający Gara, oraz niedobitki zmagające się po drugiej stronie sali.

Słyszając wściekły szcęk stali, który rozległ się gdzieś z tyłu, Corban zatrzymał się jak wryty. Nagle uświadomił sobie, że dał się zwieść słowom Gara, któremu zależało tylko na tym, by jak najszybciej opuścił to miejsce. Okłamał go! Jakże mógł wyjść cało z walki z dziesięcioma wojownikami? Obrócił się gwałtownie i ujrzał, że stajenny tańczy wśród napastników niczym duch. Z niebywałą płynnością schodził z drogi ich ostrzy, a jego miecz wznosił się i opadał, zadając śmierć za każdym uderzeniem. Wystarczyło kilka sekund starcia, by ocaleli gwardziści odskoczyli ze strachem.

Gwenith krzyknęła za nim. Corban ruszył i w kilku skokach przypadł do Haliona. Z wielkiej gromady wojowników ardańskich przeżyło około tuzina, ale ludziom Evnisa wcale nie powiodło się lepiej. Cała drużyna skurczyła się do niecałych dwóch dziesiątek zbrojnych, którzy nadal usiłowali dopaść Edanę i zakończyć

konflikt. Corban uniósł młot ojca i rzucił się do szarży, a Burza skoczyła za nim i jednym kłapnięciem szczęk zmiażdżyła któremuś z wojowników kolano.

Dwóch innych padło z nożami sterczącymi z pleców, nim zdołał ich dopaść, i wówczas chłopak przypomniał sobie, od kogo Cywen nauczyła się tej sztuki. Przeniósł wzrok na innego napastnika i z głośnym stęknięciem zamachnął się młotem. Oręż ojca był dla niego o wiele za ciężki i miast w głowę, trafił przeciwnika w plecy. Uderzenie pogruchotało mu jednakże kości i wojownik runął na podłogę. Corban zamachnął się ponownie, a Gwenith, walcząca tuż obok, wbiła włócznię w ramię innego mężczyzny. Gdzieś dalej szalała Burza, parskając, gryząc i szarpiąc.

Ludzie Evnisa odwrócili się ku nowemu zagrożeniu, a Halion i jego towarzysze wykorzystali moment i bez litości rozprawili się z nimi. Corban dostrzegł wśród walczących Camlina, Marrocka i Tarbena, a także, ku swojej wielkiej uldze, pobladłego Datha oraz Farrella. Za ich plecami zgromadzili się też inni, w ich liczbie Brina, Heb oraz zapłakana Edana.

Płomienie nadal trzaskały w palenisku, a wszędzie dookoła ciągnęło się pobojuwisko. Zza strzaskanego stołu w ciemnym, mrocznym kącie dobiegał rozpaczliwy szloch. Corban zerknął nad płomieniami i dostrzegł dwóch mężczyzn, klęczących na podłodze. Jednym z nich był Mordwyr, ojciec Datha. Jego twarz była ściągnięta bólem, ale płakał drugi z nich, Vonn, trzymający na kolanach głowę nieżywej Bethan.

Walczył już tylko Gar, choć z jego przeciwników ocalało zaledwie dwóch. Corban zrobił kilka kroków ku niemu, a w ślad za nim ruszyli niektórzy z Ardańczyków. Na ich oczach stajenny zablokował cios znad głowy i rozchlastał gardło nacierającemu gwardziście. Nim ten osunął się na ziemię, Gar zdołał zrobić krok w bok, obrócić się i przebić mieczem brzuch ostatniego z ludzi Nathaira.

Przez moment stał nieruchomo, po czym uwolnił ostrze i obrócił

je, a trup gwardzisty runął na podłogę. Wówczas Gar zwrócił się ku Nathairowi i Sumurowi.

Sumur zrobił krok ku niemu. Poruszał się powoli i z gracją, jego broń nadal spoczywała w pochwie na plecach.

– Jak tu dotarłeś, bracie w mieczu? – zapytał.

Gar w milczeniu przybrał inną postawę.

– Powinieneś odpowiedzieć, gdy zadaję ci pytanie – ciągnął Sumur. – Jestem panem na Telassar i panem Jehar, a więc i twoim panem, czyż nie?

– Moim panem jest Tukul – odparł Gar.

Sumur pokręcił głową.

– Tukul był zagubiony i nie potrafił udźwignąć swego brzemienia. Powiedz mi, gdzie on jest? Tu, w Dun Carreg? W Ardanie? A może już cię porzucił?

– On nigdy by tego nie zrobił! – parsknął Gar.

– To już nieważne. – Sumur wzruszył ramionami. – Zawiodłeś. Schowaj swój miecz i stań po naszej stronie. Spójrz, stoi przed tobą sam Seren Disglair!

Wskazał przy tych słowach Nathaira, który stał dumnie wyprostowany, w iście królewskiej pozie, i uśmiechał się serdecznie do Gara.

Stajenny przyjrzał mu się z pogardą.

– To niemożliwe – stwierdził i zerknął na ułamek sekundy na Corbana.

Sumur spojrzał w tym samym kierunku i zauważył wilkuniecę u boku chłopaka.

– Mamy wiele do obgadania – rzekł. – No, schowaj miecz. Przystąp do mnie.

– Niewiele się zmieniłeś – odparł Gar. – Twój język nadal ocieka miodem. Może zdołałeś omamić mego ojca i objąć rządy pod jego nieobecność, ale mnie nigdy nie oszukasz. Będziemy mieli czas na rozmowę, gdy moja dusza przemierzy most mieczy. Do tego czasu moje ostrze będzie przemawiać za mnie.

Klinga jego miecza zakreśliła łuk w powietrzu.

– Jak sobie życzysz – powiedział Sumur. – A kiedy już z tobą skończę, zajmę się chłopakiem i jego szczenięciem. Z przyjemnością wyszarpię z nich kilka odpowiedzi.

Dobyl broni z taką szybkością, że Corban nie zarejestrował nawet ruchu. Nie zauważył też pierwszego starcia ich mieczy, usłyszał jedynie zgrzyt uderzających o siebie ostrzy i zobaczył snop iskier. Obaj wojownicy zawirowali, a potem odskoczyli od siebie. Żaden z nich nawet się nie zasapał. Zataczali kręgi, mierząc się wzrokiem, sprawdzając. Naraz Sumur zatrzymał się, przyjął inną postawę i rzucił się na Gara z wzniesionym orężem. Ten umknął przed opadającym ostrzem i ciął Sumura na wysokości talii, ale wojownik Jehar był już poza zasięgiem. Zwarli się ponownie. Ich miecze znów uderzały o siebie, tak szybko, że Corban nie był w stanie zliczyć ich ataków. Nagle Gar przykucnął i ciął Sumura po kostkach, ale ten w porę odskoczył i rąbnął stajennego w głowę. Mężczyzna odsunął się lekko, unikając wrogiego ostrza o grubość włosa, a potem, nie marnując ani sekundy, obrócił się ku władcy Jehar, chlasnął raz, drugi i uskoczył z wdziękiem.

Sumur zamarł i spojrzał w dół. Na jego przedramieniu i piersi pojawiły się dwie cienkie, czerwone szramy. Były to niegroźne cięcia, ale udowodniały, który z dwóch walczących jest szybszy, nawet jeśli o ułamek sekundy.

Corban uświadomił sobie, że przez cały czas wstrzymuje oddech, oszołomiony intensywnością starcia i niepojętymi umiejętnościami jego uczestników. Nigdy dotąd nie widział takiego widowiska. W porównaniu z tą walką Sąd Mieczy między Tullem a Morcantem był zaledwie bezwładną bijatyką na kije. Chłopak rozejrzał się i przekonał, że wszyscy dookoła są równie pochłonięci grozą pojedynku na śmierć i życie. Nikt już nie pamiętał o bitwie, która nadal wrzała na zewnątrz.

Szczęk stali na powrót przyciągnął jego uwagę. Obaj walczący wili się i ścierali jak dwa płomienie. Poruszali się tak szybko, że

Corban przez moment nie wiedział, kto jest kim. Wówczas jeden z nich wycofał się ku ciału leżącemu na posadzce. Chłopak jęknął, gdy uświadomił sobie, że to zwłoki jego ojca, których nadal samotnie strzegł Buddai. Stopa wojownika otarła się o ramię Thannona, a wówczas ogar wystrzelił i zatopił zęby w jego bucie. Na chwilę krótszą niż uderzenie serca bądź mrugnięcie powieki ów mężczyzna stracił równowagę, a wówczas miecz jego przeciwnika wystrzelił i wbił się w jego ramię. Trafiony zawirował i znalazł się poza zasięgiem wrogiego ostrza. Zatrzymał się i dotknął rany, a wówczas Corban westchnął z przestrawieniem.

Był to Gar.

Nagle chłopak zaczął się bać o życie przyjaciela. Jego niewzruszona wiara w umiejętności nauczyciela osłabła w jednej chwili – wszak Gar walczył mieczem dwuręcznym i potrzebował obu ramion, by władać nim jak należy, a podczas takiego starcia nawet najkrótsza chwila wahania mogła zadecydować o wyniku. Obaj dobrze o tym wiedzieli.

Gar skrzywił się i poruszył ramionami, a potem zerknął na Corbana.

– Uciekaj – wyszeptał.

Sumur uśmiechnął się, jakby wiedział, co się zaraz wydarzy. Gar cofnął się powoli ku otwartym drzwiom sali biesiadnej, oddalając się przy tym od Corbana, ale zrobił zaledwie kilka kroków, gdy władca Jehar rzucił się do natarcia. Znów zamigotały ostrza, ale tym razem stajenny dał się zepchnąć do obrony. Cofał się, parował, nawet nie próbował kontratakować. Na jego czole lśnił pot. Ataki Sumura przybrały na intensywności. Władca Jehar przeczuwał, że od zwycięstwa dzieli go zaledwie sekundy.

Wtedy do wnętrza wtoczył się tłum walczących w czarnych i szarych płaszczach. Niektórzy z nich wpadli na Sumura i Gara, rozdzielając ich.

– Gar! – wrzasnęła Gwenith. – Uciekajmy! I to szybko!

Corban krzyczał razem z matką, choć obaj walczący znikli

w tłumie. Nie miał pojęcia, czy stajenny ich usłyszał czy też sam podjął decyzję, ale nieoczekiwanie pojawił się tuż przed nimi.

– W nogi! – rzucił do garstki niedobitków, na powrót szykujących się do walki. Był wyczerpany i zakrwawiony, ale w jego głosie pojawiło się coś, co odbierało ochotę do dyskusji. Corban pokiwał głową.

– Pod warunkiem, że uciekniemy wszyscy! – dodał, spoglądając na Haliona i pozostałych. Gar wzruszył w odpowiedzi ramionami.

Wnętrze sali biesiadnej króla Ardanu znów stało się polem bitwy. Ścierający się wojownicy w szarych i czerwonych płaszczach przesłonili Sumura, Nathaira i Evnisa, a zaciekle zmagania przesuwały się ku tyłowi sali, gdzie Halion i pozostali skupili się wokół Edany. Póki co nie zaatakował ich jeszcze nikt.

– Musimy wydostać stąd Edanę! – rzucił Halion, usłyszawszy ich wymianę zdań. Zerkał na Gara z zaintrygowaniem, jakby widział go po raz pierwszy.

– Ale jak? – spytał Corban.

– Nie przebijemy się przez tę ciżbę. – Halion wskazał walczących w sali.

– Na ulicach nie jest lepiej – dodał Marrock. – Poza tym Owain zajął bramę i most.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Istniał tylko jeden sposób, by wydostać się z Dun Carreg.

– Znam inną drogę! – odezwał się Corban, niespodziewanie przypomniawszy sobie tunele pod fortecą.

– Jesteś pewien? – spytał Halion.

– Tak! To sekretny tunel!

– Ruszajmy! – oznajmił Marrock. – Dyskusje zostawmy sobie na kiedy indziej.

Halion skinął głową. Wydał rozkazy pozostałym wojownikom, a sam skoczył ku tylnym drzwiom i poprowadził niewielką grupę naprzód. Gwenith zawahała się na moment na progu, spoglądając na ciało Thannona, a wtedy jej wyraz twarzy zmienił się

całkowicie.

– Cywen! – szepnęła.

Corban próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział siostrę. Gdzie ona się podziała?

– Musimy odnaleźć Cywen! – oznajmiła matka, ale Gar położył jej dłoń na ramieniu.

– Przede wszystkim musimy zatroszczyć się o Bana i mieć nadzieję, że uda nam się znaleźć Cywen po drodze. Jeśli tak się nie stanie, wrócę po nią, gdy Ban będzie już bezpieczny. Obiecuję ci to!

– Ale...

– Cywen to odważna, zaradna dziewczyna. Nie znam takiej, która miałaby większe szanse na przeżycie tej awantury! – Gar wpatrywał się w Gwenith. – Nie możemy ryzykować życiem Bana! I tak ponieśliśmy już zbyt wielką ofiarę.

Gwenith patrzyła na niego intensywnie.

– Wrócisz po nią?

– Przysięgam na mój honor. Gdy tylko Ban znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Kobieta skinęła niechętnie głową.

Wtedy od ich niewielkiej grupki oderwał się Dath i przypadł do nadal klęczącego, pogrążonego w rozpacz ojca. Corban zawahał się na chwilę, ale skoczył w ślad za przyjacielem, a Gar i Farrell ruszyli za nim. Mordwyr nadal pochylał się nad nieżywą Bethan, tuloną przez Vonna.

– Chodźmy, tato! Szybko! – wysapał Dath. – Musimy uciekać!

Mordwyr uniósł głowę i spojrzał na niego. Chłopak delikatnie otoczył ojca ramieniem i spróbował go podnieść. Corban przekazał młot Thannona Farrellowi i nachylił się, by mu pomóc.

– Zostawcie mnie tu! – wymamrotał Mordwyr. – Nie mam już powodu, by dalej żyć...

– A ja? – błagał go Dath. – Nie chcesz żyć dla mnie? Jeśli to nie wystarcza, to żyj choćby po to, by pomścić Bethan!

Vonn uniósł głowę i skrzywił się, a Mordwyr pozwolił, by Dath

i Corban wyprowadzili go przez tylne drzwi. Syn Evnisa ruszył za nimi bez słowa. Halion i pozostali czekali już w ciemnym korytarzu. Corban i Gar weszli tam jako ostatni, a za nimi przecisnęła się Burza.

Chłopak raz jeszcze zerknął do sali.

– Ojcie – szepnął.

Gar pochylił głowę.

Corban już miał się odwrócić, gdy coś innego przykuło jego uwagę. Nathair i Sumur, którzy przesuwali ciało Brenina na bok, unieśli głowy i spojrzeli prosto na niego. Znieruchomiał, pochwycony wzrokiem Najwyższego Króla, ale Gar odciągnął go i zatrzaskał drzwi, a potem zabarykadował je długą ławą.

– Czas na żałobę znajdziemy później – rzucił. – Gdy już uciekniemy z tej skały.

Corban skinął głową i razem ruszyli korytarzem. Burza pognała za nimi.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

KASTELL

Kastell w towarzystwie innych wojowników, ledwie widocznych w ciemnościach, schodził po szerokich, skręcających spiralnie schodach, aż dotarł na otwartą przestrzeń, gdzie również było ciemno. Po kilku ostrożnych krokach znalazł się na krawędzi tarasu, a gdy spojrział w dół, dostrzegł w głębi migotliwe, błękitne światło.

Wojownicy mijali go w milczeniu, słyszeć było jedynie tupot nóg oraz skrzypienie pancerzy. Powietrze było ciężkie, stare, unosił się w nim posmak stęchlizny, intensywniejszy z każdym krokiem. Kastell zaczynał odczuwać niepokój. Cóż tam na nich czekało? Czyżby kolejne olbrzymy? Miał wrażenie, że starcie przed drzwiami było ostatnią, finalną fazą ich bitwy. Hunen walczyli bowiem z zacięłością wojowników, którzy nie mają nic do stracenia. Niemniej byli nieprzewidywalnym plemieniem – myśli Kastella powróciły do bitwy między kurhanami, zdradzieckiej mgły oraz ziemi, która zamieniła się w bagno. Zadrzał, gdy przypomniał sobie, jak jego towarzysze broni pogrążali się w zimnym, duszącym błocie.

Wreszcie teren się wyrównał.

Przed nimi ciągnęły się dwa szeregi klęczących olbrzymów. Kastell podniósł miecz, ale natychmiast poczuł się jak idiota.

Olbrzymy były martwe. Rozstały się z życiem już dawno temu,

a teraz tkwiły na klęczkach, podtrzymywane w pionie przez sztywne kolczugi bądź pancerze ze skóry, wsparte o drzewca spoczywających na kamieniach toporów i młotów. Tu i tam wznosiły się wysokie słupy, na końcu których połyskiwały błękitne płomienie.

Ich drużyna luźną gromadą ruszyła powoli przed siebie po szerokiej drodze, mając po obu stronach rzędy martwych olbrzymów, aż Kastell wypatrzył coś w oddali, znów opromienione błękitnym światłem. Spojrzał podejrzliwie na Hunen po obu stronach, po części spodziewając się, że to kolejna iluzja, a martwi wojownicy ożyją nagle i rzucą się do ataku. Czuł mrowienie na skórze, jakby mu się przyglądali, ale ich oczodoły były czarne i od dawna puste. Zaplecione w warkocze włosy i wąsiska otaczały wychudłe twarze o ostrych rysach, opięte cienką skórą. Nie miał pojęcia, ile lat liczyły sobie zwłoki.

Gdy był już blisko przeciwległej ściany ogromnej komnaty, gdzie stał Romar, wreszcie na własne oczy ujrzał to, co Hunen trzymali w podziemiach.

Na szerokim podwyższeniu wznosił się kamienny tron, a na nim zasiadał martwy olbrzym. Trup miał na sobie kolczugę złożoną z niewielkich płytek w kształcie liści, z których każda z osobna wszyta była w skórzany kaftan. Nad zbroją, hełmem zwieńczonym końską kitą i nagolennikami unosiły się osobliwe, błękitne promyki.

Kościste palce zaciskały się na długim drzewcu topora z podwójnym ostrzem. Metal, z którego go wykonano, różnił się od zwykłego żelaza. Był ciemny i wydawał się pochłaniać blask pochodni, zamiast go odbijać jak reszta broni. Kastell nagle zrozumiał, że kiedyś już widział ten oręż. Trzymano go w specjalnej sali w Mikil i strzeżono jak największego skarbu.

– Mój topór – szepnął Romar.

Alcyon i Calidus minęli Kastella w asyście kilku wojowników Jehar. Młodzieniec spojrzął za siebie i ujrzał kolejnych ludzi

w czerni, którzy utworzyli krąg wokół niedobitków Gadrai i wojowników z Isiltiru.

Alcyon i Calidus podeszli do podwyższenia. Starzec zatrzymał się, a olbrzym wszedł po stopniach na górę, stanął przed tronem i złapał drzewce topora, a potem ostrożnie oswobodził go z uścisku kościstych dłoni. Uniósł go, wpatrując się weń z zachwytem i nabożnym szacunkiem.

– Stój! – rozległ się czyjś głos, szorstki i nieprzyjemnie brzmiący w niemalże świętej ciszy. – To mój topór!

Alcyon wbił wzrok w króla Isiltiru. Jego drobne, czarne oczy zalśniły.

– To topór Dagdy – rzekł niemalże szeptem, choć jego słowa poniosły się echem.

– Dagdy? Któż to znowu?

– To jeden z praprzodków, ten, który dzierżył topór z gwiazdowego kamienia – szeptał Alcyon, jakby recytował wersy starożytnego prawa. – A ów topór jest jednym z siedmiu Skarbów.

– Wiem o tym – rzekł Romar. – I stanowi moją własność. Oddaj mi go.

– Ta broń należy do Nathaira – rzekł Calidus. – Zabieram ją jako jedyne wynagrodzenie za nasz udział w tej kampanii. Bez naszej pomocy nigdy nie dotarłbyś do Haldis, nie mówiąc już o pokonaniu Hunen.

– Co takiego?! – wykrzyknął Romar. – Nie sędzę! Nikt was tu nie zapraszał i nikt nie prosił was o pomoc! Nie potrzebowaliśmy was! Przyłączyliście się sami, a teraz domagacie się najcenniejszego łupu?

Król Isiltiru szedł w stronę topora, nie kryjąc swoich intencji.

– Zatrzymuję ten topór jako trofeum, które przekażę Nathairowi, królowi Tenebralu, naszej Jasnej Gwieździe i Seren Disglairowi! – zaintonował Calidus.

Kastell zmarszczył brwi. Nie zrozumiał ostatnich słów starca, ale zauważył, jaki efekt wywarły one na wojownikach odzianych

w czerń, którzy wyprostowali się nieoczekiwanie i wydawali się gotowi do działania.

– Nathairowi? – parsknął Romar. – Seren co? Przecież to tylko szczeniak! Królobójca! Nie pozwolę, by zarobił cokolwiek na przelanej przez nas krwi. A teraz – odwrócił się ku olbrzymowi – oddaj mi tę broń.

– Nie – warknął Alcyon.

Romar postawił stopę na pierwszym stopniu, ale Calidus stanął mu na drodze.

– Przepuść mnie! – parsknął król, chcąc odepchnąć starca, ale ten, choć był drobnym człowiekiem, złapał mężczyznę za ramię i obrócił go ku sobie. Romar szarpał się, ale nie mógł się uwolnić. – Puszczaj! – stęknął i sięgnął po miecz, a przyboczni skoczyli mu na pomoc.

Gdy władca Isiltiru uniósł głowę, ujrzał Alcyona wznoszącego topór. Ułamek sekundy później olbrzym opuścił ostrze z taką siłą, że zgruchotało mężczyźnie obojczyk i uwięzło w klatce piersiowej.

Przez chwilę trwała absolutna cisza, po czym Gadrai i ludzie z Isiltiru rzucili się na Alcyona i Calidusa, a wojownicy Jehar skoczyli im na pomoc. Bitwa niespodziewanie rozgorzała na nowo, równie zaciekle jak przed chwilą, gdy mierzyli się z Hunen.

Kastell uniósł tarczę i miecz, po czym odruchowo zbliżył się do Maquina, zasłaniając ranny bok przyjaciela. Z niedowierzaniem przyglądali się zacieklej walce. Ich bracia z Gadrai padali jeden po drugim, gdyż spośród ich grona jedynie Vandil mógł dorównać przeciwnikom szybkością i umiejętnościami. Obok walczył Orgull, który dzięki brutalnej sile zdołał posłać jednego z wojowników Jehar na ziemię, ale zaraz zastąpił go inny, blokując drogę do ciała Romara.

Niespodziewanie któryś z nich rzucił się na Kastella z wzniesionym wysoko mieczem. Młody wojownik uświadomił sobie, że to kobieta. Zablokował jej uderzenie, ale rozpędzona wojowniczką naraz znalazła się za jego plecami. Już by rozrąbała

mu kolano, gdyby Maquin nie skoczył naprzód i nie odbił jej ciosu. Kobieta odwróciła się ku staremu wojownikowi i natychmiast dostrzegła jego słabość. Cięła go, ale tym razem to Kastell zablokował jej ostrze. Wówczas Jehar natarła na młodzieńca i zasypała go gradem ciosów wymierzonych w głowę i szyję. Kastell zachwiał się i padł na plecy. Ostrze kobiety świsnęło w miejscu, gdzie chwilę wcześniej było jego gardło. Instynkt nakazywał mu odtoczyć się w bok, ale zerwał się ku przeciwniczce i uderzył barkiem w jej nogi. Kobieta przewróciła się. Podniosła się błyskawicznie, ale Maquin zdzielił ją tarczą, posyłając z powrotem na ziemię, po czym wraził jej miecz w szyję. Ciało kobiety przeszło spazm, a potem znieruchomiało.

Kastell leżał przez chwilę bez ruchu, wdzięczny losowi za ocalenie i wciąż zaskoczony tym, że zdołał przeżyć.

Podniósł się i uświadomił sobie, że bitwa trwa w najlepsze, choć zamieniona w dziesiątki drobniejszych starć.

Vandil szalał, a jego dwa miecze opadały z oszalamiającą prędkością, krzesząc iskry o długie, zakrzywione ostrze jakiegoś wojownika. Zawirował i pchnął, wbijając klingę w pierś mężczyzny. Szarpnął, chcąc ją uwolnić, ale wtedy wyrósł przy nim Alcyon. Zamachnął się i rąbnął. Vandil zasłonił się drugim mieczem, ale uderzenie olbrzyma okazało się zbyt silne. Ostrze wgryzło się w jego pierś. Buchnęła krew, zgrzytneły łamane kości. Mężczyzna przetoczył się po kamiennej podłodze i zatrzymał, przygniatając własne ramię. Nie poruszył się już.

– Dalej! – krzyknął Maquin i wraz z Kastellem popędzili ku swemu przywódcy.

Naraz za ich plecami rozległ się łoskot, a młodzieniec ujrzał kolejnego wojownika Jehar, atakującego Maquina. Ku jego zaskoczeniu do walki wmieszał się łysy Orgull, wbijając miecz w plecy przeciwnika. Cała trójka wpadła na jednego z wysuszonych olbrzymów i znikła w chmurze pyłu i kości.

Kastell chciał wskoczyć w ślad za nimi, ale naraz pojawiła się

przed nim jakaś postać, w której rozpoznał Jaela. Uśmiechnięty kuzyn trzymał w ręku miecz.

– Z drogi! – warknął Kastell.

– Musimy pogadać! – rzekł Jael.

– Co takiego?

Gadać? Tutaj?, przeszło mu przez głowę.

Chciał się przepchnąć obok Jaela, gdy ujrzał, jak ten rzuca się do natarcia. Z najwyższym trudem odparł jego uderzenie, ale kuzyn zdołał ciąć go po przedramieniu.

– Co ty wyczyniasz? – syknął Kastell, unosząc spojrzenie znad rany.

– Zapewniam sobie prawo do tronu – rzekł Jael i znów natarł.

Ich miecze starły się ponownie. Jael zaatakował, a Kastell zablokował uderzenie i sam ciął, mierząc w klatkę piersiową. Kuzyn odbił jego ostrze, zawirował, przebił się przez gardę i rąbnął go łokciem w podbródek. Młodzieniec zatoczył się i poczuł smak krwi w ustach. Uderzenie serca później w jego brzuchu eksplodował ból. Miał wrażenie, że został uderzony pięścią, ale gdy spojrzał w dół, ujrzał wbity w ciało miecz.

Nagle kolana ugięły się pod nim, a on sam poczuł niewiarygodne znużenie. Ogarnął go chłód. Jael wyrwał ostrze i parsknął śmiechem.

– Byłem ci to winien – rzekł.

Kastell chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa. Uświadomił sobie, że pada. Świat dookoła rozmył się. Jego policzek dotknął chłodnego kamienia.

Ostatnią rzeczą, którą ujrzał, były buty Jaela.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy

CORBAN

Korytarze były ciche i ciemne, z rzadka dobiegał do nich zgiełk bitwy. Corban i Gar szybko dogonili resztę ich grupy, która liczyła zaledwie około dwudziestu osób. Podążali przed siebie, skręcając co chwila, aż dotarli do komnaty, w sercu której znajdowało się wielkie łóż z rzeźbionego drewna. Corban uzmysłowił sobie, że była to królewska sypialnia.

Halion wypadł na balkon i zaczął pomagać pozostałym uciekinierom przy zejściu na pustą uliczkę, która biegła dołem. Jako pierwsi zeskoczyli Marrock i Camlin. Rozejrzeli się uważnie i dali sygnał pozostałym, że droga na razie jest wolna.

Corban, który pozostał z tyłu grupy, pomógł zejść mamie. Oprócz niego na balkonie pozostali jedynie Gar, Farrell i Halion. Niespodziewanie chłopak uzmysłowił sobie coś, z czego jak dotąd nie zdawał sobie sprawy.

– Przecież Burza nie zeskoczy! – stwierdził. – Ona musi widzieć, na co skacze, a ta balustrada zasłania widok!

– Cofnijcie się! – huknął Farrell do wszystkich, którzy znajdowali się na dole, a potem zamachnął się młotem Thannona i wybił w balustradzie potężną dziurę.

Kamienny gruz runął w dół.

Chłopak wyszczerzył głupkowato zęby i wzruszył ramionami.

Halion i Farrell pośpiesznie zeskoczyli z balkonu, a na końcu

opuścił go Corban, który musiał najpierw nakłonić do tego Burzę.

– Dobra! – zawołał Halion, pośpiesznie organizując ich grupę. – A teraz do sadzawki, najszybciej jak się da.

Biegli, sapiąc i dysząc. Na czele sadył Marrock, a tył zabezpieczali Corban, Burza, Gar i Farrell. Jako ostatni pędził Camlin, który co rusz zerkał za siebie. Przemierzali teraz uliczki na tyłach fortecy, a walki toczyły się głównie na odcinku między wieżą królewską a Kamienną Bramą. Raz na jakiś czas słyszeli więc jeszcze szczęk oręza, ale nikt ich nie niepokoił.

Naraz przemknął nad nimi czarny cień. Corban odwrócił się i zerknął przez ramię. Na niebie rozlewała się pomarańczowa łuna płonących zabudowań, przez co szybko ujrzał ów cień ponownie. Zatrzepotały skrzydła i Craf przefrunął nad głową Briny. Chłopak poczuł ulgę na myśl o tym, że stary, wyliniały kruk wciąż jest z nimi. Wszak tylu zginęło...

Skrzywił się z bólu, gdy tarcza otarła mu ranę na ramieniu. Wciąż mógł nim poruszać, za co był wdzięczny losowi, choć każdy ruch wywoływał nową falę bólu.

Naraz, bez ostrzeżenia, z bocznej uliczki wypadła gromada wojowników, wszyscy w czerwonych płaszczach Narvonu. W pierwszej chwili nie zauważyli niewielkiej grupki Corbana, a z jej istnienia zdali sobie sprawę, dopiero gdy wdarł się między nich Marrock, a w ślad za nim Halion i reszta, którzy bez trudu wyrąbali sobie drogę przez grupę zaskoczonych wojowników. Farrell ryczał i wymachiwał młotem Thannona, jakby urodził się, by nim władać. Burza przypadła jakiemuś przerażonemu Narwończykowi do gardła i rozorała mu brzuch pazurami. Camlin wskoczył bezszelestnie w sam środek starcia, tnąc na prawo i lewo, a po nim Corban, pokonując ból ramienia, i ubezpieczający go Gar. Kilkanaście sekund później było już po walce, a z kilkoma uciekinierami rozprawiła się bezlitośnie Burza.

Halion szybko sprawdził stan grupy i przekonał się, że stracili tylko jednego człowieka, ale kilku odniosło rany. Dath miał twarz

zalaną krwią, a Tarben utykał, ale nie wyglądało na to, by była to poważna rana. Nieopodal rozległy się kolejne krzyki.

– Ruszajmy – oznajmił cicho Halion. – Właśnie narobiliśmy hałasu i być może ktoś nas już usłyszał.

Znów pobiegli przed siebie, ale prędko zorientowali się, że najeźdźcy odkryli ślady potyczki i rzucili się za nimi w pościg. Corban przez dłuższą chwilę był skupiony tylko i wyłącznie na biegu i kamiennych płytach, które przemykały pod jego nogami, ale nagle coś go zaniepokoiło. Uniósł głowę i uświadomił sobie, że Brina i Heb zostali z tyłu.

W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że nie są w stanie nadążyć za resztą, ale potem zrozumiał, że się pomylił. Oboje nie byli nawet zasapani. Odwrócili się ku ciemności, która rozciągała się za nimi. Gdy przypadł do nich i otworzył usta, by ich popędzić, usłyszał, jak wypowiadają ciche słowa.

Nie, nie wypowiadają. Heb i Brina nucili wspólnie pieśń. Corban spojrzał na Gara, a następnie na uliczkę, którą przybiegli. Kroki ścigających ich ludzi stawały się coraz głośniejsze. Chciał ostrzec wszystkich przed nadciągającym zagrożeniem, gdy nagle z zaskoczeniem uświadomił sobie, że ze szczelin w bruku unosi się gęsta mgła, która rozlewa się po ulicy i zasłania widoczność.

Brina zachwiała się, a Heb ją podtrzymał. Oboje spojrzeli po sobie, skinęli głowami i pośpieszyli za znikającymi szybko uciekinierami. Nad ich głowami łopotał skrzydłami kruk.

– Nie podoba mi się to – mruknął Farrell, wpatrzony we mgłę, która rozchodziła się w niepokojącym tempie.

– Mnie też nie! – szepnął Corban i podążył za Hebem i Briną.

Przypadł do nich, gdy wszyscy przystanęli, by złapać tchu.

– Co to było? Co wyście zrobili? – szepnął do uzdrowicielki.

– I znowu pytania? – Brina wywróciła oczami i odwróciła się od niego. – Kiedy indziej, chłopcze.

– Corban! – rozległ się głos Haliona. – Chodź tu i pokaż nam ten tunel!

Chłopak poprowadził ich obok sadzawki, a potem po schodach w dół, do korytarza, który wiódł do studni. Zatrzymał się, gdy dotarło do niego, że nie ma krzesiwa, by rozpaść pochodnię. Po krótkiej naradzie z Halionem Marrock i Camlin pośpiesznie wygrzebali z przytroczonych do pasków sakiewek własne krzesiwa, po czym wyjęli pochodnie z żelaznych uchwytów na ścianie i rozpalili je. W ciszy, niczym procesja pogrzebowa, garstka uciekinierów zeszła do jaskini. Na ich twarzach malowała się mieszanina zwątpienia i nadziei.

Corban uklęknął, położył się i wysunął za krawędź studni. Mama kucnęła, by przytrzymać mu nogi. Chłopak macał przez moment, aż jego ręka natrafiła na zimną dźwignię. Pchnął ją ze wszystkich sił. Rozległ się syk, a potem szczęknięcie jakiś mechanizm. Jego towarzysze szepnęli i westchnęli ze zdumieniem, gdy ich oczom ukazały się drzwi. Corban zerwał się na równe nogi, ale pomimo powagi sytuacji nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok zaskoczonych twarzy. Podeszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Zgrzytnęły zawiasy.

– Poczekaj! – zawołał Halion. – Kto jeszcze wie o tym?

Corban wzruszył ramionami i skrzywił się, gdy znów poczuł ból.

– Nikt, kogo bym znał – rzekł, a w myślach dodał: „Nie licząc Cywen”.

– Mój ojciec zna to przejście – rozległ się czyjś głos. Vonn podeszedł bliżej. – I może kilka osób z jego otoczenia, z tego, co wiem.

– Czy my możemy mu w ogóle zaufać?! – krzyknął Dath, wpatrując się z furią w syna Evnisa.

Vonn spojrzał na niego wyzywająco.

– Mój ojciec okazał się zdrajcą i temu nie zaprzeczę. Ja jednakże nikogo nie zdradziłem. Złożyłem przysięgę królowi Breninowi i służę Ardanowi. Nie wyrzeknę się tego tak łatwo jak mój ojciec... – Urwał nagle, a jego głos zadrżał, gdy dodał: – A tej nocy straciłem kogoś. Kogoś mi bliskiego. – Rozejrzał się z zaciętą miną. – Od tej

chwili nie chcę mieć nic wspólnego z moim ojcem.

Halion wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

– Chodź więc z nami, ale wiedz, że będziemy śledzić każdy twój krok i jeśli okaże się, że nas oszukałeś, zginiesz.

Vonn również skinął głową i ruszyli przez kamienne wrota. Nagle Gwenith zawahała się i zatrzymała.

– Cywen – szepnęła. – Nie mogę jej tu zostawić. Muszę zawrócić!

– Ja po nią wrócę, gdy ty i Ban znajdziecie się w bezpiecznym miejscu! – odezwał się Gar. – Zastanów się, Gwenith. Przecież teraz nie możesz już zawrócić.

Spojrzał na Corbana, a potem znów na jego matkę. Kobieta drżała, a w jej oczach pojawiły się pierwsze łzy.

– Muszę – powtórzyła.

– Nie znajdziesz jej – odezwał się Marrock, który czekał, by przejść jako jeden z ostatnich. – Widziałem ją...

– Gdzie? – przerwała mu Gwenith. – Kiedy?

– Widziałem, jak spada – powiedział Marrock powoli i wyraźnie. – Z muru nad Kamienną Bramą.

– Co?! – zawołała Gwenith. – Nie rozumiem!

– Walczyła z Conallem. – Marrock przeniósł spojrzenie na Haliona, który odwrócił się nagle, usłyszawszy imię brata.

– Z Conallem? – powtórzył ochryple.

– Tak. Jest jednym z ludzi Evnisa i brał udział w zdradzieckim ataku przy bramach – parsknął Marrock. – Cywen rzucała nożami w tych wojowników w czerni, a Conall próbował ją powstrzymać. Potem oboje spadli. – Pokręcił głową.

Ciałem Gwenith wstrząsnął szloch. Bez słowa zagłębiła się w tunel, a Gar ruszył za nią. Marrock spojrzał na Corbana.

– Wielu z nas będzie długo opłakiwać tę noc – rzekł.

Chłopak nie mógł wykrztusić ani słowa. Niespodziewanie poczuł ogromne, obezwładniające zmęczenie.

– Nie ma chwili do stracenia – odezwał się Halion, zmagając się

z własną rozpaczą, a Corban zatrzasnął kamienne drzwi za sobą.

Nie pamiętał wiele z wędrówki przez tunele. Świat stracił dla niego swój kształt, a w jego głowie przesuwają się wspomnienia o Cywen. Miał wrażenie, że siostra idzie obok niego. Ocknął się dopiero, gdy dotarli do wielkiej, okrągłej komnaty, którą odwiedził poprzednim razem. Trup zmięta nadal tam był, choć uległ o wiele bardziej zaawansowanemu rozkładowi. Z gnijącego cielska opadały wielkie pasma skóry, tu i ówdzie połyskiwały już odsłonięte kręgi. Smród był trudny do wytrzymania. Grupa zatrzymała się i wbiła wzrok w makabryczny widok.

– Daleko jeszcze? – spytał Halion.

– Trudno ocenić odległość – odparł Corban. – Ale myślę, że jesteśmy mniej więcej w połowie.

– Hm – mruknął Halion. – A co potem? Gdzie prowadzi ten tunel?

– Do jaskini, która wychodzi na plażę.

Wojownik spojrział na niego ze zdziwieniem.

– I nikt jak dotąd nie odkrył tego przejścia?

– Nie, bo zasłania je iluzja. Sam natrafiłem na nie przez przypadek.

– Dobra. Prowadź.

Corban ruszył więc przodem. Przez dłuższą chwilę maszerowali wysoko sklepiionymi tunelami. Za nimi i przed nimi czaiła się ciemność. Z początku nikt się nie odzywał, gdyż myśli wszystkich krążyły wokół wspomnień strasznych chwil, które przyszło im przeżyć tej nocy. Co chwila też unosili głowy i z zaskoczeniem przyglądali się tunelom, ciągnącym się pod ich rodzinnymi domami, zapomnianym od wielu, wielu pokoleń. Potem cisza zaczęła jednak ustępować pierwszym szeptom i wkrótce rozpoczęły się rozmowy.

Corban z towarzyszącą mu Burzą prowadził grupę coraz głębiej, w mrok skalnego labiryntu, aż nagle uświadomił sobie, że od dłuższej chwili ktoś idzie obok niego. Uniósł głowę i ujrzał swą

matkę, która w milczeniu wyciągnęła dłoń i złapała go za rękę.

Schodzili coraz niżej, aż ich droga zaczęła się wyrównywać i dotarli do wysokiej, przestronnej jaskini, którą Corban dobrze pamiętał. Wnikał w nią kanał o stromych brzegach, w którym niemrawo unosiły się i opadały morskie fale. Chłopak zatrzymał się i wbił wzrok w ciemne wody. Halion stanął przy nim.

– Przejście do jaskini jest tam. – Corban wskazał ręką kierunek.
– Wygląda jak skalna ściana, ale to iluzja. Pewnie pamiątka po olbrzymach.

Heb i Brina podeszli do wskazanego miejsca. Uzdrowicielka dotknęła ściany, a jej dłoń znikła w skale aż po łokieć. Zachichotała.

– Wspaniale – rzekł Heb. – Żyjemy tu od tylu lat, a nie mieliśmy o tym pojęcia!

– Jesteśmy już blisko plaży – odezwał się Halion. – Musimy więc ustalić, co zrobimy, gdy się na nią dostaniemy. Nie jesteśmy jeszcze bezpieczni.

Uciekinierzy zaczęli omawiać różne możliwości, ale wówczas uwagę Corbana przyciągnął jakiś odgłos dobiegający z wody.

– Słyszałeś? – mruknął, trącając Gara.

– Tak – odparł mężczyzna i zmrużył oczy, wpatrując się w mrok.

Wtedy z wody, tuż poza zasięgiem światła rzucanego przez pochodnie, wyłonił się ogromny kształt, który obnażył kły i rzucił się ku nim. Był to żmij o szaro-białych, ociekających wodą łuskach, większy, o wiele większy od tego, który gnił w jaskini.

Runął prosto na Corbana. Chłopak próbował uskoczyć, ale bestia była zbyt szybka. Niespodziewanie pojawiła się Burza, która przypadła do karku potwora i wbiła kły w jego ciało. Impet uderzenia i ciężar wilkunyca przewrócił bestię na ziemię, a z jej pyska buchnął straszliwy kwik. Cielsko żmija przeszył spazm. napięte mięśnie zafalowały i ciśnięta z ogromną siłą Burza wyleciała w powietrze, uderzyła w skalną ścianę i osunęła się na ziemię, skamlając.

– Nie! – krzyknął Corban.

Nie miał zamiaru stracić już nikogo bliskiego tej nocy. Porwał za miecz i rzucił się do ataku na potwora. Jego towarzysze, jakby nagle uwolnieni z czaru rzuconego przez bestię, w większości skoczyli za nim.

Żmij uniósł się nad nimi, zaskoczony pojawieniem się tylu przeciwników. Wgryzł się w kark jednego z nich, ale wtedy przypadł doń Farrell i grzmotnął go młotem Thannona w łeb. Rozległo się obrzydliwe chrupnięcie, a potem potwór osunął się bezwładnie na ziemię i zmarł bez ruchu. Tarben podszedł bliżej i wbił mu miecz w ślepię.

– Człowiek ostatnio nie może być niczego pewien – burknął pod nosem.

Corban przypadł zaś do Burzy. Wilkunica podniosła się chwiejnie i zaskomlała, gdy Brina obejrzała jej bark, ale wyglądało na to, że nie odniosła poważnych obrażeń.

– Nic jej nie będzie – oznajmiła uzdrowicielka, a Corban odetchnął z ulgą.

Pośpiesznie obejrzelili swe rany, a potem zebrali się przed zasłoniętym iluzją wejściem. Halion pokonał je jako pierwszy, prowadząc Edaną za rękę. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem od chwili opuszczenia sali biesiadnej i szła biernie za wszystkimi, nie unosząc głowy. Corban zamrugał, gdy oboje znikli za magiczną barierą. Za nimi podążyli Marrock, Camlin i reszta, aż obok chłopaka zostali jedynie mama, Heb, Gar i Burza.

– Dalej! – popędził ich Heb.

Gar gestem wskazał drogę Corbanowi. Chłopak odruchowo zamknął oczy i wszedł w skałę. Niemal się zatoczył, gdyż spodziewał się, że jego ciało natrafi na opór. Tymczasem poczuł jedynie otaczające go ze wszystkich stron, narastające napięcie, ucisk w uszach i mrowienie skóry, a potem nagle znalazł się po drugiej stronie. Reszta ich grupy czekała już na niewielkim występie skalnym.

Wtedy usłyszał skamlenie Burzy. Spojrzał w dół, a potem odwrócił się i uświadomił sobie, że wilkunica nie przeszła przez iluzję w ślad za nim. Przez moment stał nieruchomo, nie wiedząc, co począć, aż podjął decyzję i cofnął się.

Burza stała przed skalną ścianą i skamlała, położywszy po sobie uszy.

– Nie chce przejść! – rzekł Heb. – Próbowałem jej pomóc, ale byś widział, jakim spojrzeniem mnie zmierzyła! Bez wątpienia nie chce mojej pomocy!

Corban przez moment usiłował nakłonić wilkunicę, by przeszła przez iluzję, a Gar i Gwenith próbowali nawet ją przepchnąć, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu.

– No dalej! – mruknął Corban, ciągnąc zwierzę za sobą. – Przynosisz mi wstyd! Nawet Craf nie robił tylu ceregieli.

W końcu, na sugestię Gara, Gwenith oderwała kawałek swej szaty i obwiązała Burzy ślepie. Kawałki materiału wepchnęła również w uszy wilkunicy.

– Z końmi to działa. – Stajenny wzruszył ramionami.

Podjęli jeszcze jedną próbę i tym razem się udało. Gdy łeb Burzy znalazł się po drugiej stronie, chłopak ściągnął jej opaskę z oczu. Wówczas wilkunica dostrzegła ścieżkę przed sobą i skoczyła naprzód. Jako ostatni dołączył do nich Heb.

Znaleźli się w wysokiej jaskini na wąskiej, śliskiej, skalnej ścieżce, pod którą powoli falowała morska woda, spieniona w miejscach, gdzie nacierała na ostre, postrzępione skały. Jaskinię wypełniało echo huku przyboju.

Grupa niechętnie ruszyła powoli naprzód. Marrock i Camlin wysunęli się na czoło, by sprawdzić drogę. Ścieżka wiła się i zakręcała ostro, a jaskinia stawała się coraz szersza. Niebawem Camlin wrócił i szeptem nakazał im zgasić pochodnie.

Za kolejnym zakrętem Corban ujrzał blask księżyca migoczący na drobnych falach. Jedno po drugim wychodzili z jaskini. Przed nimi, za płytkimi kałużami słonej wody, ciągnęła się plaża Havan.

Po burzy nie było już śladu, wzdłuż tarczy księżyca przesuwwały się strzępy chmur. Wokół panowała cisza, choć za ciemnymi kadłubami łodzi rybackich wyciągniętych na brzeg mogło się kryć wielu widzów. Na wodach zatoki Corban dostrzegł czarny kontur okrętu Nathaira, który unosił się i opadał na łagodnych falach.

Halion skrzyknął wszystkich i razem pośpiesznie ułożyli plan działania. Ostrożnie, starając się nie hałasować, ruszyli przez wodę ku łodziom. Zaczynał się odpływ, a woda była tak zimna, że Corbanowi oddech uwiązł w gardle. Wkrótce znaleźli się na plaży, a tam na czoło wysunęli się Dath i Mordwyr, którzy wnet odnaleźli swą łódź, wspartą na kilu na kamienistym odcinku. Z niemałym trudem cała grupa zepchnęła łódź na wodę. Corbanowi serce podskakiwało za każdym razem, gdy otoczaki zazgrzytały głośniejsz pod naporem ich stóp czy kilu łodzi. Miał ochotę skakać z radości, gdy poczuł, jak woda omywa jego stopy. Chwilę później łódź zakołysała się na łagodnych, niewysokich falach.

Dath i Mordwyr wspięli się na pokład, a pozostali wypchnęli łódź jeszcze dalej, po czym pognali w stronę drewnianego pomostu, który wybiegał w morze nieopodal. Podeszwy ich butów załomotały na drewnianych deskach. Obaj rybacy zawrócili łódź ku czekającym na nich towarzyszom. Corban patrzył, jak żagle opadają i nagle nabrzmiwiają pod naporem wiatru. Woda spieniła się wokół dziobu łodzi, która pomknęła ku nim.

Przeżył tej nocy wiele straszliwych chwil, ale żadna z nich nie równała się tej, gdy niemalże bezbronni czekali na łódź na końcu pomostu. Zerknął na Dun Carreg, olbrzymi ciemny kształt na tle szarzejącego nieba, i dostrzegł pomarańczową poświatę unoszącą się nad budynkami płonącymi w obrębie wielkich kamiennych murów.

Rybacka łódź Mordwyrza była już blisko, a on sam rzucił towarzyszom zwój liny. Halion złapał ją i przy pomocy kilku innych członków grupy przyciągnął łódź bliżej. Uciekinierzy szybko znaleźli się na pokładzie i rozsiadali się, gdzie mogli, wyczerpani do

granic. Niewielki stateczek, wypełniony niemalże po brzegi, zawrócił ku otwartemu morzu. By się tam przedostać, musiał jednakże minąć czarny okręt Nathaira, który kotwiczył w wejściu do zatoki. Paliły się na nim latarnie, ale nie było śladu ludzi.

Mijali ciemny kadłub w odległości zaledwie kilkunastu kroków, gdy uszu Corbana dobiegło sapanie i powarkiwanie. Przypomniawszy sobie, jak nabijał się z Datha, który rzekomo słyszał jakieś dziwne hałasy dochodzące z okrętu. Czy to naprawdę było zeszłego wieczoru?

Burza warknęła, kładąc po sobie uszy, gdy niespodziewanie z głębi statku buchnęło straszliwe wycie. Uciekinierzy spoglądali na mijany pokład szeroko otwartymi oczami. Corban cały czas odwracał się ku plaży i oczekiwał dalszego rozwoju wypadków, ale nic się nie wydarzyło.

Gdy zza horyzontu wychynęły pierwsze promienie słońca, ich łódź wreszcie znalazła się na otwartych wodach. Corban uświadomił sobie nagle, że jego powieki są niebywale ciężkie.

– Trzymaj – odezwał się do niego Farrell. – Przecież to twoje.

Przyjaciół wyciągnął w jego stronę młot wojenny Thannona, pokryty zaschniętą krwią.

– Weź go – odparł Corban. – Dla mnie jest za ciężki. Poza tym wygląda na to, że ojciec zrobił go dla ciebie.

Farrell spoglądał na młot, na próżno próbując zamaskować pragnienie.

– Nie. – Pokręcił głową. – To broń twego ojca! To nie w porządku, bym ja ją zatrzymał!

Corban wyciągnął ramię i skrzywił się lekko, gdy znów przeszył je ból. Popchnął młot ku Farrellowi.

– Mówię serio. Nie potrafiłbym posługiwać się nim tak jak należy. Proszę cię, zależy mi na tym, byś go zatrzymał.

– Naprawdę?

– Tak. Tylko pamiętaj, by pomścić nim śmierć mego ojca. O nic więcej cię nie proszę.

Farrell zastanowił się, a potem uśmiechnął się z trudem.

– Uczyniłeś mi wielki zaszczyt – rzekł.

– A żebyś wiedział – wymamrotał Corban.

– No dobra – odezwał się ktoś na dziobie. – To gdzie my właściwie płyniemy?

Wszyscy odwrócili głowy ku Halionowi i Marrockowi, którzy siedzieli na dziobie z Edaną między sobą. Marrock wzruszył ramionami i spojrzał na wojownika.

– Tak naprawdę to zależało mi głównie na tym, by się stamtąd wyrwać – rzekł Halion, patrząc na fortecę. – Co się udało. – Skinął głową Corbanowi, a potem spojrzał na Edaną.

Księżniczka podciągnęła kolana pod brodę, a na jej brudnych policzkach schły łzy. Trudno było ustalić, czy ich słuchała czy też nie.

– Złożyłem Breninowi przysięgę na wierność, a jego ostatnim rozkazem było, bym ochronił Edaną – ciągnął Halion. – Ale jak ja mam to właściwie zrobić? Dun Carreg wpadło w ręce wroga, podobnie jak inne fortece Ardanu. – Na jego twarzy pojawiło się znużenie. – Narvon nie wchodzi w rachubę, podobnie jak Cambren. Co nam jeszcze pozostało?

Corban odniósł wrażenie, że Halion przedstawia im logiczny wywód, który sam dokładnie przeanalizował. Przypomniał sobie słowa Gara, wedle którego mężczyzna był urodzonym strategiem. Marrock jednakże odebrał jego słowa jako pytanie i rzekł:

– Możemy się udać do Dun Crin, starych ruin olbrzymów.

Pozostali, słysząc jego słowa, pokiwali głowami.

– Słyszałem o tym miejscu – rzekł Halion. – Ruiny leżą na zachód od Ardanu, pośród wielkich bagien.

Marrock pokiwał głową.

– To dobre miejsce, by się przyczaić. Gdybyśmy rozpuścili wieści o tym, że Edana tam przebywa, być może ściągnęlibyśmy innych wojowników i zyskali szansę na kontratak.

– Kontratak, zgadza się – mruknął zamyślony Halion. –

Dokładnie o tym samym pomyślałem, ale my przecież mamy w pierwszej kolejności zapewnić Edanie bezpieczeństwo. Wszak wieści o tym, że przyczała się na bagnach, nie dotrą jedynie do uszu potencjalnych sojuszników. Owain również się o tym dowie. – Wzruszył ramionami. – Edana musi odzyskać swe królestwo, co do tego nie ma wątpliwości, a ja mam zamiar jej pomóc, nawet jeśli będzie mnie to kosztować życie. Musimy się jednak naradzić, jak tego dokonać. – Spojrzał na niewielką grupkę skupioną w łodzi. – Jeśli odkrycia poczynione w Ciemnym Borze są prawdą, Rhin wkrótce zaatakuje Owaina. Gdy armia z Cambrenu wyruszy, a Owainowi przybędzie zmartwień, wówczas Edana może się wziąć za skrzykiwanie drużyny. Do tego czasu powinna jednak przebywać w ukryciu. – Zastanowił się raz jeszcze i dodał: – Zabiorę Edaną do mego ojca. Jest jej krewnym, choć dalszym niż ci, o których rozmawialiśmy.

– Do kogo? – spytał Marrock. – Kto jest twoim ojcem?

Halion spojrział na niego z nieprzeniknioną twarzą.

– Jestem nieślubnym synem Eremona ben Parloth, króla Domhainu – rzekł i odwrócił spojrzenie ku morzu.

Reszta uciekinierów szeptała przez moment we własnym gronie, ale nikt nie sprzeciwił się decyzji wojownika. Corban uświadomił sobie, że wiele faktów dotyczących jego nauczyciela zaczęło wreszcie układać się w logiczną całość. Poczłapał na rufę łodzi, a wówczas podeszła do niego matka. Otoczyła go w pasie ramieniem i stali tak we dwoje, spoglądając na Dun Carreg. Pierwsze promienie słońca migotały na kamiennych murach, a tu i ówdzie biły ku niebu słupy ciemnego dymu.

Tam został mój ojciec, pomyślał chłopak. I Cywen.

Przełknął z trudem ślinę, a w jego oczach wreszcie pojawiły się łzy. Zacisnął dłonie na relingu, by opanować ich drżenie.

– Ban, istnieje wiele rzeczy, o których musimy porozmawiać. Rzeczy, o których muszę ci powiedzieć – szepnęła Gwenith.

Corban spojrział na matkę, która nagle wydała mu się starsza,

bardziej znużona niż kiedykolwiek wcześniej.

– Tak, mamie – odpowiedział drżącym głosem. – Ale nie teraz. Niebawem, dobrze? Ale jeszcze nie teraz.

– Dobrze. – Gwenith pokiwała głową z zauważalną ulgą. – Niebawem.

Stali razem, objęci i wpatrywali się w Dun Carreg niknące na horyzoncie, a Corban wiedział, bez cienia wątpliwości, że od tej pory nic już nie będzie takie jak kiedyś. Jego życie zmieniło się na zawsze.